

Kawalec Julian

17 OPOWIADAŃ

Sprzedaż mydła, sprzedaż umarłych

Zaczął starzeć się od nóg, a nie od głowy, jak to się zdarza u niektórych ludzi: można więc powiedzieć, że starość podpełzała do niego od dołu, od ziemi, i poganiana chorobą wślizgnęła się podstępnie najpierw do stóp, potem do kolan i sunęła, podskakiwała cichaczem coraz wyżej, a nie spływała z powietrza na głowę i nie schodziła w dół, jak niekiedy bywa z tymi, którzy zaczynają starzeć się od krańca górnego.

To posuwanie się starości trzeba raczej nazwać rączym, . skocznym biegnięciem, bo w krótkim czasie doszło do tego, że stracił władzę w całych nogach i musiał zasiąść w specjalnym, kupionym przez krewnych we Francji wózku, który wprawiał w ruch i którym kierował przy pomocy rąk,

Z początku to nawet cieszył się tym zagranicznym wózkiem i był z niego dumny, mówił o nim „mój konik, mój szybki konik”; a gdy wyjeżdżał na drogę z furtki swojego podwórza, lubił zawołać „wio, koniku...”

Na głównej drodze prowadzącej przez miasteczko podobne do wsi i dalej przez prawdziwą wieś ludzie człapali na nogach i męczyli się, dyszeli ciężko, sapali, żeby zdążyć do sklepu, do urzędu, do roboty albo wlekli się do pól na swoich dużych, rozdygotanych i skrzypiących wozach, ciągnionych przez grube konie o wielkich, znudzonych łbach, a on jechał sobie elegancko, wygodnie i chyba wtedy nie myślał, co się stało z jego nogami, które leżały przed nim na wyścielonej i dogodnie wygiętej przedniej części wózka jak osobna rzecz, jak dwie osobne, nie złączone z jego czuciem rzeczy, niby dwie odrąbane od drzewa gałęzie ubrane w szerokie, luźne spodnie.

I można także powiedzieć, że on na tym połyskującym nowością wózku był ozdobą tej umęczonej ludźmi, wozami i ciężkimi samochodami drogi, która nigdy nie mogła odpocząć, w nocy też nie, bo wtedy zwalali się na nią z pogardą i złorzeczyli jej, że twarda, że śliska, że daleka, i opluwali ją pijani miastowi i pijani wsiowi: o świcie też

nie mogła odpocząć, bo ledwie noc pojaśniała, już deptali ją swoimi buciskami ci najpracowitsi, którzy nigdy się nie spóźniają i zjawiają się zwykle przed czasem tam, dokąd idą.

Wyjeżdżał tym swoim eleganckim wózkiem inwalidzkim na drogę głównie po to, żeby zgrabnie i cicho, nieznacznie tylko szmerząc motorkiem, dojechać do któregoś z tych piechurów albo woźniców i wdać się z nim w rozmowę, był spragniony rozmowy jak ryba wody, a jeszcze bardziej pragnął mówić i być słuchanym; bo gdy utracił władzę w nogach i te nogi położył przed sobą jako rzeczy bezużyteczne, stał się — tak to nazwali miejscowi — bardziej mowny; a miał o czym opowiadać, gdyż był stary, przeszedł wojnę i wiele przeżył.

Nie wystarczały mu sobotnie popołudniowe i niedzielne rozmowy z ludźmi, więc dopadał ich na drodze w zwykłe, robocze dni, chętnie zagadywał młodszych niż on, wykrzykując: — chcecie wiedzieć, jak tu było dawniej — i nie czekając na zgodę mówił: — dawniej ta droga była z piachu i szutru i wciąż unosił się nad nią kurz, wozy były mniejsze i miały drewniane koła z żelaznymi obręczami, konie małe i nie uświadczyło się samochodowi. Chcecie wiedzieć, jakie były domy we wsi, strzecha obok strzechy, a w miasteczku same parterowe długie budynki, Żydów było więcej niż nie-Żydów, mieli malutkie sklepy, w których wszystko się kupiło.

Na pewno chcecie wiedzieć, co było naokoło; naokoło rozciągały się łąki, a na nich pełno kwiatów; zdarzały się lata, że nie można było sobie poradzić z tymi kwiatami, tak się pchały do wsi i miasteczka, podchodziły ze wszystkich stron, wsmykiwały się przez płoty i napierały na domy; otworzyłeś drzwi, wpychały się kwiaty, gdybyś drzwi nie zamknął, weszłyby do sieni; otworzyłeś okno, do izby wlatywały kwiaty podobne do małych ptaszków, gdybyś je zostawił otwarte, wiatr zaraz nawiałby tyle kwiatów, że musiałbyś je wynosić koszami.

W nocy kwiaty odurzały ludzi i przynosiły im dziwne sny, budzili się, a jakby nadal spali i śnili; niektórzy zapominali się ubrać i wychodzili z domu w koszulach albo nadzy; ale nie wstydzili się siebie i nikt się nie gorszył, bo wszyscy byli jak zaczarowani, wstyd przychodził do-

piero wtedy, gdy mijał sen, pędzili do domów jak szaleni, śmiejąc się i płacząc na przemian.

Dużo także było motyli różnej barwy i wielkości, bo jak kwiaty, to i motyle, ludzie zżyci byli z motylami, a motyle z ludźmi; ani się spostrzegłeś, gdy usiadł ci na głowie i siedział, dopóki chciał, mogłeś kawał drogi zrobić, a on siedział; czasem człowiek od samego domu do rynku w miasteczku, gdzie był jarmark, szedł z motylem, który sfrunął mu na głowę albo na ramię, szedł z nim jak z kwiatem, bo motyl to fruwały kwiat; gdy kosiłeś trawę albo zboże, siadł ci na końcu kosiska i nie bał się, wywijając kosą, trawa kładła się z chrzęstem, zboże z chrobotem, a on nie uciekał, popatrywałaś na niego i cieszyłeś się, że siedzi, czułeś się jak święty, bo udało ci się oswoić motyla, i dziwiłeś się, że nie jesteś zmęczony, choć pot spływał ci po czole i skroniach, było w tym coś z cudu; co to za motyle, te dzisiejsze, są mniejsze, kolory przybladłe i mało ich, bo wiele ich wyginęło, dzisiaj motyl fruwa jak pólżywy, nie bawi się z wiatrem, nie figluje i nie migoce w powietrzu, bo jest smutny.

Nie tylko po głównej drodze jeździł tym swoim inwalidzkim wózkiem, ale także po drogach bocznych, zapuszczał się nawet na drogi polne i na małe błonie przy szkole, i na plac przykościelny z tymi swoimi pytaniami: — chcesz wiedzieć, chcecie wiedzieć, jak było dawniej...

Chcecie wiedzieć, jakie były rzeki, mogłeś się z nich napić wody jak ze źródła i przez wodę widziałeś dno, ten cały świat na dnie widziałeś dokładnie, jakbyś patrzył przez powiększające szkło — kamienie, wodorosty, ryby i ich kryjówki: gdy się ktoś utopił, nie musiałeś go szukać bosakiem i tyczką, bo topielca można było ujrzeć i wiedziało się, gdzie nurkować, szybciej przychodził ratunek.

Chcecie wiedzieć, co to jest chrząszcz majowy i chrząszcz lipcowy — to takie owady w brązowych pancerzach, majowy jest większy niż lipcowy i ma nieco jaśniejszy pancerz, jaśniejszy, ale nie tak połyskliwy jak pancerz chrząszcza lipcowego; nie gryzły i dały się łatwo chwycić, dzieci zbierały je na lekarstwo do butelek, ścierało się je na proszek, który był pomocny w leczeniu dychawicy; ludzie przywykli do nich i trudno było sobie wyobrazić dawne

maje i lipce bez tych chrząszczy, lubiliśmy je, choć niszczyły liście, ale także leczyły, smutno dziś bez nich.

I bez jaskółek smutno, człowiek je wytracił, tak się rozwijał, tak budował, tak badał i wytwarzał i poganiał ziemię do rodzenia, aż wytracił jaskółki i nie ma ich, nie lepią gniazd nad drzwiami obór i nie śmigają po powietrzu.

Tym, którzy nie widzieli jaskółek, mówił, że były to nieduże, ale bardzo zwinne ptaki, podobne do krótkich czarno-białych strzał albo do malusieńkich ludzików we frakach, fruwały tak, jakby się ślizgały po olbrzymiej, raz wklęsłej, raz wypukłej lodowej tafli, jakby tańczyły walca i cały świat chciały porwać do tego tańca bez granic, na deszcz zniżały lot do samej ziemi, a na pogodę wznosiły się wysoko, do samego nieba.

Wiele kwiatów, owadów i ptaków wygubił człowiek i gdy będzie się on nadal tak rozwijał i wytwarzał różne różności, wynajdował coraz to nowsze rzeczy w laboratoriach i poganiał ziemię do rodzenia zatrutych owoców, to po jaskółkach przyjdzie kolej na skowronki, już nie śpiewają jak dawniej, już zaczynają się krztusić, nawet te twardziele wróble zakrztuszą się czasem, niekiedy tak mocno i boleśnie, że cała wierzba się trzęsie, nawet wrony pokaszlują z cicha na suchych drzewach.

O różnych dawnych rzeczach opowiadał, poganiał pamięć i opowiadał, bo nie mógł chodzić, z jednej rzeczy przeskakiwał na drugą, nie robił żadnych przerw w opowiadaniu, pędził po swoim dzieciństwie i młodości, bo chciał jak najdalej odejść od tych swoich bezwładnych nóg, gdyż nie mógł znieść, że są przy nim.

Wiele rzeczy nawywlekał z tamtych lat, gdy jeszcze nie zaczęła się wojna, i opowiedział młodszym od siebie ludziom: cieszył się, gdy go słuchali w milczeniu, z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami, a jeszcze bardziej się cieszył, gdy któryś z jego przygodnych słuchaczy wykrzyknął ze zdziwieniem: „jak to mogło być, że ludzie chodzili z motylami na głowach i że przez głęboką wodę widziało się dno rzeki, i że ludzie cieszyli się, gdy się naharowali, co to za dziwne szczęście — harówka”; bo przecież opowiadał młodym o dawnych ludziach, o takich dziwnych ludziach, którzy bardzo chcieli się naharować,

a nie zawsze mogli, gdyż ziemi mieli malutko, a innej roboty nie było, i wypatrywali jak zbawienia takiej chwili, w której mogłoby się powiedzieć: „naharowałem się jak wół”, takiej dobrej, szczęśliwej chwili, gdy po ciężkiej jak ołów robocie słaniając się na nogach siadali byle gdzie, na ziemi, na wystającej żerdzi, na wiązce tyczek grochowych, na pniaku, i z radością w rozognionych oczach mówił jeden do drugiego: „już mnie te nogi nie chcą nosić, już ledwie zipię, naharowałem się jak wół”, „naharowałem się jak wół” — móc tak powiedzieć to przeżyć szczęście, to wiedzieć, że ręce nie dyndają beczynn timer, bo nic tak nie smuciło i nie przejmowało zgrozą tamtych dziwnych ludzi jak wiszące beczynn timer u tułowia dłonie, jak te dziesięć palców zastygłych w bezruchu z powodu braku roboty.

Po pewnym czasie musiało do tego dojść, że zaczął się powtarzać i było niedobrze, gdy jakiś znudzony słuchacz przerwał mu: „to już było, to już słyszeliśmy”; robił się wtedy smutny i niemiłosiernie zamęczał swoją pamięć, tak zamęczał, aż drżała mu szczęka, bo chciał sobie przypomnieć coś, o czym jeszcze nie mówił.

— To już było i to chyba także już było, ale o przednówku na pewno jeszcze nie — zawołał triumfalnie któregoś dnia o przedwieczornej, najlepszej do opowiadania godzinie i od razu przestała mu drzeć szczęka.

— Co to takiego ten przednówek — odezwał się któryś z młodych — ki diabeł ten przednówek — dodał drugi. Pogłaskały go te słowa, gdyż świadczyły niezbitie, że o przednówku jeszcze nie mówił; jak mógł o tym nie mówić dziwił się w duszy i nawet powiedział głośno:

— Nie wiem, jak to się stało, że dotąd nie opowiedziałem o przednówku.

I zaraz zaczął; gdyby chciał, mógłby się z tym uporać w jednym zdaniu i powiedzieć „przednówek to taki trudny do przeżycia czas przed nowymi zbiorami”; ale przecież nie po to go przeżył i zapamiętał, żeby teraz, gdy ma bezwładne nogi, dał o nim tylko kilka słów i nic więcej; przeciwnie, niech będzie o przednówku dużo, za dużo, na złość tym cholernym nogom, żeby nie były takie ważne i nie chępiły się swoim bezwładem, żeby wiedziały, że może sobie pójść od nich daleko, dokąd zechce.

I Więc zaczął z oddalenia, szeroko, dookolnie: — przednó- | wek to taki kwiecień, a nieraz kwiecień i maj, a bywa, że kwiecień, maj i czerwiec razem wzięte, z dodatkiem kawałka lipca, to taki wiosenny czas, gdy świat jest piękny, wszędzie zielono, kwitną sady i łąki, ale człowiek się tym nie cieszy, bo nie ma chleba na swoim stole; gdyby miał chleb, toby się cieszył, przysuwałby kwiaty do nosa i mówiłby, że ładnie pachną; ale chleb się skończył i na stole sam nóż, a gdy przy nożu nie ma chleba, nóż dziczeje, skacze po stole jak żywe stworzenie, doskakuje do dłoni, wkłada się w nią i namawia ją do niedobrych rzeczy, bo niedobre rzeczy mogą się dziać, gdy jest tylko rozżęskniony za kromką, aż zdziczały z tej tęsknoty człowiek i tak samo rozżęskniony, zdziczały nóż, gdy jest tylko ta dwójka, a nie ma trzeciej rzeczy, to znaczy chleba, przy nożu zawsze powinien być chleb, przy każdym nożu bodaj kawałek bochenka, aby się ten świat mógł spokojnie obracać.

Sporo było we wsi i miasteczku ludzi, którzy czekając na nowe, dojrzałe żyto, szli na pola i dotykali kłosów, ale one były wciąż miękkie, bardziej roślinne niż chlebowe, potem delikatnie przesuwali po nich dłońmi, gładzili miłośnie i gniewnie zarazem szorstkie włosy pola, bo to czekanie dłużyło się niemiłosiernie ludziom i nożom.

Próbowali nadgonić zrośniętymi ziemniakami i łobodą, ale ziemniaki i łoboda to nie chleb, żołądek pozbawiony chleba zapada się, ssie sam siebie, pobołewa i choćbyś mu dał nie wiem jakie smakołyki, a odebrał mu chleb, będzie odczuwał pustkę i będzie ssał sam siebie.

Ci, którzy nie mogli wytrzymać tego ssania w dołku pod żebrami, brali drewniane miarki i szli do księdza proboszcza: — niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — zaczynali pokornie, trzymając w rękach zdjęte z głów kaszkiety, i zaraz wyluszczali sprawę: — księżo proboszczu, chcieliśmy prosić o pożyczanie paru garncy żyta, bo się nam chleb skończył.

Ksiądz był dobry i zaraz przywoływał swoją gospodynię, kazał jej iść do spichrza i nabrać dla nich ziarna z dużej skrzyni; potem zapisywał nazwiska chłopów i ilość pożyczonych garncy w specjalnym zeszyciku, który leżał w jego pokoju na stole obok brewiarza; chodziło mu

o to, aby po zbiorach mógł skontrolować, czy ziarno zostało zwrócone i czy zgłosili się do pracy ci, którzy pożyczili na odrodek.

Na odchodnym, gdy mu dziękowali, wciąż z tymi zmiętymi kaszkietami w rękach i wykrzykiwali radośnie z powodu tego ziarna w miarkach — odwieczne pożegnalne „z Bogiem”, mówił do nich: — idźcie z Bogiem, żarłoki, módlcie się i żałujcie za grzechy, i przeproście Boga za to, że myślicie o jedzeniu, a Bóg pozwoli wam dotrzeć do nowych zbiorów, wtedy oddacie mi to, coście pożyczili, a ci, którzy wzięli za odrodek, przyjdą do kopania ziemniaków; módlcie się i żałujcie za grzechy — powtarzał za ich zgiętymi plecami.

— Jak to dobrze, że mamy bogatego księdza, że ma on pięćdziesiąt morgów rędzin nej ziemi, bo może nas poratować na przednówku — mówił niejeden z chłopów, którym doskwierała bieda.

Zjedli to, co pożyczili, a źdźbła i kosy żyta stały i stoją na tej granicy między zielenią a płowością, między rośliną a chlebem, między ozdobą a pożytkiem, widać, nie słuchają Boga, gdy się tak zastały i nie chcą się ruszyć do przodu z tym dojrzewaniem, może napuścić na nie diabła, to się przestraszą i ze strachu spłowieją, już imię Boga zaczyna się mieszać z imieniem diabła.

Niejeden klepie kosę, klepie za wcześnie, aby oszukać samego siebie, że to niby już jutro wybierze się do koszenia, słyhać „dzyń, dzyń”, ta skarga kosy idzie wysoko w górę, aż do niebieskich tronów, i pełźnie po ziemi, aż do horyzontu, a może nawet za horyzont.

Jest taki, który bierze cepy, umacnia gązwy i łączy je nowym rzemieniem z surowej bydlęcej skóry, choć ten rzemień stary jeszcze jak nowy, wywija cepami w powietrzu i bije nimi jak niemądry w miękką murawę sadu, bo nie może znieść tego, że nie młóci naprawdę.

Znajdzie się i taki, który podchodzi do wialni, obraca korbą, żeby sobie poobrać, inny znów bierze w ręce przetak i potrząsa nim w powietrzu, choć jest pusty, albo dopada do żaren, zaciska palce na drążku żarnówki, zaciska drapieźnie, jakby jego dłoń przemieniła się w szpony krogulca, i miele, nic nie miele, a miele.

W końcu to zawstydza świętych, sam Bóg się wstydzi, że jego stworzenie tam w dole, w najniższym dole, takie rzeczy wyczynia, że ten tam w dole, którego, jak by nie Jbyło, z niemałym trudem ulepił z gliny na podobieństwo I swoje i tchnął w niego duszę, chodzi jak ogłupiały naokoło zagonu niedojrzałego jeszcze żyta, bo na jego stole nie ma chleba.

Wstydzi się tego Pan Bóg, ale i trochę boi, bo jak tak dalej pójdzie, to ten z najniższego dołu przestanie bać się piekła i co wtedy będzie; zsyła więc nad te zagony najdogodniejszą pogodę, słoneczną, ale bez żaru, który mógłby przypalić kłosa, napędza też trochę puchowych, pierzy- niastych chmur, żeby od czasu do czasu delikatnie przysłaniały rozognione słońce i przyczyniały się do powstania dorodnego ziarna; sprawdzi je zaraz ten, który czeka na nie niecierpliwie, zerwie dojrzewający kłos, zetrze go w rękach, odmucha plewy, cząsteczki ości i wtedy na lewej dłoni ukaże się mu czyste ziarno i dowie się, czy jest grube, czy chude.

Przyszedł wreszcie czas, w którym zboże dojrzało i można było wyruszyć do koszenia, w powietrzu od razu zabrzmiała muzyka, aniołowie zniżyli się do samej ziemi i zaczęli tańczyć nad polami; płaski, brudny kaszkiet kosiarza zmienia się w złotą koronę, koszula z lnianego samodziela jest już powłóczytą szkarłatną peleryną, król dziarsko wywija kosą, rzecz niebywała — król kosi, wiąże snopy, a potem je zwozi i zaraz młóci, spieszy się z tą młócką, wierzchuje tylko, rozwiązywanie i rozścielanie snopów zostawia na później; król chwytą za korbę wialni i za drążek żarnówki.

Rzecz niesłychana i niepojęta — król rąbie drewno, wrzuca do pieca grube polana i podpała je, cała rodzina królewska gromadzi się wokół okrągłej dzieży, w której pracuje zaczyn z nowego zbioru, ale oto ta dzieża w mgnieniu oka zmienia się w mosiężną skrzynię pełną kosztowności.

Dopiero chleb, duży bochen razowego chleba przerywa pasmo cudów, choć właściwie jeszcze nie przerywa, bo leżący na stole nóż doskoczył do nie wystygłego bochenka, zanim ujęła go dłoń, jakby nie potrzebował ręki.

Tak po prawdzie, to dopiero gdy rozszarpali ten bochenek niby dzikie zwierzęta ofiarę, gdy się najedli, namłaskali, napracowali szczękami i z pełnymi brzuchami poszli w sady, ustały cuda.

Gdy skończył o tym przednówku, próbował jeszcze wyłuskać co nieco z przedwojennego czasu i udało mu się: opowiedział o długich pasmach lnu wyrabianego domowym sposobem, polewanych ługiem i rozścielanych na łąkach, żeby bieleły w słońcu, o pijanych koniach wiozących dziedzica, księdza proboszcza i innych znaczniejszych gości z powiatu na wesele u wójta, o pięknych czarownicach rozsiewających zarazę i czarnych aniołach zwiastujących gradowe burze.

W chwili gdy w opowiadaniu doszedł do gradowej chmury, podobnej do ogromnej fury siana ciągnionej przez czarnego anioła popędzanego złościstym batem, chyba wtedy poczuł, że zdrętwiała mu lewa ręka i zaraz potem prawa.

— Coś się stało z moimi rękami — powiedział widząc, jak jego miękkie dłonie osuwają się w dół.

Gdy ludzie odwozili go do domu, wrócił nagle do zaczętego opowiadania, nie zważając na bezwładne ręce, i powiedział, że ten anioł, który ciągnął po niebie gradową chmurę, podobny był do prawdziwego anioła, różnił się tylko kolorem.

Choroba przeskoczyła z nóg do rąk, to była ta skacząca choroba, która gdy już wejdzie w jedno miejsce, lubi nagle i niespodziewanie przerwycić się w drugie i po drodze ominąć wiele części ciała; u niego z nóg przeskoczyła do rąk, omijając całą przestrzeń brzucha, piersi, serce, szyję, i nie doszła do głowy, głowy nawet nie musnęła, głowę jakby jeszcze rozjaśniła i mowie przydała potoczności.

Niech będzie błogosławiony ten, który tę chorobę nazwał skaczącą; bo można się uśmiechnąć, gdy się powie: „mam taką skaczącą chorobę”, ona jest groźna, ale i wesoła zarazem, bo skacząca, bo podskakuje, robi hop, hop z miejsca na miejsce, jak się do niej nie uśmiechnąć, gdy jest taka wesoła, choć groźna.

Miał teraz bezwładne nogi i ręce, więc odczuwał jeszcze większą niż przedtem ochotę — można powiedzieć — podwójną ochotę do mówienia: no bo żeby odejść od bezwładnych nóg i rąk, musiał zrobić podwójnie dłuższą drogę niż

od samych bezwładnych nóg, musiał więc mówić podwójnie dłużej.

| — Chcę mówić, chcę ludzi do słuchania, wywieź mnie na drogę — powiedział już następnego dnia do swojej kobiety, która się nim opiekowała.

— Oni nie mają czasu i nie chcą już słuchać tego, co było przed wojną, już ich na to nie weźmiesz, lepiej będzie, gdy wywozę cię do ogródka, będziesz patrzył, jak figlują koty — odpowiedziała kobieta.

— Nie chcę patrzeć na koty, chcę do ludzi, chcę mówić, mówić mi się chce, mówić i mówić do ludzi — sprzeciwił się kobiecie i zaraz dodał: — idź na drogę i powiedz im, że teraz przejdę do wojny, powiedz tak: „przyjdźcie do niego, a dowiedcie się, jak było w wojnę”, i jeszcze im powiedz: „dowiedcie się, jak paliła się ziemia, nie tylko to, co na ziemi, nie tylko domy, drzewa, ludzie, ale sama nagusieńka ziemia płonęła i morze płonęło”, to ich na pewno zaciekawi i przyjdą.

— Może się uda — rzekła łagodnie kobieta i wyszła, po chwili wróciła z garstką młodych ludzi w niesamowicie obcisłych spodniach, którzy chcieli usłyszeć o płonącej ziemi i morzu.

Gdy zaczął do nich mówić, od razu można było zauważyć, że jego głos dźwięczy jakby czyściej i donoiniej niż wtedy, gdy miał bezwładne tylko same nogi, i że teraz, przy bezwładnych nogach i rękach, lepiej służy mu pamięć, i że wyśmienicie udaje mu się ucieczka od tej już podwójnej bezwładności.

Słowa bowiem i zdania biegną żywo jedno za drugim, gdy opowiada o zwielokrotnionym żarze i specjalnych pociskach wymyślonych przez utalentowanych ludzi, które nawet gołą ziemię paliły i na wodach mórz wzniecały ogień, i niszczyły okręty i ludzi.

Ale samo to, że paliła się ziemia i wody mórz, nie mogło tych kapryśnych słuchaczy zatrzymać dłużej, więc gdy chcieli odejść i już skierowali się do drzwi, ukazując mu swoje umięśnione plecy i uda, a także jędrne tyłki rozsadzające drelich przeraźliwie obcisłych ubrań, zawołał do nich: — nie powiedziałem wam jeszcze, że ludzie wyparowali w jednej sekundzie, szybka wskazówka zegara zro-

biła „tyk”, no może „tyk, tyk”, najwyżej „tyk, tyk, tyk”, i sto tysięcy ludzi wyparowało.

Gdy to powiedział, młodzi zatrzymali się, bo to było coś, no bo jest człowiek, idzie albo siedzi, cieszy się, że ma dobrą żonę, że dzieci dobrze się uczą i że jeszcze ma matkę, i za sekundę, no może za kilka sekund nie ma go; ale to nie znaczy, że umarł i leży, ale że nie ma po nim ani śladu, może tylko krótkotrwały białawy obłoczek i trochę poprózonego kurzu; a to znaczy, że gdy przed Sądem Ostatecznym zagrają archanielskie trąby i nadejdzie czas powszechnego wstawania z grobów i wychodzenia z ziemi umarłych, tych, którzy wyparowali, nie będzie z czego wskrzesić, bo nic po nich nie zostało; po spalonych został przynajmniej popiół, a w nim może jakiś odprysk kości, a po wyparowanych nic, gdyż te niebieskawe obłoczki i poprószonego kurzu się nie liczą, od czego więc zacząć wskrzeszenie; w takim przypadku musi chyba nastąpić powtórka pierwszego stworzenia z pomocą gliny i tchnienia, bo nie ma innej rady.

Jednak wysłuchawszy opowiadania o wyparowaniu człowieka odeszli i znów został bez słuchaczy.

— Chciałbym mówić, a ludzi nie ma przy mnie — powiedział do kobiety i zaraz dodał: — wiem, że będziesz mnie teraz namawiać, abym się gapił na figlujące koty i śmiał się, gdy jeden przeskakuje przez drugiego i gdy się przewracają, i tarzają po murawie, ale ja nie chcę patrzeć na koty.

— Przypomnij sobie coś gorszego niż to, co im opowiedziałeś, a może przyjdą — odrzekła kobieta.

— Przecież mówiłem o palącej się ziemi i płonącym morzu i o najgorętszej broni, od której ludzie wyparowali.

— Paląca się ziemia i woda to nie taka znów nowość, a wyparowanie człowieka nie jest takie złe, bo nie boli, przypomnij sobie coś takiego, w czym byłoby dużo bólu, to przyjdą, oni lubią słuchać o cudzym cierpieniu, są okrutni.

— Opowiem im, że w obozach ludzie z głodu jedli trawę, posuwali się na czworakach jak zwierzęta, nie zrywali jej rękami, bo nie mieli siły, ale brali ją od razu w zęby i jedli, jak krowy albo konie, pobiegnij za tymi, którzy odeszli, i powiedz im, że będzie o jedzeniu trawy przez

głodnych ludzi i ich przemianie w głodne bydłota tra- ■ wożerne.

— To ich może rozśmieszyć — odrzekła kobieta — to posuwanie się na czworakach, te śmieszne stwory pasące się na trawniku; gdy przyjdą, będą może udawać powagę, ale długo nie wytrzymają i wybuchną śmiechem, gdy sobie przedstawią ten wypas, zaraz uciekną i jeszcze na drodze będą się śmiać, znam ich.

— Wtedy opowiem im, że w obozach i długotrwałych oblężeniach człowiek na polu bitwy zjadał z głodu drugiego człowieka, żywił się ciałem zabitego.

— Myślę, że o tym będą chętniej słuchać niż o wypasie, ale boję się, aby nie pomyśleli, że to nic strasznego, bo ten, którego się je, nic nie czuje i jest mu wszystko jedno, a ten jedzący, jak by nie było, zaspokaja głód i ma jakie takie zadowolenie; boję się, żeby oni po wysłuchaniu tego nie zaczęli żartować, a mogą, znam ich, chłopiec zawoła wesoło do dziewczyny: „zjem cię dziś wieczorem”, a ona mu odpowie: „chętnie dam ci się zjeść”; tego żartu boję się najbardziej.

— No to opowiem im, jak człowiek z człowieka zdzierał skórę, żywcem zdzierał, i robił z niej damskie torebki, rękawiczki i abażury.

— Esesmani nie zdzierali żywcem, przed zdzieraniem zabijali, mieli przecież odrobinę litości.

— Zabijali, ale bywało, że zdzierali żywcem, byli tacy esesmani, którzy wstydzili się nawet odrobiny litości.

— Spróbuję namówić młodych, żeby przyszli, bo to może ich zainteresować i zatrzymać dłużej przy tobie, jeśli będziesz umiał dobrze opowiedzieć.

— Powiem, że abażur z ludzkiej skóry daje łagodne, kremowe światło, które upiększa mieszkanie i równocześnie chroni oczy przed ostrą jaskrawością elektrycznych lamp. „Jaki piękny abażur ma pani — przytoczę rozmowę dwóch niemieckich pań — nie widziałam go jeszcze, pewnie nowy nabytek, gdzie można kupić?” „Nie kupiłam, mąż mi go przywiózł, a gdy pytałam, w jakim sklepie go kupił i z jakiego materiału jest zrobiony, uśmiechnął się i nie chciał powiedzieć, powtarzał tylko, to nieważne, grunt, że ci się podoba, wszystko dla ciebie, kochanie.” „Dobry mąż.” „Ale dowiedziałam się, skąd go przywiózł i z czego jest zro-

biony, powiem pani w tajemnicy, ale cicho, sza, ani słowa nikomu, on jest jest zrobiony ze skóry więźnia, Żyda, może Rosjanina, a może Polaka, kto to może wiedzieć, tylu ich, proszę to zachować w wielkiej tajemnicy, bo mogą być kłopoty, ale mogę się wystarać o taki sam dla pani, powiem, że się spodobał, tylko tyle powiem."

— Myślę, że to zaciekawi młodych ludzi, gdy przyjdą do ciebie, nie będziesz musiał patrzeć na figlujące koty — powiedziała kobieta do chorego leżącego na wózku i zaraz wyszła na drogę.

Przyprowadziła ich więcej niż wtedy, gdy miał opowiedzieć o płonącej ziemi i morzu, i o ludziach, których żar nowoczesnej broni zamienił w parę i kurz; dość długo byli przy nim, gdy im opowiadał o tych dziwnych abażurach, daleko odszedł od swoich bezwładnych nóg i rąk i to było dobre, bo nie myślał o nich; potem przeszedł do damskich torebek i rękawiczek z ludzkiej skóry, a także sznurów ukręconych z bujnych włosów zamordowanych kobiet, i te niezbite fakty przybrał rozmowami eleganckich pań obnoszących się z tymi torebkami i rękawiczkami o- raz rozmowami fachowców wytwarzających sznury.

Tym razem ci młodzi ludzie długo siedzieli u niego, a gdy wyszli w milczeniu, z opuszczonymi głowami, kobieta, która się nim opiekowała, rzekła z nie ukrywanym zadowoleniem:

— To było dobre, nagadałeś się za wszystkie czasy, siedzieli jak trusie, nigdy tak nie słuchali, panowałeś nad nimi, rządziłeś nimi jak król, gdy im to opowiadałeś.

-- Mówisz, że panowałem nad nimi, mówisz, że jak król — pytał się natarczywie, drżąc z radości.

— Pewnie, że panowałeś, przecież nie jesteś ślepy — zapewniała go kobieta, ciesząc się, że mu to opowiadanie dobrze wyszło, ale po chwili zwróciła się z troską w głosie: — Wątpię, czy po tym, co dziś im dałeś, uda ci się powiedzieć coś takiego, co by ich przykuło tak jak to opowiadanie o zdzieraniu żywcem skóry z człowieka przez człowieka, kto wie, czy od dziś nie będziesz musiał patrzeć tylko na figlujące koty i na ptaki hałasujące w gałęziach albo liczyć przejeżdżające drogą samochody i fury- - ;

— Nie chcę tego, chcę mówić i będę mówił, dopóki mi

głosu starczy, chyba że mnie la cholerna skacząca choro- W ba chwyci za gardło i odbierze mi mowę, wtedy przestanę mówić, bo będę musiał; dopiero wtedy przejdę na przypatrywanie się figlującym kotom i ptakom w gałęziach i na przyglądanie się drodze, i obliczanie, czego więcej na niej, samochodów czy fur.

Przerwał, poruszył kilka razy tułowiem, jakby szukał lepszej pozycji na tym swoim wózku, głowę podał do góry i coś podobnego do dumy uniosło jego pierś, po chwili zwrócił się do kobiety, głos jego był czysty i zdecydowany:

— Wnet znów po nich pójdziesz, bo zapomniałem im powiedzieć, że w wojnę dochodziło do tego, że z ludzi robili mydło; że byli tacy oszczędni Niemcy, może nie było ich dużo, a może dużo, ale byli tacy okrutnie oszczędni i gospodarni Niemcy, a mówią, że i Japończycy, oszczędni do najwyższych granic, tak oszczędni, że już nie sposób być bardziej oszczędnym, ale na pewno byli tacy oszczędni i gospodarni, że im było żal zmarnować nawet zabitego i otrutego, nawet trupa żal im było zmarnować i robili z niego mydło, zwykłe mydło, a może i pachnące, toaletowe mydełko różowego koloru; i przypomniało mi się, jak z tego powodu Żydzi wybuchnęli śmiechem przed bramą komory gazowej; stali tam nago, bez żadnego wstydu, mężczyźni, kobiety i dzieci, i było zupełnie nieważne to, że mają odkryte krocza: esesmani powiedzieli im, że idą do łaźni, ale oni dobrze wiedzieli, jaka to łaźnia, że to nie żadna łaźnia, ale komora gazowa, w której truje się ludzi cyklonem, i wiedzieli też, że potem mogą być wzięci na 1 mydło. Stali w milczeniu, nie modlili się już i nie lamentowali, nawet nie popłakiwali, bo im to już z pewnością obrzydło, gdyż nic nie pomogło, i nie szeptali pokornie „Boże, Boże, Boże Mojżesza, Boże Abrahama”, bo już nienawidzili tej swojej pokory, która nic nie dała, ani jednej minuty nie uczyniła lepszą, więc stali z suchymi, szero otwartymi oczami i czekali; nagle jeden z tych cze-] kających powiedział: „Nie martwmy się, bracia i siostry,] bo przecież się spotkamy w sklepie na półce z mydłem.” W pierwszej chwili nie zrobiło to żadnego wrażenia, jak- j by nic nie przerwało milczenia, ale zaraz potem ktoś zaśmiał się cicho i znów ktoś się zaśmiał, i nagle wszyscy, j

Którzy tam byli, wybuchnęli śmiechem i bez przerwy się śmiali; śmiali się, gdy drzwi komory zostały otwarte, i gdy tam weszli, zanosili się od śmiechu; ze wszystkiego się śmiali, z ludzi, z Boga, z Mojżesza, z Abrahama, z Dawida króla i Salomona, z siebie i esesmanów, całą ziemię i piekło wyśmiali, nim umarli... Myślę, że będą siedzieć jak przykuci, że pobędą tu długo, gdy im to będę opowiadał — zwrócił się znów do swojej kobiety.

— Myślę, że ich to przykuje i będą słuchać, ale musisz opowiadać długo, musisz rozciągnąć opowiadanie — odrzekła kobieta.

— Rozciągnę, już się o to nie martw, powiem im jeszcze: przedstawcie sobie, moi mili, niemiecki albo japoński sklep z takim mydłem, w sklepie nieskazitelna czystość, bo oni to lubią, w sklepie przyjemne zapachy, kupujący przychodzą i odchodzą, proszą o mydło zwykłe, proszą o toaletowe różowe, o toaletowe niebieskie, proszę, dziękuję, dziękuję, proszę... I powiem jeszcze tym, którzy tu przyjdą, aby mnie posłuchać: przedstawcie sobie taki sklep w nocy, gdy nie ma w nim klientów ani sprzedających panienek, przedstawcie sobie ten ruch na półkach, ten żywy gwar, te wskrzeszone rozmowy umarłych, wspomnienia z dawnych lat, różnych szabasów i wielkich świąt, sądnych dni, wrzucanie grzechów do dużej wody, a także wspomnienia rzeczy wesołych, które przeminęły. W nocy, gdy pustoszeje ulica, do sklepu przychodzi Anioł Prawdy i sprawia, że spełnia się przepowiednia tego żartownisia, wypowiedziana przed bramą komory gazowej; w nocy Anioł Prawdy zmienia jaskrawo oświetlony napis na szyldzie sklepu, usuwa „Sprzedaż mydła”, a wpisuje też świetlistymi literami „Sprzedaż umarłych”; ale o świcie jakiś złośliwy diabełek znów przywraca „Sprzedaż mydła”, i tak to już jest, że w nocy co innego, a w dzień co innego, i tak to się zmienia codziennie.

... — Dobrze, że jeszcze to im powiesz, na pewno będą cię słuchać z otwartymi ustami — mówiła kobieta — ale gdy to skończysz i oni zaczną pojedynczo wychodzić, czym ich zatrzymasz?

— Gdy to skończę, od razu przejdę do innej rzeczy i zatrzymam ich — odpowiedział kobiecie.

— Do czego przejdziesz?

— Mam już coś przygotowane, nawet się nie spodziewasz.

— Myślę, że to będzie coś wojennego.

— Niezupełnie wojennego, chcesz wiedzieć?

— Bardzo chcę wiedzieć.

— To będzie o kobietach, o dobrych kobietach, o takich dużych, silnych i dobrych kobietach, które dźwigają [niedołączonych i przenoszą ich na rękach z miejsca na miejsce i uśmiechają się do nich, jakby to były ich własne dzieci; będzie o takiej dużej i silnej dobrej kobiecie, która się nie brzydziła ropiejących ran i dźwigała żołnierza Iz przeharatanym brzuchem i bebechami na wierzchu, a gdy on jęczał z bólu i przeklinał cały świat i nawet własną matkę za to, że go urodziła, choć przecież wiedziała, że są wojny, ta kobieta, która go wyniosła z pola bitwy, mówiła do niego: „synku, synku, już wnet będziemy w lazarecie na cichej polanie, gdzie tyle kwiatów i tyle ptaszków”, potem nie pozwoliła mu umrzeć w samotności, do samej śmierci była przy nim i szeptała mu do ucha: „zdrzemniesz się, synku, zdrzemniesz, już widzę, że cię morzy sen” — uśmiechała się do niego i on do niej, tak jakby rzeczywiście miał się zdrzemnąć na chwilę, a potem zbudzić i żyć, chodzić po ziemi i pojechać do matki;

a gdy umarł, zamknęła mu oczy, obmyła twarz i dopilnowała, żeby został pochowany głęboko w ziemi, aby potem, gdy wojna się przesunie, nie został odgrzebany i rozszarpany przez dzikie zwierzęta. I jeszcze powiem tym, którzy przyjdą do mnie: „jakie to szczęście, że na tym świecie są takie silne, dobre i czujne kobiety, które nie pozwalają ludziom umrzeć w samotności”; o takich kobietach opowiem, a najwięcej będę mówił o tej, która od wielu lat opiekuje się takim starym o bezwładnych nogach i rękach, która przyprowadza mu ludzi, żeby mógł do nich mówić, gdyż słowa są teraz jego nogami i ręką mi, słowa to jego spacer, biegania po polach i lasach i po czasie.

— Widzę, że cię zbiera na żarty — rzekła kobieta uśmiechając się.

— Nie śmieję się, bo naprawdę najwięcej będzie o takiej jednej, która wtedy, gdy ten stary straci mowę i wszyscy go opuszczą, powiezie go do sadu, gdzie figlują młó

de koty, albo dosunie go do samej furtki i otworzy ją, żeby mógł zobaczyć, co się dzieje na drodze, a może nawet pojedzie z nim daleko, do samego drucianego płotu błonia, gdzie galopują młode konie...

— Eh, ty żartownisiu, ty żartownisiu — wtrąciła kobieta, śmiejąc się coraz głośniej.

— Długo będę o niej mówił, powiem jeszcze to, że gdy temu staremu niemowle znudzi się patrzeć na figlujące koty, na samochody i fury i na galopujące ogierki, to ta kobieta będzie mu opowiadać różne rzeczy i wtedy jej słowa staną się jego zdrowymi nogami i rękami, jego spacerem i bieganiem po polach i lasach, i po czasie.

— Ale ci dziś wesoło, pewnie poprawi się pogoda — zawołała kobieta...

KONIEC NOWELI

Pięść prowodyra

Było ich kilku, pięciu, może sześciu, jednak na pewno pięciu, już nie młodzi, choć nie można powiedzieć, że w wieku średnim, tak w środku, między tym a tym, ale jednak bliżej młodości...

Pili, a właściwie sączyli sobie powolutku piwo na wolnym powietrzu, oparci o gładką, jak sierść kota, drewnianą balustradę otaczającą budkę z piwem beczkowym, flaszkowym i smażonymi na oleju plackami.

Owczarz przechodził obok i gdy ujrzał najpierw pijących, trzymających w rękach połyskujące tęczowymi kolorami grube kufle, a potem otwarte na oścież szerokie drzwi budki, stanowiące prawie całą ścianę, a w głębi dwie duże beczki i rzędy butelek, nabrał wielkiej ochoty, aby napić się piwa, gdyż miał za sobą parę kilometrów drogi w słońcu i upale, nic więc dziwnego, że odczuwał pragnienie.

Ale zawahał się chwilę, jestem w byle czym, bo idę wprost od owiec i pewnie śmierdzą, dość długo siedziałem w środku koszaru i przywiązywałem owcom dzwonki, żeby się nie pogubiły w lesie, gdy się zbliżę do budki, na pewno zaleci ode mnie i mogą usłyszeć: „coś tu śmierdzi”, a może nawet któryś z tych pijących ofuknie mnie i powie: „śmierdzisz, obywatelu, więc odsuń się troszeczkę, bo cię czuć.”

Bał się, że to usłyszy, i stanął w pewnym oddaleniu, pragnienie jednak przemogło strach i owczarz, idąc ostrożnie, lekko dotykając ziemi i omijając tych, którzy pili, cicho jak duch zbliżył się do sprzedawcy i poprosił o duże piwo.

Ucieszył się i nabrał odwagi, bo nikt nie powiedział, że śmierdzi, nabrał już tyle odwagi, że z kuflem w ręce podszedł do samego końca balustrady, przewiesił worek z bochenkiem chleba i trzema dzwonekami, które musiał nabyć po drodze, bo brakło dla trzech sztuk, oparł się o balustradę bokiem, zupełnie tak jak inni, przyłożył łąpczywie kufel do ust i zanurzył górną wargę w pianie.

Najlepiej pije się piwo, nie siedząc wygodnie, ale stojąc, i to na jednej nodze, gdyż druga jest wtedy podkulona, tylko czub buta lekko dotyka ziemi, i co jakiś czas noga jeszcze bardziej się podkula i zawija stopą o tę stojącą, a więc tak właśnie stojąc, oparłszy się mocno o drzewo, słup lub o taką jak ta balustradę, więc jakby pół stojąc, pół siedząc; coś w tym musi być, bo wielu tak pije, ale dlaczego, tego nikt nie wie, bo skąd może wiedzieć, tego się nie wie, to się czuje i to wystarczy.

Stał przy jednym końcu balustrady, a oni przy drugim, bliżej bufetowej deski, ale balustrada nie była zbyt długa i bez trudu mógł usłyszeć, o czym rozmawiali.

Mówili o różnych picjach, o tym, że ktoś poszedł w Polskę na trzy dni, nie wiadomo, gdzie był, i nagle wrócił; że jakiś inny był jeszcze lepszy, bo miał całą tygodniówkę, od poniedziałku do niedzieli, i już go miała szukać milicja, aż tu nagle, niespodziewanie ludzie zobaczyli go w kościele na sumie, był zupełnie trzeźwy i miły jak dziecko.

— Ale wyciął numer — zawołał któryś z pijących.

— Słońce praży niemiłosiernie — odezwał się drugi i zadarł głowę do góry, ai gdy zderzył się z bijącą z nieba gorącą jaskrawością, zaklął z cicha, a potem powiedział: — Są jeszcze lepsi, sąsiad zza potolka poszedł na cyfeu w Polskę na dziesięć dni, a gdy wrócił, zupełnie nie wiedział, gdzie był, dziesięć dni wykreślone z życiorysu; mówią, że w tym czasie zawadził o kilka miast, ktoś podobno widział go na jakimś dworcu, przez cały czas był zapruty na sto dwa.

— Mówisz, że przez dziesięć dni zaprany w cztery d...y i w różnych miastach, i na dworcach — odezwał się któryś jakby z niedowierzaniem.

— Mówię ci przecież, że przez dziesięć dni i nocy wkir- nięty, że zmiłuj się, Boże; a zaczęło się tak, no tak z niczego, odleciał na chwilę z roboty, strzelił pięćdziesiątkę i już miał odchodzić, ale dał się namówić kumplom i strzelił na drugą nogę; zabierał się już do odejścia, ale ktoś krzyknął: „no to strzemiennego”, po strzemiennym to on już tak bardzo się nie spieszył, gdyż doszła butelka, a od butelki żal odejść, jak od mamy, gdy się jest małym, albo od ładnej dziewczyny, gdy się jest dużym.

Potem znów doszła butelka i znów doszła i nagle coś

mu się stało, bo odwrócił się od wszystkich i zapatrzył daleko, nie wiadomo, w co patrzył, bo niczego dziwnego nie ma w tamtej stronie, tylko ta kapliczka na zakręcie drogi i te dwie stare sosny przy niej, a dalej las, więc nie wiadomo, na co się zapatrzył; stał tak trochę, a potem powiedział: „idę tam”; kumple zaczęli się śmiać i mówili mu: „nie odchodź, przecież butelka nie skończona, czyś oszalał”; ale on się uparł i jeszcze raz powiedział: „idę tam”, diabli wiedzą, co miał na myśli, poszedł prosto przed siebie i wrócił dopiero po dziesięciu dniach...

Owczarz stał jeszcze przy drugim końcu balustrady, sączył wolno to swoje piwo i przysłuchiwał się temu, co mówią, nie patrzył na nich, bo się bał, że to może któregoś zgniewać i taki podejdzie do niego ze słowami: „dlaczego się gapisz”, albo z czymś gorszym niż złe słowo; pomyślał, że byłoby niedobrze, gdyby któryś zezłościł się i zbliżył do niego, tym bardziej iż był przekonany, że musi trochę śmierdzieć, bo niedawno był w samym środku koszar, więc skurczony stał pokornie, przytulony do słupka balustrady, z głową zwieszoną nad kuflem, zachowywał się tak, jakby go tam w ogóle nie było, jakby był z drewna, jak ta poręcz.

Właściwie to powinien już pójść, bo owce zostały same w koszarze, powinien czym prędzej wypić piwo i pognać do zwierząt, bo one mogą wymknąć się z koszar i poroz- łązić po łąkach i lesie, ale nie odchodził, bo go ciekawiło to, co mówili, i dziwił się, że można tak nagle, ni z tego, ni z owego, spojrzeć daleko, zapatrzyć się nie wiadomo w co i pójść przed siebie na całe dziesięć dni; gdy się jest z owcami, to nie można tak odejść, strach pomyśleć, co by się działo, gdyby opuścił zwierzęta na tak długi czas, mogłyby nawet rozwalić ogrodzenie i pójść daleko w obce lasy i płakałyby jak dzieci, a z tego smutku, że nie mogą mnie znaleźć, byłoby im wszystko jedno, dałyby się złapać byle komu albo rozszarpać przez dzikie psy; gdy się jest z owcami, to choćby nie wiem jak chciało się pójść przed siebie, żeby zobaczyć, co jest za tym brzegiem, za który chowa się słońce, to nie można, bo jak zostawić zwierzęta.

Znów pomyślał, że powinien ruszyć w drogę powrotną, aby jak najszybciej wrócić do zwierząt, tak mocno o tym

pomyślał, że aż się zatrzęsł ze strachu, co się dzieje na hali, ale jeszcze stał przy słupku na końcu balustrady, gdyż był spragniony głosu ludzi, bo tam na halach tylko owce pobekują, psy szczekają i szumi las, a z ludzkich głosów tylko swój słyszy, gdy napomina, przestrzega i chwali zwierzęta albo gdy im śpiewa wieczorem lub tańczy z przyśpiewkami, a one słuchają i patrzają.

Tamci wciąż pili i głośno rozmawiali, co jakiś czas któryś z nich wykrzykiwał: „no to jeszcze po odrobinie”, a reszta się ochoczo zgadzała; dla zabawy puste butelki stawiali rzędem na płasko przyheblowanym grzbiecie balustrady i cieszyli się jak dzieci, gdy tworzyły one na tej poręczy ciemnozłocisty, połyskujący w słońcu koronkowy ornament.

Nagle w rzędzie tych ciemnozłocistych butelek zjawiła się półlitrowa butelka zwykłej wódki, jasna, przezroczysta i obojętna wobec słonecznego blasku; nie wiadomo kiedy i jakim sposobem tam się znalazła, chyba stał się cud, może sama siła marzenia i pragnienia wystarczyła, że przyturlała się ze sklepu i uroczyście stanęła na balustradzie.

— Jesteś — zwrócił się do niej najtęższy i najwyższy z tej piątki, taki, co to od razu poznać, że prowodyr. — Jesteś — powtórzył czule i uklonił się jej grzecznie i z uszanowaniem, zginając przed nią swój potężny, mocno umięśniony grzbiet.

Potem wziął butelkę do rąk i mocując się jakiś czas z nakrętką otworzył ją i zaczął nalewać nieduże porcje do opróżnionych z piwa kufli.

Jest na co popatrzeć, pomyślał owczarz przyczajony za grubym słupem na przeciwnym końcu balustrady, zwierzęta na mnie czekają, ale jeszcze trochę tu postoję, bo jest na co popatrzeć i czego posłuchać, a nikt mnie nie wygania i może już przestałem śmierdzieć, chyba mógłbym podejść do ludzi, ale lepiej stanąć z dalsza.

Tamci pili teraz na przemian wódkę i piwo i przekrzykiwali się nawzajem, a chwilami wszyscy mówili równocześnie i wtedy trudno ich było zrozumieć, bo to nie była mowa, ale ostry szum, jakby się wysypywał szuter z ciężarówki.

Owczarz jednak mógł z tego szumu pochwycić niektóre

słowa, a nawet zdania, a po pewnym czasie wysłuchał całej opowieści o tym, jak wujek tego tęgiego, wysokiego cieszył się, gdy zbudował nowy, piękny dom. | No bo ten prowodyr nagle i niespodziewanie po wychy-
rzeniu kolejnej porcyjki wódki krzyknął na cały głos:

— Cisza. — Wszyscy się uciszyli, choć także byli po wódce, ale on był prowodyrem i to się liczyło. — Wypić r— zaczął dobitnie i uroczyście — i pójść z domu na tydzień albo na dziesięć dni i tułać się po różnych miastach i (dworcach to nic takiego wielkiego, nie myślcie sobie, że lnie ma lepszych od tych wędrowców, od tych podróżników, są lepsi, mój wujek był lepszy, wstał wcześniej którejś niedzieli, żeby zdążyć na pierwszą ranną mszę, a gdy spojrzął przez okno starego domu, w którym jeszcze mieszkał, ujrzał swój nowy dom, postawiony niedaleko na nowym placu, i tak się tym ucieszył, że sięgnął po butelkę, nalał i wypił kieliszek albo dwa i wtedy jeszcze bardziej się ucieszył tym domem; pognął do kościoła, klęknął na oba kolana i modlił się, mówił z pewnością Bogu o tym nowym domu i wychwalał się nim, a potem rzucił na taę całą pięćsetkę i ksiądz się do niego miło uśmiechnął, i położył mu rękę na plecach; gdy wracał ze mszy, wpadł po drodze do knajpy i wychylił co nieco, bo musiał, bo nie mógł sobie poradzić z radością, która rosła po każdym kieliszku i wołała o nowy, i znów robiła się coraz większa. Nie wszedł do starego domu, w którym wtedy nie było nikogo, bo jego kobieta i córka pojechały do krewnych, lecz popędził wprost do nowej murowanicy, jeszcze niezupełnie wykończonej, stojącej na łagodnym południowym zboczu. Ludzie, którzy go podpatrzyli i podsłuchali, mówią, że gdy wypadł z za żywopłotu cmentarza i na otwartym polu ujrzał swój nowy dom, tak strasznie się ucieszył, że zaczął do niego mówić jak do swojego dziecka: „mój ty kochany, jakiś ty ładny...” Coś takiego mówił i jeszcze coś takiego: „Nie mogłem sobie z tobą poradzić, nieraz fury z cementem grzęzły w błocie, parę razy trzasnęło rusztowanie z poukładanymi na nim dachówkami, ale poradziłem sobie, przyniosłem cię na rękach i postawiłem, i stoisz przy tych czterech brzożach niedaleko potoku, i jesteś prawie taki duży jak kościół.”

Owczarz, który przez pół wiosny, całe lato i pół jesieni mieszkał w szałasie, a resztę miesięcy w przybudówce obok obory i sypiał na wypchanym słomą sienniku, zachichotał bezgłośnie, bo nie mógł się powstrzymać od śmiechu, gdy to usłyszał, i zaraz pomyślał, jacy to dziwni ludzie żyją na świecie.

— Wujek wparował najpierw do piwnicy, wziął gąsiorek z bimbrem ukreconym na wiechę dla cykliniarzy, napił się troszeczkę wprost z szyjki, a potem z tym gąsiorkiem wszedł do narożnego pokoju na piętrze, otworzył okna i usiadł na fotelu (bo już zaczął meblować pokoje), tak usiadł, że nie wstając mógł patrzeć w jedno i drugie okno. Spojrzał najpierw na te z rzadka stojące domy sąsiadów, też nowe, ale nie takie duże jak jego, nie równać się im z jego murowanicą; widział też w tamtej stronie kościół, który stał trochę dalej, za domami. Cicho było naokoło i do tego okna, przez które patrzył, dolatywał śpiew, bo rozpoczęła się druga, śpiewana msza.

Ci, którzy go podpatrzyli i podsłuchali, opowiadają, że powiedział wtedy: „Ty, kościele, tylko ciut, ciut jesteś większy od mojego domu, mój dom także mógłby pomieścić mszę, byłoby miejsce i dla księdza, i dla ludzi, i na ołtarzyk by się znalazło, wpuściłbym ludzi do wszystkich pokoi, pootwierałbym drzwi i niechby szła msza.” Po słowach, że w jego domu mogłaby się zmieścić msza, radość znów podskoczyła w nim do góry i znów pociągnął z gąsiorka, a potem wstał z fotela, zbliżył się do otwartego okna i zawołał: „Ludzie, przenieście się z tą mszą do mojego domu.” I znów się napił. Po chwili podszedł do drugiego okna, które dawało widok na otwarte pola, na dalekie lasy, na cały świat, wyciągnął ręce przed siebie i krzyknął: „Świecie, świecie, popatrz, jaki zbudowałem dom — potem przechylił się w dół i wodząc ręką nad pustym placem, powiedział: — tu posadzę jabłonki, bo musi być sad przy domu.”

Znów się pochylił, tak jakby miał pod sobą młode drzewo i chciał dotknąć jego gałęzi, znów się trochę pochylił, bo tak pragnął tego sadu, że stworzył go z niczego, ujrzał przed czasem i miał go tuż pod ręką; no to jeszcze ociupinkę się pochylił i chyba w tym momencie, gdy uradowany poczuł w ręce to nie istniejące jabłko, stworzone samą

chęcią posiadania sadu, znieruchomiał i skończył życie i tak przewieszony na tym oknie, z nogami na dębowym Iparkiecie, a z prawą ręką w liściach nie istniejącej jabłonki pozostał przez resztę dnia i przez noc; cykliniarze, którzy go wcześniej rano zdjęli z okna, powiedzieli, że w gą- siorku pozostało tylko ciut, ciut na dnie.

Prowodyr nagle rozżalił się i z cicha szlochając zaczął lamentować:

— Wujku, dlaczego się tak cieszyłeś, gdybyś się odrobinę mniej cieszył, tobyś żył. Radość, ta cholerna radość zabrała cię z tego świata, ale wypiliśmy prawie cały gąsiorek i jesteś lepszy od, tego, którego wódka wodziła przez dzie- sieć dni, jesteś lepszy od niego, bo piłeś do końca i zacie- szyłeś się na śmierć... A teraz mi powiedzcie — zwrócił się prowodyr, już surowym głosem, do tych czterech, którzy byli z nim — powiedzcie, czy jest kto lepszy w picciu od mojego wujka.

— Nie ma lepszego — odpowiedzieli chórem ci czterej...

— Nie ma i nie będzie — krzyknął prowodyr — niechby mi kto powiedział, że zna lepszego, rozwaliłbym mu łeb. — Uniósł do góry zaciśniętą pięść, potrząsał nią groźnie i krzyczał: — Dajcie mi tu takiego, który powie, że są lepsi od wujka, o jakbym chciał mieć takiego w swoich rękach. Boże, spraw, aby się taki zjawił przede mną, no nie daj się prosić i spraw...

Pięść prowodyra chodziła po powietrzu niby samoistna, kanciasta, guzowata istota, przesuwała się obok grubego słupa, podtrzymującego zadaszenie budki, zanurzała się w liściach rosnącej tuż przy budce młodej topoli, szła w górę i groziła słońcu, opadała w dół i groziła ziemi, samotna, zgranatowiała od przekrwienia, roz tęskniona za uderzeniem, skamląca, błagająca o pojawienie się twarzy i głowy takiego, który by powiedział, że są lepsi niż wujek prowodyra, nieszczęśliwa niby pocisk, który w nic nie uderza; przecinała powietrze coraz niecierpliwiej i nabierała coraz większej mocy, w końcu doszło do tego, że musiała w coś uderzyć, i trzasnęła z całą siłą w tę balustradę, na której z jednej strony poustawiane były butelki, a z drugiej wisiał przewieszony worek owczarza z bochenkiem chleba i tymi trzema dzwonekami, których mu brakło dla trzech owiec.

Najpierw dał się słyszeć krótki, zdławiony jednak murawą brzęk spadających i rozbijających się o siebie butelek, a po chwili zadźwięczały głośno i przeciągle dzwonki, gdy worek zsunął się z drgającej balustrady i upadł na duży, płaski kamień zastępujący ławkę.

— Ktoś tu dzwoni — krzyknął prowodyr i doskoczył do drugiego końca poręczy, a gdy ujrzał skulonego za słupem owczarza, zawołał: — Coś za jeden i skąd się tu wziąłeś.

Owczarz uśmiechnął się miło, pokornie i bojaźliwie zarazem, tak jakby chciał przeprosić za to, że nie dopilnował worka, a po chwili odpowiedział:

— Nająłem się do owiec na Krokusowych Halach i pilnuję ich tam, ale musiałem zejść po chleb i po dzwonki, bo brakło dla trzech sztuk. Stałem chwilę przy piwie, bo gorąco, ale już muszę iść, bo zwierzęta nie mogą być same, rozleżą się i będą płakać.

Znów się uśmiechnął i wpatrzył w twarz prowodyra i chyba wyczytał w niej, że on mu nie wierzy, bo jeszcze dodał: — Nie wierzysz mi, przecież mam owcze dzwonki w worku i jeszcze chyba trochę śmierdzą koszarem, owiało mnie, gdy schodziłem w dół, ale na pewno troszeczkę śmierdzą, bo koszar to koszar.

Pięść prowodyra, która po zażyciu tej namiastki ciosu, jaką było trzaśnięcie w balustradę, opadła w dół, lekko się rozkurczyła i poróżowiła, zaczęła teraz znów się zaciskać i z wolna powlekać sinawą barwą, nabierała jakiejś bliżej nieokreślonej nadziei, a równocześnie jakby gniewała się na prowodyra o to, że tyle czasu zeszło, było piwo i wódka, a prawdziwego ciosu jeszcze nie było, tylko to oszukańcze trzaśnięcie w głuche, nic nie czujące drewno balustrady; i jakby robiła wyrzuty prowodyrowi: „nie po to wyrosłam z twojego ciała i stałam się dużą, silną pięścią, abys mną wymachiwał w powietrzu lub uderzał w rzeczy martwe, nie chcę być gałązką poruszaną wiatrem ani stukać w drewniane rzeczy, pragnę rozdzielać sińce, guzy, podbicia, zakrwawienia; pokiereszowanych twarzy, roztrzaskanych nosów, wybitych zębów wciąż mam za mało, jak ci nie wstyd, prowodyrze, już chyba nie nadajesz się na prowodyra.”

Po tej skardze ręki prowodyr podszedł jeszcze bliżej

do owczarza i mówił do niego syczącym, jakby wyciskany przez zęby głosem:

I — To dobrze, kochasiu, że jesteś przy zwierzętach na Krokusowych Halach i że zszedłeś po chleb i po dzwonki, ale nie podoba mi się ten twój śmiech. Śmiałeś się, gdy cię tu zobaczyłem, i teraz się śmiejesz, na pewno także chichotałeś, gdy opowiadałem o wujku i mówiłem, że był najlepszy w piciu i o niebo przewyższał tych tygodniowych i nawet dziesięciodniowych „podróżników”, ty sobie na pewno myślisz, że oni byli lepsi od wujka.

— To powiedział i jeszcze dodał cicho, bardziej do siebie niż do owczarza: — Jak to dobrze, że cię dorwałem, Bóg mi cię zesłał, bo modliłem się i prosiłem go, aby mi sprowadził takiego, który naśmiewa się z wujka, i wysłuchał mnie, mam cię.

Pięść prowodyra natychmiast pochwyciła tę słowa i jeszcze bardziej stężała i powlekła się bladą sinością.

— Nie znam twojego wujka i nie śmieję się z niego —■ odpowiedział owczarz — z nikogo się nie śmieję, tylko tak do siebie, a na cały głos to się śmieję wtedy, gdy figlują jagnięta, nie masz pojęcia, jakie to śmieszne, gdy one figlują, żałuję, że tylko sam na to patrzę, że tego nie widzi cały świat.

— Tak do siebie, tak do siebie się uśmiecha, a na cały głos tylko wtedy, gdy figlują jagnięta — krzyczał prowodyr w stronę tych czterech, którzy byli z nim — a przecież naśmiewa się z mojego wujka.

— To pewne, że z wujka — odpowiedzieli ci czterej, widząc, że on wściekle potrząsa głową, a w kącikach ust pojawiła się biała piana i pięść coraz mocniej się zaciska.

A potem prowodyr krzyknął do sprzedawcy piwa, grubasa w białym, ale brudnym kitlu, który wychylił się przez ladę budki i zgarniał puste butelki:

— Słyszałeś, co powiedziałem, powiedziałem, że ten tu naśmiewa się z mojego wujka — to krzyknął i zaczął potrząsać podpórką zadaszenia niby drzewem w sadzie, aż cała budka zadrżała.

— Pewnie, że z wujka — odpowiedział szybko sprzedawca, a potem poprosił grzecznie: — Daj spokój podporze, bo nadwerezysz dach. — To powiedział i zaraz dosu-

nał i złączył z sobą dwie połowy drzwi, zamknął budką i wyszedł szybko tylnymi drzwiami.

Prowodyr przestał potrząsać słupem i znów wpatrzył się w owczarza, prawą dłoń znów zwinął w pięść, zaciskał ją i utwardzał.

— Czego ode mnie chcecie — mówił owczarz — nic nie wiem o żadnym wujku, a muszę wracać do zwierząt, bo one na pewno szukają mnie po lesie i lamentują, biorę chleb, dzwonki i idę.

— Zostaniesz, bo musisz dostać nauczkę za to, że naśmiewasz się z najlepszego — powiedział prowodyr, a potem zwrócił się do tych czterech: przypilnujcie go. żeby nie uciekł. — I oni zaraz otoczyli go ze wszystkich stron.

W pobliżu rosło kilka starych wytartych drzew, a tuż za nimi przebiegała szeroka ścieżka, prawie droga, a trochę dalej prawdziwy, duży trakt, po którym jeździły fury i samochody, ludzi też się widziało na ścieżce i na poboczach traktu, szli sobie, dokąd chcieli, jedni coś nieśli, inni byli bez niczego, jak to zwykle bywa.

Popędziłby tą ścieżką owczarz, gdyby się mógł na niej znaleźć, już po paru minutach byłby na zakręcie, a potem rwałby ile sił w nogach tym łagodnym, miękkim zboczem śródleśnym i dalej zakolem pierwszej polany, i dalej długą, stromą przecinką lasu, i dalej stromym zboczem, pachnącym suchym jałowcem, aż do Krokusowych Hal, i już z daleka wołałby do zwierząt: „idę, no idę, nie płakać, już idę.”

Ale choć do ścieżki tak blisko, nie może na nią wejść, bo ci czterej otoczyli go ze wszystkich stron i rozkazali, by nie ruszać się z miejsca; wypili sporo, ale jednak byli czujni, a może właśnie dlatego, że dużo wypili, stali się bardziej czujni i nie spuszczaali owczarza z oczu, a jeden to nawet chwycił go za rozchełstaną i wybufioną na plecach koszulę i trzymał na wszelki wypadek, gdyby chciał uciec; a drugi nachylił się do jego ucha i powiedział półgłosem: — gdybyś się nie śmiał, mógłbyś iść do tych owiec na Krokusowych Halach, ale się śmiałeś z wujka, który tak cieszył się domem, że wypił cały gąsiorek i umarł, a nie wolno się z niego śmiać.

Aóżni ludzie przechodzili ścieżką i owczarz zwracał się do nich i wołał;
| Ludzie, powiedzcie tym tutaj, żeby mnie puścili do łowiec, bo się pogubią beze mnie.
Zatrzymała się na chwilę stara kobieta i rzekła:

— Co on mówi, do jakich owiec, co tu się dzieje?

— Nic się nie dzieje, matulu, obraził najlepszego i musi być kara.

— Jaka kara?

— Surowa, może nawet śmierć — odpowiedział prowodyr, ukazując zaciśniętą pięść.

— Eh, ty żartownisiu, aleś to sobie obmyślił, lepiej puść go, niech idzie do tych swoich owiec — rzekła kobieta uśmiechając się d odeszła.

— Hej, chłopaki, ci tutaj chcą mnie zabić — wołał do dwóch sportowców ubranych w kolorowe dresy.

— Co on wygaduje, co za wygłupy, my pędzimy na stadion, bo mamy ważny mecz — odpowiedzieli sportowcy.

— Oni mnie zabiją — krzyknął znów owczarz, a słysząc to wytworny pan w starszym wieku rzekł cicho, bardziej do siebie niż do tych pięciu:

— Nie wiedzą, co zrobić z czasem, i zabawiają się w cieniu drzew.

Szedł też mężczyzna w sile wieku, dobrze zbudowany, lepiej niż dobrze, bo tęgi, z lekko zaokrąglonym brzuchem, pierwszy w okolicy działacz; do niego także się zwrócił owczarz i zawołał:

— Oni mówią, że mnie zabiją, a ja chcę do owiec, które zostały na Krokusowych Halach, zrobią sobie coś złego i oberwę od gazdy.

— Wstyďte się tak hecować, jeśli nie macie innej roboty, to chodźcie na zebranie gminne w sprawie długofalowego planu rozwoju.

— Przyjdziemy, tylko jeszcze coś załatwimy — odpowiedział prowodyr, a jego kumple, którzy stali przy owczarzu, zaczęli cicho chichotać.

— Pamiętajcie, przyjdźcie — powiedział na odchodnym pierwszy działacz, a prowodyr na to:

— Zaraz tam pędzimy, bo się nam bardzo podoba długofalowy rozwój, ale przedtem załatwimy jedną malutką

rzecz — a ci czterej, którzy pełnili straż przy owczarzu, przyłożyli dłonie do ust, żeby stłumić śmiech.

Potem na ścieżce pojawił się ksiądz proboszcz, a gdy owczarz go ujrzał, wyciągnął do niego ręce jak dziecko do matki i zawołał:

— Oni chcą mnie zabić, a na mnie czekają zwierzęta, nie poradzą sobie beze mnie.

— Co mówisz — rzekł ksiądz i uśmiechnął się dobrotliwie do owczarza, a potem zwrócił się do tych pięciu: «— idźcie już do domów, boście sobie trochę podpili.

— Już idziemy, jeszcze tylko minutkę, dwie — odpowiedział prowodyr.

— Oni mnie zabijają i kto będzie przy zwierzętach na Krokusowych Halach — dał się znów słyszeć jękliwy głos owczarza.

Ksiądz po raz drugi zwrócił się do tych, którzy nie pozwolili odejść owczarzowi: — niech on idzie do zwierząt, żeby się nie pogubiły, a wy się rozejdźcie do domów i nie róbcie tu przedstawienia, bo ludzie patrzą. — I Już miał pójść w swoją stronę, ale jeszcze się ich zapytał: — Do kościoła chodzicie?

— Co niedziela, a czasem to i w robotny dzień — odpowiedzieli chórem.

— Do spowiedzi też?

— A jakże!

— To dobrze, bracia — rzekł zadowolony, ale jeszcze nie odszedł, bo przypomniał sobie o ofierze: — a jak jest z ofiarą, na ofiarę dajecie?

— Jakżeby nie, rzucamy na tacę i na budowę plebanii daliśmy.

— Bóg zapłać, bracia, ale się rozejdźcie i nie rozśmieszajcie ludzi, bo dziś dzień świętego Piotra i Pawła —< już odchodził, ale jeszcze się odwrócił i zawołał wesoło: — będę się za was modlił.

— Nie myśl sobie, że cię puścimy, naśmiewałeś się z wujka i nawet ksiądz ci nie pomoże — powiedział prowodyr, gdy proboszcz się oddalił.

— Nie ciesz się, że pobiegniesz do owiec — powiedział usłużnie ten, który trzymał owczarza za wzdętą na plecach koszulę.

Nadchodziła pora obiadowa i ścieżka opustoszała, pięść

prowodyra zaczęła znów nabierać twardości i powlekać się bladą sinością, którą zatracala, gdy ścieżką przechodzili ludzie.

— Pomszczę cię, pomszczę, wujku — szeptał prowodyr ze łzami w oczach — mam już jednego takiego, który z ciebie chichotał, ten cholerny owczarz śmiał się, że umarłeś z radości, bo cieszyłeś się domem i wypileś za trzech albo za czterech.

Pięść potrzebowała tych słów, żeby utwardzić się na kamień, i była już gotowa do ciosu, ale jeszcze uniosła się do góry, aby pokazać się światu, niby ogromny kwiat zwinięty w pęk przebiła korony drzew i zakołowała w gorącym powietrzu, zataczała coraz szersze kręgi, wirowała nad horyzontem, a potem znów powróciła do prowodyra, który wolno, jakby spacerkiem zaczął się zbliżać do owczarza, bo gdy mówił do ludzi idących ścieżką, trochę się od niego oddalił.

— Nikomu nie pozwolę śmiać się z wujka, który porwał się na cały gąsiorek wódki i umarł, a teraz jest w niebie z aniołami — to powiedział i gotując się do ciosu cofnął ramię, żeby wziąć dobry zamach, i cios niewątpliwie by nastąpił, gdyby nie grupka dzieci szkolnych, które nagle pojawiły się na ścieżce.

Były to dziewczynki z drugiej albo trzeciej klasy w lśniących granatowych fartuszkach, z dużymi tornistrami na plecach.

Na to ten owczarz i do tych dzieci tak jak przedtem do dorosłych:

— Owce zostały same, a ci mnie tu trzymają i jeszcze mówią, że mnie zabiją.

Dziewczynki zatrzymały się i spojrzały na owczarza i na tych pięciu, a jedna z nich powiedziała: — bardzo lubię owieczki — a druga: — i ja lubię — a potem wszystkie razem: — bardzo lubimy owieczki...

To powiedziawszy odeszły i wtedy nastąpił cios, ale nim nastąpił, owczarz zdążył jeszcze powiedzieć:

— Zwierząt mi żal, zatracą się beze mnie...

— To za wujka — krzyknął prowodyr, patrząc na leżącego na miękkiej murawie twarzą do ziemi; a po chwili — I li: — nie ma prawa wstać — a na koniec: — chodźmy już, I bo się pochmurzyło i zaczyna siąpić deszcz.

I odeszli...

Dopiero wtedy zjawił się Chrystus, wychynął z gęstych krzaków głogu rosnących na pobliskim łagodnym zboczu, taka chudzina zalękniona, zatrwożona, takie chucherko w długiej ciemnobrązowej szacie; nikt go nie zauważył, bo nikogo wtedy nie było w pobliżu; pochylił się nad owczarzem i powiedział:

— Spóźniłem się, synu, nie mogłem zdążyć, bo musiałem uśmierzać wielką bitkę na weselu u grubego gazdy na drugim brzegu potoka, wybacz, synu...

KONIEC NOWELI

* * * * *

Moja panienska

Gdyby ta srebrna łyżeczka, ta nowa, delikatnie na trzonku w listki rzeźbiona łyżeczka nie wypadła babci z ręki i gdyby babcia nie schyliła się po nią tak gwałtownie i z takim przestraczem, jakby ta rzecz była ze szkła, a nie ze srebra, gdyby nie było tego gwałtownego schylenia, to być może nie pękłaby babci żyłka w głowie i potem nie przyszedłby ogólny paraliż.

Ale babcia chciała przystawić do oczu choćby jedną łyżeczkę z kompletu umieszczonego w miękkim futerale z wygniecionymi gniazdkami dla każdej sztuki, który otrzymała na imieniny jej wnuczka, a moja siostra Weronka, od swojego kawalera.

I babcia, wyluskując tę łyżkę z miękkiego gniazdka, powiedziała nawet: — niech no ja zobaczę, co ci sprezentował ten twój kawaler — i jeszcze dodała: — rzadko się zdarza, żeby kawaler dawał coś takiego swojej pannie na imieniny, a jeśli twój to ci dał, to znaczy, że cię weźmie — i jeszcze dodała: — to sprytny, oszczędny kawaler, bo gdy ci sprezentował łyżki, to je dał tobie i sobie, i już możesz być pewna, że cię weźmie.

To powiedziała i uśmiechnęła się brzydkim, bezzębnym, ale zarazem pięknym w swej dobroci uśmiechem; zapamiętałem ten uśmiech i mogę powiedzieć, że cała uradowana dusza babci była w nim i wielka, prawdziwa miłość, zagarniająca sobą cały ród, tych, którzy odeszli, którzy są i którzy przyjdą, i chyba z tej radości i miłości roztrze- potała się jej ręka i upuściła łyżkę, co lekko zgniewało ojca i on powiedział: — mama to zawsze taka ciekawa — i co mocno zgniewało matkę, która odwróciła głowę od babci i zasyczała: — ona tak zawsze, pcha się do wszystkiego — i co najmniej, a może wcale nie zgniewało Weronki, która ten prezent otrzymała, bo gdy ta łyżka wyleciała babci z ręki i upadła, wydając krótki stłumiony drewnem podłogi dźwięk, Weronka zawołała cicho: — o — tylko tyle... Starszego brata Mateusza, który był chlubą rodziny,

bo chodził na uniwersytet, nie było wtedy w domu, ale znając go myślę, że on, gdy ta łyżka wyleciała babci z ręki, powiedziałby chyba tak: „mogłaś, babciu, wyjąć sobie łyżkę z futerału, ale mogłaś to zrobić nad stołem.”

Jeśli chodzi o mnie, to o ile sobie przypominam — bo od tamtego czasu upłynęło sporo lat, powiedziałem tak:

— Przecież nic się nie stało łyżce, wytrze się ją szmatką, i już.

Ale mój głos się nie liczył, bo ja byłem nieuk, sowizdrzał i głupek i przynosiłem wstyd rodzinie, prawie w każdej klasie siedziałem dwa lata, a w ósmej, którą właśnie wtedy skończyłem, to aż trzy, nie pomogły protekcje ojca, znanego w okolicy rzeźnika, bo często zamiast iść do szkoły lubiłem wypuścić się na wagary, ciągnęło mnie do wiklin i nad rzekę i nic na to nie mogłem poradzić, że przy kapliczce świętego Antoniego, gdzie się krzyżowały drogi, skręcałem nie tam, gdzie stała szkoła, ale tam, gdzie były wikliny i rzeka.

Zwykle przy tej kapliczce byłem niezdecydowany i wpatrywałem się w świętego pytająco: do szkoły czy nad rzekę; tak długo się w niego wpatrywałem i molestowałem pytaniami, aż się uśmiechnął i zerknął do mnie, i zaraz lekkim, ledwie zauważalnym drgnieniem głowy dał mi znak, żebym pędził do wiklin.

Byłem wdzięczny świętemu, że mnie tam kierował, gdyż wołałem wikliny i rzekę niż szkołę, bo w szkole prawie cały czas siedzisz wepchnięty w ławkę i masz przed sobą nauczyciela i tablicę, przerwy są króciutkie i mało miejsca do biegania i nie ma na co popatrzeć.

A tam już przy samym brzegu, w płytkiej, jasnej wodzie, widzisz kielbiki, są jak czarne drgające kreski, przyszły na płytką wodę, bo dalej, na głębokiej, czai się szczupak, nie widzisz go, ale wiesz, że się czai, bo kielbiki na płyciznie, której on się boi, są ostrożne, ale zawsze znajdzie się jakiś naiwny kielbik młodzik, który odbije się od płytkiej wody i zbliży do głębokiej i wtedy porywa go szczupak, ale nim go porwie, woda zakipi nagle, słychać jakby klekot i zaraz poświst, na wodzie tworzy się ostra bruzda, jakby kto rzekę przeciął nożem, ale ta rana od razu się goi.

W powietrzu nad rzeką kołyszą się rybitwy i z góry

wpatrują się w wodę, od czasu do czasu wstrzymują lot li nieruchomo stoją nad wodą niby białe panny, a gdy rzeka jest spokojna i dzień przejrzysty, widać w niej jak Iw lustrze odbicie ptaków i wtedy nie możesz z całą pewnością wiedzieć, czy one wypatrują zdobyczy, czy sprawdzają swoją urodę i przeglądają się w tym płynącym lustrze.

Różne różności można było zobaczyć na rzece i w wiklinach, ale nie ma takiej rzeczy, która by mogła dorównać płynącej tratwie; i gdy dziś wspominam tamten czas, to mogę powiedzieć, że na te węgry chodziłem głównie dlatego, żeby się napatrzeć płynącym tratwom i nasłuchać pohukiwań flisaków.

Po latach to przemyślałem i dziś wiem, że ani rybacka łódź, ani ptak wędrujący, ani łódź żaglowa, ani parostatek trzepoczący bocznymi łopatkami, ani tajemnie wystający pośród drobnych fali, sunący niespiesznie, dostojnie ciemny grzbiet leszcza, nic płynącego rzeką i nic lecącego nad nią nie porówna cię tak mocno i nie unosi ze sobą jak tratwa flisacka, ten jakby ogromny liść odpadły z jakiegoś nieziemskiego, wdelgachnego drzewa i rozłożony na wodzie, ta jakby dłoń jakiegoś olbrzyma, odcięta nagle ogromnym mieczem i rzucana na rzekę, ta ruchoma wyspa, ten ruchomy osobny kraik z trochę większym od psiej budy domkiem zamieszkałym przez kilku ludzi.

Tratwa cię niosła, choć stałeś na brzegu i choć cię wymijała stojącego, byłeś na niej i niosła cię nawet wtedy, gdy minęła pierwszy zakręt i znikła ci z oczu.

O tym, że lubię przyglądać się tratwom, przyznałem się świętemu z kapliczki i babci i tylko oni wiedzieli o moim głupim zagapieniu się na płynące tratwy i o tym, że gdy z wierzchołka topoli dojrzę daleko choćby jedną, jeszcze małą niby ciemnobrązowy kleks na zielonkawej wodzie, muszę biec na brzeg rzeki, skryć się w gęstych krzakach wikliny i tam poczekać, aż przyplynie.

Jeśli chodzi o babcię, to ona — jak już powiedziałem — schyliła się, aby podnieść tę srebrną łyżkę, i gdy się już podnosiła z tego przychylenia, zajęczała cicho, ale zdążyła jeszcze się wyprostować i położyć łyżkę na stole, a potem nagle osunęła się na podłogę i straciła przytomność. Położyliśmy ją na łóżku, była blada i chuda, jakby

wycięta z białej deski, zdawało się, że nie oddycha, myśleliśmy, że umarła, ojciec nawet powiedział, wymacując swoimi grubymi, rzeźnickimi paluchami jej puls: — to już chyba koniec — a potem przymknął wskazującym palcem jej powieki, gdyż były lekko uchylone i przez szparki białeły gałki oczu, i jeszcze dodał w rozpędzie, z lekkim śladem zadowolenia w głosie, gdy nadal leżała nieruchomo i z jej twarzy nie ustępowała bladość: — śmierć miała lekką.

Ten śladzik, a może nawet wyraźny ślad zadowolenia przy słowach „śmierć miała lekką” wziął się chyba stąd, że ojciec ten pokoik, w którym mieszkała babcia, pragnął sobie urządzić po rzeźniku i po myśliwsku, bo on był także zapalonym myśliwym, miał już przygotowane, miękko wyprawione i ułożone w dużej skrzyni, skóry różnych zwierząt, a na strychu różnej wielkości rogi zwierzyny leśnej i nawet grube, mocne rogi buhaja, szeroko rozstawione rogi wołów, które ubijał w rzeźni, czekał też na zawieszenie odpowiednio wypreparowany wielki i groźny łeb dzika z niespotykanej wielkości szablami: — był postrzelony, ale nie dobijałem go — mówił ojciec — żeby nie zniszczyć łba i skóry i broń Boże nie zadrasnąć szabli, godzinę albo dłużej tarzał się i kwiczał w miękkiej trawie na polanie, ale czekałem, aż zdechnie, bo chodziło mi o jego czysty łeb i teraz go mam, nikt takiego nie ma.

No to gdy on po tych słowach „śmierć miała lekką” zaczął krążyć po pokoju i popatrywać to na babcie, to na ściany, to na podłogę, widział może już w marzeniu rozwieszane na ścianach co piękniejsze skóry, a także rogi, a może i broń myśliwską, i może w marzeniu stapał po rozścielonych na podłodze skórach dzików, cieląt i saren; może nawet powiedziawszy o babci „śmierć miała lekką”, przedstawił sobie grupkę kompanów, rzeźników i myśliwych, którzy przyszli go odwiedzić, aby pogwarzyć wesoło przy kieliszku o tym i owym, o różnych przygodach towarzyszących zabijaniu zwierząt, co nieraz — jak sobie przypominam — podsłuchiwałem; a więc o drgawkach, jękach, rżeniach i ucieczkach z krwawiącą raną — że jeleni trafiony krzyczał wniebogłose tak jak człowiek, że sarna płakała jak dziecko, a zając to zupełnie tak jak niemowlę, że raz dzik już wybebeszony próbował się pode-

rwać do ucieczki i już tak wydrażony ze wszystkiego w środku, może tylko z odrobiną swojej dziczej duszy, uniósł się na chwilę do życia, choć był tylko pustym worem, pustą skrzynką.

Po słowach ojca „śmierć miała lekką” odezwała się matka, chyba trochę za wesoło jak na to, co się stało: — taka śmierć to szczęście od Boga. — Weronka powiedziała: —■ ucieszyła się moimi łyżkami. — Siostra była z pewnością przekonana, że babcia umarła z radości, iż ten kawaler, który dał jej w prezencie srebrne łyżki, już od niej nie ucieknie, weźmie ją i odbędzie się ślub.

Mnie zrobiło się żal babci i pomyślałem, że już nie będę mógł podbiec do niej i powiedzieć jej w tajemnicy o tratwach, że prąd chciał którąś znieść z głębin na płyciznę, ale flisacy sobie poradzili, albo że z budki na tratwie wychodził dym, co świadczyło, że tam gotuje się jedzenie jak w domu, albo co innego opowiedzieć.

Mateusz, gdyby wtedy był, co by powiedział, zastanawiam się, może nic by nie powiedział albo może: „przeżyła osiemdziesiąt pięć lat.”

Ale oto na bladej twarzy babci usiadła lśniąca mucha plujka i nikt jej nie zganiał, bo każdy wiedział, że mucha najlepiej umie wyczuć umarłego, i może pomyśleliśmy: niech mucha plujka sprawdzi babcię, zanim przyjdzie lekarz, który został zawiadomiony przez telefon; mucha biegła po całej twarzy, przemaszerowała szybko środkiem czoła, zakrążyła ku skroni, zaglądała do oczu, przebiegła kantem nosa, przeskoczyła w dół i obiegła brodę i zmarszczony podbródek...

Okazało się, że nie tylko my, ale także mucha plujka, ten ruchliwy znawca i kontroler umarłych, pomyliła się, no bo gdy ta mucha poczuła się pewna siebie i nie miała wątpliwości, że usiadła na twarzy zmarłej i z beczelną radością wdzierwała się między wargi, do ust i zaglądała do dziurek w nosie, właśnie wtedy gdy usiłowała wejść do nosa, a więc gdy znalazła się w miejscu bardzo łaskotliwym, babcia, czując widocznie nieznośne łaskotanie, skrzywiła się śmiesznie i otworzyła oczy, a mucha odleciała.

W jej otwartych szeroko, aż do zupełnego pomarszczenia czoła, aż do naciągnięcia i wygładzenia twarzy, oczach

było najpierw ogromne zdziwienie, a potem zapytała: — skąd przyszłam — a potem spojrzała na ojca, to znaczy na swojego syna, i zaraz na matkę, czyli na synową, i wtedy stała się nagle taka jakaś potulna, nieporadna i malutka, jakby chciała powiedzieć: „nie gniewajcie się, że ożyłam”, a potem spojrzała na Weronkę i na mnie i leciutko się uśmiechnęła.

Lekarz, który balbcię dokładnie oglądnał, wziął zapłatę i wychylił kilka kieliszków nalewki, powiedział już w drugim pokoju, że babcia po tym nagłym przychyleniu i utracie przytomności znalazła się jakby na tej czulej granicy między życiem a śmiercią, może nawet zrobiła krok w stronę śmierci i mogło się zdawać, że nie żyje, ale życie przeciągnęło ją na swoją stronę i odzyskała przytomność.

Potem rozłożył ramiona i powiedział cicho: — niestety — chodziło mu o to, że babcia na zawsze straciła władzę w nogach i rękach, bo pękły jej w głowie te żyłki, które rządzą ruchem rąk i nóg, pękły także żyłki, które rządzą mięśniami grzbietu i szyi i do końca życia będzie leżeć jak kłoda; kłoda, nie kłoda, w każdym razie jak coś drewnianego, nieruchomego.

Nie było jednak tak zupełnie źle, bo została babci głowa, głowa wprawdzie z kilkoma pękniętymi żyłkami, nieruchoma, lecz patrząca, mówiąca, niezbyt wyraźnie, ale mówiąca, pojękująca i uśmiechająca się, pijąca i jedząca, i pozostało babci serce bijące jako tako, płuca łąpczywie chwytające powietrze, no i pozostał babci brzuch, brzuch skłonny wprawdzie do bolesnej kolki, ale — jak się okazało — nienasycony, gdyż po tym nagłym paraliżu przyszedł babci wielki apetyt.

Najgorsze były słowa: „do końca życia będzie leżeć jak kłoda”; nie to najgorsze, że skórki zwierząt nie będą mogły być rozwieszane na ścianach pokoiku i że rogi muszą pozostać na strychu, i że ten wspaniały łeb dzika z największymi szablami musi także tam poczekać, nie to było najgorsze, ale że do końca życia babci musi się koło niej wszystko zrobić.

Przypominam to sobie dokładnie i mogę powiedzieć, że lekarz nie dopił jeszcze trzeciego, niepełnego kieliszka nalewki, a ojciec już wyskoczył z tym: „musi się koło niej

wszystko zrobić", a matka zaraz dodała: „do końca jej życia”.

I Weronka dziwnie się zadumała, a ja sobie przedstawiałem tę chwilę, w której babcia otworzyła oczy i powiedziała: „skąd przyszłam”; i jeszcze mocniej przedstawiłem sobie jej twarz po tych słowach, to jej milczenie mówiące: „nie gniewajcie się, że ożyłam”; a potem przypomniała mi się ta największa, jaką kiedykolwiek widziałem, tratwa, płynąca blisko brzegu, a gdy flisacy ubrani w szerokie spodnie i bluzy zobaczyli mnie, jeden z nich zawołał: „płyn z nami...”

Miałem wielką ochotę skoczyć na nią, gdyż przepływała wolno obok mnie, ale nie zrobiłem tego, bo chyba bardzo chciałem polecieć do domu, żeby opowiedzieć babci o tej tratwie; później żałowałem, że nie skoczyłem, bo mogłem popłynąć do pierwszego zakrętu i tam zejść, ale ta druga ochota była mocniejsza niż ta pierwsza i szybko wróciłem do domu.

Odnalazłem babcie w rogu sadu, gdzie zbierała jabłka, pamiętam, że gdy mnie zobaczyła, wyprostowała się, w jednej ręce trzymała duże, czerwone jabłko, a w drugiej biały koszyk, upleciony z oskórowanej wikliny, niewielki, w sam raz dla starego.

Przysunąłem się do niej i mówię: „nie masz pojęcia, babciu, jaką ogromną tratwę widziałem, a ona: — opowiadaj, opowiadaj, nie ma tu nikogo.

Właściwie to tylko mnie miała do rozmowy, bo inni nie mieli czasu, ojciec w pracy albo na polowaniu, albo na zebraniu, bo go wciąż jako zasłużonego, ofiarnego rzeźnika, przyczyniającego się do rozwoju rzeźnictwa w okolicy, ciągnęli po różnych zebraniach i akademiach, musiał też od czasu do czasu wygłosić pogawędkę w klubie myśliwskim, gdyż był wielkim specem myślistwa, głównie tropienia zwierzyny; mówili o nim, że ma szósty zmysł i odszuka najbardziej zatajony ślad przesmykującego się między krzakami i drzewami zwierzęcia, można powiedzieć, iż on był już takim specem i znawcą, że dla sarny ratującej się ucieczką stawał się jakby drugą sarną, taką, która chce tamtą zdradzić i zabić, a dla dzika jakby dzi-kiem-zdrajcą, dla zająca zającem-zdrajcą. Jak on mógł mieć czas na rozmowę z babcią; matka

także miała wiele zajęć w domu i koło domu, a jako żona takiego człowieka musiała brać udział w przyjęciach towarzyskich i organizowaniu kwartalnych degustacji potraw mięsnych dla przedstawicieli resortu, siostra Weron-ka od pewnego czasu wciąż z tym kawalerem albo w ważnych rozmowach z matką i ojcem o ślubie i weselu dla co najmniej stu pięćdziesięciu osób.

Brat Mateusz — wiadomo — studiował w dużym mieście i rzadko bywał w domu, a gdy przyjechał, to miał swoje sprawy — albo na winko do młodego księdza, albo na randkę z córką sekretarza, albo na jakąś wycieczkę, z babcią to on krótko i węzłowato: — jak się babcia czuje, widzę, że nieźle — i na tym koniec.

W sąsiedztwie też by się nie znalazło chętnych do rozmów z babcią, bo wszyscy byli zajęci swoimi ważnymi sprawami; tylko ja się do tego nadawałem, gdyż jako głupek, nierób i sowizdrzał miałem dużo czasu na niepotrzebne rzeczy.

Gdy lekarz po wychyleniu trzeciego kieliszka nalewki i wyrażeniu zachwyty dla tego, co wypił, i po zapakowaniu do teczki kielbasy i rozłożeniu rąk na znak, że z babcią musi już tak być, i kilku ukłonach, należnych rzeźni- kowi, myśliwemu i działaczowi w jednej czcigodnej osobie, wyszedł z domu, ojciec znów powtórzył: — musi się koło niej wszystko zrobić — a matka znów dodała: — do końca jej życia — i zaraz zrobiło się gęsto od tych słów, i zaraz było za ciasno tym słowom w naszym domu i one wybuchły na całe miasteczko i wieś, która była jego przedłużeniem, ludzie łapczywie chwycili tę wiadomość i zaczęli ją w sobie pielęgnować i wyścielać dla niej najwygodniejsze gniazdko w myślach, wsiadali z nią niby z cennym nabytkiem do samochodów, na wozy, na łódki albo biegli z nią, nie bacząc na to, że bolą ich nogi i rwie w kościach, i że brak im tchu, przynosili ją do swoich krewnych i znajomych, a ci z kolei do swoich krewnych i znajomych, i ciągnęła się, oplatała sobą całą okolicę ta wiadomość, w której nie mówiło się, że stara kobieta jest nieszczęśliwa, lecz że bogaty rzeźnik ma już drugi poważny kłopot, bo pierwszym byłam ja, głupek, nieuk i sowizdrzał, drugi kłopot, który go uderzy po kieszeni, bo będzie musiał wziąć na stałe pielęgniarkę do sparaliżowa

nej matki, i że dobrze mu tak, bo jest bogaty, a był dzie- Idem, ma duży nowy dom, fermę lisów i niczego mu nie | brakuje, ale teraz go łupnie, bo pielęgniarki żądają dużo za opiekę.

Wracam do pierwszego dnia, aby powiedzieć, że gdy wyszedł lekarz, przyjechał samochodem ksiądz z Panem Bogiem, był z nim ministrant, który podzwaniał poczwórnym dzwonkiem; stanąłem w lekko uchylonych drzwiach i usłyszałem spowiedź babci, wyznała właściwie tylko jeden grzech, że podglądała Weronkę i jej kawalera, gdy zachowywali się nieskromnie:

— Powinam — mówiła — krzyknąć na nich: „wy zbe- reźniki, jak się Boga nie boicie”, i krzyknąć na kawalera: „wyjmij rękę spod jej spódnicy”, ale nie krzyknęłam, bo się bałam, że on się zezłości i powie: „nie dość, że jesteś zezowata, to jeszcze twoja babka krzyczy na mnie” — i rzuci ją, powinam ich upomnieć, ale nie upomniałam, bałam się, żeby kawaler nie uciekł, bo ona ma sporego zeza, ojciec duchowny, moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina...

Po spowiedzi babci i przyjęciu przez nią komunii weszliśmy do pokoju i odśpiewaliśmy na klęczkach razem z księdzem (tylko ojciec w lekkim przykłęku) pobożną pieśń zaczynającą się od słów „Boże, dobroci pełen...”

Ledwie tylko przebrzmiały ostatnie słowa: „otwórz przed nami niebios bramy”, i jeszcze nie uspokoiło się powietrze rozruszane śpiewaniem, a już ojciec unosząc się z przykłęku i nie bacząc na świętą chwilę przechylił głowę w stronę księdza i rzekł: — mam wyśmienitą nalewkę, może by ksiądz proboszcz spróbował — ksiądz nie odpowiedział, ale uśmiechnął się leciutko, co znaczyło, że spróbuje, postawił na stole niedaleko łóżka babci srebrny kielich przykryty białym haftowanym obrusikiem i wyszedł z pokoju razem z ojcem i matką.

Wsunąłem się do pokoiku, bo musialem mieć na oku babcię, ale zaraz zbliżyłem się do kielicha, żeby mu się przyglądać z bliska, i nawet miałem wielką ochotę dotknąć go, wziąć w ręce i unieść do góry, tak jak to robi ksiądz przy ołtarzu, aż drżałem z tej ochoty i spytałem się ministranta, czy mogę to zrobić, ale on odpowiedział: — nie wolno, przecież Bóg w nim mieszka, nie wiesz, głup

ku — i zamierzył się na mnie poczwórnym dzwonkiem, i na pewno, gdybym chciał dotknąć kielicha, trzasnąłby mnie nim w łeb, więc dałem sobie spokój,

Rybitwy tak jakby się zwiedziały, że w naszym domu dzieje się coś niezwykłego, niedobrego, bo odbiły się od wody i śmigły tuż za otwartym oknem pokoiku babci i wydawały z siebie głos podobny do płaczu.

Babcia miała zamknięte oczy i nic nie drgnęło w jej twarzy, leżała tak, gdy ksiądz wrócił po kielich i wyszedł przy dźwiękach poczwórnego dzwonka; zdziwiło mnie, że nie zbudziły jej dzwonki, i mocno się w nią wpatrzyłem, wydawało mi się, że nie oddycha, potem wpatrzyłem się w pierzynę, nie unosiła się i nie opadała, jakby pod nią leżał nieżywy, wtedy przestraszyłem się i krzyknąłem: — babcia umarła...

Przyleciał zaraz ojciec, za nim matka, która przyglądała się babci i rzekła: — śmierć poczekała, aż się pojedna z Bogiem — po tych słowach babcia otworzyła oczy i powiedziała: — pić — a ojciec do mnie: — ty głupku — a matka cicho, jakby do samej siebie: t~ już drugi raz nas nabrała...

Babcia poszukała mnie wzrokiem i wpatrywała się we mnie przez chwilę, zrozumiałem, że powinienem skoczyć do kuchni, przynieść jej ciepłej herbaty, zresztą kto miał to zrobić, Weronki nie było, a matka musiała pobiec do lisów, bo były głodne i przeraźliwie krzyczały, a po oica przyjechał samochodem ktoś z rzeźni z wiadomością, że zepsuł się aparat do elektrycznego zabijania i że, jak na złość, dowieźli duży transport bydła i one stoją przed halą i czekają, bo rzeź została zahamowana; ojciec natychmiast wsiadł do samochodu i odjechał, bo się bał, że zachwieje się produkcja i jego rzeźnia spadnie z pierwszego na dalsze miejsce.

Wiedziałem, że gdy zajedzie, będzie się pieklił i krzyczał: — gdyby nie ja, zakład poszedłby w ruinę — i będzie doglądał naprawy aparatu, a gdy się nie da szybko naprawić, wyznaczy brygadę do ogłuszania bydła młotami.

Nie mogłem patrzeć na te zwierzęta stłoczone przed halą rzeźni i czekające potulnie, aż wielcy i grubi ludzie z młotami przy stopach dopalą papierosy i skończą we

sołą pogwarke; ale raz zatrzymałem się przy tych bydłętach, bo chciałem im powiedzieć, żeby się zbuntowały, Jpodjudzałem je przeciw ludziom, no bo wpadła mi do głowy myśl, by rzuciły się na tych z młotami, i bardzo tego chciałem, nawet mówiłem do nich: — ruszcie z rogami i racicami na młotowych, ten ciemnobrazowy byk podpalany na podbrzuszu powinien pierwszy wsunąć się przez uchyloną bramę i trzasnąć w nich łbem, nim zdążą _| podnieść młoty, i stratować ich, a za nim niech wdrze się do hali rzeźni czerwonej od krwi waszych braci i siostr całe stado, niech każde zwierzę wybierze sobie jednego z tych ubranych w białe, krwawo nakrapiane fartuchy, jest was tyle, możecie wszystkich stratować, a potem po-
wywracać, pogruchotać maszyny do ćwiartowania, sortowania, siekania, robienia kielbas i puszgowania, macie dość siły, aby zlikwidować rzeźnię; a potem ruszcie w świat, umówcie się potajemnie, połączcie z innymi zwierzętami, zróbcie rewoltę przeciw dwunożnym, czworonożnych jest więcej i są lepsi, jesteście bliżej Boga niż dwunożni i Bóg wam pomoże zwyciężyć.

Potem się zacząłem zastanawiać, jak by wyglądał świat, gdyby się ta rewolta udała zwierzętom; rozmyślałem o tym, bo już taki byłem, że lubiłem sobie przedstawiać różne dziwne, niestworzone rzeczy, łąk z pewnością by przybyło i kwiatów na łąkach, gdyby się zwierzętom udało wytepić ludzi, lasy by się rozrosły, a miasta rozsypały, na domy weszłaby trawa, a za nią małe drzeweczka, żeby rozsadzić mury, ustałyby rzeznie i pożary i nie lałyby się tak krew jak za panowania dwunożnych, rzeki stałyby się przezroczyste i rybitwy mogłyby dojrzeć z góry każdy kamyczek na dnie, żelazo przestałoby istnieć, bo ono musi mieć opiekę ludzi, rdza pożarłaby łańcuchy, kraty, okowy, strzelby, noże i siekiery, wszystko, co jest z żelaza, przemieniłoby się w rdzawy proszek i wsiąkłoby w ziemię, no bo żelazo bez opieki człowieka jest bezradne i ginie żałośnie, ciszej by się zrobiło na świecie, ustałyby warkoty maszyn i nigdy by się nie odezwały dzwony bijące na alarm i trąby grające na trwogę, ale główna przemiana to jednak te bezmiary łąk i lasów.

Wieczór już się robił, gdy wszedłem z herbatą do pokoju babci, w mroku jej biała koszula stała się jeszcze biel

sza, aż jaskrawa, jakby uszyta z białego światła, mrok zatarł zmarszczki na jej twarzy, wyrównał ją, odmłodził, sprawił, iż babcia zajaśniała nagle na swoim łóżku jak dziewczyna, a widząc ją taką, już od drzwi zawołałem wesoło: — niosę herbatę, moja panienko — i przekreśliłem kontakt i od razu znikła dziewczyna, na łóżku leżała stara, pomarszczona babcia, wystarczył jeden pstryk, jeden błysk, i z dziewczęciami robi się starowina.

To „moja panienko” już zostało do końca jej życia i nawet gdy umierała, to z początku na nią krzychałem, że umiera, ale gdy krzyk nie pomógł, wziąłem ją za rękę i szeptałem: — czeka cię wielka przygoda, moja panienko, popłyniesz na złotej tratwie dużą, spokojną rzeką, białe rybitwy będą nad tobą kołować — naprawdę trzeba być głupkiem i sowizdrzałem, żeby coś takiego wykombinować na pożegnanie umierającej babci, ale nic na to nie mogłem poradzić, gdyż byłem głupkiem i sowizdrzałem.

To się jednak stanie dopiero za dziesięć miesięcy, na razie doszedłem do tego wieczoru, kiedy przyniosłem jej ciepłą herbatę i pierwszy raz powiedziałem do niej „moja panienko”, a ona poruszyła nieznacznie wargami, jakby się chciała uśmiechnąć, a może to był znak, że się jej chce bardzo pić, więc pochyliłem się nad nią, jedną rękę podłożyłem pod plecy i uniosłem ją nieco, a drugą przystawiłem garnuszek do warg, była chudziutka i lekka, pod palcami prawej dłoni wyczułem paciorki grzbietu, piła łapczywie, płyn z bulgotem przedzierał się przez gardło.

A to ci heca — pomyślałem — zamiast stać na brzegu rzeki albo siedzieć na wysokim drzewie i wypatrywać tratwy z nadzieją, że się pojawi i zawinie na noc do tej niewielkiej cichej zatoki na drugim brzegu rzeki, zamiast nasłuchiwać, czy nie dolatuje z daleka plusk wody pobi- janej wiosłami i drążkami i grube pohukiwania flisaków, pochyliam się nad leżącą w łóżku sparaliżowaną babcią, z czułością podtrzymuję chude plecy, jej podobny do stę- pionej piły krzyż, i podaję herbatę; ludzie, kto to widział, żeby głupek, nieuk i sowizdrzał tak się zachowywał i do tego jeszcze to „moja panienko” wypowiedziane z anielską łagodnością.

Pomyślałem znów o rzece i o tratwach, a ona jakby

wiedziała, o czym myślę, bo zapytała się nagle: — jak jest ■ z tratwami w nocy?

| — Na noc zatrzymują się w spokojnych zatokach, flisacy zapalają ognisko na brzegu, gotują wieczerzę, jedzą, rozmawiają głośno i śpiewają, a potem idą spać.

— O czym rozmawiają?

— O drzewach, rybach i o kobietach.

— A o czym śpiewają?

— Śpiewają o tym, że płyną daleko pod gorącym słońcem i pod deszczem, ale że wrócą do prawdziwej izby, dwie rzeczy są w tym śpiewaniu, wielki nieznan świat i znajoma izba, do której można wrócić.

— Widziałam tratwę, gdy byłam mała, bardzo mi się podobała, potem już nie widziałam, tak jakoś zeszło, robota i robota — powiedziała babcia, a ja zaraz pomyślałam: muszę coś wykombinować, żeby ona mogła napatrzeć się tratwie, i wykombinowałam, że gdy będzie pogodny dzień, a ci z domu wsiądą do samochodu i pojedą do stryja, który mieszka za trzecim mostem, owinę ją w ciepły koc, wyściele sianem ręczny wózek, położę ją na sianie i zawiozę nad rzekę, może pojawi się tratwa; zaraz usiadłem na brzegu jej łóżka, pochyliłem się nad nią i szepnąłem do ucha: — powiem ci coś w sekrecie, moja panienko, gdy się wypogodzi, a ich nie będzie w domu, urządzimy sobie wycieczkę, zawiozę cię nad rzekę i zobaczysz tratwę — uśmiechnęła się i mrugnęła do mnie na znak, że jesteśmy w zmowie, więc jeszcze dodałem: — ale musisz wymodlić słoneczny dzień i ich wyjazd za trzeci most. Ci z domu byli zadowoleni, że opiekuję się babcią i że wszystko koło niej robię — kto by pomyślał, ho, ho, że ty taki — mówił ojciec już bez tego „głupku, nieuku, sowizdrzale" i innych podobnych tytułów i jeszcze dodawał: — kupię ci za to rower na grubych oponach — ci z domu cieszyli się, bo nie musieli brać pielęgniarki, która by kosztowała więcej niż dziesięć rowerów na grubych oponach, wpadali tylko na krótko do babci, uśmiechali się miło, niewinnie jak święci, coś zagadnęli i znikali, ojciec do rzeźni albo na polowanie, albo na pogawędkę o tropieniu zwierzyny, matka do kuchni, do lisów i do przyrządzania poczęstunków, Weronka do kawalera, Mateusz, je

śli był, do wikarego na gorzałkę albo na randkę z sekretarzną.

Czy babcia ten słoneczny, ciepły dzień wymodliła, czy przypadek tak zrządził, czy jakieś dziwne, tajemnicze siły przyniosły ten najdogodniejszy dzień — dziś lub nigdy — mruknąłem sam do siebie, gdy wcześniej rano dowiedziałem się, że ojciec i matka, Weronka i jej kawaler wybierają się do wojewódzkiego miasta po stroje ślubne i inne zakupy na wesele; i jeszcze pomyślałem: lepiej, że jadą po ślubne ubiory, a nie do stryja za trzeci most, bo do miasta dalej.

Gdy tylko odjechali, nakarmiłem lisy, bo musiałem wyręczyć matkę, a potem nakarmiłem babcię i wszystko koło niej zrobiłem, zawinąłem ją w biały, porysowany gęsto czarnymi deseniami koc, ułożyłem na sianie w wózku i ruszyłem pustą, pochyłą drogą między polami; do wózka przyprzęgnięty byłem szerokim rzemiennym pasem, biegłem małym truchtem, ale co jakiś czas zwalniałem bieg i odwracałem się do niej; w tym kocu wyglądała jak duży pakunek owinięty miękkim papierem, zapisanym dziwnymi literami, jej niktła, jakby niepotrzebna przy tym pakunku twarz była pełna wstydu i lęku.

No bo musiało zejść trochę czasu, nim rozpoznały ją drzewa, nim łąka ją sobie przypomniała i nim krzaki tarniny i dzikiej róży przekonały się, że to ona; to samo było z ptakami, które z początku umknęły w górę i dopiero po pewnym czasie, gdy któryś ją rozpoznał i powiedział innym, zniżyły lot; to śmieszne, ale chyba godzina upłynęła, nim świat się z nią jako tako oswoił; nie oswoił się zupełnie, bo ona jednak już nie pasowała do tych drzew, do łąk, do przydrożnych krzewów, do obłoków i do tej całej złocistości dnia, i do tego całego szerokiego i wysokiego świata; przed miesiącem jeszcze pasowała, a teraz już nie, teraz psuje porządek.

Robiłem, co mogłem, żeby babcię i świat jakoś pomać ze sobą, mówiłem do jabłonek, wierzb i topól: — patrzcie, przecież to ona, wasza znajoma — i mówiłem do babci: — popatrz, moja panienko, znajome drzewa, znajome pola.

Nad rzeką było już lepiej, bo rzeka to jednak rzeka, to taka wielka, mądra pani, która ciekawe rzeczy opowiada.

Umieściłem wózek w cieniu dużego krzaka wikliny, a dy- I szelek opuściłem w dół i wsunąłem pod duży kamień, ułożyłem ją w wózku w pozycji półsiedzącej, aby mogła swobodnie i bez wysiłku patrzeć na świat.

A wiele rzeczy było do oglądania, była rzeka, która nie- lustannie się zmieniała, marszczyła się i wygładzała, ciemniała i jaśniała, pokrywała się coraz to innymi smugami, były kamienie, każdy inny, jeden jak łysa głowa, drugi jak ogromna pięść, trzeci jak brodata stara twarz, czwarty jak otwarta dłoń, piąty jak wydzierające się spod piachu barki i plecy nagiego człowieka; pliszki spacerowały po kamieniach, chwając się swoimi drgającymi ogonami, jedna usiadła na dyszelku wózka i babcia mogła zobaczyć pliszkę z bliska, ptak nie bał się, nawet popatrzył na nią parę razy, jakby chciał jej coś powiedzieć, a po chwili odbił się od dyszelka i odleciał; sporo było pliszek na brzegu, jedna nawet płynęła rzeką na kawałku drewna, może się tak bawiła albo była młoda i nie umiała jeszcze dobrze fruwać; duża ważka o karbowanym zielonożółtym odwłoku usiadła na nieruchomym palcu babci, myślała z pewnością, że to suchy patyk, wystający z owiniętej w koc wiązki chrustu, wprawdzie twarz świadczyła, że w tym kocu jest człowiek, ale nie bardzo świadczyła, bo czasem taki biały odciosek drewna, taką drzazgę podobną do starej twarzy można znaleźć w chruście.

To nic, że świat nie mógł z początku oswoić się z babcią i że z początku uciekały przed nią w popłochu drzewa, kwiaty i krzewy polne, bo teraz na brzegu rzeki odpłaca to wszystko z nawiązką i obsypuje ją darami.

Dwie rybitwy przyfrunęły nad rzekę, jedna biała, druga lekko oprószona popielatym kolorem, za tą parą przyleciały inne, wciąż ich przybywa, skąd się ich tyle wzięło, kłębią się nad wodą niby biała chmura i głośno pokrzykują; wiem i babcia wie, każdy, kto tu mieszka, wie, że gdy taka chmura ptaków kłębi się w górze, to znaczy, że mają wesele.

— Mieliśmy szczęście — rzekła babcia, lekko się uśmiechając — bo trafiliśmy akurat na rybitwie wesele.

Skłębiona ptasia chmura zaczęła krążyć wokół pary, która tu przyleciała najpierw, i wnet z tych białych ptaków uformowała się wielka, wirująca nad wodą tarcza.

— Tańczą — szepnęła babcia.

— Tańczą, moja panienko.

Potem zmęczone ptaki obsiadły przybrzeżne kamienie i odpoczywały, a później poderwały się do lotu i pofrunęły do swych gniazd w cichej, zarosłej sitowiem zatoce na zakolu rzeki. Gdy odleciały, patrzyłem długą chwilę w tamtą stronę, skąd przychodzi rzeka, a potem nagle zwróciłem się do babci i krzyknąłem uradowany:

— Czeką nas coś lepszego niż ptasie wesele, moja panienko.

— Co nas czeka? — spytała babcia.

Nie odpowiadam, tylko mówię z jeszcze większą radością; ...

— Coś lepszego niż pliszki na kamieniach, niż ta jedna płynąca rzeką na drewnianym, niż wążka z zielonożółtym odwłokiem rozszczepionym na końcu, coś lepszego niż ten biały taniec nad wodą.

t? Co to będzie, mów f-r pyta się znów babcia.

— Czeką nas szczęście, ujrzymy tratwę, moja panienko.

Byłem tego pewny i mogłem tak powiedzieć, bo daleko w górze rzeki ujrzałem migające światełka i wiedziałem, że to słońce gra na mokrych wiosłach flisaków i blaszanym dachu ich postawionego na tratwie domku.

Zmieniłem położenie wózka, przekręciłem go tak, żeby babcia mogła popatrzeć w tamtą stronę.

— Widzisz światełka? — spytałem.

— Widzę — odrzekła.

— To tratwa, mamy szczęście, moja panienko.

Żaden głos jeszcze stamtąd nie nadleciał i tylko te błyski mówiły, że tratwa płynie, po chwili była już niedużą ciemnobrązową plamą i zaraz doleciało przeciągłe wołanie, które nagle się urwało, to był na pewno rozkaz ret- mana dla sternika i dla tych, którzy wiosłowali; z każdą chwilą tratwa stawała się coraz większa i widziało się ją coraz wyraźniej; gdy dopłynęła do starych topól, znalazła się jakby w cieniu, a gdy wyminęła ostatnie drzewo, wyszła z cienia na jaskrawe słońce i wtedy zaświeciły złotawo krople wody na jej obrzeżu i wydawało się, że tratwa płynie na ogromnej złotej poduszce.

— Złota tratwa — powiedziała babcia — złota tratwa —

■powtórzyła to głośniej i zaraz umilkła, gdyż chciała tyl- | ko patrzeć na tratwę, która płynęła wolno, niesiona nurtem głównym niedaleko naszego brzegu, i babcia mogła już zobaczyć z bliska ogromne wiosła w rękach flisaków ubranych w szerokie, luźne bluzy, i mogła widzieć, jak oni tymi wiosłami zaciekle walczą z wodą, żeby tratwa lekko sunęła ciemnym pasem głębiny i nie ocierała się o płycizny, które poznawali po jasnej barwie i drobno rozsianych falach; mogła widzieć, jak wiosłami czule głaskali rzekę, dziękując jej za to, że nie była uparta, dała się pokonać i teraz niesie nurtem głównym te ogromne sosnowe kłody powiązane drutami i łańcuchami, obwiedzione złotawą krechą roziskrzonych kropel, ten ścięty, powalony i przemieniony w tratwę las; babcia mogła jeszcze zobaczyć dym z rury sterczącej nad blaszanym dachem ich domku i łaciatego pieska, którego być może znaleźli gdzieś na brzegu i wzięli z sobą, i poskręcane liny, powrozy i suszące się na drążku koszule, i jeszcze raz ry- bitwy, które krążyły nad tratwą.

Ale najważniejsze i najlepsze w tratwie jest to jej powolne płynięcie i to, że nie wiesz, obok jakich brzegów będzie ona przepływać, gdy zniknie za pierwszym zakrętem; to, że chciałbyś wiedzieć, a nie wiesz, jest najlepsze, bo możesz sobie te brzegi przedstawiać, jak chcesz, możesz widzieć miasta, wieże, kościoły i muliste zatoki, w których mieszkają liny, olszynowe zagajniki i piaszczyste wydmy, różne różności i na końcu morze.

— Złota tratwa — powtórzyła znów babcia po długim milczeniu i zaraz spytała: — dokąd ona płynie?

— Do morza.

— Nie widziałam morza, jakie ono jest?

— I ja nie widziałem, ale wiem, że drugiego brzegu się nie widzi, Mateusz mówił.

— Wielkie...

— Jak sto takich rzek jak nasza.

— Co mówisz, jak sto takich rzek...

— Jak tysiąc.

— Boże, jak tysiąc!

— Jeszcze więcej.

— Jezusie, jeszcze więcej!

— Tak, tak, moja panienko, morze jest jak połowa nieba położona na ziemi.

— Boże, zmiłuj się!

Zauważyłem, że się boi, tak jak dziecko, które chce się bać, i to było dobre.

Tratwa oddalała się i robiła coraz mniejsza, ale jeszcze się złociła, za kępą starych baniastych wiklin zagasła i pociemniała, wyglądała jak czarna podłoga po rozebrany domu; gdy znikła za pierwszym zakrętem rzeki, znów przyprzągłem się do dyszelka i powiozłem babcię do domu.

Ludzie zaraz się dowiedzieli, że byłem z nią na brzegu rzeki, jedni się śmiali, inni gniewali, ale wszyscy zgadzali się, że tylko głupek i sowizdrzał mógł coś takiego zrobić.

W domu także mi mówili, że nie powinienem wywozić babci nad rzekę, ale mówili łagodnie, bo się bali, że przestanę się nią opiekować i będą musieli wziąć drogą pielęgniarkę; ja bym na pewno nie odszedł od babci, ale dobrze, że się bali, bo nie wyzywali mnie od nieuków, głupków i sowizdrzałów.

Gdy powiedziałem im, że babcia bardzo się cieszyła, gdy zobaczyła złotą tratwę, to się śmiali i śmiali, i już mieli na wargach słowo „głupek”, ale go nie wypowiedzieli, bo bardzo się bali; zbyt długo się nad tym nie rozwodzili, bo byli zajęci przygotowaniami do ślubu Weronki i do wesela.

Wnet po całym domu rozeszły się zapachy smażonych, pieczonych i duszonych mięs, rosółów, placków i Bóg wie jakich jeszcze potraw; babcia miała zajęcie, bo wyławiała te zapachy jeden po drugim i robiła różne uwagi, które ja musiałem zanosić do matki, Weronki i kucharek: — babcia mówi, że się przypala, że za dużo czosnku, że prze- pachnione...

Przed wyjazdem do ślubu młoda para wpadła na chwilę do babci, żeby się jej pokazać i poprosić o błogosławieństwo; gdy młodzi wyszli, babcia powiedziała: — ładna z nich para, on prymny na całą okolicę kawaler, ona także niczego sobie — wiedziałem, co to znaczy: „niczego sobie”, gdy się o kimś tak mówi, to próbuje się pomniejszyć jakiś feler; no bo jednak u Weronki pod tym bielutkim welonem opadającym na czoło i otulającym twarz

zaznaczał się dość wyraźnie zez i ona trochę nie pasowała do tego pierwszego w okolicy kawalera.

Myślałem o tym, babcia chyba też o tym myślała i z pewnością obydwójce wiedzieliśmy, że o tym samym myślimy, ale nie mieliśmy odwagi głośno tego powiedzieć; w końcu ja się odważyłem i rzekłem: — ludzie mówią, że mama go kupiła dla Weronki, dwie inne matki także chciały go kupić, ale nasza obiecała rzecz najlepszą i on przystał; ludzie mówią, że kupno zostało załatwione na procesji Bożego Ciała.

Wszyscy śpiewali na cały głos, ile sił w gardłach, pobożną pieśń „Róbcie Mu miejsce, Pan idzie z nieba”, a gdy pieśń huczała, do tego kawalera, który także szedł w procesji, dosunęła się nieznacznie pani kierownikowa ze szkoły i nie zważając na to, że on trzyma chorągiew, szepnęła mu: — przyjdź do naszej Stefci, niczego sobie dziewczyna i wujek śle z Ameryki.

— Co przysłała? — zapytał szeptem kawaler.

— Jak to co — odpowiedziała pani kierownikowa — nylony, nylony przetykane srebrem i złotem, jakie bluzki, jakie halki, jakie majtki, nie masz pojęcia, co na nich wyhaftowane, obiecuje samochód, przyjdź, niczego sobie panna.

Powtórzyła jeszcze „niczego sobie” — bo Stefcia miała lekki niedowład biodra i powłóczyła trochę prawą nogą.

Ledwie odeszła pani kierownikowa i przebrzmiało: „pod przymiotami ukryty chleba”, podeszła do niego gruba A- niela, żona ogrodnika, i gdy szła druga zwrotka pieśni: „zagrody nasze zwiedzać przychodzi”, rzekła cicho: — Ludwisia cię zaprasza, kupujemy jej samochód na imieniny.

Ludwisia to także „niczego sobie”, bo ma wadę wymowy, zagapia się i śmieje z byle czego.

Mama dobrze wiedziała, co tamta chce załatwić, i gdy zabrzmiało: „jak się jego dzieciom powodzi”, przesunęła się obok tego kawalera ze słowami: — ożeń się z Weronką, pojedziesz z firmą na Zachód, załatwimy — dodała też: — niczego sobie dziewczyna — żeby zmasać ten zez; zwyciężyła, zjawił się zaraz po procesji, a potem przyniósł łyżki w prezencie. Gdy usłyszałem orkiestrę, podbiegłem do okna i zoba

czyłem na drodze limuzynę, w niej młodą parę, a za nią odkrytą bagażówkę z muzykantami; wiedziałem, że za chwilę przyjadą dalsze samochody, a także dwa wynajęte autobusy z gośćmi, i zwali się hurma ludzi.

Wtedy zamknąłem na klucz drzwi naszego pokoiku, bo tak mi przykazał ojciec, gdyż już wcześniej zostało ustalone, co będzie ze mną i babcią w czasie wesela, mieliśmy się zamknąć i tak zachowywać, jakby nas nie było.

Znaczyło to także, że z nocnikiem nie będę wychodził bo jakby to wyglądało — mówił ojciec — gdybyś się z czymś takim przesmykiwał korytarzem i natknął na któregoś z zaproszonych gości — i mówił jeszcze: — gdybyś musiał, to zostaw to pod łóżkiem, wyniesiesz dopiero wtedy, gdy goście się rozejdą — i jeszcze dodał: — na wszelki wypadek nie daj jej dużo jeść i pić, bo możesz mieć kłopot — i jeszcze na końcu dorzucił: — spraw się dobrze, rower na grubych oponach już zamówiony.

— Będziemy tu zamknięci do końca wesela — powiedziałem do babci, gdy przekręciłem klucz w zamku.

— A co będzie, gdy...

Nie dokończyła, ale wiedziałem, o co chodzi, więc jej odpowiedziałem: — zostawimy w nocniku pod łóżkiem.

— Będę prosić Boga i Matkę Najświętszą, żeby mi się nie zachciało, żebyś nie musiał sadzać mnie na nocniku — powiedziała, a potem zaczęła szeptać: — Boże, spraw, aby nie było ze mną kłopotu, gdy odbywa się to wesele, i odsuń óde mnie tę namolną kolkę, która sztorcuje od prawego boku do środka brzucha i tak boleśnie rozłazi się po kiszkaach, że muszę wołać o nocnik — i jeszcze szeptała: — Matko Najświętsza i wszyscy święci, oddalcie ode mnie tę kolkę na czas wesela, aby się nie musiało latać z nocnikiem, gdy tyle gości w domu — i jeszcze: — święty Wawrzyńcu, patronie naszej parafii, spraw, abym nie śmierdziała, gdy któryś z gości uprosi syna i przyjdzie mnie odwiedzić.

— Nie martw się, moja panienko, przecież jestem z tobą i będą z tobą — powiedziałem głośno, a w myśli: „póki będziesz żyć...”

Uśmiechnęła się, a potem rzekła: — jak myślisz, przyjdzie tu kto do mnie?

^^^Było powiedziane, abyśmy siedzieli cicho i nikogo nie wpuszczali.

— Ale ktoś może się uprzeć i ojciec będzie musiał go wpuścić, może pan kierownik, może pani prezesowa albo pan doktor, albo ksiądz sobie przypomni, że żyję.

Ledwie to powiedziała, ktoś zaczął dobijać się do drzwi i zaraz usłyszałem ściszony głos ojca: — otwórz — przekręciłem klucz, a on uchylił drzwi i do pokoju wpadł nasz żółty piesek.

— Włóczy się po pokojach i żebrze o mięso, nie wiedziałem, co z nim zrobić, niech tu siedzi z wami — powiedział szybko i zamknął drzwi, a ja znów przekręciłem klucz.

— Dobrze, że mamy tu tego psa, będę mu podrzucał pantofel, a on będzie łapał go w powietrzu, uśmiejesz się — powiedziałem; a potem wziąłem ją za rękę i przewiesiłem jej dłoń za brzeg łóżka, pies zaczął się o nią ocierać i lizać palce, ale ona tego nie czuła. Później rozpocząłem tę zabawę z pantoflem i było nam wesoło, pies wybijał się w górę, wysoko, jak tylko mógł, i chwycił podrzucany przeze mnie pantofel, babcia aż się krztusiła ze śmiechu i musiałem ją nieco zmitygować i powiedzieć: — spokojnie, spokojnie, moja panienko.

W końcu zmęczyła nas ta zabawa, piesek położył się pod stołem, ja usiadłem na swoim łóżku i oparłem się plecami o ścianę, babcia zacisnęła wargi i wpatrzyła się w sufit, potem zaczęły się jej kleić oczy i zapadła w drzemkę, gdy się zbudziła, rzekła: — Bóg mnie wysłuchał, bo w prawym boku nic mnie nie kłuje i z brzuchem dobrze, jakbym go nie miała — po chwili dodała: — ale to dopiero początek — jeszcze dodała: — gdy słońce schyli się do połowy topoli i kolka nie będzie sztorcować, to może już nie będzie, Boże, spraw, żebym jej nie poczuła do zachodu i nie popsowała wesela, poczekaj, Matko Miłosierna, z tą kolką, aż słońce dojdzie do grubej gałęzi.

Gdy się tak modliła, patrzyła w okno, z łóżka mogła widzieć tylko tę starą, wysoką topolę, rosnącą za ogrodem na zachodniej stronie domu, w pogodny dzień opadające słońce chowało się za nią i z drugiej strony oświetlało strzaskanymi na gałęziach promieniami najpierw jej wierzchołek, a potem schodziło po topoli coraz niżej, wte

dy tym drzewem niby zegarem można było wymierzać czas i to odczytywanie godzin z drzewa sprawiało jej wielką przyjemność, bawiła się tym jak dziecko i często w pogodne popołudnia można było słyszeć jej wesołe pokrzykiwania: — słoneczko już niżej wierzchołka, ho, ho, minęło już południe; słoneczko zeszło już do połowy drzewa, o, psiamać, jak ten czas leci; słoneczko siedzi już na rosochatej gałęzi, wnet przyjdzie wieczór, o, psiajucha, jak to prędko przeleciało...

Muzyka, która do nas dolatywała z wysokiego parteru, gdzie odbywało się wesele, stała się nagle głośniejsza, zagrali i zaśpiewali „Sto lat...”

— Wszyscy chyba wstali — rzekła babcia.

— Myślę, że wstali, bo przy „Sto lat...” się wstaje, przy „Szła dziewczeczka do laseczka...” można siedzieć, ale przy „Sto lat...” musi się wstać.

— Młoda para chyba w środku, a wszyscy naokoło — mówiła babcia — Weronka z pewnością ma łzy w oczach, gdy płacze, to wtedy nie widać tego zezą, bo łzy go zamazują, w płaczu pięknieje, gdyby wiecznie płakała, nikt by nie zauważył, że zezuje, ale przecież tak nie może być — i smutno się uśmiechając: — Boże, jak to jest, jeden ładniejszy, gdy się śmieje, drugi, gdy płacze.

Zagrali do tańca i zaraz zadudniła nasza powała, usłyszeliśmy tupot i szuranie nóg, spojrzeliśmy w górę, nawet pies uniósł łeb i popatrzył.

-r- Tańczą — powiedziałem.

— Widzi mi się, że to oberek — rzekła babcia; pies zaszczekał, ale zaraz go uspokoiłem, jednak w powałę wciąż się wpatrywał i cicho skomlił.

— To nie oberek — odpowiedziałem babci. -vNie oberek, to może polka.

— Nie polka, moja panienko, to to nowe, poznaję po dudnieniu.

— Mówisz, że to jest to nowe, może, bo niemiłosiernie dudnią.

Pies znów zaszczekał i musiałem go uspokoić.

Przestali grać, powała się uspokoiła, zaczęło dolatywać grube dzwonienie naczyń i cienkie dzwonienie szkła.

— Podają do stołów — rzekła babcia — ale tam musi

być jedzenia i picia, widziałeś przecież, gdy przygotowywali.

— Wszystko jest, czego dusza zapagnie, niczego nie brakuje.

Zrobiło się jeszcze ciszej i babcia powiedziała: — jedzą.

Zabrali się chyba do jedzenia i picia, bo słyhać było tylko cichy, ledwie uchwytny dźwięk, jakby szmer zmieszany ze śmiechem i gwarem.

— Jedz& — powtórzyła babcia i popatrzyła na topole; potem dalej mówiła: — na nas przyjdzie czas, gdy goście się rozejdą, a domowi pójda spać, polecisz wtedy na pokoje i przyniesiesz dobrych rzeczy, co przyniesiesz, powiedz.

— Mięsa pieczonego i placków, zrobię herbaty.

— Będziemy jeść, a oni niech śpią, objemy się, będziesz mnie karmił, a ja będę mlaskać głośno, nikt nas nie usłyszy i nikomu nic nie popsujemy, z nocnikiem możesz latać wiele razy i na nikogo się nie natkniesz, ale do tego czasu musi nam wystarczyć to, co dostaliśmy rano; żeby tylko kolka nie zaczęła dźgać od prawego boku w dół brzucha i żeby nie jęczała, i żeby nie popsowała wesela, Matko Miłościwa, spraw, abym nie jęczała do czasu, gdy słońce spadnie na grubą gałąź, i spraw, abym jeszcze dłużej nie jęczała, bo chcę sobie pojeść, gdy oni się zmęczą i pójda spać, potem niech mnie boli, niech mnie dźga; gdy będzie już po weselu, możesz zesłać kolkę, gdy uchronisz mnie przed nią do nocy, to potem ześlij ją, jeśli taka twoja wola.

Klamka w drzwiach ani razu się nie poruszyła, nikt nie próbował wejść do babci, która od czasu do czasu wlepiała oczy w drzwi i w tę żółtą klamkę tak natarczywie, jakby chciała jej coś powiedzieć i nawet może w sobie do niej mówiła: — no porusz się, klamko, bo gdy się poruszysz, to Sędzię znaczyć, że ktoś chce do minie wpaść na trochę, nawet jeśli nie przyjdzie, bo drzwi zamknięte, porusz się, porusz, nie jest jeszcze ze mną tak źle, klamko, mogę rozmawiać i uśmiechać się, i mogę nawet zaśmiać się głośno, gdy usłyszę coś wesołego, mogłabyś się poruszyć z góry na dół, bo jestem wymyta i uczesana i nic tu nie śmierdzi, bo zjadłam malutko i z brzuchem jest dobrze.

Ale klamka była uparta i nie dała się nakłonić, drzwi były jak dalszy ciąg ściany i babcia znów musiała powie

dzieć: — na nas przyjdzie czas, gdy oni się zmęczą i pójdą spać, wtedy my we trójkę, ja, ty i pies, zrobimy sobie wesele; żeby tylko kolka nie przeszkodziła, święci pańscy, trzymajcie ją z dala ode mnie do samej nocy.

Więc umówiliśmy się, że nie zmrużymy oka i poczekamy, aż goście się rozejdą, i gdy już ich nie będzie, a domowi zasną, urządzimy sobie tę ucztę.

Godziny biegły szybko i nie nudziłem się, bo znów wróciłem do tej zabawy z psem, rzucałem mu stary pantofel pod sam sufit, a on go chwycił w powietrzu, potem dość długo stałem przy oknie i opowiadałem babci szczegółowo o tym, co się dzieje na świecie, kto przechodzi, kto się gapi na nasz dom, co jedzie, jakie ptaki przelatują, jakie zwierzęta idą i przez kogo są prowadzone, i czy na łańcuchu, czy na powrozie; a potem usiadłem na brzegu łóżka i ucieliśmy sobie rozmowę o tratwach, a zaczęło się od tego, że babcia wyskoczyła nagle z pytaniem, co się dzieje z tratwami, gdy jest burza i pada deszcz.

— Tratwa przecież nie może skryć się przed burzą, moja panienko —• powiedziałem i dalej mówiłem: — zawinięcie do zatoki nic nie da, bo nad zatoką także jest niebo, no to ona płynie, bo taki jest los tratwy, że musi płynąć, choć błyskawice tną niebo i biją pioruny.

— Skąd to wiesz? — spytała.

— Patrzyłem na tratwę w burzę, miałem dach z gałęzi i patrzyłem.

— Co widziałeś?

— Flisacy robili naprędce kaptury z worków, przykrywali nimi głowy i plecy, poruszali sterami i wiosłowali, bo musieli; byli ogromni w tych kapturach, ogromni nie jak ludzie, i można było pomyśleć, że oni rzucają tymi piorunami i zapalają błyskawice.

— Nie chciałabym płynąć tratwą w burzę, ale w pogodny dzień to bardzo bym chciała — rzekła babcia, a mnie zaraz wpadło do głowy coś niezwykłego, szalonego, coś takiego, co tylko sowizdrzałowi, co tylko głupkowi może wpaść, pomyślałem, wtoczę na tratwę wózek z babcją, przepłyniemy wolnym nurtem przybrzeżnym do pierwszego zakrętu, tam zjadę na brzeg, znów przyprzagnę się do dyszelka i pobiegnę do domu środkiem olszynowego zagajnika, zrobię to w dniu, w którym flisacy będą przy

naszym brzegu dołączać do tratwy sosnowe kłody z za- rzecznoego lasu.

Tak mocno o tym pomyślałem, że bezwiednie rzekłem do babci: — musimy popłynąć na tratwie do pierwszego zakrętu, musimy, moja panienko.

— Ej, ty mój, ty mój sowizdrzale — odrzekła z czułością i zaraz dodała: — za późno...

A ja wtedy uparłem się i postanowiłem: pójdę do gajowego, który zna flisaków i dogłąda spinania drutami i łańcuchami sosnowych pni przyłączonych do tratwy, pójdę i powiem: „panie gajowy, chciałbym popłynąć z babcią na tratwie do pierwszego zakrętu, niechby miała tę frajdę przed śmiercią”, a gdy mi odpowie: „czyś ty do reszty zgłupiał, czyś ty oszalał”, gdy mi tak odpowie, ukłękę przed nim na jedno kolano i będę prosił: „powiedziała, że dla niej za późno na taką rzecz, ale zróbmy, żeby zdążyła, bo ona tego pragnie”, a gdy on nie zmięknie po tym ukłeku i powie: „sparalizowaną babcię brać na tratwę to zgroza”, ukłękę na oba kolana i będę dalej błagał, i w końcu on zmięknie, bo on jest dobry, choć udaje srogiego, wszyscy się z niego śmieją, bo on do leśnych zwierząt mówi: „moje kochane urwisy”, nawet do dzikich knurów mówi: „moje kochane urwisy”, a gdy pada na ziemię pod- piłowany dąb, zdejmuję czapkę i mówi na cały głos: „żegnaj, wielkoludzie.”

Na górze ustało dudnienie, skończyły się tańce i zaczęło się rzewne śpiewanie, i to nas uśpiło, a umówiliśmy się, że nie zmrużymy oka do chwili, w której rozejdą się goście.

Wczesnie rano zaskomlił pies i musiałem go wypuścić, ale babcia nie obudziła się, leżała na wznak w głębokim śnie, już jakby spłaszczona tym nieustannym leżeniem w jednakowej pozycji, podobna do obleczonej w koszulę szerokiej deski, zakończonej ustawioną na sztorc mniejszą deską — twarzą; wpatrzyłem się w te dwie deski, które były babcią, i powiedziałem w myśli: „nie martw się, że żyjesz za długo, bo ja będę przy tobie, póki nie umrzesz, a gdy umrzesz, zaciągnę się na tratwę i popłynę do morza”; i jeszcze powiedziałem do niej: „śpij, śpij, moja panienko, bo chcę ci przygotować niespodziankę, nim się obudzisz.”

Wyszedłem z pokoiku, gości weselnych już nae było, a domowi spali, więc wsunąłem się do dużego pokoju na górnym parterze, gdzie odbywało się wesele, na stołach pozostało jeszcze wiele wędlin i innych mięs, a także różne ciasta; no to szybko przeniosłem do naszego pokoiku talerz z pokrojoną szynką i duszonym mięsem, placek, chleb i talerzyki z kompotami, a potem zrobiłem herbaty, ułożyłem to wszystko na niskim stole obok łóżka babci i czekałem, aż się obudzi.

Mocne zapachy potraw zaczęły odpędzać od niej sen, najpierw poruszyła się i zmarszczyła górna warga i zaraz drgnęły nozdrza, i oddech zrobił się szybszy, ale sen nie dał się tak prędko odpędzić i zaczął z powrotem uspokajać i wygładzać jej twarz; jednak zapachy potraw, najbardziej chyba ten czosnkowy, idący od duszonych mięs, a może ten słodki, waniliowy i goździkowy, idący od ciast i kompotów, a może wszystkie naraz nieustannie napadały, wprawiały w drgnienie twarz, marszczyły wargi i zwiężały nos, sprawiały, że babcia wyczyniała różne śmieszne miny i wydawała z siebie cichutkie westchnienia; sen odpędzony na chwilę powracał i dość długo trwała ta walka snu z zapachami, która różne niestworzone rzeczy wyprawiała z twarzą babci, męczyła ją, targała nią, tak że w końcu nie mogłem już tego znieść i choć byłem pewny, że zapachy zwyciężą, zacząłem im pomagać i cicho zawołałem: — panienko — i jeszcze raz: — panienko...

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się, a gdy zobaczyła zastawiony stół, krzyknęła radośnie: — ho, ho, co widzę — i zaraz odmówiła pacierz, który tego dnia ograniczył się do paru westchnień skierowanych w niebo.

Powiedziałem jej, że gości już nie ma i domowi śpią, a gdy potem zapał karmazynowy kogut sąsiada, od razu poznała, że pieje z kurnika, bo rzekła: — musi być wcześniej, bo go jeszcze nie wypuścili i nie wyskoczył na płot.

— Jest wcześniej, słońce nie wstało — odpowiedziałem, a ona na to: — przyszła nasza godzina, pojemy sobie dobrych rzeczy — a potem uśmiechając się zwróciła się do słońca: — siedź, siedź jeszcze za rzeką i nie wychodź — i zaraz zwróciła się do koguta: — zdrzemnij się jeszcze, karmazytnie, i nie hałasuj, bo przyszła moja wielka godzina, będę jeść smakołyki — a potem, patrząc w okno, zwró-

I ciła się do całego świata: — śpij, śpij, głupi świecie, bo tyle dobrych rzeczy do jedzenia jest przy mnie — a w końcu z niecierpliwością w głosie: — chce mi się jeść, nakarm mnie.

A kiedy robiłem koło niej porządek i unosiłem ją wraz z poduszką do pozycji półleżącej, mówiła: — gdy byłam młoda i mogłam się nażreć, brakowało chleba, a gdy później wszystkiego było pod dostatkiem, to chory brzuch nie pozwalał, i tak całe moje życie przebiegło bez choćby

_ | jednego obżarcia się dobrymi rzeczami, pomyśl, wnuku, osiemdziesiąt pięć lat i ani jednego obżarcia się dobrym jedzeniem, no to dziś jest mi wszystko jedno, zjem te wszystkie smakołyki, które przyniosłeś, niczego się nie bo-

Jakaś dziwna, szalona odwaga, jakby bunt wstąpił w babcię, jadła szybko, zachłannie, bez żadnego porządku i umiaru, aż musiałem ją delikatnie upomnieć i powiedziałem: — wolniej i nie tak dużo, moja panienko, bo może przyjsć kolka — wtedy ona gniewnie: — niech przyjdzie, nie boję się kolki, kpię z niej — a potem nagle z buntu wpadła w pokorę i wyjęczała: — bluźnię, Boże miłosierny i Matko Najświętsza, i święci pańscy.

Pomyślała może, że tą kolką, która dźga od prawego boku, a także wzdymaniem, zgagą i pieczeniem w dołku, wszystkimi jej bólami, ale głównie tą kolką, która boli najbardziej i jest jakby okrutną królową jej wszystkich bólów, zarządza Bóg, bo on wszystkim zarządza, i on ją trzyma niby wściekłą bestię na postronku, i ten postronek popuszcza lub przykróca; pomyślała, że przecież ona, jeśli chodzi o tę kolkę, zawiera z Bogiem i świętymi różne układy i umowy i z pewnością przeszła nagle babcię myśl, że nie bać się kolki i kpić z niej to tak, jakby nie bać się Pana Boga i wszystkich świętych i kpić z nich.

Dlatego tak nagle nappełniła się najpokorniejszą pokorą i powiedziała cicho: — bluźnię, więc ześlij kolkę, jeśli taka Twoja wola, Boże — i jeszcze dodała ciszej: — ale proszę cię, zaczekaj z nią, bo chciałam spróbować placek z makiem — i jeszcze ciszej: — gdy zjem placek, nie zsyłaj kolki, bo chciałam wrócić do duszonej cielęciny — i jeszcze ciszej, prawie niesłyszalnie: — po tej cielęcinie też nie zsyłaj, bo chcę się zabrać do marynowanych gruszek

ber; a ,po gruszkach to już ją ześlij, jeśli taka Twoja wola...

Tamtego dnia babcia kilka razy i bardzo długo modliła się, bo jak sama mówiła, pokalała się dwoma ciężkimi grzechami, po pierwsze objadła się ponad wszelką miarę, czyli zgrzeszyła obżarstwem, a po drugie wyszydziła kolkę, czyli swój ból, który przecież jest zsyłany i oddalany przez Boga, jest więc jakby bożym darem, który należy znosić w pokorze, a nie pokpiwać sobie z niego i szydzić.

Ale choć tak się najadła, że musiała za obżarstwo przeproszać Boga, to jednak nadal łakomie wpatrywała się w słoik z marynowanymi gruszkami, a kilka razy to nawet przerwała (modlitwę i powiedziała: — mam wielką ochotę na marynowaną berę, podaj mi kawałek — czy nie- za dużo, moja panienko — odpowiadałem, a ona: — nie żałuj, to takie dobre — więc jej dawałem.

Z pewnością te marynowane gruszki sprawiły, że po południu chwyciła ją kolka, wbiła się w babcie od prawego boku trzema mieczami, które cięły w poprzek jej wzdęty brzuch i szły w stronę boku lewego.

— Sama sobie jestem winna, Boże miłosierny — zdążyła powiedzieć i zajęczała cicho; więc ja do niej: — nie bój się, jęcz głośno, nie ma ich w domu, poszli na poprawiny do pana młodego — a w myśli rugałem się za to, że dałem się namówić i przekarmiłem ją wędlinami i plackami, smażonym mięsem i marynowanymi gruszkami.

Położyłem jej na brzuchu dwa płaskie gumowe worki napelnione ciepłą wodą, podałem różową pastylkę i znów powiedziałem: — możesz jęczeć na cały głos, jesteśmy sami — tak powiedziałem, bo już się przekonałem, że gdy chodziło o uśmierzenie tego bólu, nadzieja była w trzech rzeczach, w ciepłym kompresie, różowej pastylce i głośnym jęku.

Za oknem ma drodze pojawiła się bryczka z PGR-u zaprzężona w dwa bułane konie, a na niej jadący na poprawiny muzycanci w ludowych strojach; przed naszym domem przyhamowali konie i zaczęli grać; uchyliłem okno, aby im powiedzieć, że domownicy już wyszli, wtedy do naszego pokoiku wdarła się głośna muzyka i przez chwilę jęk babci wmieszał się w dźwięki orkiestry, i przez tę

Ichwilę babcia przestała być cierpiącą staruszką, a stała się jakby instrumentem muzycznym, cienko grającą trąb- Jką albo raczej piszczałką, i ci, którzy wtedy słuchali tego Pgrania, na pewno nie mogli wyłowić jęku babci; a jeśli ten jęk usłyszeli, to chyba pomyśleli, że wśród różnych instrumentów jest także jakaś dziwna, cienko grająca piszczałka.

Szybko zamknąłem okno, muzykanci odjechali, tylko to cienkie granie piszczałki zostało, przejmujący jęk babci wypełnił pokoi, aż mu było za ciasno w tym małym pomieszczeniu.

A potem nagle zrobiło się cicho, babcia przestała jęczeć i znieruchomiała z zamkniętymi oczami i otwartymi, drżącymi ustami, nie wiedziałem, co robić, myślałem, że umiera, tak w to uwierzyłem, że chwyciłem ją za rękę i zacząłem wypowiadać słowa, które od dawna miałem przygotowane na jej umieranie: — czeka cię piękna przygoda, moja panienko, popłyniesz na złotej tratwie dużą, czystą rzeką — miałem jeszcze na końcu ważne słowa, sam nie wiem, dlaczego ważne, dawno już je sobie przygotowałem, aby je wypowiedzieć w godzinie jej śmierci: — białe rybitwy będą nad tobą kołować...

Sam nie wiem, to chyba wymysł sowizdrzała i głupka, dlaczego mi zależało na tych słowach, a właściwie na tym połączeniu „złota tratwa i białe rybitwy”, na tych dwóch kolorach idących z dołu do góry i z góry na dół i równocześnie posuwających się wolno do przodu, nie wiem, a właściwie wiem, bo przecież gdy opowiadałem babci o tratwach, mogłem przyłapać jej skrytą, wstydliwą tęsknotę, aby się urzeczywistnić w takim obrazie, w złocistości i bieli przesuwających się wzdłuż zielonego brzegu.

— Popłyniesz złotą tratwą, moja panienko, białe rybitwy będą nad tobą kołować — jeszcze dziś nie pojmuję do końca, czy to jakaś głupota, jakaś sowizdrzalska zabawa, ale jednak pojmuję, dlaczego trzymałem te słowa w zanadrzu, ukryte niby skarb i strzeżone pamięcią, i nie wypowiedziane byle gdzie i byle kiedy, trzymane w pogotowiu dla niej na ostatnią godzinę.

Ale tamtego popołudnia, kiedy babcię chwyciła ostra, bolesna jak wbijanie trzech mieczy w poprzek brzucha

kolka, nie wypowiedziałem tych słów do końca, gdyż babcia otworzyła oczy i jej wargi przestały drżeć i zaraz szepnęła: — już mniej boli — a po chwili: — prawie nie boli — i wiedziałem, że była to trwająca chwilkę drzemka po ostrym bólu, i już mogłem przewidywać, że babcia zacznie się cieszyć, że jej nie boli; potem jeszcze bardziej cieszyć, że ta ostra kolka dość szybko przeleciała przez jej brzuch i została z niego głośno, radośnie wydmuchana; mogłem przewidywać, że po tym wydmuchaniu i paru żarcikach z tej dmuchanej muzyki będzie dziękczynne westchnienie do Boga, a potem różne zachcianki; i zaraz usłyszałem: — przyprowadź pieska i podrzucaj mu do góry pantofel, bo chcę się rozweselić.

Już miałem iść po psa, ale mnie powstrzymała i rzekła: będzie lepiej, gdy mi coś zaśpiewasz, coś o rzece i tratwach — więc jej zaśpiewałem: — „płyn, tratwo moja, płyn w niezmierzoną dal...”

Pochwaliła mnie, gdy skończyłem, i powiedziała uśmiechając się: — gdyś to nucił, zapomniałam, że jestem stara i że te przekłete nieruchome nożyska i te nieruchome łapska leżą przy mnie — i zaraz zwróciła się do tych nieruchomych nóg i rąk z lekceważeniem jak do rzeczy nieważnych, jak do głupich, uprzykrzonych natrętów: — leżcie sobie, leżcie, mam was gdzieś...

A potem wydała mi rozkaz: — podejdź do okna i popatrz, co się dzieje na świecie, powiedz, co robią kury^

— Chodzą po sadzie, grzebią przy płocie.

— A czy ta stara siemieniata jest między nimi?

— Jest, ona przecież najważniejsza, wszystkie jej ustępują.

Babcia uśmiechnęła się i rzekła: — zawsze taka była, zawsze wodziła rej wśród kur, a do człowieka przychodziła jak do równego, może byś mi ją przyniósł, chciałabym ją zobaczyć z bliska, domowych nie ma, nikt się nie będzie śmiał, nikt się nie będzie złościł.

Wybiegłem szybko przed dom, rozsypałem okruchy chleba i kury się zleciały, złapałem siemieniata, przyniosłem ją do pokoiku i postawiłem na podłodze; stapała wolno, ostrożnie i wszystkiemu przyglądała się z zaciekawieniem, ale bez lęku, a potem to nawet z pewnością siebie, nawet ■ zuchwale.

Uroda, czyli ta siemieniatość, to znaczy układ drobnych, gęstych i mieniących się białych, bladoniebieskich i ja- snobrazowych piór, a także to, że znosiła duże, ciemne jaja o krwistych żółtkach, sprawiła, że wysunęła się na czoło kur nie tylko naszych, ale wszystkich w miasteczku i w okolicznych wsiach; mieć jaja do wylęgu od siemie- niatej kury dyrektora rzeźni to było coś i ona chyba wie-1 działa, że jest królową drobiu, bo skąd by się wzięła ta duma i ta zuchwałość.

Omijał ją świąteczny nóż, gdy przygotowywano obiad na świąteczny stół; ten dość długi, lekko zakrzywiony, podobny do małej szabli nóż trzymany prawą ręką matki lub kobiety, która matce pomagała, sunął połyskując i rozsiewając białe, zimne iskry nad wąską ścieżką prowadzącą do małego podwórza, na którym stał kurnik; w prawej dłoni nóż, a w lewej ziarna pszenicy, nie owsa, nie jęczmienia, ale pszenicy, czyli tego najlepszego, najsmaczniejszego ziarna, do którego przylecą kury pomimo wiszącego nad nimi noża; one chyba wiedzą, że gdy do płaskiego, drewnianego korytka leci czysta, złocista pszeniczka, to będzie podrzynanie gardła, ale pchają się do jedzenia, bo im bardzo smakuje to ziarno; jednak przepychają się nawzajem, żadna nie chce być za blisko żelaza i przez dość długą chwilę nóż ma pod sobą tylko dno korytka; ale potem zapominają o nożu, zachowują się tak, jakby go nie było, muskają łebkami jego ostrze i wmawiają sobie, że to cierń tarniny albo głogu, same się oszukują, bo im bardzo smakuje pszenica.

Przychodzi chwila, w której lewa ręka człowieka może swobodnie wybierać ofiarę, może nawet zanurzyć palce w piórach tych żarłoków, obmacać im łydki i brzuch i wybrać odpowiednią sztukę.

Ale ta siemieniata zawsze mogła kpić sobie z noża i z siekiery i chyba nadal może, choć już nie skaczą po niej koguty i nie znosi jaj zarodkowych; ale za dużo było zasług, szacunku i sławy, żeby można teraz poderżnąć jej gardło albo uciąć łeb siekierą; i ona chyba umrze śmiercią naturalną, co kurom zdarza się bardzo rzadko, bo przecież nie do takiej śmierci są one stworzone; ciekawy jestem, ile kur na tym świecie umiera śmiercią naturalną, dziesięć, może sto w ciągu roku, naprawdę trzeba być

głupkiem i sowizdrzałem, żeby się nad tym zastanawiać.

Przez chwilę stara kura spacerowała sobie po parkiecie, a potem wskoczyła na stojące przy stole krzesło, na stół i wtedy spotkały się ich spojrzenia, stałem z boku i widziałem, że z całą siłą wpatrywały się w siebie nawzajem, cisza była w pokoiku, bo ani kura nie zagdakała, ani babcia nie wypowiedziała słowa.

Gdy znów spojrzałem na babcię, wydawało mi się, że ona wstydzi się kury, chyba się wstydziła swojej niemocy przy tej starej, ale trzymającej się mocno na nogach kurze; z pewnością wstydziła się, bo gdy wreszcie przerwała tę nieznośną ciszę i zaczęła mówić, rzekła do kury: — widzisz, co się stało ze mną, nogi i ręce nieruchome — i jeszcze dodała: — zaczęło się to, gdy schyliłam się po srebrną łyżkę, która wypadła mi z ręki — i jeszcze dodała tłumacząc się: — chciałam zobaczyć, bo to był prezent od kawalera dla Weronki.

Zrozumiała chyba, że przeholowała z tym tłumaczeniem się i chcąc się wydobyć z poniżenia i zrównać z pewną siebie kurą, rzekła z odrobiną złości: — postarzałaś się, to już nie ty dawna, korona ci wyblakła i już nie jest czerwona, i dziób już nie ten sam, i oczy przymrużone, a pióra już się tak nie mieniają jak dawniej.

Ugodziło to boleśnie siemieniata i zaczęła nerwowo chodzić po stole, unosiła swoje łuskowate nogi wysoko, biła nimi mocno o blat stołu, rozcapierzała pazury, pokazywała siłę nóg i tym sprężystym, dookólnym chodem, jakby tańcem, strącała babcię w dół, deptała ją tymi swoimi rozcapierzonymi pazurami, a to zgniewało babcię i powiedziała: — nie myśl solne, że nie umrzesz — dopieka jej tym (powiedzeniem, ale z pewnością myślała, że to za mało, i chciała jej jeszcze bardziej dopieć, więc rzekła: ||S| nic cię już nie czeka, tylko to rozdeptane podwórze, tylko to chodzenie po gołej ziemi i żerdka w kurniku, i przeciągłe gdakanie z nudów, tylko tyle...

Kura przestała tańczyć i opuściła w dół łeb, i to już powinno wystarczyć babci, ale nie wystarczyło, bo nadal była rozłoszczona i nie żał jej było kury, i jeszcze dodała: — a mnie mój sowizdrzał zawiezie ręcznym wózkiem na brzeg rzeki i będę patrzeć na dużą wodę, i będę

widzieć złotą tratwę, a może nawet popłynę na niej do pierwszego zakrętu, a ty co... I Kura jednak nie dała za wygraną i podskoczyła na tych [swoich silnych jak druty nogach, bo chciała zadrwić z nieruchomych nóg babci; wtedy babcia zwróciła się nagle do mnie: — otwórz okno i wypuść ją, bo już nie mogę znieść tego, że się chwali tymi swoimi nogami.

Więc otworzyłem okno, kura zeskoczyła ze stołu na krzesło, z krzesła na podłogę i pomagając sobie skrzydłami wskoczyła na parapet, zeskoczyła w sad i pomaszerowała wolnym, chwiejnym krokiem w kierunku kurnika.

Przez długą chwilę babcia milczała, słychać było tylko jej szybkie, gniewne posapywania, tak jakby jeszcze trwały te ich wzajemne docinki, a może nawet kłótnia; a więc siemienia ta, tak sobie to dziś wyobrażam, mówi do babci: „bywało, że co dnia walczyli o mnie na śmierć i życie dwaj rycerze, złotopióry i czarnopióry pozłacany, z czerwonymi fantazyjnie zagiętymi grzebieniami i koralami, a ja stałam i przypatrywałam się”, a babcia do siemie- niatej: „i o mnie walczyli na potańcówce w remizie dwaj rycerze o wąskich czołach i ogromnych czuprynach, czarnowłosa i rudowłosa, jeden drugiego stłukł na ikwaśne jabłko, a ja stałam i przypatrywałam się.”

A potem to gniewne posapywanie babci ustało, jej twarz się rozprostowała i uspokoiła, i rzekła:

— Otwórz to drugie okno, stań przy nim i mów mi, co się dzieje na drodze.

Zrobiłem, jak kazała, i zaraz powiedziałem: — droga pusta, nikogo nie widzę.

— Nikogo — powtórzyła za mną cichym, smutnym głosem.

— Nikogo — powtórzyłem z kolei ja za babcią, ale po chwili zawołałem: — przy chatce rybaka coś się pojawiło, jacyś ludzie.

— Jacy ludzie, mów, no mów — nalegała.

— Jakieś chłopaki, a za nimi coś płowego, a dalej paru starszych, idą w naszą stronę.

Gdy się zbliżyli, wołam do babci: — trzech chłopaków prowadzi na długim powrozie kozę rybaka Macieja, a za nią kroczy pięciu starszych.

— Po co aż tylu z jedną kozą — rzekła.

— Nie wiem, moja panienko — odpowiedziałem — po co ta procesja z kozą.

Miałem jednak złe przeczucia, bo prowadził ją nie właściciel, ale ciągnęli jacyś obcy, na długim powrozie bez palika, co znaczyło, że nie chodzi o pasienie, tylko o co innego; i to de przeczucie zaczęło się po trochu sprawdzać, bo ta procesyjka wyminęła krzaki młodej olszyny, przy których rosła bujna, niczyja trawa, a to był już pierwszy znak, że nie będzie pasienia; do tego jeszcze wyciągnięta ręka jednego z tych starszych, którzy szli za kozą, pokazująca rozłożystą topolę rosnącą za naszym sadem, która miała takie — można by powiedzieć — dogodne gałęzie, nadające się, aby przez nie przerzucić powróż.

A poza tym wiedziało się przecież, że to była ta ostatnia, jedna jedyna koza w miasteczku, która ostała się przez upór starego rybaka mieszkającego samotnie w przechylonej, nadpróchniałej chatce na skraju miasteczka tuż przy głównym trakcie; każdy więc, kto przyjeżdżał, musiał, choćby nie chciał, ujrzeć najpierw tę kozę spacerującą po gołym podwórku obok zbitej z desek szopy albo pasącą się w rowie, a więc nie nowe domy, nie kościół, nie sosny zabytkowe z wiszącymi na pniach tabliczkami, nie płaskorzeźba Kościuszki na frontowej ścianie ratusza, nie Mercedes fryzjera, który jakiś czas golił Amerykanów w Buffalo, nie obraz olbrzymiej puszki konserwowej na wschodniej ścianie rzeźni, nie to najpierw witało przybysza, ale właśnie ta koza pobekująca żałośnie za drewnianym płotem.

Z ironicznym więc uśmiechem wjeżdżał taki przybysz do naszego miasteczka i chociaż potem mógł w nim ujrzeć rzeczy nowe i bogate, to jednak trudno mu było o- trząsnąć się z tego pierwszego widoku i nieraz taki gość już po oglądnięciu wszystkiego mówił z ironią w głosie: — ładnie tu, pięknie, ale najpiękniejszą rzeczą; jaką macie, jest ta koza, ha, ha...

Tak było też z przedstawicielami władz, którzy niekiedy przyjeżdżali do nas i którym nasi obywatele składali petycje i błagali ich o przyznanie pełnych praw miejskich; oni także pokpiwali sobie z kozy i zbywali żartami prośby, mówili: — przypuśćmy, że damy wam pełne prawa miejskie i minister zapragnie ujrzeć wasze miasto, wi-

tacie go przed głównym wejściem do ratusza chlebem i solą, po staropolsku, a on odpowiadając na wasze powitanie i dziękując wam wtrąca żartobliwie: „nim przyją- ■łem z waszych rąk ten w pocie czoła wypracowany bochen, zostałem już powitany przy wjeździe do waszego miasta przez jakąś starą kozę”, bo czy to takie niemożliwe, że minister, jadąc tu ze stolicy po otrzymaniu przez was pełnych praw miejskich i widząc przed sobą jeszcze nie dość wyraźnie kontury budynków, każe zwolnić bieg samochodu, żeby chwycić pierwsze wrażenie, no i zbliża się do miasta powoli, i co widzi, starą kozę, która otworzyła rogami zgniłą furtkę przy zgniłym płocie, wyszła z podwórka i stanęła tuż przy głównym trakcie; i co słyszy dostojny gość, słyszy przeraźliwe, zagłuszające szum motoru kozie beczenie — meee.

A więc wielu nie cierpiało tej starej kozy, niejeden przechodząc obok niej wyrwał jej kępkę włosów z bródki i syczał przez zęby: „ty stary gnacie, przez ciebie nie mamy praw miejskich”, ktoś znów szarpnął ją za ogon, nachylił się do ucha i zawołał z wściekłością: „zdechnij wreszcie, bo nie chcemy być wiochą”; sam naczelnik parę razy ją kopnął w suchy zadek i powiedział: „zakało”; nawet ksiądz proboszcz zdzielił ją trzonkiem kropidla i krzyknął: „zejdź mi z drogi, paskudo” — gdy chodził po kołędzie i śpieszył się, idąc z błogosławieństwem od domu do domu.

No to musiały mnie opanować złe przeczucia, gdy patrzyłem przez okno na tę szybko maszerującą w kierunku starej topoli procesyjkę z kozą w środku, prowadzoną na długim sznurze.

— Mów, co widzisz — nalegała babcia.

— To samo, moja panienko, jeszcze maszerują z kozą.

— Jak to, maszerują — zawołała — powinni już dojść do olszynek i skrócić na gromadzką trawę, żeby popaść kozę, zesli już z drogi na łąkę, powiedz, czy zesli...

— Zesli.

Skłamałem, bo nie chciałem martwić babci, a oni byli już blisko topoli i miałem bardzo złe przeczucia.

— Choćbyś mi nie powiedział, że skrócili przy olszyn- kach, to i tak bym wiedziała, bo tam jest wyśmienita trawa — rzekła uśmiechając się i jeszcze dodała — już je,

już żre, cały łeb utopiła w trawie i żre, nie musisz mi tego mówić, wiem, że żre, bo nigdzie nie ma takiej dużej trawy jak przy olszynach; jedz, jedz, pojedz sobie, kózko. Powiedz, kto został przy kozie, kto ją pasie.

— Jakiś chłopak wyręcza starego Macieja, który z pewnością stoi teraz na brzegu czarnego jeziora i wpatruje się w wodę, bo wciąż wierzy, że wypłynie na wierzch i objawi mu się lin olbrzym, który żyje na głębokości wśród zatopionych dębowych pni, całymi godzinami tak stoi i rozmawia z rybą, bo on już taki jest, prosi ją: „objaw mi się, rybo, nie zabiję cię, bo cię szanuję, chciałbym cię, rybo, ujrzeć, nim umrę”, wciąż wierzy w cud.

— Żal mi go — rzekła babcia.

Tamci doszli już z tą kozą do topoli i zaczęli coś majstrować przy sznurze; wtedy babcia powiedziała, że jej strasznie zaschło w gardle, i zażądała herbaty, pomyślałem — dam jej pić i pobiegnę do tych z kozą; ale przy picciu mocno się zakrztusiła i musiałem ją unieść, posadzić i delikatnie pomasaować plecy.

Gdy zakrztuszenie minęło i znów podszedłem do okna, koza wisiała już na gałęzi, a jeden z chłopaków, trzymając się tylnych nóg, huśtał się na nich niby na jakiejś zepsutej, pozbawionej siedzenia huśtawce, potem zeskoczył i wszyscy się rozeszli, zostawiając wiszącą kozę, która przez jakiś czas poruszała się w powietrzu niby dziwaczne wahadło dziwnego zegara.

Potem na drodze pojawił się stary Maciej; czy mu ktoś powiedział, że jego koza została powieszona, czy utracił wiarę w cud i zwątpił, że się mu ukaże ogromna ryba, której strzeże sam Bóg, i postanowił wrócić do domu, a wracając ujrzał swoje zwierzę wiszące na gałęzi.

Zbliżał się do topoli z uniesionymi ramionami i coś wykrzykiwał, ale nie można było usłyszeć co, bo dzwony uderzyły na Anioł Pański i zagłuszyły jego krzyk.

Babcia powiedziała:

— Cieszę się, z dwóch rzeczy się cieszę; że koza starego Macieja pasie się na trawie przy olszynach i że dzwony biją na Anioł Pański — i zaraz dodała: — złóż mi ręce, bo chcę się pomodlić, chcę podziękować Bogu za usunięcie kolki i że to krztuszenie się skończyło.

Rozprostowałem jej bezwładne dłonie i próbowałem zło

żyć tak, jak się składa do modlitwy, ale się rozłączały i opadały na boki, więc podłożyłem podpórki z ręczników, pod łokcie i przez jakiś czas ręce utrzymały się, po pierwszej zwrotce wymruczanej pobożnie pieśni „Chwalmy Pana...” znów rozleciały się na boki; więc znów złożyłem te jej miękkie, bezwładne jak ciasto dłonie i żeby się już nie rozłączały, owinąłem je i związałem tasiemką; a gdy to robiłem, babcia śmiała się na cały głos i wykrzykiwała wesoło: — mój sowizdrzale, mój ty kochany sowizdrzale,

— Ity zawsze musisz coś śmiesznego wymyślić — ale zaraz
przeprosiła Boga za ten śmiech i powróciła do pieśni „Chwalmy Pana...”

Podszedłem do okna, stary Maciej stał pod wiszącym trupem kozy i płakał, nie słyszałem jego płaczu, bo dzwony wciąż były na Anioł Pański, ale widziałem, jak podnosi ręce do góry i wyciera łzy brzegiem wypuszczonej na spodnie koszuli.

Podeszli do niego ludzie, którzy wracali z nieszporów i coś do niego mówili, pokazywali rękami wiszącą kozę, potem wyciągali je w luerunku nowych domów miasteczka, a potem szybko nimi poruszali przed jego twarzą i coś mówili, ale nic z tego nie mogłem usłyszeć, choć mocno wychyliłem się z okna, bo dzwony wciąż były na Anioł Pański.

Byłem wściekły na to nieustanne dzwonienie, ale co mogłem poradzić, dopiero gdy się uciszyły, doleciało do mnie:

— Głupi, starej kozy ci żal.

Babcia zaraz się odezwała: — słyszę jakieś głosy, dlaczego mi nie mówisz, co się dzieje na drodze — powiedziała jakby z wyrzutem.

— Dzieci się bawią za płotem, biegają i krzyczą.

— A koza?

— Wciąż żre, nie może się nażreć.

— To dobrze, niech sobie poje.

Od strony topoli znów doleciały do mnie słowa wypowiedane przez tych, którzy się zatrzymali przy starym Macieju.

— Otrzymasz nowe mieszkanie z balkonem. Z widokiem na pola i groblę... W pogodny dzień będziesz mógł dojrzeć pierwszy zakręt rzeki— i jeszcze doleciało do mnie: —

twoja chata będzie rozebrana, żeby nie straszyla dostojnych gości; chodzi o prawa miejskie, zrozum, Macieju, chodzi o pełne prawa miejskie.

Stary milczał i wycierał oczy koszulą, ale gdy zaczęli się rozchodzić, krzyknął: — Boże, spraw, aby nigdy nie otrzymali praw miejskich. — Jeden się odwrócił i powiedział: — nie bluźnij, Macieju — a ten stary jeszcze im dołożył, krzycząc za ich plecami: — Boże, spraw, aby to miasteczko na zawsze zostało wsią — po chwili jeszcze im dołożył wołając do odchodzących: — i żeby o nim naokoło mówiła: „to jakaś zapadła wiocha...”

Potem odszedł, ale zaraz wrócił, przyciągnął z sobą ręczny dwukołowy wózek, przy pomocy drabinki odwiązał powróż, władował kozę na wózek i pojechał z nią na cmentarz zwierząt, aby ją tam pogrzebać.

Jeszcze tego samego dnia poszedł na brzeg czarnego jeziora, myślę, że mogło tak być i z pewnością tak było, że on po tym, co się stało, zapragnął jak nigdy przedtem ujrzeć tę wielką rybę, która żyła tajemnie na samym dnie wśród powalonych dębowych pni, tę ulubienicę samego Boga, nieuchwytną rybę, której ani głębina sieć ciągniona nocą przez zuchwałych, nie znających strachu rybaków, ani olbrzymi wiklinowy bęben z chytrymi, specjalnie kutymi zadziorami, ani przemyślnie zatopiona podrywka, ani sznur z wiszącymi hakami nadzianymi smakowitą przynętą, ani szybki jak kula harpun nie mogły dosięgnąć.

I z pewnością tak było, że gdy stanął na brzegu tej głębokiej wody, przemawiał do ryby niecierpliwym, zdyszonym głosem: —*— rybo, miej litość i zjaw się, nie przyszedłem tu, żeby cię zabić, chcę ci tylko powiedzieć, co oni zrobili z moją kozą, nie muszę cię ujrzeć całej, wystarczy, gdy mi z daleka pokażesz swój rudy, połyskujący bok i koleczastą płetwę na grzbiecie, niechbym do tego rudego blasku i do tej płetwy powiedział, co się stało z tą kozą i że zostałem sam na świecie.

Ale tafla jeziora nie poruszyła się, nie zagotowała w żadnym punkcie i nie rozbiegły się po niej koliste kręgi, i nic nie zabłysło pod powierzchnią jeziora, i nie było żadnego znaku, że w głębinie poruszyła się wielka ryba, a stary Maciej zawołał: — tak chcę cię ujrzeć, że gdy mi

się nie objawisz, sam pójde do ciebie, nie myśl, że stroję sobie żarty.

A gdy woda nadal się nie poruszyła, wszedł w jezioro i rzekł do ryby: — widzisz, że mówię prawdę — zanurzał się powoli, bo wciąż miał nadzieję, ale ryba nie miała litości i on musiał pójść do niej; trzeciego dnia przyszła burza, jezioro się rozszalało i wyrzuciło go na brzeg...

Pamiętam, że tego dnia, w którym obywatele miasteczka powiesili kozę starego Macieja, słońce zachodziło inaczej, było zimne i samotne, podobne do dużego miedzianego pieniądza, wrzucanego do czarnej skarbonki.

Babcia jeszcze raz zapytała się o kozę: — popatrz, czy ta koza pasie się jeszcze przy olszynach, czy już ją zabrali.

— Już ją zabrali — odpowiedziałem.

— Cieszę się, że sobie pojadła! — odrzekła i już ta radość, że koza jest najedzona, wystarczyła jej na końcówkę dnia i na cały dość długi mrok i z tą radością, że koza nie jest głodna, babcia zasnęła; ale choć zasnęła, ta radość od niej nie odeszła, tylko przysnęła w niej i była z nią, bo wargi miała lekko rozchylone w malutkim uśmiechu.

Cieszę się, że się cieszysz, moja panienko — pomyślałem; i zaraz pomyślałem: niech no tylko domowi wybiorą się za trzeci most na poprawiny do stryja, sprawię ci jeszcze większą radość, bo dowiedziałem się, że w tym dniu, w którym stryj urządzi poprawiny dla młodej pary i domowych, flisacy przyłyną dużą tratwą i zatrzymają się w zatoce po naszej stronie, żeby dołączyć do niej sosnowe pnie, które przygotował pan gajowy, i popłyną z nimi dalej; gdy domowa pojedą, wybierzemy się nad rzekę i będę prosił (pana gajowego, padnę przed nim na oba kolana i on da się ubłagać, i flisacy wezmą nas na tratwę, popłyniemy do pierwszego zakrętu.

Tego dnia tak dobrze się złożyło, że domowi dość wcześnie pojechali i mogłem się wysmyknąć z babcią nad wodę i zatrzymać wózek na brzegu, zanim przyplęnęła tratwa; wszystko widzieliśmy, od początku do końca; a było co oglądać, najpierw pojawienie się tratwy podświetlonej od spodu roziskrzonymi kroplami i powolne jej wpływanie do zatoki, widzieliśmy z bliska flisaków, tych ogromnych, dobrych flisaków w luźnych bluzach, i ich wiosła, i jak

tymi wiosłami uderzali w wodę, i jak się krzatali na tym dziwnym, oderwanym od ziemi, osobnym skrawku świata; jeden z nich popatrzył na nas, miał brązową twarz, białe brwi i włosy jak konopie, popatrzył na nas i powiedział: — jak się macie — tak to powiedział, jakby sam Bóg do nas się odezwał.

Potem widzieliśmy, jak dwie puchówki z czterema flisakami odbiły od brzegu i popłynęły w górę rzeki, i jak potem wracały, prowadząc z sobą luźno płynące sosnowe pnie, i jak potem te sosny były dopinane do tratwy drutami i cienkimi łańcuchami.

Ukląknęłam przed panem gajowym, gdy flisacy zabrali się do pierwszej kłody; gdy mnie zobaczył na kolanach, przestraszył się i zawołał: — co się stało — wtedy błagalnym głosem zacząłem mówić, że babcia przez całe życie pragnęła wejść na tratwę i przepłynąć choćby wolnym, przybrzeżnym nurtem do najbliższego zakrętu i że chciałem zrobić jej tę frajdę przed śmiercią, póki jeszcze widzi, mówi i czuje.

Pan gajowy od razu na to:

— Wiedziałem, że jesteś głupek i sowizdrzał i że niestworzone rzeczy chodzą ci po głowie, ale czegoś takiego się nie spodziewałem — a po chwili: — tego robić nie wolno — a potem umilkł; ale ja nie wstawałem z klęczek, flisacy przestali spinać kłody i patrzyli na nas, babcia także patrzyła z postawionego ukośnie wózka, cisza się zrobiła na brzegu, a ja już wiedziałem, że w panu gajowym toczy się wielka walka i że obok słów „tego robić nie wolno” pojawiło się nie wypowiedziane, tylko pomyślane „należy pozwolić”; już wiedziałem, że w panu gajowym utworzyły się dwa „wojska”, jedno ma na sztandarze „nie wolno”, a drugie „pozwolić”, i że pan gajowy przemierzył z tymi walczącymi w nim wojskami ogromnie trudną drogę; a po chwili już wiedziałem, że zwyciężyło „pozwolić”, bo dotknął ręką mojego ramienia i zwrócił się do flisaków: — ten głupek i sowizdrzał błaga mnie, żebym mu pozwolił wjechać z babcią na tratwę i popłynąć do pierwszego zakrętu, mówi, że ona bardzo tego pragnie, a czasu ma niewiele.

Flisacy słysząc to uśmiechnęli się tak, jak uśmiechają się święci, i już wiedziałem, że się zgodzą.

Z pomocą pana gajowego i flisaków wtoczyłem wózek z babcią na tratwę, ustawiłem go tak, żeby mogła patrzeć na brzeg; zaraz flisacy stanęli szeregiem na skraju tratwy, wbili wiosła w przybrzeżny piasek i odepchnęli ją od brzegu zatoki, a potem jeszcze dalej ją odepchnęli i ona znalazła się na wolnym, bocznym nurcie rzeki; wtedy flisacy rozstawili się na całym obrzeżu tratwy, a jeden z nich, ten z białymi brwiami i włosami, doskoczył do steru; ten, który trzymał długi, oskórowany drążek do badania głębokości wody, popatrzył na nas uważnie i powiedział:

— Macie szczęście, bo to ostatnia tratwa.

— A co będzie potem? — spytałem.

— Potem będą motorowe barki i galary.

Mogłem sobie przedstawić, jak to będzie, bo raz czy dwa razy taką barkę widziałem, czarne to było i żelazne, warczało to i wypuszczało z siebie ciemny dym i od czasu do czasu bluzgało na rzekę brudną, gęstą cieczą; małe, śmieszne ludziki w wysmarowanych czarną mazią obcisłych ubraniach siedziały na niej, a gdy zaczął kropić deszcz, te ludziki uciekły w popłochu i schowały się w środku barki, niemiły zapach szedł od niej i wplątywał się w przybrzeżne wikliny, liście marszczyły się ze strachu i zwijały w trąbki, bały się ptaki i ryby, motyle, ważki, fruujące żuki, różowe świtezianki w przezroczystych szatach, podobne do nieskromnych panienek na balu, a także owadzia piechota, gąsienice jeszcze nie przeistoczone, czarne, ciężkie żuki, które wolą chodzenie niż fruwanie, pająki, skorki, wszystko, co żyje i może się poruszać, uciekało w popłochu przed tym czarnym, brudnym i warczącym żelazem.

Odepchnięta od brzegu tratwa popłynęła i poruszył się brzeg, i sunął w przeciwną stronę, i zaraz zaczęły odpływać ukazujące się w prześwitach między krzakami wikliny wieże kościoła, narożna wieża ratusza i komin rzeźni.

Pochyliłem się nad babcią i szepnąłem jej do ucha: — płyniemy, moja panienko.

— Nie mogę w to uwierzyć — odrzekła, uśmiechając się tym swoim bezzębnym, dziąsłowym uśmiechem i równocześnie kilkoma łzami, które w pośpiechu gołymi pal

cami zatrzymałem w przyocznych bruzdach jej policzków i starłem z twarzy; ale nim je zatrzymałem i starłem, przypatrzyłem się im dokładnie, bo ze mnie taki głupek, który czasem lubi przyglądać się rzeczy malutkiej; przekonałem się, że łza się nie starzeje, jest wiecznie młoda, a właściwie łza nie ma wieku; no bo przecież wytrysła ze starych, zapadniętych oczu i sunęła po szarej, zmarszczonej niby zmięty papier twarzy, a była czysta i niczym się nie różniła od łzy dziecka, a może nawet była czystsza i bardziej przejrzysta niż dziecięca łza, niby kropla białego wina, które im starsze, tym mocniej świeci.

— A to ci heca — powiedziała i jeszcze dodała: — już myślę o tym, co będą mówić ludzie, gdy się dowiedzą o naszej wyprawie.

- Jak można teraz o takim czymś myśleć — rzekłem do niej, a potem wyciągnąłem rękę w kierunku oddalającego się miasteczka i dodałem: — oni tam, a my tu, na tratwie.

Babcia to zaraz podchwyciła i powtórzyła za mną dość silnym, dumnym głosem: — oni tam, a my z flisakami...

Gdyby jeszcze mógł być z nami pan gajowy — pomyślałem, dorzucając jakby szczęście do szczęścia, ale on musiał pójść do lasu, żeby się pożegnać z trzema starymi dębami, które miały iść pod piłę; i gdyby można jeszcze wskrzesić starego Macieja i wziąć go na tratwę, i gdyby można było wskrzesić i wprowadzić na tratwę jego kozę, i gdyby mógł jeszcze płynąć przy skrajnym pniu tratwy ten ogromny lin przemieniony w litościwą rybę, byłaby tu wtedy cała nasza kompania.

Ale oto nadleciała gromada skrzydlatych kompanów, rybitwy zaczęły kołować nad tratwą i pokrzykiwać na nas z góry, z zaciekawieniem przypatrywały się babci, zniżały się nad nią i wtedy milkły, słyhać było tylko głos nabierających powietrza skrzydeł, podobny do cichych oddechów.

Więc babcia do tych ptaków, bratając się z nimi i popatrując na odpływające wieże miasteczka: — oni tam, a my tu z wami, rybitwami.

Przyłączyłem się ochoczo do tego, co powiedziała, i wygłosiłem w myśli; tak na hecę, krótką litanie zaczynającą się od słów: „oni tam...”

Oni tam w nowych domach na balkonikach, a my tu wśród białych ptaków, oni tam w zachwycie przy Mercedesie tego fryzjera, który przez jakiś czas golił w Buffalo, New York State; albo przy Volvo inżyniera, który w Bostonie, Massachusetts State, ścierał kurze specjalną amerykańską ścierką, która sama wskakiwała do ręki i sama prowadziła rękę po kurzu, a my tu przy młodej pliszce, która usiadła na drążku steru, żeby się pohuścić; oni tam ucieszeni powieszeniem kozy i pełni nadziei, że uzyskają prawa miejskie, a my tu uradowani, że ta pliszka przeskoczyła z drążka na górny kant płetwy steru i może się jeszcze mocniej huścić; oni tam brodzą we krwi rozlanej w głównej hali uboju, a my tu na czyściutkiej podłodze ogromnego domu bez ścian i bez dachu.

W tym czasie flisacy musieli znów stanąć szeregiem na prawym brzegu tratwy i odpychać ją wiosłami i tyczkami od płycizny, a gdy ją odepchnęli i znów wpłynęła na stateczny nurt pośredni, między leniwym nurtem przybrzeżnym a szybkim, zjeżonym nurtem głębinnym, odetchnęli z ulgą i zaraz zaśpiewali: „Płyn, tratwo moja, płyn w niezmierzoną dal...”

Ta pieśń jeszcze bardziej oddaliła tratwę od reszty świata i uczyniła ją czymś lepszym niż świat, taką jakby samoistną, płynącą wyspą dobroci.

Pochyliłem się nad babcią, bo zauważyłem, że chce mi coś powiedzieć.

— Za dużo szczęścia, za dużo szczęścia naraz — szepnęła uśmiechając się małym, nie rozwierającym warg uśmiechem — za dużo szczęścia, żeby żyć — i zaraz przymknęła oczy, ale ten uśmiech pozostał, gdy jeszcze bardziej przymknęła oczy i tylko szparkami patrzyła na mnie, więc ja do niej cicho, ale niecierpliwie: — sen cię morzy, moja panienko, teraz gdy płyniesz na prawdziwej tratwie i flisacy śpiewają, gdy rybitwy nad tobą kołują, a pliszki obsiadły drążek steru i skrajne pnie tratwy, popatrz, ile tych ptaków, nie śpij, bo to ostatnia tratwa.

Ona wtedy zupełnie zamknęła oczy, ale ten mały uśmiech wciąż był na jej twarzy; schyliłem się do jej ucha i wołałem natarczywie: — obudź się, tratwa dopływa już do starych wiązków, do tych czcigodnych starców pana gajowego, nie śpij, czcigodni starcy czekają na ciebie, obudź

się — położyłem rękę na jej czole i poruszyłem jej głowę i znów zawołałem: — obudź się, bo to ostatnia tratwa i musisz się wszystkiemu napatrzeć — ale ona nie otworzyła oczu, spała z tym małym uśmiechem na twarzy.

Wtedy położyłem dłoń na jej ramieniu i wypowiedziałem te od dawna przygotowane słowa: — czeka cię wielka przygoda, moja panienko, popłyniesz na złotej tratwie dużą, czystą rzeką, białe rybitwy będą nad tobą kołować — i jeszcze powiedziałem: — nie wysiądziesz na pierwszym zakręcie ani na drugim, ani na trzecim, na żadnym zakręcie nie wysiądziesz, bo dla ciebie skończyła się wszelka liczba, popłyniesz do morza i za morze, na koniec świata i dalej, białe rybitwy wciąż będą nad tobą..

Konie noweli

* * * * *

Gitara z rajskiej czereśni

Po prostu zwykły tunel w dużym mieście, takie zwykłe przejście podziemne pod skrzyżowaniem dwóch głównych ulic, wiecznie huczących niby duża woda w czas burzy.

Wchodzę do niego opadającą łagodnie aleją parku — nadaję tę dumną, wyniosłą, a może nawet i pyszną nazwę „park” tym ledwie żywym drzewom i krzewom skazanym na nieustanną chorobliwą przezroczystość i niemożność osiągnięcia kształtu, kwiatom z opuszczonymi głowami, trawie tkniętej żółtawą martwością.

Wchodzę opadającą łagodnie aleją w ten tunel, w tę gardziel, która połyka gęstą ławicę ludzi sunącą od strony parku, niesie ją przez całą swą długość i wyrzuca na kamienny plac dotykający dworca głównego i równocześnie drugą ławicę ludzi połyka od strony kamiennego placu i wyrzuca w park.

Zwyczajna rzecz to połykanie i wydalanie ludzi przez tunel, dzieje się to w każdym podziemnym przejściu w każdym dużym mieście i nie o to mi chodzi, gdy opowiadam o tym tunelu; i nie o to też, że po obu stronach ma on niewielkie sklepiki z pamiątkami, zakład fryzjerski, małą księgarnię, w której więcej albumów i gazet niż książek, perfumerię, kwaciarnię i kawiarenkę, bo to jest prawie w każdym takim podziemnym przejściu w każdym wielkim mieście, i nawet nie o to chodzi, że ma on swojego, można by rzec, tunelowego, podziemnego grajka, który za dobrowolnie ofiarowany grosz wygrywa i wyśpiewuje różne rzewne kawałki, bo proszący grajek to też nic nadzwyczajnego w takim podziemnym przejściu.

Chodzi niewątpliwie o to i tylko o to, o nic innego, tylko o to, że ten tunel ma niezwykłego grajka; no bo mogą być różni uliczni, tunelowi grajkowie, starzy, młodzi, bardziej rzewni, mniej rzewni, tacy, owacy, ale ten jest grajkiem niezwykłym.

Gdy zagra i zaśpiewa, to zdaje się, że zszedł do tego tunelu wprost z czystej, nieskazitelnej przestrzeni i tę przestrzeń w to podziemie przydźwigał; jedna pieśń jak równina pól, druga jak duża, wolno płynąca rzeka, trze

cia jak powietrze pełne jasności, jest pieśń jak ścieżka w lesie, jak rosnące drzewo; on tak gra, jakby to wszystko malował i jakby malował spokój i dobroć.

Niewysoki, ale mocno, zwięzłe zbudowany, nieco powyżej średniego wieku, śniadawa twarz, włosy lekko tknięte siwizną, wydaje się, że mógłby rozładowywać wagony, walić młotem w kuźni lub obalać drzewa, ale tak się tylko wydaje, bo on nikim innym nie mógłby być, tylko tym grajkiem czarodziejem, co mówią już jego oczy, jakby wyrrywające się z głowy i skierowane ku górze, skierowane — rzecz biorąc zwyczajnie — ku lampom w powale tunelu, ale właściwie ku dalom i wysokościami bez końca.

Sam Bóg, któremu zrobiło się żal zmęczonych i smutnych ludzi w wielkowiejskim tunelu, włożył mu do rąk gitarę z umieszczonym na niej dookólnym napisem „gitarą z rajskiej czereśni” i postawił u jego stóp specjalny półra mechaniczny bęben z nożnym pedałem i umieścił na nim z italiańska brzmiący napis „tamburo meccanico”, i kazał mu tam grać i śpiewać.

Pedałowy mechanizm, a właściwie półmechanizm sprawiał, że ten grajek mógł równocześnie grać, śpiewać i samemu sobie akompaniować uderzeniami w bęben.

Znam go i wiem sporo o jego życiu i on o moim także, mogę nawet powiedzieć, że jest moim przyjacielem, i on z pewnością może o mnie to samo powiedzieć; parę razy, gdy wypadło mi wracać do domu późnym wieczorem, gdy tunel już się przerzedził, a on siedział na niskim składanym krzeselku i odpoczywał po wielogodzinnym graniu i śpiewaniu, podszedłem do niego, sam nawet nie wiem, dlaczego podszedłem, chyba z ciekawości, tak zwyczajnie jak człowiek do człowieka, i zagadnąłem go; z tego do tego, i wywiązała się rozmowa, raz, drugi, trzeci i tak jakoś doszło do bliższej znajomości.

Z początku ja do niego: — panie mistrzu — a on zaraz odparowuje z uśmiechem: — po co „panie”, jaki ze mnie pan — więc ja po prostu: — mistrzu — na „mistrza” przystał, na „pana” nie.

Ja także, gdy zwrócił się do mnie: — panie literacie — przerwałem mu: — nie musi być to „panie” — i zostało samo „literacie, pisarzu”.

Któregoś wieczoru, gdy tunel raptem opustoszał, wy-

ciągnął szybko z burej marynarki flaszczykę jałowcówki i w paru kieliszkach tej smakowitej wódki utopiliśmy na amen tych „panów”, którymi tytułowaliśmy się na początku. Ożywiony, a także nieco rozmarzony dotknął mojego ramienia i powiedział cicho: — życie, życie — pusty tunel natychmiast chwycił te słowa i zaczął głośno je powtarzać echem i zaczął nimi bić po zwilgotniałych ścianach, sklepowych szybach i suficie, zwielokrotniał je i zagęszczał, i przepychał przez całą swoją długość jako zgęstniałą, jednolitą miazgę. Po chwili jeszcze bardziej ożywiony i rozmarzony rzekł: — cud, że żyję, cud, że się nie spaliłem w trocinia-ku, bo gdy się urodziłem jako nieślubne dziecko, matka zagrzebała mnie w kupie śmieci, tak bała się swojej matki i ojca; szczęście, że to nie były takie zwyczajne śmieci, ale kupa trocin i wiórów, bo to moje miasteczko słynęło od dawna z tartaku i wyrobu mebli, wszędzie leżały trociny i wióry i paliło się nimi w dużych piecach trocinia-kach; w zwykłych śmieciach byłoby po mnie, w zwykłych trocinach także byłoby po mnie, ale w wiórach albo w trocinach zmieszanych z wiórami można przeżyć; ktoś mnie tam znalazł, bo z pewnością wrzeszczałem, a przez wióry głos się dobywa; przez dobrych parę lat przechodziłem z jednych litościwych rąk do drugich, aż w końcu wróciłem do matki; ludzie zaraz powiedzieli mi, jak było ze mną, ale matce nie mówiłem, że wiem, bo się bałem; jednak gdy podrosłem i chciałem chodzić z muzykantami po odpustach, a ona mi na to nie pozwalała, wpadłem w nerwy i wypaliłem: „w trociny to mnie wrzuciłaś, a teraz nie chcesz mnie puścić z muzykantami”, zaczęła płakać, więc zrobiło mi się jej żal, pocałowałem ją w mokry policzek i drugi raz w rękę i rzekłem: „nie płacz, nie myślę źle o tobie, przecież wtedy mogłaś skrócić do bajorka, a nie skrócić, przecież mogłaś mnie zanieść albo do bajorka, albo do wiórów, które są suche i ciepłe i przepuszczają powietrze, przecież wybrałaś kuję wiórów”, ale nie powiedziałem jej o tym, że te trociny i wióry zgarniało się na oślep do dużych koszy i potem wysypywało też na oślep do dużych trociniaków, i nie wspomniałem jej, że czasem łobuzy podpalali te kupy trocin i wiórów

i wzniecali dla zabawy duży ogień, i że ona o tym wiedziała; uspokoiła się i pozwoliła mi chodzić po odpustach, żyje jeszcze i kocham ją i nie sędzę, że wtedy mogła mieć nadzieję, że się spale żywem, bo przecież mogła mieć nadzieję, że mnie ktoś znajdzie; wolę myśleć, że miała, tę drugą nadzieję, bo chcę mieć dobrą matkę, odwiedzam ją czasem i daję jej pieniądze; gdy całuję jej przywiedniętą twarz, mówię w sobie do niej: „nie martw się, kochałbym cię nawet wtedy, gdybyś tamtego dnia miała tę pierwszą nadzieję, bo przecież bardzo się bałaś matki i ojca...”

Znów schodzę spadającą łagodnie aleją do jasno oświetlonego tunelu, znów jest wieczór, słyszę dźwięki gitary i śpiew, i bębnienie w tamburo meccanico, mistrz daje długą, rozciągniętą pieśń o niezłomnej, ale zakazanej miłości, przechodnie zatrzymują się, słuchają, ktoś rzuci jakiś grosz do postawionej obok bębna drewnianej skrzyneczki.

Zbliżam się do mistrza, uśmiecham i chcę iść dalej, żeby mu nie przeszkadzać, bo doszedł właśnie do tego ważnego fragmentu pieśni, w którym gorąca miłość nie boi się śmierci i jakiś piękny ubogi młodzieniec i jakaś piękna bogata panienska tak bardzo się miłują, że gdy nieczuły ojciec panienski chce ich rozdzielić, oboje godzą się na śmierć, a przedtem wyszydzają, wykpiwają tego damskiego kościotrupa z kosą, robią go na szaro i udowadniają mu, że jest śmieszny i nieporadny, bo może tylko ściąć głowy, ale nie zetnie miłości, bo na wielką miłość — jak głosi pieśń grajka — nie ma kosy; choćby ta śmierć nie wiem jak wyklepała na babce stalowym młotkiem i wyostrzyła kosę, choćby ją pociągnęła umoczoną w wodzie oselką i przystawiła do wirującego bruska i wyrównała ostrze drobno ciętym pilnikiem, nie poradzi sobie z wielkim kO'-chaniem, tylko się wygłupi, i koniec.

Mistrz był właśnie przy tej partii pieśni, gdy idąc wolnym, zmęczonym krokiem zatrzymałem się chwilę przy nim, a gdy miałem odchodzić, on po słowach: „na próżno kosą wywijają, w końcu z niemocy swej i wstydu głośno się rozplakała”, przerwał śpiewanie i granie i zawołał: — przyjacielu, zatrzymaj się chwilę w kawiarence, przyjdę do, ciebie, gdy skończę, obmyśliłem coś takiego, że się zdziwisz.

Nie sposób było mu odmówić, usiadłem więc przy ma- i lej kawie za dużą szybą, skąd mogłem dobrze obserwować długi odcinek oświetlonego tunelu i przechodniów, jak wchodzi z zmęczonymi, zatroskanymi twarzami, jeszcze nie przyłapani przez pieśń, jak później, gdy chwycili muzykę i śpiew, rozkurczają się z wolna i wygładzają ich twarze, potem idą ku tym dźwiękom z zaciekawieniem i jakąś niepojętą nadzieją, jakby się mieli spotkać z czymś dobrym, ich usta lekko drżą i rozchylają w dyskretnym uśmiechu; ale oto zbliżyli się już do grajka, przystanęli, coś się z nimi dzieje, chyba zapomnieli o tym, co ciężkie, co ostre, co kolczaste, przy jego muzyce i pieśni wychwytyją z życia to, do dobre i piękne; ten stary zapomniał, że jest stary, myśli, że jest młody, a właściwie chyba o niczym nie myśli, odczłowieczył się zbawiennie, odczuwa tchnienie wieczności; ta dziewczyna drży, jakby miała pod skórą rój ruchliwych, wesołych stworzonek, ta kobieta uśmiecha się i porusza wargami, coś mówi do siebie i znów się uśmiecha, może do jakiejś dobrej chwili, którą zgubiła, a teraz przy tej pieśni znalazła.

Odmienił ludzi ten grajek czarodziej, jednak muszą odejść, zdążają w kierunku wylotu tunelu, oddalają się od pieśni, powracają do siebie samych sprzed kilku chwil i stają się takimi, jakimi byli, nim tu weszli, znów biorą na swoje barki zmartwienia i zgryzoty, znów wiedzą, że czas przemija i że muszą umrzeć, i znów boją się śmierci.

Przybiegł do mnie uradowany i od razu:

— Coś obmyśliłem, coś cudownego, pisarzu, ty moje kochane gryzipiórko, nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, co obmyśliłem.

— Coś ty takiego wymyślił, mów, bo już nie mogę wytrzymać z ciekawości — powiedziałem do niego z uśmiechem.

— Ciekawy jesteś, to ci powiem, obmyśliłem taki wypad, taką wycieczkę, wędrowkę za miasto, daleko za miasto, tak trochę w nieznanie, na parę dni, może na tydzień.

— Co ci strzeliło do głowy, mistrzu!

— Znudził mi się już ten tunel, chce mi się do innych ludzi, do pól, do lasu, chciałbym zagrać na gitarze i pobić w tamburo meccanico na jakimś cichym brzegu rzeki, niechby mnie posłuchali ci, którzy o świcie i wieczorem

przychodzą nad wodę łowić ryby na podrywki, mógłbym też zagrać i zaśpiewać gdzieś na odpuście lub na jakimś festynie; pooglądamy sobie świat, porozmawiamy z ludźmi, trzeba będzie kogoś rozweselić, rozweselimy, przyjdzie zrobić komuś coś dobrego, zrobimy, przyjdzie ugłaskać muzyką złość i ukoić smutek, ugłaskamy i ukoimy, prześpimy się w stodole u jakiegoś dobrego człowieka albo w kopce siana, jak za młodych lat, jedzenia trochę weźmiemy, trochę dokupimy, opijemy się kwaśnego mleka jak bąki, dobrzy ludzie nie poskapią grosza za ładne granie, ty będziesz chodził z kapeluszem i zbierał pieniądze, nikt cię nie pozna, pisarzu, nie bój się.

— Zaczyna mi się podobać twój plan, mistrzuniu.

— Dopiero zaczyna, powinieś już podskakiwać z radości, że coś takiego wymyśliłem.

— Podskakuję, podskakuję w sobie i tak się cieszę, że cię proszę, abys zagrał na cześć tego planu...

Sięgnął po opartą o ścianę kawiarenki gitarę i uderzył leciutko palcami w struny, mechanizmu tamburo nie uruchamiał, bo w kawiarni nie wolno grać głośno.

Ludzie na nas popatrzyli i uśmiechnęli się przyjemnie, ten uśmiech przez chwilę zatrzymał się na ich twarzach, rozmarzyli się.

Przy tych dźwiękach jeszcze bardziej spodobał mi się plan grajka, one jakby wytyczały trasę naszej wędrówki, pokazywały wysokie, przeogromnie rozłożyste topole idące z biegiem dużej rzeki i ten cały pas nadrzeczny z wsiami, drogami polnymi i olszynowymi zagajnikami; toteż gdy mistrz przestał trącać struny i oparł instrument o ścianę, położyłem mu rękę na ramieniu i powiedziałem:

— Jestem zachwycony twoim planem, mistrzu, ale chciałbym, żebyśmy poszli pasem nadrzecznym, abym mógł powtórzyć dawną drogę...

— Pewnie, że powędrujemy pasem nadrzecznym, i mnie tam ciągnie, dojedziemy pociągiem do dziewiątego przystanku, wysiądziemy i powędrujemy.

Umilkł i zamyślił się, ja także przestałem mówić, a gdy milczeliśmy, uwyraźnił się i zróżnicował szum rozmów ludzi siedzących przy stolikach, słychać było ciche dzwonienie filiżanek trącanych łyżeczkami, chrzęst krzesełek przygniatających ciałami tęgich pań i panów, bulgotanie nale

wanej gorącej kawy, wydawało się, że to nie kawiarenka, ale mały okręt płynący dużą, cichą wodą. I Po chwili grajek ocknął się z zamyślenia i rzekł gło- Iśńó, niemal wykrzyknął: — jest jeszcze jedna sprawa —. a potem już ciszej, bo zwrócił na siebie uwagę ludzi — jest jeszcze jedna sprawa, o której nie powiedziałem...

— Jaka sprawa?

— A taka, że chciałbym, abyśmy naszą wędrowkę zakończyli w moim rodzinnym miasteczku, u mojej matki w dniu jej imienin, podeszlibyśmy wieczorem do okna jej domku, zagrałbym i zaśpiewał, zrobilibyśmy jej niespodziankę, na pewno by się ucieszyła.

— Nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy tak zrobili, dobrze, że o tym pomyślałeś.

— Jej nikt nigdy nie zagrał pod oknem, wiem to od ludzi, od ludzi wszystkiego się dowiesz, o sobie, gdy byłeś dzieckiem, o matce i ojcu, o babce i dziadku, nawet o pradziadkach dowiesz się, ludzie wszystko wiedzą; no to wiem, że jej żaden kawaler nie zagrał, nie zaśpiewał, bo była biedna i do tego dziwna, każdej innej ktoś zagrał, na gitarze, na mandolinie albo na harmonii, a jej to nawet na grzebieniu, na liściu nikt nie zagrał; ten, który był moim ojcem i który się gdzieś zatracił w świecie, uwiódł ją bez żadnych ceregieli, nie musiał jej grać i nucić, nie musiał przychodzić z muzyką, bo była biedna, no to teraz na imieniny jej zagram, tak zagram, jakby przyszło stu kawalerów z gitarami, mandolinami, skrzypcami i trąbkami, i do tego jeszcze zaśpiewam, i do tego jeszcze włączę tamburo meccanico, uczynię z siebie trzech, to będzie trio w jednej osobie, to musi być muzyka, która postawi na nogi całe miasteczko i wszystkie okna pootwiera, która rozejdzie się po całej dolinie i będzie wysoka jak góra; ale się będzie cieszyć i już chyba raz na zawsze zapomni o tych trocinach i wiórach, w które mnie prasnęła z ogromnego lęku, tak ogromnego jak lęk przed ogniem przykładanym do skóry; i nigdy nie pomyśli o tych wielkich piecach trociniakach jako o swojej dawnej nadziei, choćby one nawet tą jej nadzieją były w dniu, w którym mnie zagrzebała w wiórach.

Umilkł, a ja do niego: — po tym, co powiedziałeś, jeszcze bardziej się cieszę, że pójdziemy na tę wędrowkę —

a on nagle i niespodziewanie: — Boże, jaką ona w tym dniu miała nadzieję, tego nikt nie wie, ludzie, którzy wszystko wiedzą, tego nie wiedzą, lepiej, że nie wiedzą, lepiej, że nie wiem, to dobrze, że ani Bóg, ani diabeł nie chce mi tego powiedzieć, i niech mi nikt tego nie mówi, ty także niczego nie kombinuj, pisarzu, i nie zastanawiaj się, bo nie dasz rady zgłębić.

— Niczego nie kombinuję, mistrzu, tylko się cieszę, że pójdziemy do jej domu wieczorem w dniu jej imienin i że jej zagrasz i zaśpiewasz, i że będzie się cieszyć.

— Już się z tego raduję, moje ty kochane gryzipiórko — powiedział mistrz wesoło.

— Po to się właściwie wybierzemy na tę wędrowkę — dodałem.

— Pewnie, że po to, ale i po to, żebyś później ten nasz wypad za miasto opisał, będzie co opisać, będą ładne rzeczy...

— Opiszę, wezmę notes i długopis i będę notował, a później zrobię z tego opowiadanie albo coś więcej.

Urwałem nagle, bo kawiarenka tak jakby się uciszyła i obawiałem się, że mój głos zakłóci tę ciszę; zdarza się, że nawet najbardziej gwarne, napelnione różnymi dźwiękami i głosami miejsca w dużym mieście napada ni stąd, ni zowąd cisza, wszystkie dźwięki, szumy, dudnienia w jednej sekundzie wstrzymują swój zawrotny bieg, ktoś, nie wiadomo kto, może jakiś litościwy duch przenikający świat, chce nam dać okazję, abyśmy się zapytali o sens tej gonitwy, ale nie korzystamy z okazji i zamiary litościwego ducha wzywającego do opamiętania są daremne, bo znów rusza do przodu, na oślep ta gonitwa hałasu i wrzasku.

Mistrz rzewnej pieśni, gitary i półmechanicznego tam- buro miał teraz skupioną twarz z zastygłym na niej uśmiechem, może podążał wyobraźnią do swojego miasteczka, gdzie się urodził, a ja pomyślałem: nikomu nie powiem, że wybrałem się w nieznaną z ulicznym grajkiem i że tę wędrowkę wziąłem na warsztat, dopiero gdy napiszę, niech przeczytają, niech się dowiedzą; żonie też nie powiem, dobrze, że córka i zięć wzięli ją na wczasy w góry, wprowadzie tam nie odpocznie, bo będzie musiała pomagać przy wnuku, ale dobrze, że zostałem sam, bo mogę pójść z graj-

Ikiem; gdyby była w domu, na pewno nie pozwoliłaby Imi iść na tę wędrowkę, powiedziała by, pukając się w czo- ło: „co ci strzeliło do głowy, tyś chyba oszalał”; i jeszcze na pewno powiedziała by z lękiem i troską w głosie: „bra- Itasz się z jakimś włóczęgą, narobisz sobie kłopotów, mo- [że nawet do nieszczęścia dojść”; i jeszcze z pewnością usłyszalibyśmy: „tyś jeszcze gotów z tym grajkiem bruderszaft wypić, znam cię”, a gdybym się przyznał i odpowiedział jej: „to się już stało, jesteśmy już po bruderszafcie”, toby dopiero było...

Mistrz wyszedł wreszcie z zadumy i rzekł: — gdy w pisaniu dojdiesz do mojego rodzinnego domu i do mojej matki, to napisz: „drzwi otworzyła nam stateczna, urocza pani”; napisz „pani”, bo dotąd w życiu od nikogo tego nie usłyszała, zawsze było: „ta Kaśka”; raz tylko, dawno temu, na jarmarku Żyd do niej powiedział: „panienko”, całą noc nie spała z wrażenia, to też wiem od ludzi; więc napisz, koniecznie napisz: „drzwi otworzyła stateczna, urocza pani”; i jeszcze napisz: „uśmiechnęła się i poprosiła, abyśmy weszli do środka”; i jeszcze dodaj: „wciąż patrzyła na syna tymi swoimi szaroniebieskimi, przymglonymi wzruszeniem oczami, w których jarzyła się wieczna macierzyńska miłość.”

— Nie martw się, mistrzu, będzie to w opowiadaniu — zapewniałem go, a on dziękując mi bezsłownie, gdyż był wzruszony i nie mógł wydobyć głosu, dotknął delikatnie mojego ramienia swoją niedużą, przykurczoną na kształt miseczki dłonią. Ustaliliśmy, że w pociągu mistrz nie będzie śpiewał ani grał, a więc gitara i tamburo meccanico powędrowały na górną półkę, a my usiedliśmy przy oknie, aby patrzeć na krajobraz i liczyć przystanki, bo na dziewiątym mieliśmy wysiąść.

Ścigaliśmy i wyprzedzaliśmy pasma ziemi płaskiej, dolin- nej, pola z dojrzałym i dojrzewającym zbożem, rozłożyste i duże jak osobne światy topole, rozparte, pewne siebie wierzby i skupione lęklivo w niewielkich zagajnikach zatrwożone olszyny, czasem przeleciał ptak, a chyżość jego lotu i chyżość pociągu przy wymijaniu przemieniały

ptaka na sekundę w wyraźną czarną linię narysowaną w powietrzu.

⁴— Dobrą rzecz wymyśliłem, no nie — powiedział mistrz.

— Dobrą, to za mało powiedziane, cudowną rzecz wymyśliłeś, mistrzu.

— To się dopiero zaczyna, mój ty złoty, i już tyle rzeczy do oglądania i podziwiania, wyobrażam sobie, co to będzie, gdy wsiądziemy i oddalimy się od toru, zostawimy za sobą dudnienie pociągu i gwizd lokomotywy, gdy wejdziemy w prawdziwą wieś; będziemy z bliska przyglądać się drzewom, zwierzętom i ptakom i może nawet uda się nam podejść do źrebęcia i pogłaskać je po chrapach, dać mu rękę do zabawy, niech ją chwyta ciepłymi i miękkimi jak aksamit wargami, lubiłem to robić, gdy byłem pastuchem u chłopa we wsi niedaleko miasteczka, czasem to nawet obejmowałem takiego źrebaka za kark, przytulałem się do niego jak do brata i mówiłem: „mój ty, mój ty..k” •

— Ja także to lubiłem, mistrzu, i chciałbym, aby się nam udało na jakimś pastwisku podejść do źrebęcia, myślę, że mógłbyś mu nawet zagrać.

— Wiesz, że zagrałbym, ale chyba tylko na gitarze, i to cichutko, tamburo meccanico nie włączałbym, bo mógłby się spłoszyć, ale może wymruczałbym mu coś wesołego.

Z rozmowy o źrebęciach przeszliśmy na rozmowę o ptakach, głównie o jastrzębiach, bo — jak się okazało — bardzo nam utkwiły w pamięci te ptaki i cieszyliśmy się, że je ujrzymy, gdy będziemy wędrować okolicą nadrzeczną; przypomnieliśmy sobie, że jastrząb tak fruwa, jakby nie fruwał, wystarczy, że się położy w górze na powietrzu i ono go niesie, dokąd on chce, bywa niekiedy, że stanie w powietrzu nieruchomo i nie spada, jakby go sam Bóg trzymał na sznurku, a potem to tak się dzieje, jakby Bóg, bawiąc się tym ptakiem, wypuścił z ręki sznurek z nudów albo przez nieuwagę i po takim przeoczeniu czy zachciance Boga jastrząb traci nagle formę ptaka, zamienia się w taką jakby z grubsza ciosaną ze starego, przyczer- niałego drewna strzałę i taki niby to drewniany, nieżywy spada na ziemię, a w gruncie rzeczy okrutnie żywy spada znienacka na swoją ofiarę, wymarzoną w tym czasie,

gdy powietrze niosło go po tych półkolistych i kolistych liniach, po tych zawijasach nad polami, a potem ujrzaną w chwili, gdy niby zabawka zawisł na sznurku opuszczonym z niebios, a potem skazaną na śmierć, gdy ten sznurek się zerwał.

I Z ptaków przeszliśmy na ryby, ale nim zaczęliśmy o rybach, mistrz rzewnej pieśni, gitary i półmechanicznego tamburo popatrzył na mnie tymi swoimi wypukłymi, pociągniętymi mokrym blaskiem oczami i rzekł z taką jakąś natarczywą prośbą w głosie:

— W tym opowiadaniu, które ułożysz, gdy wrócimy z wędrówki, w miejscu, gdzie będzie o moim rodzinnym domu i matce, nie zapomnij jeszcze dopisać: „matka nie spuszczała oczu z syna nawet wtedy, gdy zapraszała do stołu, miło było patrzeć na tę dobrą matkę” — i jeszcze dodał błagalnie: — musisz mi pomóc, musimy wymazać z jej pamięci te stosy trocin i wiórów, żeby stały się nieprawdą i żeby stały się nieprawdą te piece trociniaki.

— Będę się starał tak ułożyć to opowiadanie, żeby zmazać te stosy trocin i wiórów i uczynić je nieprawdą, a prawdą uczynić to, że ona prasnęłaby cię do złotego puchu w złotej kołysce, gdyby mogła, tak ułożę opowiadanie, że twoja matka stanie się taka jak moja, przyrzekam, że ofiaruję ci dobrą matkę.

— Złoty puch, złota kołyska, to dobre, gdy to mówisz, to tak jakoś dziwnie, głupio się cieszę, ty moje kochane gryzipiórko...

Ledwie zaczęliśmy o rybach, usłyszeliśmy kwilenie dziecka, które trzymała na kolanach młoda kobieta siedząca naprzeciwko, o rybach można by długo rozprawiać, gdyby nie to kwilenie, a potem coraz głośniejszy płacz.

Ale nim ten płacz przeszedł w spazmatyczne łkanie, zdążyliśmy sobie nawzajem powiedzieć co nieco o szczupakach, o tym, jak woda na powierzchni zarysowuje się nagle wąską, długą bruzdą, jakby ją płytko przeorał malutki pług, gdy ten drapieznik rzuca się pod wodą do gwałtownego skoku na upatzonego kielbika; nagle zarysowana bruzda i głuchy bulgot świadczą zwykle o tym, że jakiś kielbik przestał żyć.

Byłoby jeszcze do pogadania o linach, które mącą wodę mułem, i o eleganckich, statecznych leszczach, i o tych

nienażartych trupojadach węgorzach, o białych, anemicznych brzanach, strojnych w brązowe pasy, kolczastych okoniach, głowiastych i wąsatych sumach i innych rybach, gdyby to dziecko nie łkało tak głośno i żałośnie, i wściekle zarazem.

— Zdejmij z półki gitarę, mistrzu, zagraj mi kołysankę i wykonaj murmurandum, może przestanie płakać — rzekłem z cicha.

Gdy mistrz, idąc za moją radą, sięgnął po instrument, kobieta, która nie mogła uciszyć płaczącego dziecka, uśmiechnęła się dziękczynnie, ale powiedziała, iż nie wierzy, że to pomoże.

Odrzekłem jej natychmiast, ryzykując trochę, że się pomylę: — niech pani mu zaufa, to muzykant czarodziej, on by nawet lwa ugłaskał.

Po moich słowach mistrz dał taką kołysankę i takie murmurandum, że nagle cały świat niby przeogromna kołyska przechylił się wolniutko w jedną, a potem w drugą stronę i zaczął się napępniać dobrocią, łagodnością i spokojem, wszystko, co dzikie, udobruchało się, wszystko, co drapieżne, wstydliwie pochowało pazury i pokazało puszyste, ciepłe łapy, wszystko, co ostre, kanciaste, nabrało obłej, miłej gładkości, jakieś kolorowe ptaszki, których się nie spotyka, podleciały do pociągu i dostosowując lot do jego biegu zaglądały przez okna do przedziałów.

Dziecko zadrzało i wstrzymało łkanie, potem uśmiechnęło się do matki i zasnęło, kobieta pochyliła głowę w stronę zadowolonego mistrza, dziękując w ten sposób za dobry uczynek, gitara znów powędrowała na półkę, świat powrócił do normy, wyszliśmy na korytarz.

— To był cud — szepnąłem do mistrza, trąc go łokciem w bok.

— Dałem z siebie wszystko, bo słyszałem, co powiedziałaś kobiecie.

— Widziałeś, co się działo z dzieckiem...

— Widziałem, jakby je dotknął anioł.

— Pierwszy dobry uczynek, mistrzu.

— Każdego dnia dobry uczynek, niech to stanie się hasłem naszej wyprawy.

Wysiedliśmy na dziewiątym przystanku i od razu odbiliśmy się od toru, szliśmy wąską, miękką drogą wzdłuż

rzędu starych wierzb, drzewa miały obcięte gałęzie i wy.-, glądały jak ogromne, czarne, wystające z ziemi zaciśnięte w pięści ręce zakopanych przy drodze olbrzymów, była przedwieczorna godzina, godzina błogiego lęku, który właściwie jest lękiem chcianym i lubianym; to jest taki dobry lęk i taka dobra bojaźń, która przychodzi do nas o przedwieczornej godzinie na jakiejś pustej drodze, jakiejś dużej równinie, gdy cisza panuje w powietrzu i drzewa stoją nieruchome i nie słyszymy nawet własnych kroków, gdy wszystko odpoczywa, nawet czas, to jest taka zbawienna bojaźń, która właściwie przynosi odwagę i męstwo i sprawia, że nie przeraża nas myśl o śmierci, jesteśmy nawet gotowi wejść w jej ramiona, tylko leciutko się lękając, tylko z przelotną niepewnością, bo raczej z ciekawością i zdziwieniem, a także ufnością dziecka biegnącego do otwartych ramion matki, której długo nie widziało.

Wyminęliśmy pierwszy olszynowy zagajnik i zbliżyliśmy się do drugiego, stała tam stara, opuszczona stodoła z resztkami zetłalej słomy, pilnowana troskliwie przez olszyny o szczupłych, długich pniach, popielatego, wpadającego w niebieskość koloru.

Niedaleko, lecz w bezpiecznej odległości od stodoły, roznieciliśmy małe ognisko i przyrzadziliśmy posiłek.

— Kto by się spodziewał, że dziś będziemy siedzieć przy ognisku — mówił mistrz pełen dumy — jak za dawnych lat, jak chłopaki — milczał chwilę, a potem zwrócił się do mnie: — cieszysz się tym ogniem?

— O, jak się cieszę, tak się cieszę, że chciałbym, abyś coś zagrał na cześć ogniska.

— Gdyby była piszczałka, przy ognisku rozpalonym na polu gra się na piszczałce, na fujarce, najlepsza byłaby taka dziurkowana fiutka wytoczona z drewna bukowego, którą kupowało się na odpuście, pamiętasz z dawnych lat — mówił mistrz.

— Pewnie, że pamiętam, matka kupowała mi fiutkę.

— Mnie nikt nie kupował, ale miałem ją w ręce i grałem na niej, wyprosiłem u chłopaków i grałem, a potem nauczyłem się robić fiutki ze świeżych wierzbowych ga- I łązek.

— Ja też to umiałem, może dałoby się teraz taką zrobić?

— Za późno, to się robi wczesną wiosną, gdy w gałęziach są świeże soki i można ściągnąć łyko.

— Widzę, że znasz się na tym wyśmienicie, mój ty kochany mistrzuniu — rzekłem śmiejąc się i zaraz zawoła- łałem radośnie: — przecież można zagrać na liściu, zupełnie zapomnieliśmy, że przy ognisku dobrze jest zagrać na liściu.

Mistrz sięgnął do gałęzi olszyny, nagiął ją, urwał największy liść, wygładził go ręką i potarł śliną, a potem przyłożył do warg i zagrał. Muzyka na liściu tak zabrzmiała, jakby kto otwierał stare, duże, długo zamknięte skrzypiące drzwi, prowadzące do ogromnej, ciepłej izby, zamieszkałej przez dobrych, starych ludzi, którzy zapraszają wędrowca szczerymi uśmiechami i gestami rąk i mówią: „wejdz, posilisz się i odpoczniesz.”

Ognisko przygasło, powietrze z wolna nasiąkało ciemnoszarą barwą wieczoru, drzewa bojąc się nadchodzącej nocy zaczęły zbijać się w ciasne gromady, krzewy tarniny i dzikiej róży uciekały w popłochu do gęstych zagajników, w których nie było już dla nich miejsca, a pojedyncze karłowate grusze uwiecznione w środku pól dreptały i podskakiwały w miejscu, gdyż nie mogły wyrwać się spod miedzy i uciec przed nocą razem z innymi drzewami i krzewami.

Jakiegoś spóźnionego przechodnia zapytaliśmy, czy można w tej stodole przenocować: — pewnie, że można — odpowiedział — to jest stodoła zostawiona na umarcie i nikt o nią nie dba, bo to właściwie już trup — i jeszcze dodał z niejaką pychą w głosie: — teraz są inne stodoły.

Trudno było zasnąć w tej ciszy, jaka nas otaczała, słysząc ją było jak głośnie granie, jak łoskot wodospadu, sen nie przychodził, a właściwie to broniliśmy się przed snem, bo żal nam było tej błogiej trwogi, którą nas napępiała ta głośna, gwałtowna muzyka ciszy.

— O czym myślisz, mistrzu? — spytałem grajka słysząc, jak się wierci w słomie.

— Znów myślę o domu mojej matki i o niej, o tym, jak to będzie wieczorem w dniu jej imienin, tam nie może być byle czego, pisarzu, rozumiesz, tam musi być muzyka królewska, będę śpiewał i grał sam, a to musi wyjść, jak

by wystąpiło trio światowej sławy, a właściwie to musi tak wyjść, że z żadną muzyką nie da się porównać, to ma Jbyć boskie trio, które działa cuda, ta muzyka musi mały, ubogi domek przemienić w wyniosły pałac, a matkę w wielką panią, w bogatą, hojną panią, która obsypywała przeróżnymi darami i zabawkami swojego syna i gdy był dzieckiem, kupiła mu na odpuszczenie sto drewnianych dziurkowanych fujarek i sto kolorowych piszczałek, i sto ptaszków z ziarenkami słodkiego groszku w środku, żeby ćwierkały, gdy się im dmuchnie w ogony. I — Na pewno będzie to boskie trio, mistrzu, które zdziała cuda, a teraz śpijmy, bo jutro czeka nas długa droga.

Wcześniej rano zbudził nas zgrzytliwy świst tarczowej piły dochodzący zza drugiego zagajnika, potem dało się słyszeć pukanie traktora, a po chwili nadleciał ostry, jęklivy warkot dużego samochodu, z męczzonego — jak można było sądzić — przewożeniem wielkiego ciężaru.

Gdy po przygotowanym naprędce śniadaniu ruszyliśmy w drogę, za trzecim zagajnikiem — wiele takich większych i mniejszych olszynowych i osikowych zagajników było na tej równinie — ukazała się nam wieś.

i — Popatrz, mistrzu, to ma być wieś — zawołałem zdziwiony, patrzyliśmy bowiem na duże murowanice, nawet kościół się w nich gubił, nie mówiąc już o drzewach, które wstydliwie zeszły na dalsze pobocze tego pochodu pysznych czerwonych, szarych i białych domów, jeden jak ogromne pudło, drugi jak półkolisty wypust, podobny do spłaszczonej baszty, trzeci nachalnie chełpił się ozdobnym przeszklonym gankiem, czwarty lusterkami wmontowanymi w tynk, piąty pasami wielobarwnej glazury obejmującej okna, dziwne to, ni wieś, ni miasto, takie jakieś dziwaczne miasto, trochę z obronnej fortecy, trochę z tandetnej szopki, ludzi mało, czasem jakiś starzec o smutnej, zamglonej twarzy pokaże się przy drucianej furtce, tylko w kilku miejscach, w których stawia się nowe murowanice, panuje ruch, słycać gwar.

Przyspieszyliśmy kroku, aby jak najszybciej wyminąć te fortece-szopki, wejść w pola i zobaczyć, jak falują dojrzałe zboża, a potem zanurzyć się w wiklinach, zbliżyć do rzeki, przyglądać się jej i sprawdzić, czy nie zapomniało się czytania niby to nie zapisanej żadnym alfabetem,

wolno sunącej jasnej tafli, a jednak zapisanej ledwie dostrzegalnymi znakami — dużej rzeki, informującymi wybrańców i znawców o wielkich, groźnych sprawach dziejących się pod wodą; ale zatrzymała nas drobna rzecz, która potem przemieniła się w coś ważnego i niezwykłego, w zdarzenie, w którym znów objawiła się czarodziejska moc grajka, cudowne działanie jego śpiewu i jego gitary oraz akompaniamentu tamburo meccanico, drobna rzecz, która przede wszystkim stała się okazją do drugiego dobrego uczynku od chwili rozpoczęcia naszej wędrówki.

To ja pierwszy dostrzegłem tę klatkę, a w niej ptaszka, w otwartym oknie na parterze dużej murowanicy przy końcu wsi, a właściwie tego dziwnego miasta.

— Spójrz, mistrzu, kolorowy ptaszek w klatce — zawo-
łem do grajka.

— To szczygieł — powiedział głośno, prawie krzyknął.

— Pewnie, że szczygieł — potwierdziłem, bo przecież zapamiętałem te kolorowe ptaszki z dawnych lat, zapamiętałem, jak one w chłodne późnojesienne i zimowe dni spadały nagle na suche łopiany i osty i wydzióbywały z nich drobne nasiona.

— Żal mi go, taki ładny dzień, a on w klatce — mówił mistrz — tak by sobie pofrunął, dokąd by chciał, bardzo mi go żal — po chwili znów: — pusto tu, nikogo nie widzę w pobliżu — i znów mistrz po namyśle: — może i w domu nie ma nikogo, tak mi żal tego ptaszka.

— Wiem, co zamyślasz, mistrzu, i wiem, że byłoby to dobre, ale jak to zrobić?

— Pamiętasz hasło naszej wędrówki?

— No pewnie, że pamiętam, co dzień jakiś dobry uczynek.

aw. ja pójdę pierwszy — mówił grajek drżąc z podniecenia — a ty za mną w pewnym oddaleniu, gdyby ktoś się pojawił, gwizdnij cichutko.

— Pomyśla, że złodzieje.

— Kto pomyśli, nikogo nie ma, wszyscy w polu przy żniwach — szeptał mistrz kładąc mandolinę i tamburo meccanico w suchym, zarosłym trawą przydrożnym rowie, potem otworzył furtkę, wszedł na asfaltową ścieżkę

i zaczął wolno podchodzić do frontowej ściany domu, ja posuwałem się za nim.

I — Uda się, na pewno się uda, musi się udać — mówiłem cicho sam do siebie — będzie znów dzień z dobrym uczynkiem, wejrzyj na nas, święty Franciszku, kolego ptaszków.

Mistrz podszedł do okna, sięgnął do klatki, wyciągnął drucianą zatyczkę i otworzył! drzwiczki, ptak przez chwilę obijał się o druty, jakby nie wierzył, że klatka jest otwarta, a potem wyfrunął i długimi, wklęsłymi łukami zaczął odlatywać w stronę pól; i właśnie w tym momencie, gdy jeszcze mieliśmy w uszach pogłos trzepotu skrzydeł wylatującego z klatki ptaka, gdy jeszcze nie ochłoneliśmy po uwolnieniu tego przemiłego więźnia i gdy jeszcze nie zdążyliśmy wejść w radość po spełnieniu dobrego uczynku, a więc w momencie tej naszej jakby przedradości, zaszurały wysokie słoneczniki, rosnące niedaleko bocznej ściany domu, i wynurzyła się z nich rozczochrana biała głowa chłopca i zanim zdążyłem gwizdnąć, usłyszeliśmy jego krzyk: — tato, jacyś dwaj wypuścili naszego szczygła — i zaraz po tym piskliwym, żalonym krzyku chłopca nadleciał z głębi słonecznikowego poletka chrypliwy, groźny głos: — kto śmiał wypuścić z klatki mojego ptaka?

Byliśmy już na drodze, mistrz zakładał pospiesznie gitarę na ramię, a ja podnosiłem z rowu tamburo meccani- co, gdy doskoczył do nas wysoki, tęgi człowiek o czerwonej twarzy z dużym kluczem od samochodowych kół w ręce i krzyknął, jeszcze bardziej czerwieniejąc i potrząsając żelazem:

— Kto wam pozwolił otworzyć klatkę ze szczygłem — i nie czekając na odpowiedź, zawołał w stronę sąsiedniego domu, z którego właśnie wyszedł krępy młodzieniec w płaskim jak naleśnik kaszkiecie: — hej, szwkgier, chodź no tu i niech przyjdzie jeszcze Felek, jest tu dwóch takich, którzy otworzyli klatkę i wypuścili szczygła.

— Żal nam było ptaszka — powiedziałem najłagodniej, jak tylko mogłem.

— Przyleci i zaśpiewa pod oknem z wdzięczności — dodał mistrz, poprawiając na ramieniu parciany pasek gitary.

— Nie pokpiwaj sobie, ty, ty, ty... — nie wiedział, co ma być pod tym „ty”, nie wiedział, jak to określić, z pewnością różne słowa, różne przezwiska cisnęły się mu na usta, chciał może powiedzieć: „ty powsinogo, ty próznia-, ku, ty wydrwigroszu, ty przybłędo z kraju świata, ty rajzerze, ty obiboku”, ale wybrał: „ty dziadu”, a więc przezwisko, które być może i nad nim wisiało, ale się spod niego wywinął, które z pewnością nie tylko wisiało, ale przylegało całkowicie do jego ubogiego ojca i ubogiego dziadka, on jednak, wnuk, przed nim umknął, bo mógł umknąć, i stał się pyszny; a więc „ty dziadu” stało się przezwiskiem ciskany z lubością i pychą w innego, w takiego, który nie ma dużej murowanicy, tej fortocy-szop-ki z lusterkami w tynku i obramowanych glazurą okien, który nie ma tęczowo przeszklonego kredensu, dywanów, kolorowego telewizora, osobowo-towarowego kombi i innych rzeczy świadczących o zamożności.

— Nie pokpiwaj sobie, nie pokpiwaj, ty, ty, ty dziadu..:

— Nie kpię, tylko mówię, że przyleci z innymi szczygłami pod okno, bo szczygły są takie, że lubią siadywać na łopianach blisko domu — powiedział łagodnie grajek, a ja natychmiast dodałem, żeby udobruchać tego rozsierzonego i potrząsającego samochodowym kluczem właściciela już nie ptaszka, tylko samej pustej klatki: — cały chór przyleci i wszystkie będą śpiewać, to nie to co jeden.

To powiedziałem i zaczęliśmy się wycofywać, ale on szedł za nami z podniesionym żelazem i krzyczał: — to był mój szczygieł, ty, ty, ty dziadu, i śpiewał mi tam, gdzie chciałem, w pokojach na parterze, gdzie stoją kredensy z grubym, rżniętym szkłem i gdzie jest kolorowy japoński telewizor „Sony” i drugi mniejszy, ruski, ty, ty, ty dziadu; i śpiewał mi, bo prznosiłem klatkę, w pokojach na piętrze obwieszonych kilimami, jeden jest perski, a na nim wisi poświęcony przez samego arcybiskupa obraz przebitego dziadą Serca Jezusowego, trzymanego na otwartej ręce przez samego Boga, ty, ty, ty dziadu; i śpiewał mi, gdy chciałem, bo prznosiłem go w klatce, w pokojach nadbudówki, którą wymurowałem z cegły dziurawki, z czystej dziurawki, ty, ty, ty dziadu...

Z jednej strony on krzyczał i wymachiwał kluczem, a z drugiej nadchodził krępy szwagier z dużą drewnianą kopyścią umazaną powidłami, bo akurat je robił z wczesnych jabłek i agrestu, a zaraz za nim kroczył Felek z długim polanem drewna, bo został odwołany od rąbania.

— Nie myślcie sobie, że ujdzie wam na sucho to, coście zrobili — wrzasnął do nas ten z kluczem, gdy tamci dwaj byli już blisko.

Drogę mieliśmy zamkniętą z przodu i z tyłu, położenie było bez wyjścia i pozostało tylko to jedno jedyne, boskie trio, więc krzyknąłem do mistrza: — graj, graj, już graj!

Mistrz widząc, na co się zanosi, w jednej sekundzie zdjął z ramienia gitarę, potem ustawił tamburo meccani- co, zaśpiewał i zagrał z tym półmechanicznym akompaniamentem. Był to dość rzewny, ale zarazem mocny kawałek o dobrych ludzkich rękach, jak to się wyciągają, prostują i wyciągają z ogromną ochotą jedna do drugiej dobre ludzkie ręce i jak te ręce się odnajdują, jak się cieszą, że się odnalazły.

Mistrz, mając przed oczami rozsierdzenie tego z kluczem i tych dwóch, starał się dać z siebie jak najwięcej, nie żałował gardła, gitary i tamburo meccanico, tak śpiewał i grał, jakby stwarzał te dobre ręce, białe dłonie ludzi i palce zaplatające się nawzajem, śpiewał i grał, a wzrokiem przebiegał ukradkiem po tym, co ci trzej trzymali w prawych rękach, po dużym samochodowym kluczu, kopyści do powideł i polanie drewna, tak jakby stworzył to trio dla tych przedmiotów.

Długo i mozolnie musiał śpiewać i grać, i błagać żelazo, kopyść i suche drewno, nim wreszcie dały się ubłagać i przestały złowrogo drzeć w górze i nim z wolna zaczęły opadać w dół.

Gdy skończył, właściciel klatki odezwał się z niejakim onieśmieleniem, ale jednak nadal hardo: — tym razem się wam udało, ale nie wazcie się wypuszczać drugiego szczygła, którego złapię na jesieni, a teraz uciekajcie, gdzie pieprz rośnie, bo mogę znów wpaść w złość: — gdzie pieprz rośnie — powtórzyli ten z kopyścią i ten z polanem.

Gdy zostawiliśmy za sobą tę wieś, nie wieś, miasto, nie miasto, tę pychę i zawiść zakłęta w przelakierowanych, przeblyszczonych gankach, balkonach i okiennych obramowaniach i weszliśmy w pola, położyłem dłoń na barkach grajka i krzyknąłem radośnie: — to niesłychane, mistrzu, obłaskawiłeś dzikie bestie, uspokojenie dziecka w pociągu to mucha w porównaniu z obłaskawieniem tych trzech.

Rozpierała go duma, ale nic nie mówił, duma i wzruszenie zamurowały mu usta, chciał coś powiedzieć, to było widać, jednak duma i wzruszenie tak w nim wezbrały, że już nie było miejsca dla słów, wreszcie odezwał się łamiącym się, cichym głosem: — mówisz, że to niesłychane, że obłaskawiłem dzikie bestie — po chwili uspokoił się i odzyskał pewność siebie: — tak się wściekali, a gdy dałem pieśń, zmiękli, najpierw ten krępy na krzywych nogach, ten z kopyścią, widziałeś...

— Pewnie, że widziałem, gdyby nie twoja gitara, twój śpiew i tamburo, mielibyśmy teraz powidła na nosie.

— I na oczach — zawołał mistrz śmiejąc się.

— Na nosie, na oczach i we włosach i na plecach — dodałem ze śmiechem.

— Byłyby powidła zmieszane z krwią — mówił mistrz śmiejąc się coraz głośniej. Nagle przerzucił gitarę z ramienia przed siebie, pogładził czule jej wypukłą, błyszczącą deseczkę w tym miejscu, gdzie było napisane, że jest z rajskiej czereśni, a potem złożył na niej leciutki pocałunek i rzekł: — gdyby nie ty, miła panno, mielibyśmy pogruchotane kości — i zaraz zwrócił się do tamburo meccanico: — i gdyby nie ty, pocziwy burczymucho...

— Gdyby nie ty, mistrzuniu — dodałem, wpatrując się w jego zadowoloną twarz.

Znów zwrócił się do gitary, gładząc otwartą dłonią jej śliski brzeg: — czeka nas, moja panno, ważniejsze zadanie niż uspokajanie płaczących dzieci i poskramianie dzikich bestia, musisz mi pomóc, gdy pod koniec naszej wędrówki wpadniemy do mojej matki na imieniny, czeka nas występ pod jej oknem, ty odezwiesz się pierwsza, a potem włączę się ja ze śpiewem i on do taktu — pokazał na tamburo meccanico — nie chodzi o to, żeby sobie tak po prestu pograć i pośpiewać na imieninach, tu chodzi o cud,

Irozumiesz — mówił niby to do gitary, a właściwie sam

— [do siebie: — chodzi o to, żeby się tego dnia wieczorem

życie powtórzyło jeszcze raz, jej i moje życie, życie z pozłacaną kołyską i przytwierdzonym do niej błękitnym wiatraczkiem z gwiazdkami, wykonanym jakby ze skrawka nieba, życie z dziurkowanymi fujarkami, blaszanymi piszczałkami i ptaszkami z gliny i bez nocnego, tajnego skradania się do stosu trocin i wiórów.

Gdy mineliśmy ostatni dom z wykutą w górnej części fasady minikapliczką z posążkiem Matki Boskiej z Dzieciątkiem, z pychy i na pokaz, a nie z pobożności wykutą, gdy zostawiliśmy za sobą ten dom naigrawający się z rosnących obok młodych drzew, objęły nas sobą pola, dojrzałe i dojrzewające zboża napierały na nas falami ze wszystkich stron świata, szliśmy wąskimi miedzami w zamieci zbóż, które były nas po nogach i twarzach, czochrały włosy, plątały się pod stopami, świat stał się jednym wielkim polem i nagle zapomnieliśmy, że są miasta, i przestaliśmy wierzyć, że są ulice przykryte betonem i asfaltem, szczyły gdzieś w niepamięci kolorowe blaszane pudełka, które nazywamy samochodami, i nagle uwierzyliśmy, iż wystarczy uderzyć kłosem w strunę gitary, aby runął z trzaskiem i rozsypał się w proch wyniosły fabryczny komin.

Na miedzy mistrz kroczył przodem z gitarą na ramieniu, a ja za nim z tamburo meccanico przywiązany do plecaka rzemiennym paskiem, duże kłosa były raz po raz w struny gitary i w tamburo, słychać było ciche pobrzękiwanie i pomrukiwanie.

— Muzyka, słyszysz, mistrzu — rzekłem najciszej, jak tylko mogłem.

— Pewnie, że słyszę — odpowiedział — zboża grają same sobie.

— To jakby marsz.

— Marsz żałobny, bo jutro wjadą tu kosiarki albo ludzie przyjdą z kosami.

— Żniwa.

— Rzeź.

— Nie rzeź, tylko żniwa.

— Żniwa to rzeź.

Ten dzień zeszedł nam na wałęsaniu się wśród pól, 102

wchodziliśmy, szukając cienia, do płytkich parowów porośniętych krzakami tarniny i głogu, zaglądaliśmy do olszynowych i osikowych zagajników, obserwowaliśmy ptaki, spoczywaliśmy i przyrządzaliśmy posiłki; przekonaliśmy się, że jednak ten świat pół ma swoją granicę; doszliśmy bowiem do rzecznej grobli, wdrapaliśmy się na nią i zeszliliśmy w dół po jej drugiej stronie, zanurzyliśmy się na jakiś czas w przyrzecznych wiklinach, a potem wychynęliśmy z nich na brzegu dużej rzeki; leżał już na niej wieczór, tak jakby dzień był szybszy niż my, przed nami przybiegł nad rzekę i ułożył się do snu na całej wodzie od brzegu do brzegu.

Spaliśmy nad rzeką w naprędce zbudowanym szałasie, do którego naznosiliśmy suchych liści wiklin.

Przed zaśnięciem ucieliśmy sobie rozmowę o rybach, zaczęło się od tego, że mistrz, zagłębiając się w dziwach i tajemnicach natury, próbował rozwikłać zagadkę, czy ryby wydają z siebie głos i porozumiewają się swoim rybim językiem, czy są wiecznymi milczkami: — niektórzy uczeni — medytował głośno — twierdzą, że ryby mówią, tylko bardzo cichutko, i nie ma aparatu, który by taką rybią mowę mógł uchwycić, i trzeba troszeczkę poczekać, aż taki aparat zostanie wynaleziony; inni się upierają, że ryby to niemowy, które nie wydają żadnego głosu, gdyż natura skazała je na wieczne milczenie, tak jak człowieka na nieustanne mówienie.

— Eh, ty filozofie, filozofie — wtrąciłem — nie masz innych zmartwień, tylko to, czy ryby mówią, czy nie.

— Nie bawię się w filozofa, ale mi się przypomniała, bo leżymy na brzegu rzeki, międzynarodowa konferencja z udziałem uczonych od ryb ze stu krajów świata, która niedawno odbyła się w stolicy, starły się na niej, jak było do przewidzenia, dwa główne obozy, jeden obóz upierał się przy rybach mówiących, drugi przy rybach niemowach; ale do tego starego sporu doszła na ostatniej konferencji pewna nowość, gdyż dorwał się do głosu trzeci obóz, złożony z młodych uczonych, którzy twierdzą, że jeśli przyjąć, iż ryby nie mówią, to można je zmusić do mówienia działając na nie bólem; w obszernym referacie o zależności bólu i mowy zostało powiedziane, że ryby przemówią, gdy się im zada dotkliwy ból, ale zostało tam

też powiedziane, że to nie może być żadne klucie, wydzieranie płetw, nacinanie czy nawet zdzieranie skóry pasemkami, gdyż to nic nie da, musi się wymyślić ból specjalny, bolący bardziej niż wszystkie dotychczasowe bóle, musi to być taki ból, że przy nim zdzieranie skóry żywcem to lube łaskotanie, dopiero wtedy, jak powiedział młody uczoney, usłyszymy głos ryb; być może, że już wkrótce nauka zapisze na swym koncie nowy sukces i usłyszymy krzyk ryb, powiedział donośnym głosem na zakończenie referatu.

— Eh, ci uczeni, ci uczeni, są jak dzieci, nie mogą znieść tego, że nie wiedzą, czy ryby mówią — powiedziałem przejęty wywodem mistrza.

— Okrutne dzieci — odpowiedział, wzdychając i ziewając zarazem, gdyż zaczął go już morzyć sen, i nawet nie wiem, czy usłyszał, co rzekłem na końcu o uczonych, powiedziałem: — nie dość im, że krzyczy, płacze i lamentuje ziemia, chcieliby jeszcze, żeby płakały i zaliły się wody — nie wiem, czy to doszło do mistrza, bo gdy skończyłem, usłyszałem jego ciche chrapanie, a więc być może te ostatnie słowa poleciały przez szpary szalasu w powietrze.

Następny dzień był bardziej pochmurny, od czasu do czasu zza chmur wypływało słońce i to było dobre, bo przy takiej przemienności nieba rzeka miała różne barwy w zależności od tego, jak zachowywała się chmura, jaką miała budowę, jak się strzępiła po brzegach i jak spadało na rzekę słońce; inaczej spadało, gdy wynurzało się zza chmury i przez chwilę miotło się w jej strzępach, inaczej, gdy wylaniało się z jej ostro zarysowanego, wypolerowanego brzegu, a więc raz prószyło po rzece żółtym kurzem, raz uderzało w nią niby pocisk całym swoim ściśniętym, zwartym i ciężkim ogniem; chwilami rzeka była jednostajnie szara albo w nieznacznie od siebie się różniących ciemnowych plamach, lub jak rola tuż po pierwszym bronowaniu, ale jeszcze przez drugim, i po zasianiu na niej żółtego jak złoto ziarna, jak po zasianiu prosa, ale bardziej złotego niż zwykle proso; była też jak niezgłębiona, fioletowa, podświetlona bielą otchłai, wybita w rzece przez ciężkie słońce, wybita nie tylko w wodzie, ale w jej dnie i głębiej, i głębiej, na wylot przez całą

ziemię, a potem znów robiła się jednostajnie burawa, od brzegu do brzegu, a potem jeszcze inna, i jeszcze jakaś inna.

Dlatego do południa, a może dłużej szliśmy wąską ścieżką przy samym brzegu wody, odpoczywając i posilając się od czasu do czasu, no i oczywiście zażywając kąpieli w małych jeziorach zatajonych w wiklinach.

Dopiero po południu odbiliśmy się od rzeki i wynurzyli z wiklin na otwartą przestrzeń, przez jakiś czas posuwaliśmy się brzegiem płytkiej, ciągnącej się długim pasem zapadliny, takiego podsuszonego mokradła zarosłego bujnym sitowiem, w którym kwitły żółte i białe lilie, rozmawialiśmy o tym, o owym, w pewnej chwili mistrz poruszył gwałtownie rękami, aż zadźwięczała przewieszona przez ramię gitara, i powiedział: — nie zaliczyliśmy dziś żadnego dobrego uczynku, a jak to miało być?

— Miało być tak, że każdego dnia jakiś dobry uczynek, ale dziś nie znaleźliśmy żadnej okazji.

— I co będzie?

— Może coś podleci, może znajdziemy okazję.

— Co robić, żeby znaleźć?

— Może się pomodlić do świętego Antoniego, on jest od znajdowania, pobawmy się jak chłopaki.

— Do świętego Antoniego albo do świętego Krzysztofa, patrona podróżnych.

— Najlepiej do obydwóch, to porządni święci, spełniają prośby, trzeba im tylko obiecać co nieco, najlepiej pieniądze.

— Ułóż modlitwę, to ją wypowiemy.

— To ty nie wiesz, jak jest ze świętym Antonim i świętym Krzysztofem, do nich wystarczy westchnąć, oni nie potrzebują jakiejś specjalnej modlitwy, takiej jak Zdrowaś Mario, Ojcze nasz, Wierzą w Boga, nie wymagają klękania, bicia głową w posadzkę, czołgania się do obrazu, przy nich nie musisz się wysilać, wystarczy westchnąć i w myśli krótko powiedzieć, o co chodzi, teraz to tak: „święty Antoni .i święty Krzysztofie, sprawcie, abyśmy znaleźli okazję do dobrego uczynku...”

— No to zróbmy to.

m Już zrobiliśmy. : A co obiecałeś?

— Obiecałem, że ofiaruję na upośledzone dzieci jedną trzecią z tego, co zarobię na najbliższym odpuszczeniu, a ty co obiecałeś?

— Że mu odpalę piętnaście procent z honorarium za opowiadanie o naszej wędrówce. Jak to, jemu...

— Mistrzuniu, mistrzuniu, przecież nie jemu do ręki, ale do puszki, gdzie się wrzuca pieniądze na ofiarę.

— Nie boisz się, że to może wziąć ksiądz, który nie u- lęknie się piekła i przepije z gospodynią?

— To może się zdarzyć i nie mogę ręczyć, czy ofiara dojdzie do chorych dzieci, znękanych starców, ale liczy się intencja.

— A to co innego.

Nadal posuwaliśmy się krajem tej płytkiej zapadliny, która stopniowo zewężała się, nabierając formy wydłużonego trójkąta, zakończonego wielkim, baniastym krzakiem leszczyny, potem weszliśmy na szeroką polną drogę, która zaprowadziła nas do drugiej wsi, podobnej do tej pierwszej, ukazała się nam więc druga wystawa pychy, mordęgi i harowy popędzanej batogiem zazdrości; można sobie przedstawić, że gdy te domy były budowane, to każdą cegłę chwytaly nie dłonie, ale pazury, bo zazdrość sprawiła, że palce jastrzębio się zakrzywiły, stały się szponami i nie przestały nimi być, aż zazdrość zrodziła drugą zazdrość, aż ktoś pożółkł, zzieleniał z zazdrości, swoje palce także szponiasto zakrzywił i zabrał się do stawiania wielkiego domu, żeby znów ktoś pożółkł, zzieleniał z zazdrości; chyba dlatego wielu ludzi mieszkających w tych fortecach- -szopkach ma w oczach i na twarzach żółtawozielonkawy kolor, sporo takich żółtawozielonkawych obywateli widzieliśmy po drodze.

A jeśli chodzi o świętych, to oni tak załatwili naszą sprawę, że na pustym podwórku przy nowej oborze ukazali nam nędzną, z podgniętych desek skleconą psią budę, a przy niej wychudzonego, szochranego psa brązowej maści; pies był nieduży, ale za to łańcuch był gruby i ciężki, i to tak wyglądało, jakby nie łańcuch był dla psa, ale pies dla łańcucha. Pies nie złościł się i nie czekał, przeciwnie, patrzył na nas łagodnie i merdał ogonem, jakby chciał powiedzieć:

„nie bójcie się, ja nie jestem zły pies, możecie do mnie podejść, pogłaskać mnie i odpiąć z tego łańcucha”; a gdy tak na nas patrzył, mistrz szepnął: — święci pańscy myślą, że myśmy sobie upodobali uwalnianie więźniów, najpierw szczygieł, a teraz pies, ale z psem to trudniejsza sprawa, ptaszek poleciał sobie w powietrze i koniec, a pies, co zrobi pies, gdy się go spuści z łańcucha.

— Mówisz, mistrzu, że trudniejsza sprawa, z jednej strony trudniejsza, a z drugiej łatwiejsza, bo nie trzeba się skradać do okna, a zresztą, gdyby ktoś zauważył, uruchomisz trio, już wypróbowałeś.

Mistrz wyprężył się dumnie, gdy wspomniałem o trio, które poskromiło dzikie bestie, ale jednak po wczorajszych trudnych doświadczeniach zastanawiał się, czy uwalniać tego psa: — widzisz, tam na tym zagonie za sadem — mówił — pospadały chochoły z mendli, przykryjemy chochołami snopki i będzie dobry uczynek.

— To byłoby za łatwe — odpowiedziałem — a poza tym do psa przyprowadzili nas święci, oni widać są za tym trudniejszym dobrym uczynkiem.

— Już się nie sprzeciwiam, ale teraz kolej na ciebie, mój milutki, bo ja wypuściłem z klatki szczygła.

— Zgoda, mistrzu, ale przedtem chcę ci powiedzieć, że gdy odepnę łańcuch i pies odbiegnie od budy, przesmyk- niemy się szybko skrajem sadu, wejdziemy na wąski zagon, na którym skoszono żyto, i ty tam uruchomisz trio, to będzie zaskoczenie, ludzie podejną do nas i nikt nie zauważy, że nie ma psa przy budzie.

— Świetnie to obmyśliłeś — odparł mistrz, a ja zbliżyłem się do psa i pogłaskałem go po szochranym łbie, zaskomlił wdzięcznie, potem odpiąłem z karku skórzaną obrozę, przez chwilę stał przy budzie, jakby nie wierzył, że jest wolny, zrobił parę kroków, ale nie przekroczył granicy wyznaczonej długością łańcucha, zatrzymał się jak nad przepaścią, stał i patrzył spokojnie na świat; potem poruszył się gwałtownie i cofnął nieco, podkurczył nogi, wziął rozmach do skoku i dał długiego szusa, jakby rzeczywiście uznał, że jest tu przepaść i musi się ją przeskoczyć, a potem pognał w sad.

Biegł szybko, biegł tak szybko, że przestał być podobny do psa i przybrał kształt czegoś dziwnego, jakby jakie-

Igoś włochatego pocisku sunącego nisko nad murawą sadu, wnet zniknął nam z oczu, zanurzył się w zbożach. I A my nie zauważeni przez nikogo przedostaliśmy się na ściernisko po zżętych życie i mistrz uruchomił trio, dał kawałek częściowo rzewny, częściowo skoczny, taką prze- plataną zadumy i wesołości; była to zwykła rzecz o zmienności życia, o tym, że ze smutku wpada się w radość, a z radości w smutek, że jest tak jak z tym psem, który przez wiele lat był na łańcuchu, w głodzie i chłodzie, i nagle za sprawą świętego Antoniego i świętego Krzysztofa przy naszej pomocy hasa sobie gdzieś po sadach, polach i wiklinach. Ludzie zaraz podeszli do nas, z początku się zdziwili, że jacyś dwaj nieznajomi ni stąd, ni zowąd znaleźli się na żytnisku, a jeden z nich gra i śpiewa na cały głos i do tego jeszcze bębni na jakimś zmyślnym tamburo mecca- nico, ale zaraz przestali się temu dziwić, bo pociągała ich muzyka; stojąc jak wryci na tym polu, szli za muzyką daleko, tam gdzie ona chciała, na koniec świata.

Gdy skończył, ludzie milczeli chwilę, nawet dość długo trwało to ich milczenie, gdyż potrzebowali trochę czasu, aby wrócić do siebie samych stojących na ściernisku i do swoich codziennych spraw z tej krainy, do której zaprowadziła ich muzyka grajka; a gdy z tej krainy wrócili i przekonali się, że znów są na ściernisku, zaczęli prosić mistrza, aby jeszcze grał, bo z pewnością znów zapragnęli odejść od siebie i pójść na sam koniec świata za muzyką i śpiewem w wykonaniu jednoosobowego trio; mistrz dumny z tych słów na pewno przedłużyłby występ na tym zagonie, ale nagle zza miedzy, z dojrzewającego jęczmienia wynurzył się pies niedawno spuszczonego z łańcucha; był utyłany w zbożu, w kudłach pełno jęczmiennych oścd, a nawet kłosów, roztrzęsiony i podany ku górze łeb, oczy dziko radosne, z półotwartego ziejącego pyska sphywała wolno żółta piana, stanął niedaleko ludzi i patrzył na nich.

— Skąd się tu wziął ten pies, czy się sam urwał, czy mu ktoś odpiął łańcuch — to było najpierw, a potem przeraźliwy pisk i krzyk starej kobiety: — jest wściekły, wściekł się z radości, że nie jest na łańcuchu!

— Przecież nie można się wściec z radości — odezwał się ktoś, chcąc uspokoić staruszkę.

— Jak to, nie można, człowiek wścieknie się z radości, a co dopiero pies — odpowiedziała szybko i zaraz krzyknęła: — zabić go, zabić go, bo jest wściekły!

— Zabić — powtórzył ktoś za nią.

— Zabić — odezwało się naraz kilku.

Zabić go było łatwo, bo stał i nie miał zamiaru uciekać, więc jeden młody podniósł leżący przy miedzy kamień i zaczął zbliżać się do psa; widząc, co się dzieje, rzuciłem psu kawałek kiełbasy, chwycił ją i zjadł z ogromnym apetytem; wtedy powiedziałem: — nie jest wściekły, bo nie stracił węchu i ma apetyt, nie zabijajcie go — ten młody, który podchodził do psa, zatrzymał się i upuścił kamień: — masz szczęście, że nie straciłeś węchu — powiedział śmiejąc się — gdybyś nie capnął kiełbasy, jużbyś nie żył.

Mistrz nie przedłużył występu, powiedzieliśmy ludziom „do widzenia” i zeszliśmy ze ścierniska na drogę polną, skierowaliśmy się w stronę rozległych łąk, obramowanych starymi topolami, pies wabiony krążkiem kiełbasy biegł za nami, a potem już nie wabiony też biegł.

— Co z nim zrobimy, gdy od nas nie odejdzie?

— Będzie nam raźniej we trzech, wykapiemy go, nakarmimy.

— Jak go nazwiemy?

— Jest nas dwóch, a on trzeci, będziemy na niego wołać Trzeci.

— Trzeci to dobre, ale czy ktoś nie powie, że ukradliśmy psa?

— Myślę, że nikt się nie upomni o tego kundla, on już nie pasuje do czerwonego muru nowej obory i jego właściciel będzie się cieszył, że gdzieś się zapodział, i zaraz zmiecie tę podgniłą budę i wymuruje nową, dużą i sprowadzi młodego, dużego psa, który świetnie będzie pasował do nowej obory, stajni i stodoły; zdaje mi się, że nad tym starym kundlem śmierć wisiała na cieniutkim włosku, nie o to chodzi, żeby on wkrótce miał umrzeć naturalną śmiercią, ale o to, że jego właściciel miał ochotę go zabić i może nieraz, patrząc na tego kundla, myślał: „muszę cię zabić, bo mi bardzo szpecisz mur, o, jak mi szpecisz”; i może jeszcze myślał: „wszelką starzyznę już usunąłem, żarna pogruchotałem, stępę spaliłem, stary wóz, stary pług poszły w ogień, inna starzyzna poszła na szmelc albo

— Ido ziemi, bo dziadek także już umarł, a ty, stara budo, i ty, stary kundlu, jeszcze jesteście, muszę cię, stary psie, wziąć na stryczek". ■ • ■ 9|

Myślę, że ten producent żywności mógł tak okrutnie biadolić, znam ich i wiem, że mógł, oni nawet samemu Bogu nie przepuścili i siłą przenieśli Go do nowego mieszkania ze starego drewnianego kościółka przykrytego gontem, gdzie Mu było ciepło i przytulnie, przenieśli Go do nowego murowanego kościoła z fikuśnie pochyloną wieżą i fikuśnym krzyżem, podobnym nie do krzyża, ale do bijącego w niebo groźnego pocisku; znam ich i wiem, że nad tym psem śmierć wisiała na cieniutkim włosku.

Te łąki otoczone topolami wyglądały jak jedna ogromna izba z pootwieranymi drzwiami, a kopki suszącego się siana podobne były do wtulonych w siebie i drzemiących na siedząco staruszek.

Nie było wątpliwości, że tu będziemy nocować; myślę, że już wtedy, gdy te łąki były dość daleko przed nami, nie było wątpliwości, że tak będzie, choć o tym nie mówiliśmy, bo w tym czasie byliśmy zajęci rozmową o psie, którego — jak się nam zdawało — uchroniliśmy od niechybnej śmierci.

Gdy tylko nasze stopy oderwały się od twardych kolein drogi i poczuły pod sobą miękkość młodziutkiej trawy drugiego pokosu, mistrz zawołał: — hotel gotowy — a ja to zaraz podchwyciłem: — pokój wysprzątny, podłoga zamieciona — a pokazując rozrzucone wokół jednej kopki siano: — łoże przygotowane — mistrz przejęty do głębi prześwietnymi warunkami noclegu i wpatrzony w zachodnią stronę nieba dodał: — na ścianie pokoju duży szkarłatny kilim — ja znów, nie chcąc pozostać w tyle w wyliczaniu zalet tego wspaniałego pomieszczenia: — sufit w dwóch kolorach, różowym i niebieskawym — a mistrz, jakby się obawiając, że go wyprzedzę w odnajdowaniu nowych, pięknych rzeczy w tej ogromnej izbie: — na kilimie zawieszonym na ścianie wschodniej utkane ciemnobłękitne morze — a ja chcąc go jednak prześcignąć w tych zawodach i patrząc na wschodzący księżyc: — lampa leciutko przymglona, żeby nie raziała w oczy, ale żeby była na wszelki wypadek. Mistrz uznał chyba, że gdy powiedziałem o tej lampie,

to tak jakbym się wysunął przed niego w tych zawodach,; bo zaczął niespokojnie ruszać głową i rozglądać się na wszystkie strony, a widząc, że pociemniały szerokie przedziały między topolami, rzekł: — ktoś cicho zamknął drzwi hotelu, aniśmy się spostrzegli.

Niewątpliwie doścignął mnie, gdy powiedział o tych drzwiach, na tym skończyliśmy tę jakby rywalizację i prześciganie się w odnajdowaniu piękności łąki na początku nocy, zaczął nas morzyć sen...

Ułożyliśmy się do snu na sianie, pies położył się niedaleko nas na brzegu łoża, po raz pierwszy od wielu lat, może od dziesięciu, śpi nie na łańcuchu, nie w budzie lub przy budzie, ale w wykwintnym, bogato urządzonym, pańskim pokoju, który o świcie ktoś cicho otworzy i wpuści cały świat.

Z samego rana mistrza naszły wątpliwości i zastanawiał się, jak to będzie, gdy nie we dwóch, ale w trójkę, to znaczy z psem, zjawimy się na imieninach u jego matki.

— Nie możemy go przecież odpędzić — mówiłem — przyłgnął do nas, jakby wiedział, że uratowaliśmy mu życie, gdybyśmy go odpędzili, to cały dobry uczynek na nic, co by powiedzieli święci.

— Nie musisz mnie przekonywać, mój ty pisarzu, wiem, że nie należy go wyganiać, ale martwię się, czy przypadkiem nie popsuje podniosłego nastroju imienin, czy w tym cudzie przemienienia jej w czułą matkę, czułą od pierwszej chwili mojego narodzenia, czułą jeszcze przed moim narodzeniem, jeszcze wtedy, gdy mnie nosiła w sobie, czy w tym cudzie przemiany nie popsuje czegoś pies.

— Jak może popsuć?

— Pomyśl, wyobraź sobie, masz przecież wyobraźnię, mój ty pisarzyku kochany, a więc pomyśl, dochodzimy do domku, stajemy blisko okna, biorę gitarę, ustawiam tamburo meccanico, odchrząkuję i uruchamiam trio, daję otwierający niebo kawałek o matce i synu, ty stoisz w pewnym oddaleniu i powiewasz lekko ramionami, niby to jak dyrygent, muzyka i śpiew idą i biją wysoko, ona otwiera okno, ukazuje bladawą, pomarszczoną twarz, ludzie zaczynają się gromadzić, przedstaw sobie ten czysty obraz; nagle pies na kogoś zawarczy albo zaszczeka i ktoś chwyci kij, pies może zaskomlić, ktoś się zaśmieje i diabli

biorą tę całą, cuda działającą podniosłość niezwyklej [chwili.

— Myślę, że niepotrzebnie się martwisz, mistrzu, zaufaj świętym, którzy czuwają nad nami i dają okazję do dobrych uczynków.

— Ale mogliby już nie żądać od nas, abyśmy wlekli z sobą tego psa, mogliby go skierować w krzaki, gdyby mu tak podsunęli zajęcia, niechby pobiegł za nim Bóg wie dokąd i już tam gdzieś został.

— Ale nie wypada prosić ich o to.

— Wiem, że nie wypada.

Długo przyglądaliśmy się starym topolom, które wczoraj w nocy przemieniły łąkę w dużą, bogato urządzoną izbę, przylegającą z jednej strony do zbóż, a z drugiej do nadrzecznych wiklin. To dziwne, ale trudno się nam było rozstać z topolami i żal nam było je zostawić, tyle drzew wyminęliśmy po drodze i spokojnie szliśmy przed siebie, a oddalając się od topoli, odwracaliśmy głowy i patrzyliśmy na nie i było nam bardzo smutno, że nie idą z nami, tak jakby mogły się ruszyć z miejsca.

Milczeliśmy, ale mistrz nie mógł znieść tego przedłużającego się milczenia i rzekł: — powiedz coś, pisarzu, coś śmiesznego, coś dziwnego, coś głupiego powiedz, żeby było różniej.

— Chcesz coś śmiesznego, głupiego, no to wyobraź sobie, że te ftopole wrywają się z miejsc, na których stoją, doganiają nas na tych swoich pokracyjnych nogach — korzeniach, przyłączają się do nas i maszerują razem z nami, przedstaw sobie taką wędrowną grupę: my dwaj, pies i topole.

— Ale to byłaby heca nie z tej ziemi — wykrzyknął mistrz — ciekawy jestem, co by się działo, gdyby coś takiego się wydarzyło.

— Myślę, że cały świat migiem by się dowiedział, że do dwóch wędrujących z gitarą z rajskiej czereśni, z tamburo meccanico i z psem przyłączyły się drzewa i maszerują z nimi jak kompani doliną wzdłuż dużej rzeki.

— Niestworzone rzeczy wymyślamy, pisarzu, gdyby nas kto słyszał, pomyślałby, żeśmy zgłupieli.

— Dobrze jest tak zgłupieć, maszerować przez dużą dolinę wśród zbóż i drzew, przesmykiwać się miedzą obok

pszenicy i żyta, wymyślać niestworzone rzeczy, rozprawiać o różnych głupotach.

Spłoszyliśmy zająca, pies pobiegł za nim i nie wrócił, gdzieś przepadł.

— Nie musisz się już martwić, mistrzu — mówiłem — że przez tego psa nie uda ci się występ na imieninach u matki i że ośmieszy on twoje cudowne trio, które zabrzmi pojutrze wieczorem pod oknem rodzinnego domu; myślę, że świętym łatwo było spełnić twoją prośbę — mówiłem jeszcze do mistrza — gdyż ten pies czekał chyba na okazję, żeby się honorowo wycofać i wrócić do starej budy i do łańcucha, z pewnością tam wrócił po nieudanym pościgu za zającem, tęsknił też na pewno za swoim właścicielem, którego kochał nad życie; wpadł chyba już do swojego sadu i łasi się teraz do jabłonek i grusz niby do znajomych ludzi, a może już ujrzał tego swojego dzielnego pana, który w krótkim czasie postawił duży murowany dom i zabudowania gospodarskie, podbiegł do niego i zaczął kręcić młynka tym swoim starym, wylisniałym miejscami do samej skóry ogonem i rozkolebał się miłośnie, aż poplątały mu się nogi i omal się nie przewrócił, czeka i ma nadzieję, że ten jego dzielny pan położy mu na łbie swoją ciężką dłoń, która sto tysięcy, a może więcej cegieł przerzuciła z ciągnikowych przyczep na niewielkie przyzmy, a stamtąd na mur, ale na próżno czeka, bo ten jego potężny pan odwrócił się od niego z obrzydzeniem i mówi do swojego sąsiada: „tak się cieszyłem, że ten stary kundel gdzieś się zatracił, i już nawet zamówiłem imłodego wilczura i starą budę rozwalę, bo okrutnie szpeciła mur, dla wilczura postawię nową, murowaną, ze spiczastą wieżyczką, tak sę cieszyłem, że go gdzieś diabli ponieśli, a on wrócił, muszę go teraz powiesić i zakopać, bo co z nim zrobię”, „no pewnie” — odpowiedział sąsiad wpatrzony w bujną koronę gruszy i zaraz przeszedł do rzeczy ważniejszej: „obrodzą drzewa w tym roku, obrodzą, jeśli, czego nie daj Boże, nie spadnie jakaś zaraza albo klęska”, a potem sobie przypomniał, że rozmawiali o psie i dorzucił: „powiesić, najlepiej powiesić...”

Więc właściciel psa wpada do niewielkiej, też murowanej przybudówki i wychodzi z niej z takim nie za grubym, nie za cienkim, z takim w sam raz do wieszania psów

W sznurem, a gdy mu zakłada pętlę, pies aż popiskuje z radości, bo go wreszcie dotknęły grube, ciepłe palce pana; to, że ma sznur na karku, nie dziwota dla niego, nieraz przecież przywiązany sznurem do jabłunki pilnował dojrzałych jabłek i mając sznur na karku stróżował też w polu przy pomidorach, grochu tyczkowym i ogórkach; trochę jednak się dziwi, bo jabłka jeszcze nie dojrzały i łobuzy nie przesmykują się przez płot, a potem jeszcze bardziej się dziwi, bo ten jego dzielny pan nie okręca sznura wokół pnia drzewa, lecz przerzuca przez gałąź i zaczyna podciągać, coś nowego, jakiś nowy obowiązek wykombinował ten mój dobry, dzielny pan, myśli pies i coraz bardziej się dziwi...

Uzgodniliśmy, że znów odwiedzimy rzekę, pobędziemy trochę na brzegu, a potem wejdziemy na ziemię lekko uniesioną, na której rośnie karłowata sośnina, tak uczyniliśmy, i nim słońce doszło do południa, znaleźliśmy się w niedużym lesie sosnowym, było tu cieplej niż na ziemi odkrytej i pachniało żywicą, wybraliśmy sobie dwa blisko siebie rosnące drzewa, usiedliśmy przy nich na wygrzanej murawie, oparliśmy plecy o pnie i patrzyliśmy na owady fruujące i krzątające się przy naszych stopach na pasemkach gołej ziemi, mrówek tu było dużo, wszystkie w niezwykłym pośpiechu, w szybkim biegu skądś dokądś, dźwigają jakieś nieokreślone strzępki, pożywienie to czy budulec, jedna dźwiga swoją nieżywą towarzyszkę, co się stało, może wypadek, może ją staranowała i przewalcowała po niej boża krówka lub jakiś inny żuczek stał na niej chwilę i ona umarła przygnieciona jego nogą, a może umarła ze starości, ta żywa kładzie od czasu do czasu umarłą i odpoczywa, potem ją podnosi i niesie nie wiadomo dokąd; druga dźwiga kilkanaście razy od siebie dłuższą sosnową szpilkę, nie lada z niej atletka, jeśli taki ciężar udźwignie, ale musi dźwigać, bo pod karłowatą sosną buduje się wielkie miasto, większe niż Nowy Jork, niż Tokio, czasem jednak ustaje, upuszcza igłę na ziemię, straszliwy to chyba łoskot dla mrówczego ucha.

— Mistrzu, słyszysz, coś strasznie zadudniło!

— Nic nie słyszę, cisza naokoło.

— Gdzie tam cisza, łoskot, bo mrówce upadła na ziemię sosnowa szpilka.

— Ej, ty moje gryziopiórko kochane, od samego rana żarciki ci w głowie.

Po wyjściu z lasu szliśmy jakiś czas ścieżką przyleśną i przypolną zarazem, po jednej stronie, tej wyższej, sosnowy las, po drugiej zboża, niektóre już skoszone, niektóre jeszcze na pniu.

— Co za ścieżka, co za widok — zawołał w zachwycie mistrz i zaraz dodał: — musisz to koniecznie opisać w opowiadaniu i może dać w tytule...

— Trudno będzie opisać.

— Dlaczego?

— Bo jest za piękne.

— A jak z tytułem?

Hr Tytuł już mam.

-f- Jaki?

— Tytuł już jest napisany.

— Gdzie napisany?

— Tytuł dźwigasz, mistrzu, no pomyśl, przecież dźwigasz tytuł.

— Odpiszesz z gitary, co, ej, ty mój pisarzu, wciąż te żarciki.

— Nie żarciki, tylko tytuł: Gitara z rajskiej czereśni...

Ścieżka nagle się urwała, a raczej wpłynęła w dość szeroką drogę, którą doszliśmy do trzeciej wsi, podobnej do tych dwóch poprzednich, czyli znów znaleźliśmy się jakby na wystawie pychy i zazdrości.

— Nie widzę tu nic ciekawego — zauważył mistrz — szkoda, że nie ominęliśmy tej wsi, moglibyśmy pójść zakolem przez pastwisko, napatrzylibyśmy się przynajmniej krowom i koniom, a może nawet udałoby się nam podejść do źrebięcia i pogłaskać jego chrapy.

Jednak mylił się mistrz, gdy tak mówił, zapomniał chyba, że święty Antoni i święty Krzysztof lubią robić niespodzianki; oto na ostatnim placu zauważyliśmy stajnię i oborę w jednym długim ciągu, a przy ścianie tego budynku niedużą dobudówkę z mocnymi, zamkniętymi na kłódkę drzwiami; w małym, zakratowanym okienku wyciętym w górnej części drzwi ujrzeliśmy dociśniętą do żelaznych prętów bladawą młodą twarz, patrzyły na nas duże, głęboko wbite w głowę oczy, na czoło opadały kos-

piyki ciemnych włosów, przywarcie do krat zniekształcało policzki, wargi i nos.

T W pobliżu nie było nikogo, podeszliśmy więc do tych drzwi i mistrz zagadnął: — co tam robisz, młody człowieku?

— Zamknęli mnie, siedzę na pniaku, bo to jest drewnutnia, i patrzę na ścianę albo podchodzę do okienka i patrzę na świat, wszyscy poszli w pole, a mnie tu zostawili, żebym choć miał siekiere, tobym urąbał drzewa — odpowiedział chłopak i odsunął twarz od krat.

— Kto cię zamknął? — zapytałem.

— Ojciec, matka nawet powiedziała: „może byśmy go wzięli z sobą”, ale ojciec nie chciał tego słuchać, uparł się i krzyknął: „musi tu zostać, wiesz, jaki jest”, i wepchnął mnie do drewnutni, ale przedtem wyrzucił z niej siekiere, bał się, żebym nie porąbał drzwi, a ja bym nie walił w drzwi, rąbałbym drzewo, ale może bym w nie walnął, gdybym się wściekł.

— To ty się wściekasz?

— Wściekam się o byle co, gdy zobaczę ogień, gdy ktoś przytnie batem albo witką źrebięciu, gdy wrona kołuje nad wodą i chce porwać młodą kaczkę, wściekam się, nie chcę się wściekać, a wściekam się, wściekam się na siebie, że się wściekam, ale nie mogę się zatrzymać.

Łzy pojawiły mu się w oczach i cofnął się w głąb drewnutni.

— Co zrobimy, mistrzu? — zwróciłem się do grajka.

— Nie wiem, mój drogi, może uruchomić trio?

— Całe trio nie, może tylko gitarę, i to niegłośno, i ciche murmurandum, to powinno go uspokoić.

Mistrz już zdejmował z ramienia tę swoją wierną gitarę z rajskiej czereśni, gdy twarz chłopca znów pojawiła się w okienku i on znów zaczął mówić:

— Chcę wam jeszcze powiedzieć, że najbardziej wściekam się, gdy coś zabijają i leje się krew, wtedy tak się wściekam, że mógłbym ukatrupić tego, który zabija; no to oni, gdy mają coś zabić, zawczasu wpychają mnie do drewnutni i zasłaniają całe drzwi snopkiem, żebym nic nie widział; gdy nie chcę tu wejść, ojciec bierze bat i wpędza mnie, a ja bardzo się boję bata, najbardziej boli, gdy się nim nisko przytnie gołe nogi, przejechanie batem po ple-

całch i rękach tak nie boli jak po stopach i trochę wyżej; gdy jest to zabijanie, siedzę cicho i nasłuchuję, słyszę krzyk kury łapanej na zabicie i słyszę to „bach” siekierą, gdy jej ucinają łeb na pniaku, i trzepotanie skrzydeł, gdy łeb jest już odcięty i leży na ziemi z otwartym dziobem, z którego wystaje biały jak papier język, wiem, jak jest, choć tego nie widzę; dolatuje kwik zabijanej świni i beczenie zarzynanego cielęcia, doleci nawet bulgot krwi przelewanej wprost z żyły do garnka, przy tym bulgocie nie wytrzymuję i krzyczę wniebogłose, ale nic sobie z tego nie robią; często zabijają, na święto, na odpust zabijają, gdy ma przyjechać ciotka z miasta albo biskup, albo ktoś ważny, zabijają na chrzciny, na wesele, na zapusty zabijają i leje się krew.

Poczerwieniał na twarzy i oczy znów mu się załzawiły, i zaraz odsunął twarz od krat, cofnął się nieco, jego jasna głowa drżała w półmroku drewnutni.

— Zagram mu, bo mi go żal — szepnął mistrz — stanę za ścianą przybudówki, tak aby mnie nie widział, i zagram mu coś takiego, co będzie podobne do śpiewu ptaka, pomyśli, że ptak przyleciał do niego, ucieszy się i uspokoi, uderzę w gitarę i dam ciche, ale przebogate w dźwięki tremolo, aby mu się zdawało, że sto szczygłów śpiewa pod drzwiami drewnutni, zdziwi się i ucieszy...

- No to zagraj — zachęciłem mistrza, ale natychmiast wstrzymałem, bo chłopak znów stanął przy drzwiach, docisnął twarz do kraty i znów zaczął mówić:

— Gdy mnie wypuszczą, abym sobie trochę pochodził, to zaraz patrzę na ziemię i szukam tych miejsc, w które wsiąkła krew, umiem je znaleźć, choć oni przysypują je dla niepoznaki suchym kurzem i drobnymi drzazgami, zgarniam nogą ten kurz i drzazgi i od razu wiem, gdzie bryznęła krew, bo ziemia jest tam ciemniejsza, wtedy strasznie się boję i próbuję dolecieć do drzewa i skoczyć na nie, ścigają mnie i otaczają ze wszystkich stron i słyszę, jak śwista bat, ale czasem uda mi się dopaść do starej topoli i wdrapać się na sam wierzchołek, oni wtedy przestają krzyczeć i rozchodzą się, przy drzewie zostaje sama matka, a ja z tego wierzchołka oglądam sobie świat, widzę drugi brzeg rzeki, a gdy jest pogoda, widzę, jak bie-
leje drugi brzeg drugiej rzeki, która jest daleko, pofrunął-

Hbym tam, ale nie mogę, bo jeszcze nie urosły mi skrzydła; matka, która stoi pod drzewem, wie, że chcę tam pofrunąć, i woła do mnie z ziemi: „nie próbuj lecieć na drugi brzeg drugiej rzeki, bo jeszcze nie masz skrzydeł”, „kiedy wreszcie mi urosną” — pytam z wierzchołka i robię się niecierpliwy, „urosną, urosną, przysięgam, że urosną, ale musisz jeszcze trochę poczekać” — odpowiada matka, schodzę wolno na ziemię i patrzę ze złością na matkę, bo jej nie lubię za to, że nie umiem fruwać, a potem dobrowolnie idę do drewni, a ona posuwa się za mną, bierze duży klucz i zamyka drzwi, nim odejdzie, mówi do mnie: „nie martw się, przyjdzie taki poranek i ty obudzisz się ze skrzydłami u ramion...”

Umilkł, a mistrz oparł się o ścianę przybudówki i na samej gitarze, z dodatkiem własnego głosu odpowiednio od czasu do czasu dołączonym, dał nadzwyczajne tremolo, które świetnie naśladowało śpiew różnych ptaków, głównie szczygłów, bo on ten śpiew najlepiej zapamiętał z dzieciństwa. Chłopak napał na drzwi i uśmiechnął się z zaskoczeniem, nic nie mówiąc, tylko słuchał i był szczęśliwy.

Po tym ptasim tremolo, bardziej tęsknym niż wesołym, mistrz dał dla odmiany coś zupełnie wesołego, a gdy skończył, chłopak powiedział:

— Gdybyście mnie wypuścili, mógłbym zatańczyć przy muzyce...

— Przecież nie ma klucza, jak możemy cię wypuścić — odrzekłem, a on na to:

— Wiem, gdzie jest klucz, wsuwają go w szparę między cegłami, niedaleko drzwi, z prawej strony — miał rację, bo rzeczywiście klucz tkwił w murze.

— Co zrobimy? — szepnąłem do mistrza.

— Nie wiem, trochę się boję, nawet nie trochę, może splatać jakiegoś figla, przestraszy się czegoś i ucieknie na drzewo albo się zezłości i rzuci na nas, może pogruchotać gitarę lub tamburo i co wtedy...

— Też się trochę boję, ale myślę, że gdy zagrasz z całych sił, tak jak ty potrafisz, coś wesołego, to muzyka chwyci go tak mocno, że on o niczym innym nie będzie myślał, tylko o tańcu, potem wprowadzimy go do drewni, jest nas przecież dwóch, a wrota podwórza zajmniemy.

— Święty Antoni i święty Krzysztofie, miejcie nas w opiece — szepnął mistrz i uruchomił trio, dał coś niezwykle radosnego, skoczniego, a przy tym coś czystego, ludzkiego, obdarzającego nadzieją.

Bez namysłu, pełen zadowolenia i ufności, wyjąłem klucz ze szpary w ścianie i otworzyłem drzwi.

Wybiegł z nich wysmukły chłopiec, prawie młodzieniec, był boso, miał na sobie szerokie, znoszone już spodnie z szarego drelichu i luźną koszulę koloru wyblakłej zieleni, jasne, dość długie włosy zwisały po obu stronach głowy, twarz miał wąską, bladą i duże, ciemne oczy, był piękny, podobny do panicza w byle jakim stroju.

Spojrzał na nas, uśmiechnął się i zaraz podbiegł do grajka, dotknął delikatnie deseczki gitary i mosiężnej obręczy tamburo meccanico, przez chwilę przyglądał się instrumentom, a potem się wyprężył, przez co stał się jeszcze wyższy, i rozpoczął taniec: najpierw wyprostowany w szybkim wirowaniu zatoczył koło na placu przed oborą i stajnią, przez chwilę wirował w miejscu na przedprożu drewnutni, stamtąd wciąż wirując i równocześnie posuwając się do przodu, skierował się do drucianego płotu, a gdy tam dowirował, zawrócił ku środkowi podwórza.

Mistrz bił w gitarę i tamburo z całą mocą, a od czasu do czasu włączał śpiew, uśmiechał się przy tym szeroko, był szczęśliwy, że potrafił tego chłopca tak uradować, a równocześnie zmusić do posłuszeństwa wobec boskiego trio i uchronić od bolesnego poszukiwania miejsc nasia- kłych krwią i nieludzkiego strachu.

Ufny w moc rajskiej gitary i jej nieodstępnego towarzysza tamburo, poluźnił nieco tony, muzyka biegła teraz wolniej i nasyciała się rzewnością. Chłopiec od razu to odczuł, bo dostosowując się do rzewnych tonów, zdłużył krok i zaczął się miarowo pochylać, rozciągać, rozfalował swój taniec.

Mistrz, tak jak i ja, był zbyt ufny w to boskie trio i do tego bardzo wzruszony widokiem uradowanego tańczącego chłopca i z pewnością też trochę dumny z cudownej mocy swojej muzyki, z tej nadmiernej ufności, wzruszenia i dumny stał się nieostrożny i zamiast trzymać chłopca w ryzach szalonej radości i wirującego tańca, zaczął jeszcze bardziej poluźniać tony i, nie zdając sobie

sprawy z tego, co czyni, dodawać coraz więcej rzewności i tęsknoty.

I Taniec chłopca staje się coraz bardziej płynny i falisty, on już tak tańczy, jakby podfruiwał, ten taniec wygląda jak niski, przerywany częstym lądowaniem lot pliszki na piaszczystym brzegu rzeki.

Złe przecucie dopadło mnie w chwili, gdy chłopiec wykrzyknął: — wydaje mi się, że mam skrzydła — trąciłem mistrza w bok i szepnąłem: — wróć do tamtej muzyki, bo on coś mówi o skrzydłach — I chodziło mi o to, aby mistrz dał to, co każe wirować po ziemi i bić nogami o ziemię, co nie budzi tęsknoty do lotu.

Mistrz natychmiast powrócił do tamtych szybkich, radosnych tonów, ale już było za późno, chłopiec, jeszcze w tym wolnym tańcu, zbliżył się do bramy podwórza i krzyknął: — mam skrzydła!

Nim dobiegliśmy do niego, przesmyknął się szczeliną między wrotami i płotem i, wciąż w tym pół biegu i pół locie pliszki, wpadł w sad z radosnym krzykiem: — mam skrzydła!

Otworzyliśmy bramę i biegliśmy za nim, ale on był szybszy, z sadu wbiegł na polną drogę prowadzącą do niewielkiej rozdoliny otoczonej starymi, wysokimi topolami; wołaliśmy: — wróć, wróć — ale on wciąż pędził, krzycząc nieustannie: — mam skrzydła, mam skrzydła!

— Módl się, pisarzu — powiedział mistrz, a po chwili szepnął: — święty Antoni i święty Krzysztofie, nie pozwolicie przecież, żeby on... nie pozwolicie, na pewno nie pozwolicie, przez pół roku będę grał i śpiewał przy waszych figurach i kapliczkach, gdy nie pozwolicie, żeby on to zrobił, nie przez pół, ale przez rok będę uruchamiał trio przy waszych figurach, gdy nie pozwolicie, przecież możecie mu powiedzieć, że nie ma skrzydeł i żeby nie próbował. Módl się, pisarzu — szepnął znów mistrz.

Chłopiec dobiegł do pierwszej, najwyższej topoli i zaczął wspinać się do góry, wnet wspiął się do połowy drzewa.

— Święty Antoni i święty Krzysztofie 7- szeptał mistrz., Z gałęzi na gałąź, coraz wyżej, coraz wyżej wdrapuje się chłopiec.

— Święty Antoni i święty Krzysztofie — znów west- > chnął mistrz.

Chłopiec wspinał się na wierzchołek, rozkrzyżował ręce; zamachał nimi jak ptak i odbił się od drzewa.

— Święci pańscy — krzyknął mistrz rajskiej gitary i tamburo meccanico — jacy jesteście okrutni...

Widzieliśmy, jak leciał w dół, omijając wąską koronę drzewa, i jak runął na ziemię; gdy dobiegliśmy do drzew* było już tam kilku kosiarzy, którzy rzucili robotę przy żniwach i przylecieli na miejsce wypadku, jeden z nich powiedział: — nie ma ratunku, nie żyje...

Wiadomość szybko rozeszła się po polach, ktoś dał znać matce, biegła do niego ze zdyszaniem, głośnym lamentem; biegła najkrótszą drogą, wpadała w łany dojrzewających zbóż, łamała suche źdźbła, deptała i wgniatała w ziemię grube, nabrzmiące ziarnem kłosa.

Leżał na wznak, bo ci, którzy próbowali go ratować, tak go ułożyli, miał pogodną, rozluźnioną twarz i zamknięte oczy, gdyż ci ratownicy zdążyli je przykryć powiekami, nim nadbiegła matka, usta miał nieco rozchylone, a wargi lekko rozciągnięte, jakby się na nich zatrzymał śladzik uśmiechu; być może, iż gdy był w locie, w powietrzu, to tak się cieszył, że śmiał się szeroko, na cały głos, tak się śmiał, że nawet zderzenie z ziemią nie zdołało tego śmiechu zupełnie zetrzeć z twarzy...

Uklękła przy jego głowie, pochyliła się nad nim i krzyczała: — dlaczego to zrobiłeś, synku, przecież ci mówiłam, codziennie mówiłam, rano i wieczór mówiłam, żebyś się nie wspinał na wierzchołki i nie próbować latać, bo jeszcze nie masz skrzydeł, szeptałam przy drzwiach drewnutni, żebyś cierpliwie czekał, aż ci urosną skrzydła, a tobie się nie chciało zaczekać, po co się tak spieszyłeś, ty, ty mój głupi synku...

Ludzie, którzy tam byli, patrzyli na nią ze zdziwieniem,- bo nie rozumieli jej słów, tego biadolenia o skrzydłach.

Potem przybiegł ojciec, bo mu też ktoś dał znać, co się stało z chłopakiem, on właściwie nie przybiegł, ale przyszedł, wprawdzie spieszył się i nawet podbiegał na szerszych odcinkach miedzy, ale nie biegł tak jak matka i łatwo było zauważyć tę różnicę, ona nie szukała miedzy, biegła najkrótszą drogą przez dojrzewające zboża, miażdżyła i wdeptywała w ziemię kłosa, bezcześciła chleb, waliła brudnymi buciskami w przyszłe bochny, kromki, skib-

jak najszybciej dobiec, a on zdązał miedzami, wprawdzie podbiegał, ale jednak zdązał miedzami, i to się dało od razu zauważyć.

Pochylił się nad chłopcem i nic nie mówił, a potem zadarł głowę do góry i wpatrzył się w wierzchołek topoli, stał tak chwilę, a potem wrzasnął: kto go wypuścił z drewnitni? — i zaczął przechodzić wzrokiem po ludziach, popatrzył na nas i zapytał: — coście za jedni?

— Tak sobie wędrujemy — odpowiedziałem cicho i na tym się skończyło.

Przyjechał ciągnik z przyczepą, ludzie wyścielili ją dopiero co skoszonym zbożem, położyli na nim chłopca i ciągnik odjechał do wsi, a my poszliśmy w swoją stronę.

Znowu otoczyły nas pola, przedzieraliśmy się miedzami przez ciasnotę wysokich łąnów i nic do siebie nie mówiliśmy, jakby nam odebrało mowę; po tym, co się stało, baliśmy się słów jak ognia, przerażała nas głupota i nieporadność wszelkich słów, cały słownik wydał się nam głupi, nieporadny i zawstydzający po tym, co się stało, więc szliśmy w milczeniu, no bo co, co powiedzieć, jaki dźwięk, jakie słowo, jakie zdanie ma być wypchnięte z ust po tym, co się stało, jakie słowo nas nie zawstydzi, jakie słowo zaświadczy o tym, że nie czepiamy się słów, żeby sobie ulżyć...

Cisza była naokoło nas, była taka cisza, że dało się słyszeć tajemny trzask spieczonych słońcem ździebeł, te ich jakby tajemne wystrzały, którymi przedojrzałe zboża upominają się o kosę, od czasu do czasu nachylony kłos uderzał w struny gitary i ona dawała rozciągly, wolno cichnący dźwięk, sporo było tych przechylonych nad miedzą kłosów i dość często dźwięczała gitara.

Mistrz maszerował przede mną i mogłem zauważyć, że złościły go te dźwięki, próbował tak przekreślić przewieszoną na ramieniu gitarę, aby struny odwrócić od kłosów, ale jednak co pewien czas jakiś pojedynczy kłos wsmyknął się do strun i zagrał na gitarze; nie mógł tego znieść mistrz i chcąc przerwać to granie, podał gitarę do przodu i wtedy musiał spojrzeć na nią, bo miał ją tuż przed oczami i — można powiedzieć — ona sunęła przed nim w jasnobrązowym blasku, roziskrzona na wszystkie strony

pod czystym, gorącym słońcem, już nie gitara, ale jakaś inna, złudna forma, jakby postać odzianej w blaski dziewczyny. A gdy taka strojna sunęła przed nim, on napełnił się jeszcze większą złością i krzyknął: — ty kurwo!

Nie wiedziałem, co powiedzieć, szukałem odpowiedniego słowa, a on znów: — ty kurwo, tyś mnie namówiła, żebym z ostrej, szybkiej muzyki przeszedł na rzewne tremolo.

Wciąż szukałem jakiegoś odpowiedniego słowa, ale nie mogłem znaleźć, a on jeszcze: — gdyby tu było drzewo albo kamień, roztrzaskałbym cię na drobne kawałki.

Nagle coś mi zaświtało w głowie i rzekłem: — ten chłopiec jest w niebie — po tych słowach mistrz umilkł i jakby zelżał jego gniew, więc zaraz powtórzyłem to samo z naciskiem w głosie: — on jest w niebie — a potem znów coś zaświtało mi w głowie i powiedziałem: — na pewno usłyszysz to od swojej matki, gdy jej o tym wszystkim opowiesz...

Spostrzegłem, że wypowiadając te słowa, trafiłem jeszcze lepiej niż za pierwszym razem, bo mistrz wyszeptał: — pisarzu, pisarzu — a ja już wiedziałem, że mija mu gniew; i znów nieco głośniej: — tak na pewno powie moja matka: po tym, co się stało, jeszcze bardziej chcę być u niej na imieninach, stworzę wspaniałe trio, które uczyni ją najlepszą z matek i które temu chłopcu otworzy niebo...

Od razu poznałem, że stał się lepszy dla gitary, bo ją z powrotem przewiesił i nie złościł się, gdy jakiś przechylony wścibski kłós wplątał się między struny i brzdąkał na niej.

— To będzie tak — mówił dalej, bardziej do siebie niż do mnie — trio milknie i zaraz wchodzimy do domku i od razu, nim zasiądziemy do stołu, wyznaję jej, jak było z tym chłopcem, ona słucha i słucha, a potem kładzie mi rękę na ramieniu albo na głowie, albo nawet wplątuje swoje palce w moje włosy i mówi: „nie martw się, przecież on jest już w niebie”, i jeszcze mówi jakby z wyrzutem: „ty byś może chciał odebrać mu niebo i ściągnąć go z powrotem na ziemię.”

Umilkł, a ja wtedy: — tak, tak powie i jeszcze doda: „ty byś może chciał z powrotem wpędzić go do drewni, żeby tam czekał, aż urosną mu skrzydła, i żeby wciąż wysłuchiwał tego czulego kłamstwa matki, obiecującej mu,

że któregoś poranka dorówna ptakom"; i jeszcze twoja matka doda: „ty byś może wolał, żeby świstał nad nim i podcinał mu boleśnie nogi bat ojca, który z sadu wganiaj go do drewni, i żeby on tam w przerażeniu nadsluchiwał odgłosów zabijania zwierząt, tego ulubionego zajęcia tych, którzy czekają na odpusty, na przyjazd biskupa, na święta i wizyty krewnych"; i jeszcze zada ci pytanie: „to byś wolał dla niego czy niebo, w którym od razu przypięto mu skrzydła i uczyniono białym ptakiem,"

Mistrz słuchał z uwagą i już był dobry dla gitary, na której raz po raz brzdąkały kłosa żyta i pszenicy, był już dla niej tak dobry, że lewą ręką gładził jej połyskujący jasnobrazowy brzeg, i chyba był wzruszony, bo prawym kułakiem ocierał ukradkiem łzy, a gdy skończyłem, powiedział natarczywie, prawie krzyknął: — mów, mów, pisa-, rzu, co mi jeszcze powie matka.

— Jeśli pozna wszystkie szczegóły, możesz jeszcze od niej usłyszeć: „nie martw się, synku, że z ostrego grania, które trzymało w ryzach chłopca, przeszedłeś w rzewne tremolo i on rzucił się do ucieczki, nie martw się i nie złość, i nie przeklinaj rzewnej muzyki, bo tak po prawdzie twoje tęskne tremolo sprawiło, że stał się fruwającym aniołem."

— Pisarzu, pisarzu — mówił mistrz wzruszony do łez — moje ty kochane gryzipiórko, chciałbym, żeby jeszcze na końcu... boję się tego wypowiedzieć, co chciałbym, żeby ona powiedziała na końcu, bo to takie dziwne, przedziwne, odwrócone, wykopyrtnięte ze złego na dobre, z czarnego na jasne, tak jakby noc uczynić dniem, jakby śmierć przemienić w życie, nie powinienem tego mówić, co chcę od niej ułuszczyć na końcu, a może powinienem usłyszeć nie jak pociechę, nie jak wygodne oszustwo, ale jak dziwną, przedziwną prawdę, niby nie do pojęcia, a jednak prawdę, no to już ci powiem, pisarzu, bo widzę, że nie możesz wytrzymać z ciekawości, jakie słowa chcę włożyć w jej usta, chcę, żeby jeszcze raz położyła mi suchą dłoń na ramieniu albo wmotowała ją w moje włosy, a drugą dłonią dotknęła twój ramienia i żeby powiedziała: „to był dobry uczynek."

— Z pewnością tak powie, no bo pomyśl, mistrzu: z jednej strony przerażenie na widok zrudziałej, nasiąkniętej

krwią ziemi, a z drugiej wieczny, cichy lot, przecież od razu wiadomo, co lepsze.

— No pewnie, że od razu się wie i łatwo wybrać jedną z tych dwóch rzeczy, i moja matka wybierze, a gdy będziemy się z nią żegnać, ona powie: „niech was to nie gryzie, dla niego to lepsze”; i może jeszcze powie: „gdyby nie było zabijania i zarzynania przy lada okazji, charczenia i rżenia zabijanych, gdyby nie było ziemi nasiąkniętej krwią i bata, a zamiast złości i wyśmiewania był miły uśmiech i dobroć, gdyby mógł mieszkać w cichym domu z widokiem na sad i duże pola i gdyby nikt na niego nie pokrzykiwał i nie groził mu biciem, to niechby sobie czekał na te swoje skrzydła, wtedy to może nie rwałby się tak do tego fruwania i nie wspinał na wierzchołki wysokich drzew, żeby popróbować lotu, i gdyby się udało, odlecieć daleko; ale przecież nie może ustać zabijanie i ziemia wciąż nasiąka krwią i nieustannie świszczę bat, więc niech was nie gryzie to, co się z nim stało” — tak jeszcze powie matka, jak myślisz, pisarzu, powie tak czy krzyknie: „złoczyńcy...”

Znów przedzieraliśmy się miedzami wśród dojrzałych i dojrzewających zbóż, kłosa były nas po głowach i twarzach, były też w struny przewieszanej przez plecy mistrza gitary, wygrywając na niej coś takiego jakby przypadkowego, bez sensu, a jednak zgodnego z ogólną muzyką uderzanych niedużym wiatrem pól na samym początku żniw.

Pola wznosiły się leciutko w stronę długiej, szerokiej i dość wysokiej miedzy, takiego wypustu ziemi, na którym rosły z rzadka krzaki głogu i dzikiej róży, a za tą miedzą leciutko opadały, były one jakby dwie karty olbrzymiej, otwartej księgi.

Usiedliśmy na tej miedzy przy dużym krzaku głogu, mogliśmy objąć wzrokiem te dwie karty ziemi, zboża ledwie tknięte kosą i maszyną; w niektórych miejscach, tara gdzie działała kosa, stały już snopy żyta i pszenicy uformowane po dziesięć sztuk w zgrabne malutkie kopki, jakby miniaturowe kapliczki przykryte zwięzającymi się ku górze dachami — chochołami; tak pieczołowicie uformowane, aby kłosowa, czyli chlebowa część snopów była ochroniona przed deszczem do czasu zwózki, a tara gdzie działała maszyna, wyrastały na pustych, rudawych ścierniskach

■ niskach duże sterty słomy, gdzieś tam zboże, głównie jęczmień, leżało na garściach, bo musiało być podsuszone przed wiązaniem w snopy. Siedzieliśmy w milczeniu, wpatrując się w pola, a potem nic do siebie nie mówiąc wstaliśmy i tą szeroką miedzą doszliśmy znów do przyrzecz-nych zarośli i do rzeki.

— Znów jesteśmy przy tobie, staruszko — szepnąłem, i gdy poczułem pod stopami jej miękki brzeg, a ona szła so-r bie, jak szła, nieustannie szła, ale w miarę gęstnienia mro- i ku przystawała, aż stanęła, i to był znak, że jest już noc; stanęła, ale nie zrównała się z nocą, lecz odcięła się od niej i sinawą gładkością, i noc stała się sobą, a rzeka sobą, bo ona nigdy nie da się przykryć ciemnością, tak jak pole czy las, bo w niej ciemność tonie, od zmroku do świtu tonie i rzeka wciąż się wydobywa z nocy, i wciąż jest sobą jako odrębna, niepodległa dziedzina.

Noc była ciepła, więc nie budowaliśmy szałasów, zrobili- i liśmy posłanie pod przechylnym krzakiem wikliny i położyliśmy się, ale sen nie przychodził, jak miał przyjść po takim dniu i przed dniem, w którym — jak uzgodniliśmy i na początku — miała się skończyć nasza wędrówka.

— Jutro o tym czasie będziemy już u matki — powiedział mistrz — widzę ją, jak przynosi nam dobre rzeczy i na talerzach, talerze stawia na białym obrusie i mówi: „nie martwcie się tym, co się stało wczoraj, przecież on i jest szczęśliwy, bo ma ofiarowany wieczny lot, czy nie i słyszycie cichego szumu jego skrzydeł?”

Zmęczenie jednak zrobiło swoje, zasnęliśmy, ale przed świtem mistrz trącił mnie w bok i zawołał płochliwym, a równocześnie jakby wesołym głosem: — obudź się, pisarzu, bo miałem sen i cieszę się, i chcę ci opowiedzieć, co mi się śniło, śnił mi się święty Antoni, tak mi się śnił, jakby się rzeczywiście zjawił, a może on tu naprawdę przyszedł, w pierwszej chwili, gdy go ujrzałem, był malutki i drewniany, taki jak jego figurka w kaplicy na rozstaju, ale zaraz zaczął się poruszać i rósł, i stał się jak prawdziwy człowiek, ale był w habicie i nad ostrzyżoną głową unosiła się aureola, podszedł bardzo blisko, odsunął gałęzie, żebym go mógł zobaczyć, i powiedział: „nie smuć się, mistrzu gitary z rajskiej czereśni i tamburo meccanico, i niech twój kompan się nie smuci”; pomyśl, pisarzu,

tak się do mnie odezwał, jeszcze dźwięczy mi w uszach jego głos, a potem rzekł: „przyszedłem tu, bo wiedziałem, że się smucicie, choć udajecie, że nie, wszystko sprawdziłem i wiem, jak jest z tym chłopcem, i chcę ci powiedzieć, mistrzu — wyobraź sobie, pisarzu, święty mówił do mnie: mistrzu — wszystko sprawdziłem i chcę ci powiedzieć, mistrzu, że ten chłopiec jest w niebie, zmienił się nie do poznania, nie jest już bladej, lecz rumiany i pyzaty, wygląda jak pączek w maśle i wciąż się śmieje, no i fruwa nieustannie, na różne sposoby fruwa, jak mu się żywnie podoba, raz wzbija się wysoko i szeroko rozłoży skrzydła, jak bociek, to znów śmiga po niebieskim powietrzu niby jaskółka, a czasem zawisnie w górze jak rybitwa, różnych lotów próbuje, a skrzydła ma bielutkie, tak bielutkie, że aż trochę niebieskie, albo tak niebieskie, że aż trochę białe, zależy, z której strony popatrzeć”; to powiedział i jeszcze dodał na końcu: „no to już wiecie, jak jest z tym chłopcem, i przestańcie się martwić”, i oddalił się w stronę rzeki, wszedł na wodę jak na podłogę i zniknął.

Już nie spaliśmy, a gdy się trochę rozwidniło, mistrz wstał i zbliżając się do rzeki mówił do mnie w podnieceniu: tak się oddalał święty — a ja do mistrza lekko żartując, bo ucieszyłem się jego snem: — przy wodzie się zatrzymaj, boś ty nie święty, ona tylko dla świętego jest podłogą, a dla zwykłego śmiertelnika wodą, w której można się utopić.

Ten dzień był ostatnim dniem naszej wędrówki, z początku maszerowaliśmy w górę rzeki przybrzeżną ścieżką, równą i prostą jak struna, jak struna — można by rzec — cicho grająca, bo z jednej strony dochodziła szmerliwa muzyka rzeki, a z drugiej poświstywały uderzane wiatrem wikliny.

Po jakimś czasie skręciliśmy nieco w bok, przecięliśmy kamienną drogę prowadzącą do mostu i znów znaleźliśmy się na polach, w dolnej części olbrzymiej, łagodnej pochyłości.

Na miękkiej drodze polnej mistrz uniósł nieco rękę do góry, wycelował nią w daleki, naznaczony ledwie widzialną smugą drzew horyzont i powiedział: widzisz te drzewa, pisarzu, gdy do nich dojdziemy, ukaze się nam miasteczko mojej matki, zobaczysz białe i żółte domy na niewiel-

kim wzniesieniu, przetykane ogródkami, gdzie rosą małe drzewa i kwiaty, z lewej strony będzie olszynowy zagajnik, z prawej w dole załśni odkryta w tym miejscu rzeka, ta sama, która wciąż jest przy nas, nawet gdy jej nie widzimy. Do miasteczka wejdziemy od strony olszyn, p₀ drodze narwiemy kwiatów, bo tam ich pełno, i zrobimy dwa bukietiki dla niej, wręczymy je, gdy wieczorem ucichnie trio, i ona, już odmieniona po wysłuchaniu niezwykłego boskiego tremolo, będzie nas witać na progu...

Ruszyliśmy więc w drogę polami, polami i polami, znów długo polami, żniwa nabierały rozmachu, słychać było głucho warczenie maszyn i chrzęst kos ze sładzikim metalicznym dźwiękiem.

Od czasu do czasu, z dala od ludzi, w jakimś zacisznym miejscu, na miedzy, w środku jeszcze nie w pełni dojrzałych zbóż, albo na skraju łąki, za zasłoną krzaków głogu lub dzikiej róży, albo karłowatych grusz, zatrzymywaliśmy się na krótki odpoczynek, mistrz jednak nie odpoczywał, gdyż robił pospieszne próby trio, cicho, żeby nie sprowadzić gapiów, dawał rzewne tremolo, nucił pieśń, trącał struny gitary, sprawdzał mechanizm tamburo, przygotowywał coś wspaniałego, coś takiego, co miało zbliżyć niebo do ziemi, przeistoczyć duszę i polepszyć świat...

Okazja do dobrego uczynku nadarzyła się nagle i niespodziewanie po południu, gdy drzewa, za którymi miało się nam ukazać miasteczko, powyraźniały i można było rozpoznać, że to są topole, i można było nawet wyróżnić w powietrzu jasną popielatość ich pni. Na dość sporym zagonie jęczmienia stara, zgarbiona kobieta rozpoczęła właśnie wiązanie snopów.

— Coś dla nas, mistrzuniu — zawołałem.

— Dobry uczynek sam wchodzi nam do rąk — odkrzyknął mistrz.

A więc my do niej: — szczęście Boże — a ona: — daj, Panie Boże — a potem znów my: — sama babcia, jak to tak...

— Ano sama.

— A gdzie dzieci, a gdzie wnuki?

— A w mieście.

— Co tam robią?

— Pracują i uczą się.

— Nie pomogą?

— Nie pomogą, bo nie chcą.

— Jak to, nie chcą?

— Bo chcą to sprzedać, a mnie zabrać do miasta, za to można wziąć dużo, bo tu ma być budowane coś bardzo ważnego i wille także będą budowane, i to pole będzie placowe, już jest placowe, słyszy się, że za to można kupić dwa nowe, wciąż to powtarzają, Mercedesy, więc oni myślą sobie: „nie pomożemy i nikt nie pomoże, bo ludzie nie mają czasu, i stara nie da sobie rady, i pole musi być sprzedane”, tak sobie przemyślują, a ja chcę tu być do końca; jacy z was dobrzy ludzie, że chcecie mi pomóc i— dodała jeszcze, gdy zabraliśmy się do wiązania jęczmienia; a po chwili: — pójdę przynieść wam kwaśnego mleka, bo gorąco — i odeszła w stronę niewielkiego sadu.

Związaliśmy dziesięć, może piętnaście snopków, gdy coś zaszumiało i ujrzelśmy na drodze dość duży samochód, który zatrzymał się na przeciwnym krańcu tego wąskiego zagonu, wyszło z niego dwóch mężczyzn w średnim wieku odzianych w białe koszule do pasa, bo dzień był gorący, jedna kobieta w lekkiej sukni w kwiaty i z parasolką przeciwsłoneczną, a także dwóch młodzieńców w jakichś za szerokich bluzach.

Dzieliła nas od nich dość duża odległość, ale można było zauważyć, że przyglądają się nam z zaciekawieniem.

— To chyba są synowie i wnuki, a ta kobieta to może córka albo synowa tej staruszki — powiedziałem do mistrza.

— I mnie się tak zdaje — odrzekł mistrz, patrząc na nich z przychylenia, bo nie przerywał roboty.

— Wymachują rękami i coś do siebie wykrzykują, tak jakby się kłócili.

— Może im wstyd i robią sobie wymówki, że jacyś obcy ludzie pomagają starej kobiecie przy wiązaniu snopów.

Po chwili ta cała piątka zeszła z drogi na zygzakowatą miedzę i zaczęła iść w naszym kierunku.

— Pewnie ruszyło ich sumienie i idą nam podziękować za pomoc — szepnąłem do mistrza i zaraz umówiliśmy się, jak mamy się zachować, gdy podejną do nas z tym podziękowaniem.

— Gdy oni lekko zawstydzeni powiedzą: „dziękujemy

Hbardzo, jak mamy się odwdziżyć", gdy oni do nas mniej więcej w ten sposób, to my odpowiemy: „ależ, proszę państwa, proszę szanownych państwa, nie ma o czym mówić, to nic nadzwyczajnego, to zwykła, normalna rzecz, staruszka się męczy, no to przecież nie można jej wyminąć i zostawić samej, żeby się męczyła i zamęczyła, to jasne jak to słońce nad nami i proste jak ten parasol, który szanowna pani trzyma w ręce" — tak sprawę przedstawiałem pokrótce, a mistrz, godząc się ze mną, rzekł: — tak, tak, tak trzeba, niech się zarumienią, niech się spalą ze wstydu — i powtórzył to kilka razy, bo był lekko podniecony.

Po chwili jednak, gdy oni do nas się zbliżali, coś mnie przeniknęło, coś niedobrego, aż wyprostowałem się znad snopka i wypuściłem z rąk nie dowiązane powróśło.

— Widzi mi się, mistrzu — rzekłem zaniepokojony — że oni idą do nas nie z podziękowaniem, ale z zupełnie czymś innym, popatrz na ich ręce...

Najpierw po rękach można było poznać, że tu nie o wyrzuty sumienia i nie o podziękowanie chodzi, bo ich ręce zaciskały się w pięści, a te pięści wirowały w powietrzu niecierpliwie i wrywały się w naszą stronę; potem jeszcze lepiej można było poznać, że nie o podziękowanie chodzi, gdy ci czterej mężczyźni schylili się i chwycili w dłonie kawałki połamanych tyczek grochowych, leżących bezużytecznie przy miedzy, i gdy ta kobieta, która z nimi była — córka czy może synowa staruszki — zwinęła parasol i chwyciła go krzepko w dłoń za odwrotny koniec, no i gdy oni, potrząsając tymi kijami i krzycząc, weszli na jęczmienisko i uformowali się jakby w bojową tyralierę.

— Widzisz, mistrzu, co się dzieje — zdążyłem powiedzieć — i zaraz z chaosu tych niezrozumiałych, bełkotliwych krzyków doleciał dźwięczny, donośny głos młodzieńca, z pewnością wmuka staruszki, który zajął miejsce na prawym krańcu tej bojowej tyraliery: — spieprzajcie z tego pola — krzyknął ten jasnowłosy młodzieniec z ochrypłą, skrzekliwą zajadłością.

Kroczyli bojowo po niskim i ostrym niby skóra jeża ściernisku jęczmienia, deptali świętokradczo po garściach zboża, nie zważając, czy przygniatają źdźbła, czy kłosa, a w marzeniu to chyba delikatnie, koniuszkami palców, żeby, broń Boże, nie pokalać, dotykali połyskliwej, czci

godnej karoserii Mercedesa z silnikiem diesla, klękali i kładli się kornie, żeby oglądać święty brzuch wozu, a potem z modlitewnym oddaniem i poddaniem, i z hamującym oddechem zachwytem równocześnie wsuwali się na miękko wysprężynowane skórzane siedzenia.

Byli wśród pól, a w marzeniu to chyba na dookólnej autostradzie otaczającej stolicę, cichy szmer zbóż pod lekkim wiatrem, który luubi przyjąć po południu, gdy wychodzący z lasu chłód zderzy się z ciepłem nagrzaną słońcem rzeki, oni z pewnością przemienili w szum motoru: — co za jazda, mamusiu — 'boska jazda, syneczku, niebo na kółkach — o kurwa, o kurwa — Maciusiu — nie mogę, nie mogę inaczej, ta cudowna jazda — wiem, wiem —

O kurwa, tnie ma to jak Mercedes — skreć na prawo, żeby przejechać obok willi podsekretarza Głęba, wolniej, wolniej, Głębowa podeszła do okna, wychylę się z wozu, uśmiechnę miło, zamacham ręką i pošlę jej całusa, żeby ją szlag trafił z zazdrości...

— Spie...łajcie z tego pola — krzyknęła wściekle piskliwym, przejmującym głosem ta kobieta, a potem przełożyła z prawej do lewej ręki parasolkę trzymaną za przeciwny koniec, w prawą chwyciła zaplątany w ściernisku kamień i rzuciła nim w naszą stronę, nie doleciał do nas, gdyż byli jeszcze dość oddaleni.

Jednak nieustępliwie kroczyli ku nam i nie było już czasu do stracenia, przerwaliśmy robotę, w pośpiechu, bez słowa zarzuciliśmy plecaki, mandolinę i tamburo mecca- nico i zaczęliśmy się wycofywać łagodną pochyłością w stronę rzeki.

— To było jedyne wyjście, mistrzu — rzekłem, gdy znaleźliśmy się w wąskiej trawiastej zapadlinie, przecinającej ukosem pola — to było jedyne wyjście — powtórzyłem z naciskiem i jakby ostrzej, bo on milczał i z pewnością żałował, że nie rzucił na szalę rzewnej pieśni, muzyki gitary z rajskiej czereśni i akompaniamentu półmechanicznego tamburo, że nie uruchomił trio i umknął jak niemowa z niemową gitarą i niemową tamburo meccanico, że nie zaufał tej trójpotędze, która już raz poskromiła dzikie bestie, uzbrojone w żelazo, kopyść i drewno, która bladego, zalęknionego chłopca przemieniła w radosnego, wiecznie latającego ptaka, nie mówiąc już o krótkotrwałej, ale

I nieogarnionej, jak te całe obszary pól, wolności danej [staremu psu i o otarciu łez płaczącemu dziecku i nie

| mówiąc już o cudownych przemianach w ludziach, tych przechodzących wielkomięjskim tunelem i tych stojących niedawno na świeżym żytnisku.

— Te bestie są dziksze — mówiłem do mistrza, odczytując jego myśli — dziksze niż te, które trzymały w więzieniu szczygła, niż te, które powiesiły psa na gałęzi jabłonki; tu w grę wchodzi pole placowe — perswadowałem mistrzowi, który nie mógł wydusić z siebie słowa i był bliski płaczu z żalu, że odebrał pieśni odwagę — pole placowe, rozumiesz, mistrzu, które gwałtownie poszło w górę i można za nie kupić dwa Mercedesy z silnikami dieslaj tu chodzi o to nowe, dzikie, najdziksze pragnienie i tu ani rzewna pieśń, ani gitara z rajskiej czereśni, ani tamburo meccanico nie dadzą rady, boskie trio i tęskne tremolo są bezsilne.

Brnęliśmy wysokimi trawami zapadliny, cisza była w dolinie, ta późnopołudniowa, prawie przedwieczorna cisza, która zwykle powstaje na schyłku dnia, gdy leśny chłód i ciepło rzeki nie przenikają się już zmiennymi powiewami, bo zdążyły się podzielić sobą i zgodnie wymieszać w półchłód czy w półciepło.

— Pomyśl, mistrzu, dziś są imieniny twojej matki, wyobraź sobie, co to będzie, gdy dobijemy do miasteczka i podejmiemy do okna domku, w którym ona mieszka, pomyśl, że tam rzewna pieśń, gitara z rajskiej czereśni i tamburo meccanico mają zdziałać cud, na uczynienie cudu przygotuj boskie trio i tęskne tremolo — mówiłem tak, żeby uspokoić mistrza, gdyż był bardzo wzburzony, a równocześnie rozsadzała go rzewność i wstyd, że pieśń ustąpiła z pola walki; i chyba mi się to udało, bo mistrz rzekł:

— Prawdę mówisz, pisarzu, to musi być tak zaśpiewane i zagrane, żebym ja uwierzył i ona uwierzyła, iż to życie matki i syna inaczej przebiegło, niż przebiegło, że te trociny to bajka, a prawda jest inna, to musi być taka pieśń i taka muzyka, która potrafi stworzyć nową prawdę.

Znów szliśmy w milczeniu i wciąż była ta późnopołudniowa cisza zrodzona ze zgody rzeki z lasem, ale nagle przerwały ją jakieś głosy, niewyraźne, skłębione, jakby prędką rozmowa niecierpliwych ludzi.

— Nie zdziwiłbym się, mistrzu, gdyby to byli oni w pościgu za nami — rzekłem zaniepokojony, podchodząc do brzegu zapadliny; i zaraz ich ujrzałem, posuwali się dość szybko tą samą tyralierą z prawej strony wgłębienia, którym podążaliśmy w stronę rzeki, mężczyźni z kijami w rękach, a kobieta z parasolką trzymaną za przeciwny koniec, a więc przemienioną w narzędzie walki, podjudzali się nawzajem i zagrzewali do boju, najgłośniejszy krzyczał i niecierpliwie wysuwał się do przodu ten młodzieniec z rozfalowaną, jasną, podobną do białej chmurki czupryną.

Nie zdziwiłem się, gdy ich zobaczyłem, bo przewidywałem, choć tego nie mówiłem mistrzowi, że ruszą w pościg, gdyż chodziło o pole placowe, za które można kupić dwa Mercedesy ropniaki.

Od razu zorientowaliśmy się, że wybrali tę starą jak świat, stosowaną od pradawnych czasów strategię odcięcia drogi, nie było wątpliwości, że chcieli nam zagrozić dojście do przybrzeżnej wiklinowej gęstwiny, a potem nas otoczyć ze wszystkich stron, uruchomić kije i parasolkę i raz na zawsze wybić nam z głowy ochotę do pomagania ludziom, którzy się uparli i na polach placowych nadal uprawiają zboże.

Wiadomo, że w tej odwiecznej strategii chodzi o to, aby uprzędzić przeciwnika, przyspieszyliśmy więc kroku, ale i oni przyspieszyli; na oku wciąż mieliśmy odcinającą się od zieleni krzaków białawą smugę, która była udeptaną i wysuszoną ścieżką wbijającą się w wiklinową czeluść, dopaść do tej ścieżki przed nimi znaczyło zgubić się w wiklinach, czyli ujść cało.

Właściwie to byliśmy pierwsi na tej ścieżce, ale niezupełnie, bo wprawdzie wyprzedziliśmy wrogą tyralierę, ale nie całą, gdyż oderwał się od niej i znacznie wysunął do przodu młody blondynek o anielskim wyglądzie, najdzikszy z pewnością z nich wszystkich w nowym marzeniu o niebie na kółkach, i właśnie z nim zderzyliśmy się u wlotu do zielonej gęstwiny, mówiąc dokładniej, zderzył się z nim mistrz rzewnej pieśni, gitary i tamburo meccani- co, a przedstawiając rzecz jeszcze dokładniej, tęgi kij tego młodzieńca zderzył się z gitarą z rajskiej czereśni, którą się mistrz zasłonił; została ugodzona w przednią, strunną — można nawet powiedzieć — twarzową część, wydała z sie-

łbie krótki rozpaczliwy dźwięk podobny do płaczu i umilkła.

I Po pierwszym zderzeniu, w którym ugodzona gitara krzyknęła żałościwie i zaniemówiła, nastąpiło drugie, tym razem niemej gitary z jasnowłosą głową dziko rozmarzonego młodego człowieka, który wysunął się przed tyralierę; w mistrzu nastąpiła, jak mogę sądzić, błyskawiczna przemienność uczuć, najpierw żal, potem rozpacz, z rozpaczony gniew, z gniewu wściekłość, i nie licząc się już z urodą i dostojnością instrumentu z rajskiej czereśni, wziął szeroki dookólny zamach i uderzył nią w głowę napastnika; przy tym uderzeniu, które zwałyło z nóg krewkiego młodzieńca, ostatni raz odezwała się gitara, ale już głuchym, drewnianym głosem, jakby półdźwiękiem, i można powiedzieć, że był to moment, w którym słynna na całą okolicę gitara z rajskiej czereśni umarła.

Kierowani instynktem ocalenia, nie wsunęliśmy się w gęstwinę krzaków, lecz pobiegliliśmy ścieżką wprost do brzegu rzeki, na którym leżała wysunięta na piasek bezpańska łódka pychówka.

Po tym, co się stało u wejścia do przybrzeżnych zarośli, wybraliśmy rzekę jako nasze ocalenie; wprawdzie gęste, skłębione wikliny zawsze były świetnym, wielokrotnie wypróbowanym schronieniem, ale w tym wypadku, gdy napastników tak fatalnie zawiodła strategia odcięcia drogi, czego niezbitym dowodem był aniołkowaty młodzieniec leżący w wysokiej trawie z zakrwawioną głową, ich zajadłość, i tak już ogromna z powodu pola placowego, jeszcze bardziej by rozgorzała i oni natychmiast z pradawnej metody odcięcia drogi przerzuciliby się w pradawną metodę przeczesywania krzaków, może nawet do tego by doszło, że któryś z tyraliery popędziłby co sił w nogach do pobliskiej rodzinnej wsi po posiłki, wkrótce mogłoby tu przyjść sporo ludzi z psami i zostałyby zastosowane trzecia, też pradawna metoda tropienia z pomocą czujnych zwierząt.

A więc instynkt/ ten anioł stróż, który się nagle budzi, gdy nie ma czasu na myśl i zastanowienie i niby nocna błyskawica w sekundzie oświetla drogę ocalenia, skierował nas ku łódce i rzece, i dobrze skierował, bo zaraz doleciał do nas ich wciąż głośniejący, złowrogi wrzask złożony z

grózb, przekleństw i wyzwisk, wrzask wyrosły na dzikim marzeniu o polu placowym przemienionym na dwa nieba na ośmiu kółkach; siedzi sobie taki w tym wybłyszczonej niebie i mknie, miękko mu i ciepło, co jakiś czas przez uchylone okno macha ręką ludziom i uśmiecha się do nich, rozsiewa po drodze tymi gestami i uśmiechami ziarna zazdrości, które padają na ludzkie dusze niby na żyzną glebę i rosną, i przemieniają się w ogniste, palące kwiaty.

Wrzask napastników nie kłamał, on wyraźnie mówił, że zastosowane będą wszelkie pradawne i nowoczesne metody pościgu, pojmania i unicestwienia tych dwóch szalonych, którzy porwali się na uratowanie zagrożonego pola, na uratowanie ziemi zagrożonej kamieniem, cementem, płytą, glazurą, chodnikiem, murawką, drzeweczkiem, różanym krzakiem, mozaiką, kutą lampką, drucianym płotem, żelazną furtką placu.

Ledwie zdążyliśmy zepchnąć łódkę na wodę, wsiąść do niej, odbić się tyczką od brzegu i skierować na główny nurt rzeki, a już na piaszczystym pasie przybrzeżnym pojawiło się dwóch zdyszanych, od razu schylili się po kamienie i zaczęli nimi rzucać, kilka trafiło w łódź, a jeden ugodził kozią skórę tamburo meccanico i rozpruł ją na pół; i kto by pomyślał, że ugodzony tamburo, ten tamburo o grubym, dziarskim i odważnym niby stary wiarus głosie, że ten tamburo nieskory do płaczu, lamentu i wszelkiej żałości, że ten tamburo podkreślający swym przeciwieństwem rzewność pieśni i rzewność gitary z rajskiej czereśni, że ten tamburo, w momencie gdy zostanie ugodzony, wyda z siebie żalony jęk, podobny do głosu umierającej gitary.

Po chwili kamienie dwóch, którzy dopadli do brzegu, już nas nie mogły osiągnąć, wpadały w wodę, wnet znaleźliśmy się na nurcie głównym, wtedy odłożyłem drążek i usiedliśmy na poprzecznej desce, rzeka niosła nas z sobą nie wiadomo dokąd.

Znów przyszły chwile, w których trudno było o słowa, milczenie przeciągało się i było nieznośnie, więc chwyciłem drążek, wbiłem go w wodę i zacząłem przyhamowywać łódź z jednej strony, aby ją skierować do przeciwnego brzegu, zabalgotała stawiająca opór woda i wtedy odezwał się mistrz: — odłóż tyczkę, niech nas niesie nurt — i do-

\

dał: — nie musisz mnie pocieszać, pisarzu, bo wcale się nie martwię tym, co się stało; myślę nawet, że dobrze się stało, bo lepiej będzie, gdy pójdziemy do niej na imieniny za rok, teraz wyślę jej kartkę z pozdrowieniami, wybiorę błyszczącą, z różami i napiszę, zaraz zaczniemy się przygotowywać do następnych imienin, na których damy trio o niebo lepsze niż to, z którym mieliśmy dziś wystąpić.

— Tak, tak, mistrzuniu — podchwyciłem ochoczo — musimy się lepiej przygotować.

— Nie będziemy już iść pasem przybrzeżnym przez te wsie, tylko wysiądziemy na dwunastym przystanku, skąd blisko do miasteczka, pójdziemy wprost do niej.

— W nowych ubraniach i bez plecaków...

— Tylko z gitarą i z tamburo...

Spojrzał na dziób łodzi, gdzie leżały pogruchotana gitara, rozdarty tamburo, i rzekł: — uskładałem trochę pieniędzy, nabędę nową gitarę, piękniejszą niż ta, kupię złote litery i wykleję napis „gitarra z rajskiej czereśni” i nowy tamburo meccanico nabędę, blask będzie szedł od nowej gitary i nowego tamburo, gdy wysiądziemy na dwunastym przystanku i zaczniemy się zbliżać do miasteczka, już się tym cieszę, pisarzu, przez cały rok będę sobie myślał o tym, że zdarzy się ten cud na imieninach...

— Za rok uda się na pewno...

— Ale muszę prześcignąć siebie, dwa razy, trzy razy, dziesięć razy muszę prześcignąć siebie, żeby zdziałać cud.

— Ale to będzie trio, mistrzuniu...

— Podejdziemy od olszynowego zagajnika, w którym narwiemy kwiatów, zrobimy dla niej dwa bukietki i sobie po kilka włożymy do górnych kieszonek.

Za drugim zakrętem wbiłem drążek w wodę i przyhamowałem łódkę kierując ją do brzegu, ale nim dobiliśmy, jeszcze w chwili gdy nieznacznie odchyliliśmy się od nurtu głównego, mistrz spojrzał na przełamaną w kilku miejscach gitarę, na rozpruty, pozaginany tamburo i rzekł: — musimy się z nimi rozstać — pomyślał chwilę i znów rzekł: — może dałoby się z nich coś uratować, ale jak z nimi maszerować do przystanku, a potem przez miasto — znów pomyślał chwilę i rzekł: — kupię nową gitarę i nowy tamburo, a z nimi się pożegnamy — wstał z ławeczki, wziął gitarę w obie ręce, delikatnie, tak jak się bierze

chore dziecko, i rzucił ją na nurt główny, chwycił za obręcz tamburo i rzucił go za nią, woda chwyciła je od razu i poniosła przed nami, patrzyliśmy, jak się oddalają, długo je było widać, bo gitara cała była na powierzchni wody, a tamburo zatonął tylko w połowie, szły od nich małe połyski, potem już tylko te połyski było widać, potem zaczęły się one mieszać z połyskami drobnych fal, a potem się rozmazały na tych drobnych falach i znikły.

Dobiliśmy do brzegu przy starych topolach, na ziemi trawiastej, porosłej z rzadka krzakami wikliny, wysiedliśmy i zaraz ruszyliśmy do najbliższego kolejowego przystanku.

Na wygodnej ścieżce mistrz ciągnął dalej to, co zaczął, nim wysiedliśmy z łódki: — z tymi bukietkami zatkniętymi za obręcz tamburo i kwiatkami w kieszonkach zbliżymy się do tylnej ściany domku, a potem zniemacka zajdziemy od frontu i natychmiast przy klombie czerwonych malw uruchomię najcudowniejsze w świecie trio i zaraz ona zjawi się w oknie.

— A ja niby dyrygent będę lekko poruszał rękami...

— Tak, tak, ty niby dyrygent...

Mistrz westchnął głęboko i uniósł głowę do góry, blask zachodzącego słońca malował na jego twarzy wzruszenie i radość, szedł tak chwilę i milczał, dyskretnie osuszając kułakiem oczy, a potem rzekł: — pisarzu, mój ty pisarzu, moje ty kochane gryzipiórko, już teraz cieszę się tym, co będzie za rok, nie wyobrażasz sobie, jak się cieszę...

KONIEC NOWELI

W niebie wszyscy są piękni.

Dość dawno temu, pod sam koniec lipca stara, żyjąca samotnie kobieta szorowała w kuchni nad drewnianym cebrzykiem garnek żeleźniak z odpryśniętą w wielu miejscach glazurą; zwilżoną ścierkę zanurzała w popiele drzewnym i zawzięcie szorowała wewnętrzne ściany garnka. Jej napięta krogulcza twarz wisiała nad naczyniem, a małe, głęboko wbite w głowę i jakby złowrogo przyczajone, polujące na zdobycz oczy biegały po ciemniejących od wilgoci smugach rozcieranego na ścianach garnka popiołu.

— Nie masz pojęcia, jakie piękne jest niebo — rzekła nagle, nie przerywając roboty, do chłopca sieroty, który przyszedł do niej, usiadł na szerokiej, przysuniętej do stołu ławce i przyglądał się temu szorowaniu.

On nie wiedział, co odpowiedzieć, więc trochę zakłopotany powtórzył za nią: — niebo, niebo — tylko tyle, i umilkł, a w kuchni znów nastąpiła cisza przerywana miarowo ledwie słyszalnym szuraniem unurzanej w popiele ścierki, którą po chwili pracowita ręka starej kobiety przesunęła na zewnętrzne ściany naczynia.

Dość długo zeszło jej z szorowaniem spodniej strony tego dookólnego pasma, które tworzy zagięty brzeg garnka, gdzie lubią wsmyknąć się tajnie krople tłustego rosołu; chodziło przecież o to, aby zetrzeć z żeleźniaka wszelki śladzik tłuszczu, nie śladzik, ale śladzik śladzika; tak szorowała ten brzeg, jakby chciała wymazać nawet wspomnienia, iż tam mogła się zatrzymać kropla tłuszczu, chodziło bowiem o to, że zbliżało się święto parafii i czas ścisłego postu dla ludzi pobożnych i wielka okazja dostąpienia odpustu zupełnego.

Po wypłukaniu i wyparzeniu uniosła garnek do góry i oglądnęła dokładnie ze wszystkich stron, był czysty i gdzieś połyskiwał lśniąca glazurą, więc uśmiechnęła się z zadowoleniem i rzekła do garnka stawiając go na stole: — wyładniałeś, kochasiu — podeszła do kuchennej

blachy i zawołała do czarnego, też żeliwnego rondla z długim trzonkiem: — teraz na ciebie kolej, grzeszniku.

Zganiła ostro rondel tym nazwaniem, ale należało mu się, bo on był od topienia słoniny na skwarki, żeby po- maścić ziemniaki, kaszę jaglaną, kapustę lub kluski pyzy albo wlać jej trochę razem ze skwarkami do białego barszczu lub do zalewajki ziemniaczanki; można powiedzieć, że on był największym grzesznikiem wśród naczyń, gdyż był zbratany ze słoniną, i to on, stojąc na gorącej blasze, przetapiał ją na omastę, i przez niego ta słonina, to tłuste, martwe i zimne, trupio blade cielsko świni pokrojone na malutkie kostki nabierało najpierw różowego, krystalicznego połysku, a potem tężejąc w formę skwarków osiągało żywy, lśniący brąz i roztaczało naokoło wonne aromaty, chwywane z rozkoszą przez nosy siedzących przy stole w kuchni i czekających na jedzenie ludzi; można jeszcze powiedzieć, że słonina wypędzała z nich wszelką idącą w górę, bogobojną myśl, zabijała wszelką chęć skierowania w niebo westchnień, a więc oddalała od Boga i strącała na ziemski padół w rozkosz żarcia pomarszczonych, pachnącym tłuszczem i skwarkami ziemniaków, barszczu, kaszy jaglanej, kapusty i tych ogromnych, krągłych klusek pyz, a na końcu strącała w ogień piekielny.

Należało więc uznać słoninę za głównego wroga postu ścisłego; a tym samym za główną przeszkodę w dostąpieniu odpustu zupełnego, a więc także za główną przeszkodę, za dół wykopany albo za mur postawiony na ścieżce wiodącej do nieba.

—Nie przepuszczę ci, grzeszniku — zawołała szorstko, z odrobiną nienawiści do żeliwnego rondla, gdy rozpoczynała szorowanie; nie przerywając pracy zerknęła parę razy na chłopca, który siedział bez ruchu i wpatrywał się w rondel i w jej starą, zsiniałą dłoń, trzymającą wilgotną szarą ścierkę i biegającą tam i na powrót od popiołu w wygasłym palenisku do naczynia i od naczynia do popiołu, i tylko jego bose, zwisające z wysokiej ławki stopy poruszały się nieznacznie, ale właściwie to nie był ruch, tylko takie leciutkie, ledwie zauważalne drżenie.

— Czemu nic nie mówisz? — zwróciła się do chłopca, a on na tó uśmiechnął się czysto, niewinnie, bo trudno mu było o słowa, jemu zawsze trudno było o słowa i zastępo-

wał je uśmiechem, dlatego nazywali go głupkiem albo ciemięgą; więc ona znów do niego, szorując zawzięcie nieco pogrubiony i lekko odgięty brzeg rondla: — nic nie mówisz, to ci powiem, że w niebie jest taka jasność, jakby świeciło sto słońc naraz, słyszysz, sto słońc naraz, no i co ty na to, rzeknij coś, wymów jakieś słowo, wymów...

Chłopiec zadrżał mocniej, można powiedzieć, zadrżał od środka, od duszy, to drzenie wybiło się na wierzch i moc, no zadrżała jego mizerna twarz i cała głowa przykryta szochraną, białawą czupryną; zaczął wydzierać z siebie słowa, choć jeszcze milczał, ale już ciągnął mozolnie jakiś strzęp ludzkiej mowy, stłamszonej na samym dnie duszy.

Stara kobieta chyba to spostrzegła, bo zaczęła nalegać: — odezwij się wreszcie, no odezwij, ciemięgo |p w końcu dociągnął tę odrobinę mowy do ust i powiedział: — gorąco w niebie ■ — kobieta zaśmiała się głośno i znów się zaśmiała i znów strzelała tymi uśmiechami po całej kuchni, przerwała szorowanie rondla, bo jej to przeszkadzało w śmiechu, i śmiała się, długo się śmiała; potem wpatrzyła się w chłopca i nie zważając na to, że przestraszył go jej śmiech, zaczęła wykrzykiwać: — ty głupi, ty głupi, nic nie rozumiesz, tam jest jasno, jakby świeciło sto słońc, a Tzeško jak w maju o świcie, tam tak jest, mówił to braciszek zakonny, który miał u nas kazanie w zeszłym roku w dniu świętego Wawrzyńca męczennika, naszego patrona, sto słońc, a powietrze majowego świtu, takie jest niebo... ' r^^j-ff
;jTfvWw|ffl

Znów wzięła się do szorowania, a potem do płukania, polewała ciepłą wodą żeliwny rondel, wyparzała go wodą gorącą, dwa razy go wyparzała, bo on był od topienia słoniny i częściej niż garnek żeleźniak stykał się z tłuszczem; postawiła go na stole obok garnka, przez chwilę wpatrywała się w wyczyszczone, wypłukane i wyparzone gardziele naczyń i uśmiechała się, ciesząc się zapewne ich nieskazitelną czystością, ich beztłuszczową niewinnością; a potem im pogroziła wskazującym palcem filuternie, ale stanowczo i zaraz powiadomiła je donośnym głosem: ^ dziesięć dni ścisłego postu — znaczyło to, że przez dziesięć najbliższych dni nie może w tych naczyniach błysnąć najmniejsze nawet oko tłuszczu i nie może zaskwierzyć ną-

wet tak mały jak ziarnko prosa skwarek słoniny; wodnista ziemniaczanka bez żadnej zasmażki, tak, barszcz lub kapuściany kwas nie podbijany nawet chudym mlekiem, tak, mleko nie jest zabronione, ale lepiej się wstrzymać, postne ziemniaki solone, tak, olej jest dozwolony, ale lepiej nie używać dla umartwienia, dla dokładniejszego przystosowania duszy do nieba, w którym jak mówił braciszek — panuje jasność nad jasnościami i które po brzegach obwiedzione jest precudowną błękitną mgiełką.

Dziesięć dni ścisłego postu to dopiero jedna rzecz, gdy chodzi o dostąpienie odpustu zupełnego, drugą rzeczą jest przyjmowanie komunii świętej także przez dziesięć dni, a to znaczy, że w tym czasie dusza musi być bez grzechu, nie może być gniewu, wygrażania, pomstowania, tylko sama dobroć dla ludzi i świata, nawet dla kur, które prze- smykują się przez płot i grzebią na obsianym polu; nie wolno ich przez te dziesięć dni przeklinać i wrzeszczeć na nie, gdy się je zgania z pola, tylko łagodnie mówić: „no, no, kurki, zmykajcie na podwórze i nie rozgrzebujcie zasiewu”; najtrudniej to chyba będzie powstrzymać się od gniewu i pomstowania na te głupie kury, na te rozbrykane, rozbestwione kokoszki i kogutki z wiosennego łęgu, które przedzierają się przez sztachety i wędrują na pole, ale musi się być dobrym nawet dla kur w chwili, gdy one kpią sobie z ludzkiej pracy, nawet dla gawronów i jastrzębi trzeba być dobrym, gdy się myśli o przebywaniu w niebie w wiekuistym szczęściu wespół z aniołami.

Ścisły post, komunie święta i jeszcze odmawianie całego różańca świętego dwa razy dziennie, rano i wieczorem, także przez dziesięć dni; tak jest nakazane, ale nie musi się klęczeć w izbie przy odmawianiu, można paść krowę i odmawiać, można spychać nogami bryły z miedzy na rolę albo pilnować jabłonek przed łobuzami i odmawiać, ale nie złościć się przy tym ani na łobuzów, ani nawet na dużą bryłę, która nie chce się dać zepchnąć z miedzy.

Dochodzi jeszcze ofiara na kościół; gdy pomyślała o ofierze, wsunęła rękę za barchanową bluzkę, sięgnęła dłonią w to tajne, trudno dostępne miejsce poniżej lewej piersi, w okolicy serca, gdzie od wieków kobiety wiejskie chowały malutkie, zawsze malutkie, ale ciężko zdobyte, wypracowane w pocie czoła, a czasem i wypłakane, a cza-

sem krwawo zarobione pieniądze; one wiedziały, że tam gdzie łagodnym łukiem spływa pierś i zaczyna się serce, jest najlepszy schowek dla pieniędzy, bo tam są one pod strażą wstydlivej, wiecznie czujnej nagości.

Stara kobieta wyciągnęła stamtąd mały węzełek z pieniędzmi, pokazała go chłopcu i rzekła z dumą: — uzbierałam i mam na ofiarę; ksiądz krzycał na kazaniu, że misa ze święconą wodą i chrzcielnica przeciekają i trzeba kupić nowe, „jak wam nie wstyd, parafianie — krzycał — skąpicie ofiary na misę i chrzcielnicę, które popękały”, no to uzbierałam...

Chłopiec spojrział na węzełek z pieniędzmi, chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział co, jemu zawsze trudno było o słowa, więc uśmiechnął się głupawo, ale serdecznie, i to jej wystarczyło, wsunęła z powrotem pieniądze do schowka na sercu i sprawdziła górny obręb spódnicy, żeby się przekonać, czy ją mocno ścisła.

Do tych trzech rzeczy, to znaczy do postu, komunii i różańca, musiał jeszcze dojść jakiś dobry uczynek, jakieś dobrowolne umartwienie, udręczenie, taka samemu sobie, bez nijakiego przymusu zadana pokuta, żeby w pełni zasłużyć na odpuszczenie wszystkich większych i mniejszych grzechów; a więc stara kobieta myśli, w jaki sposób dodatkowo się umartwić, czym utrudnić sobie życie na chwałę Boga, jaką udrękę zastosować.

— Mogłabym poleżeć krzyżem przed wielkim ołtarzem — powiedziała głośno do chłopca, a właściwie do siebie samej — ale to za łatwe, bolą trochę ramiona w stawach i kręgi w karku, gdy się leży krzyżem, ale co to za ból, takie leżenie to właściwie odpoczynek i powinno odpaść jako umartwienie; mogłabym przejść na klęczkach od drzwi głównych do wielkiego ołtarza, to byłoby trudniejsze niż leżenie krzyżem, bo na klęczkach nie chodzi się łatwo, wiem o tym dobrze, bo nieraz w żniwa musiałam po całym zagonie tak chodzić, gdy żęłam sierpem zboże, marsz na klęczkach dobry dla udręczenia, ale droga musi być dłuższa i trudniejsza niż od głównych drzwi do ołtarza, obejdę na klęczkach cały kościół dookoła po gołej ziemi, to będzie coś, zabolą mnie kolana, syknę nieraz z bólu i to będzie dobre umartwienie, słyszysz, ciemnego, okrążę kościół na kolanach i będzie mnie boleć — krzyk

nęła do chłopca — ale niech mnie boli, bo chcę oglądać niebo, braciszek mówił, że na środku nieba stoi krzesło złociste zbudowane z samych promieni, a na tym krześle siedzi Bóg, nad nim baldachim złocisty, także z promieni utkany, słyszysz — krzyknęła znów do chłopca, który zaczął drzeć i szybko wymachiwać ramionami, co zawsze dało się u niego zauważyć, gdy wymęczał w sobie jakie słowo, wymęczał, aż wreszcie się zapytał: — a z czego jest Bóg — a ona mu na to już łagodnie, z uśmiechem: — sama bym chciała wiedzieć, ale tego nikt nie wie, sam braciszek nie wiedział i nie mógł opisać Boga, chciał, a nie mógł, męczył się, bo bardzo chciał opisać Boga, ale wołał tylko: „światłość, światłość, światłość nad światłościami”; „żeby to wiedzieć, trzeba być bez grzechu i tam pójść” — powiedział na końcu braciszek.

Na spełnienie tej dobrowolnej pokuty wybrała się późnym popołudniem w przeddzień parafialnego święta, przypadającego w dniu patrona, świętego Wawrzyńca męczennika.

Odbyła już dziesięciodniowy ścisły post, przystąpiła dziesięć razy do komunii i dwadzieścia razy odmówiła różaniec, dała też ofiarę na nową misę i chrzcielnicę, pozostała tylko ta dobrowolna pokuta.

Stary drewniany kościół stał na spłaszczonym wzniesieniu i był opasany drewnianym płotem i rosnącymi przy nim młodymi brzożami. Dzień jeszcze trwał, gdy doszła do furty, trwał, ale już począł się zanurzać w burawej mgławości, która jest przedsionkiem wieczoru, a ten z kolei jest sienią nocy, było widno, w połowie świata nawet przejrzyscie, ludzie nie zeszli z pól, od czasu do czasu błysnęła kosa czerwonym światłem, odbitym od schylonego, ale rozżarzonego słońca.

Uchyliła furtę i wsunęła się na plac przykościelny, a za nią wsunął się chłopiec, zdjęła z pleców chustkę, żeby jej nie przeszkadzała, i dała ją do potrzymania chłopcu, a potem uniosła szeroką spódnicę i padła na gołe kolana, przeżegnała się i zwrócona twarzą do głównych drzwi kościoła szepnęła: — Boże, dopomóż — i zaraz zwróciła twarz do najbliższej brzoży, spojrzała czule na drzewo, westchnęła cicho i zaczęła iść na kolanach, trzymając w rękach uniesioną spódnicę.

Dość szybko sunęła po miękkiej murawie, chłopiec szedł obok niej i patrzył z zaciekawieniem na jej kolana mordujące trawę i na nogi powyżej kolan, były białosine z lekkim nalotem purpury, podobne do kawałków świeżo oskórowanego olchowego pnia.

Gdy doszła do pierwszej brzozy, pogłaskała ją dziękczynnie i zaraz ruszyła dalej. Za brzozą trawy było mniej* jej kolana były od czasu do czasu w gołą, suchą ziemię i musiała pomyśleć, że szłoby się jej lepiej, gdyby przywiązała do kolan szmaty, ale zaraz ostro się zganiła: leciutko cię zabolalo i już myślisz o miękkościach pod nogami, czego to ci się zachciewa, miękkich szmatek, a może aksamitu, a może puchowych poduszeczek, nie lubisz bólu, a chcesz iść do nieba, jak ci nie wstyd myśleć o miękkich szmatkach pod kolanami.

Przypomniała sobie, co zeszłej niedzieli mówił ksiądz proboszcz na kazaniu: „Jeśli Bóg zsyła na was dolegliwości, to znaczy, że was kocha i wystawia na próbę, trzeba pokochać cierpienie, bo ono prowadzi do nieba.”

Pięknie mówił ksiądz proboszcz i ludzie płakali z radości, gdyż byli biedni i cierpieli głód na przednówku, a gdy wracali z kościoła, nie rozmawiali z sobą, bo bardzo się cieszyli, że doskwiera im bieda, co znaczyło, że Bóg ich wybrał i wyróżnił, dając im tę biedę, przednówek i głód.

— Nie chcę murawy pod kolanami, bo chcę, żeby mnie bolało — powiedziała głośno do chłopca, który szedł wolno obok niej z chustą na ręce i z nudów przyglądał się kawkom krążącym nad dachem dzwonnicy.

Ruszyła do przodu jakby raźniej i wnet wyminęła win-kiel frontowej i bocznej ściany kościoła, otworzył się przed nią widok na pola, łagodnie spływały wąskimi zagonami w dół i szły daleko aż do grobli rzeki, ujrzała ludzi pomniejszych odległością i ucieszyła się, że są daleko i nie widzą jej, nie mówią, że wybrała za trudną pokutę, i nie wykrzywiają się z zazdrości, że tak dokumentnie zmazuje grzechy i jak nikt we wsi przygotowuje sobie niebo. Doszła do bocznej, prowadzącej do kaplicy ścieżki posypanej ostrym żuzłem, odczuła bolesne ukłucia w kolanach, aż jęknęła z bólu i zarazem jakby zadowolenia, że

cierpi, to był jęk i równocześnie zaśpiew, dwie przeciwne rzeczy wymieszane, było „boli” i było „witaj, bólu...”

Chłopiec chyba uchwycił dziwność tego jęku, bo dosko- czył do niej i wlepił w nią oczy, a ona rozchylając drżące wargi w skrywającym cierpienie uśmiechu rzekła do niego: — braciszek mówił, że w niebie nie ma ludzi starych i nie ma młodych, tam się nie woła: „hej, dziadku, hej, babko”, ani nie woła się: „hej, chłopcze, hej, dziewczyno”, tam nie ma czegoś takiego jak stary i młody, no co się tak gapisz, ciemięgo, otwierasz gębę i wytrzeszczasz oczy, i gapisz się na mnie, nie rozumiesz ani be, ani me, zrozum, ciemięgo, w niebie wszyscy są piękni, jednakowo piękni, tak mówił braciszek, rozumiesz już teraz...

Chłopiec kiwnął głową, że rozumie, choć nie rozumiał, a ona jeszcze do niego: — nie ma garbatych i pokrzywionych z roboty i zezowatych, kulawych, ślepych i głuchych, tylko uroda przy urodzie, sama uroda.

Ruszyła szybciej, jakby posilona myślą, że w niebie będzie piękna, nawet ominęła kępkę miękkiej murawy, może nawet szepnęła cicho: — zejdz mi z drogi, murawo — gdyż nie chciała, aby zelżał jej ból, którym płaciła Bogu za wieczną urodę w niebie. Ból nie zelżał, a nawet się zwiększył, bo zaraz musiała przeciąć szeroki pas ubitej, posypanej żwirem ziemi, który prowadził do głównej bramy cmentarza i dalej do grobów. Żwir ranił kolana tak boleśnie, iż mogła pomyśleć, że sunąc po nim zostawia za sobą ślady krwi, i nawet rzekła do chłopca: — przyglądnij się kamykom i zobacz, czy jest na nich krew.

Chłopiec zrobił, jak kazała, a potem kiwnął głową na znak, że jest.

— Zbawiciel bardziej cierpiał — powiedziała skromnie, ale duma z tego, że zostawia za sobą ślady krwi, łagodziła ból i dodawała siły.

Gdy wyminęła drugi narożnik kościoła i znalazła się za tylną jego ścianą, przy dużym drewnianym krzyżu, wiedziała, że ma za sobą połowę drogi, czyli połowę pokuty; u stóp krzyża duma z cierpienia przygłuszyła ból, duma, ale zarazem wielka pokora i jakby zawstydzenie, że jej ból to drobnostka wobec cierpienia Ukrzyżowanego: zaraz przypomniała sobie ostatnie kazanie księdza proba-

szcza, który tak mówił: „wszystkie nasze cierpienia to pyłek, to ziarenka maku wobec męża Zbawiciela...”

Gdy wyminęła drewniany krzyż i zaraz trzeci winklel kościoła, to ten pyłek, to ziarenko maku, ta przyczyna i dumy, i pokory, to znaczy ból jej gołych, pokaleczonych do krwi kolan dał mocno znać o sobie, tak mocno, że nie mogła już sobie poradzić z nim ani dumą, ani pokorą, i doszło do tego, że za trzecim winklelem wypowiedziała do chłopca niegodną skargę: — strasznie bolą mnie kolana — i zaraz dodała jeszcze bardziej niegodną skargę: boję się, że nie dopełnię pokuty...

Miała przed sobą gołą, ubitą ziemię z rzadkimi kępkami trawy, poproszoną gdzieś drobny kamykami, ale mogła już ujrzeć na skraju placu kościelnego gruby, dębowy słupek głównej furty, przykryty czterogontowym daszkiem dla ochrony przed deszczem; znaczyło to, że ma za sobą więcej niż połowę pokutnej drogi, która przy tym słupku się zakończy, jeśli do niego dojdzie.

Szukając czegoś przeciw słabości biegła od myśli do myśli, od wyobrażenia do wyobrażenia, najpierw był lęk, że sobie nie poradzi, i dobrze, że był, bo zaraz mogła nim wzgardzić, i dobrze się stało, że wzgardziła lękiem, gdyż zaczęła pokpiwać i szydzić z samej siebie, a to szyderstwo można by tak przedstawić: wzięłaś na siebie zaledwie drobną cząstkę, drobną drzazgę, lekki wiórek z krzyża, a już się boisz, że nie uniesiesz, wstydz się; więc po tym naigrzaniu się z samej siebie przyszło zawstydzenie, z tego zawstydzenia weszło w nią trochę siły; potem szukając większej siły niż ta, którą w nią wsączyło zawstydzenie, przypominała sobie, jak braciszek przedstawiał niebo i co ona mówiła chłopcu, więc zwróciła się do niego: —■ idź wolno przodem i mów mi o niebie, mów to, co ci powiedziałam, bo mam za mało siły na spełnienie pokuty...

Powiedziała to cichym, chrapliwym głosem i ten głupek, ten milczek, któremu zawsze trudno było o słowa, zrozumiał chyba, że jest z nią niedobrze i mówienie o niebie może jej dodać sił, bo szybko wysunął się do przodu i zaraz stara kobieta usłyszała jego czysty, donośny głos: — niebo jest piękne jak nic na świecie, sto słońc, a powietrze majowego świtu — to, co mówił chłopiec,

było dobre, było tak, jakby się trzymała sznurka i on go podciągał; potem usłyszała: — cała niwa jasności obwiedziona brzegiem niebieskawą obwódka — i znów ją to podciągnęło do przodu; potem usłyszała: — jasność, jasność, jasność nad jasnościami — i znów ją to podciągnęło do przodu.

Sunęła teraz wzdłuż północnej ściany kościoła, po lewej stronie miała dość wysoką ławę fundamentu z kamiennymi wypustami, na których stały figury świętych, a po prawej młode brzozy okalające plac kościelny. Szła wolno, z trudem, ale jednak posuwała się do przodu na tych swoich obolałych kolanach, jakby uczepiona słów chłopca mówiących o niebie, uczepiona jak czegoś rzeczywistego, idącego przed nią.

Wyminęła już świętego Wawrzyńca męczennika, ale przy świętym Antonim Padewskim z Dzieciątkiem musiała się zatrzymać, bo znów opadła z sił; chłopiec to za- 'uważył, bo choć szedł przodem, odwracał się i popatrywał na nią. Wyciągnęła przed siebie ręce i tak się pochyliła, iż zdawało się, że za chwilę upadnie i będzie sunąć na czworakach jak dziecko, które jeszcze nie umie chodzić; ale przecież takie sunięcie nie wchodziło w grę, zniekształciłoby pokutę i ułatwiło jej spełnienie, odebrałoby też jej czystość i dokładność i pogwałciłoby złożony ślub okrażenia kościoła na gołych kolanach, bez żadnych podpórek, takich jak ręce własne, ręce cudze, laski, kije; tylko same gołe kolana, a jeśli podpórki, to pobożne myśli i wyobrażenia, a także słowa o bezgrzesznej duszy i o niebie; a więc byłoby niedobrze, aby przy tym świętym Antonim z Dzieciątkiem przemieniła się w niemrawe dziecko i kończyła pokutę na czworakach, a jeszcze gorzej byłoby, gdyby tam upadła całym ciałem, nie wypełniwszy ślubu.

Ale chłopiec, ten niby głupek, niby milczek, jakby przewidział tę chwilę i przygotował się na nią, bo gdy stara kobieta tak klęczała z wyciągniętymi ramionami, chwiejąc się i coraz bardziej pochylając do przodu, gdy zdawało się, że runie razem ze swoim nie spełnionym ślubem i nie dokończoną pokutą, wydobył z zanadru to najważniejsze i powiedział: — w niebie nie ma starych, tam są wszyscy jednakowo piękni — podprostowały ją

lekkie te słowa i pojaśniała na twarzy, więc on, dalej: — ^ nie ma garbatych, kaprawych, z zaropiałymi oczami i pomarszczonych — cofnęła ręce do tułowia, chwyciła brzeg spódnicy i jeszcze bardziej pojaśniała; więc on dalej: — w niebie nikt nie śmierdzi, tam wszyscy pachną jak kwiaty na łące...

A jednak ten chłopiec wiedział, co może jej pomóc w chwili wielkiej słabości, czym uderzyć w tę słabość zagrażającą dokładnemu spełnieniu pokuty, która choć dobrowolna i jakby w tym wypadku nadprogramowa, i może niepotrzebna duszy, wcześniejszymi rygorami i umartwieniami oczyszczonej, ale jednak potrzebna dla nadania jej większego blasku, żeby błyszczała niby piękna rzecz, którą s(ię) już wyglansowało, ale jeszcze glansuje i dodaje blasku do blasku, bo przecież dusza ludzka nigdy nie jaśnieje tak, żeby nie mogła jeszcze bardziej zajaśnieć, braciszek to mówił i ksiądz proboszcz, a czasem i pan dziedzic, ona to wiedziała, i wiedziała też — bo oni mówili — że nic tak nie upiększa duszy jak cierpliwie znoszone udreki; mówili też, że niebo jest za piękne i zbyt ogromne szczęście w nim przygotowane, aby kiedykolwiek wystarczyło człowiekowi tej udreki, która jest na ziemi, żeby on mógł kiedykolwiek powiedzieć: „już dość się napłakałem, już dość krwi wylałem, cały próg do ostatniej drzazgi starłem bosymi nogami, już dość było cierpienia i harówki, i łez, i przeraźliwego lamentowania, już mam czym zapłacić za niebo”; chłopiec chyba to wiedział, bo pragnął, aby się jej udała ta dobrowolna pokuta.

Ledwie przebrzmiały jego słowa: „tam wszyscy pachną jak kwiaty na łące”, stara kobieta wyszła z grożącego upadkiem przychylenia i zaczęła sunąć do przodu i wnet zostawiła za sobą figurę świętego Antoniego Padewskiego z Dzieciątkiem. Słowa chłopca posiliły ją na tyle, że mogła nawet rozchylić spieczone sine wargi i uśmiechać się tym swoim bezzębny, szerniałym uśmiechem powiedzieć do niego: — gdy dojdę do słupka i będę mieć jeszcze trochę siły, to pójdziemy do jeziora, obmyję kolana, a potem wejdziemy na urwisko, w maliniaki, pojemy sobie malin.

Dość szybko posuwała się do przodu i bez przerwy mamrotała do samej siebie: — w niebie wszyscy są jednakowo piękni, w niebie nikt nie śmierdzi, w niebie wszyscy pachną.

Sunęła coraz szybciej, główna furta była coraz bliżej, żwawo wyciągnęła prawe ramię z rozcapierzoną dłonią, zawczasu ją przygotowała do dotknięcia prawego słupka furty, stojącego jakby na mecie jej pokuty; dotknęła go i zaraz upadła plecami na murawę. Chłopiec ujrzał jej kolana pomazane ziemią zmieszaną z krwią, ujrzał jej twarz porysowaną ciemnymi smugami schnącego potu, zaropiałe oczy i rozchylone wargi podobne do nieżywych glist, była zmęczona i brudna, ale bezgrzeszna, z duszą oczyszczoną i troskliwie wyglansowaną na wysoki — można by powiedzieć — nadobowiązkowy połysk, leżała w koronkowym, ukośnym cieniu przejrzystej brzozy i patrzyła w górę, małe różowe chmury wesoło przebiegały po niebie, rozpierała ją radość i duma.

W tym czasie stary kuśtykający kościelny wspiał się na wysoki próg dzwonnicy i pociągnął za sznury, odezwały się dzwony na Anioł Pański, a stara kobieta szepnęła: — dobrze byłoby umrzeć teraz, ale człowiek nie umiera wtedy, kiedy chce — potem szepnęła: wołanie o śmierć to grzech — podnosząc się z ziemi rzekła: —r boję się, abym nie zgrzeszyła...

Wiedziała, że ma duszę czystą i bała się wszelkiej, nawet najmniejszej plamki. A gdy stanęła na nogach i opadająca długa spódnica przykryła jej pokaleczone kolana, powiedziała: — boję się, że jutro zezłoszczę się na kury i zgrzeszę gniewem; gdyby nie było tych głupich kur, gawronów i urwisów podkradających jabłka, to może bym nie zgrzeszyła — i powtórzyła to samo, ale inaczej: — gdyby nie było pola | sadu, to może bym nie zgrzeszyła.

A potem wlepiła oczy w chłopca i westchnęła: — dobrze byłoby umrzeć, nim znów zacznie się dzień — i jakby błagalnie i natarczywie zarazem: — wiesz przecież, ciemnego, że dostąpiłam odpustu zupełnego — i zaraz sama do siebie: — przywoływanie śmierci to grzech.

Do jeziora było niedaleko i gdy doszli tam, było je-

Iszczę widno, czerwone, chłodne i nie męczące oczu słońce wisiało nad horyzontem, podobne do wielkiego pie- fniądza, cudownie zatrzymanego nad szparą ogromnej skarbonki.

Po drodze mówiła: — muszę się pilnować, abym nie zgrzeszyła jutro i pojutrze, i potem — a na brzegu jeziora rzekła: — boję się, abym nie utraciła łaski i nie musiała znów jej odrabiać.

Weszła do płytkiej wody przybrzeżnej i obmyła kolana, potem oczy i wargi, a gdy wyszła na brzeg, zaczęła z chłopcem podchodzić dość ostrą, trawiastą pochyłością na szeroki brzeg urwiska. Z początku mieli pod bosymi stopami miękką ziemię, ale wyżej trafiały się duże kamienie i płaskie skały, między skałami rosły krzaki malin, im bliżej tego stromego i głębokiego urwiska, tym krzaki były coraz gęściejsze, a maliny coraz piękniejsze.

Usiedli na dwóch kamieniach tuż przy dużym krzaku; nie wstając sięgali rękami po słodkie owoce i jedli, byli sami, nikt na nich nie patrzył, chyba tylko ta sikorka z gałązki sąsiedniego krzaka i to zimne słońce swoim nieczułym, sennym okiem.

Milczeli, stara kobieta położyła dłoń na ramieniu chłopca, a potem tę dłoń przeniosła na jego szczochną głowę i wpatrując się w niego przenikliwie, powiedziała: — dobrze, że zapamiętałeś to, co mówiłam o niebie...

Uśmiechnął się i chciał coś powiedzieć, ale o słowa znów było mu trudno, więc się zasmucił, ale znów się uśmiechnął, bo je przydźwigał po krótkotrwałej męce w sobie i rzekł: — sto słońc, a powietrze jak w maju ra- niutko...

Wtedy ona: — a co powiedziałam, gdy dzwony były na Anioł Pański?

On na to znów po krótkotrwałym zmaganiu się z samym sobą: — dobrze byłoby umrzeć teraz.

— A co powiedziałam, gdy szliśmy do jeziora?

— Dobrze byłoby umrzeć, nim znów nastanie dzień.

— I jeszcze co?

— Boję się, abym nie utraciła łaski.

— Cieszę się, że pamiętasz, i chcę, abyś to zrozumiał. Chłopiec zamyślił się, a ona znów: — zrozum, że gdy człowiek umiera w stanie łaski, idzie wprost do nieba.

A chłopiec na to szybko, bez żadnej męki w sobie: — jasność, jasność, jasność nad jasnościami...

A ona jeszcze: — chcę, abyś to zrozumiał, nie wzywam śmierci, ale chcę, abyś to zrozumiał.

Podniosła się z kamienia i rzekła: •— chodźmy dalej, tam maliny większe.

Weszli w gęściejsze krzaki i rwali owoce: — tam dalej jeszcze większe — powiedziała — im bliżej urwiska, tym coraz większe, na samym brzegu największe.

Szła przodem, przedzierała się przez gęste krzaki, rwała owoce malin i jadła całymi garściami, chłopiec posuwał się za nią i też jadł maliny. Doszła do skalnego progu, na sam skraj urwiska, spojrzała w przepaść, głęboko w dole ujrzała ostre skały sterczące z czystej wody jeziora z odbitym w nim, zanurzonym w nieskończonej głębi niebem, pochyliła się, chłopiec zatrzymał się za nią i przez chwilę patrzył na jej plecy; przez postrzępioną barchanową bluzkę wycierał w kilku miejscach suchy, podobny do tępej piły grzbiet, wyżej był ciemny, porowkowany zmarszczkami kark, a wyżej głowa z drutami i drucikami włosów zgniłego koloru, pozlepianych potem; gdy poruszyła głowę, mógł ujrzeć jej ziemisty, zmięty policzek, krogulczy nos przybliżony do brody i usta ściskające zakrzepłą, różową od malin ślinę; stała na bosych, drżących nogach, które tak wyglądały, jakby je naprędce zrobił z byle jakiego starego drewna byle jaki majster, była brzydka jak wiedźma, śmierdziała starym potem i brudem.

„W niebie wszyscy są piękni i pachną jak kwiaty na łące” — przypomniał to sobie nagle i dotknął dłonią jej pleców; to wystarczyło, bo ochoczo poddała się temu dotknięciu i poleciała w dół...

— W niebie wszyscy są piękni — zawołał wesoło i zaraz odpowiedziało mu echo, które nadleciało z gęstwiny przybrzeżnych skał; więc znów zawołał: — w niebie wszyscy są piękni — bo chciał znów usłyszeć swój głos, swój, a jakby nie swój, jakby wypowiedany przez skały, które potwierdzały jego słowa.

Przez jakiś czas rozmawiał z echem, a potem cofnął się w krzaki malin, rwał owoce i jadł, dla zabawy pod-

rzucał je w powietrze i chwycił ustami; na płaskich kamieniach zrównanych z ziemią znów zawołał: — w niebie wszyscy są piękni — gdy wszedł na miękką ziemię ostrej pochyłości, znów to wykrzyknął, przez całą powrotną drogę to wykrzykiwał i był szczęśliwy...

KONIEC NOWELI

List dziadka do wnuka w wojsku

Kochany i drogi wnuku, w pierwszych słowach listu mówię „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” i spodziewam się, że mi odpowiesz „na wieki wieków amen”; a teraz ci donoszę, że list twój otrzymałem, i to tak było, że listonosz Wicek zobaczył mnie przy furtce, wyjął go z torby, już z daleka wywijał nim w powietrzu i krzyczał: „list od wnuka, list od wnuka.”

Wziąłem go od Wicka, wszedłem do kuchni, włożyłem okulary i otworzyłem kopertę starą brzytwką, przejechałem po samym brzeżku, żeby nie uszkodzić pisma, wyjąłem list i zacząłem czytać, i zaraz zrobiło mi się trochę markotno, że na początku nie pochwaliłeś Boga, tylko od razu „donoszę wam, że jestem zdrowy i potłuściałem na gębie”; cieszymy się, że jesteś zdrowy i potłuściałeś, ale najpierw trzeba było pochwalić Boga, czy ty przypadkiem nie idziesz za tą nową modą, za którą teraz wielu idzie, i od takiego, gdy cię mijają na drodze, nie usłyszysz „niech będzie pochwalony...”, ani ci taki nie odpowie „na wieki wieków”, tylko się roześmieje i „dzień dobry, dziadku”, a jak jest wesoły, to „dzieńdoberek, dziadku...”

To „dzień dobry” rozpleniło się i już prawie wszyscy „dzieńdobrują” i „dzieńdoberkują”, a „niech będzie pochwalony” i „na wieki wieków” to tylko stary; i już się nie mówi „dobre rano”, „dobre południe”, „dobre popołudnie”, może jakiś stary tak powie; i już się nie mówi „witajcie”, „powitać”, „dziękuję za witackę”, tylko króciutko i prędziutko „dzień dobry” przez cały dzień, do samego wieczora tylko to jedno „dzień dobry” i „do widzenia”; dobrze, że jeszcze jako tako się trzyma „dobry wieczór” no i że trochę lepiej się trzyma „dobranoc”. Rozgadałem się o tych rzeczach, a ty jesteś ciekawy, co w domu i co koło domu; i co we wsi; no to ci donoszę, że stworzenie dobrze się chowa, ten byczuś, który miał rok, gdy odchodziłeś do wojska, to pięknota, skóra na nim jak materiał, będą go trzymać na opasa, matkajak matka, zdrowa, ale urobiona niemiłosiernie, nie wie, w co ręce włożyć, ojciec się najął za nocnego stróża w geesie, ale tam można się przespać, chłopak w szkole, świnia się oprosiła, ma jedenaście prosiąt, jedno cherlawe, trzeba je było odosobnić, żeby go inne nie stratowały przy ssaniu; przy cyckach zawsze tak jest, że jedno na drugie nie zważa i tratują się, i cherlawe nie da rady, nie dopcha się, młody Głębiak radził, żeby mu zrobić w chlewie osobne gniazdo, wziąć pod żarówkę i na cumel, ale ja się uparłem i wziąłem je do domu, na cumel, ale w domu, przy piecu, jak dawniej; „nowa murowanica, kuchnia w kafelkach, piec w kafelkach, a wy tam z prosięciem” P? śmiał się Głębiak, ale pomyślałem sobie, niech się śmieje, i wziąłem prosię do kuchni i pokazałem wszystkim, jak się ratuje cherlawe, z cherlawego przecież nieraz urośnie porządna świnia.

Piszesz, wnuku, że cię tam wciąż szkołą i wciąż dochodzą nowe rzeczy: musztrowanie, baczność, spocznij, na ramię broń, do nogi broń, naprzód marsz, to już dawno przeszło, rozbieranie, składanie karabinów także przeszło i zwykłe strzelanie już dla ciebie nie dziwota; i piszesz, że byłeś na ćwiczeniach, na dużym placu w środku lasu, gdzie wypróbowywało się nowe kule, nie takie jak dawniejsze; nie takie, jakimi ty, dziadziu, strzelałeś w austriackim wojsku — tak piszesz i z tego, co perswadujesz, wychodzi, że dawna kula leciała prościutko, i gdy się dobrze wymierzyło, to trafiała w sam łeb albo w samo serce i zabijała, a gdy się źle wymierzyło, nie trafiała, leciała w powietrze; wychodzi z tego, że głupia była ta dawna kula, bo gdy się na jej drodze nie ustawiła głowa czy serce, to biła Panu Bogu w okno, a ta dzisiejsza kula — jak piszesz — jest mądra, bo ona sama sobie szuka tego łba i serca, pleców, nóg, sama leci za człowiekiem i dopada go, i zabija; nawet wtedy, gdy człowiek stoi z boku tej drogi, po której ona leci, dopadnie go i zabije, bo umie zakrzywić swoją drogę, jakby wiedziała, że ta głowa i serce przesunęły się w bok, trzeba ją tylko odpowiednio uregulować, czyli ustawić na tę mądrość, ludzie zmądrzeli, to i kule musiały zmądrzeć.

Na pewno jesteś ciekawy, co we wsi, stawiają nowe domy, duże jak kościoły, i zwożą do nich różne różności; Michał Drozd ożenił się z Janką Jamrozik, to znaczy, musiał się ożenić, choć się mu nie bardzo chciało, ale musiał, rozumiesz — ha, ha, ha, śmieję się; stary Kozubek umarł, miał lekką śmierć, skończył się na spaniu, rano nie wstał, a zawsze wstawał pierwszy, i młodego Kózubka coś przepiknęło, idzie do przybudówki, bo stary nie spał na pokojach i tam się nie pojawiał, a to dlatego, że młodzi wstydzili się go pokazywać, trząsał się i gębę miał wciąż otwartą, bo mu opadała dolna warga, a także się ślinił i trochę śmierdział, bo czasem popuścił w portki, ale śmierć miał leciutką i bardzo ładny pogrzeb, nikt nie płakał, popili po pogrzebie, że strach, i pokłócili się ostro o kozuch po starym, doszło do tego, że młody Kozubek zdzielił w pysk szwagra, bo kozuch był prawie nowy, szwagier mu oddał, a młody Kozubek znów oddał szwagrowi flaszką z wina i szwagra zaćmiło, rymnął na podłogę jak długi, ale mu się nic nie stało, choć z początku wyglądało, że zabity, trzęśli nim i polewali go wodą, a on leżał bez duszy, dopiero ksiądz doradził, ksiądz był zaproszony i także pił z nimi, żeby mu wpuścić do nosa parę kropelek czystego spirytusu, i tak zrobili, szwagier krzyknął i ożył, nawet włączył się do picia, ksiądz to zawsze ksiądz, wie, jak ratować i duszę, i ciało; ale dobrze, że się tak skończyło, a nie jak na chrzcinach u Maryśki Ramus, pamiętasz, bo byłeś wtedy jeszcze we wsi, tam tak popili, że jeden drugiego zabił.

Co jeszcze, co jeszcze ci napisać, o, zapomniałbym, ten świerk, wiesz, ten świerk, który przywieźliśmy z lasu maleńkim, gdy ty byłeś chłopakiem, i posadzili w rogu płotu dla upiększenia sadu, ten świerk miał wypadek, wiatr obalił topolę i ona lecąc ukosem obcięła mu wierzchołek, było zmartwienie, bo wiesz, co warte leśne drzewo bez wierzchołka, przecież po to był przywieziony, żeby rósł do szpica, wybił się nad inne drzewa i cieszył nas tym rośnięciem; zmartwiłem się i pomyślałem, co teraz będzie na górze zamiast wierzchołka, sześć gałązek rozłożonych w gwiazdę; a gdy nie ma wierzchołka, to co poprowadzi drzewo do góry, będzie rosło w szerokość, zrobi się baniaste, brzydkie, a nie ma nic brzydszego jak baniasty świerk, mała, gruba baba zrobi się z niego; w nocy źle mi się spało, bo myślałem o tym drzewie, takim

wnuku; gdy to przeczytasz, to pewnie zbierze cię
na śmiech — ha, ha, ha — słyszę, jak się śmiejesz.

Mówię o świerku, bo to było zmartwienie, ale w głowie mam to, co piszesz o strzelaniu tymi nowymi, mądrymi kulami, donosisz mi, żeś sobie puknął parę razy taką mądrą i sprytną jak zły człowiek kulą i trafiłeś w głowę, w serce, opowiadasz, że daleko przed tobą puścili na sznurku człowieka z plastiku, piszesz, że on był z masy, ale całkiem podobny do żywego, miał ręce, nogi, głowę, oczy, uszy, a na piersi wymalowane serce i nawet w środku miał podgrzaną czerwoną wodę, niby to krew, był ciepły jak prawdziwy człowiek; musiał być taki, bo ta kula wymacuje rzeczy ciepłe jak ludzkie ciało i w nie trafia; i piszesz, że później pokazali oi tego trafionego „człowieka”, i zobaczyłeś, że on w tym miejscu, gdzie jest serce, miał dziurę na wylot, a pierś była zbryzgana „krwią”, wszyscy mówili, żeś dobrze wyregulował kulę, sam dowódca uściskał ci rękę i poklepał po plecach, a ty się cieszyłeś i byłeś dumny, czyś ty naprawdę się cieszył i byłeś dumny z tego, żeś trafił w samo serce, zapytuję się ciebie; i jeszcze zapytuję, czyś ty się cieszył, gdy byłeś z wszystkimi i oni na ciebie patrzyli, czy cieszyłeś się także, gdy byłeś sam, tylko sam z sobą samiutki; i gdy ci przyszedł na myśl ten „człowiek” zbryzgany czerwoną wodą, jak krwią, czy wtedy także ogarnęła cię radość, że trafiłeś w samo serce.

Na pewno chcesz coś wiedzieć o Wacku Dudku, który służył w wojsku w tym samym mieście co i ty, no to ci piszę, że on także postawił murowanicę, ale stary Dudek, ojciec Wacka, nie chciał się do niej przeprowadzić, uparł się, żeby zostać w starej chałupie, pod strzechą, i nie dał jej rozwalić; „będę tu, póki nie umrę” — powiedział spokojnie, a wszyscy myśleli, że kpi, bo z niego był kpiarz, no to wcześniej rano Wacek z sąsiadem, Wickiem Ramusem, przyszli z drabiną, żeby ją dostawić do ściany i wyjść na dach, bo rozwalanie zaczyna się od komina, później zrywa się kalenicę, a potem wykrętki i ła-* ty, a potem ściany i piece.

„Po coście przyszli z tą drabiną?” — zapytał się ich całkiem spokojnie, a Wacek na to: „będziemy rozwalać chałupę, ale przedtem wyniesiemy meble i garnki, a ty,

dziadku, przeprowadzisz się do nowego domu, przygotowaliśmy dla ciebie ładny pokoik na niskim parterze..." „Będziecie rozwalać chałupę, ale wpieryw wyniesiecie meble i garnki, a dla mnie wyrychtowaliście ładny pokoik". — powtórzył za Wackiem i zaśmiał się.

Wacek później mówił, że już to pierwsze „ha, ha, ha" dziadka mu się nie spodobało, bo było jak nie śmiech; a gdy potem dziadek znów się zaśmiał, to już było zupełnie niepodobne do śmiechu, gdyż było strasznie chrapliwe, jakby się przedzierało przez zaciśnięte gardło; a potem nagle dziadek zaczął do nich milutko: „poczekajcie, kochasie, poczekajcie, zaraz wam coś pokażę" — i wszedł do kuchni, czegoś tam szukał, po pewnym czasie wyszedł ze starym, wyrobionym bagnetem po manlicherze, którym się przy zabijaniu kłuje świnie pod przednie łopatki, żeby spuścić krew na wyrób kiszek; „widzicie, kochasie, widzicie" — powiedział z miłym uśmiechem i oni zaraz cofnęli się z drabiną i zostawili go w chałupie.

Stoi ona teraz wśród murowanie i młodzi mówią, że okrutnie szpeci wieś, i jeszcze mówią po swojemu: „to ci heca nie z tej ziemi, co za numer wyciął stary Dudek; czekają pewnie, żeby umarł, i chyba życzą mu śmierci, ale on żyje jak na złość."

Ja się przeniosłem do murowanicy, wiesz przecie, żal mi było chałupy i gdy ją rozwalali, zbierało mi się na płacz, ale co miałem robić, uciekłem w łopiany i popatrywałem, jak się kończy chałupa, i pięściami ocierałem łzy, a najbardziej z wszystkiego żal mi było pieca i gdy w niego walnęły kilofy, to mnie coś chwyciło pod lewym ziobrem i zaraz sobie przypomniałem, że przy tym piecu moja nieboszczka, twoja babka, darła pióra i że przy nim razem z nią łuskałem groch, i ona wymrukiwała jakąś ładną nutę, bo tak mi się głupio, wnuku, zdawało, że póki ten piec był, to było i to darcie piór, i łuskanie grochu, i moja nieboszczka wciąż tam siedziała, i ta jej pieśń dolatywała; i tak mi się głupio wydało, mój ty kochany wnuku, że to wszystko skończyło się dopiero wtedy, gdy skończył się piec i została z niego kupka starych porozbijanych cegieł, ale co miałem robić; o psiamać, psiamać, łza kapnęła mi na litery, anim się spodział, skądś się wzięła i spadła na pisanie, niech ją diabli, zły jestem na nią,

W ale co zrobię, nie będę przecie zaczynał od początku, to okrągłe zamazanie to ona, da się przeczytać.

Wrócę teraz do tego drzewa, żeby wyjść z żalości, skończyłem na tym, że gdy mu topola odcięła wierzchołek, zostało na górze sześć gałązek ułożonych w gwiazdę; i powiem ci, wnuku — cicho było na świecie, cichutko, jak makiem zasiał, a te gałązki lekko drżały, jakby w nie pobijał malutki wiatr, całe drzewo było spokojne, a one się poruszały pomalutku, czasem prędzej; kiedym tylko się w nie wpatrzył, to one tak chodziły z góry w dół, z góry na dół i były niespokojne.

Co się dzieje, co się dzieje, jakieś cuda — myślałem i czekałem z niecierpliwością; czasem to z tej niecierpliwości mówiłem do nich jak do ludzi: „co się z wami dzieje, tam na górze, hej!"; któregoś dnia wydało mi się, że jedna gałązka z tej gwiazdy porusza się mocniej niż inne, zwidziało mi się czy co, patrzę i patrzę, naprawdę jedna, ta od południa, chodzi mocniej i prędzej...

Muszę przestać pisanie, bo mnie wołają, żebym przytrzymał skrzynkę, do której wsypują wczesne ogórki, za wczesne ogórki płacą nieźle.

Znów się zabieram do pisania, parę dni zeszło, nim wróciłem do listu, bo zaczęło się od trzymania skrzynki, a potem przyszło przebieranie ziemniaków, pojawiły się zgniłe, wszyscy myślą, że stary wyśmienicie się nadaje do przebierania ziemniaków, to robota nieciężka; niby nie- ciężka, ale uprzykrzona, że nie daj Boże, całymi godzinami nic nie widzisz, tylko te ziemniaki, zdrowe oddzielasz od zgniłych, na jednej kupce zdrowe, na drugiej zgniłe, wiesz przecie...

W tym czasie, gdy przebierałem ziemniaki, rozeszła się wiadomość, że Wojtek Stawarzów z Przybrzeża, no ten Wojtek, który bardzo lubi konie, także nie chciał przenieść się do murowanicy, myślałem, że tylko jakiś stary nie chce, a tu patrzcie — Wojtek Stawarzów, który jest młody, także się upiera.

On od małego przesiadywał i sypiał w stajni przy koniach na uwieszonym u powały wyrku; mówili na niego „głupi", ale czy to, że sypia w stajni, znaczy, że jest głupi? Ludzie to zawsze, gdy ktoś chce nie tak jak wszyscy, mówią, że zgłupiał, już tak jest...

Ojciec Wojtka, Franek Stawarz, postawił nowy, murowany dom, wyrychtował pokoje i któregoś dnia mówi do Wojtka: „wylazłbyś już z tej stajni i przeniósł się do domu, miejsca dosyć, aż dudni”, a Wojtek na to: „dobrze mi jest przy koniach”, wtedy Franek, jego ojciec: „w chałupie było mało miejsca, bo tylko jedna izba, to mogłeś sypiać z końmi, ale teraz...” Trzeba ci wiedzieć, wnuku, że u Stawarzów jest pięcioro: Stawarzowie, babka, bo dziadek dawno umarł, Helenka, siostra Wojtka, no i Wojtek, a pokojów z pięć albo ze sześć, dla każdego pokój i jeszcze zostanie, ale Wojtek powiedział, że się nie przenieśli, on chyba głupi, zresztą diabli wiedzą, jak jest z Wojtkiem; no to Franek Stawarz trochę się zezłościł i rzekł ostro: „głupiś czy co” — Wojtek swoje, że mu dobrze przy koniach, wtedy Franek mocniej się zezłościł i krzyknął: „no to siedź, siedź w tej stajni, głupku...”

Ktoś chyba usłyszał to, co Franek powiedział w złości na ostatku, bo zaraz rozeszło się na wszystkie strony, że Stawarz traktuje syna jak zwierzę i każe mu mieszkać w stajni, i że go dręczy, to się tak rozeszło, że dowiedziała się o tym jedna pani w mieście, ona przyszła do Stawarzów, powiedziała, że jest z opieki, i wyrpała Stawarzowi, że nie wolno trzymać człowieka razem ze zwierzętami, bo nie zezwała ustawa, a Stawarz na to, że mówił Wojtkowi, aby się przeniósł do domu, ale Wojtek się uparł i nie chciał; wtedy ta pani powiedziała: „zobaczymy, jak to jest”, i poszła na obejście, Wojtek akurat siedział sobie na progu i wydrapywał zgrzeblę sierść ze szczotka, ale gdy zobaczył panią, wstał, zalaatywał lekko — jak mówią — końskim gnojem, ale przedstawiał się ładnie, wysoki, prosty, biały na gębie.

Ona do niego: „jak to jest, panie Wojtku, z tym zamieszkiwaniem w stajni”, wtedy wszyscy, którzy tam byli, a była grupka ludzi, w śmiech z tego, że ona do Wojtka „panie Wojtku”; pomyśl, wnuku, pani z miasta do głupiego, może nie głupiego, Bóg to wie, Wojtka Stawarzowego zwraca się „panie Wojtku”, prędzej nagłej śmierci można było się spodziewać niż tego, że ktoś do Wojtka powie „panie Wojtku”; to także zaraz się rozeszło na wszystkie strony i ludzie nie o tym, że on nie chciał się przenieść do murowanicy, ale o tym „panie

■Wojtku", a śmiechu było przy tym co niemiara, ludzie aż się za brzuchy trzymali z tego śmiania, wystarczyło, że ktoś wyskoczył z tym „panie Wojtku”, śmiali się na Przybrzeżu i śmiali na Zarzeczu, w naszej wsi się śmiali.

On wtedy przy stajni stanął przed tą panią i odpowiedział: „mnie tu dobrze”, a ona do niego i do jego ojca, i do tych, którzy tam byli: „wejdźmy do domu, zobaczymy, jak tam jest”, Wojtek nie chciał iść, ale pani wzięła go pod bok, nie wstydziła się, że śpi w stajni, i pociągnęła delikatnie, a ojciec i Majchrzak, nasz sąsiad, pchnęli go z tyłu i on się ruszył, weszli do domu, najpierw do sieni, to znaczy do przedpokoju, a potem do pierwszego pokoju, Wyrychtowanego 3^{ak} " miastowych; i wtedy ta pani do niego: „jak tu ładnie, panie Wojtku”, znów to „panie Wojtku” ha, ha, ha, ale się śmieję, on nic nie mówił, tylko się strasznie wykrzywił na gębę, co znaczyło, że mu się pokój nie podoba, a to mocno zezłościło Stawarza, który krzyknął: „jak to, nie podoba ci się taki pokój”, a Wojtek, jak był w tym wykrzywieniu, tak pozostał, a może jeszcze bardziej się skrzywił, wtedy Stawarz krzyknął jeszcze głośniej: „nie podoba ci się kredens z szybami z ciętego szkła”, a Wojtek wciąż w tym skrzywieniu, jakby go chwycił skurcz; Stawarz znów w krzyk: „nie podoba ci się podłoga z parkietu, chiński dywan”, a Wojtek wciąż jednaki.

Przy chińskim dywanie miarka się przebrała i Stawarzowi coś się stało, zaczął krzyczeć na cały głos, jakby kto go obdzierał ze skóry: „nie podoba ci się kilim w róże, nie podobają ci się weneckie okna, nie podobają ci się święte obrazy nowo nabyte, nie podoba ci się kolorowy telewizor, który mogę puścić z daleka, tak, z daleka mogę puścić.”

Doskoczył w tym krzyku do małego, połyskującego pudełeczka, które leżało na stoliku z dala od telewizora, coś w nim przycisnął i telewizor się zaświecił: „to ci się też nie podoba”, wrzasnął z całą mocą, aż szyby zadzwoniły w tych weneckich oknach, mówią, że zadzwoniły: „i to, że z dworu mogę puścić telewizor, także ci się nie podoba” — znów krzyknął, a potem wyleciał jak oparzony do sadu z tą skrzynką, z której wystawał niewielki drucik, i gdy on był w sadzie, znów się zaświecił tele

wizor, a gdy wrócił, znów doskoczył z krzykiem do Wojtka: „i to ci się także nie podoba...”

Zamilknął nagle i dość długo nic nie mówił, jakby czekał na odpowiedź Wojtka, a Wojtek wciąż był jednaki i do tego wykrzywienia na gębie dołożył na końcu „nie” i jeszcze dołożył: „wolę u koni...”

Wtedy Stawarz przestał krzyczeć i już się nie złościł, zrobił się smutny, zwiesił głowę, a w oczach pojawiły się łzy, zaczął płakać jak dziecko, wszystkim zrobiło się żal Stawarza, a ci ze *wsi, którzy tam byli, cyknęli śliną w stronę Wojtka i powiedzieli: „głupi, teraz widać, że głupi” — ale diabli wiedzą, jak jest z -tym Wojtkiem; nawet ta pani nic nie mówiła, pewnie też uważała, że on głupi, i może pomyślała: niech siedzi w tej swojej stajni, jak chce.

Wojtek przestępował z nogi na nogę, jakby go napierało na sikanie, a potem wyleciał z pokoju i pognął do swoich koni, pani z opieki się zmartwiła, bo przepis o o- piece nie pozwala, żeby człowiek mieszkał z bydłami, według tego przepisu stajnia jest dla koni, obora dla krów, chlew dla świń, a dla człowieka dom; dawniej takiego przepisu nie było, bo domy były liche i zabudowania gospodarskie także były liche, i nieraz, gdy chwycił siarczysty mróz, ludzie, bydła i ptactwo gromadzili się pod jednym dachem, żeby było cieplej, teraz jest inaczej, bo domy są nowe i ciepłe, stajnie, obory, chlewy także nowe i ciepłe, a do tego jeszcze dochodzi litościwy przepis; ale co zrobić, jeśli ktoś, na ten przykład Wojtek Stawarzów, sam, z własnej chęci woli mieszkać w stajni z końmi niż w domu z ludźmi, woli dzwonięcie końskich łańcuchów i prychanie koni, gdy w żłobie wydmuchują sieczkę i siekane buraki, a wychwytują po ziarenku owies, takie są mądre, i woli szuranie siana w szczeblach drabiny, gdy je wydzierają pyskami i przy tym cicho sobie podzwaniają kantarami, i woli ciężkie sapanie najedzonych i proszalne rżenie głodnych koni niż te domowe swary, bo trzeba ci wiedzieć, wnuku, że dom to są swary, wciąż swary, mniejsze, większe swary, nie ma domów bez swarów, a w stajni jest zgoda; Chrystus także wolał bydła niż ludzi, urodził się w stajence i z pewnością pobylby w niej dłużej, gdyby nie musiał

uciekać przed Herodem, po mojemu są dwa wyjścia: albo ciut, ciut zmienić przepis, albo związać Wojtkę i zanieść do murowanicy, niech w niej leży jak snop tak długo, aż przywyknie, ale lepiej nie przymuszać.

Znów mnie odwołują od listu i wzywają do roboty, nie do przebierania ziemniaków, ale do rąbania drewna, łupki i okrągłaki już pocięte piłą mechaniczną na krótkie kawałki, będę je dziabął na drobniejsze, idę z ochotą, bo lubię rąbać, siekierkę mam wyrychtowaną, trzonek zaklinowany, nie wypadnie, pniak zaokrąglony wierzchem, ścięty po brzegach, dopasowany akurat do mnie.

Znów wracam do listu, pióro umaczałem w kałamarzu i piszę, litery stawiam koślawe, ale da się przeczytać, donoszę ci, że dwa dni zeszło mi z tym rąbaniem, stos drewna przed drewnią, jutro je wrzucę do środka, żeby tylko nie padało; mówię ci, wnuku, że .orąbałem się jak młody, krzyż mnie boli, ale niech boli, bo orąbałem się jak młody, rozłupywałem bijąc ostrzem i rozłupywałem bijąc na odwrót, obuchem, oderwane od sęków kawałki trzasnęły mnie parę razy w czoło, a raz blisko oka, ale to nic, zakląłem tylko „cholera”; miałem na języku „niech to szlag trafi”, jednak się wstrzymałem, bo to gorsze niż „cholera”, ale com się nacholerował, tom się nacholerował, jak za młodu.

Raz to, raz to przychodzi mi do głowy, a teraz znów mi się przypomina to, co piszesz o tej drugiej mądrej kuli, przed którą nie ma schowka ani ucieczki i choćbyś, człowieku, wszedł w żelazo, na ten przykład w czołg, i ruszył w nim po różnych wertepach, w prawo, w lewo, w dół, do góry, ona cię dopadnie, będzie się wiła jak wąż, podfruwowała jak pliszka, śmigła na różne strony jak jaskółka i dopadnie cię w czołgu, bo wstawisz w nią magnes i jak ta pierwsza, o której pisałeś, leciała za czymś ciepłym, ta druga leci za czymś żelaznym,-w to żelazo trafia, niby szwajcarski aparat wytapia w nim dziurę i człeka w tym żelazie zabija.

Jak mógł człowiek wynaleźć coś takiego, zapytuję się ciebie, wnuku; a może ty widział takiego, który wynalazł tę mądrą kulę, to mi napisz, bo okrutnie jestem ciekawy, jak taki wygląda, jak się rusza, jak patrzy, jak się wita z drugim, czy się śmieje, czy jest smutny, no bo

widziałem różnych, takiego, który połykał ogień i jadł szkło jak kaszę, i takiego, który opasywał się żywym wężem, i takiego, który opasywał się łańcuchem, potem nadymał się i urywał łańcuch, i takiego, który włożył do kapelusza szalik i zmienił go tam w gołębia, ale takiego magika, który zrobił tę mądrą kulę, jeszcze nie widział.

Przerywam pisanie, choć mnie nie wzywają do roboty — dlaczego mnie nie wzywają, nie wiem — przerywam pisanie sam, z własnej woli, bo idę popatrzeć, co dzieje się z tym świerkiem w rogu sadu; nie uwierzysz, gdy ci powiem, że ta gałązka od strony południowej, o której ci mówiłem, wyraźnie zagięła się ku górze, cieszę się, bo z niej będzie pewnie nowy wierzchołek, nie mogę tego pojąć, wnuku, że ona tak się zakrzywiła i zaczyna wystrzelać do nieba, jak tak dalej pójdzie, to świerk stworzy sobie nowy wierzchołek, drzewo stanie się szpiczaste i będzie bić w powietrze.

Wróciłem od drzewa, wielka radość, jest nowy wierzchołek, jeszcze troszeczkę odstaje, ale na pewno się wyrówna i będzie jak przedtem, nie mogę tego pojąć, wnuku, dwóch rzeczy nie mogę pojąć — tej sprytnej kuli i tego mądrego drzewa.

Znów wróciłem od świerka, wesoły teraz, mówię ci, jaki wesoły, tak wesoły, że aż podryguje, gdyby nie miał korzeni, poleciałby prościutko do nieba, opóźniłem pisanie, bo chciałem ci powiedzieć, jak jest z tym drzewem.

Nie mogę, wnuku, pojąć tego, że od początku świata człowiek wytwarza różne rzeczy do zabijania drugiego człowieka, jakby musiał, nikt mi tego nie umie wytłumaczyć, pytałem się księdza, to mi odpowiedział: „niezbadane są wyroki boskie”, tak powiedział, bo nie wiedział, pytałem się nauczyciela, ten mi tylko tyle: „hm, hm”, i uśmiechnął się, wyczułem, że mnie ma za dziecko; a ja się pytałem, bo teraz tyle gadania o tej wojnie, która pono musi być.

A może już na samym początku stało się coś takiego, że musi być to zabijanie, może już wtedy, gdy Pan Bóg wyganiał z raju Adama i Ewę, padło jakieś słowo w wielkim gniewie i od tego boskiego słowa to się zaczęło; no bo przecie wtedy Bóg był strasznie rozzłoszczony, tupał

z pewnością nogami na tę młodą parę, którą niedawno stworzył, i krzyczał na cały głos, wiemy, że krzyczał: „będziecie w pocie czoła pracować na kawałek chleba”, ale potem w tej strasznej złości mógł pomyśleć, że to za mała kara dla tych niewdzięczników, no bo co to za kara — naharować się to wcale nie jest kara, zawsze rwałem się do roboty, gdy była, bo czasem jej nie było i wtedy śniła mi się po nocach ciężka robota, czekałem na nią jak na zbawienie; no to mogło się Bogu wydać, że nie karze ich jak trzeba, i aby rzetelnie ukarać, mógł jeszcze na końcu dodać „i będziecie się nawzajem zabijać”, i już ci pierwsi poszli w świat z tym musiem zabijania, niedługo zeszło, a Kain zabił Abła.

Przyznam ci się, wnuku, że ja sam dawno temu, gdy mi Ambroziak przeorał miedzę, poszedłem do niego ze sztachetą i powiedziałem: „zabiję cię, jeśli nie poprawisz miedzy”, musiałem strasznie wyglądać, bo Ambroziak poleciał na pole i naprawił miedzę, dosunął do niej tę murawę, którą przyłączył do swojego, gdyby tego nie zrobił, to nie wiem, co by się stało; a ile by urosło na tych obrzynkach miedzy, które przewrócił pługiem na swoją stronę, ile, siedem, osiem litrów żyta, czyli mniej więcej dwa garnce, czyli dwa i pół do trzech bochenków chleba, czyli mniej więcej czterdzieści kromek, pomyśl, wnuku, chodziło o czterdzieści kromek, ale zabijali o kromkę, o kruszynę, o nic...

Nie mogę pozbyć się tej myśli, że jeden drugiego zabija, no bo jest teraz o tym zabijaniu dużo w gazetach, w radio, w telewizji, i od ludzi się słyszy, wszyscy lubią gwarzyć, że gdzieś ktoś kogoś zabija, rozmawiają o zabijaniu jak o chlebie albo o butach, „zabije mnie ktosik albo ja kogosik” — śpiewają na weselach i chrzcinach, a ci, co to słyszą, śmieją się wesoło, ha, ha, ha.

Do roboty wciąż mnie nie wołają, nie wiem, co się stało, ziemniaki już przebrane, szkoda, bo mógłbym jeszcze przebierać, choć to uprzykrzona robota, ale gdy nie ma innej, to niechby była i ta, drewna narąbałem i na długo wystarczy, rąbanie drewna dobra robota, ale się skończyła, trzeba czekać.

Myślałem, że mnie zawołają do rżnięcia sieczki, ale nie zawołali. Feluś z ojcem poszli do stodoły beze mnie, gdy

wychodzili, rzekłem do Felusia: „mógłbym wam dosu- wać do rzezaków słomę i liście buraczane, gdy będziecie rżnąć”; na to Feluś ze śmiechem: „będziemy to robić motorkiem i musi się dosuwać szybko i ostrożnie, bo tryby mogą złapać palec albo taśma chwycić człowieka, to już nie dla ciebie, dziadziu”; gdym to usłyszał, to tak jakby mi kto dał w pysk.

Do siekania buraków także mnie nie zawołają, bo już tego nie robią siekaczem esowym w korytku, kupili maszynkę, którą przyłączają do motorka, puszcza ją i ciach, ciach, ciach; od razu pełny cebrzyk posiekanych drobno buraków; i do żaren także mnie nie wyślą, bo kamień także złączyli taśmą z motorkiem, a żarnówkę odrzucili, zrobili prawdziwy młyn, a przecie mógłbym po staremu zemleć parę garnicy jęczmienia na ospę, jęczmień miele się lekko, podbiłbym klin, a potem chwycił za żarnówkę i szuru-buru, szuru-buru, jak za młodu, do żyta nie rwałbym się, bo przy życie klin trzeba popuścić, przy życie ciężko, ale nie ma już prawdziwych żaren, żarnówka wała się gdzieś pod ścianą, czasem się jej przyglądnę, dotknę okucia i pogłaskam wyrobione przy paprzycy śliskie wgłębienie, i tyle.

Pozostało mi zmiatanie obejścia, no to zmiatam i zmiatam, czyściutko, ani słomki przed stajnią i oborą, a ja zmiatam, ale to nie robota, brzydzę się tą miotłą drapa- ką i rzucam ją w kąt, ale później znów biorę, jedyne, co mam do niej, to to, że przez nią klnę jak kawaler; no i pozostało mi czekać na przebieranie ziemniaków, ale kiedy one wreszcie zaczną gnąć, może prędzej umrę, niż doczekam się zgniłych ziemniaków; no i pozostało mi czekać na rąbanie drewna, ale kiedy się doczekam, gdy tyle już narąbałem.

Ale powiem ci, wnuku, tobie tylko powiem w sekrecie, że gdy mi nie dadzą porządnej roboty, to sobie sam znajdę taką robotę, że mnie popamiętają wszyscy, cała wieś, przekopię grobelkę między jeziorkiem a rzeką i wypuszczę im ryby, wezmę łopatę i pójdę w krzaki, nikt mnie nie ujrzy w gęstej wiklinie, będę kopał i kopał, będę brał duże sztychy, odrzucał ziemię i w końcu przekopię grobelkę, powiem rybom: „zmykajcie i chowajcie się w dużej rzece, bo was wyłapią sieciami, podrywkami,

H bębнами i wędkami, zmykajcie, póki czas" -7- i ryby ruszą do przekopu, bo im za ciasno w jeziorku, siądę sobie na brzegu i będę poznawał po plusku, jakie wpływają w przekop i przedostają się do rzeki, leszcze czy szczupaki, węgorze czy zwykłe brzany, okonie czy stada kielbi- ków.

Potem na pewno ktoś zobaczy, że grobelka jest przekopana, ale wszyscy pomyślą, że zrobili to na złość za- wiślaki, będą się na nich wściekali, wezmą łódkę, nocą przepłyną na drugi brzeg, porobią przekopy w jeziorkach Zawiaślaków i będzie się kłócił jeden brzeg z drugim, a ja będę się śmiał ha, ha, ha; po co mi mówią, żebym siie- dział na ławce i spoczywał.

A gdy znowu nie dadzą mi porządnej roboty, pójdę przed świtaniem między gęste krzaki na bagienku, przy którym schodzą się rzeki, nikt się tam nie zapuszcza, bo w tych krzakach straszy, złe duchy wciągają ludzi w grzęzawisko i topią; i zimą się tam nikt nie zapuszcza, bo choć bagienko zamarznęte, duchy mają swoje dziury i odmęty, których się nie chwyta mróz, ale ja się nie boję. wypuszczę krzyżyk na koszulę i wezmę kwaterkę święconej wody, pokropię nią błoto i wiklinę, i załatwione, wypróbowałem i wiem, że na odpędzenie złego błotnego ducha dobry jest krzyżyk wypuszczony na wierzch i fla- szczka święconej wody, dobrze jest także rysować co jakiś czas patykiem krzyż na błocie, ale najlepiej to zakpić z takiego ducha i rzec do niego jak do znajomka: „chodź no tu, chodź no, zły duchu, to cię pokropię święconą wodą i zostaniesz świętym”, tego on się boi najbardziej. No i powiem ci, wnuku, że znam na bagienku suche przejścia i tajemne ścieżki zwierząt, a rudych lisów tam co niemiara i wydra się trafi, i kuna, i łasica, a i tchórz czasem; pozakładam sidła, wnyki, sprężynowe żelaza, skrzynkowe łapki i druciane potrzaski, nałapię zwierząt i dam w sekrecie Dudziakom lisie skórki do wyprawy, zapłacę skórkami kun i łasic, a potem krawiec Bodzioch też w sekrecie uszyje mi dużą, szeroką lisiurę z wielkim kołnierzem, ubiorę się w nią zniecka, nałożę wielką jak wiadro futrzaną czapę i siądę na ławce przed domem jak hrabia, ciepło będzie czy zimno, wszystko jed

no; ale się zdziwią, gdy mnie zobaczą, mało trupem nie padną ze zdziwienia i krzykną: „patrzcie no, dziadek w lisiurze, skąd ją wziął”; a ja na to spokojnie: „a jakże, sprawiłem sobie lisiurę, będę w niej chodził jak hrabia, nie mam nic do roboty, to będę sobie siedział na ławce albo spacerował w lisiurze”; wtedy oni: „dziadek oszalał, co za wstyd”, a ja się w duchu śmieję, ha, ha, ha, bo przecież chciałem ich zawstydzić, a Feluś mówi: „dziadkowi się za dobrze powodzi i szaleje, trzeba mu dać jakąś porządną robotę, to przyjdzie do zmysłów, u ciotki Mańki nie mają drewna do palenia, niech idzie tam rąbać”, no to ja zaraz zdejmuję i ciskam lisiurę i w trygi migi lecę do Mańki.

Tak sobie to przedstawiam, wnuku, i cieszę się, a gdy się tak nie stanie, nie zdejmę lisiury, będę w niej chodził w zimie i w lecie, żeby się coraz bardziej wstydziłem, będę w niej spacerował wolno i elegancko jak stary hrabia, a wiem, jak się po hrabiowsku stawia kroki, bo nieraz widziałem starego hrabiego na spacerze w lisiurze, będę tak robił, żeby już nie mogli znieść tego wstydu i dali mi jakąś porządną robotę.

Jutro wybieram się na bagienko, żeby przebadać ścieżki, gdy wrócę, napiszę ci, jak tam jest.

Wróciłem z bagienka i znów zabieram się do pisania i donoszę ci, że zrobiłem jak zawsze, krzyżyk wyjąłem na wierzch, a ze starych rupieci wygrzebałem kwaterkową flaszkę po wódce, po drodze wstąpiłem do kościoła i nabrałem z chrzcielnicy, po samą szyjkę, święconej wody, gdy to masz, możesz iść w najgorsze miejsce.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem na bagienku, był gil samiec, siedział na gałązce wierzbowca i huśtał się, przystanąłem, żeby mu się przyglądać, bo lubię patrzeć na gile, siedzi sobie taki i wydyma się do przodu, i chwali się, i wciąż wydyma, jakby się chciał zamienić w czerwony balonik, postąpiłem parę kroków i odleciał; patrzę w dół, co widzę, pióra umazane krwią, zaraz poznałem, że przepiórcze, bo miejscami szare, miejscami brązowe w białe kreski; ale skąd się wzięła przepiórczka na bagienku, przecież ona lubi pola i suche łąki, a omija ziemię mokrą, o, już wiem, skąd się wzięła, jastrząb

ją porwał na polu i tu z nią przyleciał, żeby ją zjeść w spokoju.

Idę dalej suchą ścieżką mnie tylko znaną, popatruję na boczne ścieżki, którymi może przejść małe zwierzę, ale człowiek nie, bo pod człowiekiem się zapadną, chyba żeby sunął na brzuchu, ale to też niepewne; przychylam się co jakiś czas i badam dolne suche odrosty, zadziory wiklin, szukam na nich sierści, bo gdy zwierzęta przedzierają się przez krzaki, to suche patyki zedrą z nich czasem odrobinę futerka, przyklekam, odłamuję, patyk, prostuję się i patrzę na jego szpic, są, są włoski, brązowe, wydra to albo kuna, ale prędzej wydra, bo włos długi i sztywna wy jak u wodnego stworzenia; i znów zadziór z włoskami, i znów, na kilku patykach wyraźnie rozpoznaję sierść rudego lisa, będziesz miał, dziadku, lisiu- rę — myślę sobie, będziesz spacerował w lisiurze jak hrabia, niech tylko nadejdą mrozy i upiększą futerka zwierząt...

Idę dalej, ścieżka się kręci to w tę, to w drugą stronę, trzeba to wiedzieć, czasem to, co wygląda jak ścieżka, nie jest ścieżką, kto tego nie wie, wpada i nie ma ratunku; paru się utopiło, bo się im zachciało lisich skórek, musieliśmy ich wyciągać bosakiem, to ciężka robota, trzeba kłaść na grzędawisku grube, szerokie deski i szpicem bosaka wymacywać topielca, a jak odróżnisz ziemię od człowieka, pytam się, jak, nic nie widzisz i to, co tam jest, musi ci powiedzieć bosak, to znaczy bosak rękoma, a ręce tobie, jednego to trzy dni wymacywaliśmy bosakiem i nie udawało się, już nawet ludzie zaczęli mówić: „niech tam zostanie”, sprowadziliśmy księdza i organistę, zrobiliśmy chodnik z desek, podejdą z kropidłem na środek, pokropią i odśpiewają, co trzeba, przyznam ci się, wnuku, że mnie by się to nawet podobało, taki pogrzeb na bagienku, co ty na to, pewnie śmiejesz się, śmiejesz się grubo, ha, ha, ha, i cienko, hi, hi, hi, boś młody; ale go tam nie zostawili i nie było pogrzebu na bagienku, bo jego matka krzyczała, że chce go zobaczyć, choćby takiego, i szukali nadal, w końcu znaleźli i wyciągnęli, ale nie było na co patrzeć, bosak go pokaleczył; tak, tak, trudno jest wymacać i wyciągnąć topielca z bagienka, ale za to

obmywanie jest lekkie, bo zanurzysz w rzece, potrzymasz i prąd wody zetrze z niego błoto do imentu.

Rozgadałem się nie o tym, co ci chciałem powiedzieć, a powiem ci teraz rzecz najważniejszą; no bo idę dalej tą ścieżką, która kończy się tam, gdzie rośnie duży, baniasty krzak wikliny, dalej jest pas sitowia, podchodzę do krzaka, wychylam się zza niego i co widzę, niewielkie kółko czystej jak łza wody, obwiedzione młodziutkim sitowiem i fioletową lilią, niby oko, mniejsze niż oko studni z zielono-fioletową obwódką, pochylam się nad nim, trzymając się krzaka, i patrzę, a tam kolory, kolory rozmaite, a głęboko, na samym dnie jakaś złocista jaskrawość, niby mieniające się sukno; i mówię ci, wnuku, że takie to jest, psiamać, ładne, że chciałoby ci się tam zejść po drabinie i położyć się na tym suknie; różne ładne rzeczy widziałem, bo żyję długo, tęczę po burzy i drzewo w soplach lodu pod słońcem, i siwego ogiera z czarną gwiazdą na czole, i gila samca, i złoty śnieg w samo południe, i jaszczurkę traszkę, wiele ładnych rzeczy widziałem, ale tak ładnej jak to oko na bagienku jeszcze nie widział; i coś dziwnego się ze mną stało, wnuku, tobie to tylko mówię, boś ty mój kochany wnuk, stało się coś takiego, że już się nie smucę, gdy mi nie dają porządnej roboty, i już nie chce mi się majstrować skrzynkowych łapek, sideł i wnyków i zastawiać ich na lisy, kuny i wydry; nie mam już ochoty stroić się w lisiurę, siedzieć w niej po hrabiowsku na ławce i po hrabiowsku spacerować po sadzie, chcę mieć dużo czasu, aby przesiadywać na bagienku przy tym baniastym krzaku i wpatrywać się w tę malutką wodę z zatopionymi kolorami, tylko tyle...

KONIEC NOWELI

* * * * *

Gdy się umówią

— chłopak, koń i rzeka...

Wiem, że nazywają mnie głupkiem, choć mi tego w oczy nie mówią, choć nawet czasem zagadują mnie jak mądrego i pytają się: „powiedz, jaką dziś będziemy mieć pogodę, bo się boimy o żyto.”

Ale gdy mnie wyminą, to za moimi plecami jeden do drugiego mówi: „dokąd znów wlecze się ten głupek”; albo: „dobrze takiemu głupkowi, nie martwi się o nic, nie musi stawiać domu ani grodzić płotu, ani bać się, że mróz zwarzy ogórki, słońce czy deszcz, jemu wszystko jedno.”

Nie słyszę tego, ale wiem, jakbym słyszał; tak bardzo wiem, jakby to wykrzykiwali.

Nazywają mnie głupkiem, bo lubię się zapatrzeć na byle co i zamyśleć o jakiejś małej, nieważnej rzeczy albo zadrzeć głowę do góry i gapić się na niebo; rozmawiam też z wróblami, krowami i końmi, czasem ustawiam się nieruchomo i długo trzymam wyciągniętą rękę, bo zmieniam się w drzewo, gdyż chcę, żeby na mnie usiadł motyl albo ptak.

Ale to jeszcze nie wszystko i może gdyby tylko to, nie nazywaliby mnie głupkiem, może wtedy wystarczyłoby im: dziwny, zamyślony, zagapiony, albo co innego, nie tak ostrego jak głupek.

Ale tu jeszcze dochodzi to, że ja nie mogę się powstrzymać i płaczę, gdy ktoś bije konia; i to jest najgorsze, bo oni nie mogą tego płaczu zrozumieć, i to robi ze mnie głupka.

Bardzo chcę nie płakać przy okładaniu konia batem albo sękatą pałą, albo giętym drutem, tak bardzo chcę, że modłę się i błagam Boga: Panie Boże, naucz mnie nie płakać przy biciu konia i powiedz mi, że konia trzeba bić i pomagać mu batem, aby poradził sobie z wozem pełnym cegieł, że musi być bicie konia, gdy się buduje nowy dom.

Ale Bóg nie chce mnie słuchać, odwraca się i nic nie mówi, tak jakby pragnął tego płaczu.

Już po kilku uderzeniach, gdy koń, który nie może uciągnąć fury, potrząsa łbem, nie wie, co robić, i zachowuje się jak dziecko, łzy napływają mi do oczu; a gdy bicie nie ustaje i koń, nie mogąc sobie poradzić z ciężarem, wykonuje ten drobny taniec w miejscu, gdy rzuca się w ten koński oberek, coraz szybciej potrząsa łbem i coraz szybciej przytupuje w tym tańcu, robię się wściekły i wteśiy ten, który bije konia, boi się, abym mu co złego nie zrobił, i mówi do ludzi: „weźcie go, bo muszę dojechać z ceglami do domu i dać je murarzem”; i ci, którzy są z nim, łapią mnie za ręce i przyduszają mi szyję, bodą kolanami w plecy i odciągają mnie na bok, a ja wtedy krzyczę i słyszę ten swój głośny krzyk jak nie mój, jakby on przylatywał z daleka i rozchodził się po całej okolicy; wiem, że wielu go słyszy i mówi: „głupek wrzeszczy, pewnie znów ktoś bije konia...”

Przedtem nie płakałem i nie wrzeszczałem tak często, bo tego bicia koni było mniej, ludzie nie stawiali tylu murowanych domów i mniej było na drogach ciężkich wozów z ceglami i innym budulcem; teraz murowanica staje przy murowanicy, a im ich więcej, tym częściej bije się konie; ludzie strasznie się śpieszą, czerwienieją na twarzach, podrygują, sapią i okrutnie biją konie, bo chcą jak najszybciej dowieźć cegły, pustaki i kamień do murarzy, którzy ciągną do góry ściany.

Doszło już do tego, że prawie codziennie płaczę, a potem wściekam się i ryczę, no bo nie ma takiego dnia, w którym nie dolatywałyby do mnie to przeraźliwe: „wio, wio”, a potem poświstywanie bata, i nie zmuszało do biegnięcia w to miejsce, gdzie chłop, który buduje nowy dom, katuje konia.

No bo jeszcze tak jest ze mną, że zamiast uciekać jak najdalej od tych miejsc, w których ludzie biją konie, ja tam pędzę, tak jakbym mógł tym koniom pomóc; a przecież nie mogę, bo umiem tylko mazać się, wściekać i wrzeszczeć, tylko tyle.

Ale w końcu pomyślałem, że tak dłużej nie może być, pomyślałem tak, gdy Bartłomiej Buława, który stawia duży murowany dom na zboczu niedaleko kościoła, skatował swojego Siwego; skatował jak nikt przed nim i ja nigdy nie widziałem takiego bicia; najpierw, gdy Siwy

nie mógł dać rady furze, bo droga była stroma, okładał go batem, ale to jeszcze nic, gdyż batem bije wielu; potem zaczął bić suchą, sękatą pałą, która leżała przy drodze i nawinęła się mu pod rękę, ale i sękatą pałą niejedną przyłożył koniowi.

A ten Bartłomiej Buława, który z pewnością już z daleka ujrzał na zaczętej ścianie swojego domu murarzy stojących beczynnie i czekających na cegły, strasznie się zawziął na Siwego, który ustał w ciągu, i odpiął łańcuch opasujący wóz i zaczął nim okładać konia.

Mnie już wtedy trzymało dwóch mocnych, musiało być dwóch, bo choć jestem nieduży chłopak, swoją siłę mam i jednemu wyrwałbym się; oni mnie odciągnęli od wozu i krzyknęli: — przestań ryczeć, przestań ryczeć — ale zdążyłem jeszcze ujrzeć ten szalony taniec Siwego, potrząsanie łbem i fruwanie jego grzywy; i choć ci dwaj odciągali mnie coraz dalej, zdążyłem zauważyć, że wściekły Bartłomiej Buława odłożył łańcuch i chwycił wiecheć suchej trawy, podpalił go i rzucił pod brzuch konia; nim ci dwaj wepchali mnie między gęste krzaki dzikiej róży, szarpnąłem się, odwróciłem głowę i zobaczyłem ogień przy nogach konia i gwałtowny skręt dyszla; usłyszałem też cienki kwik Siwego i wrzask ludzi; a potem ci dwaj przedarli się ze mną przez te krzaki, powlekli mnie do brzegu niewielkiej stromizny, tam mnie skopali i zepchnęli w dół, a odchodząc powiedzieli: — nie waż się wracać, bo gdy podejdziesz do wozu, oberwiesz tak jak ten koń...

Potem dostało mi się jeszcze od ojca, bo Buława na- skarżył na mnie: — trzymaj w domu tego swojego chłopaka — mówił ojcu — bo włóczy się po wsi i przeszkadza ludziom w zwózce cegły — powiedział mu też, że wściekałem się i wrzeszczałem przy jego furze, gdy musiał przyłożyć Siwemu.

W nocy nie mogłem spać, wciąż przychodził mi na myśl Siwy i próbowałem sobie przedstawić, jak boli oparzenie, i wciąż powtarzałem w myśli: tak dłużej nie może być, musi się coś zrobić, żeby nie było bicia koni. Którejś nocy, gdy nie mogłem spać, coś mi strzeliło do głowy i pomyślałem: odwiedzę tego konia, wyjdę cichaczem z domu, przebiegnę przez nasz sad, przelecę ścieżką na

zapłociu, a potem przesmyknę się przez sad Buławy i podejść do stajni; i zrobiłem to, bo bardzo pragnąłem tych odwiedzin, ale gdy dochodziłem do stajni, nic z niej nie dolatywało, ani prychanie, ani głucho uderzenia, ani dzwonienie łańcucha; zobaczyłem duży łeb Siwego wysunięty znad furtki i odczułem jego ciepły oddech, a potem błysnęły przede mną duże oczy konia; dotknąłem ręką chrap, były chłodne, choć z nozdrzy buchało ciepło.

Byłem ciekawy, jak on na mnie patrzy i co myśli o tym, że do niego przyszedłem w nocy; choć już to, że nie potrząsał łbem i nie podrzucał go do góry, gdy położyłem rękę na chrapach, mówiło mi, że się nie złości; ale więcej powiedziały mi jego mocno podane do przodu uszy, które mogłem ujrzeć w ciemności, bo koń był biały; po tak ustawionych uszach poznałem, że Siwy cieszy się, iż ma mnie przy sobie.

Z pewnością sobie mnie przypomniał i pomyślał: to ten sam chłopak, który często przylatuje na błonie i podchodzi do mnie, gdy skubię trawę, bo się mnie nie boi, i mówi mi: „Siwy, Siwy, ty Siwy”, to ten sam, który płacze i krzyczy, gdy mnie biją...

Spostrzegłem, choć było ciemno, że Siwy wysunął łeb znad furtki, jak tylko mógł, aż napał na nią piersią i furtka zatrzeszczała; kilka razy tak napał i zrozumiałem to jak mówienie: otwórz tę furtkę, bo mi się strasznie nudzi samemu w stajni, nie bój się i nie myśl o niczym, tylko o tym, że gdy odejmiesz zasuwę z furtki, pójdziemy w sad i dalej, na pola, i dalej, w olszyny, i jeszcze dalej...

Uwierzyłem, że niczego innego nie mogło znaczyć to napieranie, tak mocno uwierzyłem, jakbym usłyszał konia mówiącego ludzkim głosem; przestałem się bać, otworzyłem furtkę, Siwy wyszedł wolnym, nie dudniącym, cichym krokiem, jakby wiedział, że robimy to w tajemnicy i nie możemy się zdradzić; to tak wyglądało, jakby przy tej stajni nie było konia i podrośniętego chłopaka, ale dwóch podrośniętych chłopaków, którzy się umówili, że nocą potajemnie wysmykną się na szeroki świat.

Trzymałem go za uzdę i szliśmy sadem pod gałęziami dużych, rozłożystych jabłoni i było dobrze; a jeszcze lepiej było, gdy wyszliśmy z sadu na pola, zrobiłem wodze

ze sznurka, a potem wgramoliłem się na grzbiet, opierając stopę na grubym kolanie jego lewej, przedniej nogi.

Świat był cichy i pusty, rozciągała się na nim sama dobroć, i to wszystko, co dobre, podchodziło do nas ze wszystkich stron.

Pochyliłem się, poklepałem kark Siwego, pottrzymałem rękę w tym miejscu, gdzie kark łączy się z tułowiem, odczułem pod palcami miarowy, jednostajny ruch jego mięśni i usłyszałem chrzęst końskiego ciała i chrzęst miękkiej ziemi przygniataanej kopytami; pochyliłem się jeszcze bardziej, tak że piersią dotknąłem jego grzywy, ciepło szło od Siwego, siedziałem na nim jak na ruchomym piecu.

— Nie bójmy się, oni śpią — szepnąłem do włochatego ucha — chrapią przeraźliwie i śpią, może śnią się im te nowe domy, które budują; we śnie z pewnością już je zbudowali i urządzili, pownosili do nich nowe meble, spacerują sobie po pokojach i śmiało, bez zająknienia i wstydu, nie tak jak na jawie, wypowiadają nazwy sprzętów: fotel, wersalka, żyrandol, które przywieźli z dużego miasta...

Nie jestem taki głupi, żebym nie wiedział, jakie oni mają sny, z dala od ludzi jestem mądry i wiem o nich wszystko, głupieję dopiero wtedy, gdy wejdę między nich, to oni robią mnie głupim, gdy się złoścą na siebie, jeden drugiego wyzywa, jeden na drugiego podnosi sztachetę, gdy katują konie, żeby jak najszybciej postawić nowe domy, boję się i głupieję, ale gdy jestem sam na polach, w olszynowym lasku, w sitowiu, robię się mądry.

I Buława śpi, nie bój się, Siwy, on jest z tych, którzy mają dobry sen; ci, którzy katują konie, śpią dobrze, ci, którzy ładują na fury ogromne ciężary i nie myślą, że koń może ich nie uoiągnąć, i wściekają się na konia za to, że ustał, i katują go, mają dobry sen; ci z rozjarzonymi złością oczami, z zakrzepłą śliną w kącikach ust i z zakurzonymi czuprynymi przykrywającymi czoła, ci o dużych barach, długich tułowiach i krótkich nogach mają dobry sen; i ci, którzy trzymają baty w ogromnych dłoniach nad napiętymi w łuki grzbietami koni, mają dobry sen.

Pomyślałem sobie, że nim zacznie świtać, przemierzy

my całe pola, od sadów po rzeczną groblą i mały olszynowy zagajnik rosnący w samym środku pól; potem otrze- my się o suche, zmotane sitowie w dużej zapadlinie i może jeszcze uda się nam wsunąć w przybrzeżne wikliny, a nawet dojechać do samego brzegu, dobrze byłoby popatrzeć na rzekę w nocy...

W zagajniku spłoszyliśmy sroki, których tam pełno, narobiły hałasu, ale to nic, niech się wydzierają, pomyślałem, i tak ich nikt nie usłyszy prócz nas; krzyknąłem do nich niby to z gniewem, choć w gruncie rzeczy z dobrocią i wesoło: — co za hałasy, co za wrzaski, przestańcie skrzeczeć i nie bójcie się, nie ma tu nikogo z procą, z sidłem, kamieniem, ci, którzy lubią ukrecać wam łby i patrzeć, jak z waszych dziobów skapuje krew, a potem wieszać was na tyczkach dla postrachu, śpią smacznie z podkulonymi pod brodę nogami.

W sitowiu spłoszyliśmy małe, podobne do grudek ziemi ptaszki, te nieważne ptaszki bez nazwy, które wolą sitowie i łąki niż drzewa i fruują nisko nad ziemią i często siadają, jakby je ktoś wyrzucał z ręki niby zeschnięte bryłki; było ich dużo w zapadlinie, bo gdy się nas przestraszyły, zaszumiało sitowie, jakby wiatr przeszedł po nim, ale zaraz zrobiła się cisza.

Za sitowiem docisnąłem piętami boki Siwego i klepnałem go z dwóch stron karku i powiedziałem: — dobrze byłoby teraz ruszyć kłusem, jeśli chcemy wsunąć się w wikliny, a chcemy ||| potem znów nacisnąłem piętami boki konia, potarłem nimi gładką jak aksamit skórę w pachwinach przednich nóg i ponagliłem: — no, no, Siwy, trzeba teraz kłusem.

I Siwemu to wystarczyło, przeszło przez niego jakby drżenie, podał do góry łeb i już wiedziałem, bo czasem po kryjomu jeździłem na nim po błoni, że szykuje się do biegu; uniósł do góry przód i zaraz tył i na chwilę roztrzepotał się cały i rozdygotał, a potem rozfalował jak łódka na drobnych falach naszej rzeki, ruszył kłusem i wnet dobiliśmy do rzecznej grobli, która zasłania wikliny i wodę.

Popatrzyłem na niebo, było ciemne, żadnej gwiazdy, jeszcze noc, wpatrzyłem się w tę stronę nieba, która opada na wzniesienia za rzeką, skąd przychodzi świt; i tam

___ Iciemno, choć może nie tak czarno jak na stronie spadającej na daleki las, ale jednak ciemno, do świtu jeszcze daleko.

Skierowałem konia na ukośny podjazd i wnet stanęliśmy na koronie wału, a potem udeptaną, bielejącą w ciemności ścieżką opuściliśmy się w dół na drugą stronę i znaleźliśmy się w wiklinie.

Wikliny to nie to co olszynowy zagajnik i sitowie, nasze wikliny to prawie las, wał to jest granica dwóch światów, z jednej strony pola, trochę olszyn i sitowie, zajace, kuropatwy, sroki, wrony, ziemne psy i inne pomniejszych stworzenia, a z drugiej duże, gęste krzaki, krzaki jak drzewa, jak las, i sarny, jelenie, lisy, wydry, nawet dziki, ryby w rzece i przyrzecznych zatokach i stawach, ryby, które można chwycić wędką, podrywką, pułapką-bębniem i siecią, i ryby olbrzymy, które kpią sobie z wszelkich sieci i pułapek.

Skierowałem Siwego na szeroką ni to drogę, ni to ścieżkę, która prowadzi do brzegu; przepychamy się wolno między dwoma ścianami krzaków, cienkie, giętkie gałęzie biją nas po głowach, ale jest dobrze, niczego się nie boję, bo siedzę na Siwym, i jest tak dobrze, jakbym miał przy sobie matkę, a nawet jest lepiej, bo podrażniony dzik czy jelenie nie przestraszyłby się jej, a przed Siwym ucieknie.

Ale choć się nie boję, serce bije mi mocno, bo jestem bardzo ciekawy, jak to będzie, gdy dojadę do brzegu i popatrzę na rzekę; ścieżka robi się coraz szersza, gałęzie już nas tak nie tną jak przedtem i ziemia pod kopytami konia nie jest już tak twarda; to przybrzeżny piach, za chwilę będzie brzeg...

Nie musiałem pociągać za wodze i wstrzymywać Siwego, sam stanął, bo wiedział, że ma przed sobą rzekę; była jak wielka, ciemna, ale trochę jaśniejsza niż noc, szeroka i równa droga; wydawało się, że gdyby Siwy nie stanął, ale poszedł dalej, zadudniłyby na niej jego kopyta jak na bitym trakcie; a gdy się w nią wsłuchałem, to było tak, jakby się skądś wydobywała przyciszona muzyka, jakby kto grał pod nią; spodziewałem się Bóg wie czego, a to tylko taka duża, cicho grająca droga. Nie mogę powiedzieć, jak długo stałem na brzegu, bo

tęgo się nie wie, gdy się patrzy na rzekę; ale gdy spojrzełem na niebo nad wysoką ziemią po drugiej stronie rzeki, było ono tam wyraźnie jaśniejsze niż cała jego reszta; nie chciałem, żeby świtało, próbowałem to sobie wmówić i może nawet szepnąłem: — tam jest tak samo jak na całym niebie — ale jednak już się rozwidniało.

Pomyślałem, że trzeba wracać, ale zaraz pomyślałem, że na powrót już za późno, bo gdybyśmy teraz wrócili, moglibyśmy akurat wpaść w ręce Buławy, a to by oznaczało wielkie bicie, zbity byłbym ja i Siwy; ja to nawet oberwałbym dwa razy, od Buławy i od ojca; ojciec zawsze mi dokłada, gdy mnie poszturchają we wsi, mówi przy tym: — nie włócz się po domach, nie wrzeszcz, gdy ktoś przyłoży koniowi batem, nie wiesz, że bat jest po to, aby nim bić, a koń jest po to, żeby ciągnął i był bity...

Na powrót za późno, bo Buława już się przeciąga na łóżku i wnet wstanie, lepiej puśćmy się galopem tą wygodną dróżką biegnącą brzegiem rzeki.

To nawet dobrze, że się spóźniliśmy, bo Buława zobaczy pustą stajnię; z pewnością już ziewnął przeraźliwie raz i drugi, wstaje i myśli sobie: muszę Siwemu czym prędzej podrzucić owsa i dowieźć węzłów na bacie, bo czekają go ciężkie fury, rozwidnia się, murarze wnet przyjdą, a cegieł nie za dużo, trzeba jak najszybciej dowieźć budulec, bo staną z robotą; pójdzie do stajni, może już idzie, może stoi na progu i nie widzi w niej Siwego, otwiera furtkę, którą zamknąłem na zasuwę, wchodzi do środka, konia nie ma — gdzie się podział koń — pyta samego siebie i zaraz wrzeszczy: — gdzie koń, ktoś mi ukradł konia — biegnie do sąsiadów, robi wrzask na całą wieś.

Niech wrzeszczy, nie boję się go, tu się nikogo nie boję; skierowałem Siwego na tę przybrzeżną drogę i przy- bodłem go piętami w przednie pachwiny, ruszył klusem, ale gdy znów przybodłem stopami i parę razy klepnąłem po karku, zdłużył krok i zwiększył szybkość, ale jeszcze nie przeszedł w galop; więc szarpnąłem wodzami, żeby go ponaglić, wtedy sprężył się w sobie, tak jakby podfrunął do góry, to był znak, że się wzbіл do galopu; zaraz rozfalował się na całej swej długości, jednostaj-

nie, miarowo, jakby w burzę kołysała się na dużych falach | łódka pędzona silnym wiatrem.

Jechałem szybkim galopem, a wyglądało tak, jakbym stał w miejscu, wszystko zaś obok mnie biegło w tył, galopowałem z biegiem rzeki, a wydało mi się, że stoję, rzeka nagle odwróciła bieg i pędzi z powrotem tam, skąd przyszła.

We wsi już chyba zaczynają się domyślać, co się stało z koniem, i Buława się domyśla; biegając po wsi z tym krzykiem: — ktoś mi ukradł konia wpadł i do nas i zapytał ojca: — jest twój chłopak w domu — tak zapytał, bo wie, że lubię Siwego i przychodzę do niego, gdy nie jest w wozie, skubie trawę na błoniu lub w sadzie; Buława na pewno nie czekał, aż mu ojciec odpowie, ale od razu wparował do dużej izby i zobaczył, że nie ma mnie w łóżku.

Może to dzieje się akurat teraz, gdy sobie galopuję brzegiem rzeki i płoszę pliszki siedzące na mokrych kamieniach; może teraz, gdy te pliszki śmigają koło nas, Buława wykrzykuje do ojca: — to ten twój chłopak wyprowadził mi konia i poszedł z nim nie wiadomo dokąd.

Poderwałem lekko wodze i koń przeszedł z galopu w kłus, potem znów lekko je ściągnąłem i on, nieznacznie się kołysząc, zaczął iść wolnym, statecznym krokiem, ale sapał ciężko i robił bokami, bo galop to jednak galop.

Stanęliśmy na brzegu płytkiej zatoki przykrytej cienką, porwaną mgłą, niebo na wschodzie już się dobrze rozjaśniło, jasność zaczęła się przemieniać w różowość.

Pod mgłą na wodnej zastoinie pluskały duże ryby, po głośnym plusku i po ruchu przybrzeżnej wody poznałem, że duże; wiem także, bo je podpatrywałem nieraz, dlatego tu, a nie gdzie indziej ten nieprzerwany plusk; szczupaki, sumy i leszcze, goniąc wściekle za żerem, wpadają z rozmachu do tej zatoki i od razu poznają, że są na płyciź- nie, boją się i ze strachu cofają się w popłochu, wtedy słyhać ten głośny plusk.

Buława na pewno już skrzyknął brata, szwagra i tych dwóch siostrzeńców, którzy chwalą się swoją siłą, i jeszcze kilku ze wsi, namówił ich, żeby wsiedli na konie i razem z nim wyruszyli na poszukiwanie Siwego.

Buława niegłupi i wie, że trzeba jechać po śladach, a ślady na pewno zostały na polach, ale w olszynach się zgubiły, bo tam zmotane podszycie; olszyny z pewnością zatrzymają pościg, bo oni będą szperać po podszyciu, sprzeczać się, kłócić, i wymądrzać jeden przed drugim; za drzewami chwycą ślad, w sitowiu znów go zgubią, a potem go odnajdą i tak mogą dojechać do wału, gdy ujrzą odbicia kopyt na ukośnym podjeździe, będą już wiedzieć, że jesteśmy w wiklinach.

Ale nie boję się, gdy przedstawiam sobie ten pościg, sam nie wiem, dlaczego się nie boję, przecież powinienem się bać, a nie boję się, przyglądam się spokojnie, jak po zmaconej płyciźnie wiją się czarne grzbiety ryb.

Przedostaliśmy się na drugi brzeg zatoki, nie tak łatwo było ją przebrnąć, bo dno jest muliste,, ale Siwy dał sobie radę...

Wstrzymałem konia, stanąłem przy starej, podziurawionej i spróchniałej łodzi, która zapadła się już w wodę, ale jej dziób sterczał jeszcze na brzegu, siedziała na nim rybitwa, nie przstraszyła się nas, siedziała spokojnie i była jak dalszy Ciąg łodzi, jak jej wystrugana w drewnie ozdoba; przyglądała się nam dość długo, potem poderwała się do lotu, pofrunęła na środek rzeki i zatrzymała się w powietrzu z rozpostartymi skrzydłami, nieruchomo, jakby ją jakaś niewidzialna istota trzymała na nitce; pomyślałem, że ma pod sobą tysiąc, może dwa tysiące małych ryb i strasznie się męczy, bo musi w tych tysiącach wypatrzeć jedną.

Gdy przyglądałem się rybitwie, doleciało do mnie od strony wału rzenie koni; nim ich zobaczyłem, już wiedziałem, że mnie wytropili i są blisko; po chwili przez młode i nie rozrośnięte' jeszcze krzaki ujrzałem groblę, a na niej konie i ludzi Buławy; wymachiwali rękami, dawali sobie jakieś znaki i coś mówili do siebie, ale nie dało się tego usłyszeć; przez te rzadkie wikliny mogłem zobaczyć, że dwóch jeźdźców zostało na miejscu, a inni poderwali konie do biegu i rozjechali się w przeciwne strony; przez chwilę słychać było głośny klekot galopujących koni, a je zaraz się uciszyło.

Zacząłem się domyślać, jaki mają plan; gdy za chwilę usłyszałem w powietrzu ciężki furkot dzikich kaczek,

nadlatujących z dwóch stron zatoki, wiedziałem, że spłoszyli je ludzie Buławy, gdy wjechali w wikliny i zbliżyli się do tych dwóch niewielkich stawów, po których lubią pływać dzikie kurki i kaczki.

— Chcą nas wziąć z dwóch stron i zagrozić drogę, gdybyśmy próbowali uciekać w stronę wału, a później zakrażyć polami i znów przeskoczyć wał, aby się przedostać do tych najgęstszych wiklin rosnących za Czarnym Jeziorem.

Przytuliłem się do grzywy konia i objąłem rękami jego kark: — Siwy — szepnąłem do jego ogromnego ucha — oni myślą, że nas przyprą do rzeki, ale my się jej nie boimy, przecież nie boimy się, ja się nie boję i ty także się nie boisz, na pewno się nie boisz; popatrz na nią, płynie spokojnie i jest dobra, lepsza niż pola, bo pola cię nie poniosą, lepsza niż te drogi, na których konie ciągną ciężkie wozy z ceglami, męczą się i są okrutnie bite, bo cegły muszą być szybko dowieszone, aby murarze nie stanęli z robotą.

Dzikie kaczki, które odleciały daleko i zniknęły, znów pojawiły się wysoko w powietrzu, ale zaraz zniżyły lot, wracały na swoją wodę.

Był to znak, że ludzi Buławy nie ma już przy stawach, pewno zbliżają się do nas i myślą sobie: z trzech stron my, a z czwartej wielka woda, nie wymkną się; tak myślą i są pewni siebie, ale nie wiedzą, że myśmy się już z rzeką umówili; tacy są mądrzy, takie ogromne muro- wanice umieją postawić, a nie pomyśleli, że gdy się umówią chłopak, koń i rzeka, gdy się ta trójka polubi, to nie ma na nią rady.

Zadarłem głowę do góry, przyglądałem się dzikim kaczkom i uśmiechałem się na myśl, jak zakpimy z Buławy i jego ludzi.

Mieliśmy trochę czasu, bo wszystko sobie dokładnie obliczyłem, więc jeszcze mogłem patrzeć na te ptaki; tyle razy się im przyglądałem, gdy były na wodzie i w locie, a jednak dotąd nie zauważyłem, że gdy są w powietrzu, a podświeci je od spodu wschodzące słońce, ich mokre podbrzusza połyskują niby rozjarzone ruchome lampy. Tej nowej rzeczy o kaczkach zdażyłem się dowiedzieć,

nim zaszurały krzaki i jeźdźcy Buławy zbliżyli się do zatoki.

— Mamy cię, głupku — krzyknęli z daleka i zaczęli się do mnie szybko zbliżać; ale Siwy miał już wtedy przednie nogi w wodzie i ponaglany przeze mnie brnął ukosem w stronę nurtu głównego.

Odwróciłem głowę i ujrzałem na brzegu Bartłomieja Buławę siedzącego na pożyczonym od sąsiada łysym kasztanie i jego ludzi także na koniach, mieli zdziwione, aż wykrzywione ze zdziwienia twarze.

— Boże, co on robi — zawołał Buława i zaraz krzyknął — wróć do brzegu, wróć — ale ja kazałem Siwemu brnąć dalej i on zanurzył się po pachwiny, doszedł do jeszcze głębszej wody, a po chwili położył łeb na ciemnych falach nurtu głównego i zaczął płynąć w dół rzeki; wtedy zsunąłem się z niego i także zanurzyłem w cieplej, nagrzanej wczorajszym słońcem wodzie, ręką chwyciłem się jego grzywy w tym miejscu, gdzie zaczyna się kark.

— Wróć, nic złego ci nie zrobię, nie zbiję ani konia, ani ciebie, już nigdy nie będę bił Siwego, wróć — dolatywało jeszcze do mnie wołanie Buławy; ale mu nie wierzyłem i zaraz przestałem myśleć o nim i o tych, którzy z nim przyjechali; chciałem się nacieszyć Siwym i rzeką.

— Siwy — zawołałem z radością — czy ty wiesz, dokąd my płyniemy; płyniemy do brzegu za trzecim zakrętem rzeki, gdzie zaczyna się nowa ziemia, mieszkają na niej w małych drewnianych domach dobrzy ludzie i nikt tam nie bije koni...

KONIEC NOWELI

* * * * *

J Jeden stary i trzech młodych

W tym czasie, gdy stary włókł się ulicą Kamienną, ci trzej młodzi siedzieli przy stoliku w piwiarni na rogu Kamiennej i Nadbrzeżnej i pili jasne piwo, w skupieniu nalewali je z małych, brązowych butelek do dużych kufli, ciesząc się, iż tworzy się gruba, biała piana, a potem z ochotą, ale też z odcieniem żalu, że muszą tę pianę zniszczyć, wolno, z czcią siorbali złocisty płyn.

Przez jakiś czas nic się nie dzieje, obolałe, ciężkie nogi starego, który wyszedł po zakupy, żeby pomóc wnuczce, nadal zmagają się z nierównym, zniszczonym brukiem ulicy Kamiennej, tej najbardziej kamiennej i wąskiej ulicy w całym mieście, bez odrobiny nagiej ziemi, o którą mogłoby się zaczepić jakieś drzeweczko, jakieś źdźbło, choćby jakaś ledwie żywa, nędzna trawka dla przypomnienia, iż poza miastem są inne, zielone światy; tak kamiennej, że nie jak ulica, ale jak pęknięta przed wiekami skała, jak szczelina w skale, a mieszkania to jakby wydrążone w skalnych ścianach jamy, jamy nowoczesne, z oknami, z wybebeszoną, wzdętą pościelą koloru wyblakłej czerwieni i bladymi, obrzękłymi twarzami w oknach, niektóre twarze się uśmiechają, ludzie cieszą się swoją skałą i są z niej dumni, podziwiają skałę za to, że jej nic nie zmogło, że się wszystkiemu oparła i trwa przez wieki. A ci trzej, ten szochrany wysoki, ten nieduży krępy i ten z dziwnie długą szyją i dziwnie długimi ramionami siedzą jeszcze przy stoliku w piwiarni i piją piwo, zagryzają dzwonekami marynowanego śledzia i rozmawiają o dziewczynach, od czasu do czasu słysząc śmiech i delikatny, luby dźwięk szkła uderzanego czule o drugie szkło, na którym zapalają się raz po raz i gasną srebrzyste iskry.

Jeden z nich, ten wysoki szochrany, powiedział: — dziewczyny na nas czekają — a drugi, ten nieduży krępy, zaraz odpowiedział: — mamy jeszcze czas. Stary, który swoimi niezdarnymi krokami przemierzył

chyba połowę ulicy, zatrzymał się nagle przed sklepem spożywczym, a potem tam wszedł.

Gdy kupował pietruszkę, marchew i cebulę, pomyślał: tyle tego było, gdy miałem ziemię, a teraz musi się za to płacić, co innego, gdy się kupuje pieprz, herbatę, angielskie ziele, ryż; ale zaraz pomyślał: przecież mieszkam u wnuczki w dużym mieście i nie może być inaczej.

Zakupy włożył do białej w czarne desenie plastikowej torby, wolałby wyjść z koszykiem albo ze zgrzebnym woreczkiem, ale wnuczka miała tylko takie plastikowe i eo było robić, we wsi wstydziłby się bardzo wyjść z czymś takim, ale w mieście wstydzi się tylko trochę, bo tu nikt nikogo nie zna.

Naprzeciwko sklepu spożywczego, po drugiej strone ulicy, był sklep żelazny, do którego stary także musiał wpaść, bo gdy wychodził z domu, wnuczka powiedziała mu, żeby kupił nóż, taki specjalny, wąski, z ostrym szpicem do oddzielania mięsa od kości.

W sklepie żelaznym pobyl jakiś czas, bo tam było sporo takich rzeczy, które cieszyły duszę i musiało się je oglądać, były długie i grube łańcuchy do opasywania firy naładowanej kłodami drewna i łańcuchy do wiązania bydła i psów, okucia do dyszli, sworznie, zwarnice, haki do wag i orczyków, widły, kosy, motyki, młotki, gwoździe, czego tam nie było...

Poszarzało już na świecie i zaraz pociemniało, gdy wyszedł ze sklepu i udał się w drogę powrotną, rozbłysło kilka lamp i kilka okien, ale one nie mogły sobie poradzić z mrokiem, który namolnie wpychał się na ulicę.

Nagle na ulicy Kamiennej, która zamordowała trawę i drzewa, wpadło mu do głowy zuchwałe marzenie: może jeszcze wrócę do kawałka ziemi nad dużą wodą i nie będę musiał kupować pietruszki, marchwi, cebuli i maki, nie będzie mnie ścisnąć w dołku przy płaceniu, tyle tego rosło za wrotami sadu, ale zaraz zrugął się w myśli albo może najcichszymi słowami: — ty stary capie, nogi cię już nie chcą nosić, nie cierpią cię nogi, bo wciąż się z nimi wyklócasz o to chodzenie i nie ma między wami zgody, a tobie się marzy pole...

Ale nadzieja to twarda bestia, zdaje się, że już uduszona, zdeptana na amen, że miazga z niej, że już wsiąkła

■w ziemię i zarosła zielskiem, a jednak daje znak życia, iskrzy się tajemnie, potem połyskuje, a potem się rozżarza: może jeszcze dojdę do kawałka pola, kupię motykę dziabakę w żelaznym sklepie, ile pięknych, czarno glazurowanych motyk widziałem, gdy kupowałem specjalny nóż do oddzielania mięsa od kości, może jeszcze przed wieczorem usiądę nad dużą rzeką i posłucham, jak woda mruczy w wiklinach, bo ona w pogodę mruczy jak kocica, a po deszczach warczy jak bura suka.

— Ty stary, tyś już nie cap, bo cap ma odrobinę rozumu, tyś już wierutny osioł, twoje pole poszło pod zabudowę, dzieci się rozleciały, a choćby było pole, to co byś miał z niego, pole nie lubi starych, pierwsze ich wypędza, gdy nie mogą się schylać, bo ono jest najokrutniejsze; na jakiś czas starzy mogą się zatrzymać w sadzie, drzewa są lepsze dla starych, wiesz o tym, drzewa mówią im: wiemy, że pole was wyгнаło, przyjmujemy was...

Więc się snują od jabłonki do jabłonki, od gruszy do gruszy, zbierają jabłka i gruszki, siadają pod drzewami, patrzą na brzuchy ptaszków podskakujących na gałęziach, znów wstają i znów się wałęsają od jabłonki do jabłonki, tym wałęsaniem denerwują sad i drzewa zaczynają się srożyć, biją ich jabłkami po głowach i starzy słyszą srogą mowę drzew: jesteśmy lepsze niż pola, ale mamy już was dość, przenieście się gdzie indziej.

Wtedy starzy przenoszą się pod duże okapy stajni, obory i drewnutni, siadają na psich budach, na progach, na pniakach do rąbania drewna, od czasu do czasu rąbią drzewo, ale siekiera ciężka, muszą przestać i znów siadają.

Te opadające nisko okapy dobre są dla starych, ale starym nie jest dobrze pod okapami; usiądziesz, stary człowieku, na psiej budzie, to zaraz pies zaczyna skomleć, bo to jego buda, i spędza cię z niej, ledwie usiądziesz na progu obory, musisz się zaraz podnieść i zejść na bok, bo krowa wychodzi na pastwisko albo z pastwiska wraca, tak samo na progu stajni, bo koń musi wyjść do wozu i od wozu wrócić.

A gdy usiądziesz na pniaku, to on ci zaraz przypomina,

że powinieneś rąbać drewno, a ty nie możesz unieść siekiery.

Dobre są zwierzęta, ale musisz im zejść z drogi, bo one mają swoje obowiązki, i pniak jest dobry, ale on także ma swoje obowiązki i nie możesz na nim przesiadywać długo, bo on lubi być dziabany siekierą.

Pozostał ci, stary człowieku, kącik w domu, ale w domu niedobrze, bo dużo ludzi, młodszy, jeszcze młodszy i najmłodszy, w domu szwargot, pokrzykiwania, trzaskanie drzwiami, głośne kroki, tup, tup, coś się dzieje, Boże miłosierny, czyś ty miłosierny, hi, hi, jakieś nowe słowa: baza, transport, trakcja, elbud, tran^bud, co to jest trans- bud, nitka przemysłowa, nitka to nitka, ale przemysłowa..., autostrada, blok, wieżowiec, coś niesłychanego.

A potem nadlatują straszne słowa: „nowe miejsce, nowe mieszkanie, przesiedlenie”, i te najstraszniejsze: „pakować manatki”...

Były w życiu straszne krzyki, było: „woda przerwała wał”, było: „pali się”, był w wojnę krzyk: „zabili Jaśka”, ale najstraszniejsze są słowa: „pakować manatki”...

— Nie bluźnij, stary, to „zabili Jaśka” było straszniejsze niż „pakować manatki”.

Ale to także jak zabicie, jak zarąbanie, jak uduszenie.

Ale coś przed tym „pakować manatki” było wypowiedziane w izbie cicho, żebyś nie usłyszał w kuchni, aleś usłyszał, bo to się słyszy nawet wtedy, gdy nie są to jeszcze słowa, ale dopiero myśli; przed tym „pakować manatki” było: „kto weźmie dziadka...”

Nikt na to nie odpowiedział, a było ich wtedy w izbie ośmioro, ale miny z pewnością były i wzruszanie ramionami, i rozkładanie rąk, i popatrywanie, i spychanie dziadka z jednego na drugiego było, że to niby go kochamy, ale ja nie mogę wziąć, bo wiecie, jak jest ze mną, może ty, może ty, może ty go weźmiesz...

Pomyślałeś wtedy: dobrze się stało, że moja kobieta umarła i jest w ziemi; to ich milczenie w izbie ciągnęło się niemiłosiernie długo, a potem znów głos któregoś z synów czy wnuków: „kto weźmie dziadka” — i znów to niemiłosierne milczenie. Pomyślałeś: szkoda, że nie dałem się dużej wodzie, gdy się z nią mocowałem przy starej, pamiętającej dwie wojny topoli, szkoda, że mnie nie po

łknęła ta wściekła bura suka, która chciała przerwać wał Hi wedrzeć się na pola, szkoda, że poradziłem sobie z tym dwuletnim ogierkiem, który stanął na tylnych nogach, bo chciał mnie zabić przednimi kopytami, gdy podszedłem do niego ze sznurami, żeby go opasać i powalić, a potem mocno związać i wyciąć mu jądra; pomyślałeś, gdy oni twoją starą skórę i kości przerzucali z rąk do rąk, jakby to były rozpalone rzeczy i parzyły im dłonie, szkoda, że ten Niemiec nie trafił mnie, zanim ja go trafiłem, gdy czyhaliśmy na siebie, chodząc wokół gajówki na leśnej polanie i popatrując zza węglów, niby dzieci bawiące się w chowanego; najpierw on strzelił, ale zdążyłem cofnąć głowę za węgiel, potem ja strzeliłem, ale on też zdążył cofnąć głowę za drugi węgiel, najlepiej byłoby zejść od pleców, ale jak to zrobić, ja chcę zejść od pleców i on chce zejść od pleców, wychylanie się zza ściany i cofanie się za ścianę, puk, puk, moje puk i jego puk, ale wciąż nie w głowę, tylko Panu Bogu w okno albo w róg domu, na złączu belek, nagle podbiegnięcie do rogu, nagle cofnięcie, plecami, twarzą, plecami, twarzą, nie wystawiać pleców, nie wystawiać głowy, jego puk, moje puk, ale jeszcze Panu Bogu w okno, na sekundę błysnąć oczami zza węgla, najlepiej byłoby zakręcać wzrok, żeby on był jak lot jaskółki, nie całymi stopami dotykać ziemi, ale stąpać na palcach, nerwy, nerwy, westchnąć do Boga, ale może Bóg bawi się tym wzajemnym czyhaniem jak dobrym przedstawieniem, może przywołał Matkę i paru świętych, i paru aniołów, i oni patrzą z góry, bo są ciekawi, kto kogo, mają niezłą rozrywkę, robią zakłady, święci niemieccy, włoscy i japońscy stawiają na Szwaba, a święci polscy, amerykańscy, francuscy, rosyjscy i angielscy na Polaka, pokrzykują, doradzają, ci temu, a ci temu, strzelaj, strzelaj, teraz, teraz, właśnie wychylił łeb, znów moje puk i jego puk, i tylko belka draśnięta, i wreszcie moje puk w sam łeb Niemca, i od razu kłótnia W niebie, święci niemieccy, włoscy i japońscy robią szum, musi wkroczyć Bóg i wkracza: „uciszyć się — krzyczy — i pogodzić, niebo to nie karczma...”

Takie myśli przychodziły ci do głowy, gdy siedziałeś w kuchni, a w dużej izbie trzej twoi synowie i trzej do

rośli wnukowie i dwie dorosłe wnuczki nie mogli dobić targu o to, kto cię weźmie, i nie wiadomo dokąd oni by się targowali, gdyby do izby nie weszła najstarsza wnuczka Stefcia i złoścąc się na nich nie krzyknęła: „ja wezmę dziadka, wy wsioki bez serca...”

Gdyś to usłyszał, od razu zacząłeś się cieszyć, że poradziłeś sobie z dużą rzeką i dwuletnim ogierkiem, że ty trafiłeś Niemca, a nie on ciebie, i nawet do swojej umarłej kobiety szepnąłeś: „szkoda, żeś nie mogła usłyszeć, a może usłyszałaś, jak Stefcia zawstydziała tych w izbie, jak im dała po pysku”; zacząłeś podnosić głowę do góry i prężyć się, lata spadały z ciebie niby jabłka z jabłunki; po tym krzyku Stefci nogi przestały cię na chwilę boleć, robiłeś się coraz bardziej prosty, skóra pojaśniała ci na twarzy, nabrała gładzizny, a ręce poruszyły się wesoło, odskoczyłeś, z pewnością odskoczyłeś parę mil od swojego grobu; no i jesteś teraz w dużym mieście u wnuczki, która jest doktorem fizyki atomowej, dziwna to jakaś nauka, nie możesz jej pojąć, bo to się nie mieści w głowie, pojąłeś tylko tyle, że Stefcia bada coś bardzo małego, chyba milion razy mniejszego od pchły, ale choć to takie malusieńkie, jest wielkie i groźne i mogłoby zabić wszystkie krowy i konie na błoni, a może nawet na dwóch błoniach; „tego chyba sam Bóg nie rozumie” — powiedziałeś kiedyś, trzymając się za głowę.

Robisz zakupy i pilnujesz dziecka, gdy młodych nie ma w domu...

Stary włókł się ulicą Kamienną, z opadłego ramienia zwiślała mu biała w czarne desenie plastikowa torba, w której była pietruszka, marchew, cebula i angielskie ziele, no i ten wąski nóż ze szpicem do oddzielania mięsa od kości. Grzbiet, który osiągnął już linię wiecznego łuku, i nogi bolały go okrutnie, bo przecież ten krzyk Stefci: „ja wezmę dziadka” — krzyk jak nowe życie, jak rączy odskok od grobu — już dawno przebrzmiał i teraz stary jest na tej najbardziej kamiennej i wyboistej ulicy dużego miasta.

Tamci trzej, o których było na początku, siedzą jeszcze w tej piwiarni na rogu Kamiennej i Nadbrzeżnej, ale już szykują się do wyjścia, bo jakieś dziewczyny gdzieś na

_Jnich czekają i co chwila któryś ponagla: — idziemy, idziemy. ••'/ <•

Stary postanowił, że wróci do domu taksówką, chyba po raz pierwszy, odkąd zamieszkał u wnuczki, wpadło mu to do głowy, z pewnością bolące nogi i grzbiet, a także obawa o prawnuka podsunęły mu tę myśl, i zatrzymał się na postoju taksówek przy trzeciej boczniczy ulicy Nadbrzeżnej.

Stał oparty o słupkę i czekał, bo taksówka się nie zjawiała, i zaraz ci trzej młodzi, lekko podpici, tam podeszli, a gdy się do niego zbliżyli i przyjrzeni mu, wykrzyknęli wesoło cienkim, śpiewnym głosem: — o, staruszka tu mamy — a potem jeszcze bardziej się do niego przysunęli i na przemian zaglądali mu w twarz, a potem któryś z nich, chyba ten nieduży krępy, a może ten z dziwnie długą szyją i dziwnie długimi ramionami, zapiszczał do-
brotniwie: — co za miły staruszek, jak Bozię kocham, co za miły...

A potem się od niego odsunęli i wtedy odezwał się ten wysoki, mocno szochrany: — on jest tak miły, że ustąpi nam miejsca w kolejce, a sam stanie za nami, nie wątpicie chyba w to, chłopaki...

— Jakże moglibyśmy wątpić — odpowiedzieli tamci dwaj i zaśmiali się głośno; i znowu ten szochrany: — zrozum, staruszku, nam się bardzo spieszy, czekają na nas.

— Dziewczyny czekają na nas, brunetka i dwie blondynki — rzekł głośno i dobitnie, przerywając szochra-
nemu, ten z dziwnie długą szyją i małym długimi ramionami — już się na pewno umyły, uczesały i napachniły, i czekają na nas.

— Wszystko sobie umyły — dodał ten niski krępy i zaśmiał się grubo, i zaraz wszyscy trzej zaczęli się śmiać; i jeszcze ten nieduży krępy dodał po chwili z powagą i jakby z dumą: — studenci z pomaturalnej szkoły elektroniki przemysłowej lubią czyste dziewczyny...

— Pilnuję prawnuka na ulicy Szarych Szeregów i muszę tam szybko wracać — mówił stary — wyskoczyłem na chwilę, a doszedłem aż tu, bo bliżej nie było angielskiego ziela, dziecko zostało samo, bo młodzi musieli pójść na zebranie do instytutu.

— Dziecko jakoś sobie poradzi, a dziewczyny co poczną bez nas — odpowiedział szochrany, muskając delikatnie koniuszkami palców podbródek starego, co u tamtych dwóch wywołało cichy, tłumiony chichot.

— To wścibski chłopak, otworzy okno, przechyli się i co wtedy, albo odkręci gaz, albo co innego strzeli mu do głowy, boję się — tłumaczył im stary, a oni jakby tego nie słuchali, a ten z dziwnie długą szyją i małpio długimi ramionami to nawet ziewnął i powiedział: — dość już, dość, staruszk — i wszyscy trzej głośno się rozziewali.

Stary milczał, wtedy ten wysoki szochrany podszedł do niego i powiedział łagodnie jak do dziecka: — jesteś niegrzeczny, uparłeś się jak osioł, a tak ładnie cię prosiliśmy, abyś nam ustąpił miejsca, bo dziewczyny czekają na nas.

— Boję się o dziecko — zaczął znów stary, ale zaraz przerwał mu ten niewysoki krępy i rzekł do tamtych dwóch: — trzeba będzie wziąć staruszka na ręce i przenieść go dalej, a my staniemy przy słupku...

— Musimy to zrobić, bo jest niegrzeczny — przytaknęli tamci dwaj...

Stary przełożył torbę z zakupami na ramię, objął rękami słupek i zaplótł palce, na końcu ulicy Nadbrzeżnej błysnęła smuga światła i zawarczał samochód, ale to nie była taksówka. Dostarczyli do niego zręcznie, miękko jak koty, rozpletli mu palce i unieśli go do góry, śmiejąc się i napominając się wzajemnie: — ostrożnie, ostrożnie, żeby nie uszkodzić staruszka, żeby się nam nie rozsypał w powietrzu — i napominając niesionego: — nie krzyczeć, bo przytkamy buziuchnę.

Był bezradny, leżał plecami na ich rękach niby duże, pokraczne dziecko, twarzą do zmętniałego miejskiego nieba, z ramienia zwisała mu biała w czarny deseń plastikowa torba z zakupami. Chyba już wtedy, gdy był na ich rękach, poniżony tym uniesieniem, i gdy ten niski krępy śmiejąc się powiedział: „o, jaki lekki jesteś, staruszk”; a wysoki szochrany dodał: „jak piórko”; a ten z dziwnie długą szyją: „gdybyśmy cię podrzucili, poleciałbyś z wiatrem”, chyba już wtedy, a może w chwili, gdy go zsunęli z rąk i postawili na dalszym miejscu w kolejce, przypomniało mu się tamto dawne i pomyślał:

—| szkoda, że mnie nie zagarnęła duża woda, gdy się z nią mocowałem przy starej topoli na zakolu grobli; tak mocno o tym pomyślał, że aż to głośno wypowiedział, stojąc na nierównym bruku trzeciej boczniczy ulicy Nadbrzeżnej: — dobrze by zrobiła ta wezbrana rzeka, gdyby mnie zmiotła z wału i rzuciła w swoje odmęty; a mogła mnie zmieść wtedy, gdy zatkałem jej gardziel piachem, gnojem i w końcu żytnimi i pszenicznymi snopkami, a ona wściekła się, że się nie mogła przedrzeć na drugą stronę, wwierciła się dużym wirem do samego dna, bluznęła wodą na wierzch grobli, chciała mnie rzucić w odmęt, ale się jej to nie udało, choć trzepnęła mnie mocno i prze- walcowała mi po plecach.

— Ho, ho odezwał się ten z dziwnie długą szyją, a wysoki szochrany zachichotał cicho. Stary przestał mówić, milczał, ale z pewnością myślał o tamtym lipcowym dniu sprzed pięćdziesięciu kilku lat, wybranym z kilkunastu dżdżystych, ciepłych dni, gdy niebo tak się zbliżyło do ziemi, że jej dotknęło sobą i położyło na niej wilgotną, szarą płachtę i gdy niebo tak się sprzymierzyło z rzeką i taką mocą ją nappełniło, iż ona, porykując z cicha, podpłynęła pod samą koronę wału, a w niektórych miejscach się z nią zrównała, a niedaleko starej topoli, w miejscu, gdzie był on najślabszy, uruchomiła swoje podwodne świdry i młoty, żeby go przewiercić na wylot, przerwać i zalać pola, pohulać na nich, stratować i podziurawić i — jak to uczyniła przed wiekami ze skrawkiem doliny zarzeczej — przemienić je w błotnistą pustynię, złośliwie ozdobioną niewielkimi brudnymi stawami, zamieszkałymi przez tłuste liny koloru przyćmionego złota.

Brodząc po pas w wodzie wrzucał wraz z innymi ratownikami worki z piaskiem w dziury i szczeliny grobli wybite przez wodę, a gdy piasku zabrakło, wrzucał ziemię i gnój. Woda na chwilę się uspokoiła, ale zaraz zaczęła się gotować od spodu i odezwała się głębinnym bulgotem, tworząc nagle wyrzuszenia i leje; któryś z ratowników krzyknął, że zaczyna się już przesączać na drugą stronę, wtedy wszyscy zaczęli uciekać, słyszał oddalający się tupot nóg, bicie końskich kopyt o ziemię i terkot wozów. Został sam, przed nim rozszalała bura rzeka,

ogromna jak morze, za nim rozległa równina, pola pociągnięte przedziwną, bladoczystą barwą, na tej równinie wszystko, co żywe, zdrewniałymi, struchlałymi oczami wpatrywało się w niego; a on tak się zawziął, że gdy zabrakło piachu, gnoju i ziemi, zaczął wrzucać w wyrwane przez wodę dziury żytnie i pszeniczne snopy, które brał z pierwszych ustawionych przy grobli babek i mendli. Właśnie wtedy, gdy chwycił się tego ostatecznego, świętokradczego sposobu ratowania chleba chlebem, rzeka, działając prądami głębinowymi i tworząc szerokie leje, dokonała ostatecznej, chytrej próby przerwania grobli; odstępiała na chwilę, potem uderzyła wysoką falą i przetoczyła się po niej, ale on zdążył położyć się i uczeplić ziemi.

— Wiedziałem, że trzeba się położyć i wbić pazury w ziemię — powiedział stary — a ci młodzi: — ho, ho — i zaraz ten wysoki szochrany podniósł leżącą w kupie śmieci na brzegu ulicy, połyskującą w mroku odbitym światłem blaszaną kapslę od piwa i przyłożył staremu do kłapy marynarki, mówiąc: — dekorujemy cię orderem za odwagę — a tamci dwaj zaczęli klaskać i krzyżeć: — niech żyje — a potem szochrany wrzucił mu tę kapslę do kieszeni i zanucił: — sto lat.

A stary jakby nie zwrócił na to uwagi i mówił dalej: — gdy ta fala się cofnęła, leżałem jeszcze jakiś czas, bo mogła przyjść druga, ale nie przysłała i wstałem.

Znał rzekę i wiedział, jak się zachowuje, gdy jest spokojna, i co się z nią dzieje, gdy wzbiera i podnosi się do górnego brzegu grobli; wiedział, że gdy jest wezbrana, może zrobić groźną niespodziankę, czasem coś, co i dla niej jest niespodzianką, bo rzeka zależy od zmiennego kształtu dna, czyli od ziemi, która jest pod nią, i od powietrza, które jest nad nią, to znaczy od chmur i wiatru.

A więc stary nie wstał od razu po odpłynięciu pierwszej fali, którą stworzyły duże przybrzeżne leje z pomocą silnego, mokrego wiatru, bijącego niemal stromo od chmur; dopiero wtedy gdy leje przestały świdrować głębinę rzeki i zmienił się wiatr, wstał i spojrzął w górę, i już wiedział, że zwyciężył; spojrzął na topolę, woda jeszcze biła w nią zajadle, obejmując ją jak obręczą i rzucając pieniste bryzgi.

I— Nie daliśmy się fali — powiedział do drzewa — tyś się nie dało i ja się nie dałem — i jeszcze dopowiedział, bo się bardzo cieszył: — wytrzymałem, choć nie mam twojej siły.

Otarł wodę z twarzy i spojrzał na równinę, z daleka od pól nadleciało bicie dzwonów. Dzwonią niebu na znak dziękczynienia, niebu i mnie — pomyślał zuchwale — no bo podzieliliśmy się robotą, ja zagroziłem drogę fali, a Bóg otworzył dla słońca okno w chmurach i zesłał suchy wiatr.

Pod niedużym wiatrem zboża zaczęły się wzdymać i opadać, tworzyły fale, kłaniały się dziękczynnie i szły w jego stronę, ludzie i zwierzęta, wszystko, co żyło na równinie, ruszyło z podziękowaniem w kierunku grobli, gdzie stał ociekający wodą.

A jego oczy stały się wtedy jakby wszystkowidzące, gdyż ujrzał nie tylko ludzi, duże zwierzęta i duże ptaki nadlatujące znad jaśniejącego horyzontu, ale też zwierzynę drobną i małe ptaki, nawet owady ujrzał; to niepojęte, skąd mu się nagle wziął taki bystry wzrok, że mógł ujrzeć młode przepiórki przesmykające się trawami łąk, koniki polne i żuki ziemne w połyskujących fioletowych pancerzach, które na tę chwilę wyzbyły się swego przyrodzonego lenistwa i sunęły spiesznie w stronę grobli; z pewnością ciężko im było przestawić się na chyży bieg, bo przedtem cały czas obojętne, bez smutku, bez radości i bez żadnego podniecenia, jakby wciąż na bezmyślnym spacerze z długimi postojami, trafi się jakaś padlinka, to się trafi, to się przekąsi, a nie, to nie, nie ma zmartwienia, jakby pół żywe i pół umarłe, ale nagle coś im zaświtało w tych przykrytych hełmami łbach, wystawiły czujki, skierowały je do góry i chwyciły nastrój dziękczynienia, a potem chybcząc się z lekka, sunęły spiesznie rowkami wyżłobionymi płużkiem w młodym kartoflisku.

Stary poruszył się nagle, wyprostował, na ile mógł, spojrzał na tych trzech, którzy rozglądali się niecierpliwie na wszystkie strony, wypatrując taksówki.

— Dziękowały mi nawet przepiórki, nawet koniki polne i żuki ziemne, gdy fala odpłynęła i nie wróciła — powiedział głośno stary, bo już nie mógł zatrzymać w sobie tych wspomnień.

— Ho, ho — odezwał się szochrany do tamtych dwóch, którzy nieco się oddalili — słyszycie, chłopaki, nawet żuki ziemne dziękowały staruszkowi, gdy zatrzymał strumyk patykiem.

Stary sam kilka razy opowiedział, co się potem stało, jeszcze tego samego dnia przed północą, i na drugi dzień, i chyba jeszcze następnego dnia opowiadał, bo musiał, bo go o wszystko natrętnie wypytywano, gdy składał zeznania.

— Gdy ten młody nazwał rzekę strumykiem, to tak jakby mi dał w pysk; „nie powiedziałbyś tak o niej — rzekłem do niego — gdybyś mógł ją widzieć tamtego dnia, dwie utopione krowy niosła, psią budę z uwiązany przy niej nieżywym psem, kawał strzechy i łóżko drewniane, i utopionego człowieka niosła, a ty ją nazywasz strumykiem.” A on się śmieje i tamci dwaj także chichoczą, ale najgłośniej śmieje się ten szochrany. „Gdybyś ją wtedy widział, nie* byłoby ci do śmiechu, bulgotała i wrzała przy starej topoli, jakby ją kto podgrzewał od spodu, a grubą przyciesią obracała niby zapalką, a ty ją przezywasz strumykiem” — znów mu wbijam do głowy, a on na nic nie zważa i bez przerwy i coraz głośniej się śmieje; a potem bierze się pod boki i mówi: „przypomnij sobie, staruszk, to był na pewno strumyk albo bajorko, w którym kumkały żaby”; gdy wyskoczył z tym bajorkiem, to tak jakby mnie drugi raz zdzielił w pysk, a potem zaczął kumkać „kum, kum”; tamci dwaj zaraz za nim „kum, kum”; wszyscy „kum, kum” śpiewają niby żaby, opluwają mnie tym śpiewaniem.

Przestał mówić i umilkł, ale na krótko, bo nim odezwał się ten, który zadawał mu pytania, stary wydobył z siebie głos, głos jęczący i dudniący, huczący zarazem, jakby z głębokości wydarty i przyniesiony wiatrem z daleka: — to nie ja zabiłem szochranego, choć moja ręka wbiła mu nóż pod żebro, to ten żabi śpiew winien, kumkanie go zabiło.

Znów urwał i mógłby już nie mówić, bo mu nie zadawano pytań, i można by już to wszystko, co się zdarzyło tamtego wieczoru przy trzeciej boczniczy ulicy Nadbrzeżnej, przykryć smutnym, pracowitym milczeniem, ale stary znów wydobył z siebie głos i dodał, choć nie musiał,

ale z pewnością to był jego własny mus: — najgorsze było to, że gdy go przebiłem, tamci dwaj nie spostrzegli od razu, co się stało, bo było ciemnawo, i kumkali jeszcze wesoło, a i ten szochrany, już przebity, zakumkał z rozmachu parę razy, cicho niby młoda żabka, nim upadł na bruk. Ale właściwie najgorsze było to — mówił jeszcze stary — że gdy ten szochrany już leżał i drapał pazurami bruk, tamci dwaj myśleli, że on się przewrócił ze śmiechu, i pochylili się nad nim, i zawołali: — wstań, żabko, bo się pobrudzisz, co powiedzą dziewczyny...

KONIEC NOWELI

POŻEGNANIE Z GÓRĄ

Janowi Bolesławowi Ożogowi

Są starzy, są bardzo starzy, są tak starzy, że aż do siebie podobni niby niemowlęta, są tak starzy jak odrzucony przez drwali przy ociosywaniu powalonych drzew leśny chrust, o którym zapomniał gajowy i po który nie wyciągają się chciwe ręce, żeby go wziąć do palenia w piecu.

Ale jeszcze nie jest to rozsypany chrust, jeszcze jest ułożony, pospinany, powiązany w ludzką postać, jeszcze się porusza, powiewa wolno gałęziami, prawie drzewo, dwa drzewa, które mówią, śmieją się i widzą.

Teraz właśnie siedzą na długiej, postawionej przy ścianie domu ławce i patrzą na górę.

Nic do siebie nie mówią tylko ściskają oczy, które przez to robią się jeszcze mniejsze, i wpatrują się w górę, którą mają przed sobą, nie za daleko, nie za blisko.

Na tyle, aby wiedzieć, że dołem rosną niskie krzaki, a wyżej jest przypalona golizna, w części kamienna, w części zarosła trawą, tą wiecznie złąknioną wody, odzielenioną, ledwie odbijającą od barwy kamienia trawą; dalej wypuczony garb — nagusieńki i połyskujący, po jego obu stronach dwie głębokie zapad- liny, a wyżej czysta kamienna tafla, pobrużdżona i zmarszczona, zaś na samym wierzchu coś zupełnie niespodziewanego, to, czego nie powinno być, gdy się zważy istnienie tej kamiennej tafli, to, co chyba jakimś

I cudem się zjawilo, jakby nie z ziemi powstalo, tylko przez powietrze tam zalozone — las; i to nie jakis las mizerotka, ale ciemny, mocno zywy, gesty las.

Maja przed soba gore na tyle blisko, zeby to wszystko ujrzec, rozroznic i poukladać obok siebie tak jak jest, zeby to nazwac prawdziwymi nazwami — krzak krzakiem, kamien kamieniem, drzewo drzewem...

Ale maja tez przed soba te gore na tyle daleko, aby sie to wszystko przemienilo nie przemieniajac i zaczelo znaczc co innego, aby sie to wszystko ulozilo w jeden wielgachny obraz i aby sie ta gora objawila jak ogromna, nieruchoma twarz.

A jezli tak jest, to nie wystarczy powiedziec, ze ci starzy, ten ludzki chrust, wpatruja sie w gore; bo jezli krzaki, kamienie, golizny, drzewa, garby i zapadliny ukladaja sie w obraz ogromnej twarzy, to mozna dodac, ze i gora patrzy na tych starych.

Jest to chwila, w ktorej we wsi pusto, bo ludzie poszli w pola i do lasu, powlaziли w jakies zakamarki i nie ma ich, bo sie unicestwili w robocie.

Sa tylko ci dwaj starzy, jeden mocno lysy, a drugi z resztką siwych wlosow na glowie, i gora. Tylko ta trójca.

Przyszla chwila, w ktorej nic sie nie liczy: ani ludzie, ani domy, ani ploty, ani zwierzeta — tylko ci dwaj starzy i gora.

Od chwili gdy sie w nia wpatrzyli, nie wypowiedzieli ani jednego slowa, choc przedtem duzo mowili i byli rozpędzeni w rozmowie; bo gdy tylko usiedli i wydmuchali z siebie dlugie oddechy ulgi, jeden z nich powiedzial — dobrze, ze ta lawka tu stoi; a drugi na to — o, jak dobrze...

Zaczeli chwalic lawke -i dlugo sie o niej rozwodzili, wymieniajac jej wielkie zalety i malutkie wady.

— Chwalic Boga, ze jest przystawiona do samej sciany, bo sie mozna oprzec.

- Gdyłty się ją odsunęło od domu, toby się czuło plecy.
- Z pleców zaraz by się zrobił kabłak, prostuj go później...
- Ugina się trochę, ale to dobrze, bo siedzi się jak w samochodzie:
- Jechałeś?
- Wnuk mnie raz wziął.
- Ugina się, ale ni© trzaśnie, bo to jest jesion.
- Jesion to sprężyna.
- Dąb trzaśnie, a jesion nie-
- Gdyby jeszcze miała troszeczkę uniesiony brzeg.
- Jest równa.
- Nie jest równa, bo brzegiem lekko opadnięta.
- Eh..., jest równa.
- Nie mów tak, bo jest opadnięta.
- Nie opadnięta.*
- Przecież czuję.
- A ja nie czuję.
- .. — Można sprawdzić waserwagą.

— Nie potrzebuję waserwagi, bo wiem, że jest równa.

To wychwalanie ławki, a później ta zawzięta sprzeczką o to, czy ławka jest równo ustawiona, czy nie, ta sprzeczką, którą — mając na uwadze ich nogi, grzbiety, ich schruściałe postacie — powinno się nazwać wielkim staraniem, a może nawet bojem o życie, o dobry oddech i dobre przebieganie krwi w żyłach, toczyła się, gdy oni nie zostali jeszcze chwyceni przez górę i gdy jeszcze na nią nie spojrzeli w wielkim zdziwieniu, tak jakby jej nigdy nie widzieli i objawiła się im nagle; choć przecież zawsze tu była, bo góra to rzecz wieczna, i tam gdzie sobą przegradza powietrze, przegradzać będzie na wieki wieków amen.

Ta sprzeczką na ławce, która dla ludzi-gałęzi usychających ogromnie do wielkiej zapobiegliwości —

żeby nie powiedzieć — do wielkiej bitwy o to, aby w pulsach jako tako tykała krew — skończyła się, gdy góra sobą ich, a oni sobą górę capnęli.

Wtedy te ich ręce śmiesznie, ale — zważywszy óhrusciane postacie — straszliwie zaciśnięte, rozprostowały się, jakby im ktoś inny, ale w nich narodzony, w nich siedzący, ale od nich oddalony i patrzący na nich z boku, wyperswadował — skończcie z tą kłótnią, staruszkowie, połużnijcie pięści i przestańcie wściekle błyskać na siebie oczami, bo przed wami stoi góra; Jak możecie sprzeczać się o brzeg ławki, gdy macie przed sobą wszystkie kolory, wszystkie pasma i strefy góry, miękkość krzaków i twardziznę kamienia, połyski garbów, ciemność wgłębień i czarność lasu; oszczędzajcie siły, staruszkowie, bo chodzi o coś więcej niż o ławkę; i myślcie, myślcie, a może przyjdzie wam do głowy ta rzecz najważniejsza; przecież jeszcze poruszacie nogami i rękami i jeszcze się zginacie, a gdy się rozchodzicie, to ustaje trzeszczenie w waszych kościach i możecie ujść kawał drogi; więc się nie kłóćcie, ale wpatrujcie się w górę...

Molestował ich i molestował ten natrętny nama-wiacz, który był w nich, tak ich molestował, że dobił swego.

Bo po dość długim milczeniu i wpatrywaniu się w zbocze góry, po tym łapczywym przejeżdżaniu wzrokiem wszystkich jej kolorów, wszystkich pasm i stref, Łysy spojrział na Siwego dobrym, czułym okiem i powiedział — pogódźmy się. A Siwy na to — pogódźmy się, sąsiedzie. Znów wpatrzyli się w górę, ale teraz ich głowy już się nie poruszają i oczy nie chodzą po całym jej zboczu, teraz głowy i oczy są nieruchome; i gdyby jakiś przyrząd umiał przelecieć po tej samej linii, którą wysyła oko, i dokładnie ją wymierzyć, to z pewnością pokazałby, że jeden jej koniec tkwi w głębinach ich

pomarszczonych, zwietrzałych oczodołów, a drugi opiera się o to pasmo pod samym lasem, jaśniejsze od drzew, ale ciemniejsze od skały, to znaczy o ten najwyższy kamienisty wypust, za którym — dziw to nad dziwy — rozpoczyna się miękka ziemia i rosną drzewa, O ten najwyższy, kamienisty wypust, o ten przez wieki samą tylko naturą, wiatrami i deszczami ciosany

I utwardzony balkon góry, z którego można zobaczyć kawał świata w dole.

Postawić nogę na tej skale, wyprostować się i spojrzeć w dół na dachy domów, na drogi, pola i błonia, to znaczy wejść na górę.

Postawić na tej skale nogę młodą, zbudowaną z twardej, ale nie suchej kości i długich, szcepionych mocno z kością płatów mięśni to niewiele, to może tylko kilka słów wśród wielu innych wypowiedzianych spokojnie- i bez zdziwienia, to tylko — taki, owaki był dziś na górze, taki, owaki wszedł na górę i zszedł z niej...

Ale postawić na tej skale nogę starą, złożoną z części poluznionych i przydrętwiałych, wyprostować się i ujrzeć duże półkole świata, a potem zejść w dół z tymi zabranymi ze szczytu na niezbity dowód roziskrzonymi kamykami w dłoni, to wiele, to zupełnie inna mowa ludzi, to rozwarte oczy i uchylone usta, i odstawione od tułowia ręce, to zdziwienie, ogromne zdziwienie i w podnieceniu wypowiedziane słowa — taki stary i wszedł na górę, słyszycie, taki stary i o własnych siłach wdrapał się na wierzchołek; i myśli młodych— taki stary gnat, a zrobił to samo co my; i zupełnie inna ta resztką życia, jaka jeszcze od wejścia na górę i zejścia z niej zostanie do dnia śmierci, i zupełnie inne umieranie, i zupełnie inny pogrzeb niż pogrzeby tych starych, którzy przed śmiercią nie wdrapali się na górę.

Ksiądz i organista śpiewaliby — requiescat in pace,.

a ludzie po cichu do siebie — jeszcze niedawno wdrapał się na górę.

Proboszcz i organista głośno — Panie, przyjmij go do Królestwa swego, a ludzie cichutko, żeby nie przeszkadzać księdzu — o własnych siłach wszedł na sam wierzchołek.

Proboszcz i organista na cały głos — Panie, przyjmij jego duszę do raju niebieskiego, a ludzie do siebie na ucho — gdyby się przedarł przez krzaki i doszedł do traw, to byłoby do uwierzenia; gdyby przeszedł te niskie trawy, to jeszcze mogłoby być do uwierzenia, ale nie do wiary jest to, że przeszedł skały, a przeszedł, choć taki stary.

— Zmówmy Ojczy nasz i Zdrowaś Mario za jego duszę — mówi ksiądz i ledwie się powstrzymuje, żeby nie dodać — za duszę tego, który niedawno stanął na szczycie; bo i ksiądz dowiedziałby się, że ten stary przed śmiercią przedarł się przez strefę kłujących krzaków i niskich, suchych traw i przeszedł trudną strefę grubych i ostrych kamieni, zsypanych do rozpadliny niby do ogromnej kobiałki, i jeszcze trudniejszą strefę jednolitej śliskiej skały i postawił nogę na balkonie góry,

Czas się będzie posuwał i grób zmaleje, i ziemia na nim stwardnieje i spęka, ale ludzie powiedzą jeszcze — tu leży taki jeden stary, który uwziął się, że wejdzie na górę, i wszedł.

Czas będzie się wciąż posuwał i grób już ledwie, ledwie będzie odstawał od ziemi, i krzyż na nim mocno się przechyli, ale jeszcze znajdą się tacy, którzy wspomną — pod tym przechylonym krzyżem leży człowiek, który w późnej starości zdobył górę.

Grób przestanie być grobem, bo zrówna się z ziemią, krzyż się przewróci i na tym grobie wykopią nowy grób, i wymrą ludzie, którzy żyli, gdy był tamten pogrzeb, ale znajdzie się taki, który zapamięta to, czego

się dowiedział od tych mieszkańców cmentarza, gdy oni żyli, i powie — słyszałem, że tu gdzieś, tu gdzieś niedaleko płotu, przy tej grubej akacji pochowany jest taki jeden rzeński staruszek, który miał prawie sto lat i sforsował stromą skałę...

Podnieśli się z ławki jak na komendę, wyprostowali i jeden z nich powiedział — nic mnie nie zabolalo przy wstawaniu.

— Mnie także nie zabolalo — odezwał się drugi.

— Ani w kolanach.

— Ani w krzyżu, ani w karku.

— A ręce? — spytał prędko jeden drugiego, tak jajtby nie wiedział i teraz nagle sobie przypomniał, że są jeszcze ręce, w które lubi wlazić ból.

No to po tym pytaniu musiały unieść się i zamigotać, a potem zatrzymać w wyższym, jaśniejszym powietrzu ich cztery dłonie, które zaczęły żyć jakby samoistnym życiem: palce prostowały się i zakrzywiały w wielgachne pazury, zaciskały w pięści i znów prostowały, wierzchnia ich skóra marszczyła się i czerniała, i napinała do różowego glancu, glisty żył chowały się w ciele niby prawdziwe glisty w ziemi, i wychodziły na wierzch, i leżały na skórze niby prawdziwe glisty na ziemi zmoczonej ciepłym deszczem.

Z guzami narosłymi na stawach zaczęły się dziać dziwne rzeczy, ale guzy nie dały się pochwycić wzrokiem i określić, gdy dłonie trwały w wielkiej ruchliwości; guzy tak jakby przestawały być guzami pod zmarszczoną skórą, a pod napiętą jakby się przemieniały w twarde, dodatkowo wzmocnione węzły stawów.

Ręce dobre — powiedział jeden z nich i uśmiechnął się.

— No pewnie — pośpiesznie dodał drugi Opuścili dłonie, wyprężyli się i przez moment stali w postawie na baczność, jak żołnierze przed dowódcą.

A potem zaczęli chodzić po białym pasemku twardej ziemi, wytartej podszwami tuż przy ławce.

— Nic mnie nie boli, gdy chodzę — odezwał się któryś z nich.

— Nic mnie nie boli — powtórzył ten, który przedtem milczał.

— Czuję, że mógłbym długo iść.

— Szłoby się tak i szła

— Ażby się zaszło.

Znów usiedli, oddychali szybko i patrzyli sobie w oczy, uśmiechali się; ale gdy spojrzeli na górę, twarze ich stały się poważne.

— Góro, dlaczego nie jesteś mniejsza, niechbyś miała te ostre krzaki i suche trawy, i nawet tę zapadlinę, do której skała strąca swoje śmiecie, niechbyś miała las, ale niechbyś odjęła sobie trochę z tej skały, która jest nad rozpadliną; ale ty, góro, nie możesz być mniejsza, ani o metr, ani o centymetr swojej skały nie możesz się pomniejszyć, bo wtedy po przyniesieniu i przystawieniu ludziom do oczu tych roziskrzonych kamyków nie byłoby takiej mowy, o jakiej się pomyślało, ani takiego pogrzebu, o jakim się zamarzyło, ani tych słów bardzo późnego wnuka, wypowiedzianych już przy zrównanym z ziemią grobie, słów, do jakich się zatęskniło...

— Ty, góro, musisz być taka, jaka jesteś, a my takimi, jakimi jesteśmy, żeby się to wymarzone spełniło; i nie może być inaczej, za żadne skarby nie może być inaczej, bo musi być góra i starość, starość i góra, żeby ludzie nie zapomnieli; to dobrze, że ty dźwigasz na sobie skałę i że my jesteśmy starzy.

Znów spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się, i już wiedzieli, że trzeba tam pójść.

— Długo nie można czekać; góra tak, ona może czekać, bo ona jest wieczna, ona jest jak Bóg; i ci o twardych, ale nie suchych, kościach i mocno do kości przy

wartych mięśniach, ci, którzy nie muszą mówić — nie boli — choć boli, ci także mogą poczekać, bo wdrapią się na górę, kiedy zechcą, ale my nie możemy.

Jednak to nie może być pierwszy lepszy, byle jaki dzień, w którym ludzie łążą po wsi i niby na nic nie patrzą, a wszystko widzą i są czujni jak koty, i badają, czy wszystko jest na swoim miejscu.

To nie może być taki dzień, w którym jeden i drugi lezie obok płotu, nogi stawia byle jak i pomrukuje sobie albo pogwizduje i patrzy w ziemię; tak lezie, iż wydaje się, że on widzi tylko tę wyblyszczoną ścieżkę albo koleinę drogi; ale to nieprawda, bo przed jego ciekawym okiem nic nie ujdzie, nawet prześmignięcie powietrzem małego, cichego ptaka, a co dopiero pusta ławka, to znaczy zniknięcie tych dwóch starych.

— Dlaczego nie siedzą na ławce przed domem, powlekli się pewnie do płotu, żeby popatrzeć na pola.

— Nie ma ich przy płocie.

— Nie ma...

— To na pewno są na małym błoniu przy krowach.

— Nie ma ich tam.

— Muszą być.

— Nie ma.

— To może w drewnutni tną wierzbowe gałęzie małymi siekierami

— Nie słychać rąbania.

— To gdzie są...

— Gdzie są, gdzie są...

Już ktoś świdruje wzrokiem tę wąską, obsadzoną jabłonkami drogę, prowadzącą do niskich krzaków opasujących górę dołem.

A inny przelatuje oczami po wierzchołkach tych zarośli i bada, czy nie przesmykają się w nich dwie stare głowy*

I już ktoś tam pędzi, zastępuje im drogę i krzy

czy — co to za wyprawa, czego to się wam zachciewa, I starzy, hola, z powrotem, hola...

A to znaczy, że mają wracać do ławki, do płotu na końcu sadu i początku pól, na małe błonie albo do I drewnutni, do jednego z tych czterech miejsc, bo są | już tak starzy, że powinni tylko tam przebywać i być na widoku o każdej godzinie dnia.

To nie może być pierwszy lepszy, byle jaki dzień, I bo zostaliby cofnięci, już chyba w krzakach, a na pew- I no w tych suchych trawach dopadliby ich i zawrócili I i starzy musieliby iść przez wieś i słyszeliby — wam nie wolno, nie wolno, nie dacie rady, to już nie dla was; a przecież najgorsze z wszystkiego jest to dobre, to czułe, to miłe — wam nie wolno, nie dacie rady, nie na wasze siły...

To musi być taki dzień, w którym wieś będzie wymieciona z ludzi; a taki dzień wnet nadejdzie, bo do wsi ma przyjechać biskup; a nic tak nie wymiata i ludzi z domów, z sadów i pól, z dróg polnych i dróg wijących się między domami, jak przyjazd biskupa.

Wielu już wcześniej rano ubierze się niedzielnie i pójdzie na ozdobiony świętymi obrazami i wstążkami trakt- przy płocie cmentarnym i na jeszcze bardziej przystrojony plac przed kościołem i będzie wyczekiwać na dużą czarną limuzynę, w której przyjedzie biskup.

A za tymi pierwszymi pójda inni, ludzie całą hurmą ruszą na powitanie przewielebnego.

— Przedtem gnałbym co sił, żeby zobaczyć biskupa i banderę, ale teraz wolę iść na górę.

— Takich, którzy dobijają już do dziewięćdziesiątki i wybrali się pod kościół, żeby zobaczyć biskupa, jest sporo na świecie, ale takich, co by z dziewięcym krzyżykiem na plecach weszli na sam wierzchołek dużej góry, ilu jest, pytam się, ilu...

— Mało takich.

— Są gdzieś, są, w jakichś dalekich górach, ale

o nich piszą i mówią; wszyscy, którzy patrzą w gazety, wiedzą o nich.

— Biskup, biskup, niejednego widziałem.

— Ja może dziesięciu.

— A ja to chyba piętnastu.

— Nie chwal się.

— Nie wierzysz.

— Nie.

— No to niech będzie trzynastu lub dwunastu, wszystko jedno.

— Pierwszy raz widziałem, gdy byłem chłopcem, wszyscy szli, bo zawsze, gdy się coś takiego dzieje, cała wieś wyrusza; i ja szedłem, ale wszyscy byli w butach, a ja boso, buty wzięli bracia, bo u nas w domu tak wypadło, że były dwie pary dużych butów na trzech; doszło nawet między nami do bitki, ale bracia byli silniejsi, odepchnęli mnie i krzyknęli — ty, gówniarzu, możesz iść boso i tak na ciebie nikt nie będzie patrzył.

Matka i ojciec pogłaskali mnie po głowie i powiedzieli — niech oni wezmą te buty, oni starsi, ty polecisz boso, hurma ludzi idzie, nikt nie będzie patrzył na twoje nogi.

Ale nie było tak jak mówili bracia, ojciec i matka, bo zaraz ktoś zauważył, że jestem bez butów, może dlatego, bo pchałem się do przodu; i zaraz usłyszałem — patrzcie, boso wybrał się witać biskupa.

Myślałem, że to szpas i że dadzą mi spokój, ale myliłem się, bo znów usłyszałem — tak nie może być, trzeba z nim coś zrobić...

Może gdybym miał nowe, ładne ubranko, daliby mi spokój, ale mój spancyrek był rozdarty na plecach; pamiętam, jakby się to stało wczoraj, że przeharata-łem go, gdy zląziłem z wiązu.

Ludziom idącym wtedy na powitanie biskupa było tego za wiele, bo oni z pewnością przedstawili sobie zaraz tę nadjeżdżającą w galopie banderę, a potem

konie nagle zatrzymane i ustawione z dwóch stron drogi; i biskupią głęboką karetę między szeregami dziarskich jeźdźców, wysiadającego z niej biskupa, a z drugiej tego chłopaka nałóżącego przewielebnemu na oczy.

No to musiał on być capnięty za kołnierz spancyrka i przesunięty do tyłu, i znów capnięty, i znów przesunięty, i tak podawany, aż odrzucony na sam tył.

Kilku nas takich było i wszyscy zostaliśmy cofnięci na koniec pochodu, ale i tak widzieliśmy biskupa, bo nabraliśmy tych obutych, puściliśmy się pędem i zabiegliśmy od przodu i nim ludzie nas zobaczyli, zdążyliśmy się wdrapać na te pochyłe brzozy rosnące przy cmentarzu.

Usiedliśmy na gałęziach w gęstych liściach, nas nikt nie dojrzał, a my widzieliśmy więcej i lepiej niż ci w butach.

No bo oni widzieli karete, banderę, a także to, jak biskup wysiada i błogosławi; a my oprócz tego widzieliśmy jeszcze, co działo się w tej głębokiej białej ka- I recie, a to można było zobaczyć, gdy się patrzyło z wysoka; no bo na pewno nikt oprócz chłopaków nie widział, jak młody ksiądz, który także był w karecie, wsuwał biskupowi do ręki cukierki i jak przewielebny te cukierki wkładał sobie do ust, tak wkładał, jakby nie chodziło o jedzenie a o samo dotykanie warg palcami.

A kto oprócz tych kilku basałyków widział, jak wtedy, gdy karetka zwolniła biegu, ksiądz dopinał biskupowi na brzuchu te malutkie jak groch biskupie guziki, tylko te basałyki widziały to dopinanie...

— Mów teraz o górze, jak będziemy szli — odezwał się drugi stary<

— Gdy opowiedziałem wnukowi, temu, który ma samochód, jak było z tym moim pierwszym oglądaniem biskupa, wnuk, ten, który niedawno kupił sobie samo

chód, roześmiał się i rzekł — nic się nie zmieniło, dziadku, dziś jest tak samo...

— Jak to — mówię mu, wnukowi, temu, który nabył fiata za gotówkę.

— A tak to, dziadku — odpowiada mi i śmieje się — dziś także, gdy ma do wsi albo miasta przyjechać ktoś ważny, to taki, nie powiem bez butów, bo na buty stać dziś każdego, nie powiem w podartym ubraniu, bo o ubranie nietrudno, ale taki jakiś, jakiś taki, który nie pasuje do uroczystości, zostaje capnięty za kołnierz i przerzucony na bok albo do tyłu.

— Mów teraz, jak będziemy się wdrapywać na górę, gdy cała wieś pójdzie oglądać biskupa.

— Najpierw we wsi będzie ruch, wszyscy będą się wybierać na powitanie przewielebnego, ale nas zostawią w spokoju, bo powiemy, że do nóg i krzyżów wlaży nam ostre bóle.

!— Co będzie dalej, mów...

-t-t Poczekamy, aż wieś uspokoi się i aż ucichnie rzenie i galop koni, na których chłopcy pojedą do głównego traktu, aby stamtąd wrócić z przewielebnym.

— Wtedy wyruszymy.

— Nie będziemy podchodzić do góry żadnymi polnymi drogami ani po zapłociu, nie musimy się kryć, bo do biskupa polecą wszyscy i wieś będzie pusta, podejdziemy do góry tą dobrą drogą, przy której rosną jabłonki.

— Cieszysz się...

— O, jak się cieszę, aż mnie z tego trochę boli w dołku pod piersią,

A ja to tak się cieszę, że mi dech zapiera.

Znów umilkli i wpatrywali się w górę, tak mocno wlepili w nią oczy, że aż ją poruszali wzrokiem, aż migotała góra, przesuwała się szybko, to w lewo, to w prawo, i podskakiwała, tańczyła im w oczach, przy-

chodziła do nich blisko pod same nogi i uciekała sprzed nóg, jakby żyła i jakby w niej był niespokojny, swawolny duch; ale po chwili znów sadowiła się na swoim miejscu i była nieruchoma, i tylko barwy przez nią przepływały.

Po długiej chwili milczenia i wpatrywania się w górę zaczęli rozmawiać; uradzili, że do krzaków głogu i dzikich róż muszą dojść, nim znów doleczą ich rżenia koni i odgłosy banderii, wracającej w pochodzie przy limuzynie biskupa, i nim kościelny i jego pomocnik uderzą w dzwony na powitanie przewielebnego; i dobrze będzie, jeśli przez głogi i dzikie róże przedrą się, zanim doleci ich bicie dzwonów.

Niech paraduje banderia, niech biją dzwony wtedy, gdy oni po przejściu przez partię kolczastych krzaków znajdą się w osłoniętej od światła strefie suchych traw; bo wtedy wszyscy odwróceni będą tyłem do góry i ona przestanie jakby istnieć dla ludzi, i zapomną o niej, i wyrzucą z pamięci każdą z jej stref, krzaki, drzewa, trawy i kamienie.

Nikomu nie wpadnie do głowy, żeby na nią spojrzeć, nikt nie wyłuska w niskich trawach tych dwóch starych i nie cofnie ich w dolinę, bo wszyscy będą wlepić oczy w drogę idącą od głównego traktu i z lubością przewiercać będą ten biały, kłębiący się kurz, który przez chwilę zakryje limuzynę i banderę.

— Mów jeszcze o głogach, nie śpiesz się i nie zbliżaj się jeszcze do dzikich traw, pobądźmy jeszcze w krzakach głogu i dzikich różach.

— Pokaleczą nas kolce krzaków.

— Mówisz, że pokaleczą, zapomniałem, jak boli ukłucie głogu albo dzikiej róży.

— Krew wytryskuje szybko i robi się duża kropla, ale nie trzeba od razu tamować krwi.

— Najpierw się wysysa, a później tamuje*

■^Będziemy sobie iść przez głogi i będziemy sobie wysysać krew z palców.

— I będzie cicho, bo banderia nie zawróci jeszcze do wsi i w dzwony nikt nie uderzy, bo biskup nie skręci jeszcze z głównego traktu.

— Pomyśl, limuzyna przewielebnego sunie głównym traktem, a my idziemy wąską ścieżką przez głogi i dzikie róże, co chwila kolec krzaka ukłuje w rękę ciebie albo mnie i któryś z nas krzyczy — ukłułem się...

— Cieszę się.

— I ja się cieszę.

— Niech tylko przyjedzie ten biskup.

— Na pewno przyjedzie.

— Skąd wiesz.

— Bo ktoś słyszał, jak proboszcz mówił do kościelnego -n- trzeba zasypać dołki i wyrównać drogę przy cmentarzu; a do chłopaków, którzy służą do mszy, powiedział — przegładnijcie płot i przybijcie oderwane sztachety.

- Ale nie powiedział — przybijcie sztachety, bo przyjedzie biskup.

— Nie musi tego mówić ministrantom.

— Ale gdyby powiedział, to wiedzielibyśmy, że przewielebny przybędzie i że my pójdziemy na górę.

Ten, który mówił o drodze i płocie, zniecierpliwił się i spojrział jakby trochę gniewnie na tego, który wątpił w przyjazd biskupa, i zaczął szybko uderzać dłonią w deskę ławki, bo może i on wątpił; ale zaraz coś sobie przypomniał i uśmiechnął się, pojaśniał na twarzy i rzekł — jak ci tego mało, to powiem, że wczoraj, gdy się ściemniło, kilka bab niosło indyki i koguty na plebanię.

— Mówisz, że już idą na plebanię z indykami i kogutami...

— No przecież te kobiety szły nie z książeczkami do nabożeństwa, tylko z koszykami, a to, co było w ko-

szykach, wykrzykiwało — „gul, gul” i „kukuryku”.

— To przyjedzie przewielebny...

Znów coś przerwało Im rozmowę, coś, co przypląywało od góry, może ta jej zmienność, zmienność w niezmienności; bo ta góra niby stoi nieruchomo i jest jednakowa, przez całe wieki od narodzenia świata jednakowa; ale jednak jest zmienna i nie o to chodzi, że zmieniają się pory roku i pogoda, ale o to, że ją zmieniają ludzkie oko i dusza, i góra jest jak rzeka, jednakowa, a wciąż inna.

— Gdyś mi powiedział to o indykach i kogutach, to mi się przypomniało, że raz do naszej wsi przyjechał biskup, który nie chciał jeść drobiu; żadnego mięsa nie tknął, a strasznie dużo tego było, plebańskie stoły zastawione, zapachy były przez okna i rozchodziły się daleko, cała wieś pachniała wtedy rosółem i pieczonym mięsem; po przywitaniu i błogosławieństwie proboszcz prowadzi gościa na plebanie, przewielebny idzie przodem, a za nim ksiądz i kilku lepszych z komitetu, z kościelnego komitetu; przewielebny wchodzi do pokoju i patrzy na te stoły, na te mięsa i rosoly, uśmiecha się i mówi — nie będę tego jadł; i znów się uśmiecha i dodaje — kwaśnego mleka i kaszy mi dajcie; i co było robić, posłańcy zaraz rozlecieli się po wsi i w trygi migi na stole znalazła się kasza i kwaśne mleko; potem rozniosło się po wsi, że biskup z wielkim apetytem jadł tę kaszę i pil kwaśne mleko; ale ludzie powiedzieli — co to za biskup, któremu nie smakuje rosół i mięso i który chwali chłopskie jadlo; śmiali się i mówili — taki jakiś dziwny ten przewie? lebny, biskupem jest, a lubi to, co chłop, i na pierwszym miejscu stawia kaszę z kwaśnym mlekiem.

— Zawróćmy do głogów i dzikich róż, będziemy sobie szli przez te krzaki i będziemy sobie wysysać krew z palców... i śpiewać, i pokrzykiwać — hej ho, hejże j

— W głogach jeszcze nie, bo mógłby nas ktoś usłyszeć, bo może się tak zdarzyć, że ktoś się spóźni, że komuś zachoruje krowa albo koń i on wpatrzy się w to stworzenie, żeby wiedzieć, czy mu lepiej, czy gorzej; mocno się wpatrzy — bo raż będzie mu się zdawało, że stworzeniu lepiej, a raz, że gorzej, i nie będzie się mógł oderwać od tej chorej krowy, od tego chorego konia, i zapomni o tym, że się wybierał na powitanie biskupa, ale nagle mu się to przypomni — przecież mam iść witać przewielebnego; aż zatrząsie nim to przypomnienie i odbije się od progu obory albo stajni i jako ostatni z wszystkich wyjdzie na powitanie przewielebnego.

— I może się zdarzyć, że w drodze doleci go nasz śpiew, i choć będzie się śpieszył, zatrzyma się, a potem podejdzie do krzaków; i wtedy wszystko wyjdzie Pna wierzch i on jeszcze zdąży cofnąć nas do wsi i polecieć do kościoła.

— A potem, co byłoby potem, gdyby po odjeździe biskupa ludzie dowiedzieli się, że śpiewaliśmy w głogach; już by się nie przestali śmiać z nas, trzymaliby się za brzuchy, przewracaliby się ze śmiechu, słowiki nasze lube — mówiłoby — i cha, cha, chacha; do końca naszego życia — chacha, chacha; i myślę, że nawet na naszych pogrzebach pod tymi głośnymi modlitwami byłoby schowane to — chacha, chacha — gdyby się ludziom przypomniała ta nasza wycieczka i nasz wesoły śpiew w głogach...

— Wiem, wiem, śpiewać będziemy dopiero między kamieniami w zapadlinie, usiądziemy sobie na kamieniu i zanucimy coś dawnego.

— Nie masz pojęcia, jak się cieszę...

— Nie takie to znowu dziwności ten twój biskup, dziadku, i ta kasza z mlekiem, która mu smakowała — mówił mi wnuk, gdy mu to opowiedziałem, no, ten wnuk, fachowiec, który kupił nowiutki samochód za

czystą gotówkę; i dziś trafi się przedstawiciel — perorowski ten mój wnuk — który, gdy przyjedzie do wsi, nie tknie mięsa, nie chwyci do ręki zastruganego do szpica kija, nie nabije na niego kielbasy i nie podejdzie do ogniska pod gołym niebem, żeby ją przypiec do chrupkiej skórki; i dziś trafi się dygnitarz, który powie — nie będę jadł mięsa, dajcie mi kaszy z kwaśnym mlekiem; a jedząc ją z wielkim apetytem, krzyknie — niech żyje ludowa potrawa — i zaraz odjedzie do tego swojego miasta.

— w głogach możemy sobie tylko wymrukiwać cicho jakąś dawną nutę albo powiedzieć sobie coś nieważnego, bo przez głogi trzeba * szybko iść, aby do granicy suchych traw dojść, nim limuzyna przewielebnego skręci „na wišta” i nim uderzą w dzwony.

— Na suche trawy, które widać z daleka, wejdzie- my, gdy zarzą konie i odezwie się głos dzwonów, bo wtedy cała wieś będzie ustawiona tyłem do góry, a twarzą do biskupa, i nikt nas nie dojrzy.

Krzaki nie urywały się nagle i granica między nimi a suchymi trawami nie ciągnęła się jednostajną, równą linią, ale była zębata i wyglądała z daleka jak ogromna zielona piła, położona na płowej płachcie,

Ale przy mocnym, przenikliwym spojrzeniu ta granica to nie było ciche, spokojne spotkanie krzaków z terenem trawiastym, to nie było tak, że tu stoją krzaki, a tu się zaczynają trawy; bo przy mocnym patrzeniu, przy takim, w którym oczy ciągną za sobą myśl i duszę, a myśl i dusza do jednej sekundy ściskają całe wieki, przy takim patrzeniu na granicy tej odbywa się zażarta bitwa między dwiema strefami góry; bo krzaki próbują wedrzeć się w głąb płowych traw, a trawy spychają je w dół; i wielki ruch jest na tej granicy, choć jest cisza i nieruchomość, wielki zgiełk i poruszenie jest w tej nieruchomości, bo bije się zieleń z płowością na śmierć i życie; ile martwych

ciał, ile wojsk wciąż napierających, ile oręza porzuconego i nie spełnionych nadziei, ile wiary wciąż żywej.

Dlatego ten krzak, w który starzy teraz się wpatrują, nie stoi w miejscu, a próbuje wdrzeć się w suche trawy, prze do przodu, pod górę, choć jest nieruchomy.

To jest ostatni i pierwszy zarazem krzak w strefie zielonej, ostatni, gdy się wchodzi na górę, a pierwszy, gdy się z góry schodzi; to jest ten krzak, który najdalej poszedł w trawy.

— Przytulimy się do tego krzaka i będziemy nasłuchiwać rżenia koni i bicia dzwonów; siedzimy tam sobie i jeszcze nie rżą konie i nie biją dzwony; i to dobrze, bo odpoczywamy przed marszem przez trawy.

— Nie pobyliśmy długo w głogach, nie śpiewaliśmy jeszcze...

— Śpiewanie w rozdolinie między kamieniami, a rzeczy ważne, gdy wejdziemy na górę.

— Siedzimy sobie przy tym krzaku i nagle zdaje się nam, że z daleka dolatuje cichy grzmot; ale to nie grzmot, to galop koni i zaraz rżenie, i zaraz bicie dzwonów, jedzie przewielebny...

— A my w drogę, chyłkiem, przez trawy...

— Niech galopują, niech rżą konie, niech kościelny i jego chłopak biją w dzwony i niech się biskup gotuje do błogosławieństwa, my suniemy bezpiecznie trawami.

Teren trawiasty był lekko wybruszony, gładki i napięty niby płowa bycza skóra, rozciągnięta na wiel- gachnej beczce; jego dolną poszczerbioną granicę stanowiły krzaki, a górną stojące szczelnie przy sobie głazy, tworzące jakby murowany płot z jedną dużą bramą w środku.

Oni chcą dojść do tej bramy, zanim ustaną dzwony; pragną, aby dzwonienie jeszcze trwało, gdy się prze- smykną tą bramą niby ogromnymi, otwartymi na oścież drzwiami do tej zapadliny, do tej wielkiej, z wglę

bioną jak odwrócone niebo podłogą izby, w której mieszkają kamienie.

— Mamy dużo czasu i zdążymy przejść trawy, nim się skończy powitanie i błogosławieństwo; no bo będzie przecież dojeżdżanie, wysiadanie, prowadzenie przewielebnego pod obie pachy, mowy, kazanie połączone z błogosławieństwem i wiele różnych rzeczy, które będą trzymać ludzi przy kościele.

— Czasu jest sporo, ale nie dajmy się rozczulić trawami i niech nas nie weźmie ochota do pobijania kamyków czubami butów, do próbowania kozików na patykach, które sobie utniemy w krzakach, latania za motylami i łapania polnych koników za tylne nogi, i pokrzykiwania — chodź, popatrz, chodź, popatrz... i do podśpiewywania.)

— Wiem, że duże polany mają to do siebie, że rozczulają i mogą wyczyniać z człowiekiem różne dziwne rzeczy, na dużych polanach zapominasz o wszystkim i powstaje w tobie ochota, o której ci się nie śniło, i nie masz w sobie nic tylko tę ochotę, nie wiesz, żeś stary, żeś patrzył na wiele rzeczy, że widziałeś krew, śmierć i pomory, wesela, pogrzeby i pożary, wiesz tylko, że masz ochotę do zagrania na liściu albo do wystrugania fujarki jak głupi chłopak; polany mają to do siebie, że ogłupiają człowieka.

— Musimy się dzielnie trzymać na terenie trawiastym i tak przechodzić po nim, jakby na nas patrzyła hurma ludzi, tak jakbyśmy dobrze wiedzieli, że jesteśmy starzy i co nam wolno, bo trawy są na widoku; na polanie musisz być mądrym i musisz wiedzieć, ile masz lat, bo polana jest otwarta; grać na liściu, kręcić się w kółko, podśpiewywać, odgrywać to, co było i przeszło, robić to, na co wiek nie pozwala, zgłupieć wolno dopiero w tej niewielkiej, odgradzonej od świata rozdolinie, w której leżą kamienie, ale w której jest także

dużo dobrych, ubitych miejsc nadających się do zabawy i psoty.

— Tam dobrze, bo można i odpocząć na kamieniu, i popić herbaty z flaszki, a później podskoczyć na miejscu ubitym i równym...

Stanę na kamieniu i zaśpiewam |— ja za wodą, ty za wodą, jakże jo ci gęby podom...

— Możesz.

— Albo zaśpiewam — dokąd idzies, kobito, do stodoły po żyto, nie zapiroj za sobą, jo tam idę za tobą...

— Możesz.

— Albo krzyknę — schowam się, a ty mnie szukaj...

— Możesz.

Znów przestali mówić, milczeli, ale uśmiechali się, bo z pewnością przechodziło przez nich to przedstawienie, które urządzają, gdy miną kamienne wrota i zamieszkają na jakiś czas w zagłębieniu między niedużymi głazami, które są stręcane ze skały burzami; burzami, a nieraz to nawet lekkim wiatrem, a nieraz to tylko takim malutkim wiaterkiem, który nawet motylowi nie zachwieje skrzydeł; a nieraz są stręcane niczym, samą ciszą, w której wszystko nieruchomieje i stoi, w której nawet mucha nie zabręczy; są stręcane i ciszą, tak jakby cisza była wihrem.

— Chciałbym, aby już jutro przyjechał biskup.

— Jutro nie przyjedzie.

— A kiedy...

— Może pojutrze.

— Dopiero pojutrze zjedzie przewielebny.

— A mnie się wydaje, że już stoję na kamieniu w rozdolinie i przyśpiewuję i że ty stoisz na drugim kamieniu i także przyśpiewujesz.

— A my co dopiero wysmyknęliśmy się z krzaków i suniemy chyłkiem trawami, a nasze trawy to już ziemia stroma, głogi jeszcze nie, głogi ledwie, ledwie podniesione, a trawy już dość dobrze.

- Mogą zabołeć nogi i krzyż i może być ciężko w piersiach.
- O, jak bolą nogi, o, jak bardzo boli krzyż i nie można tchu złapać; i cienko, piskliwie
- wydaje się, I że nie mam nóg, tak bolą, a krzyż zdrętwiał; i już tak [cieniutko, jak żali się ptak trafiony z procy — nogi, nogi...
- Boję się, żeby tego nie było.
- To może być, ale dopiero wtedy, gdy wejdziemy na górę i zejdziemy z niej z krzykiem
- byliśmy na samym szczycie — i gdy będziemy trzymać w rękach te świecące kamyki uzbierane na wierzchołku, i gdy całą garść tych kamyków rzucimy w dłoń temu, który powie — nie byliście na górze.
- Pewnie, że dopiero wtedy.
- Po rzuceniu kamyków temu niedowiarkowi niech się dzieje co chce; wtedy może być
- boli, o jak boli, wołę umrzeć niż tak cierpieć — to może być dopiero po daniu dowodu tym, którzy nie uwierzą w nasze wejście na szczyt.
- Wtedy niech będzie nawet requiescat in pace, ale przed requiescatem musi być wejście na górę i zejście z niej, i nasze słowa — przypatrzcie się tym kamykom, które mamy w rękach...
- Trzymaj się mnie, to cię pociągnę, bo trawy, to nie głogi, trawy już strome...
- To ja cię pociągnę, a nie ty mnie, u ciebie gnaty gorsze.
- Nieprawda, u ciebie gorsze, bo ty bardziej narzekasz na krzyż.
- Ty stary niedojdo.
- Tyś niedojda, nie ja.
- Pogódźmy się, niech raz ten tego, a raz ten tego podciąga.
- Pogódźmy się...
- Trawami iść nielekkko, nie było to jak w głogach,

cień tam i nie stromo, a w trawach ciężko; ale można by trochę odpocząć, bo dzwony jeszcze biją i dolatuje rzenie koni, przewielebny dopiero co przyjechał; może już wyszedł z limuzyny, która została w cieniu akacji, ale to się dopiero zaczyna i czasu jest sporo, i można odpocząć...

Poruszają szybko nogami i przycierają mocno ziemię, którą mają tuż przy ławce pod stopami, pochylają głowy i zaciskają usta, a ramiona wprawiają w lekki ruch, co znaczy, że się przemogli i przełamali zmęczenie, i wspinają się terenem trawiastym, zdążając nieustępliwie do tych otwartych na oścież, kamiennych wrót, za którymi jest ta „izba”, gdzie można odpocząć i zaśpiewać.

Ale po jakimś czasie znów to — nie mogę złapać tchu, tak jakby na górze nie było powietrza, choć przecież na niej jest go więcej niż gdzie indziej, pełno go tu i chodzi sobie po trawach jak chce.

Ale jednak znów — nie mogę złapać tchu i w gardle zaschło, nie ma czym plunąć.

— Plunałem, ale śliny malutko i taka jakaś różowa, a powinna być biała jak śnieg albo jak cukier.

— Nie myślałem, że trawy będą tak ciężkie.

— Krzyż, mój krzyż, żeby nie ten ból w krzyżu, tobym doszedł do rozpadliny.

Przytrzymaj się mnie...

— Jak się mam ciebie przytrzymać, gdy ty ledwie leziesz...

— Przytrzymaj się, połóż rękę na moim ramieniu.

— Przecież ledwie idziesz, nogi masz rozkraczone i grzbiet ci się wygiął, i ręce wiszą, wyglądasz jak zdychający pająk, zachciało ci się góry, stary gnacie, to ją masz...

— Ale tchu mi nie brakuje.

— Brakuje ci, boś gębę otworzył i ziejiesz.

Chłodny wiatr, który zapamiętali z dawnych czasów

i który sobie teraz stworzyli, aby się wzmocnić, owiał im twarze i zaraz opasał sobą ich szyje, a potem przez szerokie szpary między kołnierzami koszul a skórą wsmyknął się do ich lepkich, cuchnących ciał, wykapał ich sobą i podsuszył.

Zaraz poznali, że to jest ten wiatr, który lęgnie się między głazami w zapadłości góry i to im przypomniało, że kamienne wrota są niedaleko.

Więc przyszło to — pogódźmy się, pogódźmy...

I znów zaczęli męczyć stopami tę ziemię przed domem, na której stała ich ławka, co mówiło, że poradzili sobie ze zmęczeniem i nie stoją w miejscu, nie cofają się do strefy krzaków, lecz posuwają się coraz wyżej.

— Lepiej mi

— I mnie lepiej.

— Dokąd idziesz, kobito, do stodoły po żyto...

— Ze śpiewem trzeba się wstrzymać, zabawa dopiero między kamieniami w rozdolinie.

Plan był taki, że przy biciu dzwonów i rzeniu koni, przy tym przeciągłym, niewieścim wołaniu klaczy i ostrym pokwikiwaniu ogierów i może jeszcze przy śpiewie ludzi witających biskupa muszą przejść polanę od początku do końca i wsunąć się w kamienne wrota, choćby na zdrętwiałych nogach, choćby na czworakach, choćby miotając przekleństwa i prychnając żółtą, starą śliną na te okrutne trawy i szydząc nawzajem ze swoich starych kości...

Poruszyli się niespokojnie na ławce, zebrali się w sobie, przez twarze ich przeleciał młody blask uporczywości, dłonie zacisnęły się w pięści, a stopy obute w ogromne buciska jeszcze mocniej tarły ubitą ziemię przy ścianie domu.

— Musimy iść ostro, bo bije tylko jeden dzwon, słyszysz.

— Pewnie, że słyszę...

— Kościelny puścił już swoją linę i rzekł do chłopaka, który mu pomaga — pociągnij jeszcze trochę, ja już idę...

— Musimy się śpieszyć, bo przewielebny wnet pójdzie na plebanie na te indyki i kury, a ludzie się rozejdą i zaczną się rozglądać naokoło.

— I mogą nas wypatrzeć, zanim dojdziemy do głazów.

— Biskup maszeruje już do stołów, banderia się rozleciała i konie rżą to tu, to tam.

— Chłopaki popisują się teraz jazdą na własną rękę przed matkami, ojcami, przed dziećmi przy szkole, przed dziewczynami...

— Jeszcze któremu wpadnie do głowy, żeby przygłupować do głogów, przedrzeć się przez krzaki i wjechać w trawy...

— Taki zawróci nas.

Spojrzeni teraz na siebie z wielką czułością, bo zrozumieli, że są sami i mają przeciwko sobie cały świat, który ich posadził na ławce przy ścianie domu i zapowiedział — nie śpiewać, nie podrygiwać, nie wystrugiwać fujarek, nie śmiać się na cały głos, nie strzelać z procy i niech wam przypadkiem nie wpadnie do głowy, żeby się wysmyknąć z sadów i pomaszerować na górę.

Siedzieli naprzeciw siebie. twarzą w twarz, uśmiechali się czule i milczeli, ale to ich milczenie mówiło — kochajmy się przeciw światu, który nam okrutnie podszeptuje — trzeba poważnie, statecznie, godnie, w zamyśleniu, ze smutkiem, bez wielu słów, jednakowo, wciąż jednakowo... aż do grobowej deski, aż do słów — niech odpoczywa w spokoju wiecznym amen — wypowiedzianych z przyzwyczajenia przez znudzonego księdza, aż do tego golutkiego requiescat in pace, po którym nastąpi tylko poklepywanie łopatą świeżej mogiły i nic więcej; i ludzie się rozejdą do domów, do

dzieci, krów, świń i koni, do żyta, pszenicy i kapusty i nie rzekną — pochowaliśmy starego, który to, owo, tamto — a tylko powiedzą od niechcienia —i ziemniaki w tym roku nie obrodziły; albo — mrozy zwarzyły groch; albo — krowa się ociełiła, jest ładny byczek...

— Z każdą sekundą słabnie bicie tego jednego dzwonu i wnet pomocnik kościelnego puści swoją linę i ludzie przestaną śpiewać, gdyż minęła już główna uroczystość powitania biskupa i przewielebny krokiem poważnym, nie myśląc wcale o pieczonych kurach i rosole, a mając na uwadze sprawy kościelne, zdąża do biesiadnego stołu.

Ale starzy są już w górnej partii traw i widzą to wiecznie na oścież otwarte szerokie przejście między dwoma wysokimi głazami, prowadzące do strefy wolno leżących kamieni.

Zdążą tam wejść nim dzwon umilknie i ucichnie śpiew wiernych i nim przebrzmi ostatnie rzenie konia najdłużej obwożącego po drogach wsi jakiegoś młodego samochwalcę, który tak polubił wysoką czapę z piórem i starodawny kolorowy strój, że nie może się z nim rozstać.

— No to już jesteśmy zasłonięci przed światem.

— No to już nie widzą nas ludzie.

— Najpierw odpoczywamy, siedzimy na wyschniętych kamieniach, nogi wiszą niby grube, stare i zetlałe j powrozy, ręce tak samo, głowa wisi, jakby szyja nie j miała życia i była także bez czucia jak grubałny po- j wróz...

Nie wstydź się, stary gnacie, żeś stary, nie udawaj, bądź sobie zgrzybiałym starcem, bo tu nie ma ludzi; chwytaj łąpczywie powietrze, graj nim w płucach, rozpinaj koszulę, ziej, jęcz, krztuś się, bo tu nie ma ludzi, są tylko kamienie i małe ptaszki, które lubią siadywać na skałach, jaszczurki i robaki; tu nikt ci nie przepowiada ostatniej twojej godziny...

Ale oto nogi zaczynają się poruszać i pobijać piętami

0 kamień, grzbiet się prostuje, głowa podnosi i oczy patrzą w niebo, i usta wygwizdują coś dawnego; a ręce wyjmują z kieszeni scyzoryk, ten prezent otrzymany od wnuka, scyzoryk, który teraz jest twoim kozikiem,

1 biorą widełkowatą gałązkę, majstrują procę, żeby postrzelać do celu...

Nie wstydz się, stary gnacie, że się przemieniasz w chłopaka, bo tu nie ma ludzi i nikt nie powie, żeś zgłupiał; nie wstydz się, że zrobiłeś procę i wystrugałeś fujarkę tym nowoczesnym „kozikiem”, i stanąłeś z nią na płaskim kamieniu, że grasz na niej i śpiewasz, i podrygujesz, że trzeszczysz niby suche patyki i okrutnie sapiesz przy tym podrygiwaniu; nie wstydz się tego, bo tu przecież nie skrzykną się kamienie, ptaszki, jaszczurki i robaki, żeby się z ciebie pośmiać, a potem cię upomnieć; tu przecież nie może być wołania — hej, ptaszki, jaszczurki i wszelakie robactwo, chodźcie, bo jest dobra heca, gdyż jakiś stary zgłupiał i zdaje się mu, że zaczyna życie; i tu nikt do ciebie nie podejdzie, nie klepnie cię po plecach i nie powie — dość już tego, dość, przypomnij sobie, żeś stary, usiądź spokojnie na ławce i posyp kurom ziarna.

— W rozdolinie nie możemy bawić się długo.

— Jeszcze trochę, jeszcze trochę, jeszcze sobie pogwizd am...

— Przed nami skała.

— Zaśpiewam tylko króciutko i już...

— Tylko raz strzelę z procy.

— Mamy przed sobą spadzistą skałę.

— Jeszcze sobie trochę pojeżdżę na patyku.

— Z tą skałą zejdzie nam, bo ona stroma.

— Oskóruję jeszcze patyk, żeby był biały, i już.

— Skała cięższa niż trawy, a trawy były ciężkie...

Gdy się z daleka rzuci okiem na skałę, wydaje się, że jest gładka i równa niby ściana w izbie.

Ale gdy się w nią mocno wlepi oczy, to nawet z daleka można ujrzeć, że jest przepołowiona z góry na dół ciemniejszą nieco od koloru skalnej ściany krechą.

Gdy się do niej podchodzi, ta krecha się uwyrażnia i widzi się, że nie jest to tylko inna barwa, a pęknięcie powstałe z płytkiego rozłupania skały.

A gdy się do niej podejdzie blisko, można się przekonać, że to rozłupanie ma formę jakby połamanej, pozaginanej na różne sposoby rynny; a te połamania tak się układają, że tworzą jakby schody.

Ale nie są to schody łatwe, bo nie przez człowieka stworzone, a przez robotę ziemi, kamienia i powietrza, stopnie to byle jak, w różnych odstępach rzucone kamienie, bez miary i wagi i bez żadnego ludzkiego wyliczania.

Dlatego wdrapywanie się po tej rynnie — a tylko tą drogą można wyjść na szczyt — to nie stawianie jednej stopy na niższym, a drugiej na wyższym stopniu, ale to posuwanie się na czworakach, to zamienianie raz rąk na nogi, a raz nóg na ręce, przywieranie do skały brzuchem i pierściami i pomaganie sobie nawet brodą.

Ale zawsze jest nadzieja wyjścia, bo ta rynna jest krótka; gdyby była długa, to żegnajmy się z nadzieją, ale jest krótka i jest miejsce dla nadziei.

— W rynnie człowieka nie widać.

— To dobrze, bo nikt nas nie dojrzy.

— Przewielebny z pewnością siedzi za stołem przy tych kurach i indykach, które kobiety przyniosły na plebanię, ludzie się rozeszli i rozprawiają o biskupie; mówią także o tym jedzeniu, które mu przyrządziły plebańskie kucharki.

— A może ten przewielebny zawoła — dajcie mi kaszy i kwaśnego mleka.

— To było tylko raz i już nie może się zdarzyć.

Taki biskup trafia się raz na sto, na tysiąc lat

- A co byłoby, gdyby drugi przewielebny pogardził rosółem i pieczonymi indykami i poprosił o kaszę z kwaśnym mlekiem...
 - Nie wierzę w takiego drugiego biskupa.
 - Ty niedowiarku...
 - Przed nami skała, ty idziesz pierwszy, bo jesteś słabszy.
 - Nie ja, to ty idziesz pierwszy, bo masz mniej sił.
 - Widziałem, że nie mogłeś utrzymać kury i wyrwała ci się.
 - A ty nawet patyków nie możesz udziabnąć.
 - Widziałem, jak się schylałeś po kromkę chleba, która ci wypadła z ręki, schylałeś się i schylałeś i nie mogłeś się schylić; aż chłopakowi, który przechodził, musiałeś powiedzieć — podnieś mi ten chleb.
 - Nie powinniśmy się kłócić przy skale.
 - Pogódźmy się, w połowie rynny, na tym dużym płaskim kamieniu zrobimy zmianę.
 - Dobrze to obmyśliłeś, pogódźmy się, choć mi się widzi, że ważniejszy jest ten, który ubezpiecza swojego kompana na górnej części rynny.
 - Nie kłóćmy się o drobne rzeczy przy skale, przecież obaj staniemy na szczycie.
 - Ale ważniejszy na górze jest ten, który w drodze ubezpieczał kompana.
 - Nie sprzecajmy się.
 - Pogódźmy się i w drogę..-
- Dopiero na skale się wie, że teren trawiasty jest lekki dla nóg, choć wydawał się ciężki, że najcięższe dla nóg trawy są lekkie, gdy się jest na skale.
- Trawy, trawy...
 - Nie przyrównujmy traw do skały.
 - Trawy były lekkie dla nóg, choć wydawały się ciężkie, gdy się przez nie szło.
 - Nie możemy przyrównywać traw do skały.
 - Tam bolały nogi i grzbiet, tam był człowiek z bó-

lem w nogach i grzbiecie, a tu nie ma człowieka, bo się przemienił w ból.

— To znaczy, że nie dwóch starych, a dwa bóle wspinają się po skale, dwa bóle doszły do płaskiego kamienia, posiedziały na nim trochę i teraz te dwa bóle idą wyżej; i nie dwóch starych, a dwa bóle wejdą wnet na szczyt.

— Dobrze to powiedziałaś i gdyby nie to, że jestem na skale, tobym się zaśmiał.

— Zaśmiejemy się na szczycie.

— Zdaje mi się, że nie wytrzymam i zaśmieję się.

— Teraz nie wolno.

Nie masz pojęcia, jak bardzo mi się chce śmiać z tych dwóch bólów.

Nie teraz, nie teraz...

— A jednak wciąż Zbiera mi się na śmiech.

— Gdy się zaśmiejesz, możesz runąć w dół; a tak dobrze się nam wszystko układa — wizyta przewielebnego i banderia, bicie dzwonów i ludzie zgromadzeni przy kościele; a jednak zaczyna tobą potrząsać śmiech, tak jakbyś nie dbał o wyjście na górę; pomyśl, co będzie, gdy się wdrapiemy na szczyt, a potem zejdziemy z niego do ludzi, niosąc pełne kieszenie kolorowych kamyków i lepkich szyszek, które rosną na tych wiecznie zielonych sosnach; a jednak zaczynasz się śmiać, tak jakbyś chciał umrzeć, nim staniesz na górze; nie umieraj, bo przecież trzeba iść po te świecące kamyki i po te mocno pachnące małe kwiatki, i po lepkie szyszki; nie bądź głupi i nie umieraj, bo wszystko dobrze się układa i powinno się pójść po te rzeczy; posłuchaj mnie i żyj; nie chcesz, teraz nie chcesz, gdy wszystko się tak wyśmienicie ułożyło i możesz stanąć na górze; nie chcesz to nie, umieraj, stary, głupi capie. Cieniutki, jakby ptasi śmiech, takie — chi, chi — podobne do końcowych tonów fujarki, wstrząsnęło starym i on zsunął się z ławki i upadł na ubitą ziemię

przy ścianie domu; tak dziwnie upadł, że jedno ramię miał wyciągnięte na całą długość, a dłoń była lekko przykurczona, podobna do bezkształtnego, pustego naczynia...

Jakieś kurczę, które się akurat tu nawinęło, przybiegło do tej dłoni, zajrzało, dotknęło delikatnie dziobem, sprawdzało, czy przypadkiem nie ma w niej ziarna...

KONIEC NOWELI

* * * * *

NIE BĘDZIE CZASU NA STRACH

Wysoki, noszący się prosto, twarz śniada, ozdobiona bujnym, szpakowatym wąsem, oczy spokojne, ale przenikliwe, ani małomówny, ani gadatliwy, nie za cichy, nie za głośny, taki w sam raz, stateczny.

Oto ten, o którym wszyscy na dużej równinie rozciągniętej między dwiema rzekami mówili — wie, jak żyć; albo — umie się urządzić; albo — zawsze utrafi...

Brało się to może stąd, że w latach, w których gwałtownie podskoczyły ceny na groch, on miał do sprzedania wszystkie gatunki tej rośliny — płaską fasolę, groch okrągły biały, okrągły nakrapiany i nakrapiany płaski, a także groszek słodki, za którym uganiają miłośnicy gołębi...

Inni w tym czasie nagromadzili duże zapasy czosnku i cebuli i musieli pokornie upraszać, aby ktoś raczył kupić te produkty.

I na odwrót, gdy czosnek i cebula, uznane przez jakichś znawców za wyśmienite leki na wszystkie dolegliwości, osiągnęły niespodziewanie wysokie ceny i zjechali po nie fiatami zamożni ludzie z miasta, jemu czosnku i cebuli nie brakowało; inni wtedy skamleli przy tych samochodach — grochu, grochu, może grochu... ale grochem nikt się nie interesował, bo ręce przyjezdnych wyciągały się tylko po jego czosnek i cebulę.

Nie wzięły się więc z niczego, a miały swoje przy

czyny te słowa — wie, jak żyć, umie się urządzić, zawsze utrafi...

Przyczyn tych przybywało, gdyż postawił na hodowlę krów mlecznych w latach, w których należało się tego chwycić, a także w odpowiednim czasie przerzucił się na mięsne bukaty i nie chybił też, gdy powiększył i zautomatyzował chlewnię i rozwinął hodowlę warchlaków.

Nawet w tym krótkim kilkutygodniowym okresie, w którym kupcy zaopatrujący zagraniczne rynki rozbijali się za młodymi końmi, płacąc za nie wysokie ceny, on miał tęgiego, rozłożystego roczniaka, ciemnego kasztana o niedużym, zgrabnym i wesołym łbie z gwiazdą na czole; tak jakby wiedział, kiedy Belgowie i Holendrzy zapragną polskich koni.

Ip Utrafił — mówili ludzie, sycząc z zazdrości, gdy wcześniej rano przyprzegał do wozu po lewej stronie dyszla łysą kasztankę, matkę źrebaka, i gdy jej rozbuchanego, niesfornego synka przywiązywał luzem z prawej strony.

— Utrafił, znów utrafił powtarzali, gdy ten roztańczony, młody koń uspokoił się nieco, a potem przystawił swoje chrapy do chrap matki i zaczął z nią gruchać pieszczotliwie, a jego właściciel wskakiwał na wóz.

Powtarzali to — utrafił — gdy wóz ruszył i oddalał się w kierunku głównego traktu prowadzącego do punktu skupu zwierząt żywych, znajdującego się na obrzeżu najbliższego miasta; a na pewno i wtedy, gdy razem z tym swoim wozem na gumowych kołach znikł im z oczu za gęstą zasłoną młodych topól.

Jazda nie była łatwa, jak to zwykle bywa, gdy się ma u wozu luzem uwiązanego źrebaka; no bo za każdym razem, gdy kasztanka ruszała normalnym, wydłużonym kłusem, jakim zazwyczaj biegną konie ciągnąc wozy do miasta, ten jej niecierpliwy synek nie był

z tego kłusa zadowolony, bo on chciał biec galopem; chciał, a nie mógł, gdyż był przypięty do końca dyszla cienkim, mocnym łańcuchem.

I Tkwiąc więc w tej nieznośnej pułapce między pragnieniem a niemożnością, dawał upust swej energii w wysokich podskokach, które od czasu do czasu kończyły się przełożeniem lewej przedniej nogi przez dyszel.

Musiało się wtedy schodzić z wozu, uspokajać źrebaka głaskaniem po podgardlu i przekładać jego nogę z powrotem na prawą stronę dyszla; schodzić najpierw ze słowami — no widzisz, no widzisz, hultaju, co się stało; a potem ze słowami — jak nie przestajesz, to przykróć łańcuch i ciaśniej owinę kark; a później, po ciaśniejszym opasaniu karku, tylko z tym — widać już wieże miasta — wypowiedanym do młodego konia cierpliwie, ale triumfalnie i złośliwie zarazem, z przewidywaniem zapewne swobodnego, wydłużonym kłusem odbywanego powrotu do domu ze sporą sumą pieniędzy w kieszeni.

To przełożenie nogi przez dyszel zdarzyło się kilka razy, gdyż źrebak wciąż nie mógł uwierzyć w ten łańcuch, który mu dyndał i dzwonił pod łbem; ani w to, że musi biec po prawym pasie traktu statecznym, wydłużonym kłusem; ani w to, że zabrano mu spod nóg płaskie pola i łąki rozciągające się po obu stronach drogi.

Zaprzestał wreszcie tych prób przemienienia kłusa w galop, bo z pewnością od tego ciągłego bicia kopytami w twardej asfalt poczuł w pęcinach, a może na całej długości nóg głuche pobolewanie, nie tyle po- bolewanie, ile tę jakby ociężałość, która nie omija i młodych koni, gdy długo biegną twardą drogą.

Zdziałał też swoje ten odwieczny przeciwnik swobodnego biegu, stosowany od chwili, w której wynaleziono żelazo i nauczono się wyrabiać 1 żelazne ogniwa,

i łączyć je w długie szeregi; a więc zrobił swoje łańcuch, który coraz dotkliwiej ugniatał skórę na łuku szujnym.

Przystał więc z musu na ten wydłużony kłus, ustawił się równolegle do dyszla i zwrócił swój zgrabny łebek w kierunku wież miasta.

Punkt skupu dawał już o sobie znać głosami zwierząt, podobnymi do połamanych tonów zepsutych piszczałek i trąb, które przy wczesnorannej mgle rozchodziły się daleko po równinie.

Właściciel żrebaka był świetnie obeznany ze zwyczajami panującymi w punkcie skupu zwierząt, miał też swoją metodę, która go nie zawodziła, i lepiej od innych wiedział, jaka powinna być kolejność czynności i co po czym ma nastąpić; że jest najlepiej, gdy przed wszystkimi czynnościami i zabiegami i przed wypowiedzeniem choćby jednego słowa, nawet przed tym miłym — dzień dobry — mrugnie się porozumiewawczo na tęgiego, ruchliwego człowieka o przekrwionych oczach, który obsługuje wagę, i gdy się mu na boku wsunie coś do kieszeni i dopiero po tym wsunięciu powie --- przyprowadziłem rocznego konia; i że jest najlepiej, gdy się to samo powtórzy z tym niskim, krępyim, którego ogrom zajęć w punkcie skupu zmusza do bardzo szybkiego mówienia i zjadania słów, a który ustala klasę sprzedawanych sztuk i przybija na zadach zwierząt odpowiednie pieczęcie.

Dobrze jest — i wielu tak postępuje — powiedzieć wagowemu i oceniaczowi — będzie coś, gdy nieźle sprzedam — ale jednak najlepiej jest, gdy się to coś wsunie przed sprzedażą.

Po słowach — przyprowadziłem rocznego żrebaka — wrócił szybko do wbitego w ziemię betonowego słupa i przywiązał mocno do niego lejcami kasztankę.

Potem odpiął roczniaka i poprowadził do wagi.

Odrowadzenie odbyło się bez większych trudności

i zwyczajnie też, na dotychczasową nutę, zabrzmiało pierwsze rzenie rozłączonych koni.

Zwyczajnie, to znaczy z nadzieją powrotu i dotknięcia się bokami, przesmyknięcia swawolnego synka pod łbem matki, bezkarnego pociągania zębami przez tego rozpanoszonego pieszczocha grzywy kasztanki, przystawienia chrap do chrap i wzajemnego pomruczenia, i z nadzieją odbiegnięcia na krótko po ten miły strach, jaki daje oddalenie i możliwość bezpiecznej ucieczki do miejsca, w którym nic nie zagraża.

Drugie rzenie żrebaka było dłuższe i przebiegło jakby na wyższych tonach, miało w sobie coś z grania na cienkiej piszczałce i brzmiało tak, jakby się nieco przykurczyła nadzieja powrotu do tych wszystkich psot i nieznośnych natręctw, znoszonych cierpliwie przez kasztankę, i do tych lubych pomysłów — oddalę się, bo bardzo pragnę przestraszyć się oddalenia, niech się przestraszę, abym mógł wracać co sił w nogach...

To rzenie zabrzmiało, gdy żrebak wszedł na ruchomą podłogę wagi i ujrzał małe, kwadratowe okienko kantorka, a w nim wybałuszone oczy wagowego.

Kasztanka zaraz odpowiedziała nieco grubszym, spokojniejszym rzeniem, co w końskim języku mogło znaczyć — jestem tu, jestem i czekam...

Wtedy ten człowiek, o którym mówiono: umie się urządzić, powiedział do żrebaka — no, no, nie trzeba aż tak — i położył mu dłoń na tych krótkich, przylegających do skóry kędziorkach czoła.

Potem spojrzął na inne zwierzęta i na stojące w szeregu krowy, konie i owce; i wydało mu się, że to całe oczekujące na wagę milczące towarzystwo przygląda mu się uważnie i omal nie krzyknął — dlaczego się gapiacie, bydłeta...

To trwało sekundy, bo musiał sprowadzić z wagi żrebaka i podejść z nim do człowieka z pieczęcią, a potem oddać go dwom niższym rangą pracownikom punk- #

tu skupu zwierząt, którzy założyli mu na kark swój łańcuch.

Gdy odbywała się ta wymiana łańcuchów, przyszło trzecie rzenie.

Wybiło się ostro do góry z gęstwiny ludzi i zwierząt i opadło niby ogromna płachta na duże koło równiny.

To właściwie nie było jedno, lecz dwa, może trzy długie rzenia rozdzielone krótkimi przerwami zadysz- lri, które zarówno dźwiękiem, jak i na pewno tym, co znaczyły, bardzo odbiegały od zwyczajnego rzenia pierwszego, naładowanego nadzieją powrotu po krótkim rozstaniu, i od rzenia drugiego, które było już smutnawym, ale nie pozbawionym nadziei zaśpiewem.

Trzecie rzenie nie tylko że było znacznie dłuższe od dwóch poprzednich, ale rozdzielone króciutkimi przerwami na odsapnięcie, robiło wrażenie już całej zwrotki pieśni.

Gdybyśmy chcieli teraz wymierzać w tych trzech rzeniach nadzieję i żal, to w pierwszym żalu było malutko, w drugim nadzieja dawała sobie jeszcze radę z żalem, a w trzecim nastąpiło przestawienie i na to miejsce, na którym w pierwszym rzeniu była nadzieja, w trzecim poszedł żal i on właściwie układał tony rzenia trzeciego.

Trzeba wziąć pod uwagę i to, że przy pierwszym i drugim rzeniu syn i matka widzieli się, gdyż ta niedługa trasa prowadząca od wozu do wagi nie była zasłonięta, i mógł ją co najwyżej przerywać na krótko jakiś człowiek lub prowadzone przez niego zwierzę; a więc w tym wypadku syn i matka mogli nie tylko do siebie zawołać, ale i zobaczyć się.

A przy rzeniu trzecim między żrebakiem a kasztanką zaroilo się od ludzi i zwierząt i nie było sposobu, aby się choćby na moment wzajemnie dojrzeć-

No to w formowaniu tonów rzenia trzeciego żalowi walnie pomagała niemożność popatrzenia na siebie.

Gdy tylko przebrzmiało to rzenie-śpiew, ten rosły człowiek, o którym mówiono — wie, jak żyć — powiedział szybko do tych dwóch niższych rangą pracowników skupu — bierzcie go i idźcie.

A gdy oni jeszcze stali i opowiadali sobie jakieś wesołe rzeczy, krzyknął — bierzcie go i niech was nie widzę.

Na to jeden z nich — co się dzieje, oo za gwałt; i zaraz zaszli żrebakowi z dwóch stron i poprowadzili go do dużego samochodu; a mając go wciąż między sobą i podcinając z tyłu cienkimi kijami, wprowadzili po ukośnym pomoście na ogrodzoną ułożonymi wzdłuż żelaznymi kątownikami podłogę nadwozia, gdzie stały już stare grube konie i kilka młodych, o szerokich jak stoły zadach.

Znaleźli mu odpowiednie miejsce, a potem dwa, a może trzy razy przerzucili koniec łańcucha przez kątownik tego jakby płotu i uwiązali, wkładając jedno z ogniw w sprężynową zatyczkę.

Potem ci dwaj przesmykiwali się zgrabnie to tu, to tam, między tymi zwierzętami, sprawdzali łańcuchy, przeliczali sztuki i zastanawiali się, ile zwierząt mogą jeszcze do tej paki wprowadzić.

Człowiek, który niedawno sprzedał żrebaka, przyglądał się temu wszystkiemu z pewnego oddalenia i dziwił się, że te konie są takie nieruchome i cierpliwe, że nie kopną któregoś z pracowników, którzy przecież ocierają się im o nogi, szturchają łokciami boki i pachwiny, że nie capną zębami tego, który przechodzi w schyleniu pod ich wiszącymi łbami; że tym zwierzętom zwisają obojętnie dolne wargi niby miski pełne śliny, gdy wygięte grzbiety pilnowaczy mocno ocierają się o ich chrapy.

Na pastwisku lub na polu byłoby inaczej, jeszcze by się nie zbliżył obcy, a już niejeden z tych koni stuliłby uszy i przyszykował tylne nogi do uderzenia;

a gdyby podszedł do konia od strony łba, nawet z tym miłym — koniku, koniku, no co, koniku — przekonałby się, że któryś z tych perszeronów zrobiłby gwałtowny w tył zwrot i wtedy cofającemu się w popłochu obcemu mogłyby zamigotać w powietrzu niby lekkie piłki ogromne, czarne bryły końskich kopyt.

Gdy ci od łańcuchów i pilnowania zbiegli w dół po pomoście i znów znaleźli się na brudnej, zwilgotniałej ziemi, podszedł do nich i spytał się — dokąd pojedą konie tym samochodem...

Na to jeden z tych dwóch — wrzeszczał, aby szybko odprowadzać żrebaka, a przecież zdążyliśmy go załadować i przywiązać.

On znów do nich łagodnie — nie wiecie, dokąd pojedą konie?

— Wiemy, dlaczego mielibyśmy nie wiedzieć...

— Dokąd...

— Do Belgii albo Holandii. Sra- Samochodem...

— Samochodem do kolei, a potem pociągiem.

Kiedy będą na miejscu?...

— Za dwa dni.

Po tej rozmowie zaczął iść w kierunku samochodu, ale zawrócił i znów zaczął iść, i znów zawrócił i wtedy znów natknął się na te same zwierzęta, które stały przy wadze, i znów zauważył, że te konie, krowy i owce mocno się w niego wpatrują; i to było nieznośne, tak nieznośne, że się oburzył i powiedział głośno — co się tak gapicie, bydłeta; a za moment — czego chcecie...

Przedfilował obok tych zwierząt i wcisnął się w tłum, dotknął prawą dłońią lewej strony drelichowej marynarki, była twardsza niż zwykle i lekko wypuczona, co znaczyło, że jest w niej duży skórzany portfel, a w nim pieniądze otrzymane za konia.

Dobrze sprzedałem — pomyślał — iw tym momencie nadleciało czwarte rzenie żrebaka; rzenie, które

trudno opisać, gdyż było ono już zmieszane z innymi głosami zwierząt, a także z warkotem motoru ciężkiego samochodu, na który wprowadzono konie.

Ale choć było zmieszane i brzmiało wśród innych głosów, to jednak na tyle się wyróżniało, że można je było porównać do tego ni to jęku, ni to ryku syreny alarmowej, do takiego dziwnego dźwięku, który by należało może nazwać jęko-rykiem czy ryko-jękiem i do takiego samego jęku można by porównać odpowiedź kasztanki, która już jakby nie była odpowiedzią lecz dalszym ciągiem tego alarmu.

Mocno zbudowany, silny człowiek, o którym starzy i młodzi, a nawet dzieci mówiły — on umie się urządzać — skierował się w stronę tego ciężkiego samochodu, który już warczał; zbliżył się do mego w momencie, gdy ci dwaj pracownicy niższej rangi po odłączeniu i odrzuceniu pomostu i zaryglowaniu tylnej ściany pojazdu krzyknęli do kierowcy — jazda!... A więc już w chwili, w której samochód zaczął ruszać i można było zobaczyć tylko zrobiony z mocnych desek tył paki, i przeczytać wykaligrafowany kredą napis ~ RZEŻ-EKSPORT. Napis był biały i duży, a deska ciemna, i dlatego można go było przeczytać, choć samochód się oddalał.

Nawet w chwili, gdy litery zaczęły się zamazywać* mogło się je pochwycić jako — RZEŻ-EKSPORT; a i potem, gdy litery poczęły się przemieniać w niewyraźną, białawą plamę, wiedziało się, że to nie jest żadna plama, a napis — RZEŻ-EKSPORT.

Nawet wtedy, gdy te litery tak się zamazały, że stały się już tylko białawym miganiem, ten silny człowiek, który sprzedał młodego konia, wiedział, że to nie jest żadne miganie, a jadący na tylnej ścianie samochodu wyraźny napis — RZEŻ-EKSPORT.

Później samochód zakręcił i zasłoniły go drzewa i to białawe miganie znikło, ale człowiek, który dobrze

sprzedał żrebaka, wiedział, że ciężki samochód powiózł do stacji kolejowej wyraźny napis — RZEŻ-EKSPORT.

Zaraz odszukał tych dwóch młodych, wesołych pracowników, którzy odbierali zwierzęta od właścicieli i byli przy tych wszystkich rozstaniach; natknął się na nich, gdy sortowali łańcuchy i powrozy i pokornie, tak pokornie jakby oni byli wielkimi panami, a on ich sługą, powiedział — mówiliście, że te konie pojedą do Belgii albo do Holandii...

Jeden z nich uniósł głowę znad stosu łańcuchów i powrozów i rzekł — do Belgii, Holandia tym razem odpada; a drugi dodał — to jest belgijski transport.

Człowiek, który sprzedał młodego konia, znów do nich — to znaczy, że pojedą razem te stare ciężkie i te młode, i mój roczniak...

— Pewnie, że razem...>

— To znaczy, że ich nie rozdzielią i przez cały czas będą razem i wszystkie, co do jednego, przeprowadzą z samochodu do wagonu, a potem z wagonu do samochodu i wszystkie pojedą do jednego miejsca?

— No pewnie... — odpowiedzieli tamci dwaj i uśmiechnęli się.

— I nie będzie tak, że jeden pójdzie tu, a drugi tam, jeden do wozu, a drugi... do czego innego...

— Belgia bierze na rzeź, tylko na rzeź.

— Młode...

— Młoda konina rarytas.

— Roczniaki...

— Roczniaki to ich końska cielęcina, przepadają za tym.

— Zabiją roczniaka...

— Z takiego najlepszy befsztyk.

— Zabić rocznego konia to tak, jakby zabić chłopaka; — a po chwili — przecież może się zdarzyć, że przy wrotach rzeźni jakimś Belgowi spodoba się

młody koń i ten Belg powie — kupię tego pięknego źrebaka, aby go mieć w swoim ogrodzie-

Po tych słowach młodzi pracownicy punktu skupu wybuchnęli śmiechem, a potem powrócili do sortowania łańcuchów i powrozów.

Człowiek, który sprzedał rocznego konia, przyglądał się przez chwilę ich robocie, patrzył, jak ręce tych młodych ludzi chwytają zgrabnie i układają na oddzielnych miejscach łańcuchy cienkie, łańcuchy grube, powrozy i sznury, jak z ogromnym znanstwem sprawdzają działanie sprężynowych ogniw do przebijania nozdrzy buhajów, a także urządzeń do ugniatania nozdrzy niespokojnych koni, wędzideł specjalnych z przemyślnym urządzeniem do zaciskania szczęk dolnych, co jest przydatne przy osadzaniu w miejscu rozpalonych ogierów, pęt na nogi przednie wykonanych przez najlepszych kowali, jak też zawleczek i pętelek małych, służących do formowania na powrozach normalnych pętli, potrzebnych do ściskania pysków i grdyk rocznych byczków, którym się jeszcze nie przebija przegrody nosowej ogniwami sprężynowymi.

A później przyglądał się, jak ci pracownicy niższej rangi układali w oddzielnym miejscu pały, kije i rzemienne pejczy potrzebne do poganiania zwierząt, które zamiast iść do przodu, wchodzić na wagę, a potem na samochody i do wagonów, zamiast oddalać się od swoich właścicieli i nie oglądać na nich, a także nie patrzeć na drogę, którą się przyjechało do punktu skupu, utrudniają pracę wagowym, klasyfikatorom i łańcuchowym, cofają się, rżą, ryczą i piszczą, i chcą wracać, skąd przyszły.

Długo przyglądał się temu sortowaniu i układaniu łańcuchów, powrozów i innych rzeczy potrzebnych do pracy w punkcie skupu zwierząt.

A potem znów przerwał im robotę i jeszcze pokorniej niż poprzednio zapytał się, jak jest w rzeźniach

belgijskich, czy się tam idzie na zwierzę od razu z nożem i dźga, czy najpierw jest walenie młotem, a potem dźganie, czy przed podrzynaniem i ćwiartowaniem zabija się elektrycznie...

Odpowiedzieli mu, że nie wiedzą, bo nie widzieli, a on na to — najlepiej to zrobić elektryką — a po chwili r— w belgijskich rzeźniach na pewno podchodzi się do żrebaka i on myśli, że się chce go pogłaskać, i w tej sekundzie, w której on czeka na to pogłaskanie, dotyka się go prądem i to jest dobre.

Nie wrócił do swojego wozu, lecz wbił się w ciżbę ludfi i zwierząt i tak szedł nie wiadomo dokąd, aż natknął się na gromadkę hodowców, którzy częstowali się wódką; pili wprost z flaszki, wlewali ją do ust fachowo i higienicznie, nie dotykając ustami jej szklanego cystack; butelki przechodziły z rąk do rąk, znad ust nad usta, krążyły po małym kole szczęśliwych ludzi, chwytane i podawane dalej niby rozkoszne, rozpustne ulubienice.

Doskoczył do nich i powiedział — przyłączam się do was, daję, ile trzeba; i wnet? nad jego otwartymi, łapczywymi ustami pojawiła się szyjka butelki i on wlał w siebie sporo wódki, nim ją podał dalej; to się powtórzyło kilka razy i jego śniada twarz nabrała bordo odcienia, a słowa stały się głośniejsze, tak że już nie tylko ci, z którymi pił, ale ludzie dalej stojący słyszeli, gdy mówił — nie jestem przecież głupi i wian, że w belgijskich rzeźniach nie ma młotów i sztyletów, a są tylko przyrządy elektryczne, które się przytyka do łbów i to jest dobre, bo nie daje czasu na strach...

Wracając do wozu znów natknął się na te konie, fd*owy i owce, które czekały na wagę, wciąż czekały, do może ich właściciele nie podbiegli na czas do wagowego i klasyfikatora i nie wsunęli im co trzeba z dodatkiem miłego słowa.

Zwierzęta zmierzyły go wzrokiem i on bardziej niż

przedtem nie mógł tego znieść i krzyknął — znów się gapiacie, o co wam chodzi...

Powinien od nich odejść i pójść do wozu, ale nie poszedł i gadał do tych zwierząt jak do ludzi, bo one patrzyły jak ludzie i mówiły oczami po ludzku.

— Wiem, o co wam chodzi — przemawiał do krów koni i owiec, chwiejąc się na drewnianej obudowie

wagi i podpierając jedną ręką o żelazną barierkę

pewnie o to, że najpierw jest pieszczenie i miłe słowa a potem nóż i zarzynanie; że gdy młode i małe to — źrebaczku, byczusiu, jałoweczko, owieczko — a gdy urosnie to bat, łańcuch, sprężynowa stal, młot i nóż; że na początku słowa — jakie ładne, jakie miłe, jakie wesołe, jak chodzi za człowiekiem, jak mu przybywa — a potem trach! obuchem w samo czoło i zarzynanie, i krew; o ten świat wam chodzi, najpierw taki, a potem taki, o tę rękę, która głaszcze i przejeżdża nożem po gardle, o to najmiłsze słowo, które wabi do łańcucha.

Duży plac punktu skupu zwierząt zamigotał mu w oczach, wydało mu się, że wszystkie zgromadzone na nim zwierzęta, a także ludzie patrzą na niego i słuchają jego słów.

W zapale przemawiania wysnęło mu się — bracia i siostry. Bracia i siostry — mówił — - nie traćmy nadziei, bo coraz więcej na świecie tych elektrycznych macek, których się już używa w belgijskich rzeźniach, a które mają to do siebie, że nie dają czasu na strach, i to jest naszą nadzieją.

Z pewnością przemawiałby jeszcze, bo się rozpędził i zaognił w gadaniu, ale wagowy wziął go za ramię, odsunął od barierki i powiedział — nie pleć głupstw, jedź do domu i nie przeszkadzaj w pracy.

Ostre słowa wagowego wytrąciły go z rytmu mowy i umilkł, przez chwilę wpatrywał się jeszcze w pstro

katą masę zwierząt i ludzi, zalegającą plac, a potem skierował się w stronę swojego wozu.

Gdy zbliżał się do niego, kasztanka zarżała raz i drugi, a on wtedy zamiast poklepać ją po karku, co jest najmiłsze dla konia, i powiedzieć — no, no, uspokój się, tak już jest na tym świecie — zamiast dać pocieszenie, krzyknął wściekle — wszystko przez ciebie, kurwo, zachciało ci się synka, to masz...

Ale zaraz połapał się, że przeholował, i zaczął łagodzić sprawę — najgorzej będzie w transporcie, a potem to już pójdzie szybko, bo Belgowie mają specjalne urządzenia — mówił odwiązując lejce od słupa i zakładając na orczyk postronki, które odpiął, żeby się jej wygodnie stało.

Ale znów się rozsierdził i powiedział ostro — przecież był zły, przygryzał ci grzywę i ciągnął zębami za ogon i uszy, wpychał się pod łeb, łechtał pachwiny i walił pyskiem w wymiono, żeby z niego wydusić mleko, nawet wtedy gdy mleka już nie mogło być...

A potem sobie nagle przypomniał, że ten duży samochód miał zawieźć konie do stacji kolejowej i że do niej niedaleko; wszedł więc szybko na wóz, przyciął kasztance i ona ruszyła mocno wydłużonym kłusem; ale to mu nie wystarczało i znów jej przyciął batem i kłus jeszcze się wydłużył, tak się wydłużył, że sięgnął granicy galopu, ale w galop nie przeszedł; więc znów poszedł w ruch bat i kłus przemienił się w galop.

Przy stacji ściągnął mocno lejce, tak mocno, że kasztanka od razu się zatrzymała, a potem rzemienie lejców przywiązał do podkulki i zeskoczył z wozu, pobiegł do człowieka w mundurze, który nadzorował załadunek dużych skrzyń, i spytał się go, gdzie są te konie, które mają jechać do Belgii.

Zapytany pomyślał chwilę, a potem rzekł — komu to potrzebne...

— Między tymi końmi jest mój źrebak...

A — Pierwszy..

— No to co, że jest...

Rosły, silny człowiek, który dobrze utrafił i sprzedał rocznego konia za duże pieniądze, nie wiedział, jak na to odpowiedzieć; no bo jak odpowiedzieć — chcę jeszcze raz zobaczyć konia, chcę go odkupić; czy — chcę szepnąć do ucha temu roczniakowi, że transport będzie trwał krótko, a potem wszystko dobrze się ułoży; czy — pędzę za tym źrebakiem, bo chcę poprawić świat, żeby nie było najpierw pieszczona, a potem powroza, łańcucha i siekiery, i tego elektrycznego belgijskiego przyrządu, który właściwie nie jest zły, bo nie daje czasu na przerażenie; przecież nie można tak odpowiedzieć, bo to byłoby głupie, ogromnie głupie.

Zaczął więc się wstydzić, opuścił w dół tę swoją szpakowatą głowę i dreptał w miejscu, jakby nie mógł znieść naporu moczu.

Patrząc na to zawstydzenie, kierownik działu załadowczego doszedł do wniosku, że nie należy robić tajemnicy z tego, gdzie te konie się znajdują; wyciągnął więc rękę w kierunku odjeżdżającego z dworca pociągu towarowego i powiedział — tam są; i zaraz dodał — gdy zajadą do stacji węzłowej, wagon z końmi zostanie odłączony i przypięty do RZEŻ-TRANSPORTU belgijskiego.

Kiedy usłyszał te słowa, wrócił szybko do wozu, wskoczył na siedzenie, odwiązał lejce i przypalił kasztance batem tylne nogi powyżej kolan, gdzie najbardziej boli, gdyż chciał, aby z miejsca ruszyła pełnym kłusem i zaraz galopem; i tak się stało, pogalopowała drogą, która biegła blisko szyn, równoległe do toru kolejowego.

W niedługim czasie wóz zrównał się z ostatnim wagonem wolno telepiącego się pociągu, a potem z wagonem, w którym były konie. Kilka z nich, chyba te najwyższe, wychyliły łby

przez otwarte prostokątne okno w górnej części drzwi i patrzyły na przebiegający obok pociągu świat.

Gdy zobaczyły galopującą w wozie kasztankę, zarżały głośno i przeciągle, a to rzenie każdego z nich przełożone z końskiej na ludzką mowę znaczyło może — niechbym tak galopował i ciągnął wóz, i okrutnie się zmęczył tym galopem; albo może — niechby człowiek, który siedzi na wozie, ciał mnie batem powyżej kolan, niechbym pędził do ostatniego tchu; albo może — niechby mi się zamroczyło przed oczami i niechbym padł w tym galopie...

Rzeniem tych kilku koni zaraziły się inne, te stojące w środku wagonu, i po chwili zarżały wszystkie konie z RZEŻ-TRANSPORTU; i znów zarżały, i znów...

On z pewnością też się tam wydiera — powiedział rosły człowiek, który utrafił w apetyty belgijskich ludzi i dobrze spieniężył żrebaka; a potem krzyknął do kasztanki — odpowiedz mu — i trzepnął ją batem po zadzie.

— Odpowiedz mu, może usłyszysz i będzie wiedział, że go odprowadzamy — nalegał słowami i batem, jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, że ogromnie trudno zarzeć w galopie; że najlepiej wychodzi rzenie, gdy koń stoi, bo on wtedy może ustawić dech jak chce, na każdą nutę, gdyż mu go nie zabiera bieg; że zarzy też w biegu, nawet w wydłużonym kłusie i wzmoże się w sobie, potrząśnie łbem i zarzy, ale nie tak, jak wówczas gdy jest na błoniu i stoi albo idzie wolno, krok za krokiem.

Chyba zapomniał, że rzenie w galopie to nie rzenie, a czkawka, że galop zabiera koniowi cały dech, bo nalegał i krzyczał — zarzyj, no zarzyj, niech wie, że jesteśmy przy nim, gdy jedzie do Belgii; i może ona nawet wydobyła z siebie tę czkawkę, ten kaszel, ale przecież tego nie można było wziąć za rzenie, a poza tym by-

to to tak ciche, że nie mogło być przez nikogo, chyba przez nią samą, usłyszane.

To działo się już w chwili, gdy pociąg nabierał pędu i wagon z końmi zaczął wyprzedzać furę, gdy już nie pomagał bat i kasztanka przeszła z galopu w rozdygotany, rozchwiany kłus i zaraz w stępa, a pociąg coraz bardziej się oddalał i niby ogromnie długie, żywe stworzenie wsuwał się w gęsty, olszynowy zagajnik.

Lejce drgnęły nieznacznie i kasztanka stanęła, a ten silnie zbudowany, rosły człowiek, o którym mówiono, że umie się urządzać, zeskoczył z wozu, podszedł do niej ze starym kocem w ręce i zaczął ścierać białe plamy potu z jej zadu, boków i karku.

Gdy skończył to wycieranie, rzucił koc na wóz i zaszedł kasztance od łba, chwycił ją ręką na kosmyk grzywy spadający na czoło i powiedział — co za głupota, co za straszna głupota... no nie; i pociągnął ją za ten kosmyk, i ona pochyliła łeb, a to tak wyglądało, jakby odpowiedziała —■ no tak...

— Po co to wszystko było, na co była ta gonitwa, wstyd, co za wstyd — mówił dalej uwieszony u tej grzywy — czy chciałem ci jeszcze raz go pokazać, nim odjedzie do Belgii, czy myślałem, że go odkupię, czy zachciało mi się poprawiać świat, nie wiem...

Umilkł na chwilę i zaraz znów zaczął — zgłupieliśmy, ale teraz musimy być mądrzy; dam ci siana, zjesz, a potem zjadę do stawu, tam napijesz się wody i zawrócimy do domu, będziemy jechać wolno, po co się spieszyć, po drodze wstąpię do gospody i wychylę jeszcze co nieco i pojedziemy dalej; a gdy zajedziemy, wyprzęgnę cię od wozu, wejdiesz do stajni, dam ci sporo owsa i pójdę spać; właściwie to powinniśmy się cieszyć, bo wszystko jest, jak ma być.

Uniósł do góry prawą dłoń i dotknął nią swej piersi na wysokości serca, pod palcami wyczuł twardość pogrubionego portfela, a gdy to wyczuł, powtórzył

spiesznie — wszystko jest jak ma być; a jeśli chodzi o niego, to trzeba ci wiedzieć, że zagraniczne rzeźnie są świetnie urządzone, to właściwie pokoje, salony, ściany białe, czyste, podłogi wypucowane do blasku; podejdzie do niego ktoś elegancki z małym przyrządem i w tej sekundzie, w której on zacznie się bać, bać się przestanie.

KONIEC NOWELI

PIERWSZY BIAŁOREKI

Jeśli jego pradziadek był profesorem i z uniesioną nieco białą dłonią prowadził wykłady na uniwersytecie i jeśli jego dziadek był profesorem i z uniesioną nieco białą dłonią prowadził wykłady na tymże uniwersytecie, i jeśli jego ojciec był profesorem i z uniesioną nieco białą dłonią ciągnął wykłady w tejże wszechnicy, i jeśli on jest profesorem i z uniesioną nieco białą dłonią prowadzi wykłady na tym samym uniwersytecie, to on — można by rzec — żyje sobie tak, jakby szedł równą i mocno udeptaną ścieżką biegnącą przez płaską równinę, a może przez jednostajną wyżynę, przy której nic się nie czai i nic złego nie czyha, a jeśli czyha, to on wie o tym, bo umie przewidzieć i wie, jak się na to czyhanie złego przygotować, bo już pradziadek wiedział i dziadek, i ojciec wiedział.

— Proszę państwa; albo — moi kochani; albo — moi drodzy; tak zaczynał wykład pradziadek, dziadek i ojciec i taka też jest formuła początku jego wykładu.

— Na tym dziś kończymy; albo — to odkładamy do następnego wykładu; albo — na tym dziś poprzestaniemy...

To była formuła zakończenia wykładu pradziadka, dziadka i ojca i taka też jest jego formuła. A jeśli twój pradziadek, ubrany w zgrzebną koszulę wypuszczoną na spodnie, włókł się w wydłużonej,

umordowanej procesji za księdzem i za małym drewnianym krzyżem, niesionym przez organistę zeschniętymi polami, tak zeschniętymi, że aż trzeszczącymi jakby się ziemia zamieniała w drzazgi i jakby to nie były pola, ale przeogromna i tylko czyściutkim, wypucowanym niebem przykryta drewnia i jeśli ten twój pradziadek szedł w tej procesji i potykał się na bryłach, i wraz z innymi wyjękiwał pieśń — Boże, przykryj niebo chmurami i spuść deszcz na ziemię...

I jeśli twój dziadek szedł w takiej procesji, i jeśli twój ojciec szedł, i jeśli ty jako dziecko prowadzone przez ojca za rękę maszerowałeś, zbijając do krwi o bryły palce stóp w tej wyjękującej deszczu dla pół procesji, a po latach, dobiwszy wieku średniego, zostałeś profesorem, zasiadłeś za katedrą i rozpoczęłeś prowadzenie wykładów, to twojego życia nie da się porównać do przemierzania ubitej ścieżki biegnącej przez płaską równinę czy przez jednostajną wyżynę, bo ono nie ma nic z tym wspólnego, bo jest forsowaniem stromej i skalistej, pełnej załomów i uskoków, nie znanej góry.

On profesor i ty profesor, on ma katedrę i ty masz katedrę, dwie katedry tej samej gałęzi nauki badanej i wykładanej w dwóch uniwersytetach...

Ale on żyje sobie, jakby przemierzał ubitą ścieżką tę płaską równinę czy jednostajną wyżynę z walizką — włóżmy mu do ręki walizkę — w której wszystko jest uporządkowane, na swoim miejscu jak należy, nic się nie telepie, nie obija, nie wylatuje, bo jeszcze nim się on narodził, już mu zaczął układać w niej z namysłem różne potrzebne rzeczy pradziadek, a potem dziadek oos do niej dołożył i poczynił dodatkowe porządki, a i ojciec coś tam wygładził, nim mu ją wręczył na to maszerowanie udeptaną ścieżką.

A ty wciąż jesteś na tej skalnej pochyłości i leziesz pod górę ze swoją walizką, która nieustannie jakby

się wymykała ze swojej nazwy, bo mieni się i zatracą swój właściwy wygląd wśród przeraźliwych połysków, to znów wśród mgieł przesuwających się tą stromizną, i raz wydaje się koszykiem uplecionym ze słomianych warkoczy, a raz wiklinową kobiałką z długim trzymadłem, łączącym dwa jej brzegi, a raz zamykanym na kłódkę jak drzwi domu drewnianym kuferkiem, zrobionym przez sprytnego stolarza na kształt eleganckiej walizki.

Nie ma żadnego porządku w tym twoim nosidle, wszystko w nim byle jak powkładane telepie się i obija jedno o drugie i dudni..j

Ogromnie dużo różnych rzeczy w tej twojej walizce, tak dużo, że aż się ona wypucza i puszcza na złączeniach, a przez te pęknięcia wylatuje to i owo, stacza się po zboczach w dół i ty wtedy nie wiesz — wracać po tę rzecz czy nie; stoisz na pochyłej skale i zadrezczasz się tym — wracać czy iść dalej...

Tajemna groźna cisza, która panuje nad szczytem góry, mówi ci — nie wracaj; a ludzie zgromadzeni u podnóża skalnego zbocza, ludzie żywi, od których odszedłeś, krzyczą — wracaj...

Ale któryś z tych w dole wydziera się — idź dalej...

Ale umarli przekrzykują żywych i wrzeszczą, aż się cmentarz trzęsie — wracaj po to, co ci upadło...

I ty po tę rzecz wracasz, nieraz zdarzy się, że musisz wracać aż do czasu tej umordowanej procesji wyjękującej — Boże, przykryj niebo chmurami i spuść deszcz na ziemię..^

I z tej wyższej, z tej szczytowej partii góry, którą można nazwać katedrą uniwersytecką albo godnością profesora wyższej uczelni, wracasz po to i owo, które pozostało tam w dole, gdy wyruszałeś w drogę, albo które ci wypadło przez pęknięcia w tym rozdętym nosidle.

Nieraz próbowałeś pracować nad sobą, żeby się utwardzić i już tam nie zachodzić, nie rozrzewniać się- i nie rozczulać tymi powrotami, nie wałęsać się po tamtym czasie i nie zbierać żalów ani wyrzutów sumienia.

Postępowałeś wtedy tak, jakbyś ogradzał wysokim szczelnym płotem szczytową część góry i chciał w granicach tego płotu urządzić sobie miły, zaciszny ogródek.

Ale to ci się nie udawało i nie udaje, bo to się nie może udać

Nie żaden wielki powód, nieraz coś bardzo drobnego, rozkołysana gałąź drzewa, mignięcie jakiejś twarzy, ptak w powietrzu, jakiś widok przelotny, czasem cichy jęk w zaułku miasta, nieraz tylko jakiś sekundowy błysk rozwałił to ogrodzenie i wtedy pędziłeś do dawnego czasu niby człowiek szalony.

Siedzisz na wysokim krześle za tą ciemnobrązową, dębową katedrą i prowadzisz pierwszy, rozpoczynający nowy rok akademicki, wykład.

Wczesna jesień, wielkomięski umęczony park, który dochodzi prawie do samego muru uczelni, sprawia, że świat za oknami twojej sali wykładowej wygląda jak jeden z tych pięknych cmentarzy, które zarówno w swej warstwie przyziemnej, jak i w drzewostanie rozrastają się i rozwijają prawidłowo, bez żadnych przeszkód, bez zawiei, huraganów i wojen; do których normalnie, bez koniecznych przyspieszeń, wolno, wpływają umarli i z których po złożeniu wizyty na grobach, odpływają żywi

Sala wypełniona po brzegi młodzieżą, a także starszymi mieszkańcami miasta, którzy jako twoi zagorzali słuchacze z własnej, nieprzymuszonej woli przybyli na ten inauguracyjny wykład.

Mówisz wolno, logicznie, budujesz zwarte — można by rzec — żelazne zdania, ale równocześnie mówisz

namiętnie, unosisz przy tym nieco swoją dłoń, bo jak i wiat światem, każdy profesor prowadząc wykład wykonuje gesty dłonią.

A gdy to czynisz, poznasz, że jesteś już białoreki, pierwszy białoreki z tamtych twoich.

Wykład dotyczy twojej specjalności, ale ma zarazem charakter otwarty, i dlatego pozwalasz sobie — lubisz to zresztą robić — wyskoczyć na dłuższe chwile z nauki do życia, aby cichym jak ryby słuchaczom przekazać garść wskazań i rad, które mogą się im przydać w życiu, uchronić ich od złudzeń i kłamiących nadziei, od naiwnej wiary w działanie skrytych głęboko w człowieku, nie poznanych sił tajemnych, a co za tym idzie, w przypadkowość przypadku i bezwolnego oczekiwania na to, co ludzie nazywają szczęściem.

Toteż w tych twoich odskokach od naukowego toru musisz „strzelać” z tej starej, ale jednak wypróbowanej „strzelby”; bije więc w tych cichych jak trusie słuchaczy znaczenie silnej woli i to, że los nie nas, ale my go możemy chwycić za łeb i trzymać w garści, i według naszych zamiarów ulepić niby rzeźbiarz glinę.

Gdy prowadzisz ten piękny, wielce interesujący wykład w uciszanej sali, tak uciszanej, jakby ją wypełniali nie żywi, ale umarli, gdy znad dostojnego, zabytkowego mebla, za którym siedzisz, wysyłasz na tę salę swoje słowa, to też tak, jakbyś otaczał wysokim, niedostępnym ogrodzeniem szczytową partię góry i w tym ogrodzeniu tworzył sobie swój własny, dobry świat.

Ale oto wypowiedziałeś już końcową formułę wykładu, a gdy tylko przebrzmiało twoje — dziękuję — sala zagrzmiała długotrwałymi oklaskami.

A potem cała defilada młodzieży i starszych z gratulacjami, z kwiatami i życzeniami, z uśmiechami i wszelakim dobrym słowem. Wśród nich także ten szczupły młodzieniec o jasnych włosach, bladej twarzy i mocno ciemnych, wyrazistych, nie pasujących do niego, jakby obcych oczach.

Na pewno byłoby lepiej, żeby się nie przyplątał tu ten student i nie wręczał ci z miłym, pokornym uśmiechem bukietu róż.

Ty przecież wiesz, że niedobrzy są dla ciebie młodzi, szczupli blondyni o ciemnych, wyrazistych oczach, niedobrzy, choć mile się uśmiechają i przynoszą kwiaty, niedobrzy, choć niewinni.

Bo właśnie oni najskuteczniej rozwalają płoty twojego cichego ogrodu, który na próżno starasz się stworzyć w szczytowej części góry.

Mizerne twarze i silne oczy tych młodzieńców niby najsurowszy rozkaz zawracają cię w czasie i ty pędzisz, jakbyś był poganiany batogiem, do drewnianych i słomianych domów, do ojców, do dawnych sąsiadów, do zeschniętych pól, do procesji, do tego — Boże, przykryj niebo chmurami i spuść deszcz na ziemię; a nade wszystko do Michałka, do twojego przyjaciela Michałka, który musiał opuścić szkołę w mieście, bo był dziwny i biedny; uczył się bardzo dobrze, ale tak nieszczęśliwie się złożyło, że wcześniej umarli jego rodzice i on pozostał tylko z babką i siostrą; był biedny, a do tego dziwny, bo po swojemu nazywał różne rzeczy na świecie.

Na krzaki wikliny powiedział czasem — zielone ognie; na wschodzące słońce — cygańska patelnia; na rzekę mocno oświetloną w południe — iskry w pochodzie...

No to dyrektor tej miejskiej szkoły pomyślał chwilę i rzekł — i najlepiej będzie, jeśli wróci tam, skąd przyszedł...

Każdy taki szczupły młody blondyn o ciemnych oczach przypomina ci właśnie tamtego chłopca ze wsi, który także był szczupłym, jasnowłosym młodzieńcem

o mocno ciemnych oczach, które w żaden sposób nie pasowały do jego twarzy i których się bali ludzie.

Gdy więc po twoim inauguracyjnym wykładzie zjawiał się przy tobie ten student z dużym bukietem róż, to tak, jakby Michałek wstał z grobu i stanął przed tobą i jakbyś usłyszał jego głos — nagadałeś tu wiele różnych mądrych rzeczy, profesorze, zgrabny wykład ci wyszedł, ho, ho, jaki zgrabny; i jakbyś jeszcze po odejściu tego studenta usłyszał śmiech i głos Michałka — świetnie mówiłeś o tej silnej woli i świetnie się rozprawiłeś z tajemnymi siłami i przypadkowością przypadku; i jakbyś jeszcze usłyszał Michałka — dlaczego nie opowiedziałeś swoim zagorzałym słuchaczom, jak było ze mną i z tobą, z tym wozem naładowanym ziemniakami i oszalałymi końmi i co się stało w wąskim przesmyku drogi między dwoma sztachetowymi płotami, zapomniałeś pewnie, więc trzeba ci to przypomnieć... Słuchacze, jazgocząc na wyścigi miłą mową, otoczyli cię ciasnym kręgiem i towarzyszyli ci z tym nieustannym jazgotem przy wychodzeniu z sali wykładowej, a niektórzy trwając dzielnie w tym jazgocie wtoczyli się wraz z tobą w aleję parku, a ci najbardziej zagorzali weszli z tobą, nie przerywając jazgotu, do jakiegoś lokalu, gdzie piłeś wino, a ci wielbiący cię najgoręcej towarzyszyli ci, kontynuując ten jazgot najdłużej z wszystkich, do samego domu, w którym mieszkasz.

Ale jednak to jazgotanie było dla ciebie ciszą, bo od chwili, w której zjawiał się przy twojej katedrze ten student z dużym bukietem róż, ten wskrzesiciel Michałka, mówił do ciebie tylko Michałek, nikt inny, tylko on, wskrzeszony...

— Hej ty, profesorze, hej ty, mój przyjacielu, mój nauczycielu, spójrz na mnie, oto idę przez niewielkie błonie, przesmykuję się od wierzby do wierzby, ale ludzie widzą mnie, patrzą zza płotów, jak przebiegam

od drzewa do drzewa, jestem spragniony biegania, tęsknię do pędu i nogi moje nie mogą ustać w miejscu.

— Znów leci ten o złych oczach — mówią lub myślą ludzie.

— Chrońmy dzieci i bydło, chrońmy konie, krowy i owce i my się chrońmy przed jego ślepiami; i dalej myślą — gdy się poczynał, nie tylko Bóg go ulepiął, gdyż Boże ręce dałyby tej twarzy inne oczy albo tym oczom inną twarz i dopasowałyby wszystko jak należy, chyba diabeł jakimś przemyślnym sposobem odsunął od tej gliny białe ręce Boga, w chwili gdy już był człowiek, ale jeszcze nie miał oczu, gdy jeszcze miał puste dziury w głowie i był ślepy, właśnie w tej chwili diabeł odtrącił od gliny bielutkie Boże dłonie i sam swoimi włochatymi, szponiastymi łapami dokończył Michałka, i dał mu te diabelskie, z piekła rodem oczy.

Byłeś wtedy już studentem, profesorze, jedynym studentem we wsi, przyjeżdżałeś na wakacje i święta do ojca i-matki i gdy słyszałeś, co ludzie mówią o mnie, wykrzykiwałeś niecierpliwie, a nieraz to i gniewnie — ludzie, dajcie spokój, co za głupstwa wyplatacie, czy nie macie rozumu...

A potem się śmiałeś na cały głos swoim mocnym, niepoahamowanym śmiechem, bo chciałeś ich przekonać...

Przychodziłeś do mnie i mówiłeś co za głupcy, co za głupcy — a później rozmawialiśmy o różnych rzeczach, o dziewczynach, o rzece, łodziach i rybach...

Bywało, że szliśmy nad dużą wodę, wsiadaliśmy do wąskiej łódki-pychówki i daliśmy się unosić prądowi w dół rzeki, albo pracując umiejętnie lekką żerdką, przepływaliśmy na drugi brzeg, gdzie krzaki są gę- ściejsze i bardziej tajemnicze.

No, przypomnij sobie, przypomnij, szanowny profesorze, o czym to mówiłeś mi w tych gęstych, zielonych wiklinach...

Nie możesz sobie przypomnieć; o światłości wiedzy perorowałeś, dostojny profesorze, w tych zaroślach nieprzejranych, patrząc przez jasne przesmyki, przebijające zieloność, na wolno płynącą wodę; o szczęściu, jakie daje światło nauki i wiedzy i o tym, że powinien nadejść czas, w którym będzie ono dostępne dla wszystkich; o tych rzeczach, czcigodny profesorze, wygłaszałeś w wiklinowych krzakach kazanie do swojego jedyne go słuchacza...

Pamiętasz to późne popołudnie, gdy wracaliśmy do domu po jednej z takich wypraw łodzią na drugi brzeg rzeki, pamiętasz, że nim doszliśmy do płotu, dał się słyszeć donośny głos twojej sąsiadki...

Przypomnijmy sobie, co ona mówiła, mówiła mniej więcej tak — przedwczoraj wróciłam późno do domu, bo w polu było dużo roboty, i 'gdy zasiadłam do dojenia krów, zrobiło się już ciemno, doję sobie i doję, wymiono twarde jak dynia, mleko grubymi strzykami ciurka do skopka, bo jak wiecie, mocno dojną mam krowę, doję sobie i doję, i mleko jeszcze ciurka, bo przepaścista w mleczości jest ta moja krowa; aż tu nagle on zjawia się na progu, poznałam od razu, że to on, po tych jego diabło świecących oczach, i obleciał mnie strach, ale zdobyłam się na odwagę i krzyknęłam — wynoś się stąd, po coś tu przyszedł... a on stoi, to ja znów do niego — błagam cię, wynoś się stąd, bo mi rzucisz urok na bydłę, a ja mam taką piękną mleczną krowę, nikt we wsi takiej nie ma; i wiecie, co on na to, nie spodziewacie się, choćbyście całe noce myśleli, nie dojdziecie do tego; on na to tymi swoimi cichymi, łagodnymi słowami, tym swoim anielskim głosem, w który lubi przystroić się szatan — przyszedłem pożyczyć grabi, bo jutro wcześniej wyruszamy w pole; ja do niego, żeby nie rzucał uroków na bydłę, a on milutko, niby dziecko — pożyczcie grabi, bo o świcie ruszamy w pole; wstałam szybko od krowy, pobiegłam

do stodoły, dałam mu grabie, bo bałam się uroków, i on poszedł; ale gdy znów zasiadłam do dojenia, krowa jakby nie ta sama, pomrukuje i trzęsie się ze strachu, a mleko sika cieniutką nitką; i od tamtego wieczora tak to mleko ciurka, wymiono jak ścierka, a cycki miękkie jak palce od rękawicy, uroki, uroki ślepiami rzucone...

Stałam w dole, a ty doskoczyłeś do niej ze słowami — znowu jakieś głupie bajdurzenie...

A potem, żeby to wzmocnić i przerazić ją — jak się Boga nie boicie...,

A ona do ciebie — panku, patrz w swoje książki i nie wtrącaj się do nie swoich rzeczy, nie przywołuj mi tu Boga, my swoimi rękami pomożemy Bogu, bo tu uroki, diabelskie uroki zostały rzucone.

I jeszcze ona — chodź do obory, panku, i pociągnij za cycek moją krowę, a przekonasz się, że to nienormalny strzyk mleka, że to biała niteczka, chodź do mojej obory, a poznasz dzieło diabła...

Dołączyła się do niej druga kobieta i powiedziała, że jej dziecko dostało skrofulów, bo przedtem wpatrywał się w nie swoimi czarnymi oczami Michałek.

Potem trzecia powiedziała, że przez Michałka zdechła jej owca; ta trzecia powtarzała w kółko — swoimi ślepiami ją zaklął, swoimi ślepiami ją zaklął...

Jakaś stara kobieta, ciszej wprawdzie, ale słyszalnie — dojdzie do tego, że sprowadzi pomór...

Znów jakaś stara z pewnego oddalenia i ciszej o tobie — nowy pomocnik szatana...

— Swoimi własnymi rękami pomożemy Bogu — to było niedobre i ty z tym wróciłeś do mnie i powtórzyłeś mi to.

Długo milczeliśmy, to był smutny wieczór, profesorze, bardzo smutny, nie wiedzieliśmy, co mówić, i dlatego mieliśmy zaciśnięte usta, ty powiedziałeś tylko — ludzie, ludzie — i znów nic nie mówiliśmy.

Ale w końcu coś ci zaświtało i rzekłeś — dobrze byłoby, Michałku, gdybyś odjechał ze wsi — bo przejęły cię słowa tej kobiety: my swoimi własnymi rękami pomożemy Bogu...

— Dokąd pojedę? — spytałem się ciebie.

— Na Saksy albo do Ameryki...

— Boję się ruszać w świat i nie mogę, bo mieszkam z babką i siostrą.

— A zostać tu nie boisz się?...

— Boję się zostać i boję się odjechać...

— Musisz unikać ludzi.

— Jak to zrobić?...

— W dzień siedz w komórce, a nocą biegaj sobie po polach, bo ty musisz biegać, jesteś młody, albo idź nocą do dziewczyny, która cię lubi i otworzy ci okno.

— Boją się mnie dziewczyny — odpowiedziałem — i uciekają przede mną, i nie ma takiej, która by bez strachu podeszła do mnie, spojrzała w moje oczy i powiedziała — lubię cię, Michałku...

No to pozostaje komórka w dzień, a puste pola nocą; będę biegał po polach, biegał do upadłego, a w chwilach odpoczynku przypatrę się nocy, będę przepatry- wał barwy ciemności i mówił cichutko w sobie o nocy; lubię to, więc będę opisywał sobie dla siebie noc, wszystkie jej jaskrawości i czarności i wszystkie uderzenia ciemności w jaskrawość; a przed świtem wrócę do komórki i niech mnie siostra albo babka zamknie w niej na klucz, będę tam spał i nie docisnę oczu do szpar między deskami, abym przez szpary nie rzucił uroku.

— Ja w tym czasie będę przekonywał ludzi — tak odpowiedziałeś mi na te moje słowa, czcigodny profesorze.

Gdy po kilku dniach przyszedłeś do mnie, opowiedziałeś mi, co dzieje się we wsi, że stare kobiety mówią — niech się nam nie pokazuje, niech się nie wpatruje w nasze bydłota i nasze dzieci, bo to się źle dla

niego skończy; mówiłeś wtedy, że najbardziej zajadłe są stare kobiety.

— Ma w tych swoich oczach coś dziwnego, coś niedobrego — mówili starzy mężczyźni...

Miałaś nadzieję, że niektórych z nich będzie można przekonać i odwieść od tej — jak wykrzykiwałaś — głupiej wiary w rzucanie uroku.

— Wiemy od babek i matek, że on wysusza krowie wymiona i krowy dotknięte jego wzrokiem ucinają mleko — mówili z uśmiechem młodzi; uważałeś, że z nimi pójdzie ci najłatwiej.

Ale postanowiliśmy wtedy, że ja będę jeszcze przebywał dniem w komórce, a nocą, przez nikogo nie zauważony, biegał samotnie po przestrzeni pól i zażywał do woli czystego powietrza ogromnej równiny.

— Z pewnością ciężko ci wysiedzieć w tej komórce — mówiłeś.

— Nie ciężko —■- odpowiadałem — rąbię drewno, a potem długo przypatruję się temu, co wyczynia światło wpadające do komórki przez szpary między niedokładnie spasowanymi deskami, jak się ono z trudem przeciska wąziutkimi szparami, jak się kruszy, po tym trudzie i rozsiewa po całej komórce, jak spada na pniak, siekierę i na drzazgi niby ogniste ziarna maku...

Całymi godzinami można patrzeć w to próśnienie światła; a gdy dzień jest pochmurny i nie można wpatrywać się w połamane, pokruszone promienie słońca i rozsianą światłość, siadam na drewnie i patrzę na pniak, i próbuję go najlepiej opisać; ile słów, ile przeróżnych nazwań lęgnie mi się w głowie..*

Pniak — to nazwanie nie podoba mi się, to słowo nie nazywa dobrze tej rzeczy; no to nazywam inaczej, mówię — drzewo poniżone, drzewo zhańbione, drzewo uparte, zdradziecki wspólniku siekiery, wspieraczu własnego wroga, męko nieustająca, złodzieju dźwięku, przeciwniku pieśni, wiekiusty nudziarzu, orędowniku

ognia, wieczny męczenniku, drewniany kamieniu, kamienne drewno, chwalco bezwładu...

— To dobrze, że masz tyle zajęć w tej komórce, Michałku — mówiłeś do mnie, gdy ci wyliczałem te dziwne nazwania i opisy nadawane zwykłemu, najzwyklejszemu pniakowi, zrobionemu z odziomka drzewa; to znaczy, dołem szerszego, z ledwie zaznaczonymi grubymi żyłami, które, gdy drzewo żyło, szły w ziemię i przemieniały się tam w długie, rozgałęzione korzenie, jakby w drugie ciemnobrązowe drzewo podziemne; i gdy ci jeszcze przy tej okazji wyluszczałem, że jeśli się powie drzewo, trzeba mieć na myśli dwa drzewa, jedno dla oka — zielone, naziemne i drugie dla przeczucia — podziemne, pokryte gładką, jakby aksamitną, lekko wilgotną skórą ciemnobrązowego koloru.

A potem rzekłeś — idę do ludzi — i odszedłeś; byłeś uparty, bo bardzo pragnąłeś wybić im z głów tę wiarę w rzucanie uroków, nim skończą się twoje wakacje.

— Przed październikiem ludzie popatrzą na ciebie jak na zwykłego człowieka — mówiłeś, uśmiechając się — nim zjawi się w powietrzu babie lato, wielu odezwie się do ciebie przyjaznym słowem — Michałku, no co, Michałku; a niejedna dziewczyna przybliży się do ciebie i rzeknie bez lęku — piękny jesteś; i jeszcze doda, zdjęta nagłą szczerością — bałam się twoich oczu, ale teraz już się nie boję, lubię twoje oczy...:

Po tygodniu czy może po dwóch babcia otworzyła ci moją komórkę i ty wszedłeś do niej, zjawiłeś się akurat w chwili, gdy zabawiałem się światłem, gdy całymi garściami brałem ziarna światła i przerzucałem je dla zabawy z kąta w kąt...

Pamiętasz, że cieszyłem się bardzo, gdy rozsiewałem ten złocisty mak po drzazgach, starych deskach i próchniejących drewnach, po pniaku i siekierze... Zauważyłeś moją radość i powiedziałeś szybko, pra

wie wykrzyknął — ciesz się, ciesz, jeszcze bardziej się ciesz, niż się cieszysz, bo młodych już przekonałem i oni już nie wierzą, że oczy rzucają uroki, że samo patrzenie może zmiąć krowie wymiano...

— Jest tylko może dwóch, trzech takich — mówiłeś — którzy podejrzewają twoje oczy, ale oni się nie liczą, bo są w mniejszości i będą zagłuszeni drwiną koleżanek i kolegów... Ale jeszcze siedź w komórce, siedź i niech cię babka albo siostra zamykają na kłódkę — doradzałeś — bo moja praca jeszcze nie skończona i muszę teraz wziąć się za tych starych chłopów; a gdy ich przekonam, to wtedy całym frontem ruszymy na stare kobiety i przekonamy je, i one jeszcze przed październikiem popatrzą na ciebie dobrze...

Po jakimś czasie znów wsunąłeś się cicho do komórki i powiedziałeś — zażarcie się kłóć między sobą starzy chlapi, ale większość jest już po twojej stronie, są już tacy, którzy mówią — nie może przecież być choroby z samego patrzenia...

— Ale są jeszcze tacy, którzy na to odpowiadają — samo patrzenie, nic innego, tylko samo patrzenie może wysłać chorobę... — Jest kilku, którzy są jakby pomiędzy wiarą i niewiarą, ci powtarzają w kółko — jest jakaś siła w oczach, jest jakaś siła...

Usiadłeś na desce położonej na dwóch krótkich okrągłakach i dotknąłeś dłonią moich pleców, a ja ci wtedy pokazałem sznur; leżał sobie zwinięty na okrągło, niby szary, śpiący wąż, na drzazgach przy samej ścianie, w miejscu, gdzie między ziemią a dolnym brzegiem desek jest dość duża szpara...

To był już stary, mocno przytarty i pozieleniony lekko sokiem trawy, nie za gruby, nie za cienki, taki w sam raz sznur...

Oderwałeś rękę od moich pleców i zapytałeś się — skąd się on tu wziął...

Wtedy opowiedziałem ci, że w samo południe jakiś

cień przysłonił słońce, które biło w szpary komórki tak mocno, że aż się uginały, aż trzeszczały deski i że w dziurze po wypadniętym sęku zobaczyłem stare, spękane wargi, które zaczęły się poruszać, i że usłyszałem miły szept — Michałku, drogi Michałku, chcę ci coś powiedzieć; tyle i chwila ciszy, i znów jeszcze milej Michałku, drogi Michałku, przynoszę ci sznur...

Po tych słowach cień przysiadł i zaraz usłyszałem szuranie, a potem w dole, tam gdzie deski łączą się z ziemią, poruszyły się drzazgi i do komórki zaczął wsuwać się powróż, wchodził tak, jakby żył i nie potrzebował ludzkiej ręki...

Ale zaraz ujrzałem palce popychające ostatni jego zwój; a potem ręka znikła i cień się wyprostował, i w dziurze znów się ukazały wargi, które szepnęły — śmiało, Michałku, śmiało, nie bój się, zrób to, zrób...

Wziąłeś ten zwój, czcigodny profesorze, i zacząłeś go rozwijać, a gdy doszedłeś do drugiego końca, zauważyłeś, że było już tam zawiązane oczko i przeciągnięty przez nie powróż, że było już tam zgrabne kółko na miarę głowy.

— Kto to zrobił? — spytałeś się.

— Zabawiałem się troszeczkę ogonem „węża” — odpowiedziałem żartem.

Popatrzyłeś na mocną belkę, luźno biegnącą pod sufitem komórki, a potem wstałeś, wziąłeś powróż, podszedłeś z nim do pniaka i pociąłeś go siekierą na drobne kawałki.

Później znów usiadłeś na desce przy mnie i położyłeś rękę na moich plecach; ciężka i ciepła była ta twoja dłoń i drżała lekko.

Długo tak siedziałeś bez słowa, aż wreszcie się odezwałeś — zachowujesz się tak, jakbyś się przyłączył do tych starych kobiet i wspólnie z nimi oskarżał swoje oczy...

Nie wiedziałem, co ci na to odpowiedzieć, i milczą-

łem, więc ty mówiłeś dalej — patrzysz na siebie, jak stara baba na ciebie...

Gdy to wypowiadałeś, twoja ręka, która wtedy leżała na moich plecach, stała się jeszcze bardziej ciepła i coraz mocniej drżała; a gdy się mnie pytałeś — nie lubisz się, powiedz — ta ręka była gorąca i mocno grzała moje plecy; a gdy się jeszcze pytałeś — nie cierpisz się, nienawidzisz — ta ręka była tak gorąca, że koszula, która była pod nią, przykleiła się do pleców.

Odpowiedziałem ci kpiąc, nie kpiąc — nie wiem, kto to jest Michałek, nie znam tego Michałka, którym jestem...

A potem, już nie kpiąc, mówiłem ci, jak strasznie się męczę, żeby się dowiedzieć, co to za stworzenie ten Michałek; że im bardziej się męczę, tym mniej wiem, i wtedy mi się wydaje, że ludzie wiedzą lepiej, że najlepiej wiedzą stare kobiety, i wtedy nie ufam swoim oczom i myślę, że są mocniejsze ode mnie, i nie mogę sobie z nimi poradzić.

A później znów z kpina powiedziałem, pokazując na porąbany sznur — to z pewnością dlatego zabawiałem się ogonem tego „węża”, którego pociąłeś na kawałki i już nie odrośnie, i z pewnością dlatego wpatrywałem się długo w tę mocną, odstającą od powały belkę.

Gdy to mówiłem, byłeś zamyślony, a gdy skończyłem, rzekłeś — myślę, że gdy zacznie się robić dzień, w dziurze po wypadniętym sęku ukaze się oko, które sprawdzi, czy przydał ci się powrót i czyś ty za nim tak tęsknił, jak okrutnie umordowany człowiek za snem...

— Nie ukaze się oko — odpowiedziałem, żeby coś odpowiedzieć, żeby się toczyła rozmowa i jak najdłużej, aż do świtu, zatrzymać cię przy sobie.

— Jestem pewny, że się ukaze — rzekłeś ty.

— Nie ukaze się — powiedziałem ja.

Przekomarzaliśmy się chwilę i to nas nawet trochę rozweseliło i zaczęliśmy się uśmiechać; wtedy ty wykrzyknąłeś — załóżmy się, ja mówię, że się ukaze, a ty, że nie...

— Dobrze, załóżmy się.

— O co...

— O placek ze śliwkami...

— Zgoda...

Nie myliłeś się, wygrałeś, bo o świcie, gdy na ścianie komórki zarysowały się jasne krechy, dziurę po wypadniętym sęku wypełniło ludzkie oko, małe, blade, zaczerwienione na obwodach, z jedną jedyną dużą iskrą w środku...

Pojawiło się i znikło; spojrzaleś przez tę samą dziurę i powiedziales, że mignęła ci tylko długa po same kostki, szara spódnica.

Opowiedziałem ci już, szanowny profesorze, znakomity wykładowco, miłośniku słowa mówionego, stawiaczcu górnych, prześwietnych słownych budowli, ulubieńcu sal wykładowych nabitych do ostatniej powietrznej luki, w której może zmieścić się człowiek, opowiedziałem ci już o wielu dniach i nocach tamtego lata i tamtej wczesnej jesieni, przychwyciłem cię nagle, już w tej sekundzie cię capnąłem, w której spojrzaleś na tego ciemnookiego bladeusza, wychyniętego swą jasną głową z ogromnego bukietu niesionych tobie róż; a potem już cię miałem i u wyjścia z sali wykładowej, i na szerokiej alei parku, w kawiarni i klatce schodowej domu, w którym mieszkasz. Byłeś mój pośród jazgotu wielbicieli... Stąpaj szybko po schodach, wchodź dziarsko na pierwsze piętro, wyobrażaj sobie swoją młodziutką żonę oczekującą cię w łóżku, przedstawiaj sobie wyraziście strefę żaru tej kobiety, przeczuwaj bliskie rozkosze, pręż się, pręż, profesorze, gładź, gładź drżąca

dłonią śliską poręcz schodów, wyszeptuj — precz, precz, nie teraz...

A jednak nie pozbędziesz się mnie, gdyż jeszcze o wielu dniach i nocach tamtego czasu muszę ci opowiedzieć; jest. dopiero tamten sierpień i jeszcze nie umarłem, żyję, szanowny profesorze, październik jeszcze nie nadszedł, babie lato nie sunie jeszcze powietrzem i nie czepia się ludzkich twarzy, tyczek grochowych i płotów...

Dam ci spokój dopiero na przedprożu tamtego października, tamten październik będzie twój, ale prawie cały wrzesień jeszcze nasz, jeszcze nasz, szanowny wykładowco, do dnia, do godziny, w której oszalały twoje konie.

Słuchaj więc dalej, jazgot twoich wielbicieli nie przeszkadza nam, jest niesłyszalny, znaleźliśmy sobie miejsce skryte głęboko pod tym jazgotem i jesteśmy jak w cichej piwnicy pod huczącym domem.

— Nie mogę cię tu zostawić — powiedziałeś stanowczo, gdy się rozwidniło i wszystko, co było w komórce, znów się ukazało wyraźnie: pniak, drzazgi, siekiera, rozrzucone drewno, siennik nabity słomą i leżąca na nim derka...

— Nie mogę cię tu zostawić — powtórzyłeś gniewnie, pocierając dłonią czoło — bo znów coś wymyślą, powróż to pierwsze kuszenie, a później przyjdą dalsze — mówiłeś ni to mnie, ni to sobie.

Pamiętasz, że po nieskutecznym podrzuceniu sznura zamieszkałem u ciebie, spaliśmy razem na sianie w stodole.

Przed zaśnięciem wyszeptywałeś mi o tym, co się dzieje we wsi i jak się posuwają twoje rozmowy z ludźmi, mówiłeś, że przekonałeś nowych i masz coraz więcej zwolenników i coraz spokojniej patrzyłeś na nad-ciągający październik.

Zdarzało się, że w nocy, gdy mocno spałeś, wymy-

kałem się cichaczem ze stodoły i przechadzałem po twoim sadzie, dotykałem dłonią chropawych pni drzew, rozcapierałem palce na kształt wielgachnego grzebienia i cesałem liście albo mierzwiłem zroszoną trawę...

Którejś nocy przed samym świtem, gdy zatrzymałem się przy starej gruszy, aby dotknąć jej straszliwych o tej godzinie ran, zdawało mi się, że ktoś powiedział — Michałku, z wszystkich rzeczy na świecie najpiękniejsza jest rzeka w nocy; i cisza, i znów te straszliwe rany na pniu gruszy, a po chwili ten sam głos — weź konia, zuchu, jedź nad wodę i przepłynij rzekę na koniu, gdy znów zapadnie noc; a za jakiś czas — tyś zuch, Michałku, tyś zuch...

Nie myślałem, kto te słowa wypowiedział, ale zastanawiałem się, czy nocą przypatrywałem się naszej dużej rzece, czy widziałem ją w pełnej ciemności, przy gwiazdach i przy księżycu; i dochodziłem do tego, że nie znam dobrze nocnej wody, że widziałem tylko wszystkie dzienne przemiany rzeki, jej matowość w dni chmurne, przedburzową fałdzistość, tysiące rozkolebanych kołysek w czas burzy, maszerujące blaski w godzinach słonecznych, idące wolno, suknom przykryte łoże w spokojnych, późnopołudniowych godzinach.

Znów zacząłem przypominać sobie, czy patrzyłem na wodę, gdy zapadła noc; niby coś tworzyło mi się w głowie, ale to nie był żaden wyraźny obraz, i znów męczyłem się przypominaniem, tak się męczyłem, że aż zapragnąłem ujrzeć nocną rzekę, że aż mówiłem w sobie — muszę tam polecieć którejś nocy, muszę się wysmyknąć cichaczem ze stodoły i pobiec do rzeki; nie pobiec, a pojechać na naszym Gniadym i razem z nim przepłynąć wodę nocą...

Bo w dzień — pamiętasz, szanowny profesorze — przepływaliśmy nieraz rzekę na koniach i wiem dobrze, jak wygląda dzienne przepłynięcie; pamiętasz, chlubno uczelni, że gdy się nam w pogodne i ciepłe,

niedzielne popołudnie nadarzyła okazja do przepłynięcia rzeki na koniach, zostawialiśmy nie dojeżdżony placek ze śliwkami, wyścigi na błoni, skakanie z drzewa na stertę słomy, wychodzenie na kalenicę, zaglądnienie do ptasich gniazd i wiele innych rzeczy zostawialiśmy, bo przepłynięcie było najważniejsze...

Bo gdy miały być te inne rzeczy, to cieszyliśmy się ogromnie, ale nie drżeliśmy z radości jak wtedy, gdy miało być przepłynięcie; drżeliśmy, jakby ta radość była chorobą.

I dlatego nic nie może dorównać przepłynięciu wody na koniu, a właściwie przy koniu, bo na głębokości zsuwasz się z konia i płyniesz przy nim, trzymając go lekko za kłęb.

Żadne piękności, żadne olśnienia, jakie może dać świat, nie mogą się temu równać; przypomnij sobie, zacny wykładowco, jak się to odbywało — wyprowadzamy konie za płot, odbijamy się od ziemi, wskakujemy na nie, nie ruszamy od razu galopem, jedziemy wolno, opóźniamy dojechanie do brzegu, bo chcemy się pobawić myślą, że przepłyniemy dużą wodę.

Ale nie wytrzymujemy, jest już kłus i zaraz galop, słyszymy, jak koniom dzwonią boki; ale wnet zwalniamy, żeby się konie nie rozgrzały za bardzo i nie dostały kolki, gdy wejdą do wody.

Pola się kończą, konie powoli wchodzi na rzeczny wał i powoli z niego schodzą, jesteśmy już na wąskiej ubitej ścieżce, prowadzącej przez wikliny do brzegu; jedziemy jeden za drugim, konie nurkują w wiklinie, biją łbami w gęste gałęzie krzaków.

Czy to dojeżdżanie do brzegu, to przedzieranie się przez gęste wikliny sprawia, że najbardziej z wszystkiego lubimy dojechać tam, gdzie kończą się krzaki, i przepłynąć rzekę razem z końmi?

Nie wiem, dlaczego to lubimy, bo lubimy i nic więcej, i mamy za najlepsze z wszystkich cudów świata.

Jest już ten płaski piaszczysty brzeg i konie stąpają miękko, i my to odczuwamy, siedząc na ich grzbietach...

Konie chcą iść w wodę bez zatrzymania, bo i one lubią przepłynąć rzekę w słoneczne niedzielne popołudnie; ale musimy je zatrzymać, bo przecież trzeba zdjąć z siebie wszystko, rozbieramy się nie schodząc z koni, umiemy już to, cierpliwe zwierzęta pozwoliły nam się tego nauczyć.

Nagie konie, nadszy jeźdźcy, odkryta naga woda, nagie krzaki, naga ziemia, nagie piaski brzegu, nagie niebo — może właśnie ta chwila jest najlepsza z wszystkich, od wejścia do stajni po konie do wynurzenia się z wody na drugim brzegu rzeki...

Może tych kilka sekund przed wejściem do wody, gdy cały świat jest nagi, i do tego ten daleki drugi brzeg, który będzie nasz, czyni przepłynięcie najlepsze z wszystkiego...

Ale nie wiemy na pewno dlaczego; ty dziś także nie wiesz, zasłużony profesorze, badaczu ludzkich wnętrz, popychaczu do przodu ważnej naukowej dyscypliny; wiesz tylko tyle, że gdy ci to przypominam, drżysz niby mały ptaszek, ale nie wiesz naprawdę, dlaczego drżysz, i nie wiesz, dlaczego tamte przepływania dużej wody były najlepsze.

Ale nie badaj tego, za żadne skarby nie kładź tego na warsztat i nie próbuj się dowiedzieć dlaczego, i nie namawiaj drugich do takich badań; raczej powiedz tyra wszystkim swoim kolegom naukowcom, że ta niewiedza jest najcudowniejszą wiedzą...

A zresztą nikt tego nie dojdzie, dlaczego przepłynięcie dużej wody u boku konia jest najlepszą i najpiękniejszą rzeczą na świecie, nikt nie zdoła ukraść skarbów tej niewiedzy.

Mówimy koniom, żeby weszły w wodę, i one wchodzi do rzeki, zanurzają nogi, woda sięga im już po brzuchy, jeszcze na nich siedzimy, ale oto już głębina,

konie zanurzają się, widać tylko ich łby, które wyciągają i kładą delikatnie na wodzie, poruszają nimi ostrożnie, sprawdzają ułożenie; i my się zanurzamy przy prawych bokach koni z lewą ręką położoną na kłębie albo trzymając kosmyk grzywy.

Słysząc głośnie, raz po raz kroplistym prychaniem przygłuszone, miarowe oddechy zwierząt, co jakiś czas prawa przednia noga konia muśnie lewe udo jeźdźca...

Jesteśmy przy tych zwierzętach jak przy dobrych matkach, które bezpiecznie przenoszą nas na drugi brzeg...

— Koniu mój — szepnąłem albo tylko pomyślałem i ty, czcigodny wykładowco, chyba też; a może właśnie to wymykające się wszelkim badaniom, nie dające się wziąć na żaden naukowy warsztat, to, co kazało nam powiedzieć — koniu mój — gdy byliśmy już na dużej wodzie i płynęliśmy głębinnym, granatowym pasmem, sprawia, że przepłynięcie rzeki razem z koniem góruje nad wszelkimi pięknościami świata...

— Popłyniemy tym raz granatowym, a raz ciemnozielonym pasmem, nie będziemy zbaczać ku pasmom jaśniejszym, będziemy się trzymać idącej ukosem strefy głębinnej, aby nie przerywać płynięcia stąpieniem po dnie wody płytszej...

— Ominiemy z daleka wyspę, aby nie wpaść w ukośne wiry pod wyspę, na które, gdy zagarną płynącego, nie ma już ratunku...

— Koniu mój — jakby to zabrzmiało w nocy na środku rzeki; w nocy przy koniu na głębinie to już nie tak jak przy dobrej, to już jak przy najlepszej matce...

Przypomnij sobie, czy zdarzyło się, że przepłynęliśmy rzekę w nocy — spytałem cię rano, gdy zbudziłeś się w tej twojej stodole...

A ty na to — co ci przychodzi do głowy, Michałku...

I jeszcze ty — dlaczego się o to pytasz, Michałku...

I jeszcze ty — dlaczego nagle się o to pytasz, p₀. wiedz...

Nie odpowiedziałem ci, czcigodna podpora nauki, o tych namowach w sadzie, gdyż bałem się, abyś się nie domyślił, że chcę nocą przepłynąć rzekę przy boku konia, rzekłem tylko — samo się to skądś wzięło...

Ale jednak coś cię przeniknęło i byłeś trochę zaniepokojony, bo po chwili milczenia, gdy już stałeś na sianie, powiedziałeś — nie próbuj nocnej wyprawy za rzekę, nie próbuj, niech cię Bóg broni...

Ale jednak to, co mi powiedział w sadzie ten nie ujrzany człowiek, siedziało we mnie i siedziało i chęć przepłynięcia rzeki nocą przy boku konia była ode mnie silniejsza.

Wiedziałem, że nie powinienem tego robić, ale to było silniejsze ode mnie i zrobiłem; wszystko, co było we mnie, uderzyło w tę chęć urządzenia nocnej wyprawy na drugi brzeg rzeki i — mogę powiedzieć — cały Michałek wściekle rzucił się na tę chęć, ale ona była mocniejsza od Michałka i on wybrał się nocą na swoim Gniadym, aby przepłynąć rzekę.

Przyszła chwila, w której usłyszałem cichy szum, szept nocnej rzeki — przyjedź, Michałku, przyjedź; uwierzyłem jej, bo tyle mi naobiecowała... — Jeśli się odważysz, przepłyniesz na drugi brzeg i razem z twoim koniem staniesz po tamtej stronie; a jeśli będziesz jeszcze bardziej odważny, to możesz płynąć i płynąć i być coraz bardziej odważnym, płynąć i płynąć aż do najodważniejszej odwagi, która sprawi, że nie ulękiesz się nawet ukośnych wirów podwyspowych, że zakpisz z ludzi i tego ich nieustannego powtarzania — przekłete oczy Michałka...

Poddałem się tym namowom i nawet nie śmiałem pomyśleć — nie zwódź mnie, nocna rzeko.

— Spałeś mocno, szanowna profesorska osobo, orędowniku nowoczesności, gdy wysmyknąłem się cicha

czem ze stodoły; po zapłociu pobiegłem do naszej stajni, wyprowadziłem Gniadego, dosiadłem go i ruszyłem polami do rzeki...

— Jesteś wspaniały, Michałku, bo jedziesz sam do brzegu dużej wody, nie boisz się, zuch, choć jest noc i rzeka cię namawia; nie ma takiego drugiego zucha na całym świecie, tyś zuch nad zuchami, bo oparłeś się samemu sobie i dałeś się namówić rzece...

— Któż tak jak Michałek dojechał o późnej nocnej godzinie do brzegu dużej rzeki, zatrzymał się na nim i odważnie wpatrzył się w dużą wodę, która w nocy równa się z ciemnością i jest jak nie rzeka, lecz ruchoma noc, przedzierająca się pobieloną piachem ziemią...

— Gdzie jest taki zuch, który by jak Michałek zdjął z siebie odzienie nie schodząc z konia, a potem wjechał na nim do cieplej nocnej rzeki...

— Koniu mój — szepnąłem zaraz na początku strefy głębinnej, gdy tylko Gniady wyciągnął się i ułożył łeb na nocnej wodzie, i zaczął przebierać nogami, a ja zsunąłem się z niego i zająłem miejsce u jego boku...

— Popłyniemy długim pasem głębiny do drugiego brzegu czy skrócimy sobie drogę i przedrzemy się przez ukośne wiry przywyspowe — powiedz mi, koniu...

— Bać się czy nie bać ukośnych wirów przywyspowych, doradź mi, koniu...

— Na ukośnych wirach przywyspowych nie ma ratunku — koniu mój, powiedz, co to znaczy...

— Koniu mój, pilnuj mnie, bo mi się spodobały słowa — nie ma ratunku — tak mi się spodobały, jak pociecha...

— Koniu mój, pilnuj mnie, gdy skieruję twój łeb w stronę wirów ukośnych, nie słuchaj mnie i płyn dalej pasmem głębiny prowadzącej do drugiego brzegu...

Są wiry, które wwiercają się prosto do dna na peł

nej wodzie; gdy się w nie wpada w chwili, w której człowiek nie chce przerwać patrzenia na świat i cho-

— Idzenia po ziemi, w której człowiekowi pachnie jeszcze życie, to można się uratować; wystarczy przeczołgać się kilka metrów po dnie i wypłynąć za kołem wirującego leja, i znów chwycić powietrze i czepić się życia, które chciał nam odebrać ten wir; ale zdarzają się także umiłowane przez ryby ukośne wiry przywyspowe, które wpadającego w nie rzucają pod brzeg wyspy i wtedy nie ma ratunku, bo nie można wypłynąć, bo jak to zrobić, gdy nad głową jest ciężki dach z ziemi, którego się nie przebije, i wtedy zostaje się w tym rybim domu...

— Wiry ukośne, wiry ukośne, moje dobre wiry ukośne — koniu mój, dlaczego mi pozwalasz tak myśleć...

W chwili gdy to pomyślałem czy może nawet szepnąłem, ujrzałem małe światło naftowej latarki i usłyszałem twój, czcigodny filarze nauki, łagodny głos — za mną Michałku, za moją łódką...

Płynąc za łodzią, zatoczyłem łuk na głębiny i wyszedłem na ten sam brzeg, z którego wjechałem w wodę.

Później robiąc mi wymówki i gniewając się na mnie za tę moją nocną wyprawę, nazwałeś namowy w sędzie drugim kuszeniem.

— Robota jeszcze nie skończona — mówiłeś do mnie, bo najpierw było kuszenie powrozem, a teraz jest kuszenie nocną rzeką; i jeszcze powiedziałeś — nie daj się skusić, Michałku — i powtórzyłeś to.

Gniewałeś się i byłeś smutny, i znów się gniewałeś, i nawet w gniewie krzyknąłeś — październik nadchodzi, a śledzenia i różne namowy nie ustały i oczy twoje nie są jeszcze bezpieczne...

Po drugim kuszeniu przekonywałeś ludzi ze zdwojoną energią, słyszało się twój donośny głos na małym

bloniu, gdzie wieczorami gromadzili się ludzie, w izbach, pod okapami obór, przy płotach, na polach...

Na początku września twarz twoja poweselała, bo zwiększyła się ilość przekonanych; tak się zwiększyła, że pozwalałaś mi wychodzić w dzień do sadu, a nawet przecinać główną drogę i zapuszczać się do małego błonia i na plac festynów.

Ale w czasie takiego jednego wypadu na małe błonie, w dniu, który zaczął się dobrze, w którym obudziłaś się z twarzą spokojną, a nawet zadowoloną, i powiedziałeś jakby w radosnym podnieceniu — październik przywita cię dobrocią, Michałku, już w pierwszych dniach października odczujesz ludzką dobroć, zdążę, Michałku, zdążę...

Właśnie w takim dniu, idąc na małe błonie, znalazłem na wąskiej ubitej ścieżce między wierzbami kartkę, na której było napisane — wejdz, zuchu, na sam wierzchołek tej starej wysokiej topoli, która rośnie przy organistówce, a ujrysz najdalszy krąg świata...

I znów, czcigodna uniwersytecka persono, powtórzyło się to samo, co z nocną wodą; wiedziałem, że nie powinienem wdrapywać się na tę kruchą topolę, ale chęć ujrzenia najdalszego kręgu świata była silniejsza ode mnie i to, co było moim rozumem, stało się ma-
lutkie i słabe wobec tego, co było moim pragnieniem, i postanowiłem, że muszę z wierzchołka wysokiej topoli zobaczyć ten najdalszy krąg...

Bo jeśli chodzi o bliższy krąg, to go widziałem, tak jak i ty, szanowny wykładowco, z gałęzi wierzby albo z kalenicy stodoły; mieściły się w nim pola, prosta, różowym żwirem wysypana droga i skraj rozległych traw, opadających ku rzecznej grobli, ale grobli już nie.

A i krąg dalszy mogliśmy oglądać przez dziurę w gontowym dachu kościoła; ukazywały się nam wtedy całe łąki, a także rzeczna grobla, wikliny i za nimi bładawy, niewyraźny, migotliwy, raz zjawiający się

a raz znikający połysk, na widok którego wykrzykiwaliśmy — rzeka, o rzeka — choć nie był on do wody podobny i człowiek nie obeznany z tą ziemią nie mógłby go inaczej nazwać, jak tylko migotliwym, bladawym połyskiem.

Ale najdalszego kręgu żaden z nas nie widział, bo można go było zobaczyć tylko z kruchego wierzchołka topoli, na który zabroniono nam się wdrapywać.

Ale w tamtym dniu dostałem pozwolenie, czarne na białym, pozwolono mi i nawet doradzono, bo oczy moje straszły ludzi i mówiono na nie — przeklęte ślepiec Michałka.

Myślałem mocno o tym najdalszym kręgu świata, próbowałem sobie przedstawić, co w nim ujrę, przychodziły mi na myśl małe stawy połączone wodnymi przesmykami, ten wodny różaniec ciągnący się za wąskimi zagonami pól, i cała rzeka od brzegu do brzegu, ziemię za rzeką porosłe ciemnymi, nie znanymi drzewami, dalekie mgły, za którymi chyba już nic nie ma, tylko dalsze i dalsze mgły.

Coś mnie naszło i ucieszyłem się, że w tym najdalszym kręgu świata ujrę rzeczy i barwy, których nie sposób sobie przedstawić, bo są bardzo dziwne i myśl do nich nie dojdzie; i nabiłem sobie głowę pragnieniem ujżenia tych przedziwności, do których można sięgnąć z kruchego i cienkiego końca drzewa, i na nic nie zważałem, jakby nikogo na świecie nie było oprócz mnie i tej topoli.

W biały, bielutki dzień zacząłem wdrapywać się na to drzewo; szybko, przez nikogo nie zauważony, dotarłem do bliższego kręgu świata, a później, schowany w gałęziach drzewa, sunąłem do gałęzi, z której ukazuje się dalszy krąg, a później dalej, do wysokości, skąd można już ujrzeć niektóre rzeczy i kolory przynależne do kręgu najdalszego.

Chwyciłem rękami kolejną gałąź, a potem stanąłem

na niej nogami i wtedy w prześwicie między liśćmi ukazała mi się rzeka, cała, inna, nie ta oglądana z ziemi, z bliska, ale ta widziana z daleka i z góry, żaden bladawy połysk, lecz sama jaskrawość, nie woda, a rozpalony do wielkiej gorącości pas ziemi w białych ramach.

Zdawało mi się, że ta gałąź, na której stałem, lekko zatrzeszczała, a ta, której się trzymałem, ugięła się nieco; ale co to znaczy taki trzask i takie ugięcie gałęzi, gdy przede mną taka odmieniona rzeka; co znaczą te roznoszone po wsi przez ludzi statecznych przestrogi mówiące o kruchości i łamliwości topolowego drzewa, gdy przede mną to rzeki najjaskrawsze przemienienie...

Znów się podniosłem i stanąłem nogami na gałęzi, którą przedtem trzymałem rękami, i znów wyżej, i wtedy ukazał się czarny skraj ziemi zarzecznej, nie czarny, a najczarniejszy, bo wspomożony przez jaskrawość rzeki i zepchnięty tą jaskrawością na samo dno czarności...

Znów wyżej, i wtedy, szanowny profesorze, twój natarczywy, nieznośny krzyk — Michałku, na miłość boską, co ty robisz, schodź w dół, natychmiast schodź w dół...

Gdy stanąłem na ziemi przy grubym pniu drzewa, zauważyłem, że byłeś blady, potrząsałeś rękami i pytałeś się — co ci znów przyszło do głowy, kto cię do tego namówił...

Opowiedziałem ci, że między wierzbami znalazłem kartkę, w której mnie namawiano, abym z wierzchołka topoli zobaczył najdalszy krąg świata i że pragnieniem ujrzenia rzeczy nim objętych mocno, do nieprzytomności nabiłem sobie głowę.

Gdy wracaliśmy do domu, byłeś znów smutny i mówiłeś — tyle pracy, tyle słów, próśb, krzyków i znów kuszenie, trzecie kuszenie, po kuszeniu powrozem i noc-

ną rzeką ktoś wpadł na pomysł, aby cię kusić wysokim, najwyższym na tej ziemi drzewem...

Wspomniałeś też o nadchodzącym październiku i kilka razy powtórzyłeś — październik blisko, październik blisko...

Byłeś jednak wytrwały i twardy jak żelazo i znów można było usłyszeć, jak przemawiasz do ludzi, jak wołasz — ludzie, na miłość boską, ludzie, zrozumcie...

Doszedłeś wtedy do przekonania, że nie należy mnie ukrywać przed ludźmi, powiedziałeś — idź na wieś, między drzewa, ukazuj się na błoni, a ja wtedy będę wołał — przecież Michałek chodzi po wsi i nic złego się nie dzieje; i jeszcze dodałeś — nastał przecież pomyslny czas, krowy doją się dobrze i dzieci nie umierają...

Pamiętam, że pewnego razu wzięłeś mnie z sobą i podeszliśmy do kilku starych ludzi, i ty do nich mówiłeś — przyszedłem do was z Michałkiem; czekałeś, aby ktoś powiedział — to dobrze, że przyszliście we dwójkę — ale ludzie milczeli, więc ty znów do nich — miły, dobry jest Michałek i ma piękne, dobre oczy...

Ale i po tych słowach było milczenie; wzięłeś mnie za rękę i przysunąłeś bliżej ludzi, tak blisko, iż mogłem zauważyć, że oddychają szybko, że mają brudne, dzikie twarze i patrzą w dół...

Tyś potem to patrzenie w dół wziął za ich wstyd, bo mówiłeś — to są ci najzawziętsi, a jednak wstydzą się; ale ty się wtedy, czcigodny wykładowco, chyba na nich nie poznałeś, bo to patrzenie nie było z zawstydzienia...

Sto przyczyn może mieć patrzenie w dół, może być ze strachu, z wściekłości, z bólu, z uporu, z jakiejś szalonej, bezrozumnej wierności, a ty zaraz — oni się wstydzą, to dobrze...

Po trzecim kuszeniu twój smutek, czcigodny profesorze, nie trwał długo i wnet przyszła nadzieja, bo we

wsi nic złego się nie działo, ja chodziłem po polach i drogach, zapuszczałem się między drzewa sadów i w wąskie przesmyki między zabudowaniami.

Nadziei przybywało, bo na twoje słowa — widzicie, Michałek chodzi sobie po wsi i nic złego się nie dzieje — coraz więcej ludzi przytakiwało dobrodusznie głowami; nawet paru z tych zajadłych po twoich z nadmierną swobodą i wesołością wypowiedzianych słowach — niczemu nie winien Michałek — poruszyło nieznacznie głowami z góry na dół, co według ciebie było już przejściem od „nie” do „tak”, co może nie znaczyło jeszcze — tak, na pewno tak — ale było już jakby trochę przyjaznym pomrukiem — no chyba tak, no może tak...

Znów zacząłeś patrzeć łaskawie na zbliżający się październik, znów ujrzałeś słoneczną, ciepłą jesień, a pod tym jesiennym słońcem dobrych, mądrych ludzi...

Już nie mówiłeś — zdążę — a wykrzykiwałeś — zwycięzę, na pewno zwycięzę...

Nie przewidziałeś, filarze nauki, że pewnego dnia, wcześniej rano, najtęższa sztuka w chlewie gospodarza, który mieszkał nad małym stawem, wepchała ryj w słomę i nie chciała przyjść do koryta napełnionego ciepłym jadłem.

Chłop znał się na rzeczy, więc struchlał, bo to był pierwszy znak pomoru; bo gdy nadciąga pomór, zawsze się tak zaczyna, w jakimś chlewie jakaś sztuka włązi w słomę podściółki, jakby się chciała ukryć przed pomorem, który przecież już ją dopadł i uczynił wybranką pierwszej śmierci.

Chłop ma jeszcze nadzieję, choć właściwie już jej nie ma, ma i nie ma, nie ma i ma, bo może nagle temu zwierzęciu zapachniała słoma albo się ono na coś obraziło, albo może zachciało mu się jakiejś igraszki, może zwierzę zwodzi gospodarza...

Chłop ma jeszcze nadzieję, choć jej nie ma, ale

jeszcze ma i czeka, czy zwierzę wróci do koryta, czy nie i czy na jego białej skórze pojawią się różowe plamy...

Zwierzę nie wraca do koryta, ale skóra jest jeszcze biała, nawet bielsza niż przedtem, bo wyczyszczona przez to zanurzenie się w świeżej podściółce, której teraz chłop nie żałuje; jest tak biała jak skóra kobiety i chłop ma jeszcze nadzieję...

Ale oto różowy kwiat śmierci zaczyna wykwitać tuż za brzegiem kłapciatego ucha; ale chłop ma jeszcze nadzieję, choć jej nie ma, ta różowość tylko ledwie, ledwie różni się od bieli i gdy jest wsparta nadzieją, ta nikła różowość staje się bielą i w pewnych chwilach zwierzę staje się anielsko białe.

Ale do koryta nie wraca i chłop nie ma nadziei i teraz już jej naprawdę nie ma, bo ta różowość za uchem pięknieje w swej kwiecistej różowości, co znaczy, że ponad wszelką wątpliwość powiało pomorem i sztuka padnie...

I wtedy ten wściekły, zajadły chłop zadaje samemu sobie dziwne pytanie i sam sobie na nie odpowiada — był tu czy nie był, był, nie był, musiał być, plątał się przecież nad brzegiem stawu, więc mógł wejść na obejście i zajrzeć do chlewika, był, nie był...

Biegnie z tym do najbliższego sąsiada, a sąsiad wpatrzony w zmierzwioną słomę, w której schowała się jego sztuka, i dalszy, i najdalszy sąsiad wpatrzony uważnie i boleśnie w swoje zwierzę, które nie podchodzi do koryta i na którym różowo zakwitają znaki śmierci.

Pomór niby cichy, najcichszy wicher wieje po wsi, wciska się do chlewika przez szpary w drzwiach i w ścianach i jak duch przechodzi przez szczelne zamknięcia, bo dla pomoru jak dla ducha nie ma ani zamknięć, ani grubych ścian, ani najgrubszych murów...

— Przesmykiwał się przecież obok naszych płotów,

w których furtki były otwarte, i błyskał tymi swoimi czarnymi, rozgrzаныmi ślepiami...

— Mógł przecież wejść na podwórze i zbliżyć się do chlewików...

— On, na pewno on...

— To on przyniósł pomór — wymrukiwali grubo i klęli wściekle, grzebiąc swoje różowe, jakby dużymi płatkami kwiatów oblepione, martwe zwierzęta.

Jak wiesz, szanowny wykładowco, otoczyli mnie na małym błoniu w czas wykopków; wybiegłem na nie, choć wyruszając wozem po ziemniaki, powiedziałaś mi — siedź w stodole i nie wychodź z niej...

Ale skorzystałem z twojej nieobecności, otworzyłem wrota stodoły i wyszedłem, bo zatęskniłem bardzo za światem.

Otoczyli mnie ci zajadli i nie przekonani albo tylko trochę przekonani, a gdy znalazłem się w tym przez nich utworzonym ciasnym kole, stałem się nagle bardzo mądry i zrozumiałem, że -chcą mnie zabić.

Powiem ci, szacowna podporo nauki, że Michałek w tym kole wściekłych i nie przekonanych stał się tak mądry, że zaczął się bać jak nigdy przedtem, a ta mądrość, która nagle we mnie wstąpiła, pozwoliła mi wybrać najzjadlejszego i doradziła, abym się w niego wpatrzył; i tak się stało, i to sprawiło, że on nie podniósł na mnie ręki.

A potem wpatrzyłem się w drugiego, który zaczął podnosić dłoń, a potem w takiego, który zacisnął pięść...

Przechodziłem oczami po wszystkich i kręciłem się w kółko, coraz szybciej się kręciłem, aby któryś z nich nie miał zbyt długo przed sobą moich pleców i nie uderzył w nie...

Bo plecy nie mają oczu, są ślepe i nie mogą powstrzymać ciosu, i nie mogą, jak oczy, nikogo zawstydzić i nikomu przypomnieć, że jest człowiekiem, i jakby szepnąć czule do tego, który ma wściekłą twarz i za

ciśnięte pięści, bo chce zabić — nie zabijaj mnie...

Dlatego ten, który stał się tak nieszczęśliwy, że pomyślał — zabiję go — woli uderzyć w plecy i tył głowy niż w pierś i między oczy, woli być nie widziany, bo choć w tym momencie jest szalony i bezwstydy, to jednak troszeczkę się wstydzi i woli, aby jego ręki nie widziały zdziwione i przenikliwe, szeroko otwarte oczy zabijanego...

Dlatego, ratując życie, kręciłem się w miejscu, wirowałem niby bąk, wykonywałem jakby dziwny śmieszny taniec; tak że ktoś stojący z boku i nie znający sprawy mógłby pomyśleć — błazen tańczy, a ga- wiedz się przygląda; choć mógłby także zdziwić się i pomyśleć — dlaczego ta gawiedz się nie śmieje, dlaczego nie wybucha śmiech...

Dowiedziałeś się z pewnością i tego, szanowny wykładowco, że w pewnej chwili w tym kole wściekłych i nie przekonanych powstała przerwa, jakby otwarta furtka i że Michałek, ten już mądry Michałek, od momentu gdy został wzięty w pierścień dzikich i zajadłych, przedarł się przez tę furtkę i zaczął uciekać w kierunku krótkiej i wąskiej drogi, która przecina wieś w poprzek i biegnie między dwoma wysokimi płotami; i wiesz także, że wściekli i nie przekonani rzucili się za mną w pogoń.

Idziesz, czcigodna naukowa persono, aleją parku pośród jazgotu tych twoich młodych i niemłodych zagorzałych wielbicieli, jesteś w tej alei albo w kawiarni, a może już wyzwolony od twoich natrętnych słuchaczy stąpasz z udaną, sześćdziesięcioletnią dziarskością po schodach twojego domu, a w gruncie rzeczy tkwisz w tamtej chwili i gdy ja uciekam przed nie przekonanymi, ty wracasz wozem z pola i wiesz ostatnią, niepełną furę ziemniaków i już dojeżdżasz z przeciwnej strony do tej samej drogi, do której ja biegnę.

Konie twoje jeszcze się nie spłoszyły, ale za moment

wiatr rzuci im pod nogi jakiś stary zeschnięty papier albo uschniętą gałąź, odpadłą z dzikiej gruszy, i one się spłoszą, staną się szalone i zaczną w galopie pędzić do gardzieli tej drogi; bo z końmi tak bywa, że nie straszne są dla nich burze i nawałnice, duże wody i ogromne ciężary, a strzęp papieru, furkot suchej gałęzi lub skrzydeł malutkiego ptaka albo co innego bardzo drobnego rzuca je w szaleństwo.

Czas posunął się do przodu o kilka sekund, ja już wbiegłem w to międzypłocie, a ciebie niosą z przeciwnej strony szalone konie, które na próżno starasz się zatrzymać, napinasz lejce i szarpiesz nimi, ale to nic nie daje, bo wiadomo przecież, jak jest z szalonymi końmi, że one niby wściekle walczące psy zaciskają zęby i biorą wędzidła w szczęki, i otrzymując ogromną siłę od szaleństwa, nie boją się żelaza w pysku; i nie muszą opierać piersi o chomątą, bo samymi szczękami mogą pociągać wóz tak, jakby to nie były konie, lecz lwy.

Czas znów posunął się do przodu o kilka sekund i ty ujrzałeś mnie na tej drodze, choć tak bardzo byłeś zajęty wyprowadzaniem koni z szaleństwa; i musiałeś także dojrzeć tych zajadłych i nie przekonanych, którzy pędząc za mną, dobiegali do tej drogi.

Czas znów posunął się do przodu o kilka sekund i twoje szalone konie dogalopowały już do miejsca, gdzie rozwidła się polna droga i jedno jej ramię wsuwa się w to międzypłocie, do którego ja już wbiegłem, a drugie odsuwa się lekko od płotów i omija ten przesmyk, w który mnie wpędzili nieprzejednani i nie przekonani.

Ty, czcigodny filarze nauki, wiesz, jak jest z szalonymi końmi; że nie można ich powstrzymać, gdy pędzą, ale można nieznacznym szarpnięciem lejca zmienić nieco kierunek ich szalonego biegu; i tyś mógł wprowa-

dzić je na tę drogę, która omija międzypłocie; ale nie uczyniłeś tego.

Dlaczego nie chciałeś ominąć drogi między płotami, dlaczego w miejscu, gdzie zaczyna się rozwidlenie, zeskoczyłeś z wozu i puściłeś konie między płoty...

Czas znów posunął się do przodu o parę sekund i Michałek jest w środku międzypłocia, za jego plecami dobiegają do gardzieli drogi ci nie przekonani i wściekli, przed sobą ma szalone konie, a ty, szanowny wykładowco, siedzisz tuż przy tej wąskiej drodze i trzymasz głowę w dłoniach...

Konie były szybsze niż ci zajadli nie przekonani; przedstaw więc sobie jeszcze, nim po spożyciu czegoś lekkiego i rozebraniu się dojdiesz na paluszkach do szerokiego łoża, w którym budzi się z pierwszego snu twoja młoda żona, dwa łby szalonych koni nad moją głową i te rzeczy dalsze, trzask płotu, rozbicie wozu, rozsypanie ziemniaków, a także moją i twoich koni śmierć.

Ale nim wejdiesz w to szerokie łoże i nim odczujesz ciepło swojej kobiety, powiedz jeszcze, szanowny profesorze, z kim byłeś i po czyjej stronie stanąłeś wtedy, gdy zeskoczyłeś z wozu i puściłeś szaleństwo swoich koni w tę wąską drogę między wysokimi płotami...

Czy nagle coś się z tobą stało i ujrzałeś się w swojej nie znanej ci głębinie, i wybrałeś tych wściekłych nie przekonanych, i zjednoczyłeś się z nimi w tej sekundzie, czy wybrałeś mnie i byłeś ze mną; powiedz, co chciałeś załatwić przed październikiem, który miał nadejść pojutrze... Nie odpowiadasz, nie wiesz, nie wiesz...

KONIEC NOWELI

WIELKA PSOTA

Uniósł tę do kantu ociosaną belkę za jeden koniec i założył ją sobie na ramię, i później przesuwając ją po nim aż do punktu, w którym oderwał się od ziemi jej drugi koniec i cała belka falując nieznacznie z góry na dół, z dołu do góry spoczęła na jego karku.

Wtedy ci, którzy byli przy nim i którzy świetnie znali się na ciężarach i na oko umieli ocenić wagę różnych rzeczy, zdziwili się i lekko przydławieni tym zdziwieniem powiedzieli śpiewnie, przeciągle, jakby rozpoczynali pieśń — silny...

A potem jeszcze bardziej się zdziwili i wyśpiewali — ho, ho — gdy z tą belką przeszedł cały sad i zbliżył się do ściany domu i dopiero tam zrzucił ją z siebie, wykonując swoim ciałem umiejętny przechył i unik.

I to, że on jest silny, zaraz poszło w wieś, bo takie coś idzie między ludzi, bo jakby mogło nie iść...

Więc ci starsi mówili — ten Nowy jest cholernie krzepki; a inni starsi — jest sakramencko mocny; a młodzi — ma siłę nie z tej ziemi...

Przybył do tej wsi, bo jego wieś poszła pod miasto i fabrykę; nabył budynki i kawałek pola od starego chłopca, któremu straszliwie osłabły nogi i nie mógł się ruszać, i musiał się przenieść do dzieci; i teraz ten stary, ta wiązka chrustu jest gdzieś na łasce syna inżyniera i jego żony czy może na łasce córki nauczyciela-

•cielki i jej męża, na tej łasce, która — jak mówią niektórzy — smakuje niby miód zmieszany z pieprzem.

Więc najpierw o tym Nowym, o tym przybyszu, powiedziano na różne sposoby, że jest ogromnie silny; a potem, że zna się na ciesielce i umie zabrać się do naprawy domu; bo ten nabyty przez niego dom musiał "być naprawiony.

Budynki gospodarskie — stajnia, obora, chlew, a takie stodoła były w dobrym stanie, ale dom, choć duży i w środku przestronny i dogodny, miał przypróchniałe i podgniłe przyciesie, które musiało się wymienić.

Początkowo zza płotu, a potem wprost, z bliska, ludzie patrzyli na Nowego naprawiającego ściany domu; •widzieli, jak z wielkim znanstwem opukiwał siekierką stare belki i jak siekierka łatwo w nich „tonęła", i jak się z tego „przyziemnego" drewna sypał wierzchni, jasny kurz, a z głębi wyciekała wilgotna, szerniała próchnica.

A potem mogli zobaczyć, jak on wydzierał spod domu stare belki i podbijał nowe i jak ten dom został -opasany dołem białym, nowym drewnem.

Zaczęli wieczorami przychodzić do niego; siadali na starej albo nowej belce i gwarzyli z nim o starych domach, które jeszcze gdzieniegdzie się ostały, i o domach nowych; wpatrywali się w niego badawczo, no 1x> tak po wierzchu, jeśli chodzi o postać, już go pogнали; mieli przed sobą wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę o smagłej twarzy i mocno zarośniętej głowie; wiedzieli, że jest silny i że umie poprawić dom; przydybali go na umiejętnej wymianie przyciesi; ale ludziom to nie wystarczało i chcieli go przydybać jeszcze na czymś i jeszcze na czymś...

Ten i ów pomógł mu nieznacznie w robocie, stuknął w klin przy podbijaniu belek albo pottrzymał przy drewnie poziomicę, albo razem z nim dopchnął drew

no na niskie podkłady i unieruchomił je przed ociosowaniem.

Za tę małą pomoc Nowy odpłacał zawsze długą i z niejakim rozczeniem wygłoszoną podzięką, a także zapewnieniem, że przy pierwszej okazji odrobi to u tego, który mu pomógł.

I to też poszło w wieś, bo wszystko o przybyszu szło między ludzi, bo jak mogło być inaczej.

Więc ludzie gdzieś w sadzie, na drodze albo przy płocie, przez szparę między sztachetami powiedzieli jeden drugiemu lub jeden całej grupie, że gdy się coś zepchnie u Nowego, gdy się po prostu z nudów coś mu dosunie, poda albo czymś stuknie w obrabiane przez niego drewno, on rozczula się i dziękuje długo.

Nie obeszło się bez tego, że ktoś dopowiedział — taki silny, a zachowuje się jak dziecko; i że jeszcze któryś młody dorzucił — chłop jak byk, a rozkleja się jak niemowlę i dziękuje z łezką w oku.

Ta jego łezka to było wielkie odkrycie i wieś się jej czepiła, i ludzie stali się bardziej swobodni, a ktoś nawet powiedział śmiało — taki jakiś śmieszny jest ten Nowy.

Gdy podbił pod dom cztery belki i zasabrował szpary i gdy zrobił porządek w budynkach gospodarskich, powiedział sąsiadom, że idzie po inwentarz, że przyprowadzi trzy sztuki, dwie krowy i konia.

W dniach, w których był nieobecny, wieś nieustannie rozprawiała o nim i w końcu ludzie doszli do wniosku, że on naprawdę jest śmieszny.

Pomogli im w tym więcej kpiarze, gdy „wzięli na tapetę” tę jego łezkę, która formowała się przy wygłoszaniu podzięką, i te jego łapy wyciągnięte do pomocnika, i tę jego rozmazaną twarz.

Młodzi kpiarze umieli tak poprowadzić gadkę, że ludzie zaczęli się śmiać, coraz głośniejsze, coraz głośniejsze...

Ktoś jednak przypomniał, jak on dźwigał tę ciężką

belkę, jak sam założył ją sobie na bark; i wtedy zro- | biła się cisza; ale jeden z kpiarzy przerwał milczenie słowami — wielka mi rzecz takie dźwignięcie.

Wtedy ten i ów zaczął sobie przypominać różnych ludzi we wsi i wreszcie ktoś wymienił kilku, którzy mogliby taką belkę założyć na siebie bez niczyjej pomocy.

Potem wieś rzuciła się do lubej rozmowy o inwentarzu przybysza, o tych trzech sztukach, które się jeszcze nie zjawiały w rzeczywistości, więc zjawiały się raz po raz w wyobraźni w różnych krowich i końskich postaciach, najczęściej jako chude, oblepione gnojem cie-. nie dwóch krow i jednego konia.

Kpiarze od razu się włączyli i jeden z nich powiedział — długo nie widać Nowego, bo pewnie na trudniejszych trasach przenosi te sztuki na plecach.

Wszyscy zaczęli się śmiać, a potem wpatrzyli się w tę szeroką, ginącą w młodych topolach drogę, na której powinien się zjawić Nowy wraz ze swoim dobytkiem; i wtedy jakby na zawołanie z zieloności drzew wynurzył się człowiek na koniu i trzymane przez niego na powrozach dwie krowy.

Nastąpiła cisza, jakby makiem zasiał, i wszyscy wlepili oczy w ten orszak, który wyszedł z gęstwiny topól, i zaraz rozpoznali Nowego, i czekali w milczeniu, aż się zbliży.

I oto pojawił się przed nimi Nowy siedzący na pięknym, ciężkim perszeronie szroniastej maści, a obok lśniące w słońcu czystą sierścią dwie ciemnobordo krowy.

Zatrzymał się ze swoimi zwierzętami i uśmiechnął szeroko; miał przed sobą ludzi, którzy nie wiedzieli, co powiedzieć, i byli jak zamurowani, bo z pewnością pomyśleli sobie, że nie może być śmieszny człowiek, który ma takie krowy i takiego konia. Nie do zniesienia była ta cisza i wreszcie ktoś rzekł—■

ładne sztuki — wtedy Nowy trącił konia w bok obcasem i ten orszak potoczył się wolno w kierunku jego zabudowań.

Pozostała jeszcze ziemia, ciężka, na niskiej dolinie rozciągnięta, kapryśna.

Wieś była ciekawa, jak on się do tej gleby zabierze, jak ją będzie uprawiał; ludzie mu nawet o niej opowiadali i doradzali to i owo, ale co innego słowa, a co innego wziąć się za ziemię.

Ludzie mu doradzali, ale myśleli sobie, że ta gleba zakpi z przybysza i nie posłucha go; i wtedy go przy- łapią na takiej chwili, w której on nie będzie mógł pojąć tej ziemi, na tej chwili, gdy złapie się za ten swój kudłaty łeb i szepnie sam do siebie — co jest, co jest z tą ziemią...

Dawali dobre rady przybyszowi, ale równocześnie pragnęli, aby ich ziemia niby wierny pies rozpoznała obce ręce i obcy pług i nie dała się ugłaskać.

Ale gdy Nowy zaczął robić odpływy dla wody, której- jeszcze nie było i nie zanościło się na nią, bo rok był skąpy w deszcze, zrozumieli, że on przeniknął ich glebę i że on się nią nie sparzy.

Potem przekonali się, że Nowy wie, co z tą glebą zrobić, aby dała dobry plon, i nie przyłapali go na pomyłce przy orce, siewie i innych robotach, które rozpoczął po sprowadzeniu inwentarza.

Gdy po skończeniu pilnych robót przywiózł różne domowe graty, ktoś szepnął — ciekawy jestem, jak sobie urządził dom w środku, i od razu ten pierwszy ciekawski zaraził swoją ciekawością innych i wielu zadrżało z ochoty przestąpienia progu domu przybysza, wejścia do sieni i porozglądania się, a potem wsunięcia się do kuchni i do dużej izby i zobaczenia wszystkiego, co tam jest, i naocznego przekonania się, jakie meble przywiózł Nowy i jak je poustawiał.

Nietrudno przecież zaspokoić taką ciekawość, można

było z łatwością wybrać taką chwilę, gdy siedział w domu, i pójść do niego po jakąś drobną pożyczkę, po zapalki albo po ten zgrabny toporek, którym ociosy- wał belki, albo po waserwagę.

I tak się stało, i ci, którzy jako pierwsi obejrżeli wnętrze jego domu po przywiezieniu i ustawieniu różnych gratów, odpowiedzieli we wsi, że w sieni jest przybity do ściany drewniany wieszak, a na nim wiszą stare ubrania, i że w kuchni stoi szeroka, wygodna do siedzenia ława z oparciem, a w izbie jest szafa z błyszczącymi drzwiami, stół przykryty bladoniebieskim obrusem w drobne kwiaty, cztery ciężkie, brązowe krzesła i szerokie, drewniane łóżko z dużą pierzyną i dwiema dużymi poduszkami.

Duże łóżko, duża pierzyna i dwie duże poduszki, czyli to łóżko przygotowane na dwie osoby, było najciekawsze z wszystkiego; i zaraz znalazł się jeden, który odczytał myśli całej wsi i bieg ludzkich wyobrażeń i powiedział — dlaczego jej jeszcze nie ma; i od razu drugi poruszony ciekawością niby tajemnym motorkiem i lekko drżący dorzucił — ciekawy jestem, jak ona wygląda; a trzeci, spokojniejszy od tych dwóch — może już jutro przyjedzie i zobaczymy ją.

Nastaly dni, kiedy ludzie dość często przebiegali wzrokiem szeroką drogę wsi i brali na oko nawet ten topolowy zagajnik, gdyż wyczekiwali momentu, w którym z tego kłębowiska jasnej, tak jasnej, że aż niekiedy białawej zieleności wyłoni się postać obcej kobiety, która wyminawszy trzy pierwsze domy, skręci z głównej drogi i skieruje się ku podwórzu Nowego.

Ale po drodze chodziły i z topolowego lasku wyłaniały się tylko znajome kobiety, te, które mieszkały we wsi lub takie nieznajome, które nie skręcały do jego domu.

Po upewnieniu się, że w kącie izby Nowego stoi duże, dwuosobowe łóżko, wieś baczniej niż przedtem

przyglądała się Nowemu; i podglądający wnet podchwycili rzecz niezmiernie ważną; że on niekiedy przerywa najpilniejszą robotę i podchodzi do płotu, i staje w tym miejscu, z którego ma dobry widok na drogę i na topole, i patrzy: nawet robi sobie z dłoni daszek nad oczami, aby żadna jaskrawość nie rozmazywała widoku, i patrzy.

— Czeka na swoją kobietę — powiedział jeden stary piskliwym głosem, z ledwie tajoną radością, i to zaraz poszło w wieś i wnet znalazł się taki, który dopowiedział — nie może doczekać się swojej kobiety.

Wtedy kpiarze przyciszeni na pewien czas świetnym wyglądem jego dorodnych zwierząt, na których znać było gospodarską rękę, znów niby lekka ciecz wypłynęli na wierzch i jeden z nich odezwał się z nieznacznie tajonym uśmiechem — łóżko jest, pierzyna jest, poduszki są; a drugi przerywając mu i śmiejąc się już głośniej — przysposobił w kącie izby niezły „warsztat pracy”; a trzeci, tak jakby tę krótką gadkę- rozpisali na trzy głosy — warsztat jest, a kobieta nie przychodzi.

Wieś przeżywając teraz rozkosz tworzenia domysłów i pomysłów, doszła do wniosku, że przydałby się taki, który by w tym momencie, gdy Nowy z daszkiem dłoni przy czole wlepił oczy w drogę i las topolowy, do- skoczył do niego zniecka i powiedział wprost, bez żadnych zagadywań — nie widać żonki, nie widać...

Do takiego czegoś najlepiej wybrać starego, gdyż podeszły wiek uchroni, gdyby zapytany się rozgniewał; do takiego czegoś najlepiej wybrać starą kobietę; i wybór padł na jedną staruszkę.

— Nie widać żonki, nie widać — zaskrzeczała stara, a wtedy twarz Nowego nagle pobladła i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie dobył z siebie żadnego głosu; i rozłożył ręce, jakby chciał sobie

pomóc rękami, ale ręce się przelewały i odsunęły od niego, i nie pomogły mu.

I To, że Nowy po słowach staruszki przybladł na twarzy i nie wiedział, co powiedzieć, i bezradnie rozłożył ręce, ośmieliło wieś i ośmieliło kpiarzy.

A potem jeszcze bardziej ośmieliło to, że mijały dni, a kobieta do niego nie przychodziła.

To, że Nowy nie mógł doczekać się swojej kobiety, sprawiło, że ten i ów zapalał chęcią nabrania go dla uciechy, gdy było nudno i nic ciekawego we wsi się nie działo.

W takie dni wieczorami ludzie spragnieni śmiechu tęsknym wzrokiem spoglądali na swoich kpiarzy, oczekując od nich różnych wesołych powiedzonek i psot; a gdy się nie mogli doczekać, to wprost bez żadnych wstępów dochodzili do tego lub owego kpiarza i domagali się natrętnie — powiedz coś do śmiechu, no powiedz; albo — zrób coś dla rozweselenia, no zrób, bo cholernie nudno w tej naszej wsi; albo nawet tak — co się z tobą dzieje, posmutniałeś, bratku, i rozpróżnia- czyłeś się, czy ci wysechł mózg...

Przyparty do muru i wzięty na ambit kpiarz musiał coś wymyślić, aby nie utracić szacunku wsi.

I wtedy najczęściej wpadało mu do głowy, że Nowy wciąż czeka na kobietę i że ona do niego nie przychodzi; i że to nie zostało należycie spożytkowane dla rozweselenia ludzi; i głowa wysilała się i w końcu kpiarz wszedł na podwórze Nowego w chwili, gdy on trzymał na łańcuchach swoje zwierzęta, bo miał zamiar wyruszyć z nimi na łąkę; i ten kpiarz niby to do samego siebie, a w gruncie rzeczy do Nowego powiedział — jakaś obca kobieta idzie drogą...

Wtedy Nowy wypuścił z rąk te powrozy tak nagle, jakby się one stały rozgrzanymi do czerwoności drutami, i podbiegł do płotu, i wpatrzył się w drogę; ktoś nie wytrzymał i zachichotał, ale tak niewyraźnie, że

mógł to nie być śmiech, lecz głos jakiegoś małego stworzenia albo nawet dźwięk metalu zderzonego z drugim metalem.

Nowy widząc pustą drogę, powiedział — nikogo nie widzę; a kpiarz poważnie — szła kobieta, ale pewnie skręciła w bok i teraz jej nie widać.

Kpiarze wnet doszli do wniosku, że takie nabranie nie należy do psot dużego kalibru i jest łatwą, dziecinną igraszką, zdolną zadowolić jedynie kilku ostatnich widzów, którzy trzymając śmiech tuż pod wierzchem skóry, mają uciechę z byle czego.

Taki Nowy, który przysposobił duże dwuosobowe łóżko i położył na nim ogromną pierzynę i dwie poduchy, bo czeka na żonkę, a żonka siedzi w mieście i nie przychodzi, takie coś to dobra okazja do wielkiej psoty; z takiego czegoś to może być teatr dla całej wsi, to może być wielki wesoły teatr pod nagim niebem z udziałem wielu ludzi, pól, drogi, ogromnego błonia i topolowego lasku.

Z tych kpiarzy to były ambitne sztuki, więc dzielnie zabrali się do roboty i rozważyli sprawę na różne sposoby; i na pewno obmyślili coś lepszego niż dotąd, bo — choć na razie trzymali w tajemnicy swoje zamiary — ten i ów zaczął przebąkiwać, że szykuje się coś takiego, czego jeszcze nie było.

Bo oni już tymi pewniackimi minami, tym pysznym, zuchowatym noszeniem się, uśmiezkami i pogwizdywaniem tak jakby oznajmiali — wpadliśmy na świetny pomysł, wykombinowaliśmy wielką rzecz.

Musiało być jeszcze jedno nabranie Nowego, ale w nim nie szło o rozweselenie ludzi, ale o zdobycie potrzebnych wiadomości, żeby się udał ten wesoły teatr, w który wnet zamieni się cała wieś.

Chodziło o to, aby się wywiedzieć, jak wygląda, jak się nosi i w co się ubiera ta jego żonka, która siedzi w mieście i nie przychodzi, i nie wsuwa się do tego

ogromnego łóżka, pod tę wielką niby białą chmura pierzynę.

Nowy jest taki, że on to powie, gdy się go mądrze nabierze; toteż główny kpiarz zbliżył się do niego i szepnął poważnie — jakaś obca kobieta pytała się o ciebie.

Wtedy Nowy — jaka to kobieta, jak wyglądała; ale ten kpiarz był mądry i nie odpowiedział na to pytanie; więc Nowy natarczywie — wysoka, szczupła, w jedwabnej sukni w duże kwiaty, długie ciemne włosy, na głowie żółta przepaska... — dopiero wtedy kpiarz — nie, to była inna.

A więc ta jego żonka jest wysoka, szczupła, nosi jedwabną suknię w duże kwiaty, ma długie ciemne włosy i zakłada na głowę przepaskę; już się wie to najważniejsze, więc można rozdzielić role i zacząć przygotowania.

Żadnych przedwczesnych śmiechów i chichotów i żadnej paplaniny o tym, co ma być — zarządził główny kpiarz; i dodał — aby Nowy nie zwęszył, co się święci; i jeszcze dorzucił od niechcenia — śmiech wybuchnie sam, gdy przyjdzie czas.

To ma być taka psota, że nie tylko ludzie będą trzymać się za brzuchy śmiejąc się do rozpuku, ale nawet zwierzęta, konie, krowy i psy poruszą wesoło łbami i zaśmieją się, nawet drzewa i płoty zatrzęsą się ze śmiechu.

Przedstawienie odbędzie się wieczorem, gdy jeszcze będą widoczne, ale już zaczną się zamazywać widoki i postacie; do tego, co ma być, potrzebny jest wieczór, aby wielka psota nie wyszła na jaw za wcześnie, lecz jak najpóźniej, już niemal w zasięgu tych dużych łąp Nowego; im później ujawni się prawda, tym większa będzie wesołość.

Kpiarzom trudno utrzymać powagę, gdy pomyślą o tym, co przygotowują, i czasem któremuś zaróżowi się i nadmie twarz od wstrzymywania śmiechu, a niekiedy nawet głucho zabalgoce śmiech dobywający się przez nieposłuszne usta.

Gdy się jednak naprawdę chce, aby końcowa wesołość była ogromna, należy solidnie, z zachowaniem cierpliwości i powagi, zabrać się do przygotowań; bo w przeciwnym razie psota może zostać spartolona i ludzka wesołość zostanie zatrzymana w połowie drogi, a śmiech przerodzi się w pomruk niezadowolenia.

Żeby psota wyszła jak najlepiej i wywołała niespotykaną dotąd we wsi wesołość, mężczyzna przebierze się za kobietę i będzie „odstawiał” żonkę Nowego, wracającą z miasta do swojego mężusia mieszkającego we wsi.

Główny kpiarz, który jest dość szczupły i ma zgrabne ruchy, a przy tym chodzi drobnym krokiem, dał się namówić przez kpiarzy-pomocników i raczył przyjąć tę rolę.

Ten i ów, do którego przeniknęła wiadomość o przygotowaniach do wielkiej psoty, napierał na kpiarzy i pytał się natarczywie — kiedy to będzie, no kiedy... tak by się człowiek pośmiał; a kpiarze na to ze zniecierpliwieniem — trzymaj język za zębami i nie paplaj, przyjdzie czas.

Gdy nadszedł upragniony ciepły wieczór, dalekosiężny głos trąbki przeleciał przez wieś i w tym momencie Nowy, nie wiedząc, co się dzieje, wyskoczył z domu; i w tym samym momencie wysoka, szczupła kobieta w jedwabnej sukni w duże kwiaty, z żółtą opaską na długich, ciemnych włosach wynurzyła się z topolowego lasku i weszła na drogę; i zaraz umówiony kpiarz- -pomocnik zbliżył się do Nowego i powiedział spokojnie — dzieci skombinowały trąbkę i bawią się; a potem wpatrzył się w drogę i rzekł — ktoś idzie do wsi.

Nowy długo patrzył w to białe miejsce na skraju

topól, w tę białą gardziel lasku, z której wychodzi i w którą wpada główna droga wsi; a potem chwycił ■miotłę stojącą przy drzwiach i zaczął nią usuwać drobne drzazgi z ziemi wokół domu.

— Ryba wzięła przynętę — mruknął do samego siebie kpiarz-pomocnik i zgrabnie wycofał się za płot; i tam dał znak drugiemu kpiarzowi-pomocnikowi, a drugi trzeciemu i po tym żywym telefonie wiadomość, że Nowy połknął haczyk, doszła do głównego kpiarza, który w kobiecych szatach, drobnym krokiem zbliżał się do wsL

| Nowy tymczasem odłożył miotłę i wbiegł do izby, wyrównał na łóżku pierzynę i poduszki, strzepnął z obrusa okruchy i wybiegł z domu; i znów wpatrzył się w drogę, którą wieczór nie zaciemniał, lecz bielił i oddzielał od reszty świata.

Nagle wydało mu się, że za płotem ktoś zachichotał; ale to chyba nie człowiek się zaśmiał, lecz jakiś ptak wydał głos podobny do śmiechu; są takie ptaki, które nawołują się wieczorem tak, jakby się śmiały; na pewno są takie śmiejące się ptaki.

Nowy rozejrzał się po swoim podwórzu i zaraz wylał brudną wodę ze stojącego przy furtce cebrazyka i przesunął ze ścieżki w głąb sadu ścięte gałęzie jabłonki.

Wieczór gęstniał i wypełniał ostatnie jasne miejsca wśród drzew i domów; i kpiarz znów wsmyknął się w furtkę i zbliżył do Nowego, i szepnął mu — ta kobieta idzie do ciebie, prowadzi ją chłopak sąsiada, teraz skręcili w bok, żeby skrócić drogę, i są na polnej ścieżce, ona wejdzie do twojego sadu od strony pól przez szerokie wrota, a potem kpiarz-pomocnik dodał — nie bój się, chłopak ją przyprowadzi, a ty oczyść ze słomy i gnoju przejścia przy stodole i oborze.

Spisywał się świetnie ten kpiarz; a miał on polecenie

zatrzymania Nowego na podwórzu do chwili, w której w szeroko otwartych wrotach sadu pojawi się przebrany za kobietę i „odstawiający” jego żonę kpiarz główny.

Wprawdzie Nowy lubił posłuchać ludzi i — można powiedzieć — na oślep szedł za każdą radą, i niby dziecko wierzył w każde wypowiedane do niego słowo, jednak zadanie kpiarza-pomocnika było trudne i gdyby nie zostało należycie wypełnione, przygotowywana z takim mozołem wielka psota mogłaby się obrócić w godne pożałowania i raczej smutne widowisko.

Nowy jednak — ku radości kpiarza i najbliższej ukrytych widzów — posłusznie usuwał słomę i gnój z przejścia pod szerokimi okapami stodoły, obory i stajni; a potem namówiony przestawił stojaki do przerzynania okrągłaków i zaniósł do szopy krótkie odrzynki z belek.

Gdy wykonywał te czynności, znów mu się wydało, że usłyszał śmiech, i nawet zwrócił się z pytaniem do kpiarza, który już teraz nie odstępował go na krok — czy mi się zdaje, czy ktoś się zaśmiał; ale kpiarz, wściekając się w duchu za ten przedwczesny śmiech jakiegoś głupiego niecierpliwca, odpowiedział — to nie człowiek, to jakieś zwierzątko, może ptak...

Teraz już bardzo trudno zatrzymać Nowego na podwórzu; wprawdzie namawiany przez kpiarza porządkuje przedproża obory i stajni, ale rozjęskniony wzrok kieruje ku szerokim, na oścież otwartym wrotom sadu, za którymi rozciągają się pola; i jeszcze jest posłuszny i wykonuje to, co mu każe sprytny kpiarz, ale co będzie, gdy przestanie porządkować podwórze i samowolnie pobiegnie w sad.

Znów zabrzmiał ostry, krótki głos trąbki i Nowy, słysząc to granie, powiedział — dlaczego te dzieci biegają jeszcze po sadach; a kpiarz do niego — dość już tych porządków, i tak ich dziś nie zobaczy twoja ko-

bieta, bo robi się ciemno; i skierowali się w stronę sadu — Nowy przodem, a kpiarz za nim — i weszli na szeroką przecinkę między drzewami, krokiem wolnym, statecznym maszerowali ku szerokim, otwartym wrotom sadu; a od strony wrót ku nim szła wysoka, szczupła kobieta w jedwabnej sukni w duże kwiaty, w żółtej przepasce na długich, ciemnych włosach.

Ludzie roztrząsający nieustannie tamto zdarzenie opowiadają, że wielki śmiech wybuchł w tym momencie, w którym Nowy rozpoznał mimo nadciągającej ciemności kobieco rozanieloną i przygotowaną do wypowiedzenia miłych słów twarz kpiarza głównego, a główny kpiarz ze strasznie odmienionej twarzy Nowego wyczytał, że on poznał prawdę.

I ludzie mówią jeszcze, że ten wielki śmiech stał się jeszcze głośniejszy, gdy Nowy zakrzył szybko wokół przebierańca, zabiegł mu drogę i zamknął wrota sadu, co uniemożliwiło kpiarzowi bezpieczny odwrót i ucieczkę w pola.

Ale można powiedzieć, że ta wielka psota i śmiech sięgnęły szczytu w tym momencie, gdy główny aktor, mając zapewne w oczach straszną twarz Nowego, zaczął w tej jedwabnej sukni uciekać i kryć się za drzewami, a Nowy rzucił się za nim w pogoń; i na tym szczycie utrzymywały się przez cały czas tej gonitwy aż do momentu, w którym stopniowo zaczęły przechodzić w swoje odległe przeciwieństwa, w ponurą powagę i bolesciwą ciszę.

Według naocznych świadków nastąpiło to, gdy główny kpiarz uciekając przed straszną twarzą i silnymi rękami Nowego i próbując na różne sposoby wydostać się z sadu, i nie mając innego wyjścia, postanowił przeskoczyć płot.

Z pewnością udałby mu się ten przeskok, gdyby nie miał na sobie tej dość długiej, krępującej ruchy sukni; to ta suknia sprawiła, że nie udało mu się przesmyknąć

nad ostrym grzebieniem płotu i że został zatrzymany na nim przez taką jedną ostrą sztachetę, która wpa- rowała mu się w prawe podżebrze.

Śmiech huczał jeszcze, ale utracił wiele ze swojej poprzedniej siły, gdyż ludzie ukryci najbliżej tego miejsca, gdzie zdarzył się wypadek, nagle umilkli, a ten i ów słysząc cichy jęk aktora głównego i jego wołanie o ratunek, wydobył z siebie westchnienie.

I nastąpiła chwila, w której zmieszały się z sobą dwie skrajne przeciwności; no bo po jednej stronie sadu bił w ciemne powietrze późnego wieczoru i szedł między gałęzie drzew wielki śmiech, a po drugiej słyszało się sunące dołem tuż przy ziemi jękliwe miauczenie westchnień ludzi strąconych nagle ze szczytu wesołości niespodziewanym obrotem sprawy.

Ale w tym zderzeniu westchnienie zaczęło zwyciężać, gdyż wiadomość o tym, co się stało z aktorem głównym, sunęła szybko wzdłuż płotu i wnet opasała cały sad.

A potem nastąpiła ta boleściwa cisza, w której słyszało się, jak w górnych gałęziach drzew sadowią się do snu małe ptaszki; ale kpiarz znów zajęczał i zawołał — ratunku; a Nowy odpowiadając na to wołanie — cierpliwości, panienko, już lecę.

Widzowie tkwiąc jeszcze w swoich ukryciach i bojąc się wejść do sadu oświetlili kieszonkowymi latarkami miejsce wypadku i pod tym zwielokrotnionym światłem prześledzili dokładnie scenę zdjęcia z płotu.

Widzieli silne, obnażone ramiona przybysza unoszące w górę wystrojonego w kobiece szaty kpiarza głównego; przez moment pojawiła się w tym jasnym oświetleniu jego blada, pokorna twarz, wyszminkowane wargi i zacienione węglem oczy, a także przesunięta nad czoło i zwisająca niedbale ciemna peruka; i widzieli też, jak on opadł na ramiona Nowego.

I to ostre światło latarek pozwoliło im też ujrzeć

czarną plamę na sukni aktora i przechodzenie tej plamy na obnażone ramię Nowego, i przesuwanie się po jego ramieniu aż do zwiniętego w wałek rękawa.

I przyszedł taki moment, kiedy Nowy stanął w rogu sadu przy grubym pniu starej jabłoni z kpiarzem głównym leżącym na jego podanych do przodu ramionach; i dopiero wtedy ktoś krzyknął — połów go na murawie, bo ci umrze na rękach; a Nowy, oślepiiony jaskrawością światła, tak jakby tego nie słyszał, bo rzekł — myślicie, że moja kobieta nie przyjdzie do mnie; i jeszcze — ona tu przyjdzie na pewno; wtedy znów ktoś krzyknął — nieś go do doktora, bo umrze ci na rękach; a Nowy na to — może już jutro zobaczycie moją kobietę wychodzącą z tego waszego topolowego lasku.

KONIEC NOWELI

* * * * *

UBRANIE

Były w jego życiu lata, w których cieszył się — a chyba musiał się cieszyć — przenicowanym ubraniem i przechodzonymi butami, kupionymi na placu wyprzedaży starzyzny, starym paltem po wujku nieboszczyku i koszulą z dziurami przemyślnie zszytymi i schowanymi pod marynarką, a także wyświechtanym kaszkietem, otrzymanym w darze od bogatego kolegi.

Były w jego życiu chwile, gdy wracając od ubogiego z dużą, łysą głową krawca i niosąc na wysuniętym do przodu, lekko ugiętym ramieniu to odwrócone spodem do wierzchu ubranie, nie mógł obronić się przed wielką radością, która sprawiała, że wyszeptywał — jak nowe, zupełnie jak nowe, każdy powie, masz nowe ubranie, ho, ho...

Przecież nikt nie będzie wpatrywał się w drobiazgi i nie pozna, że górna kieszonka jest teraz z prawej strony i że dziurki, które przy nicowaniu także musiały przejść na stronę prawą, zostały zacerowane, a na lewym brzegu marynarki zrobione nowe...

Ale przecież tego nikt nie zauważy, bo szwy na zaszytych dziurkach znalazły się pod guzikami i na pewno każdy powie — masz nowy elegancki garnitur, mógłbyś w nim iść do ślubu...

Jednak on wiedział, wciąż wiedział, że cieszył się tym, bo musiał się cieszyć; ale ta wiedza była w nim schowana głęboko, tak głęboko, że przy wielkiej ra-

dości prawie jej nie było; ale jednak była, wciąż była.

No bo gdyby się go, wracającego z tym przenieconym ubraniem od krawca, ktoś nagle zapytał — czy nie wolałbyś ubrania z nowej stuprocentowej wełny, •czy nie wolałbyś, aby górna kieszonka była z lewej strony, a prawy brzeg marynarki nie miał zacerowanych dziurek i nie udawał materiału nie tkniętego dodatkową nitką.

Co odpowiedziałby, gdyby chciał szczerze odpowiedzieć na takie pytania; z pewnością musiałby wtedy wrzasnąć wściekle albo wyszeptać nieśmiało i wtydli- wae — wolałbym...

Czyli wiedział, bo to nieustannie na niego czyhało, że cieszył się z musu.

Później przyszły niezbite dowody, że tak było, bo gdy czas się zmienił i on zasiadł na dyrektorskim fotelu w dużym przedsiębiorstwie i gdy polubiły go pieniądze, często zachodził do najlepszego sklepu po najdroższe wełniane materiały, z których kazał sobie szyc eleganckie ubrania u najdroższych krawców.

Wiedział, choć mogło się wydawać inaczej, bo ta wiedza stawała się niekiedy taką malutką jak główka od szpilki, że nie tak dawno musiał się cieszyć starzyzną przerobioną na nowość.

Bo gdy rozgościł się w obszernym, wykładanym dywanami i obwieszonym obrazami gabinecie z drzwiami obitymi brązową skórą, w przerwach między naradami, posiedzeniami i wydawaniem poleceń z lubością oddawał się rozmowom o krawatach, obuwiu, szalikach i płaszczach i pilnie śledził, w których sklepach pojawiły się modne ubiory.

I stało się tak, jakby tamta malutka wiedza o cieszeniu się z musu, migająca blado w drobnej cząsteczce jego duszy, wygrzebała się nagle z góry złudzeń i jaskrawo rozbliła. Bo przecież w ciągu kilku zaledwie lat szafy w jego

mieszkańcu napełniły się ubraniami, płaszczami i nakryciami głowy przystosowanymi do pór roku, do różnych okazji i różnej pogody, na dni słoneczne i pochmurne, na przedpołudnia, godziny popołudniowe i wieczorne.

Nabył też w niedługim czasie sporo butów, koszul, krawatów i szalików.

Paradował w tych nowych ubraniach i dobranych do nich butach, koszulach i krawatach i wystrojony na ostatni guzik, narzucał się oczom kolegów i podwładnych i zmuszał ich samym swoim zjawieniem się do słów — szef w nowym ubraniu, co za wspaniały krawat, jaka koszula, jakie buty...

Dogadzały mu te słowa, bo teraz już dobrze wiedział, że niegdyś zachwycał się starzyzną odwróconą do wierzchu ocalałym spodem i już nienawidził tamtej rozdmuchanej i rozdętej z musu radości i mylenia przechodniów, tamtej czujności i ustawicznego pytania się samego siebie — ciekawy jestem, czy oni poznali, że górna kieszonka jest po prawej stronie; a także tamtego przestrzegania samego siebie — nie wkładaj do tej kieszonki kwiatu ani chusteczki, ani pióra, bo wtedy od razu poznać, że masz ją z prawej strony, że jesteś naznaczony i odmieniony, napiętnowany prawo- boczna górną kieszonką.

Dlatego lubił, gdy koledzy, znajomi i podwładni dostrzegali jego nowe, eleganckie ubiory; ale bardzo lubił w nowym, modnym ubraniu czy płaszczu, w nowym krawacie i nowych butach pokazać się swojej matce.

Prężył się i stapał przed tą wiejską, starą kobietą o wąskiej, mądrej twarzy i głęboko osadzonych oczach, rozpinał marynarkę i rozchyłał jej poły na całą szerokość dla ukazania blasku krawata i dobrej jakości koszuli, unosił nogawki, aby odsłonić buty i wzory skarpetek.

Wyczyniając różne wygibasy pozwalające ujrzeć nie tylko grę kolorów, ale też krój i formę ubioru, i defilując przed nią w różnych przechyłach i wygięciach, wpatrywał się w jej twarz i czytał, wyczytywał z jej oczu, słów i z jej milczenia niby z księgi to, że matka odbija się od tej godziny, w której on urządził ten pokaz samego siebie, ten teatr jednego aktora i że ona sunie w przeszłość niby w ciemność tą godziną jak ostrym światłem jaskrawo oświetloną, aby ujrzeć swoje niezliczone zabiegi przy przerabianiu starzyzny na nowość i usilne starania, aby buty, ubrania, łyżki, ławki, krzesła i miski trwały długo, aby rzeczom zapewnić długowieczność przez wielokrotne przerabianie, odwracanie spodem do wierzchu, powtórne glansowanie, chowanie części spróchniałych, a wystawianie na widok części jeszcze nie zniszczonych.

A potem i on podążał za nią do godzin wspólnych czasu przeszłego, w których razem zamęczali rzeczy, aby nie próchniały i nie rdzewiały, i nie wsiąkały w ziemię, aby „żyły” wiecznie.

W czasie tej defilady, tego jakby wolnego, dziwaczego tańca syna przed matką, było bardzo mało słów, częściej tę dużą izbę w starym wiejskim domu albo mały pusty placyk rozdzielający dom od sadu zalegała cisza.

Ale nawet gdy nic nie mówili, rozmawiali z sobą, nawet wtedy gdy było tylko jej patrzywanie i jego „defilada”, rozmowa trwała; właśnie wtedy, gdy milczeli, wypowiadali słowa najważniejsze i to milczenie było ich rozmową główną, tą ich, można by rzec, podrozmową czy nadrozmową.

- Matko, ty wiesz, jak było...
- Wiem, synu, wiem...
- Rozumiesz mnie, bo przeżyłaś lata...
- Rozumiem cię, synu, rozumiem...

- Nie możesz się przecież śmiać ze mnie, bo wiesz, jak było...
- Nie śmieję się, bo żyję długo...
- Mówisz prawdę, matko...
- Tak, synu...
- Niczego nie ukrywasz, matko...
- Nie, synu...
- t— Niczego nie trzymasz w zanadrzu...
- Niczego nie chowam za pazuchą...
- Nieraz mi się zdaje, że nie mówisz wszystkiego...
- Tak myślisz, synu...
- Nieraz myślę, że się gniewasz na mnie...
- Dlaczego tak myślisz...

Jaka jest ta moja matka, znam ją a nie znam, przecież ją dobrze znam i odczytuję jej milczenie, czy odczytuję wszystko — tak myślał, gdy którejś pogodnej soboty szykował się do kolejnej wizyty w rodzinnym domu.

Dzień był słoneczny i ciepły, więc włożył na siebie nowe jasnopopielate ubranie, koszula była niebieska, krawat w żywy bordo-niebieski wzór, półbuty jasno- żółte, skarpetki ciemnoniebieskie w białe kółka.

Do górnej kieszonki wyciętej przepisowo z lewej strony marynarki wetknął dużą niby olbrzymi kwiat, błękitną w białe wąskie pasy chusteczkę.

Tak wystrojony wszedł do własnego fiata; ale nim położył ręce na kierownicy, naciągnął na nie miękkie rękawiczki z irchowej skóry.

Potem z niecierpliwością przedzierał się przez zatłoczone miasto, bo chciał jak najprędzej znaleźć się na wolnej drodze prowadzącej przez wieś, zagajniki i pola.

On spieszył się do tej drogi, bo chciał swobodnie pomyśleć, jak to będzie, gdy znów zjawi się w rodzinnym domu.

Wie, jak będzie, ale pomyśli o tym, bo lubi sobie

to przedstawiać, gdy jedzie tą drogą; i dlatego lubi tę jazdę, mijanie płaskich pasów ziemi i olszynowych zagajników i to dojeżdżanie do znajomego płotu; i dlatego z wszystkich mieszkań najbardziej lubi mieszkanie w tym „domku” na gumowych kółkach, obracających się na trasie łączącej duże miasto z jego rodzinnym domem.

Wie, jak będzie: jeszcze nie zbliży się do drewnianego płotu pomalowanego na zielono, a już w furtce ujrzy matkę — prostą, choć starą, poważną, choć ucieszoną; będzie we wzorzystym, wykrochmalonym fartuchu i w „tureckiej” chustce na głowie; ujrzy ją na pewno, gdyż zawiadomił o przyjeździe.

A gdy się zatrzyma przy płocie, ściągnie z rąk rękawiczki i wyjdzie z samochodu, trzepnie lekko dłońmi po nogawkach spodni, wyprostuje się, stanie na moment w pozycji przedmarszowej, a potem ruszy do matki.

Będzie szedł krokiem dość szybkim, ale starannym, uśmiechnięty, z uniesioną prawą ręką; i będzie chciał coś wykrzyknąć na powitanie, ale matka go wyprzedzi i powie — jesteś; i zaraz — ładnie wyglądasz, synu... Tak się zawsze zaczyna i tak ma się zacząć dziś. Po tych pierwszych słowach matki będzie przywitanie za furtką, przy studni, i kilka krótkich pytań, i kilka krótkich odpowiedzi, i wolny, ale jednak nie swobodny, z przystankami, z rozglądaniem się, z próbami zauważenia zmian marsz wzdłuż niskiego ogrodzenia otaczającego przydomowe grządki kwiatów.

A potem wejście na szeroką, ubitą ścieżkę ogrodu, zauważenie siostry i szwagra, którzy wyjdą z domu albo wysuną się spod przedłużonego, niskiego okapu obory i stajni, i wkroczenie na ten pusty placyk przed domem, gdzie zapanuje większa swoboda i gdzie odbędą się drugie — pierwsze były za furtką przy stu-

dni — bardziej dokładne oględziny tego, który przyjechał z miasta.

Będzie taka chwila na tym placyku, gdy oni staną po jednej, a on po drugiej stronie, i on wtedy wykona kilka obrotów, postąpi parę kroków do przodu i do tyłu, stanie nieruchomo i usztywni swą postać na kształt manekinu, aby ubranie mogło zawisnąć na nim czy może spłynąć po nim, czy może objąć go w swoich modnych, przepisowych liniach, aby przybrało jakby zastygłą formę pancerza, któremu dodatkowe zagięcia i fałdy może dać jedynie uderzenie młotem.

A potem nagle przejdzie w zupełne rozluźnienie, w którym strój ukaże swoją powiewność i elastyczność, a także bezbłędne układanie się do formy ciała i swoje — można by rzec — ruchy dopasowane do ruchów całej postaci.

Jak zachowa się matka — po co o to pyta samego siebie w łagodnym mroku gęsto do drogi przytulonych starych olszyn, dlaczego zadreżcza samego siebie tym pytaniem pod tym gotyckim baldachimem, stworzonym przez dotykające się wierzchołkami drzewa...

Przecież wie, jak zachowa się matka, bo przecież nieraz już się to odbywało.

Ona się będzie cieszyć i powtórzy kilka razy — szykowny jesteś, szykowny...

Wie też, że po drugich oględzinach na placyku przed frontową ścianą domu szwagier albo siostra otworzy brązowe drzwi i powie — chodźmy do środka; i zaraz wszyscy wejdą do dużej izby, gdzie odbędą się trzecie oględziny tego, który przyjechał, i gdzie on z pewnością usłyszy — pan z ciebie, panisko...

A później będą pytania — co nowego, jak się żyje, co się zmieniło, kto umarł, kto się narodził; no i — rzecz jasna — odpowiedzi na nie.

Jest już w tym miejscu, w którym to rozmyślanie o wizycie w rodzinnym domu i tworzenie obrazów,

z jakich ona ma się składać, otrzymuje dodatkową zachętę; przychodzi ona od tych dziwnie poskręcanych wierzb rosnących w wielkiej gromadzie na przedpolu rodzinnej wsi.

Czeka go jeszcze ostatnia wolna przestrzeń rozciągająca się między tymi drzewami a pierwszym domem wsi i potem już tylko ta kręta droga przez wieś.

To, że nie ujrzał matki w furtce, gdy zbliżał się do zielonego, drewnianego płotu, nie mogło przecież świadczyć o tym, że się coś złego stało; ani też to, że gdy zatrzymał wóz i patrząc przez otwarte okno w samochodzie, mógł się przekonać, że jej nie ma przy studni; ani nawet to, że gdy zdjął rękawiczki, wysiadł z samochodu i zbliżył się do furtki, gdy ją otworzył i wszedł na ścieżkę przy ogródku kwiatowym, nie ujrzał ani matki, ani szwagra i siostry.

Dopiero może to, że gdy był na tej ścieżce, drzwi się otworzyły i z domu wyszedł sam szwagier; ale nawet pojawienie się samego szwagra nie mogło dać niezbitego dowodu, że stało się coś niedobrego.

Ale już ramiona i twarz szwagra mogły co nieco podsunąć i wzmocnić podejrzenie, że nie jest tak, jak być powinno, że ten dzień nie toczy się tak, jak toczą się dobre dni.

Ale nawet te odstawione od tułowia, zasmucone ramiona szwagra i jego twarz nie przecięta wyszczerzonymi w uśmiechu zębami nie dawały pewnego dowodu.

Dowód może dać dopiero słowo i szwagier wnet je wypowie; ale jeszcze milczy, jeszcze można mieć nadzieję, że nic złego się w tym domu nie stało.

Ale już otwierają się mięsiste usta szwagra i on mówi ||j mama zasłała...

Leżała na wznak w dużym drewnianym łóżku pod wzdętą pierzyną i patrzyła w górę; ale gdy syn wszedł do izby, ułożyła twarz ukośnie, żeby go zobaczyć. Coś się dzieje, wszystko rozgrywa się inaczej niż

przedtem; przez tyle lat nawykło się do czegoś innego, a teraz przyszły nowe rzeczy — ta matka w łóżku w biały dzień przed samym południem i jego siostra przy jej łóżku w biały dzień, i jego szwagier przy tym łóżku w biały, pogodny dzień, i trzy sąsiadki, które tyle roboty mają na podwórzu i w polu, też stoją przy tym dużym, drewnianym łóżku o przedpołudniowej godzinie; chyba zupełnie innym, nie znanym dotąd torem przebiegnie wizyta.

A więc on jest już w izbie, podchodzi do leżącej w łóżku matki, pochyla się nad nią, unosi jej rękę, całuje i pyta się — jak się czujesz, mammo...

A gdy ona nie odpowiada, pochyla się jeszcze głębiej, przyklęka na jedno kolano i wpatruje się w nią.

Wtedy ona cicho, ale stanowczo — wstań...

Dlaczego nie powiedziała — wstań, synu #1 tylko samo: wstań...

No to on podnosi się z tego półkłęczenia i robi krok do tyłu, ale od łóżka się nie oddala, lecz stoi przy nim i patrzy na bladą, wąską twarz matki, a ona wpatruje się uważnie w postać syna.

Cisza zapanowała w izbie — długa i nieznośna, szwagier patrzył przez okno, siostra udawała, że poprawia obrus, sąsiadki przysunęły się do siebie i poruszały miarowo głowami...

Matka w tym czasie wydierała swoją prawą dłoń spod pierzyny i zadreśla swoje prawe ramię, aby się ugięło; a potem je zamęczała, aby się wyprostowało; i zadreśla palec wskazujący, aby się wyprostował; i jeszcze go zamęczała, aby ten palec, podobny do suchego patyka, wyraźnie wskazał syna, aby nie było wątpliwości, że chodzi o tego wystrojonego pana.

A gdy się już uporała z dłonią, ramieniem i palcem i gdy już nabrała pewności, że pokazuje syna, zachichotała cicho i on od razu pojął, że się śmieje z niego.

A potem zachichotała głośniejsz, celując wciąż palcem

w pierś tego strojnisia; a to sprawiło, że siostra, która i przestała poprawiać obrus, szwagier, który odwrócił głowę od okna, sąsiadki, które zwróciły się w stronę łóżka, także rozchyliły usta w uśmiechu, choć przecież w takiej chwili nie powinni.

On wtedy wyszarpał z tej prawidłowo po lewej stronie ubrania wyciętej kieszonki tę błękitną w białe paski chusteczkę, burzącą się na jasnopopielatym tle niby rozkwitły kwiat, i schował ją w kieszeni dolnej, jakby mu kto nagle podszeptał, że takie chusteczki wyszły z mody i już ich nie wkładają do kieszonek wytworni mężczyźni, podążający krok w krok z duchem czasu.

Matka znów się zaśmiała, a on zdarł ze swojej szyi ten bordo-niebieski krawat, w który wpięta była złota spinka, zmiął go jak chustkę i ukrył w kieszeni spodni, tak jakby nagle zrobiło mu się gorąco albo doszedł do wniosku, że krawaty o takich wzorach i formach należą już do przeszłości i nie przystoją eleganckiemu mężczyźnie.

Wtedy jedna z tych sąsiadek podeszła do łóżka, pochyliła się nad twarzą chorej i rzekła — ona umiera...

W izbie powstał ruch, siostra rzuciła się do szafy, wysunęła dużą szufladę i wyjęła z niej gromnicę, a dwie pozostałe sąsiadki zbliżyły się do łóżka i, podobnie jak ta pierwsza, pochyliły nad twarzą chorej; a potem wszystkie trzy naraz wyprostowały się i niemal równocześnie zawołały — ona umarła...

A on zamiast podejść do umarłej matki, ucałować ją w czoło i normalnie podumać nad jej i nad swoim losem osieroconego syna, i normalnie, spokojnie zapłakać, jak przystało na poważnego człowieka na kierowniczym stanowisku, zamiast tego począł niby zacierzwiony, uparty chłopiec szarpać wyłogi swojej marynarki i rozpinać koszulę, jakby chciał zedrzeć z siebie to, w co się ubrał na wizytę.

* * * * *

KONIEC NOWELI

* * * * *

NIECH UMRZE Z RĘKĄ W KUDŁACH PSA

Już wtedy, gdy szedłem wąską rozpadliną i jeszcze nie mogłem go ujrzyć, bo znajdował się po drugiej stronie wzniesienia, wiedziałem, że jest z tych małych, ruchliwych psów, które pojedynczo lub w małych gromadkach włóczą się w tej okolicy po sadach i polach.

Powiedział mi to ten jego cienki, natrętny jazgot, którym małe psy pragną każdego przekonać, że są, że naprawdę istnieją wśród psów dużych, ludzi, krów, koni i owiec, a także będąc w ciągłym strachu, chcą tym jazgotem zaznaczyć, iż są groźne, bo one pragną przebywać w środku jak największego koła bezpiecznej ziemi.

Nie pomyliłem się i na garbie wzniesienia dającym bardziej rozległy widok pozostało mi tylko stwierdzenie jego brudnobiałej maści, przykrytej w przodzie tułowia znacznie ciemniejszą łatą, i zauważenie dość długiej, sterczącej lwio wokół szyi sierści, frędzlastego ogona, zwiniętego w obwarzanek, i cienkich nóg.

Mogłem także z tej uniesionej pręgi ziemi dojrzeć właściciela psa, który stał w pewnym oddaleniu przy półkolistym płocie podwórza i równocześnie na półkolistym obrzeżu płowozielonej łąki już jesiennej, bez- kwietnej i — można by rzec — w tej swojej płowozieloności czystej.

Trzymał na powrozie małą, w czerwone łaty krowę,

a może raczej jałówkę, o czym by mówiło jej podbrzusze nie obciążone wyrazistym wymieniem. | Później przekonałem się, że wyszedł za płot nie tylko z tą sztuką, ale także z gromadką owiec, które schodząc w nagłych podbiegach w dół łąki skubały tę odzielenioną, wtuloną w ziemię trawę; od czasu do czasu — jak mogłem zauważyć — zachodziła potrzeba przypomnienia im, że obrały niewłaściwy kierunek pogoni za trawą i w związku z tym konieczność nadania innego kierunku ich sunącym tuż nad ziemią łbom; bo ten stojący przy płocie chłop pokrzykiwał i pohukiwał na nie w różny sposób i owce doskonale to rozumiały, i po każdej serii tych — zdawałoby się — nic nie znaczących i nic nie mówiących okrzyków skręcały w lewo albo w prawo, albo nagle cofały się, jakby miały w pyskach ostre wędzidła, za które ktoś mocno pociągał.

Właściciel jałówki, owiec i psa wydał mi się już niemłodym, silnie zbudowanym człowiekiem, był w luźnej kurtce nieokreślonego koloru, ściśniętej w pasie wąskim rzemieniem albo sznurkiem, na głowie miał płaski spopielaciały kaszkiet, uniesiony w górę burzącymi się, ciemnymi włosami.

Owce znów zapędziły się tam, gdzie nie trzeba, bo chłop chcąc je mieć na oku, pociągnął jałówkę i zatoczył łuk idąc obok płotu, a potem opuścił się w dół po spadzie łąki i straciłem go z oczu; słyszałem tylko jego nieustanne pokrzykiwania i pohukiwania na owce, jakby to zdalne nimi kierowanie i dyrygowanie okazało się wielce utrudnione.

W tym czasie piesek zbliżył się do mnie z tą mieszaniną strachu, ciekawości i udanej, wykalkulowanej groźby, mieszaniną tak starą, jak stary jest gatunek psów małych, o wąskich piersiach, psów, którym natura dała jakby z łaski nikłą budowę ciała.

Stałem i pochyliłem się nieznacznie, i tkwiąc w tym jakby półukłonie, i pobijając w wiadomy sposób

otwartą dłonią swoje udo, odezwałem się do psa z niezwykłą, ale szczerą łagodnością — dobry, ładny piesek...

Powtórzyłem to kilka razy i on z miejsca się na tym poznał i udając, że dał się ubłagać, przemienił szczekanie w przyjazne, coraz cichsze pomrukiwanie, a potem ufnie, choć z niejaką ostrożnością i jakby ze ślą- dzikiem groźby, zbliżył się do mnie; i jeszcze bardziej ufnie obwąchał cholewy moich gumowych butów, wreszcie zimnym nosem dotknął grzbietu mojej dłoni.

To była chwila przełomowa, gdyż pozwolił się pogłaskać, i znów nic nie mąciło psu poczucia bezpieczeństwa.

Znów powtórzyłem kilka razy — dobry, ładny piesek; a on usłyszawszy te słowa, zadrżał rozkosznie wzdłuż całego grzbietu i pochylił do ziemi łeb, bo sprawiła mu wielką przyjemność, ale i onieśmieliła ta pochwała.

Zacząłem iść w stronę lasu grzbietem tej płowozielonej fali i znów powtórzyłem dobry, ładny piesek; i on wtedy drząc i wyginając się dziwacznie, pobiegł przede mną, bo po otrzymaniu tylu pochwał wstydził się rozłąki, gdyż sprawę traktował poważnie i honorowo, i wyglądało, że nie mógł znieść sytuacji, w której wziął, a nie oddał; dlatego był przy mnie, bo chciał odplacić dobrym za dobre.

Przy okazji dowiedziałem się, że takie coś jak to: dobry, ładny piesek — wypowiedane zazwyczaj bez zastanowienia, tak po prostu, aby coś najłatwiejszego do psa powiedzieć, aby się do niego odezwać bez najmniejszego wysiłku, po prostu dla zabawy, że to: dobry, ładny piesek —• wyprztyknięte, strzepnięte z warg w sposób jakby nie zauważalny, że to jest wielka rzecz dla psa, że to jest ta główna, fundamentalna rzecz, której wszystkie psy oczekują wściekając się, wyjąc do księżyca i patrząc tęsknie w niebo; że to jest ten

ciepły wiatr, który bije w nos psa całą muzyką woni i czochra mu sierść, i przenika skórę, idzie w głąb, tam gdzie są psie myśli i psie sny.

Nie ulegało żadnej wątpliwości, że w grę wchodził honor i że chciał spłacić dług, bo wziął mnie w opiekę na tej drodze do lasu.

Szedł ze mną i oddalał się coraz bardziej od łąki, ale co jakiś czas popatrywał w tamtym kierunku; ale nie wracał i ja go do powrotu nie namawiałem, bo ciążyła mi samotność i byłem zadowolony, że ten pies jest przy mnie.

Znów patrzy w stronę łąki i płotu, patrzy uważnie, ma swój plan i wie swoje; i tak może myśli: ten ogromny, rozczochrany chłop zszedł w dół łąki i pokrzykuje na owce, i nie widzi mnie; pobędzie tam jakiś czas i nim znów wyjdzie na górę, zdążę odprowadzić do lasu tego sympatycznego jegomościa, żeby było dobre za dobre; gdy ten chłop, klnąc na owce, które oszołomione dużą łąką zaczęły sobie folgować, wylezie znów na górę i stanie przy płocie, będę znów przy nim.

Przekonałem się, że honor był u tego psa na pierwszym miejscu, bo za dobre słowa chciał mi odpłacić z nawiązką, i domyślając się, dokąd idę, wybiegał do przodu i kontrolował poszczególne odcinki trasy, nie tylko wąską linię mojego marszu, ale też ubezpieczał flanki. W tym celu zataczał wokół mnie duże koła lub posuwał się zygzakami, co sprawiało, że oczyszczał z wszelkiego zagrożenia teren znacznie szerszy niż droga, którą szedłem. Przez cały czas marszu przemawiałem do niego i wypowiadałem nie tylko to — dobry, ładny piesek — ale wiele innych słów, choćby takie — bardzo mi się podobasz, jesteś wspaniałym psem, dobrze, że idziesz ze mną.

On udawał, że tego nie słyszy, że jest całkowicie pochłonięty wypełnianiem swojego obowiązku czuwania nad trasą mojego marszu; ale wiedziałem, że te słowa do niego dochodziły, poznawałem to po wahaniciach ogona, a także po nieznacznym, ale jednak uchwytnym zachwianiu równowagi jego ciała.

Niekiedy wyglądało to jakby nagłe wstrzymanie biegu dla umożliwienia ogonowi choćby przelotnego mer- dnięcia, niekiedy miało coś z niezdarnego podskoku albo skrętu; raz czy dwa po tych słowach potknął się, choć nie było o co, i wykopyrtnął na zupełnie równej drodze.

Wszedłem w las, pies także wbiegł między drzewa. Wbiegający do lasu pies mógłby, gdyby umiał, szepnąć z westchnieniem — ciężka robota się zaczyna; mógłby także, gdyby potrafił, wykrzyknąć — o męko ciekawości; albo — o rozkoszy poznania nieznanego; albo jeszcze inaczej.

W każdym razie wbiegający do lasu pies napęnia się czymś takim, co składa się z przyjemności i strachu; tak się składa, że przyjemność i strach nie następują po sobie i nie są obok siebie jako dwa oddzielne przeżycia, i nie jest jedno na górze, a drugie na spodzie; to tak się składa, że przyjemność jest równocześnie strachem, a strach przyjemnością, że są w nierozdzielnej dwu jedności.

Dało się słyszeć dalekie, ciche dudnienie, które dla wprawnego ucha nie mogło oznaczać żadnych głosów towarzyszących ścinaniu, rąbaniu i powalaniu drzew i głosów innej leśnej roboty ani też biegu lub bójki leśnych zwierząt czy ciężkiej pracy dzięciołów opukujących drzewa.

Miało ono jednostajny rytm i podobne było z początku do uderzania pałeczkami w ustawiony daleko bęben; było suchą i monotonna muzyką, nadbiegającą

nie wiadomo skąd, mnożącą się w lesie i rozłazącą po nim echami.

Pies zatrzymywał się od czasu do czasu, unosił łeb, podawał uszy w przód i marszczył czarny szpic nosa; i w tej czujnej, tak czujnej, że aż bojowej, postawie rejestrował głosy i pogłosy lasu, a wśród nich z pewnością i to dalekie ciche dudnienie, które wnet utraciło jednostajność tonu i stało się raz cichsze, a raz głośniejsze; później powróciło do jednostajności, ale już do znacznie głośniejszej, dającej się rozpoznać jako tętent galopującego konia.

Nie było wątpliwości, że psa najbardziej z wszystkich szumów, stuków, szelestów i innych głosów lasu interesował ten galop, który z każdą chwilą głośniał i zbliżał się do nas.

Wreszcie w partii drzew rzadko rosnących, tam gdzie las dochodzi do rozległego kamienistego ugoru, można było dojrzeć niewyraźną, rozmigotaną sylwetkę dużego konia z jeźdźcem na grzbiecie.

Za chwilę tego konia i jeźdźca zasłonił gęsty las i wysokie krzaki leśnego poszycia; dopiero co mieliśmy ten galop po prawej stronie, a teraz mamy go w przodzie, jest już na lewej stronie i sunie w przeciwnym kierunku; ale posuwając się lewą stroną, zagina się i mamy go już w tyle za plecami; zupełnie wyraźnie tętent zatoczył wokół nas koło i nagle bardzo głośniał.

Gdy się odwróciłem, u wylotu leśnej przecinki, w tej jakby wciąż otwartej bramie lasu, ujrzałem galopującego ciężkiego perszerona gniadej maści, który co dopiero z tego pokrytego drobnym kamieniem ugoru wpadł w las; a na tym perszeronie człowieka w czarniawej kurtce, z odkrytą głową i szochranymi włosami.

Jeździec już z daleka wydał mi się podobny do tego właściciela psa, do tego ogromnego chłopca, który na tej wybrzuszonej łące trzymał na powrozie bordo jałówkę i doglądał owiec; gdy się zbliżył, przekonałem się, że to on.

Osadził przede mną konia, a perszeron nagle wstrzymany aż przysiadł na zadzie i uniósł w górę przód swojego ciała, i w powietrzu tuż nade mną zatrzepotały jego duże, przednie kopyta; i wtedy przez parę jego potu i dym oddechów w rozszerzonych oszalałym biegiem nozdrzach dojrzałem te rozżarzone węgliki, te piekielka końskiego zmęczenia; ale w sekundzie stanął na czterech nogach i ciężko „robił bokami”.

A ten chłop, rozpalony gniewem i niecierpliwością, od razu, z grzbietu konia, bez żadnego wstępu, najkrócej jak tylko mógł, krzyknął do mnie — gdzie pies?

Pies stał przy grubej sośnie i drżał cały, bo się bał, tak się bał, że z tego strachu przednie nogi poszły mu w iks, a stercząca lwio na szyi sierść przyłgnęła do skóry; i przez ten strach zmałał i jakby się zestarzał, jakby z młodego, lotnego stał się starym, rozchwianym, bliskim śmierci psem.

Pokazałem temu rozgniewanemu chłopcu psa i powiedziałem — tu jest; a on na to — chcieliście go ukraść; uśmiechnąłem się i odpowiedziałem — co za podejrzenia, po co mi ten pies, na co mi ta psina; a ten zaczerwieniony na twarzy i rozczochrany chłop, jeszcze z grzbietu perszerona — nie wierzę, na pewno rzucaliście mu kiełbasę po kawałku, żeby szedł z wami, bo chcieliście go ukraść, wiem, jak robią ci przyjezdni.

Znów się zaśmiałem i rzekłem — sam poszedł ze mną, przyjemnie było mi z nim iść, bo to miły, dobry pies, ale przecież nie chciałem go ukraść, wróciłbym tam, gdzie mieszkam, i pies wróciłby do swojego domu. Chłop znów na to — wiele psów ukradli przyjezdni

i potajemnie zabrali z sobą, wiele psów poszło z nimi na paskach i pojechało w koszykach.

Nagle ten chłop zaczerwienił się jeszcze bardziej i uniósł dłonie zwinięte w pięści, co wyraźnie mówiło, że wchodzi w niego nowa fala gniewu; ale zaraz przybladł na twarzy, ramiona opuścił w dół i pięści znów rozwinął w dłonie, co mówiło, że ta fala przepływa przez niego i opuszcza go.

Potem zaczął potrząsać otwartymi dłońmi i głową, przemawiał tymi gestami, nim zaczął wypowiadać słowa.

— Pies, pies, pies — powtarzał; a potem — wydaje się komuś — pies, piesek, psina, może iść, dokąd chce, niech idzie, dokąd chce, z takim, owakim, z byle kim niech leci do lasu, niech idzie w świat... tak może się wydawać, gdy się nie wie wszystkiego; powiedziec — piesek, psina, na co mi taka psina, po co komu taki mały wąty piesek — tak powiedziec to jeszcze nie wszystko; bo trzeba także dodać, że ten pies nie może oddalać się od domu, że musi być na podwórzu albo niedaleko za płotem, może tylko dziś, może jeszcze jutro, a może przez kilka dni musi być blisko domu, a później niech idzie, jeśli chce iść; no bo to wszystko tak głupio, tak cholernie głupio się ułożyło, że ten pies w tych dniach musi być blisko domu, żeby wystarczyło gwizdnąć i żeby on mógł przylecieć do drzwi i wpaść do izby; gdyby tylko o mnie chodziło albo o moją kobietę, która lubi tego psa, albo o moje dzieci, które także go lubią, albo o pilnowanie domu, gdyby tylko o to chodziło, to można by go oddać, gdyby ktoś dobry chciał go sobie wziąć, można by go dać w dobre ręce...

Pokazał dłonią psa, który ze strachu mocno gniótł sobą sosnę, jakby chciał wrócić w to drzewo i roztopić się w jego pniu; potem zeskoczył z konia, podszedł do pieska, wziął go na rękę i wsadził za ściśniętą w pasie

kurtkę; później wprowadził perszerona do rowu o łagodnych brzegach i znów go dosiadł, odbijając się od kopca mrówek, usypanego na brzegu tego wgłębienia; i znów mówił — w grę wchodzi brat, młodszy brat, który wypił dużo i przyłożył sąsiadowi, ale nie za bardzo, i sąsiad wyjął ładny nożyk, który dostał z Ameryki od szwagra, i tym amerykańskim scyzorykiem przejechał po amerykańskiej marynarce, którą bratu przysłał stryj, i po skórze na plecach brata; ale to jeszcze nic takie ciachnięcie, to nic takie przejechanie nożykiem po skórze; brat po tym ciachnięciu powinien ąę cofnąć i pójść do domu, wtedy wszystko skończyłoby się dobrze; ale się nie cofnął, bo nie mógł, to znaczy mógł, ale nie mógł, no bo po czymś takim żaden chłop w całej wsi nie cofnąłby się; bo takie ciachnięcie to jest dopiero rozgrzewka do bitki; no to brat chciał lepiej niż za pierwszym razem przyłożyć sąsiadowi, ale nie zdążył, bo sąsiad złapał kawałek drewna i rąbnął brata w łeb, i brat, młodszy brat, przewrócił się; i od tamtego czasu leży i nie może wstać, i już nie wstanie; doktor powiedział, że nie wstanie i że wnet będzie'koniec; leży na wznak, wciąż na wznak, i patrzy na powałę, lewą rękę ma przy ścianie, a prawą opuszcza w dół i ona zwisa z łóżka, i ta prawa musi coś mieć pod sobą, i ona lubi dotknąć sierści psa; żadnej innej sierści, tylko sierści tego psa; raz podsunąłem mu kota, bo myślałem, że to wszystko jedno, ale on zaraz poznał się na zmianie i powiedział — co za figle; a potem się zezłościł i krzyknął — zabierajcie czym prędzej tego przeklętego kocura, a przyprowadźcie psa; i dlatego ten pies musi być na każde zawołanie, żeby wtedy, gdy brat uśmiechnie się ładnie i powie — gdzie jest ten sukinynek, dajcie mi go — można było podsunąć mu psa pod rękę, aby mógł pogrzebać palcami w psich kudłach, bo on to bardzo polubił, no bo co, no bo co, do jasnego pioruna, może

on teraz polubić; on to tak polubił, że gdy mu się tego psa nie przyprowadzi zaraz i nie ustawi pod jego prawą ręką, złości się i krzyczy; rozgadałem się, a on teraz na pewno nie uśmiecha się i nie mówi przyjemnie — gdzie jest ten sukinsynek, chcę go dotknąć — ale krzyczy do mojej kobiety — gdzie jest ten cholerny sukinsyn, dlaczego mi nie przyprowadzacie tego cholernego sukinsyna; doktor powiedział, że wnet umrze mój młodszy brat, może za kilka dni, a może już jutro, a może już dziś wieczorem; no to jak nie ma innej rady, niech ma przynajmniej dobrą śmierć, niech umrze z ręką w kudłach psa...

Po tych słowach zawrócił konia i przyciął mu wiklinowym prętem, i koń od razu popędził galopem.

KONIEC NOWELI

LUDZIE, KONIE, PTASZKI.

Dziś znów z samego rana rosły żyłasty mężczyzna i jego tęga kobieta włożyli gumowe buty z cholewami, wzięli widły i zesli w kwadratowy dół gnojowiska; i mącąc ciemnozłocisty, łagodny jak aksamit blask gnojówki, dobrnęli do wystającej nad jej powierzchnią dużej, czarnej przyzmy obornika.

Mężczyzna trzepnął w grzbiet przyzmy widłami z góry, aż przysły na boki ciężkie krople, które niby gruby deszcz poleciały na jego i kobiety twarz; ale nim sięgnęły twarzy, przez ułamek sekundy zaświeciły w powietrzu jak drogocenne kamienie; a mężczyzna ścierając je z policzków i wydrapując z oczodołów, powiedział — świetny gnój; a po chwili — wyśmienity gnój; i jeszcze, jakby mu było nie dość tych pochwał — gnój jak złoto; i roześmiał się, i popatrzył na kobietę, czy ona się cieszy; zobaczył, że jest zadowolona, i dopiero wtedy wbił widły w przyzmę i zaczął wyrzucać obornik na brzeg dołu, a kobieta poszła za jego przykładem.

Na brzegu gnojowiska stał wóz odpowiednio przyszykowany i zaprzężony w jednego konia; i był tam także chłopak, raczej już nie chłopak, lecz młodzieniec, nieduży, ale szeroki, z tych typów, które dojrzewając nie wystrzelają w górę, a idą w szerokość, którym natura odejmując z wysokości, dodaje szerokości i ulepią

ich na kształt bryły mocno trzymającej się ziemi i nie- wywrotnej.

Chłopak miał także widły i był w pogotowiu; odpowiednio ustawiony, w lekkim przychyleniu i niewielkim rozkroku, z lewą nogą wysuniętą do przodu czekał, aż pierwsze porcje gnoju wylecą na brzeg, aby je wziąć na widły i przerzucić na wóz.

To był ten taśmowy ciąg roboty, stary jak stara jest wywózka gnoju, ta dawna, jeszcze stosowana, maszyna o przebiegu taśmowym, złożona z ludzi, wideł, wozu, koni i znów wideł; i choć pojawiają się prawdziwe mechanizmy, to jednak wciąż trwa ten stary ciąg taśmowy prowadzony rękami, widłami, męką koni, skrzypiącymi kołami wozu, od dołu gnojowiska aż po ten złocisty, ciemno nakrapiany kobierzec, utkany z rozrzuconego na polu gnoju.

Gdy wóz został napełniony i znajdujący się w nim gnój uklepany na kształt małego podłużnego dachu z ostrą kalenicą, chłopak chwycił lejce i bat i zawołał przeciągle — wiooo... tak zawołał, jakby zaczął pieśń.

Po tym zaśpiewie koń zadrzał podskórnie, tajemnie i od razu, niemal równocześnie z tym drzeniem, poruszyły się mięśnie w górnej części jego przednich nóg i na zadzie, a uszy zwróciły się ku przodowi; i zaraz skurczył się w sobie i nagle zmałał, a jego grzbiet napiął się w łuk, a łeb poszedł w dół; równocześnie ustawił się ukośnie z przechylem do przodu; i to już był początek pociągnięcia, bo fura drgnęła, potem napiął się cały, jakby się nie mógł zmieścić w skórze i chciał wyjść z siebie; i ruszył z miejsca, a ociekająca ciemną gnojówką fura potoczyła się w kierunku szeroko otwartych wrót, a potem drogą za wrotami; i ten stary jak świat ciąg roboty przy wywózce gnoju zaczął się wydłużać, bo fura posuwała się do przodu; i będzie coraz bardziej się wydłużał, bo wóz toczy się w kierunku dalekiego pola.

A na początku tego ciągu, w gnojowisku, mężczyzna i kobieta machają widłami i wyrzucają tłuste plastry gnoju na brzeg, chcą jak najwięcej wyrzucić, żeby sporo go tam było, gdy chłopak wróci; wtedy oni — tak sobie z pewnością przemyślali — wyjdą z gnojowiska i w trójkę szybko napełnią wóz, a później, gdy ten młody odjedzie z drugim załadunkiem, znów wejdą

Iw dół.

Mężczyzna i kobieta wiedzą, że gdy usłyszą turkot, będzie to znak, że chłopak zjeżdża z ostrej kamienistej pochyłości i że wnet znajdzie się na równej drodze; i wtedy ujrzą ciężki, stary łeb konia poruszający się z góry na dół, a za chwilę jego uszy podane do przodu na znajome odgłosy znajomego podwórza; a potem we wrotach jego wybałuszone oczy, patrzące spokojnie, bez żadnego zdziwienia.

Mężczyzna i kobieta bardzo lubią ten turkot, bo on wiele mówi; mówi przede wszystkim to, że gnój jest już zostawiony na wysokim polu i że za chwilę wóz znów stanie na brzegu gnojowiska i znów pojedzie tam z nowym ładunkiem.

Czekają na ten turkot, od czasu do czasu prostują się i widły opuszczają w dół, i wtedy nad gnojowiskiem zalega cisza, bo nie słycać tego plaskania gnoju i o gnój; a w ciszy głośnieje bzykanie tych lśniących much, tych czcicielek zwierzęcych odchodów; a także głośnieje bicie kropel odrywających się od zniekształconej już pryzmy i wpadających do gnojówki.

Dlaczego nie słycać turkotu, powinien już nadlecieć od strony tej pochyłej drogi...

Ale jak mogli usłyszeć turkot, skoro wtedy gdy stali w gnojówce, wsparci na trzonkach wideł, koń klęczał i na przednich nogach w górnej partii zbocza, a tylne nogi miał nieznacznie ugięte i coraz bardziej się uginające; i był już poniżej tej granicy, z której można pójść w dół albo do góry, z której można jeszcze się

dźwignąć i stanąć; to znaczy, że on osuwał się już w dół, aż do ułożenia na ziemi całego ciała.

Chłopak już w tym momencie, gdy koń wyszpanował się i przybrał mylącą formę postaci pragnącej wzbić się do góry i ulecieć w obłoki, a w gruncie rzeczy ostatnim wysiłkiem zmagął się z ciężarem fury, gdy to zmaganie jeszcze nie mówiło, czy koń wydrze furę na wzniesienie, czy fura cofnie się i zedrze konia z pochyłości, i gdy zaraz potem ugięły się do ukłęk jego przednie nogi, co już dało pierwszy znak, że wóz może się cofnąć, właśnie w tej chwili chłopak zdążył podłożyć pod koła kamienie i gdy koń ukląkł, wóz został zatrzymany i nie zjechał w dół; a potem chłopak, który znał się na rzeczy, zdjął czym prędzej postronki z orczyka i wyjął wędzidła z pyska konia.

Koń przez jakiś czas pozostawał w tym ukłęk i jakby w nieznacznym przysiadzie na tylnych nogach, drżących niby grubalne struny; a potem zwałił się na ziemię i westchnął głęboko, muzycznie, jakby upadł nie koń, a dzwon; łeb dał pod siebie, bo się ogromnie wstydził; bo koń najbardziej się wstydzi, gdy go zmoże ciężar wozu, gdy go ten ciężar stłamsi i rzuci na ziemię.

Konia zawsze opanowuje wstyd, gdy się kładzie; więc robi to zwykle wtedy, gdy człowiek na niego nie patrzy w stajni nocą albo w środku wielkiego błonia; ale koń wie także, że gdy upadł w ciągu i leży pod drżącym dyszlem, i nie może wstać, choć postronki zostały zsunięte z orczyków i kamienie położone z tyłu kół i choć mógł wypluć odpięte wędzidła, to powinien umrzeć, bo nie wolno mu żyć.

To się jeszcze nie stało i chłopak zaszedł mu od łba, przysunął się do jego karku i poluźnił chomać, aby wiatr ochłodził to miejsce, gdzie było najwięcej potu; ale zaraz wstał, chwycił bat i przyciął koniowi kilka razy wzdłuż brzucha, krzycząc — wstawaj, no wstawaj!

Potem chłopak nagle odskoczył od konia i stanął na rozkraczonych nogach, i spojrzał w dół drogi, tam gdzie zaczynała się płaska rozpadlina i wieś; chciał może wołać ojca, ale doszedł do wniosku, że to nic nie da, bo głos nie doleci do wsi; później przychylił się i urwał twarde, suche źdźbło wysokiej trawy, podszedł do łba konia, ukłęknał i zaczął go tym źdźbłem łaskotać po wnętrzu ucha; ucho zadrżało kilka razy; potem rękę przerzucił do przedniej pachwiny zwierzęcia, wczepił się pazurami w śliską skórę i szarpnął z całych sił; chwycił się za głowę i szepnął do siebie — co będzie, co teraz będzie; wytarł oczy kułakiem, bo mu zwilgotniały, i kopnął konia w przyrodzenie; i zaraz położył się na ziemi i zajrzał mu w nozdrza, i stwierdził, że nie są rozchylone, że nie prześwituje z nich czerwień i nie ma tam tych rozżarzonych węglików, które się pojawiają, gdy w koniu gra krew; leżąc, przysunął czule policzek do tego najmiłszego miejsca na końskim ciele, to znaczy do górnej wargi i chrapów.

Znów wstał, chwycił bat i już miał przyciąć koniowi po ułożonym dogodnie dla bata podbrzuszu, ale usłyszał kroki i po chwili zobaczył jednego z tych ludzi przyjezdnych, którzy kręcili się po lasach i polach, wdychali świeże powietrze pełnymi płucami, wychodzili na wzniesienia i stamtąd patrzyli na duże obszary ziemi, podnosili głowy do góry i przyglądali się obłokom, a koło południa schodzili ze wzniesień w kotliny i podążali na obiady.

Od razu można było poznać, że to przyjezdny, bo nie szedł byle jak, lecz stapał z namysłem, falując nieznacznie w biodrach, co dawało pozór, że nie idzie, lecz niesie samego siebie; trzeba powiedzieć, że to nieznaczne, tylko wyrobionym okiem dostrzegalne biodrowe falowanie, decyduje, czy się jest z tutejszych, czy z przyjezdnych; ale w tym wypadku to i po odmien-

I nym ubiorze, a także po tej wąskiej, bladawej twarzy można było poznać, że jest on przyjezdny; a i po słowach, które choć wypowiedziane, były jakby przyniesione na srebrnej tacy; a słowa były takie — jak mogłeś, chłopcze, tak zamęczyć to biedne zwierzę, przecież nie musiałeś, chłopcze, aż tyle obornika ładować na wóz, mogłeś wziąć połowę tego, a później drugą połowę; gdybyś wziął połowę, nie byłoby się to stało, jak można tak dręczyć konia, przecież można było nałożyć mniej; gdybyś nałożył mniej...

Kilka małych zuchwałych ptaszków przeleciało z piskiem nad ich głowami i to był niby sygnał dany chłopakowi, bo on zaraz po tym nagłym przelocie szczygłów czy sikorek uniósł do góry bat i przyciął nim temu przyjezdnemu, który po tym uderzeniu podskoczył do góry niby rozbawione dziecko i krzyknął — napad!

Te szczygły czy może sikorki usiadły na niskich drzewach i znów głośno zapiszczały, i bat znów świsnął i spadł na przyjezdnego; tak jakby ten pisk ptaszków znaczył — ma jeszcze mało, trzeba mu dołożyć; i to tak wyglądało, jakby się chłopak nagle znalazł pod władzą tych zuchwałych ptaszków, które lubią przelecieć tuż obok głowy człowieka i zapiszczeć mu coś do ucha albo usiąść niedaleko na drzewie i doradzać mu to i owa

Przyjezdny dziwacznie podskakiwał i cofał się, krzycząc głośno, ale jednak elegancko — napad, napad!

A cofając się tak, nie mógł zauważyć, że zbliżył się do kamienistego urwiska, tworzącego jakby jamę w dolnej części polany i że stanął już na jego postrzępionym brzegu, pod którym leżały różne kamienie, a nawet głazy, samoczynnie, bez działania człowieka, lecz tylko wskutek tajemnej pracy gruntu a także deszczu, wichru, a może nawet powiewu oderwane od ziemi i zepchnięte w dół; i nie mógł się już zatrzymać,

i w pewnym momencie jedna noga przyjezdnego znalazła się w powietrzu i cofanie musiało się przemienić w upadek i przyjezdny zniknął w tej kamienistej jamie.

I tak się dziwnie złożyło, że wtedy zaskrzypiał wóz i chłopak zwrócił się nagle w stronę drogi i zobaczył swoją furę zjeżdżającą tyłem w dół i wlokącą za sobą konia; z pewnością koła tak mocno nacisnęły na położone przy nich kamienie, że je wgniotły w ziemię i wóz zaczął się staczać pochyłością i z każdą sekundą nabierał szybkości; a w kurzu, który unosił się nad drogą, pojawiały się raz po raz sterczące do góry nogi konia; a w pewnej chwili te cztery nogi tak się wyprężyły, iż mogło się wydawać, że za wozem sunie stół odwrócony białem do dołu.

To bezwładne zjeżdżanie nie mogło trwać długo, gdyż na nierównej drodze łatwo o gwałtowny skręt; dlatego fura wnet wypadła z kolein i z turkotem i chrzęstem wtoczyła się w młode świerki i przyhamowana tymi drzewami, zatrzymała się.

Chłopak pognał w tamtym kierunku i zobaczył wśród drzew wywrócony wóz i ten świetny gnój strzą- śnięty z niego na miękką ziemię lasu, a także utytłanego w pyłe konia, który do tych młodych świerków został przywleczony za samo tylko chomaćto złączone z końcem dyszla żelaznym okiem naszelnika.

Zupełny spokój panował na tym obrzeżu młodych drzew i wszystko było już wyjaśnione i powinno się już wiedzieć, co przy tej furze i przy tym koniu należało wiedzieć; ale chłopak nie chciał do siebie dopuścić tej wiedzy, która z ogromną siłą narzucała się; a może* ją dopuścił i zaraz z siebie wyrzucił, bo znów schylił się i urwał długie ostre źdźbło trawy i trzymając je nabożnie w dwóch palcach niby rzecz niezmiernie ważną, zbliżył się z nim do leżącego konia, ukląkł przy jego łbie i znów zapuścił tę suchą łodygę w głąb wło

chatego końskiego ucha; i wtedy wydało mu się, że ucho drgnęło; ale potem doszedł do wniosku, że ono nie poruszyło się; a po chwili znów mu się wydało, że drgnęło i dość długo nie wiedział, czy ucho konia porusza się, czy nie; aż w końcu musiał się przekonać, że ono się porusza, ale nie za przyczyną życia, tylko tego małego wiatru, który lubi się nagle wplątać w ciszę lasu.

Znów te natrętne złośliwe ptaszki przeleciały z wesołym piskiem nad głową chłopaka i usiadły niedaleko na małym drzewie; i on wtedy ściskając mocno koniec biczyska, podszedł ukradkiem do tego drzeweczka, przyczał się i uderzył w nie batem, ale żaden z tych ptaszków nie został trafiony, bo one zdążyły wyprzedzić uderzenie, poderwały się z gałęzi, odfrunęły i usiadły na innym drzewie.

I do tego drugiego drzewa podkraść się chłopak i trzasnął w nie batem; ale i tym razem nie dosięgnął żadnego ptaszka; ale jednak się uparł i szedł za tymi ptaszkami od drzewa do drzewa, żeby przynajmniej jednego strącić na ziemię; tak się uparł, jakby zupełnie zapomniał o tym, co się stało z furą, koniem, a także z tym przyjezdnym, jakby istniały tylko te przekłete ptaszki i to ich beztroskie popiskiwanie, które przecież niczym innym nie było tylko kpina, tylko tą ptasią okrutną kpina, domagającą się kary.

Wreszcie tak dobrze się podkraść i przyczał, że mu się udało i trzepnął końcem bata jednego z tych złośliwców i ten trafiony ptaszek upadł na ziemię; chłopak wziął go na dłoń i przyjrzał się mu uważnie, i przekonał się, że wypukłe oczy tego małego szydery przykryte są białą powieką i wyglądają jak dwie perły wsadzone w pióra i że z krótkiego, ostrego dzioba dobywa się krew.

Potem rozejrzał się wokół siebie i stwierdził, że stoi u wylotu leśnej przecinki i że ma przed sobą daleki,

otwarty widok; niebo nad horyzontem w tym miejscu, w które celowała leśna droga, miało z początku tę jednostajną siność; ale później zaczęło się gotować i burzyć i powoli przemieniało się w duże zbiorowisko białawych, jakby dymnych kłębow, które idąc w górę zaczynały się formować w stado siwych koni, biegnących zrazu truchtem, a potem galopem po tej jednostajnej siności niby po pustym, zamartym pastwisku.

Potem chłopak wyłowił w tym oszalałym stadzie najszybszego rumaka i dosiadł go z zadziwiającą łatwością; widział, jak na tym rączym koniu wyprzedza całe stado i wysuwa się do przodu, i mknie samotnie pustą sinością w kierunku ciemnej krechy lasu; i jak potem jego koń z nim na grzbiecie odbija się od pustego nieba i płynie nad lasem; jak w końcu ten koń opada z nim w tym miejscu, gdzie jest wylot leśnej drogi, i stawia go na ziemi z batem w jednej i nieżywym ptaszkiem w drugiej ręce, a sam przemienia się w czyste, przejrzyste powietrze.

Po przejechaniu dużego obszaru pustego, sinego nieba i odbyciu długiej drogi nad lasem, i wylądowaniu w tym miejscu gdzie stał, wyrzucił nagle z rąk bat i nieżywego ptaszka i zaczął biec do tej skalistej zapaści, do tej studni, samoistnie, tylko pracą kamieni i wiatru wydrążonej; a biegnąc krzyczał — panie, hej, panie! Jesteście tam jeszcze, panie! Odezwijcie się, odezwijcie!

Gdy stanął na brzegu skalnego obrywu i spojrzął w dół, zobaczył przyjezdnego; leżał sobie na boku, na kamienistej płycie, nogi w kolanach miał podkulone, a głowę wspartą na kamieniu, jakby spał; nawet przyjemnie było na niego popatrzeć.

KONIEC NOWELI

REŃCE Z KIESZENI!

Czy przez żart Pana Boga, czy przez złośliwość losu, czy przez winę ojca, matki albo jakiegoś przodka Mikołaj Pogoda urodził się z kalekimi rękami.

Gdy tylko został wydarty z ciała matki, nie było wątpliwości, że ma krzywe ręce; i dlatego akuszerka nie witała jego przyjścia na świat tym przenikniętym ulgą po ciężkiej, dobrze zakończonej pracy stwierdzeniem — no to już po wszystkim — ale ściszym szeptem — Jezus Maria — zagłuszonym na szczęście przez krzyk zanurzanego w ciepłej wodzie noworodka; i dlatego pomagające przy porodzie kobiety zamiast wykrzykiwać w stronę zroszonej potem, bladej twarzy matki — syn, syn, zdrowy brzdąc — milczały i patrzyły w podłogę albo w sufit.

Ale matka nie byłaby matką, gdyby się na tych ściśniętych wargach kobiet i na ich oczach chodzących z podłogi na powalę tam i z powrotem nie poznała i nie wrzasnęła, mimo wielkiego zmęczenia — podnieście dziecko do góry, bo chcę je zobaczyć...

Akuszerka podniosła, ale krzywe dłonie sprytnie zasłoniła, i matka dała się na razie oszukać, gdyż była ogromnie zmęczona i morzył ją sen.

Ale matka nie byłaby matką, gdyby się dała oszukać, gdyby się zaraz nie ocknęła i nie spytała kobiet — dlaczego poruszałyście głowami nad moim dzieckiem, gdy było kapane, dlaczego macie smutne miny...

Co się dzieje, gdy urodzi się takie dziecko...

Wiadomo, co się dzieje — wieść o tym rozchodzi się naokoło, matka lamentuje, ojciec się smuci, sąsiedzi fałszywie się litują i fałszywie pocieszają...

A najżałośliwsze jest to, że chodzi tylko o same dłonie, że reszta ciała pierwszej klasy, na pokaz, że zapowiada się człowiek wysoki i postawny, o białej, delikatnej twarzy, ciemnych oczach i bujnej, czarnej czuprynie.

Matka, ojciec i sąsiedzi co chwila robią to zestawienie, bo patrzą na przeciwieństwa związane w jednym ciele, na tyle ładności, a tylko odrobinę szpetoty, na to prawie całkowite piękno, a jednak nie całkowite, bo dłonie są zniekształcone i zeszpecone.

Wtedy słyhać to do znudzenia powtarzane — gdyby nie te ręce, gdyby nie te ręce — to daremne, a jednak nieustannie powtarzane jakby w nadziei, że ciągle klepanie tych słów wyprostuje mu dłonie i palce.

Ale chyba najżałośliwsze jest to, że dziecko uśmiecha się rozkosznie do tych lamentów i smutków spadających na kołyskę z wiszących nad nią twarzy dorosłych i wymachuje ramionami, i te krzywe dłonie migają w powietrzu, i ono bardzo się nimi cieszy.

Czas jednak robi swoje i lament przechodzi w ledwie słyszalne pojękiwanie, a potem się zupełnie ucisza, gdyż musi się uciszyć, bo któż jest takim mocarzem, żeby mógł wciąż lamentować...

Oględziny, nieustanne oględziny kalekich rąk, dłonie matki, ojca i sąsiadów suną delikatnie po kształtnym ramieniu dziecka, aż do wystającej okrągłej kostki, gdzie zaczyna się ten żart Pana Boga, złośliwość losu czy wina przodków.

Bowiem tu, gdzie kończy się ramię, kość gwałtownie się załamuje i przechodzi w nadmiernie wąską i odgiętą w tył dłoń, która nie ma przegubu i jest zrosnięta z ramieniem i z której wyrastają także odgięte w

tył palce mające mocno ograniczoną ruchliwość i może | tylko połowiczną zdolność uchwytu.

Rozpoczyna się czas, w którym słychać nieustanny szum słów — może z tymi rękami da się coś zrobić...

Biorą więc te wyrastające z kształtnych ramion kalekie dłonie dziecka lekarze i znachorzy, a wśród nich znachor nad znachorami, spec od kości, taki zawołany spec, że można by o nim powiedzieć, iż patrząc na człowieka, zupełnie nie widzi ciała, nie widzi mięśni nóg i rąk ani białych miękkich pośladków, a tylko twarde szkielet i każdą cząstkę tego szkieletu, że dla niego człowiek to właściwie prześwitujący na przestrzał kościotrup.

Ale jednak wszyscy lekarze i znachorzy, i ten znachor nad znachorami, mówili to samo — co się niezwykle rzadko zdarza — a mianowicie, że z dłońmi Mikołajka nic się nie da zrobić, że lepiej tych rąk i palców nie podrażniać cięciem, krajaniem, łamaniem i nowym zestawianiem, bo może być jeszcze gorzej, bo może utracić w nich władzę.

Czas jednak wciąż robił swoje i po okresach lamentu i wszechwładnego brzęczenia słów — może z tymi rękami da się coś zrobić — nadszedł okres przyzwyczajenia i co za tym idzie, spokojnego snu matki i ojca dziecka.

To już nie jest małe dziecko, to już jest dziecko podrośnięte, które samo chodzi, patrzy na świat, widzi to i owo, pyta się o wszystko i bardzo się stara pojąć różnorodność rzeczy...

Patrzy na swoje dłonie i na dłonie rówieśników i zamyśla się głęboko — moje takie, a ich takie, które ładniejsze, moje ładniejsze, na pewno moje, spytam się matki...

— Twoje, twoje ładniejsze — potwierdza matka i wybucha płaczem; dlaczego płacze, gdy moje ładniej

sze, gdyby naprawdę były ładniejsze, toby nie płakała, kogo by się jeszcze spytać, ojca...

— Twoje, twoje ładniejsze — mówi ojciec i głaszcze jego głowę; a gdy on odchodzi, przywołuje go i znów głaszcze, długo pociera swoją ogromną dłonią jego głowę i policzki i powtarza — twoje ładniejsze, twoje ładniejsze; dlaczego mnie tak głaszcze, jeśli moje ładniejsze, kogo by się jeszcze zapytać, nie wie kogo, próbuje sam do tego dojść...

Czas pomaga mu pojąć, bo widzi coraz więcej rzeczy i porównuje, bez przerwy porównuje; dlaczego oni tak łatwo chwytają kije i śmigają nimi, a mnie to nie wychodzi dobrze, nie mogę tak długo śmigać jak oni, a do tego wymachuję kijem inaczej i oni się śmieją, gdy na to patrzą...

Ten śmiech bardzo pomaga mu pojąć i on już prawie pojmuje, a tę odrobinę niepojęcia usuwa pewnego wiosennego dnia po południu jeden z jego rówieśników, który do niego podchodzi i mówi — ty masz krzywe ręce...

Teraz już wszystko, co jest na tym świecie, wykrzykuje mu do ucha tę nowinę — ludzie, konie, krowy, młode byczki, gęsi, kury... poucinałbym łby tym gęsiom i kurom, ale co by powiedziała matka i ojciec — myśli i złości się, tak się złości, że płacze.

To już nie dziecko, to już chłopak, wysoki, smukły, akurat taki, jaki się zapowiadał, chodzi do szkoły, uczy się dobrze, choć z utrzymaniem ołówka są trudności — gdyby nie te ręce...

W miarę jak rośnie i pięknieje, coraz częściej to — gdyby nie te ręce...

Nadchodzi czas — jak mógłby nie nadejść — w którym jego prawdziwe imię i nazwisko tak jakby się od niego oddalało i chowało w gęstej mgle; bo przecież jest wspaniała okazja, aby mu nadać przezwisko Krzywa Rączka.

Gdy był chłopcem, rówieśnicy mówili do niego wprost — hej ty, Krzywa Rączka; początkowo złościł się, gdy to słyszał, i dawał im szturchańce tą pogrubioną i usztywnioną kością, która urosła mu u ramienia zamiast przegubu; ale później powiedział sobie — lepiej jest udawać, że mnie to nic nie obchodzi, a jeszcze lepiej śmiać się...

To na pewno było lepsze niż wściekanie się, ale trudniejsze, bo gdy ktoś wali do ciebie wprost z przezwiskiem — Krzywa Rączka — łatwiej jest się wściec niż wybuchnąć śmiechem.

To już chłopiec, wnet o nim powiedzą — kawaler góruje nad rówieśnikami wzrostem, urodą i pojętnością w nauce, nie wypada do takiego prawie-kawalera mówić wprost — hej ty, Krzywa Rączka...

No to przewisko oddala się od jego twarzy i zatacza łuk, idzie za plecy i znów się oddala i kursuje między ludźmi, gdy o nim mówią.

Teraz jest tak, że on przezwiska nie słyszy, ale wie, że wyskakuje ono ludziom z ust co chwila, gdy chcą

o nim coś powiedzieć.

Jednak lepsze to były czasy, gdy rówieśnicy chlastali go tym przezwiskiem wprost po twarzy, po oczach,

I on się złościł i rzucał na nich.

Rósł i piękniał, i uczył się wiele od swoich krzywych rąk; bo te ręce były natrętne, wciąż o sobie przypominały i różne rzeczy podpowiadały, a najczęściej chyba to — wypróbuj nas, wypróbuj, jest tyle okazji do wypróbowania prawej i lewej; a przedtem jeszcze raz obejrzyj sobie prawą i lewą, ale ze spokojem i namysłem, bez tego zacierzwienia, które gdy jesteś sam wśród pól, podsuwa ci wściekle okrzyki — co za paskudztwo, co za paskudztwo urosło mi u ramion...

Zdobyłeś się na chwilę spokoju i przekonałeś się, że nie jest tak źle, jak ci się zdawało; przegubu wprawdzie nie ma, ale przegub to jeszcze nie wszystko,

a taka pogrubiona kość na końcu ramienia może się na coś przydać, na przykład, żeby nią nacisnąć na jakąś rzecz albo przesunąć coś cięższego, gdy zajdzie potrzeba, albo dać kuksańca pod bok upartemu koniowi, który nie chce się ruszyć z miejsca.

Dłoń wprawdzie odgięta w przeciwną stronę, ale górne części palców są ruchliwe i mogą chwycić kij, nóż, kromkę chleba i wiele innych rzeczy...

Bądź spokojny i cierpliwy i przyjrzyj się jeszcze prawej i lewej, ale bez podniecenia, bez ochoty do krzyku — nie chcę żyć z takimi rękami...

Przedtem nie miałeś cierpliwości i jak głupie dziecko wykrzykiwałeś — co za paskudztwo, co za paskudztwo; a teraz, gdy się cierpliwie przyglądasz prawej i lewej, zaczynasz w nich dostrzegać coś, co się liczy; i przekonujesz się, że duże palce, kciuki, są wyśmienite, żaden z twoich rówieśników nie ma takich dużych i silnych kciuków jak ty i że te palce świetnie wspomagają resztę dłoni i tworzą z nią jakby kleszcze, żelazne kleszcze.

Nie zdawałeś sobie sprawy, że masz u ramion silne, żelazne kleszcze, używałeś ich nieraz, ale nie wiedziałeś o tym, a teraz je wypróbuj z namysłem; jest świetna okazja, bo obala się spróchniały, a stawia nowy płot...

Oni odrywają od żerdzi stare sztachety w ten sposób, że opasują palcami ich końce i ciągną, a ty je chwytasz w swoje żelazne kleszcze i tak samo ciągniesz, odrywasz i odrzucasz...

Musisz sobie inaczej niż oni ułożyć robotę, żeby nie pozostać w tyle i móc na końcu powiedzieć — zrobiłem to samo, co każdy z nich; to znaczy, musisz teraz wprawić swoje ramiona w szybki ruch i z pomocą tych żelaznych kleszczy odrzucić znacznie więcej sztachet niż inni, żeby później mieć więcej czasu na przybijanie nowych żerdzi i nowych sztachet.

Bo twoje żelazne kleszcze, nadające się wyśmienicie do grubszych robót, mogą mieć trudności z chwytnością, przykładaniem w odpowiednie miejsca i przybijaniem gwoździ.

Ale jeśli zyskasz na czasie przy rozwalaniu starego płotu, możesz osiągnąć taką samą długość nowego ogrodzenia co inni i gdy oni powiedzą dumnie — no to już zrobiliśmy to, co mieliśmy zrobić — ty możesz powiedzieć tak samo dumnie, — no to zrobiłem, co miałem do zrobienia; i oni się zdziwią, a nawet trochę zawstydzą, i to będzie dobre.

Masz świetną okazję, żeby ich zawstydzić, i gdy z niej skorzystasz, to ich ogarnie wstyd, i to będzie wyśmienite; bo teraz wszystko polega na tym, kto kogo zmoże i zawstydzi.

Udało się przy grodzeniu płotu, udało się przy innej robocie, udało się kilka razy... — Hej, ty, Krzywa Rączka — woła sam do siebie — widzisz, że trzeba słuchać dłoni... Krzywa Rączka słucha...

Bardzo się ucieszył, że usłuchał swoich rąk, a jeszcze bardziej, że potrafił zakpić z siebie i nazwał się Krzywą Rączką; tak się ucieszył, że roześmiał się, tak głośno się roześmiał, że ktoś go usłyszał i zapytał ■ — dlaczego się śmiejesz...

— Eh, tak sobie — odpowiedział i oddalił się, bo chciał być sam ze swoją radością.

Wielkie święto obchodzi teraz Krzywa Rączka, sam obchodzi, sam siebie zaprasza, sam biesiaduje, sam jest gościem u samego siebie, sam gra, tańczy i śpiewa, sam wykrzykuje — hej ha, hejże ha — na tym święcie posłuchu wobec swoich rąk i przemiany wściekłości w kpinę z samego siebie.

Po skończeniu nauki w szkole ziemia, pole, stajnia, chlew, obora, snop, żyto, pszenica, chleb... Pole się nie pyta, co umiesz i jaki jesteś, pole przyj-

raie każdego; może być ktoś z garbem na lewej łopatce, z garbem na prawej łopatce, z garbami na dwóch łopatkach, może być nawet bez nóg, bez rąk, pole go przyjmie, bo jest dobre, i takiemu, który nie może być gdzie indziej, bo go nie chcą, pole mówi — przyjmuję cię...

Garbatych to nawet lubi, bo samo przyprawia garby, a więc taki gotowy garbaty jest miły dla pola; a taki bez nóg może z powodzeniem łuskać groch, skubać gęsi i wystrugiwać różne rzeczy z drewna potrzebne polu i gospodarstwu; a takiego, który nie ma rąk, można wsadzić do beczki i niech ubija kapustę przeznaczoną na kiszenie, niech taki bezręki tańczy w beczce oberka i ugniata kapustę, niech ją ugniata na kamień, to się wyśmienicie ukisi; bezręki może jeszcze zsuwać nogami bryły z miedzy na rolę i bić w nie piętami, rozkruszać je i równać stopami zasiane pole...

Nawet taki co nie ma ani rąk, ani nóg, przydaje się polu i gospodarstwu, bo jeśli ma mocne zęby, może rozgryzać dzieciom orzechy, które mu one włożą między wyszczerzone kły i może w ten sposób długo zabawiać dzieci wtedy, gdy ich matki i ojcowie są przy robocie w polu; a jeśli nie ma zębów, to też się przyda, bo można ten bezręki i beznogi tułów wynieść z domu i posadzić w środku pól, niech tam wrzeszczy i odstrasza wróble, którym się zachciało wyjadać z ziemi zasiane ziarno albo opróżniać dojrzałe kłosa, niech wrzeszczy po całych dniach aż do chwili, gdy te mądre ptaszki połapią się, że jest bez rąk i nóg i usiądą mu dla odpoczynku na głowie, obżarte i pewne siebie; a potem może być przeniesiony na drugi kraniec pól, gdzie są ptaszki, które go nie znają, i może być nawet wypożyczany do straszenia wróbli.

Jeśli oni się przydają, to co dopiero taki, któremu wyrosły żelazne kleszcze u ramion. On zrobi wszystko, co potrzebne polu, on może nawet

dać ziemi więcej niż inni, gdy pierwszy wstanie i ostatni pójdzie spać.

To już nie chłopiec, to już młodzieniec, rosły i piękny — gdyby nie te ręce; to już młody gospodarz, który chce dać polu jak najwięcej, żeby pokonać innych; dlatego kocha wczesne świty, a także późne wieczory, gdy ledwie widać ziemię, ale widać, i można jeszcze kilka razy dziabnąć motyką albo machnąć kosą, przejechać kilka metrów pługiem albo co innego zrobić przed zupełną ciemnością.

Ale najlepsze są wczesne świty, wszyscy śpią, a on już w polu, jego ręce cieszą się, bo nie ma w pobliżu innych rąk, są same na ogromnej równinie, kąpią się we wczesnorannej mgle, palce mają lepszy uchwyt, a żelazne kleszcze mocniej ściskają, jego ręce stają się piękne, bo są same...

Spijcie, śpijcie jeszcze, gospodarze, koguty zdrzemnęły się po pierwszym pianiu; nim ockną się i wpadną w popłoch, że zasnęły, i zapieją przeraźliwie, on zrobi sporo.

Spijcie, śpijcie, gospodarze, niech jak najdłużej będzie sam na tych pustych polach, niech go tylko ta pustka słyszy, gdy mówi — widzisz, koso, jak cię mocno trzymam, widzisz, pługu, jak cię równo prowadzę; niech jak najdłużej będzie dumny ze swoich rąk...

Ale oto mgła rzednie i różowieje górą, wnet wylezie słońce, ten srogi przeźroczysty bóg, który wszystko zagęści, zestawi, zróżnicuje, oddziecinni, odnawi, powkłada ubrania na ciała i maski na twarze...

Przybić to słońce bretnalem tuż za brzegiem ziemi j albo zagrozić mu drogę dużym i grubym kołkiem wbitym w ziemię przy samym jej brzegu, niechby trwał wiecznie ten wczesny świt.

W chwili gdy obmyślał ogromne gwoździe i kołki, gdy przychodziły mu do głowy różne sposoby na wstrzymanie słońca za katem ziemi i ustanawiał na

równinie wiekiusty przedświt, słońce wychyńło malutkim łukiem zza ustawionej na krańcu doliny kopki siana i nad pola zaczęło nadciągać wiele rąk.

Płynęły wolno przejrzystym powietrzem, jakby niesione lekkim wiatrem duże, rosochate i ogromnie mądre łapy starych; zagięte niby pazury olbrzymich jastrzębi, zuchwale i brudne dłonie chłopów w średnim wieku; poszerzone, jakby przyklepane na kowadle, i posypane ciemnym kurzem męskie dłonie kobiet; nie pasujące do swoich właścicieli, bo od nich starsze, choć rówieśne, ręce podrostków.

A każda para tych nadciągających powietrzem i opadających ku ziemi rąk z ruchomymi przegubami i palcami o pełnym uchwycie.

Co się dzieje, gdy tyle dłoni przyfrunęło na pola, zniżyło lot i zamigotało tuż nad ziemią...

Kosa Krzywej Rączki zaczyna się buntować i staje się mniej posłuszna, jakby się chciała odegrać za to, że jego ręce tak okrutnie nią wymachiwały, gdy był ten mgławcy, wczesny świt, a także rozzuchwała się pług i chwieje się w słońcu to w prawo, to w lewo prosta o wczesnym świcie skiba.

Za dnia dłonie Krzywej Rączki dobrze wiedzą, jakie są, i chcą się ukryć, ale przecież muszą być na wierzchu, na kosisku, na capigach, na grabiach, przez cały tydzień od poniedziałku do soboty na wierzchu; dopiero w niedzielę będzie mógł je ukryć w kieszeniach nowego ubrania.

Dobre są wczesne świty, dobre są wieczory, ale chyba najlepsze z wszystkiego są kieszenie w niedzielnym ubraniu; bo gdy trzyma w nich ręce, jest najpiękniejszy w całej okolicy; a najlepiej wychodzi to, gdy jest odpust albo zabawa i przyjeżdża sporo obcych ludzi, których dzięki tym kieszeniom można oszukać.

Toteż z niczym na całym świecie, nawet z wczesnymi świtami i wieczorami, te ręce tak się nie poku-

mały, jak z tymi dużymi kieszeniami w nowym ubraniu, które w zwyczajne dni wisi za kwiaściastą zasłoną w dużej izbie, na wieszaku zrobionym z wiklinowego patyka.

Znowu będzie okazja pokazać się obcym z rękami w kieszeniach i usłyszeć za plecami — jaki postawny, jaki piękny kawaler — gdyż zanosi się na zabawę, nie na taką zwykłą potańcówkę, ale na wielką zabawę, którą mają urządzić strażacy...

Mówi się, że to ma być właściwie duża uroczystość, a tańce będą tylko dodatkiem do niej; nie można przecież poprzestać na podskakiwaniu na podwyższeniu z desek zbudowanym na błoni, gdy nadejdzie trzydziesta rocznica istnienia straży pożarnej i gdy się przybije ostatni gwóźdź do ostatniej belki drewnianej wieży, potrzebnej do ćwiczeń strażackich; a to właśnie nadciąga i bliski jest już dzień, w którym straży stuknie trzydzieści lat i równocześnie zakończone zostaną ciągnące się dość długo roboty przy wieży.

Ma być zebranie, powitanie gości, mowy, poświęcenie wieży, odsłonięcie nowej, blaszanej tablicy z datą dwudziestego pierwszego sierpnia 1938 roku upamiętniającej trzydziestolecie, obok starej, na której widnieje data powstania straży; ma być także poświęcenie i wręczenie sztandaru, defilada banderii, poczęstunek, a do- j piero na końcu, gdy orkiestra przegra wszystkie kawałki do słuchu, zacznie się potańcówka.

Mówią, że przyjedzie starosta, ale tego nikt na pewno nie wie, bo ze starostą różnie bywa, powie — przyjadę — i ludzie ruszą do przygotowań, zbiorą drób i złożą się na świnie i cielę, a on wtedy — wybaczone, I muszę wyjechać w ważnych sprawach, pošlę wam swojego zastępcę; trudno — odpowiada delegacja, która pojechała z zaproszeniem, bo co ma odpowiedzieć, a obywatelski komitet organizujący przyjęcie skreśla I

ciele, bo dla zastępcy i tych, którzy z nim przyjadą, wystarczy świnka i trochę drobiu.

Tak czy owak Krzywa Rączka będzie miał wiele okazji, aby w nowym, odprasowanym ubraniu, z rękami w przepaścistych kieszeniach marynarki pokazać się obcym, których nazjeżdża się z całej okolicy.

Już z rana może wyjść na główną drogę i pokazać się tym pierwszym pieszym, którzy bojąc się spóźnienia, wyjdą wcześniej z domów.

A potem może się zaprezentować maszerującym w większych grupach i pierwszym furmankom; ale po przejechaniu pierwszych, mniej ważnych furmanek, musi szybko wracać do remizy i wieży ćwiczeń, aby zdążyć na czas i oczekiwać z całą hurmą ludzi furmanek ważniejszych, nadjeżdżających szybko i paradnie, a następnie powozów jaśnie państwa i samochodu, w którym przyjedzie starosta albo jego zastępca.

Będzie starał się wysunąć do przodu, aby mógł wszystko wyśmienicie zobaczyć i aby był zauważony; w nowym niedzielnym ubraniu, w którym są te przepaściste kieszenie, nikogo się nie wstydzi i czuje się pewny, i jest jak wielki pan.

Takiemu, który krzyknie do niego — hej ty, nie pchaj się tak, są ważniejsi od ciebie — odpowie — chcę zobaczyć banderę, powozy i samochód.

Nawet takiemu, który się zacietrzewi i na nic nie zważając, będzie chciał go ukłuć w czule miejsce i zawoła — hej ty, Krzywa Rączka, cofnij się, zrób miejsce starszym gospodarzom, da spokojną odpowiedź — nie zajmuję niczyjego miejsca; i uśmiechnie się, a w myśli tak powie do tego niecierpliwego krzykacza —• nie widzisz przecież moich rąk ani ty, ani żaden z ludzi zebranych przy wieży ćwiczeń ich nie widzi; ani ci, którzy przymaszerują, przyjadą na furmankach i w powozach ich nie ujrzą, ani nawet starosta ich nie zobaczy; nawet ja, głuptasie, ich nie widzę, widzi je

tylko prawa przepaścista i lewa przepaścista kieszeń i Bóg...

| Dobry obmyślił plan, było w nim wszystko, czego pragnął, a więc zobaczenie całej uroczystości z jej wstępem, którym będzie nadociąganie gości, z jej częścią główną przy nowej wieży ćwiczeń i remizie i zakończeniem, którym będą tańce; a także ukazanie siebie z jak najlepszej strony, to znaczy z rękami schowanymi w kieszeniach, a więc wyprowadzenie w pole obcych i nieznajomych, którym z pewnością nie przyjdzie do głowy, że jego ręce są krzywe, bo w ich domyśle będą one normalne, świetnie pasujące do całości postaci, wysmienicie nadające się do obejmowania, uścisków, dotykania ciał dziewcząt, podnoszenia i podrzucania do góry małych dzieci, witania się i żegnania, i wymachiwania w słońcu... Ale jednak nie wszystko w tym uroczystym dniu przebiegło według jego przewidywań.

Poranny wymarsz na główną drogę był i napotkanie wolno idących ludzi w małych grupach, i ludzi zdyszanych, maszerujących w grupach większych, i zderzenie się z nimi oko w oko też było; i napotkanie pierwszych, tych mniej ważnych furmanek, także...

Właściwie to do chwili, w której do wieży ćwiczeń podjechał czarny samochód i wysiadł z niego starosta (jednak nie wyręczył się zastępcą), wszystko rozwijało się tak, jak przewidywał; bo nawet te ostre upomnienia skierowane do niego, gdy się przepychał do przodu, były, i jego odpowiedź — nie zajmuję niczyjego miejsca — i jego przemówienie do siebie samego o rękach ukrytych przed światem także...

Gdy przychodzi taka duża uroczystość, to choć wszystko jest świetnie obmyślane i każdy szczegół wzięty pod uwagę przez obywatelski komitet organizacyjny, to jednak mogą zdarzyć się rzeczy nieprzewidziane i jakaś śrubka, jakaś cząstka w tej wielkiej uroczysto-1

ści, która jest jakby ogromną skomplikowaną maszyną, może nie zagrać tak jak było ustalone, i stanie się coś takiego, czego się nikt nie spodziewał.

No bo kto mógł pomyśleć, że starosta po wyjściu z samochodu, wyprostowaniu się i spojrzaniu na ludzi zatrzyma dłużej wzrok na Krzywej Rączce, który nie zważając na gniewy i docinki, wysunął się do przodu.

Ale to nie świadczyło jeszcze o niczym i uroczystość po tym lekkim zboczeniu z ustalonego toru znów do niego powróciła, gdy młoda gospodyni i niestary gospodarz, ubrani na ludowo, podeszli do dostojnego gościa z chlebem i solą, aby go powitać staropolskim zwyczajem.

Starosta pochylił się nad bochenkiem, ukłonił się mu jak dostojnikowi, a potem przejął go z rąk wystrojonej kobiety, która drżała z wrażenia, i przekazał swojemu asystentowi; asystent z kolei urzędnikowi niższej rangi, a ten jakiemuś urzędniczynie i właściwie nie wiadomo, co się dalej stało z bochenkiem, bo nikt nie prześledził do końca drogi tego chleba.

Na drugi dzień ktoś bił się w piersi i zaklinał, że nie widział bochenka w samochodzie, gdy starosta odjeżdżał, i nawet wykrzykiwał — Bóg świadkiem, że go tam nie było...

Ktoś inny, biorąc także Boga na świadka, twierdził, że jakiś przyjezdny urzędnik, do którego rąk trafił w końcu bochenek, nie wiedząc, co z nim począć (drzwi samochodu były zatrzaśnięte i zamknięte) podszedł do rzecznej grobli i strącił chleb na drugą stronę wału, bochenek potoczył się między krzaki i tam go zjadły wrony.

Uroczystość z pewnością przebiegłaby planowo i bez zakłóceń, gdyby ta para, która wręczyła staroście duże koło razowca, a także członkowie obywatelskiego komitetu, którzy za nią stali, od razu skierowali wzrok dostojnego gościa na nową, pachnącą świeżym dreb

nem wieżę ćwiczeń i z nim do niej podeszli; wtedy i ludzie ruszyliby się z miejsc, powstałby ruch i Krzywa Rączka zapodziałyby się gdzieś w tłumie.

Ale oni natychmiast po ceremonii powitania chlebem i solą stanęli z dwóch boków starosty, otworzyli mu widok na jeszcze nieruchomy tłum, a tym samym na Krzywą Rączkę stojącego w przodzie.

Dostojny gość po raz drugi wlepił w niego wzrok nie tylko wlepił wzrok, ale zaczął iść w jego kierunku...

.— Może o kogo innego chodzi, a jednak patrzy na mnie i do mnie się zbliża, przecież nie mógł sobie mnie wybrać z całego tłumu, a jednak chyba mnie wybrał, bo idzie do mnie; cofnąć się i zniknąć w tłumie, ale stojący za mną ludzie to twarda ściana, nie da się jej przebić, wysunąć się jeszcze odrobinę do przodu, przebiec szybko na lewą albo na prawą stronę i uciec; też się nie da, bo zgromadzony tłum tak się ustawił, że tworzy głębokie półkole i zagradza drogę ucieczki; a zresztą nie wypada, przecież chciałem się pokazać I gościom, a teraz pragnę uciec albo zapaść się pod zie- i mię; z czym do mnie przyjdzie, może z tym — jak się masz, chłopcze; albo z tym — jakich urodziwych I młodzieńców rodzi ta ziemia; gdyby z tym szedł do j mnie, toby się już zaczął uśmiechać, a nie uśmiecha I się, twarz ma poważną, bardzo poważną; taka figura j musi mieć twarz poważną nawet wtedy, gdy mówi j rzeczy miłe; no to może z tym — jak się masz, chłop- I cze — zbliża się do mnie; ale jednak chyba nie z tyra, j bo jego twarz jest za bardzo poważna, tak poważna, j jakby się gniewał; zacznę się uśmiechać, może i on I się uśmiechnie, uśmiecham się, ale on robi się jeszcze I poważniejszy, jakby się bardzo gniewał; jest już przy i mnie, stanął, gdzie się podziały moje wczesne świty I i późne wieczory, tak by się mi teraz przydały; puste I

poła albo wiklinowe krzaki chciałbym teraz mieć naokoło siebie...

— ' Czy dostojny gość naprawdę krzyknął do mnie — ręce z kieszeni — czy mi się tylko zdaje, czy naprawdę jestem w tłumie ludzi, może jestem sam w środku pustych pól; naprawdę krzyknął — ręce z kieszeni i poszedł z tą parą, od której dostał chleb, i z obywatelskim komitetem w kierunku nowej wieży ćwiczeń.

— Nie jestem sam, naokoło mnie hurma ludzi, a wszyscy wydzierają się, choć milczą — ręce z kieszeni; coraz głośniej wrzeszczą — ręce z kieszeni, choć tylko patrzą...

— Co zrobić z rękami, czy uprzeć się, niech patrzy na nie tylko Boże oko; ale czy mogę się uprzeć, gdy cały świat krzyczy — ręce z kieszeni; gdy nawet wierzchołki drzew wykrzykują — obraziłeś dostojnego gościa, wyjmij ręce z kieszeni...

— Uprzyj się przeciw całemu światu; ale jeśli się uprzesz, ludzie zbliżą się do ciebie, otoczą cię ciaśniej i wydrą ci dłonie na wierzch; choćbyś pierwszego odtrącił, popychając go całym ciałem, to wydrze ci drugi albo trzeci, wydrze i pokaże światu twoje dłonie, bo obraziłeś dostojnego gościa...

— Wyjmujesz najpierw lewą, bo lewa jest odrobinę mniej krzywa niż prawa; ale co to za różnica, obie są krzywe i koniec; ale jednak wyjmujesz najpierw tę lewą, boś się uczeplił tej odrobiny różnicy jak swego wybawienia, a potem wyjmujesz prawą i teraz w pośpiechu manipulujesz barkami, ścieśniasz się w sobie, skurczasz i starasz się wsunąć dłoń w rękawy; ale to okazuje się daremne i wtedy jeszcze bardziej odsłaniasz ręce i nawet je lekko unosisz i krzyczysz do ludzi bez słów, tylko patrząc na nich — oto moje krzywe dłonie, które wydarliście z kryjówek...

Przedzierał się przez tłum, ale nie wiedział, że się przedziera, tak szedł przez ten tłum, jakby przechodził

pustynię, i hic nie wiedział, czy jest, czy idzie, czy patrzy...

| Ale jednak gdy znalazł się w środku pól, poczuł, że istnieje, przypomniał sobie, że nazywa się Mikołaj Pogoda, ale wołają na niego Krzywa Rączka; i zaraz sobie przypomniał, dlaczego tak wołają...

Gdy zaczął się wspinać na zbocze rzecznej grobli, doszły go przyciszone przestrzenia dźwięki orkiestry dętej i pomyślał, że przy nowej białej wieży ćwiczeń strażackich odbywa się wielka uroczystość; i wtedy przypomniał sobie twarze tych kilku nieznajomych, przyjezdnych dziewcząt, które czekając na rozpoczęcie uroczystości stały przy płocie organistówki i wpatrywały się w niego, i uśmiechały się, gdy jego ręce były w bezpiecznej kryjówce; prześcigały się w tych uśmiechach, a każda z nich samym tylko patrzeniem mówiła — chciałabym, abys był mój, przyjdź do mnie, gdy zrobi się ciemno i rozpoczną się tańce, nie odchodź ode mnie, gdy orkiestra przestanie grać i zabawa się skończy...

A potem sobie przypomniał ich odmienione twarze, zdziwione i poważne w chwili, gdy z wydobytymi z przepaścistych kieszeni i uniesionymi rękami poddawał się tłumowi; i zrobiło mu się żal tych dziewcząt i był zły na siebie, że okrutnie z nich zakpił.

Litując się nad tymi dziewczętami, wspiał się na koronę rzecznej grobli i zszedł w przybrzeżne zarośla.

Maszerował szybko ubitą ścieżką, nie zważając na to, że gałęzie wikliny tną go po twarzy i oczach.

Brzeg był już blisko, a on nie zwalniał marszu, tak jakby rzeka nie była rzeką, lecz wyrównaną jak stół ziemią, którą można przejść łatwiej niż krzaki.

Gdyby się nie zatrzymał, wiadomo, co byłoby, najpierw zanurzyłby stopy w mokrym, ciemnym piachu i zaraz woda sięgnęłaby mu kolan, a potem pasa; i wtedy byłoby tak, jakby połowę ciała oddał wodzie i czę

ściowo opuścił świat, za sobą miałby jaśniejszy, płytszy pas rzeki, a przed sobą ciemnozielony pas głębiny, który lubi dodawać odwagi — idź dalej, nie bój się...

Gdyby się dał namówić, rzeka sięgnęłaby mu serca, opasała pierś i byłoby tak, jakby jeszcze bardziej oddalił się od świata...

A gdyby się znów dał namówić i uwierzył w to — ja jestem dobra rzeka — woda opasałaby mu szyję i doszła do ust i wtedy byłoby tak, jakby się już znajdował gdzie indziej i tylko wychynał na chwilę po to, aby się jeszcze pośmiać z tego świata, który właściwie już opuścił, pokpić z niego i krzyknąć mu na pożegnanie niewyraźną, bulgoczącą mową jakiegoś brzydkie słowo...

Maszerował szybko twardą ścieżką, jakby już w tych krzakach dał się namówić rzece; przy brzegu jednak zatrzymał się, ale nie spojrzał na całą przestrzeń wody i nie przeleciał okiem znawcy po wszystkich jej barwach wziętych z nieba i z dna; po barwie przybrzeżnej, podobnej do szyby w oknie, szklistej, ulubionej przez starców jako znak wody płytkiej; po barwie popielatej jak sierść myszy i burej jak najwcześniejszy mrok i po ciemnawej jak godzina, w której przełamuje się dzień z nocą, tej ciemnawej, do której gdy się dobrnie, za plecami krzyczy i przestrzega świat — nie brnij dalej, wracaj do brzegu — a w przodzie kusi zaświat — idź dalej; i po tej najpiękniejszej, czarnozielonej z ognikami w głębi, podobnej do gwiaździstej nocy w drzewach, po tej czarnozielonej, wyznaczającej pełną obietnicę głębinę...

Stał na brzegu ze zwieszoną głową i miał pod sobą szare, śliskie kamienie i oblizującą je aż do zaślinienia ślamazarną strugę wody tuż-przybrzeżnej.

Ale nie była to jednolita, nieprzerwana ślamazarność, bo w jednym miejscu woda odbita od rzuconych

w poprzek kamieni cofała się, ale popychana koniecznością płynięcia w przód zataczała łuk i znów włączała się do pochodu rzeki; a to i zapewne jakieś nie zbadane siły poddenne sprawiały, że w tym miejscu tworzył się malutki wir, taki — można by powiedzieć — wirek, wirek-zabawka, zabawka dla człowieka, ale nie dla czarnego żuka, który spacerując po kancie kamienia zachwiał się i wpadł do wody.

Został od razu wzięty w siły obrotowe, ale trzymając się środka wiru, nie dał się ponieść na rzekę, skąd nie byłoby już powrotu; z drugiej jednak strony zbyt długie przebywanie w środku wirującego dołka było niebezpieczne, bo groziło utratą sił i zatonięciem.

— Są dwa wyjścia, żuku, albo zdołasz oderwać się od punktu środkowego i dopłyniesz do kamienia, albo dasz się wciągnąć wirem na dno dołka, przejdiesz po dnie kilka centymetrów, wypłyniesz na powierzchnię za lejkiem wiru i ostatnim wysiłkiem dosięgniesz kamienia...

— To pierwsze wyjście jest właściwie niemożliwe, musisz poprobować drugiego; ale dlaczego nie biore patyka i nie pomogę ci przesunąć się w kierunku kamienia...

— Nie biore, bo chcę, abyś sobie sam poradził, abyś potem ogromnie się cieszył, że o własnych siłach wydostałeś się z wiru...

— Co to byłoby za radość, gdybym ci pomógł, zawsze, do ostatniego tchu szłoby za tobą to, że ktoś się zlitował, gdy było ci ciężko, że jakaś litościwa dusza uratowała ci życie...

— Nie pomogę ci, abyś potem, gdy sobie poradzisz z tym wirem, mógł pomyśleć — sam sprawiłem, że chodzę po tej ziemi...

— Nie pomogę ci, giń albo sam się uratuj...

Żuk walczył początkowo z wirem głupio i naiwnie, tkwił w tym świdrze leja, próbując na próżno utrzy

mać się na powierzchni i wytracał siły; ale potem zmadrzał i dał się wciągnąć na dno dołka, które można było dostrzec przez niegłęboką w tym miejscu i przezroczystą wodę.

Miał jeszcze na tyle siły i zapasu powietrza, że wypłynął na powierzchnię blisko brzegu, a potem ostatnim wysiłkiem dotarł do pierwszego kamienia, wspiał się na jego gładki, zaśliniony brzeg, który dla żuka był grzbietem ogromnej góry; a później zaczął wolno zsuwać się po zboczu kamienia, zwróconym w stronę ziemi.

Wtedy Krzywa Rączka podsunął swoje palce pod nogi żuka, robak wtoczył się na jego kałką dłoń i tam się zatrzymał, bo ustał, suszył się na ciepłej ręce i drżał z radości.

Krzywa Rączka długo patrzył na żuka, a potem rzekł do niego — nawet nie wiesz, czego dokonałeś, robaku, zbawiłeś siebie i mnie...

Gdy to mówił, miał przed sobą wiklinowe zarośla i rzeczną groblę, za którą rozciągały się pola, czyli — można powiedzieć — miał przed sobą całą ogromną równinę, a za sobą rzekę.

Bo już w chwili, gdy robak pokonał wir i znalazł się po suchej stronie kamienia, a on mu podał dłoń, aby się z bliska przyjrzeć zwycięzcy, odwrócił się od rzeki i ustawił twarzą do ziemi; nie popatrzył na nią i miał ją za plecami, gdy delikatnie strącił żuka na kopczyk suchych wiklinowych liści, tak jakby nagle przestał kochać rzekę; i odszedł od niej bez pożegnania, to znaczy bez tych zapewnień, które jej zwykle dawał na odchodne — przyjdę tu jeszcze, gdy będzie wolny czas, przyjdę, aby wykapać konie i przepłynąć łodzią na drugą stronę, a potem usiąść na kamieniu i patrzeć na pliszki, które kochają twój piaszczysty brzeg...

Gdy dźwięki orkiestry przestały do niego dolatywać, pomyślał, że dostojni goście zwiedzają nową wieżę ćwi-

czeń, starosta sunie pierwszy schodami w górę, a jego urzędnicy i członkowie miejscowego komitetu organizacyjnego za nim...

Na pewno chwali robotę i uśmiecha się, bo mu się podoba wieża; piękna rzecz, pożyteczna rzecz — mówi do wójta i kładzie mu białą, ładną dłoń na plecach.

— Na pewno już zapomniał o tym zdarzeniu ze mną; przecież nie mógł tego zapamiętać, bo on ma wiele ważnych rzeczy na głowie, jak mogłaby się mu wbić w pamięć taka drobnostka, gdy trzeba myśleć o całym powiecie, o wszystkich wieżach ćwiczeń, remizach, szkołach, drogach, błoniach...

— Starosta przecież kieruje całym powiatem i nie może mu zaprzętać myśli jeden chłopak z rękami w kieszeniach, jeden niewychowany kawaler, jeden nieokrzesany cham, głupi cham, który nie wie, co, gdzie i jak, co wypada, a co nie wypada, ciemne chamidło, które się wystrychnęło w niedzielę, wpakowało ręce do przepaścistych kieszeni i pomaszerowało na wielką uroczystość, durne chamisko, które na nic nie zważało, przepychało się do przodu i stanęło przed starszymi i znaczniejszymi gospodarzami...

Znów doleciały go dźwięki orkiestry i on pomyślał — dostojni goście zwiedzili już nową wieżę, zeszli z niej i usiedli na krzesłach ustawionych na murawie, muzykanci grają wesoły kawałek, ale nie do tańca; to jest właściwie muzyka nie dla ludzi, ale dla koni, bo odbywa się defilada banderii...

Chłopaki siedzą na starych kocach, które są ich siodłami, i strasznie się męczą, aby konie miały łby w górze i stąpały elegancko; bodą obcasami i okładają cienkimi, oskórowanymi kijaszkami ich boki, ściągają wędzidła, klną wściekle, ale cicho, i robią, co mogą, aby je przemienić w rumaki...

Ale to nie jest łatwe, bo konie w ciągnięciu wozu i pługą przyzwyczyły się do trzymania łbów blisko

ziemi, tak blisko, że nieraz jak psy dotykały pyskami drogi albo pola; i przyzwyczyły się także do niewysokiego podnoszenia nóg, które w ciągu były podgięte niby ogromne haki, biły w ziemię i czepiały się jej przednimi kantami kopyt niby pazurami...

Ale jednak podbijanie obcasami w boki i okładanie kijami, szum ludzkich głosów, a głównie szybkie, wesołe granie działy, że te szkapy w najważniejszym momencie, to znaczy przed obliczem dostojnego gościa, dały z siebie więcej, niż mogły, i stały się tymi niby- -ru makami...

Tak się przemogły i tak sprężyły w sobie, ponacią- gały i pokurczyły mięśnie karku, nóg i grzbietu, otwały szeroko ślepia i zapaliły w nich nawet jako tako świecące blaski, rozwarły szeroko chrapy i ukazały w ich głębi czerwone znaki wewnętrznego ognia; wymęczyły pod kijem i przy muzyce takie samoprzeisto- czenie, że niejeden z tych siedzących na krzesłach dostojnych gości mógł trącić łokciem swojego sąsiada i szepnąć — ładne konie hodują tutejsi gospodarze...

Szedł pasem wysokiej jak zboże trawy i niegęstych krzaków, ciągnących się tuż przy rzecznej grobli; wybrał tę drogę, bo idąc nią, mógł najszybciej dojść do tej starej wysokiej topoli, która jest pierwszym drzewem na równinie.

Nie o to chodzi, że jest najstarsza i pamięta nie tylko cmentarz choleryków, ale i to, co było przed cholera, jakieś wojny, jakieś wylewy, pomory... i nie o to też chodzi, że jest najwyższa, wyższa nawet niż wieża kościoła i z jej wierzchołka można zobaczyć trzy miasta, nie mówiąc już o wielu wsiach, kościołach, polach, pociągach wjeżdżających w mgławice porozcią- gane na krańcu świata...

I nie o to też, że jest najpiękniejsza i że niejeden przyjezdny krzyknął, gdy ją zobaczył — jaki piękny okaz...

Stuknąć by w łeb takiego przyjeźdnego za ten głupi okrzyk, za te głupie niepoważne słowa o topoli, albo przynajmniej powiedzieć mu — schowaj sobie to śmieszne powiedzonko i nie wyskakuj z nim, wracaj, skąd przyszedłeś, obcy człowieku, i nie plątaj się tu przy tym drzewie.

A więc nie o to także chodzi, że jest najpiękniejsza, ale o to, że jest najlepsza i zżyta z ludźmi, że jest ludzka...

Żaden przyjezdny, żaden obcy nie pojmie tego, co jest między ludźmi i tym drzewem, bo to się nie tworzyło za jednego ludzkiego życia, lecz przez wiele pokoleń, i teraz już dzieci rodzą się z gotowym jakby przecuciem, że na tej równinie rośnie najlepsze drzewo świata, i jakby już z gotową wiedzą, że nie można do niego iść z siekierą i piłą, a tylko z otwartą dłonią, że nie wolno go uderzyć.

Przyjezdny nie pojmie, co się zawiązało między ludźmi tej równiny a tym drzewem, bo nie może pojąć, bo jest obcy i choćbyś mu nawet powiedział, że ta topola w swoim życiu zgasła milion piorunów niesionych nad wieś od zachodu sinymi chmurami, że milion piorunów utknęło po drodze w tym drzewie i nie doszło nad domy i stogi, to on zrozumie, ale do głębi nie pojmie, bo nie miał tu wielowiekowego domu, snopów w stogach i w stodołach, drewnianych ścian, słomianych dachów szop i komórek, które lubi ogień, żywicznego drewna, szczap rozrzuconych przez cieśli...

On to tak zrozumie, że po tej wiadomości o piorunach powie — pioruny na pewno nie oszczędzały tego drzewa i nieraz w niego biły...

Nie inaczej będzie z tym obcym, z tym turystą, gdy się dowie, że to drzewo za swojego ogromnie długiego żywota uratowało niejednego człowieka, gdy nie mógł uciec przed rzeką, która wezbrała, wyszła z brzegów, rozwalila i roztrącała zapory, i pędziła na równinę...

- Myślę, że ta topola mogła się oprzeć powodziowej fali...
- Myślę, że człowiek, który się na nią wspiął w czasie powodzi, mógł bezpiecznie czekać na pomoc...
- Na pewno na tym drzewie było bezpieczniej niż na dachu domu i nawet na dachu kościoła...

Żadne takie i tym podobne powiedzenia nie pasują do tego, co było między człowiekiem, rzeką i tym drzewem i mogą świadczyć jedynie o zrozumieniu, ale nie o pojęciu, bo do pojęcia potrzebna jest prawdziwa groza, a nie groza dla zabawy, bo pojąć może tylko ludzki ród tej równiny, który od początku żyje tu ze swoją grozą jak z prawą ręką i któremu groza każe budować groble i wydłubywać zwinne czółna z grubych pni.

Musisz się urodzić na tej dolinie, żeby mieć we krwi jej, a nie innej ziemi, grozę, która będzie potem zaszczepiona twojemu dziecku i dziecku twojego dziecka, i tak dalej; i tak jak trwa ród, tak trwa jego własna, rodowa, plemienna groza.

Bo pojęcie bierzesz z żył, a nie ze słów, i dlatego nie przekażesz grozy obcemu, choćbyś mu najlepiej i najdokładniej opowiadał o tej starej kobiecie, o tej babci, która uciekając przed rzeką, dobiegła do topoli w chwili, gdy woda sięgnęła już jej stóp; że wspinając się po spękanym, pełnym zadziarów pniu, darła, nie wiedząc o tym, swoje stare luźne odzienie, że tak zajadle się wdzierała na to drzewo, że porozrywała na strzępy i ściągnęła z siebie wszystko, co na niej było, i gdy wdrapała się na pierwszą gałąź drzewa, była pokaleczona i zupełnie naga i wyglądała niby przeogromny, odarty z piór dziki ptak i że tam to dzikie ptaszysko zaśpiewało pobożną pieśń, tak jakby nie siedziało na gałęzi drzewa, ale klęczało w kościele...

—» Jakie to dziwne ptaki siadały na tej topoli — odezwie się obcy starając się to na próżno pojąć.

Nie pojmie, choćbyś mu opowiedział jeszcze o tej młodej kobiecie, która w czasie nagłego wylewu rzeki schroniła się na tej topoli razem ze swoim pierworodnym niemowlęciem.

Wgniatając palce bosych stóp do szczelin w popękanej korze u dołu pnia i wgniatając palce prawej ręki do szczelin w wyższej części pnia, i trzymając pod pachą lewej ręki to dziecko, sięgnęła pierwszej gałęzi i tam wykonała prawym ramieniem szybki ruch, przetrzuciła je przez gałąź i uczyniła z niego hak i w ten sposób zawisała nad rozszalałą wodą.

Ale zaraz osłabła prawa ręka, na której wisiała matka i jej dziecko, a także zaczęła omdlewać od trzymania niemowlęcia ręka lewa, a łódź z ratunkiem nie podpływała.

Ten hak, który uczyniła z prawego ramienia, żeby się uwiesić gałęzi, zaczął się powoli odginać, a i te kleszcze stworzone z tułowia i lewej ręki po to, aby w nich trzymać dziecko, zaczęły się z lekka rozluźniać.

A działało się to nad brudną, poganianą samą sobą i rozjuszoną wodą, która pragnie jak największej ilości topielców; i działało się to zarazem pod ogromną koroną wielkiego drzewa, pod grubymi gałęziami, na których można by usiąść wygodnie jak na progu domu i patrzeć z wysoka, jak tratuje ziemię wezbrana, powodziowa fala, podobna do ciasno z sobą zbitego stada brązo- wopłowych, wełnistych buhajów, poganianych jakimś niewidzialnym batogiem.

— Boże, dopomóż mi — to musiało przyjść, bo ten hak-ramię znów troszeczkę się odgiął i znów odrobinę poluźniły się kleszcze, w których siedziało niemowlę.

— Boża pomoc jest w tobie samej, w tym, co potrafisz zrobić, aby się wywinąć od najgorszego i nie spaść wraz z dzieckiem na grzbiety tych wściekłych byków, i nie dać się stratować ich racicami — taka odpowiedź także musiała przyjść, bo nie może być inaczej.

I znowu — Boże, dopomóż mi — bo ten hak i kleszcze znów lekko popuściły...

I znów — boża pomoc jest w twojej ludzkiej miłości do tego piszczącego niemowlęcia i z niej bierz siłę i spryt, młoda matko, i nie zanudzaj nieba błaganiami.

Na haku i kleszczach nie może już polegać, w kilku sekundach musi zmienić układy sił, stworzyć nowe uchwyty i wprząc nowe siły...

Wysuwa niemowlę z poluźnionych już kleszczy, to znaczy spod pachy, i trzyma je teraz w palcach za koszulkę; nadeszła chwila, w której bardziej niż przedtem wszystko zależy od tego haka uczynionego z prawego ramienia i jej prawe ramię staje się na moment ramieniem wszechmogącym...

Ale ono jednak z każdą sekundą coraz bardziej się odgina i hak wolno, ale nieuchronnie, przestaje być hakiem; nim się to stanie, powinna nastąpić szybka - zmiana uchwytów i wprowadzenie nowych sił, które taka ogromna miłość musi mieć w zapasie.

Albo użyte zostanie coś nowego, albo ta matka i jej dziecko spadną do wody, która je chwyci w swoje prądy, unurza w mule i wplącze w wiklinowe krzaki; a potem z tych wiklin wyplącze i poniesie połamU i wyrzuci dopiero na dalekim pagórku usypanym na pamiątkę jakiejś dawnej wielkiej bitwy.

Jednak niewyczerpane są siły matki i ta młoda kobieta zgina w łokciu lewe ramię, podsuwa to kwilące niemowlę do swojej twarzy; ale tu nie o pocałunek chodzi, nie o to — niech cię jeszcze ucałuję, moja kruszyno, nim nas pochłonie woda...

Chodzi o to, aby chwycić zębami koszulkę tego dziecka i w zębach je trzymać, a lewą rękę przerzucić gwałtownie na gałąź dla wsparcia prawej, która już ledwie, ledwie spełnia rolę haka.

I tak się stało i matka upodobniła się do drapieźnika*

który jeszcze trzyma w pysku swoją zdobycz, ale wnet ją pożre...

Gdy pod nogi tej młodej kobiety podpłynęła szeroka łódź, ona wypuściła z zębów swoje dziecko do rąk ratowników i jeszcze nim sama zeskoczyła, poleciały jej z ust na furazerki młodych żołnierzy bryzgi śliny zmieszanej z krwią.

W łodzi zachowywała się śmiesznie, bo zamiast spoczywać, dyszeć równomiernie i cichutko dziękować Opatrzności i ratownikom, rzuciła się do obcałowywania swoich podrapanych, pozadzieranych rąk, kładła pocałunki na dłoniach i palcach i wykrzykiwała — dziękuję wam, dziękuję wam, moje ręce.

A potem zachowywała się jeszcze śmieszniej, bo wyszczerzyła zęby i nie przerywając tego wyszczerzania mówiła bełkotliwie — dziękuję wam, moje kochane ząbki...~

Rozśmieszyła tym młodych wioślarzy i przez pewien czas bardzo wesoło było na tej łodzi; ale ta wesołość skończyła się, gdy łódź stuknęła miękko we wzdęty brzuch utopionego konia.

Rzeczy duże sprawiały, że to drzewo było żyte z ludźmi, to, że brało w siebie pioruny i że brało na siebie ludzi i przenosiło ich od życia do życia nad wściekłą, zgłodniałą śmiercią, przemykającą z szumem pod ich stopami; a i to, że w wojny, które przychodziły ze wszystkich stron tego drzewa, brało w siebie kule i że jest u dołu naszpikowane ołowiem niby ciasto rodzynekami.

Mogło przecież tak być i z pewnością było, że jakiś nieproszony gość przysunął głowę do karabinu, oko puścił po lufie i palec położył na cynglu; ale nim wystrzelił, westchnął pobożnie — Boże, spraw, aby moja kula trafiła w sam łeb albo w samo serce, albo przynajmniej w brzuch któregoś z tych po drugiej stronie rzeki; i wystrzelił, i kula biegła prosto po linii łączącej

lufę z głową, sercem albo brzuchem, ale zagroziła jej drogę topola i człowiek przeżył, potem mógł spłodzić drugiego, a drugi trzeciego, i można powiedzieć, że sporo ludzi na tej równinie żyje, kosi zboże, wyplata koszyki, kobiałki i półkoszyki z wiklinowych prętów, łowi ryby, dłubie czółna i zbija łodzie tylko dlatego, że od wieków stoi tu to drzewo...

Krzywa Rączka dowiedział się wiele o topoli od starych ludzi, którzy lubią wygrzebywać dawne zdarzenia, i teraz one przez niego przepływają powiększane i ustraszniane jego własną myślą.

Ale oto dźwięki orkiestry dętej przestały do niego dolatywać, muzykanci ucięli nagle granie i zrobiło się cicho...

Musi być cicho — pomyślał — bo teraz starosta i jego świta, wójt, komitet organizacyjny, a także ludzie stojący za ławkami dostojnych gości patrzą na popisy strażaków wykonywane na nowej wieży ćwiczeń; przyglądają się zarzucaniu drabin i wspinaniu się po nich, zsuwaniu się z góry na dół przez specjalne płócienne wory, odważnym skokom z piętra na okrągłą, parcianą płachtę, utrzymaną w dole przez oddział ratowniczy, gaszeniu ognia i znoszeniu na ziemię ludzi, którym pożar odciął drogę ucieczki...

Gdy orkiestra zagrała wolnego marsza, wiedział, że teraz umila się dostojnym gościom przechodzenie do remizy, gdzie kilku kawalerów i kilka panien wystąpi z przyśpiewkami, a grupa uczennic i uczniów miejscowej szkoły z deklamacją wierszy...

Zrobiło mu się żal dzieci szkolnych, których okrutne nauczycielki i okrutne matki przygotowywały do tych występów...

Kawalerowie i panny jakoś sobie poradzą, wystąpią lepiej czy gorzej i pójdą na potańcówkę; a i chłopaki ze szkoły odbębnią wiersze i polecą zbijać baki...

Ale te dziewczynki, te dziewczynki, co z nimi będzie, jak im pójdzie...

Stoją teraz za zasłoną w remizie, która napełnia się gwarem, i strasznie się boją, nauczycielki i matki poprawiają im sukienki, dopinają guziki, coś na gwałt jeszcze przyszywają, urywają zębami sterczące nitki, podbijają kułakami w plecy i syczą — trzymaj się prosto i nie pomyl się...

Po tym — nie pomyl się — dziewczynki boją się jeszcze bardziej, gdyż się im przypominają sny, w których zapomniały wiersza i musiały uciekać przed matkami przemienionymi w dzikie świnie...

Starosta kroczy już do swojego krzesła w pierwszym rzędzie, a te ogromne, szorstkie łapy matek przechodzą z pleców na głowy i poprawiają córeczkom warkocze, szarpią za włosy, ściągają je mocno do tyłu...

— Boli — piszczy któraś z dziewczynek — i zaczyna płakać.

— Chcę, abyś dobrze wyglądała — odpowiada chropawym, półprzytomnym głosem matka, a jej zdiczale dłonie przechodzą po głowie i po twarzy dziewczynki i niby szorstkie, ciężkie ścierki miażdżą pojękiwania i łzy.

Niechby już zagrała orkiestra, to byłby znak, że zakończyły się deklamacje i że te nieszczęśliwe dzieci mają już to najgorsze poza sobą.

Ale na równinie cisza, co znaczy, że te dziewczynki jeszcze są przerażone i że nadal je dręczą okrutne nauczycielki i matki; a najokrutniejsze jest to — nie pomyl się — bo gdy się pomylisz albo gdy zapomnisz zwrotki, to już z tym pójdiesz w życie i niczym tego nie zmażesz, do końca życia będziesz tą, która zhańbiła ród, bo zapomniała wiersza, gdy były deklamacje przed panem starostą.

— Nie pomyl się — znów zasyczała któraś z matek i zaraz zamilkła, bo chciała westchnąć do Boga —

Boże, spraw, aby się pomyliła córka innej, a nie moja, Boże, spraw, aby się nie pomyliła moja...

Niechby już zagrała orkiestra i nie męczyły się dziewczynki i niechby już nie męczyły się okrutne nauczycielki i matki...

Ale równina jeszcze cicha i dzieci jeszcze cierpią...

Chyba już wnet kawalerowie i panny odśpiewają swoje wierszyki, a okrutne i nieszczęśliwe nauczycielki i matki rozcapierzą swoje dłonie, położą je na plecach nieszczęśliwych dzieci i powiedzą — teraz, teraz, idźcie...

Gdy dźwięki orkiestry znów do niego doleciały, kamień spadł mu z serca, nawet uśmiechnął się i powiedział sam do siebie — no to już po tych deklamacjach...

Ale zaraz zasmucił się, bo pomyślał, że któreś z tych dzieci nie wytrzymało wzroku dostojnego gościa i pomyliło się w deklamacji, nie dokończyło wiersza albo poprzestawiało zwrotki i teraz płacze, matka ciągnie je do domu i złości się, a ono lamentuje.

W domu ta matka złości się jeszcze bardziej niż na drodze i krzyczy do córki — ty gapo, ty gapo, inne się nie pomyliły, a ty się pomyliłaś...

A potem krzyczy do swojego chłopca — do ciebie się podała, do ciebie, do twojego gapiastego rodu...

Jutro się dowiem — myśli Krzywa Rączka — która się pomyliła, pójdę do niej i powiem jej — nie martw się, ja się nie martwię, to i ty się nie martw.

Orkiestra różnie na całego, ale są to kawałki do słuchu, a nie do tańca; co się może dziać, jeśli muzykantom kazano grać przyjemne rzeczy do posłuchania...

Wszyscy z pewnością wyszli teraz na plac przed remizą i chodzi o to, aby dostojnym gościom umilić czas oczekiwania na poczęstunek.

Wójt mówi co nieco o planach gminy, ale główny ciężar wypełnienia czymś przyjemnym przerwy pomię-

I dzy deklamacjami a poczęstunkiem spoczywa ha muzykantach.

I Strażacy w tym czasie wyrzucają z remizy ławki [i wnoszą do niej krzesła i stoły, które ustawiają rzędem i wspólnie z kobietami przykrywają białymi obrusami, a na obrusach kładą naczynia z jedzeniem i piciem...

Dźwięki orkiestry dętej mocno przycichły, co może ■znaczyć, że dostojni goście, wójt i znaczniejsi gospodarze zasiedli już do jedzenia i picia, a muzykanci grają im do słuchu w środku remizy.

Krzywa Rączka wie, że gdy dojdą do niego głośnie dźwięki orkiestry grającej kawałki do tańca, będzie to znak, że muzykanci opuścili remizę i przeszli na plac festynu...

Siedział w wysokiej trawie, oparty plecami o pień topoli, i po dźwiękach orkiestry odgadywał, co dzieje się we wsi.

Potem wstał i brnął dalej przez bujne trawy, rosnące na wąskim pasie między rzeczną groblą a krzakami wikliny.

Tak brnął, że bił nogami fale traw, trzaskał kolanami w wiechetki rajgrasu i małe kiście tymotki i zawzięcie spędzał z nich owady, które pojękując i pomrukując złowrogo, wzbijały się w powietrze i beczynn timer w nim kołowały.

No bo ten dzień powinien być zupełnie innym dniem, to miało być przecież paradowanie wśród przyjezdnych przy remizie z rękami w przepaścistych kieszeniach, a nie brnięcie trawami.

Doszedł do szerokiej, wygodnej ścieżki głównej, która przecinała pola, groble i wikliny; gdyby nią skręcił w prawo, mógłby szybko wrócić tam, gdzie odbywają się uroczystości, rzucić okiem przez okno w sali remizy i zobaczyć, jak i co jedzą dostojni goście i lepsi gospodarze, mógłby przyjrzeć się tym odętym, obrażonym,

którzy nie zostali zaproszeni na poczęstunek i teraz wałęsają się po drogach i mówią, że ta cała uroczystość została źle obmyślona, i pooglądać młodych, którzy podrygują w sobie na myśl o tańcach, a nade wszystko przeparadować wśród obcych.

Wróciłby, ale teraz nie może, bo nie wie, co ma zrobić z rękami; ma je nieść wyjęte z kieszeni, odkryte i falujące na wolnym powietrzu, czy ma je trzymać w kieszeniach; nie wie, co lepsze, gdy tajemnica została już wydarta, pierwsze niedobre i drugie niedobre, z pierwszego litość i z drugiego litość...

Przeciął więc tę dogodną ścieżkę, maszerował dalej i nadal znęcał się nad wysokimi trawami i wypłaszał z nich owady.

Wróci do wsi dopiero wtedy, gdy zrobi się ciemno...

Po prawej stronie ma rzeczną groblę, po lewej krzaki, minął właśnie partię wiklin młodych, jeszcze lepkich, ledwie zielonych i rozwianych w nieładzie, maszeruje przy boku wiklin starszych, suchych, trzymających się prosto, o liściach podsiwiałych.

Wnet dojdzie do wiklin starych, zatrzymanych w swym wzroście na granicy, do której może dojść krzak; bo krzakowi nie wolno wyrosnąć w drzewo i musi zostać krzakiem, choć bardzo chce być drzewem.

Stąd ta męka starej wikliny i to zawzięte staranie się, aby wyjść z siebie w drzewo, stąd to nieustępliwe parcie w górę, kończące się jednak przedwczesną, wiotką gałązką, która ledwie może unieść samą siebie; i to zwijanie pnia w sprężynę, która jednak zastygnie w krzakowej formie i nie rozprostuje się nagle, i nie wyrzuci krzaka w drzewo; i to kolorowanie pnia przyciemniałą, drzewną barwą i rysowanie cienkiej kory pęknięciami, które może jedynie sprawić, że ktoś łaskawy powie na krzak — drzewko; drzewko, ale nigdy — drzewo.

Wszedł w te najstarsze krzaki i przedzierał się wą-

ską, ledwie zaznaczoną ścieżką do miejsca, gdzie duża rzeka łączy się ze swoim głównym dopływem; bo nagle zapragnął znów ujrzeć to mozolne wchodzenie rzeki w drugą rzekę, to wieczne mocowanie się dwu różnych wód, łączenie się i zespalanie z sobą, i równocześnie wzajemne odtrącanie; jakby kto zszywał, a zszywając rozrywał dwa sukna — jasne, srebrzyste z brązowym, ziemistym...

Patrzył na przelatujące górą ptaki, dużo ptaków przelatuje nad tym ogromnym szwem dwu zszytych z sobą wód, niektóre lecą bardzo wysoko...

Jak one widzą te rzeki — myślał...

Gdy próbował przedstawić sobie, jak objawiają się wody wysoko lecącym ptakom, doszły go dalekosiężne, rozbestwione i niepowstrzymane dźwięki orkiestry dętej; to już była muzyka do tańca; nie mogła być inna, gdyż nadchodził wieczór...

Muzykanci są już na placu festynu, kawalerowie chwycili panny i rozpoczęły się tańce, już dudnią deski ułożonej na błoniu podłogi.

Na pewno ruszyły do tańca także te przyjezdne dziewczyny, które czekały na uroczystość, stojąc przy organistówe, a które on tak bezwstydnie okłamał; zapomniały już o tym jego kłamstwie; a może któraś z nich pomyślała — gdzie się zapodział ten piękny kawaler z krzywymi rękami...

Dostojni goście i znaczniejsi gospodarze zostali chyba jeszcze w remizie, bo trudno im tak nagle odlecieć od jedzenia i picia.

Między wierzbami przesmykują się nieruchawie stare, garbate kobiety, pragną zbliżyć się do ogrodzenia podłogi i popatrzeć, jak tańczą młodzi, a potem pragną podejrzeć młodą parę, której mocno zapachniało to, co pospolicie nazywa się grzechem, i która na gwałt szuka dobrej kryjówki... Stare, garbate kobiety pragną złowić szuranie w za-

roślach i suchych trawach, młaśnieńcia pocałunków, zdyszane szepty, przemienienie ciał z pionu w poziom, głośne, przyspieszone oddechy, zachłyśnięcia, ciche kwilenia i wszystkie inne odgłosy towarzyszące spełnianiu grzechu.

Ledwie powłóczą nogami te stare, garbate kobiety, syczą z bólu, gdy potykają się na nierównościach ziemi, ale jak bohaterki suną nieustępliwie za młodymi parami szukającymi kryjówek i popychane żalem za swoją umarłą w ich zetlałych ciałach młodością, zbliżają się do tych kryjówek i z lubością wskrzeszają ciche kwilenia własnej, na wieki w nich pogrzebanej, rozkoszy...

Z powrotem szedł wolno, jakby z namysłem, odmierzał kfoki i kontrolował tempo marszu, gdyż chciał wrócić do wsi razem z ciemnością.

Dobrze sobie to obliczył, bo gdy doszedł do błonia i usiadł na grubych żerdziach ogrodu, odrutowana naftowa latarka dyndała już nad festynową podłogą, a w oknach remizy migąło białawe światło wypożyczonych z plebanii lamp z umbrami.

Potem sunąc wzdłuż płotu, zbliżył się do miejsca tańców i skryty za krzakiem tarniny próbował wśród tancerzy i tancerek wyłowić którąś z tych przyjezdnych dziewcząt, ale to było niemożliwe, bo latarka kopciła i świeciła słabo, a na deskach panowała taka ciasnota, że tancerze i tancerki przestali być poszczególnymi ludźmi, a stali się jedną czarną, ciemniejszą od nocy, rozedrganą istotą.

Ale patrzył, choć widział tylko tę nie dającą się przebić szczelną zbitkę cieni; a gdy się jej tak mocno przyglądał, to ten taniec wydał mu się nie uciechą, lecz męką, nie życiem rozbuchanym, lecz umieraniem w konwulsjach, nie pragnieniem, lecz nieznośnym przymusem...

Znów przesunął się wzdłuż rzędu tarninowych krzaków, rosnących przy płocie odgraniczającym błonie od pól, i podszedł do remizy.

W świetle idącym ze środka budynku zobaczył ludzi uczepionych wypustów muru przy zamkniętych oknach i zagląających do sali, w której odbywało się przyjęcie; to światło dobywające się na zewnątrz sprawiło, że w ludziach przyklejonych twarzami do szyby rozpoznał tych sprytnych biednych, którzy, gdy pociemniało, przyszli tu razem ze swoimi chudymi psami i cierpliwie czekali, aż dostojni goście i znaczniejsi gospodarze wyjdą z remizy; a gdy się to stanie, uproszą wójta, aby im pozwolił urządzić sobie ucztę przy tych resztkach, które pozostaną na stołach.

Pokłonią się nisko wójtowi, obejmą go za kolana i powiedzą sprytnie — wójcie, nasz dobrodzieju, nie zamykaj drzwi...

Przypomną mu, że co do joty wypełnili jego rozkaz i nie pokazywali się w dzień, nie nałazili na oczy dostojnym gościom i w ogóle zachowywali się tak, jak mieli nakazane; i przyrzekną mu, że nie będą kraść jabłek w plebańskim sadzie i snopów na plebańskich polach, obmyślą różne miłe słowa, aby mogli zasiąść przy tych resztkach.

Muszą sprytnie podejść pijanego wójta, bo inaczej on się zezłości i powie do komendanta straży — zamknij na klucz drzwi od remizy, aby się dziady do niej nie wpakowały...

Biedni wiedzą, bo nauczyło ich życie, że muszą być sprytni i fałszywi; bogaty nie musi być sprytny, może być szczery, prawdomówny i uczciwy i patrzeć prosto w oczy, bogaty może być dobry i będzie żył, a biedny nie, biedny musi być chytry i zły i musi kraść, i obmyślić sto różnych sprytności i fałszów, aby wyżyć...

Gdy stanął na niższej żerdzi płotu i przez szyby zobaczył, co dzieje się w środku, pomyślał, że dostojni

goście i znaczniejsi gospodarze wnet wyjdą z sali, bo już unieśli się z krzesel i piją strzemiennego...

To jeszcze trochę potrwa, bo strzemiennego nie wypiją się szybko, podniesione ręce dość długo trzymają kielichy, potem jest stukanie szkła o szkło i dużo słów o przyjaźni i braterstwie, dużo wzajemnych obietnic i zapewnień, marzeń i uczuć pochopnie i bezwstydnie ubieranych w słowa, bicia się w piersi, przysięg i przemieniania ziemi w raj i dopiero na końcu dość leniwie wypity strzemienny; będzie jeszcze kilka strzemiennych, zanim skończy się uczta.

Gdy stanął na górnej żerdzi płotu biegnącego tuż przy murze remizy i przytrzymał się wystającego nad nim słupka, mógł przez luki między uczującymi ujrzeć białe stoły i ustawione na nich talerze i półmiski z jedzeniem, a także butelki z wódką; na końcu stołów* na bieli obrusa rozpląwało się coś szkarłatnego, jakby rozlana krew albo barszcz z ćwikły...

Gdy uczujący, trzymając kielichy do wypicia strzemiennego, odstąpili nieco od stołów, zyskał lepsze pole widzenia i wtedy mógł się przekonać, że to nie krew ani czerwony barszcz, lecz atłas nowego sztandaru, przywiezionego przez władze powiatowe; stał chyba przy ścianie, ale któryś z biesiadników trącił drzewce i sztandar upadł na wolny koniec stołu, i tak został* gdyż uczujący zajęci jedzeniem i pićciem, a także ożywionymi rozmowami o przeszłości wsi, nie zwrócili na to uwagi.

Krzywa Rączka stojąc na tym płocie naprzeciw dużego okna remizy i trzymając się wysokiego słupa* wpatrzył się mocno w sztandar; wtedy zauważył, że jego szkarłatny atłas jest unurzany krajem w jakiejś burej zupie albo sosie, który podpląnął do sztandaru, gdy został przez nieuwagę wylany z półmiska...

Okazało się, że biedni umieli sprytnie użyć swego | ubóstwa i tak podejść wójta, że dał się uprosić i po

wiedział — idźcie i posilcie się, ale żeby mi nic nie zginęło...

Musieli jeszcze chwilę poczekać, aż kucharki zgarną lepsze jedzenie i pochowają łyżki, widełce i noże; zostało jednak sporo smakowitych rzeczy na stołach, gdy biedni razem ze swymi kundlami wtargnęli do remizy, były sosy, ziemniaki, jakieś nie dojedzone sałatki, polane śmietaną, zostało jeszcze sporo bigosu i po pańsku na cienkie kromki pokrojonego chleba; zostały także butelki z nie dopitą wódką, o co długo molestowali wójta, bo on z początku odmawiał wódki i dopiero gdy kilka razy usłyszał — wójcie, dobrodzieju kochany, ty nigdy nie opuszczasz ubogich — zgodził się...

Biedni pędząc do stołów, zaczęli się z sobą szamotać, przepychać jeden przez drugiego, a nawet okładać kułakami, bo każdy, uważając się za najważniejszego z biednych, chciał usiąść na krześle, na którym siedział starosta.

W tej szamotaninie zwyciężył silny dziad z gminnego domu ubogich i on zajął to krzesło; wtedy wszyscy do niego, zanosząc się od śmiechu — panie starosto, witaj nam, panie starosto... a do wyrobnika z końca wsi, który najmował się do cepów — panie wójcie — bo jemu udało się dopaść krzesła, które zajmował wójt, i stać się drugą co do ważności osobą na uczcie biednych.

Dla reszty zostały już tylko tytuły — panie radco i panie gospodarzu.

Biedni nie przejęli się wcale tym, że na stołach nie było łyżek, bo za łyżki posłużyły im świetnie te eleganckie kromki elegancko pokrojonego chleba, nimi nabierali sosy i sałatki, a jeśli chodzi o jedzenie stałe, to przecież mieli ręce...

Psy biednych, które niepostrzeżenie wsmyknęły się do remizy, przeszkadzały w jedzeniu swoim panom, czepiały się przednimi łapami brzegu stołu, piszczwały,

warczały i domagały się zrzucenie jedzenia na podłogę.

Niektóre były tak bezczelne, że porywały jedzenie wprost z talerzy i parę razy zdarzyło się, że pysk psa spotkał się przy talerzu" z twarzą człowieka i wtedy obaj warknęli na siebie, jakby to byli dwaj biedni ludzie albo dwa biedne psy.

Na to, co zostało na stole po odejściu dostojnych gości, mówiło się resztki; ale tego było sporo i biedni nażarli się i opili do syta; ale chcieli jeszcze jeść i pić, i wpakować do brzuchów więcej niż one mogły pomieścić, wziąć w żołądki tych sosów, sałatek, chleba i ziemniaków na zapas, żeby starczyło na kilka dni, na tydzień, miesiąc, na całe życie...

Więc żarli i żarli, pchali w siebie i pchali to jedzenie, choć nie było już gdzie; dyszeli, sapali i żarli, aż niektórym zaczęło się robić niedobrze...

Silny dziad z gminnego domu ubogich, ten, który zajął miejsce starosty, zasnął pierwszy; kto by pomyślał, że jego pierwszego zmoże jedzenie i wódka i że on pierwszy chwyci się za usta i pobiegnie do kąta sali, i tam wybluzga z siebie to, co zjadł i wypił.

Wymioty sprawiły, że wytrzeźwiał, a wpatrując się w to, co z niego bluznęło na podłogę, pojął, co stracił, i opanował go żal, i mówił sam do siebie — tyle dobrego jedzenia, tyle wyśmienitego jadła zmarnowałem...

Ale nie opuściła go nadzieja, wrócił szybko do stołu, otarł łzy z oczu i zaczął na nowo wypełniać swój brzuch jedzeniem i pić.

Niektórzy położyli głowy na obrusie i zasnęli, inni stoczyli się z krzeseł na podłogę i leżąc pod stołem, gniewali się nie wiadomo na kogo i krzyczeli — ty sukinsynie, ty chamie...

Byli tacy, którzy nabrali ogromnej pewności siebie, chodzili po sali chwiejnym krokiem, przechyleni do tyłu, i wymrukiwali butnie — co mi kto zrobi, co mi kto zrobi, niech spróbuje, nikogo się nie boję...

Byli i tacy, którzy pod wpływem wódki weszli jakby w skórę statecznych gospodarzy, zatroskanych sprawami wsi, a będąc w tej skórze, powtarzali w kółko — błonie powinno być ogrodzone i podzielone na trzy części, ogrodzone i podzielone na trzy części, ogrodzone i podzielone na trzy części...

Psy patrząc na to wszystko, od razu spostrzegły, że są górą, i rozzuchwały się zupełnie; wskakiwały na krzesła i ściągały ze stołów, co się dało.

Mały rudy kundel wziął dobry rozmach i od razu z podłogi skoczył na stół, opróżnił półmisek z jakichś resztek, a potem zaczął zlizywać sos ze sztandaru.

Dopiero wtedy jeden z tych biednych, którzy jako tako trzymali się na nogach, zawołał — o, sztandar na stole...

A drugi — trzeba go stąd wziąć i postawić przy ścianie...

Na to pierwszy — poczekajmy, niech go pies wyczyści...

Krzywa Rączka, który od pewnego czasu stał w uchylonych drzwiach remizy, wszedł do sali i wtedy pies zlizujący sos ze szkarłatnego atlasu zeskoczył na podłogę; podszedł do sztandaru, wziął go za drzewce i postawił przy ścianie; ale na atlasie pozostało jeszcze sporo sosu, który spływając wolno w dół, zatrzymywał się na chwilę w srebrzystych frędzlach, a potem grubymi kroplami skapywał na podłogę.

Krzywa Rączka szukał wiadra i wody, żeby obmyć sztandar, ale nie mógł znaleźć...

— Jest tu gdzie wiadro i woda? — pytał się biednych, ale oni żarli, spali, rzygali albo chodzili butnie po podłodze tam i z powrotem, z wypiętymi brzuchami, i nic nie wiedzieli...

— Jest tu gdzie wiadro i woda?! — krzyczał do biednych i targał ich za kołnierze, ale oni żarli, spali,

rzygali albo chodzili butnie po podłodze i nic nie wiedzieli...

A jednak Krzywa Rączka uwziął się, żeby obmyć sztandar, bo gdy nie mógł znaleźć wiadra i wody w remizie, wyszedł z niej i krzyknął na cały głos — ludzie, przynieście wody, bo trzeba zmyć brud ze sztandaru...

Ale nikt go nie słyszał, bo młodzi tańcowali, a starzy spali...

Potem szedł przez wieś i wydierał się — ludzie, potrzebne wiadro i woda, żeby obmyć sztandar — ale nikt go nie słyszał, bo młodzi tańcowali na festynie, a starzy mocno już spali...

Jak to dziwnie ten los się plecie, niby człowiek go plecie, ale on raz po raz wysmykuje mu się z rąk i sam się wypłata, bawi się człowiekiem jak kot z myszką, zachodzi mu od pleców i wykrzykuje niby dziecko do dziecka — bawmy się w chowanego; zadrapie pazurami, to znów pogładzi otwartą dłońią, ucieka przed człowiekiem, a człowiek go dogania, chwytą, ugniata, ulepią, wyrzeźbią według swoich chęci, ale los wystrzela mu z uchwytu niby śliska rybka; i zaraz ta rybka przemienia się w chytrego lisa, który krąży koło człowieka i przypatruje się mu z ukrycia...

A jeśliby szło o Krzywą Rączkę, to los go próbował, a gdy on te próby wytrzymywał, to znów go próbował...

Los rzucał się na Krzywą Rączkę, a Krzywa Rączka na los, bili się z sobą na śmierć i życie jak dwa zajadłe wrogi; a ta bitka toczyła się w najgłębszej głębi duszy Krzywej Rączki i nikt jej nie widział, nikt nie słyszał szczęku oręża, dzwonienia pancerzy, uderzeń włóczni o tarczę, trzasku mieczów, jęków i charko- tów...

— Jak będziesz żył z takimi rękami, pomyśl, jak...

— Nie chcę myśleć, jak będę żył, bo żyję i uprawiam pole...
Za dużo litości w twoim życiu, za dużo litowania się nad tobą...

— Pole nie jest litościwe, pole jest okrutne i umie powiedzieć — idź precz; a mnie mówi — zostań...

— Pole przyjmie każdego...

.. — Przyjmie każdego, ale nie na łaskę, pole zawsze się pyta — co mi dasz, abym ci dało...

Jeśli chodzi o Krzywą Rączkę, to było mocowanie —. kto kogo, los jego czy on los, położy; i po tych rozmowach, kłótniach, po tych bitkach Krzywa Rączka położył los i powiedział — masz być posłuszny — i los spokorniał...

Z czasem krzywe ręce zostały przyjęte jak ręce, nie potrzebowały już przepaścistych kieszeni ani za długich rękawów, wczesne świty i późne wieczory przestały być tym, czym były dla krzywych rąk, a stały się tym, czym są dla rąk; to znaczy, że dzień, jasny dzień, słońce, zalew światła stały się dla jego dłoni tym samym, co wczesny mgławcy świt i późny burawy wieczór...

Nosił je jak ręce i los znudził się, i przestał się nimi zajmować, tym bardziej że z każdym rokiem poprawiał się uchwyt palców; dłonie utraciły też sporo ze swojego nienormalnego wygięcia, a kość zamiast przegubu utwardziła się i stała bardzo przydatna i bywała nawet powodem dumy, gdy uderzając nią, rozłupał deskę albo złamał sztachetę.

Zżył się ze swoimi rękami jak z dobrym, wypróbowanym przyjacielem, tak się zżył, że gdyby mu ktoś powiedział — jeśli chcesz, przemienię twoje ręce w proste, białe i piękne — odpowiedziałby chyba — niech te, które mam, zostaną przy mnie...

Los rzucał się na Krzywą Rączkę, a Krzywa Rączka na los, i było mocowanie.

Gdy umarła mu matka, też było mocowanie; w chwili gdy wziął grudkę żółtej ziemi, aby ją rzucić na trumnę, którą grabarze wsunęli na dno dołu, zerknął na swoją przyczerniałą dłoń i do żalu zaraz wplątała się myśl — więcej roboty czeka teraz na moje ręce...

Gdy wracał z pogrzebu, żal ścisnął mu serce, ale od czasu do czasu popatrywał na swoją prawicę i lewicę i myślał — ojciec jeszcze zdrowy, ale przynajmniej połowę z tego, co robiła matka, zwali się teraz na mnie...

Jego ręce zaczęły drżeć z niecierpliwości, palce szybko zginały się i prostowały, płaty dłoni przeżyły się mozolnie, jakby chciały zniwelować nienormalne uwypuklenia, i tak się przeformować, aby zyskać zdolność lepszego uchwytu, jego uniesione nieco przed pierś ręce rwały do przodu niby samoistne, czarnobrazowe, ruchliwe twory i pociągały go za sobą, i on podążając szybko za swoimi rękami, wyminął wszystkich ludzi na drodze, wpadł do domu, przebrał się w stare ubranie i od razu wziął się do przygotowania żarcia dla świń...

A potem to żarcie zaniósł do chlewa i wlał w koryta, wtedy uspokoił się i nawet ucieszył, bo pomyślał, że sobie poradzi...

Ale zaraz pomyślał, że sobie nie poradzi, gdyż został tylko z ojcem, nie ma brata ani siostry, bo matka po jego urodzeniu nie chciała po raz drugi rodzić...

Ojciec czasem szeptał do niej w nocy — drugie może być bez feleru, połóż się na wznak...

— Kto mi zaręczy — odpowiadała matka.

— Wszystko u Boga w mocy, drugie może być tak samo piękne jak on, a przy tym mieć zdrowe ręce i nogi, połóż się na wznak...

— Bóg wie, ale ja nie wiem, gdyby mi Bóg powie

dział — będzie bez feleru — tobym się położyła tak jak chcesz, ale Bóg nic nie mówi...

— Drugie będzie piękne i zdrowe, połóż się, no, połóż się na wznak, drugie na pewno będzie zdrowe, połóż się tak jak chcę...

— Drugie może być z jeszcze większymi felerami niż pierwsze, może mieć krzywe ręce, krzywe nogi, garb i wylupiaсте oczy, i wiecznie otwarte usta, z których wiecznie będzie ciekła ślina...

— Hej ty, Krzywa Rączka, ożeń się, weź sobie dobrą kobietę, masz piękną białą twarz, ciemne bujne włosy, masz silne zdrowe nogi i jesteś gibki w sobie, dobra kobieta wybaczy ci krzywe ręce...

Młoda dobra kobieta jeszcze przed ślubem pomyśli, jakie będzie nasze dziecko, i nie wybaczy mi krzywych rąk...

— Gdybyś się rozejrzał, tobyś znalazł taką, która by ci wybaczyła krzywe ręce...

Nie ma takiej na świecie, która przyjąłaby to spokojnie i bez strachu położyła mi się na wznak...

— Na pewno jest taka, która się położy bez lęku... j—g Nie ma takiej...

— Jest taka, która się uśmiechnie i położy bez strachu, i wybaczy krzywe ręce...

— Nie chcę, żeby mi wybaczyła, krzywe ręce są niewinne i dumne i muszą starczyć za cztery proste dłonie. i

Na drugi dzień poradził sobie z dojeniem krów, chwycił cycki delikatnie w te kleszcze tworzone z kciuków i kantów dłoni i wydoił krowy, i cieszył się, że nie musi się żenić i brać do domu młodej, litościwej duszy i że nie powtórzy się taka rozmowa, jaką prowadził ojciec z matką, a

Los rzucał się na Krzywą Rączkę, a Krzywa Rączka na los, i było mocowanie... Gdy umarł mu ojciec, było wielkie zderzenie z lo

sem; gdy znów wrzucił do grobu grudę ziemi i ona zadudniła na wieku trumny, do ogromnego żalu wsmyknęła się myśl — teraz cała robota matki i ojca zwała się na mnie, czy sobie poradzę; i zaraz do ogromnego żalu wsmyknęła się ogromna radość, gdyż pomyślał — poradzę sobie...

Smucił się swoją samotnością, ale i cieszył, bo ją znosił i mógł być dumny.

Nie skarżył się ludziom i nie zwierzał — jak mi ciężko bez matki i ojca; ale do swoich zwierząt mówił — jestem sam z wami; a do drzew w sadzie — tylko ja wam zostałem; a do swojej ziemi — tylko mnie masz, ziemio...

Gdy ktoś do niego przyszedł i powiedział — chciałbym ci pomóc — odpowiadał — pomagaj, ale musisz przyjąć zapłatę albo odrobek...

Bo przekonał się, że najgorszą rzeczą na świecie jest litość i tak jej nie cierpiał, że — można by rzec — był chory na niechęć do litości...

Bo wszystko inne zniesiesz łatwiej niż litość, ludzki gniew, wściekłość, nienawiść, zazdrość, podkopywanie dołków zniesiesz łatwiej...

Także to — ja ci pokażę, ja ci nauczę, ja ci zniszczę, jeszcze mnie popamiętasz, z dymem puszcę twój dom — zniesiesz łatwiej niż to — chcę ci pomóc z dobrego serca, z samego, dobrego serca, bo mi cię żal...

I może się tak stać, że takiego, który się wściekł i pędzi do ciebie z pazurami i pięściami, mniej się boisz niż tego, który zbliża się do ciebie stąpając delikatnie, na „kocich łapach", z przechyloną nabożnie głową, wsuniętą w barki, z półuśmiechem na twarzy i wysuwa do ciebie miękką, wgiętą na kształt miski dłoń, i podaje ci na niej to swoje ani zimne, ani gorące, to letnie, ciepławe, bladawe i rozdęte pychą miłosierdzie...

Jak miał nie polubić swoich rąk i nie zżyć się z ni-

mi niby z dobrym przyjacielem, skoro go one uratowały od ludzkiego miłosierdzia i uwolniły od litościwych dusz, które lubią czyhać przy cudzych drzwiach, aby je z trzaskiem otworzyć i triumfalnie wpakować się do środka ze swoim współczuciem...

Od dawna już wiedział, bo życie uczyło go szybciej niż innych, że nic tak nie odstraszy tych litościowych dusz, jak dobrze utrzymane gospodarstwo, czyste i tłuste zwierzęta, drzewa wiosną pobielone, płoty z drucianej siatki, pole bez ostu i zboża na czas zebrane...

I on właśnie tym z pomocą swoich rąk zdołał te litościwe dusze odpędzić od furtki i drzwi, bo zwierzęta jego potłuściły, a ich skóra stała się gładka i połyskliwa, drzewa dostały to, co im było potrzebne, a dojrzewające zboża miały Krzywą Rączkę przy sobie z kosą i maszyną wtedy, kiedy powinny go mieć.

A przecież zboże, gdy dojrzewa, jest najokrutniejsze z wszystkiego i gdy trzeba je kosić, nie się nie liczy, tylko koszenie, i żaden doktor nie może cię od tej roboty zwolnić — ani specjalista od bólu rąk i nóg, ani specjalista od darcia w grzbiecie, ani ten od dychawicy, ani od bóleści serca nie może ci powiedzieć — zostań w domu/*— bo go nie usłuchasz, gdyż słyszysz w sobie tylko to jedno — jestem dojrzałe zboże i czekam na ciebie, jestem dojrzałe zboże, twój chleb, twój pan i rozkazuję ci, abyś przyszedł...

Każdego roku w lipcu i sierpniu Krzywa Rączka wpatrywał się z uwagą w kłosa i wsłuchiwał w tajemne trzaski w źdźbłach swoich dojrzewających zbóż niby w rozkazy władcy, które potem dokładnie wykonywał, a tym wykonywaniem także odpędzał kierowane w jego stronę zakusy sąsiedzkiej litości z samego dobrego serca płynącej, nie żądającej zapłaty ani odrobku, bo z samej miłosiernej duszy wychodzącej, i jak ryba wody, cudzej bezradności i rozpaczliwej.

— Ziemia po siewie równa jak ogromny stół, zboże bez jednego chwastu i tylko dwie krzywe ręce...

— Zwierzęta jak ulane, gładkie i tłuste i tylko dwie i do tego krzywe ręce...

— Drzewa wiosną pobielone wapnem i bez jednej suchej gałązki, a jesienią nabite gęsto owocami, aż przygięte do ziemi, i tylko dwie krzywe ręce, jak to może być, jak to może być, to cud...

Tak mówili sąsiedzi Krzywej Rączki, przyzwyczajając się z latami do tego cudu jak do rzeczy ludzkiej, wielce ludzkiej...

Gdy Krzywa Rączka doszedł do wieku średniego, ten cud już dawno przestał być cudem i stało się tak, że jest po prostu mądrym, pracowitym gospodarzem, żyjącym w kawalerskim stanie, człowiekiem postawnym, choć lekko przygarbionym, chód ostry, jeszcze sprężysty, twarz przyciemniała, pocięta już z lekka bruzdami, jakie się nabywa od ogromnego pragnienia zakończenia na czas roboty i od zmienności pogody idącej przez ziemię, szpakowate włosy, cofnięte na tył głowy, i wąsy tknięte pierwszymi śladami siwizny, po prostu taki człowiek i jego świetnie prowadzone gospodarstwo...

A jego krzywe ręce są po prostu urobionymi rękami, nie krzywymi rękami, lecz spracowanymi rękami i koniec; nie muszą już kryć się przed światem i pokazywać się tylko bożemu oku, gdyż jako ręce przez całe lata, przez dziesiątki lat koszące zboże i trawę, karmiące zwierzęta, zrywające z drzew owoce i wykonujące wiele innych potrzebnych rzeczy, mogą być zawsze śmiało odsłonięte.

A więc niepotrzebne są już przepaściste kieszenie i przydługie rękawy...

Takim go widzimy, gdy doszedł do wieku średniego czy może późno średniego, takim go widzimy w dniach, w których trwają przygotowania do uroczystego ob-

chodu sześćdziesięciolecia istnienia miejscowej ochotniczej straży pożarnej.

Obywatelski komitet organizacyjny, na którego czele stanął przewodniczący gromady, działa na pełnych obrotach, praca wre, zebrano już od ludzi drób, wytypowano też do zabicia dwie świnię i jałówkę, wiadomo też, które kobiety zajmą się urządzeniem przyjęcia...

Mają przyjechać przedstawiciele trzech szczebli, z powiatu, województwa i stolicy, przybędzie także cały zarząd PGR, kilku przewodniczących sąsiednich gromad, kierownik szkoły i grono nauczycielskie, i wielu innych gości.

Robi się porządki, lakieruje druciane siatki płotów, zamiata podwórza i asfaltową drogę główną, myje okna, a na murach domów zawiesza chorągiewki i zielone gałązki, zrzeszona młodzież zasypuje piaskiem błotniste ścieżki, a na grząskich przejściach układa się betonowe płyty, które — tak zarządził komitet organizacyjny — zostaną zdjęte po odjeździe gości...

W robieniu tych porządków wyskakuje wiele nieprzewidzianych trudności; na przykład przy grabieniu i usuwaniu śmieci z przyszkolnego skweru okazuje się — przedtem tego nikt nie zauważył — że trawa nie jest równomiernie zielona, lecz pokryta gdzieniegdzie kępami jakichś przypalonych słońcem, spłowiiałych chwastów.

— To brzydko wygląda, trawnik od razu rzuci się w oczy, bo jest na widoku, co robić — medytują członkowie komitetu organizacyjnego i zastanawiają się nad znalezieniem wyjścia...

— Wyjście musi się znaleźć — stwierdza przewodniczący i zaraz poleca skropić tę płowość zielonym lakierem — i wszystko się wyrówna...

— Rzeczywiście — podchwytuje komitet organiza-

cyjny; i zaraz wszyscy jego członkowie dodają — nie poradzilibyśmy sobie bez przewodniczącego...

Na szczycie nowej, murowanej wieży strażackiej, służącej do ćwiczeń i przeciwpożarowych obserwacji, łopoce już na lekkim wietrze flaga, a na nowym, niedawno zakończonym budynku remizy, która będzie uroczyście otwierana, jest już przybita nowa tablica, upamiętniająca jubileusz; na razie przysłonięta szarym, pofałdowanym płótnem, bo się ją musi uroczyście odsłonić.

W programie —■ powitanie gości chlebem i solą, przemówienia, otwarcie remizy, pokaz strażackiej sprawności na nowej wieży, defilada banderii, przyśpiewki i deklamacje, poczęstunek, tańce pod gołym niebem przy dźwiękach orkiestry, która po raz pierwszy zasiądzie w specjalnej, niedawno zbudowanej muszli.

Nie wszystko da się ująć w plan i przewidzieć, bo program programem, a życie życiem; dlatego to i owo trzeba mieć w rezerwie, na wszelki wypadek, żeby dobrze wypaść i później się nie wstydić...

— Nasza gromada ma się spisać na medal — powiedział przewodniczący na zebraniu ogólnym, a potem na posiedzeniu komitetu organizacyjnego, gdy już program został ustalony, zapytał, chowając jednak coś w zanadrzu — czy to już wszystko...

— Wszystko — odpowiedzieli zebrani.

— A kto mi zareczy, że któryś z przedstawicieli, gdy się wieczorem rozochoci na przyjęciu, nie powie —| marzy mi się teraz spacer i ognisko na wolnym powietrzu, człowiek wciąż w tym mieście, w murach... Kto mi zareczy, że tego nie usłyszę na przyjęciu, pytam się, kto; — i nie czekając na odpowiedź — ognisko musi być przygotowane, choćby nawet nie zostało rozpalone, niech młodzież szkolna naznosi dobrego drewna na polanę w olszynach, najlepsza byłaby brzezina albo buczyna; i niech zastruga patyki, na które będzie można

nabić kiełbasę, aby ją przypiec na ogniu; jakaś butelka powinna się tam też znaleźć...

Przewodniczący starł palcami pot z czoła, a potem chwycił twarz w dłonie i oparł głowę na zgiętych w łokciach ramionach, milczał chwilę, chciał chyba odpocząć, ale już nie umiał, i przez te rozcapierzone palce, położone na twarzy, dobył się z niego rozdrażniony głos — kto mi zaręczy, że któryś z przedstawicieli nie szepnie mi — w tych waszych jeziorkach przy rzecznych ryba niewąska, gdyby się znalazła jakaś wędka, zostałbym do jutra; nikt nie zaręczy, bo przecież oni lubią rybołówstwo; i znów nie zdejmując palców z twarzy — kto mi zaręczy, że któryś z ważnych gości nie rzeknie, gdy się rozmarzy na przyjęciu — widziałem, jak z tych waszych bagien zerwało się stado dzikich kaczek, zostałbym do jutra, ale chodzi o strzelbę, pomyślcie, wierzę w was — nikt nie zaręczy, że tego nie usłyszę, bo oni lubią polowania, musimy więc załatwić kilka wędek u rybaków i strzelby u gajowego, żeby się później nie czerwienić przed gośćmi i nie wstydzić...

Po tych słowach głowa przewodniczącego jeszcze niżej opadła i on przez te położone na twarzy palce szepnął — słabo mi...

Wtedy jeden z komitetu organizacyjnego skoczył do kierownika szkoły po pół litra czystej; gdy wrócił, przewodniczący zdjął dłonie z twarzy i wszyscy wypili po małej szklance; później znów się skądś wzięło pół litra i znów pół litra i przewodniczący poczuł się lepiej; a potem tak dobrze, że zaczął wykrzykiwać — jestem pewny, że wszystko zagra jak należy, niech przyjeżdżają przedstawiciele, przyjeżdżajcie, przyjeżdżajcie, gromada na was czeka, wszystko przygotowane...

Urwał nagle i znów się zasepił i wyjęczał — a co będzie, jeśli któryś z gości zechce popływać łódką po

rzece, a co będzie, jeśli któryś powie — wybrałbym się na grzyby...

Przez chwilę jakby cierpiał, ale w otwarte okno lekki wiatr wwiął zapach wędzonej na przyjęcie kielbasy, więc poweselał i znów dziarsko zawołał — przyjeżdżajcie, drodzy goście, zobaczycie, jak was przywita gromada....

Krzywa Rączka jest wytypowany do udziału w przyjęciu, wyszedł z klucza jako wzorowy hodowca i ma zasiąść wraz z kilkoma znaczniejszymi gospodarzami obok sekretarzy, dyrektorów i przewodniczących.

Ma zasiąść i zasiądzie, ale to nie przebiegnie tak jak powinno, bo w tym czasie, gdy przebrzmi ostatnie słowo deklamacji wykonanej przez dzieci szkolne, a przewodniczący poruszając łagodnie swoją rozpostartą dłonią, zwróci się do gości i wybranych gospodarzy i powie — proszę na skromny poczęstunek — Krzywej Rączki nie będzie w remizie, gdyż on, nim jeszcze skończy się defilada strażackiego oddziału, sam siebie wypędzi na puste pola i dopiero po nadziwieniu się temu, co uczynił, po przecierpieniu tego i zbesztaniu samego siebie, przemoże wstyd i przyjdzie do sali, gdzie będzie poczęstunek.

A tak ładnie się zaczęło, limuzyny stanęły na małym błoniu w cieniu wierzb, gdyż samochodom szkodzi jaskrawe słońce, dostojni goście wysunęli się z limuzyn, rozprostowali kości i pieszo doszli do głównej drogi, gdzie odbyło się tradycyjne powitanie chlebem i solą.

Przebiegało jak należy i bochen powędrował do rąk dostojnego gościa, a później do rąk jego zastępcy, a potem do jakichś innych rąk i znów do jakichś rąk, i w końcu zniknął...

Bochen, który służy do powitania „chlebem i solą”, zawsze gdzieś znika i nie wiadomo co się z nim dzieje; czy ludzie go zjadają, czy zwierzęta, czy ptaki roz-

dziobu ją, a może staje się łupem robactwa, a może gdzieś pod krzakiem na deszczu robi się z niego podobna do błota papka, wchodzi w trawę, wsącza się w ziemię i staje się ziemią...

I dalej uroczystość posuwała się ustalonym przez komitet organizacyjny torem i nic nie zapowiadało tego wściekłego krzyku Krzywej Rączki; krzyku, który wybił się nad głośnie, miarowe kroki defilującego oddziału strażaków, bo jak mogło zapowiadać, skoro sam Krzywa Rączka męczył się, żeby pojąć, dlaczego tak postąpił, bo przecież nie chciał wrzasnąć, ale nie mógł się zatrzymać i wrzasnął...

Po powitaniu chlebem i solą i tajemniczym zniknięciu bochenka było kilka płomiennych mów i wręczenie nowego sztandaru, a potem popis na murowanej wieży ćwiczeń.

Przejazd banderii, który odbył się po pokazach strażackiej sprawności, zrobił duże wrażenie na gościach i został przyjęty rześzystymi oklaskami, mimo że czworobok kolumny konnej nie zachował swoich równych' linii, gdyż ci pięknie ubrani w starodawne stroje jeźdźcy nie mogli utrzymać w posłuchu rozbuchanych arabów i półarabów z państwowej stadniny.

Wszyscy czekają teraz na defiladę oddziału strażackiego z nowym sztandarem, która wnet się rozpocznie, bo już w cieniu brzoź niedaleko kościoła strażacy czynią ostatnie przygotowania, formują kolumnę nabitą rojowiskiem blasków migających na wypucowanych hełmach i guzikach mundurów, wybierają spośród siebie najzgrabniejszych chłopców do pocztu sztandarowego, komendant wychodzi na czoło, za moment zdyszczym szeptem wyda rozkaz — naprzód marsz!...

Krzywa Rączka stoi obok wyniesionych pod gołe niebo krzesel, na których siedzą dostojni goście, i patrzy na ludzi rozciągniętych wzdłuż czarnego asfaltu drogi głównej i czekających na defiladę.

Tyle ludzi, człowiek obok człowieka, gęsto Zbity tłum, a Krzywa Rączka w tym tłumie wyławia jedną | jedyną twarz, przygląda się jej, wlepia w nią oczy, marszczy czoło i świdruje ją oczami — to chyba on — myśli — tak, to on, zmieniony, przychudzony i mocno postarzały, ale on, nie na krześle wśród dostojnych gości, ale w tłumie jako gap, zwyczajny gap czekający na defiladę strażaków.

Jak ten los dziwnie się plecie, dzierga się niby i koronka w palcach panny, ale i wprawia w ruch swoje potężne maszyny; no bo przecież między trzydziestowieciem a sześćdziesiątowieciem miejscowej straży pożarnej były straszne wojny, masowa śmierć, zmiany, odmiany, schodzenie jednych, wychodzenie drugich, nagroda dla skromnych, kara dla pysznych, przemienienie twarzy z dumnych w korne, kornych w dumne, zgięcie grzbietów pysznie wyprężonych, wyprostowanie grzbietów kornie przygiętych, przesuwanie, przenoszenie, przemieszczanie, syn silnego dziada z gmin- | nego domu ubogich w karecie ciągniętej przez dwa białe cugowe konie, a wkleśłobrzuchy jaśnie pan pieszo, Z tobołkiem, mknie ku granicy, dziady w limuzy- i nach, a jaśnie państwo na nogach...

Jak ten los dziwnie się plecie, Krzywej Rączce przynosi tę twarz, teraz już dobrze rozpoznana, twarz tego j pana starosty, ale już nie jako pana starosty, lecz jako zwykłego starego gapia...

Czy ten Krzywa Rączka gdzieś, kiedyś, może w środku pól, może nad brzegiem rzeki, a może pod jakimś cichym drzewem wyszeptał sam do siebie — chciałbym się zemścić za „ręce z kieszeni”, o, jak bardzo chciałbym się zemścić; bo oto niespodziewanie — prędzej śmierci mógł się spodziewać —| otrzymuje w darze od losu pana starostę jako zwyczajnego gapia i w dodatku z wszelkimi udogodnieniami, gdyż otrzymuje go z rękami w kieszeniach...

A oddział strażacki wyszedł już z cienia brzoź; ze sztandarem na przodzie, z rojowiskiem blasków na uniformach, toporkach i hakach zbliża się do krzeseł, na których siedzą dostojni goście.

Orkiestra gra marsza, nogi defilujących biją o asfalt, szum tłumu, ruch, oklaski...

Ale Krzywa Rączka już tego nie widzi i nie słyszy, otacza go teraz jakby cicha pustynia, a na tej pustyni on i pan starosta z rękami w kieszeniach; przebiega na drugą stronę drogi tuż przed czołem defilującej kolumny, dolatuje do pana starosty i krzyczy co sił w gardle — ręce z kieszeni!...

Po tym krzyku pustynia zarośla się ludźmi, pan starosta wyciągnął ręce z kieszeni, a Krzywa Rączka chyłkiem wysunął się z tłumu.

Gdy znalazł się wśród pól, zaczął besztac samego siebie — ty wstrętny, nieokrzesany chamie, mówią do ciebie „stateczny gospodarz”, a wylażł z ciebie cham, okrutny cham, jak mogłeś tak postąpić... bo przekonał się, że pan starosta pragnął pokazać swoje ręce tylko bożemu oku; i po stokroć nawracał do tego, co się stało, i przedstawiał sobie, jak pan starosta zachował się po tym krzyku — ręce z kieszeni, najpierw dziwi się, a potem boi i bardzo wolno wyjmuje z kieszeni swoje ręce, wstydzi się ich, bo są zniekształcone jakąś chorobą, pokryte strupami, strupy spękane do krwi, na niektórych palcach bandaże nasiąkłe żółtawą cieczą.

Krzywa Rączka męczył się, żeby pojąć, dlaczego to uczynił, i nie mógł uwierzyć, że to on wrzasnął, choć przecież musiał w to uwierzyć, i znów się beształ i wysykiwał do samego siebie — dowiedziałeś się, stateczny, poważny gospodarzu, kim naprawdę jesteś, wyszarpałeś z ukrycia na jasność dnia, pod ludzkie oczy za- strupiałe i zropiałe, oglądane tylko bożym okiem ręce starego, chorego człowieka... Poczęstunek chyba już się zaczął, a jeśli nie, to

wnet się rozpocznie, bo orkiestra już dawno przestała grać marsza, ustały także te rzewne kawałki do słuchu, grane zwykle w przerwach między poszczególnymi punktami programu...

Najlepszym znakiem będzie jednak zagrany przez orkiestrę pierwszy kawałek do tańca; on dopiero powie, że jest po defiladzie, po występach rodziny muzykującej, która lubi długo przebywać na scenie, i po deklamacjach umęczonych i przerażonych dzieci szkolnych; że dostojni goście i lepsi gospodarze zasiedli do stołu, a młodzież ruszyła do tańca, że po drodze głównej przewalają się grupy nie zaproszonych i niezadowolonych, którzy mówią źle o komitecie organizacyjnym i o uroczystości.

Było już dobrze po południu, gdy znów doleciały go pierwsze odgłosy muzyki; ale to nie jest muzyka do tańca, to w ogóle nie jest muzyka, bo orkiestra zagrała i zaraz urwała, potem dały się słyszeć jakieś pojedyncze trąbienia, a gdy trąby ucichły, odezwały się basy zawzięcie piłowane, a później żalosne piszczenie samotnych skrzypiec, wreszcie dudnienie bębna; i znów cisza, i znów buczenie jakiejś pojedynczej trąby, a po chwili samotne basy...

Co się dzieje z tą orkiestrą — myślał...

Gdy doszedł do miejsca zabaw, przekonał się, że w koncertowej muszli leżą pijani muzykanci, a obok nich powywracane krzesła i rozrzucone trąby, basy, skrzypce; że od czasu do czasu któryś z muzykantów próbuje wstać i nawet mu się to udaje, bierze instrument i zaczyna grać, ale zaraz wywraca się i odrzuca trąbę, basy albo skrzypce, które padając dzwonią, dźwięczą, piszczą...

I przekonał się, że na podłodze przed muszlą pijane pary trwają w jakimś dziwnym tańcu-nie-tańcu, w chodzie-nie-chodzie, w kołowaniu-nie-kołowaniu; już, już mają się przewrócić, ale jeszcze nie upadają, wciąż

są w tym wywracaniu się i zarazem utrzymywaniu na nogach ostatnim wysiłkiem, czyli w tej jakby niemożności upadku i podniesienia się.

W drodze do remizy napotkał dwóch swoich sąsiadów, podszedł do nich i rzekł — krzyknąłem, bo nie wiedziałem, że pan starosta ma zastrupiałe ręce, a sztandar był już blisko.

Sąsiedzi chwiejąc się niby młode drzewa na wicherze, wpatrywali się w niego znieruchomiałymi, szeroko rozwartymi oczami i chcieli coś na to odpowiedzieć, ale nie mogli, otwierali i zamykali usta, poruszali wargami i strasznie się męczyli, żeby wypowiedzieć choćby słowo, ale nie byli w stanie tego uczynić, tak jakby ich mowa zapadła się w jakąś głębinę, po chwili zaczęli z siebie wyduszać niezrozumiałe syki, szумы i bełkoty, a potem napadł ich śmiech i z tym śmiechem odeszli. Znów natknął się na kilku ludzi i bardzo się ucieszył, bo chciał im powiedzieć — na pewno jesteście ciekawi, dlaczego wrzasnąłem na pana starostę, sam nie wiem, ale może dlatego, że sztandar się zbliżał, a jego ręce były w kieszeniach, gdybym się mógł domyślić, że jego dłonie są chore i kryją się przed ludzkim okiem...

Ale nie powiedział tego, bo ci ludzie także byli pijani, klepali się po plecach, ściskali, całowali i wykrzykiwali coś niezrozumiałego.

W drodze do remizy spotykał różnych swoich sąsiadów i znajomych, ale żadnemu z nich nie mógł powiedzieć — ciekawi cię z pewnością ten mój krzyk — bo wszyscy byli pijani i nie umieli słuchać ani mówić...

Za drucianą siatką płotu odgraniczającego błonie od przydrożnych pasów zdeptanej, umordowanej ziemi zamigotała mu jaskrawa biel i przemykająca wśród niej powiewna, szkarłatna plama...

Gdy podszedł do płotu i spojrział przez oka siatki, mógł się przekonać, że ta jaskrawa biel to suknie

dziewczynek i koszule chłopców ze szkolnego zespołu recytatorskiego, a ta powiewna szkarłatna plama to nowy sztandar przywieziony przez dostojnych gości i wręczony miejscowej straży pożarnej z okazji jubileuszu.

Nadarzyła się z pewnością tym dzieciom świetna okazja, aby się dorwać do postawionego gdzieś w kącie sali i opuszczonego przez wszystkich sztandaru i wziąć go sobie do zabawy; właśnie defilują z nim, trzymają drzewce na sztorc, a potem go pochylają i szkarłat powiewa nad zieloną trawą, odbierają go sobie nawzajem, a później zgodnie kładą na barkach i niosą jak zwykły drag, wreszcie przegają się w niego, biegną i ciągną go po niskiej trawie, szkarłat zamiata błonie, zgarnia spalone słońcem osty i zeschnięte łajna...

— Wracajcie, oddajcie sztandar! — woła Krzywa Rączka, ale rozbawione, rozkrzyczane dzieci nie słyszą jego głosu i odbiegają ze sztandarem coraz dalej.

Krzywa Rączka wchodzi do sali, gdzie odbywa się przyjęcie, i krzyczy — dzieci dobrały się do sztandaru i bawią się nim na błoniu; a wszyscy na to bełkoczą coś, czego nie można zrozumieć, i podają mu kielich wódki; a on znów — dzieci biegają ze sztandarem, włóczą go po ziemi; a oni nacierają na niego z tą wódką i on wypija szklanekę, a potem znów wypija, bo znów nacierają; i już nie mówi, że dzieci włóczą sztandar po pastwisku, gdyż trudno mu mówić, bo gdy chce coś powiedzieć, wydobywa się z niego niezrozumiały bełkot...

KONIEC NOWELI

* * * * *

REKORD ŚWIATA

Póki jej wąski, kościsty grzbiet pochylał się nad mętną, spienioną wodą w wielkiej miednicy, póki prała brudne koszule, kalesony, skarpetki i doglądała dzieci, ludzie przychodzili do niej; i nawet uśmiechali się i mówili przyjemnie, że rusza się jak młoda i że nie znać na niej starości, a gdy odpowiadała — nie jest tak dobrze, moi kochani, już wnet przestanę pracować, bo krzyż boli mnie okrutnie — dodawali wesoło — ho, ho, krzyż jeszcze mocny i ręce mocne, ho, ho, nie jest tak źle...

Ale gdy doszło do tego, że nie mogła trwać zbyt długo w przychyleniu, co jest konieczne, gdy się pierze bieliznę, i gdy oznajmiła, że musi skończyć z praniem, znacznie mniej ludzi przychodziło do niej; po tym oświadczeniu odpadli ci, którym prała brudy, a pozostało tylko kilka młodych małżeństw, które musiały mieć kogoś do dzieci na czas pracy w biurze lub fabryce.

Ale jeszcze i teraz, choć przestała być praczką i pełniła tylko rolę stróża cudzych dzieci, wiodło się jej nieźle, bo miała swbje pieniądze, z których część wpłacała na książeczkę i — co ważniejsze — spotykała się z ludźmi; i nieraz udało się jej usłyszeć to, co dawniej, gdy dawała sobie radę z praniem i pilnowaniem dzieci — że rusza się jak młoda i nie znać na niej starości; gdy znów się temu sprzeciwiała i mówiła —

pewnie już niedługo będę tym aniołem stróżem, bo odczuwam bóle w nogach, a co wart anioł stróż bez jako tako ruszających się nóg, nic nie wart — znów, podobnie jak w rozmowach o praniu, odpowiadali — ho, ho, nogi są jeszcze mocne, nie jest tak źle, ho ho...

Doglądała dzieci przez wiele miesięcy, z coraz większym trudem, czuła bóle i ciężary w nogach, ale doglądała, dokąd mogła, do ostatniego podyrdania za psotnym dzieckiem, do ostatniego napomnienia danego niesfornemu dziecku.

Wreszcie doszła do wniosku, że jest śmiesznym, bła- żeńskim aniołem stróżem, że obrzydliwie małpuje anioła stróża i zaczęła się złościć na siebie; a potem zaczęła się nienawidzić i poczuła do siebie wstręt, powiedziała tym młodym matkom i ojcom, że kończy z doглядaniem dzieci, bo jej nogi bardzo osłabły.

Powiedziała to w sobotę rano i ta sobota była ostatnim dniem pełnienia przez nią obowiązków anioła stróża cudzych dzieci.

W niedzielę, jak w każdą niedzielę, nikt do niej nie przyszedł, a poniedziałek był pierwszym poniedziałkiem, w którym nikt jej nie odwiedził.

Siedziała w swojej małej izbie, bo nogi ją bolały, i poniedziałek upłynął bez „dzień dobry”, bez „będzie ładna pogoda, można z dziećmi Wyjść na spacer”, bez „do widzenia”, bez „jak sprawowały się dzieci”, bez drugiego popołudniowego „do widzenia”.

We wtorek także nikt do niej nie przyszedł, a w środę zdawało się jej, że ktoś idzie; poderwała się, jak umiała, strzepnęła ze stołu okruchy i stanęła. Słuchała, jak radośnie skrzypią schody, była pewna, że ktoś stanął za jej drzwiami, i znów spojrzała na stół, żeby się przekonać, czy jest czysty, a potem przyglądała nakrycie łóżka.

Ale nikt nie zapukał i znów usłyszała skrzypienie

schodów, z pewnością zaszła pomyłka, ktoś szukał kogoś innego.

We czwartek z rana wpadł do niej chłopak sąsiada, ten, który za drobną opłatą przynosił jej co jakiś czas chleb, mleko i kaszę jęczmienną; spytała się go, co słyhać w mieście — mówiła „w mieście”, choć to było małe, bardzo małe miasto, brudnobiałe miasteczko, rozłożone w nieładzie na łagodnej, piaszczystej pochyłości; chłopak nie odpowiedział na jej pytanie, mruknął coś, bo śpieszył się; tak się śpieszył, że zapomniał domknąć drzwi i musiała sama dowlec się do nich i zatrzaskać.

Otworzyła okno i usłyszała, że ktoś rozmawia z listonoszem; no to jak umiała, tak podeszła do okna i zawołała — jest co do mnie? — choć wiedziała, że listu nie będzie, bo syn jest gdzieś daleko i nie pisze; ona także do niego nie pisze, bo są pogniewani na siebie, pogniewani na amen; w ostrej kłótni, która między nimi wybuchła rok temu, ona krzyknęła do niego — od dziś nie mam syna; i zaraz krztusząc się z gniewu — nie znam cię, nie znam pana! on nie pozostał jej dłużny i tak samo — ©d dziś nie mam matki, odchodzę, proszę pani; i wyszedł z izby, trzasnął drzwiami, gdzieś przepadł i Bóg wie, gdzie się podziewa.

Choć wiedziała, że nie ma listu, bo dobrze, tak jak siebie, znała swojego syna i była pewna, że nie napisze, tak jak i siebie co do tego była pewna; jednak wykrzyknęła pytanie do listonosza; może po to, żeby usłyszeć swój głos, który w pustej izbie zahuczał jak wybuch, aż wiatr powiał i poruszył starymi obrazami i makatką spłowiałą, wiszącą nad łóżkiem. Piątek i sobota były podobne do wtorku, a w niedzielę także nikt do niej nie przyszedł; w niedzielę nogi bolały ją okrutnie, ale próbowała chodzić, opierała się o stół i krzesła, przesuwała się powoli z miejsca na miejsce; a przesuwając się, powiedziała do sie

bie samej — nogi, moje nogi; w tę drugą niedzielę od dnia, w którym przestała doglądać dzieci, przekonała się, że dobrze jest odezwać się do samej siebie, że to jakby rozdwojenie na siebie samą i na kogoś drugiego i że to ostatecznie może być sposób na tworzenie sobie jakby drugiego lokatora w izbie, w której mieszka się samotnie.

Poniedziałek podobny był do niedzieli, ale różnił się od piątku i soboty, bo w poniedziałek, podobnie jak w niedzielę, rzekła to i owo do samej siebie, a w piątek i sobotę tego nie było; a wtorek był podobny do czwartku, bo we wtorek wpadł chłopak sąsiada z chlebem, mlekiem i kaszą jęczmienną; wtorek i w tym był podobny do czwartku, że chłopak nie odpowiedział na pytanie — co słyhać w mieście — tylko coś mruknął i szybko wyszedł, bo się śpieszył; wtorek i w tym był podobny do czwartku, że chłopak nie domknął drzwi i ona sama musiała to zrobić.

Środa, ta druga środa licząc od dnia, w którym przestała być aniołem stróżem cudzych dzieci, a właściwie, w którym przestała nieudolnie małpować anioła stróża, był dniem niepodobnym do żadnego poprzedniego, bo w środę zaistniało coś nowego, dotąd nie praktykowanego; bo w środę odezwała się do stołu i powiedziała — dobrze się o ciebie oprzeć — i odezwała się do krzesła — chodź no tu, to się oprę o ciebie, bo idę tam, gdzie król piechotą chodzi; i przekonała się, że mówienie do mebli jest wcale niezłym sposobem na tworzenie sobie współlokatorów w izbie, w której mieszka się samotnie, na zaludnianie pustej izby.

W czwartek, ten drugi czwartek, pogoda się poprawiła i ona mogła otworzyć, okno; gdy to uczyniła, usłyszała nieludzki, przeciągły jęk, który rzeczywiście był jękiem nieludzkim, bo wydawały go jakieś uderzane o siebie kawałki żelaza na niedalekiej budowie gmachu, który za dwa, może za trzy miesiące stanie się chlubą

miasteczka, gdyż znajdują tam pomieszczenia — ośrodek zdrowia z izbą porodową, biblioteka, świetlica, urząd gminny, remiza strażacka, punkt Czerwonego Krzyża, kącik filatelistyczny oraz kilka mieszkań służbowych dla lekarzy, pracowników gminy i coś tam jeszcze.

Gdy usłyszała ten przeciągły jęk, zamknęła okno, ale zaraz znów je otworzyła, bo niebo stało się błękitne, ale jęk nie ustał i musiała je znów zamknąć.

Otworzyła je dopiero po kilkugodzinnej przerwie i przekonała się, że metal już nie jęczy; a gdy wyjrzała, zobaczyła na ulicy niski i strasznie długi, pomarańczowy samochód o dużych szybach i wielu otaczających go ludzi; rozpoznała w nich bliższych i dalszych sąsiadów i sąsiadki i mogła zauważyć, co nowego mają na sobie, i w ogóle, jak się przedstawiają.

Przez długi czas przyglądała się ludziom, bo samochodu już nie mogła dojrzeć, gdyż ludzie ciasno przy nim stali, przyciskali się do niego ze wszystkich stron i nawet dach zasłaniali, bo kładli na nim ręce, z pewnością po to, by stwierdzić tę rozkoszną śliskość i gładkość wysokiej klasy lakieru, jakim był pomalowany.

Ale w końcu znudziło się jej oglądanie ludzi i bardzo zapragnęła pogadać z kimś w pewnej sprawie: no to zdobyła się na odwagę i krzyknęła —■ hej, sąsiadko! — i jeszcze raz głośniej — hej, sąsiadko! — a po chwili — hej, sąsiedzie. — Odwrócił się do niej człowiek już niemłody, z zaczerwienioną, niecierpliwą twarzą, więc ona ciesząc się, że kogoś chwyciła, zaczęła mu wyłuszczać szczegóły swojego kłopotu; ale ledwie zaczęła, musiała natychmiast przerwać, bo sąsiad położył palce na swoich wargach na znak żeby umilkła, i nie przeszkadzała w oglądaniu maszyny; ale może czując, że postępuje niewłaściwie i pragnąc się usprawiedliwić albo może pałając chęcią podzielenia się z nią niezwykłą wiadomością, odkrzyknął — to jest zagraniczny

wóz; i od razu włączył się do ludzi kłębiących się wokół samochodu z mrówczą pracowitością i wyciągających do wozu ramiona modlitewnie i błagalnie.

Patrząc na to pomyślała, że póki ten samochód stoi, nie może być mowy o' tym, aby kogokolwiek przywołać; zauważyła też, że ludzie przybywa, że nadciągają do samochodu nie tylko mieszkańcy śródmieścia, lecz także ludzie z dalszych domów, których mogła ujrzeć na ścieżkach wijących się między rzadkimi, wątlými drzewami, rosnącymi z lewej strony zbocza, na skraju właściwego miasteczka.

Kto wie, co by się stało, gdyby ten samochód pozostał tu dłużej, pewnie zeszliby się przy nim wszyscy ludzie mieszkający w miasteczku i okolicy, ale wrócił jego właściciel, zagraniczny gość, który zwiedzał zabytkowy kościół i długo rozmawiał z księdzem na plebanii, a potem z urzędnikami w gminie.

Niełatwo mu było przepchać się przez ten tłum zgromadzony wokół samochodu, ale w końcu przy pomocy naczelnika urzędu gminnego, który co chwila perswadował — zróbcie miejsce, zróbcie miejsce dobił do swojego wozu i zapuścił motor; ten niesamowicie niski i strasznie długi samochód zaczął z wolna przebijać się przez gromadę ludzi, aby za chwilę nabrać szybkości i zniknąć w kłębach kurzu.

Ludzie od razu rozbili się na mniejsze grupy, które zażarcie dyskutowały o tej zagranicznej maszynie, a potem tłum zaczął się szybko rozrzedzać i wszyscy się rozchodzili, bo już robił się mrok.

Krzyknęła wprawdzie przez otwarte okno — hej, sąsiedzie! — ale tego chyba nikt nie słyszał, bo jedni gnali do domów, a inni byli całkowicie pochłonięci rozmową o samochodzie.

Zrozumiała, że jest to nieodpowiednia chwila do zwoływania ludzi i wyłuszczenia im swojej sprawy, która mogła ich tylko rozśmieszyć albo rozzłościć;

zamknęła więc okno i do stołu, krzeseł, do obrazów na ścianie i wypłowiałej makatki wiszącej nad łóżkiem, do wszystkich rzeczy, które znajdowały się w jej izbie, zawołała — widzicie, jak to jest, widzicie, jak to jest...

W piątek nikt do niej nie przyszedł i tak jakoś pusto było w tym dniu na ulicy; w sobotę i niedzielę też nikt jej nie odwiedził, w poniedziałek skrzypiały schody, ktoś szedł, ale nie do niej.

We wtorek wpadł chłopak sąsiada z chlebem, mlekiem i jęczmienną kaszą; mrugnęła do niego znacząco i uśmiechnęła się, a potem próbowała wyłuszczyć mu swoją sprawę; powiedziała, że przydałby się jej nowy nocnik, bo stary przerdzewiał; i próbowała go przekonać, jakie znaczenie ma dla niej to naczynie bez kantów o łagodnie zawiniętym brzegu i jak bardzo ono się przydaje; znów mrugnęła do niego, a potem uśmiechnęła się dobrodusznie i rzekła — są chwile w życiu, są chwile w życiu, chłopcze... — ale w tym momencie chłopak się roześmiał na cały głos i wybiegł z izby.

We wtorek nikt do niej nie przyszedł, w środę usłyszała czyjeś kroki za oknem, ktoś szedł, ale nie do niej; w środę ucięła sobie dłuższą rozmowę ze stołem i krzesłem, potem przemawiała do ptaszka wyhaftowanego na makatce.

W czwartek otworzyła okno i usłyszała, jak ktoś grubym głosem powiedział, że mury nowego gmachu szybko idą w górę; ale gdy wychyliła się z okna, aby stwierdzić, czyj to był głos, nikogo już na ulicy nie było; po chwili ujrzała znajomą kobietę z naprzeciwka i krzyknęła — hej, sąsiadko; bo chciała jej opowiedzieć o swoim kłopotcie. Sąsiadka zatrzymała się i spojrzała w okno, ale w tym momencie od strony murów wznoszonego gmachu doleciał przeraźliwy łoskot betoniarki, który zagłuszył słowa; za chwilę tej maszynie pomógł

w zagłuszaniu nowy pneumatyczny przebijak, który rujnował stary, pozapadany bruk ulicy, gdyż wkrótce miało się tu kłaść asfalt; dlatego nie można było sprawy przedstawić sąsiadce, krzyknęła jeszcze — proszę do mnie, proszę do mnie na kilka słów — ale sąsiadka wyciągnęła ręce w kierunku gmachu, skąd dochodził łoskot betoniarki, i pokazała ręką pneumatyczny ubijak na znak, że nie da się rozmawiać; a potem wyciągnęła dłoń w stronę niskiego pawilonu, w którym były sklepy, na znak, że tam idzie i że spieszy się, i szybko odeszła.

Stara kobieta zamknęła okno, bo nie mogła znieść chrobotu maszyny, i zaczęła gwarzyć z rzeczami, które znajdowały się w jej izbie; długo rozmawiała ze stołem, krzesłami, przedziewiałym nocnikiem i makatką; cały dzień zszedł jej na pogwarkach z przedmiotami znajdującymi się wokół niej.

W następnym tygodniu nikt jej nie odwiedził prócz chłopaka, który wpadł do izby ze śmiechem, ze śmiechem położył na stole chleb, flaszkę mleka i torebkę kaszy i ze śmiechem wybiegł, bo pewnie sobie przypomniał o tym nocniku.

Przez wiele następnych dni nic się nie zmieniło; aż do któregoś z rzędu wtorku, gdy za radą przedmiotów znajdujących się w izbie, z którymi toczyła nieustanne pogwarki, postanowiła wziąć się ostro za ten ból w nogach i przykrócić go, napaść na niego i przytłamsić.

Przyjrzała się swoim nogom i zauważyła zgrubienia na kolanach i nad stopami, a także nieznaczne opuchnięcia, równomiernie rozłożone od stóp do kolan; i doszła także do wniosku, że takie nogi nie muszą strasznie boleć i że powinny jeszcze jako tako chodzić; a potem się na nie zgniewała o to, że okrutnie bołą i nie chcą się poruszać choćby tyle, aby mogła wyjść z izby na powietrze, na świat, między ludzi i drzewa; i doszło do tego, że chciała im zrobić na złość, tak

jakby te nogi nie były do niej przyrośnięte, ale od niej oddzielone jak osobne istoty, których można nie- ■cierpieć i którym można nadokuczać.

Potem wstała, zrobiła dziarską minę i próbowała maszerować wokół stołu; i od razu zaczęła się mścić na tych swoich nogach za to, że boła, i wykrzykiwała — dobrze wam tak, niech was boli, niech was boli, niech was boli...

Zrobiła dwa okrążenia wokół stołu nie opierając się ■o krzesło i usiadła.

Na drugi dzień nikt jej nie odwiedził, ale zrobiła trzy okrążenia bez opierania się o krzesło i bezlitośnie zbesztła nogi.

Następnego dnia także nikt do niej nie przyszedł prócz chłopaka, któremu powiedziała, że zrobiła sześć okrążeń wokół stołu bez podpieranania się krzesłem, na -co chłopak prychnął śmiechem i poleciał.

Tego dnia, w którym dokonała dziesięć okrążeń, usiadła na łóżku, obnażyła nogi i pogładziła je łaskawie od stóp aż po uda po bładawej jak mętne szkło skórze, chwając je za te okrążenia; ale zaraz sobie pomyślała, że dwadzieścia okrążeń daje odległość mniej więcej taką, jaka dzieli drzwi od chodnika na ulicy, a pięćdziesiąt okrążeń to chyba tyle, ile jest od furtki do brzegu tej piaszczystej pochyłości, gdzie rosną drzewa; a sto okrążeń wokół stołu bez opierania się o krzesło to już wejście między drzewa, to już pospacerowanie wśród drzew i może jeszcze dojście do sklepu z artykułami gospodarstwa domowego po nowy nocnik; sto okrążeń to już rekord, rekord świata.

W następnych kilku dniach nogi bolały ją okrutnie, ale ich nie besztła, bo zrobiły trzydzieści okrążeń.

Po osiągnięciu pięćdziesięciu okrążeń postanowiła wyjść z domu, ale już przy drzwiach zmieniła zdanie i cofnęła się na środek izby; przejechała wzrokiem po stole, krzesłach i innych przedmiotach i doszła do

wniosku, że te rzeczy radzą jej, aby się wstrzymała z wychodzeniem na ulicę, póki nie dobije do rekordu i nie zrobi stu okrążeń; i posłuchała swoich przyjaciół-przedmiotów i przez wiele następnych dni prowadziła ćwiczenia i z każdym dniem przybywało okrążeń; i choć nogi bardzo bolały, nie rugała ich, lecz je chwaliła, a nawet im dziękowała.

Dzień, w którym dokonała stu okrążeń, był niezwykłym dniem, w którym wraz ze wszystkimi rzeczami znajdującymi się w izbie święciła zdobycie rekordu świata.

Następnego dnia, który był czwartkiem, wyszła z domu; czas był spokojny, bezwietrzny, ale jej się zdawało, że powietrze uderza w nią ze wszystkich stron i że ziemia nie jest spokojna, lecz porusza się niby pomost ogromnej wagi i płot nie zachowuje się jak płot, ale cały migoce, jakby kto trzasnął w niego drobno tłuczonym szkłem; i że słup ulicznej lampy nie stoi prosto, ale przechylił się na jeden bok i pewnie upadnie za chwilę.

Jej wyjście z domu wypadło akurat w dzień, w którym zawitał do miasteczka będący w objeździe i pokazujący się narodowi młody człowiek, który najlepiej w kraju umie jeździć na rowerze; i wypadło to jej wyruszenie z domu akurat na godzinę, w której ludzie tłumnie, tak jak przedtem do zagranicznego samochodu, ciągnęli do baraku, gdzie mieściła się prowizoryczna świetlica, aby tego rowerzystę zobaczyć i posłuchać jego opowiadania — jak się to mu jeździło i jak się to mu zdobywało medale.

Dlatego nie mogła z nikim zamienić słowa, bo każdy był zniecierpliwiony i gnał do świetlicy na spotkanie z rowerzystą; nie mogła też udać się do sklepu z artykułami gospodarskimi, bo wiedziała, że gdy w miasteczku jest coś takiego jak spotkanie ze znanym sportowcem, to sklepy się zamyka.

Poszła więc wprost w kierunku drzew; nogi bolały ją okrutnie, ale podążała dziarsko i piaszczyste zbocze przybliżało się do niej.

Przez jakiś czas szła prosto twardym, betonowym chodnikiem, a później skręciła w lewo i wmaszerowała na wąską ścieżkę, przecinającą płowe zbocze, porośnię z rzadka karłowatymi sosnami i w niektórych miejscach gęsto zaścielone różnej wielkości kamieniami; a na tej gołej ziemi ból w nogach, jakby nieco zelżał, a może tylko myśl, że doszła aż tu i że sto okrążeń zostało sprawdzone, działała kojąco.

Oglądała z zaciekawieniem drzewa, dotykała ich posiekanej kory; za drzewami, w pewnym oddaleniu, ujrzała nowe mury gmachu, tej przyszłej chluby miasteczka, i przekonała się, że są bardzo wysokie, że gmach już teraz, choć nie jest gotowy i nie doszedł do właściwej wysokości, góruje nad całym miasteczkiem.

Długo przyglądała się kamieniom na drodze; jeden, dość duży, podobny do gęsiego jajka, tylko bardziej okrągły, spodobał się jej, więc się przychyliła, wzięła go na dłoń i przystawiła do oczu; był gładki, koloru jasnopopielatego, w gęste rdzawe kropki —■ piegaty — powiedziała do kamienia; a za moment — gruby i piegaty; a na końcu — jesteś gruby piegus; bardzo się jej spodobał ten kamień i nie rzuciła go na ziemię, lecz włożyła do kieszeni szarej kurtki, w którą była odziana, i ta kieszeń od razu się wypuczyła.

Teraz już nie na drzewa patrzyła, lecz na ziemię, na kamienie; spodobał się jej drugi, podniosła go i przyjrzała mu się; był mniejszy od pierwszego i czysty, bez piegów, miał formę wydłużonego stożka; namyśliła się, szukała dla niego nazwania, wreszcie uśmiechnęła się i rzekła — wyglądasz jak panek, ładny panek; i ten także poszedł do kieszeni; poszedł też trzeci, który

ochrzcila nazwą — baba, gdyż miał formę przysadzistego stożka; czwarty był spłaszczony i porysowany gęsto złocistymi żyłami; wzięła go w dwa palce, przystawiła do piersi i krzyknęła — medal! a po chwili śmiejąc się — medal za rekord; ten także poszedł do kieszeni i kurtka obwisała z jednego boku.

Powrót do domu był trudniejszy niż przyjscie do drzew i kamieni — wskutek bólu nóg, który na chodniku znów się nasilił, a także przez te kamienie w kieszeni; ale uparła się, aby z nimi dojść do mieszkania, bo chciała mieć nowych domowników; żeby było z kim pogadać, gdy znudzą się jej mową — stół, krzesła i makatka.

Ledwie dowlokła się do izby i od razu w tej kurtce, z tymi „domownikami” w kieszeni położyła się na łóżku.

Dopiero za godzinę podniosła się i opierając się o krzesło popychane przodem, i rugając swoje nogi doszła do kąta izby, wyjęła kamienie i ułożyła je na dużej, przykrytej papierem pace, służącej za podręczny "stolik, na którym zwykle stawiała flaszkę z mlekiem i kładła torebkę z kaszą. Stosując tę samą — można by powiedzieć krzesłową — metodę dowlokła się do łóżka i usiadła na nim.

Przez cały czas wściekle beształa swoje nogi, a potem zrugła stół, krzesło, makatkę i przedziewiały nocnik. Zdawało się, że nie przepuści żadnemu domownikowi, ale gdy jej oczy ujrzały leżące rzędem na pace kamienie, przestała krzyczeć; a po chwili powiedziała cicho — gruby piegus, a potem — ładny panek, baba, medal.

Miasteczko, które od momentu, gdy weszła do izby, niezwykle się ożywiło, zaczęło teraz huczeć ludzkimi głosami; słyszało się okrzyki — niech żyje — a potem tłum zaczął śpiewać — sto lat.

Otworzyła okno i wrzasnęła — dosyć tego, uciszcie się; ale kto w tym huczącym tłumie mógł usłyszeć jej głos; ulica pełna ludzi, na pewno jest ich więcej niż w dniu, w którym pojawił się zagraniczny wóz; największy ścisk jest w tym miejscu, z którego wylatuje w górę najlepszy w liraju rowerzysta, podrzucany przez rozradowanych ludzi wśród okrzyków — niech żyje — i pieśni — sto lat.

Jakiś czas stała w oknie i krzyczała przeraźliwie — uciszcie się! B ale przecież nikt nie mógł jej usłyszeć, gdyż tłum szalał z radości.

Potem, nie zamykając okna, odwróciła się i spojrzała na swoją izbę, przyjrzała się uważnie znajdującym się w niej rzeczom; długo patrzyła na kamienie, a patrząc szeptała — gruby piegus, ładny panek, baba; a potem, wciąż wpatrując się w te kamienie, szepnęła z uśmiechem — widzi mi się, że wam niedobrze na tej pace; a potem wlepiając niemiłosiernie oczy w te kamienie i uśmiechając się — wydaje mi się, że byłoby wam lepiej na stole; dosunęła się z pomocą krzesła do paki i przeniosła kamienie na stół.

Za oknem było coraz głośniejsze, bo do okrzyków — niech żyje — i pieśni — sto lat — doszły wybuchy i trzeszczenie sztucznych ogni, rozjaśniających kolorowo nadciągający wieczór; patrząc na kamienie leżące na stole znów rzekła — myślę, że tu także wam niedobrze, na dworze, za oknem byłoby wam wyśmienicie; i znów — widzi mi się, że musimy się z sobą rozłączyć, gruby piegus pójdzie pierwszy — szepnęła stara kobieta i chwyciła kamień; trzymając piegusa w ręce przechyliła się do tyłu, wykonała zamach i z siłą, z jaką tylko mogła, rzuciła go w tłum; zaraz po grubym piegusie poleciał ładny panek, następnie baba, na końcu przerdzewiały nocnik, tylko medal pozostał.

Za oknem ktoś przeraźliwie krzyknął, a potem dał się słyszeć płacz, tłum nieco przycichł | można było

usłyszeć głos — to z okna tej starej; za chwilę zatrzeszczały schody, można było poznać, że idzie kilku ludzi; to na pewno nie do niej, to pomyłka; ale już. słychać bicie w drzwi i głosy — otwieraj, stara wiédźmo!